

**LISA JACKSON**

**Strach absolutny**

Przekład

**JOANNA NAŁĘCZ**

Prolog  
**Nowy Orlean, Luizjana**

Głos Boga rozbrzmiewał w jego głowie:

*Zabij.*

*Zabij oboje.*

*Mężczyznę i kobietę.*

*Złóż ich w ofierze.*

*Dziś wieczorem.*

*To twoja pokuta.*

Leżał na łóżku w przepoconej pościeli. Czerwone jak krew, pulsujące światło neonów wpadało do środka przez szpary w niedomykających się żaluzjach. Głos dudnił mu w uszach. Odbijał się echem w czaszce. Tak głośny, że niemal zagłuszał inne - te cienkie, skrzypiące głosy, jak zgrzyt kredy po tablicy, które zdawały się należeć do jakichś irytujących owadów. One też wydawały rozkazy. One też nie pozwalały mu zasnąć, ale były ciche, nie tak potężne jak ten jedyny Głos, głos - był tego pewny - samego Boga.

Czasem w jego myśli zakradało się zwątpienie. Może to głos zła, może przemawia nim Lucyfer, Księżę Ciemności.

Ale nie... Nie wolno tak myśleć. Musi wierzyć. Wierzyć w Głos, w jego słowa, w jego najwyższą mądrość.

Szybko zsunął się z łóżka i upadł na kolana. Wyćwiczonym przez lata gestem zrobił znak krzyża na nagiej piersi. Na czoło wystąpiły mu krople potu. Modlił się i prosił o pomoc. Błagał Boga, by pozwolił mu zostać swoim posłańcem, o znak, że został przez Niego wybrany.

- Pokaż mi drogę - szeptał żarliwie, oblizując wargi. - Powiedz mi, co mam robić.

*Zabij.*

Głos brzmiał czysto i wyraźnie.

*Zabij oboje.*

*Złóż w ofierze mężczyznę i kobietę.*

Zmarszczył brwi, niepewny, jak to rozumieć. Ma zabić kobietę, Eve, to rozumiał. Och, od dawna już czekał, by zrobić dokładnie to, co rozkazał mu Głos. Przypomniawszy ją sobie... Twarz w kształcie serca, wystający impertynencko podbródek. Złociste piegi na prostym nosie. Duże oczy, błękitne jak laguna w tropikach. Ogniste, rozwichrzone

włosy.

Taka piękna.

Taka silna.

I taka dziwka.

Wyobrażał sobie, co pozwala robić mężczyznom ze swoim gibkim ciałem... Och, widział ją nawet, podglądał przez szparę między zasłonami. Widział jej gładką, lśniąca skórę, kiedy się kąpała. Piersi miała małe, jędrne, o różowych sutkach, które skurczyły się lekko, kiedy weszła do wody.

Tak, podglądał ją, patrzył na jej długie nogi, kiedy wchodziła do wanny, na różowe zagłębienia i rude włosy u zbiegu ud.

Myśląc o niej, czuł dreszcz, tylko ona jedna tak go ekscytowała, czuł, jak krew zaczyna szybciej krążyć w jego ciele, wywołując rumieniec na twarzy i pełną oczekiwania erekcję.

Gdyby tylko mógł wsunąć palce między jej nogi, polizać te małe twarde piersi, wypieprzyć ją tak, jak miał na to ochotę... I tak była dziwka. Wyobrażał sobie, jak się na niej kładzie i wchodzi głęboko w jej gorące, lubieżne ciało, w którym tylu innych zostawiło już swoje nasienie.

Oddychał szybko i płytko. Wiedział, że takie myśli to grzech. A jednak zrobić to z nią choć jeden raz. Jeden raz, zanim ją zabije.

I miał okazję. Czy Głos nie kazał mu udowodnić, jaką była nierządnicą?

Ale mężczyzna?

Głos, jakby czytając w jego myślach, wyszeptał: *Ty jesteś Wskrziesicielem. Ciebie wybrałem, byś wskrzesił dusze słabych. Nie zawiedz mnie. Od ciebie zależy, kto będzie żył, a kto umrze. A teraz idź!*

Uświadomił sobie nagle, że ciągle klęczy, szybko więc przeżegnał się znowu, zawstydzony, że Głos może odczytać jego myśli i poznać jego pociąg do tej kobiety. Musi to w sobie zwalczyć. Musi.

A jednak kiedy wstał i rozprostował zesztyniałe mięśnie, wciąż czuł to dziwne podskórne mrowienie i żądzę wywołującą ból w kroczu.

Reviver. Wskrziesiciel. Głos nadał mu imię. Myślał o nim przez chwilę i stwierdził, że mu się podoba. Podobała mu się też myśl, że to on decyduje, to on ma dokonać wyboru, kto będzie żył, a kto umrze. To dobry znak, że Głos dał mu imię, prawda? To trochę tak, jakby został

namaszczone albo wyniesione do jakiejś godności. Wskrziesiciel. Tak!

Ubrał się w ciemności, włożył wojskowe spodnie, kurtkę, narciarską maskę i buty - uniform, który wisi na kołku przy drzwiach. Broń była już w furgonetce, schowana w skrytce pod skrzynką z narzędziami. Noże, rewolwery, paralizatory, materiały wybuchowe, nawet zatrute strzałki...

I coś specjalnego, tylko dla niej.

Wyszedł z ciemnego pokoju w głęboką, mglistą noc.

Był gotowy.

Eve spojrzała na zegarek. Dziesiąta czterdzieści pięć.

- Świetnie - mruknęła przez zaciśnięte zęby. Była spóźniona.

Mimo ciemności i gęstniejącej mgły wcisnęła pedał gazu. Stara toyota miała już blisko dwieście trzydzieści tysięcy kilometrów przebiegu, ale skoczyła do przodu, niezawodna jak zawsze.

I tak nie zdąży na czas. No to co! Kilka minut nie robi różnicy.

Weszła w zakręt trochę za szybko, wjechała na przeciwległy pas i omal nie uderzyła w jadącego nim pikapa. Kierowca zatrałił wściekle, a Eve gwałtownie skręciła kierownicą i zwolniła. Serce waliło jej jak młotem.

Rozluźniła palce na kierownicy i wzięła głęboki oddech. Roy może zaczekać, pomyślała, przypominając sobie, jak zadzwonił do niej, rozgrzany, niecałe pół godziny wcześniej.

- Eve, muszę się z tobą zobaczyć - powiedział szybko, pełnym napięcia głosem. - Przyjedź do chaty, wiesz, do której. Tam, gdzie jeździliśmy w czasie wakacji. Do mojego wuja. Pospiesz się. Spotkam się tam z tobą... o jedenastej.

- Jest już późno - zaprotestowała. - Nie zamierzam...

- Mam dowody.

- Dowody na co?

- Powiem ci, jak przyjedziesz. Przyjedź. Sama.

- Do diabła, Roy, przestań się zachowywać jak z powieści płaszca i szpady. Po prostu powiedz mi, o co chodzi!

Usłyszała jednak tylko kilka kliknięć i ciągły sygnał. Rozłączył się.

- Nie! Zaczekaj, Roy! Och, na litość boską-jęknęła, wciskając klawisz w swoim telefonie w nadziei, że znajdzie jego numer i będzie mogła oddzwonić. Ale na ekranie pojawił się napis :numer nieznany:. Zdenerwowana, zagryzła wargi, serce biło jej szybko. Jakie dowody

mógł mieć Roy? O czym on mówił? Próbowwała na to pytanie odpowiedzieć, ale żadna odpowiedź nie wydała jej się przekonująca. Szybko zaczęła się zbierać do wyjścia.

Może jednak nie powinna tam jechać. Cole nie chciał, żeby jechała. Niemal zabarykadował drzwi, czym doprowadził ją do szału. Ciągle jeszcze miała przed oczami jego ściągniętą, zatroskaną twarz, słyszała gniewne słowa. Chciał pojechać z nią, nie zgodziła się. Wybiegła w zimną, mglistą noc, zanim zdążył ją przekonać.

Musiała to zrobić sama.

Jechała więc w bezksiężycową noc w stronę mokradeł, gdzie Vernon, wuj Roya, miał starą rybacką chatę. Jeśli oczywiście się nie rozsypała. Ostatni raz, kiedy tam była, jakieś dziesięć lat temu, chata już się rozpadała. Eve nie potrafiła sobie wyobrazić, jak może wyglądać teraz.

Spojrzała na swoje odbicie w lusterku wstecznym. Była zdenerwowana. Co się, do diabła, dzieje? Nie rozmawiała z Royem od ponad roku. Dlaczego teraz nagle zadzwonił?

Oczywiście znowu ma kłopoty. Znasz Roya. Kliniczny przypadek paranoi. Facet cierpi na szczególną postać neurozy.

Więc dlaczego biegniesz, ilekroć zadzwoni, co?

Co tak cię do niego ciągnie?

Może ty sama cierpisz na jakąś neurozę, która każe ci bez końca wyciągać go z różnych tarapatów?

- Och, przestań - mruknęła przez zęby. Problem w tym, że robiła właśnie studia podyplomowe z psychologii i często nie umiała się oprzeć pokusie autoanalizy.

Stary numer.

Włączyła radio. Ostatnie akordy jakiejś ballady country przeszły gładko w muzykę towarzyszącą reklamie najnowszego preparatu odchudzającego. Kiepska pomoc. Zmieniając stacje i słuchając z roztargnieniem, wyteżała wzrok. Mgła podniosła się trochę. Chata Vernona powinna być gdzieś w pobliżu. Dostrzegła znak z wyblakłym napisem :Zakaz polowania:, przytwierdzony do pnia sosny i wielokrotnie przestrelony; litery były już prawie nieczytelne.

Na krętej drodze, która prowadziła na trzęsawiska, minął ją tylko jeden samochód. Zadrzała, choć noc nie była chłodna. W końcu światła jej samochodu padły na kikut spalonego drzewa, dalej widać już było wjazd na teren Vernona Kajaka. Zardzewiała brama ledwo trzymała się

na pojedynczym zawiasie, ale metalowy spowalniacz zagrzechotał pod kołami toyoty.

Podjazd był zarośnięty trawą, koleiny, wysypane kiedyś żwirem, pokrywały błoto i kamienie. Wybujałe chwasty uderzały w podwozie. Samochód podskakiwał na wybojach, musiała więc zwolnić; jechała między bielejącymi w ciemnościach pniami cyprysów.

Boże, jest naprawdę ciemno. Upiornie. Sceneria jak z horroru.

Eve zawsze miała mocne nerwy i nie należała do tchórzy, ale nie była też idiotką i czuła, że przyjazd w środku nocy na odludne mokradła nie był dobrym pomysłem. Kilka lat trenowała tae kwon do i miała w torebce spray z pieprzem, ale to chyba trochę za mało, by obronić ją przed tym, co mogło się tu czaić.

- Och, weź się w garść - powiedziała głośno.

Wyłączyła radio i wyjęła telefon komórkowy, okazało się jednak, że znalazła się poza zasięgiem.

- Oczywiście - mruknęła pod nosem. - A czego się spodziewałaś... Jechała powoli, szukając wzrokiem chaty.

Wszystko, co się dzisiaj stało, było dziwne, a co gorsza doprowadziło do kłótni z Cole'em.

Dlaczego? W porządku, była trochę rozdrażniona po wizycie u ojca, ale czy to wystarczający powód, by usprawiedliwić tę zimną furię, którą wyładowała na Cole'u? Na człowieku, którego zamierzała poślubić?

To z powodu telefonu od Roya znalazła się tutaj... W tej lepkiej, gęstej mgle. Wszystko, co wydarzyło się wcześniej tego dnia, wydawało się niepokojące i Eve nie mogła się pozbyć złych przeczuc.

Spojrzała znowu na zegarek. Za kilka minut to się skończy.

Chata była najwyżej czterysta metrów przed nią.

Wskrzesciciel czekał. Drząc.

Wyteżając słuch.

Napięty do granic wytrzymałości. Ale Głos milczał.

Nie pochwalił go za to, czego dokonał, i nie skarcił za to, że zadanie nie zostało do końca wykonane.

Serce biło mu szybko. Odwrócił rozpaloną twarz w stronę wody, skąd wiał chłodny wiatr, szeleszcząc wśród liści. Księżyc, niewidoczny niemal przez podnoszącą się mgłę, świecił bardzo słabo.

Wszystkie zmysły miał wyostrzone. Wyraźnie czuł metaliczny

zapach krwi, która ściekała z jego rękawiczek.

Przemów do mnie, błagał w milczeniu. Wykonałem rozkaz tak dobrze, jak potrafiłem. Jej tam nie było, nie było jej tam, gdzie powiedziałaś, że będzie. Nie mogłem jej zabić. Mam jej poszukać?

Mógłby ją śledzić, mógłby ją dopaść. Patrzeć na jej strach, a potem ją wziąć... Na myśl o tym jego oddech przyspieszył. Ale wokół panowała śmiertelna cisza. Milczały żaby i cykady.

Słysząc było tylko jego krótki, urywany oddech. Para z ust mieszała się z mgłą w stojącym nieruchomo powietrzu. Głos Boga umilkł chyba na dobre. Dlatego, że zbłądziłeś, pomyślał. Strasznie zbłądziłeś. A teraz zostaniesz za to ukarany.

Spróbował się skupić. Czyżby się pomylił? Czy Głos nie powiedział mu, że w chacie będą oboje? Dwoje ludzi, których ma złożyć w ofierze? Tak, był tego pewny. Mężczyzna i kobieta, Eve - oboje mieli być w chacie, a jednak zastał tam tylko jedno z nich.

- Wybacz mi - szepnął z rozpaczą.

Jaka tym razem będzie jego pokuta? Pomyślał o śladach po biczowaniu na swoich plecach, o oparzeniach na dłoniach, którymi ścisnął rozżarzone węgle. Wzdrygnął się na myśl o tym, co jeszcze go czeka.

A jednak...

Serce ciągle biło mu nieprzytomnie, krew wrzała, wzburzona dokonanym morderstwem. Och, jak niezwykle było to pierwsze pociągnięcie ostrzem... Przecięło miękką skórę szyi. I cienka, pulsująca strużka krwi... Zamknął oczy i znowu ogarnęło go uniesienie.

Nerwowo przygryzł wargi, zawiedziony.

Ciągle jednak czekał.

Głos nigdy dotąd się nie mylił.

A kim on jest, by powątpiewać w Głos Boga i jego rozkazy?

Czasami czuł się taki zagubiony. Głosy często krzyczały do niego - skrzypiący, irytujący syk, jęki i wrzaski nie pozwalały mu zebrać myśli, wywoływały ból głowy, kazały wątpić w to, czy jest zdrowy psychicznie. Ale tego wieczoru one także milczały.

- Pomóż mi - wyszeptał niemal bezgłośnie. - Przemów. Upewnij mnie, że robisz, co mi kazałeś.

Nie usłyszał jednak odpowiedzi, tylko nagły poryw wiatru poruszył

gałęziami cyprysów i dębów. Czekał.

Przeżegnał się szybko, z desperacją, i w tej samej chwili usłyszał daleki szum silnika. Tak!

Otworzył oczy.

Na resztkach żwiru zachrząściły koła samochodu.

Nie musiał go widzieć, był pewny, że to toyota. Samochód Eve. Serce znowu biło mu coraz szybciej, dostrzegł błysk świateł we mgle. Dłoń w rękawiczce zacisnął na rękojeści noża o ostrzu tak cienkim, że w ciemności było niemal niewidoczne.

Pochylił się i zaczął skradać między krzewami. Zatrzymał się przy garażu, za spróchniałym pniem drzewa, dość blisko, by dopaść ją, kiedy podejdzie do drzwi.

Światła samochodu omiotły poszarzałe ściany niewielkiej chaty, silnik zgasł. Potem otworzyły się drzwi, widział, jak odgarnęła rude loki. Jej twarz była napięta, oczy niespokojne. Spojrzała na furgonetkę Roya stojącą pod daszkiem, po czym, z małą latarką w dłoni, ruszyła szybko do drzwi chaty. Nacisnęła klamkę - zamknięte.

- Roy? - krzyknęła i zastukała energicznie. Poczul słaby zapach jej perfum. - Hej... co się dzieje? - Potem ciszej: - Jeśli to jakiś głupi żart, to przysięgam, zapłacisz mi za to...

Och, nie, to nie żart, pomyślał, napięty jak struna, która zaraz się zerwie. Była tak blisko. Mógłby dopaść jej jednym skokiem. Oświetliła latarką zniszczone deski ścian i okiennice.

- A może? - Sięgnęła za jedną z nich, wyjęła klucz i przez chwilę na niego patrzyła. - Nie mogę uwierzyć, że to robię - mruknęła, wkładając klucz w stary zamek.

Ustał ze zgrzytem.

Kiedy weszła do środka, ruszył za nią. Zaciskał palce na nożu. Rozpaczliwie pragnął go użyć, patrzeć, jak rozcina jej miękkie, białe ciało. Na wszelki wypadek zabrał też rewolwer, małego kalibru, ale równie śmiertelny.

W chacie zapaliło się światło.

Widział ją teraz przez zakurzoną szybę kuchennego okna, jej włosy i długą smukłą szyję. Serce zabiło mu mocniej, wciągnął powietrze głęboko w płuca, wyobrażając sobie, co się zaraz stanie.

Ona usłyszy jego kroki, odwróci się i krzyknie, kiedy go zobaczy. A



on chwyci ją szybko i przesunie ostrzem po jej pięknej szyi, poderżnie jej gardło. Tryśnie krew.

Odetchnął głęboko.

Jego penis stwardniał.

Niemal czuł już jej smak.

Eve.

Pierwsza grzesznica.

Nadszedł czas, by zapłaciła za swoje grzechy.

- Roy, jesteś tam? - zawołała.

Stała w mdłym, wodnistym świetle lampy. Sama nie wiedziała, czy się bać, czy wkurzyć. Weszła do kuchni, gdzie wszystko pokrywała gruba warstwa kurzu.

- Wiesz - powiedziała, czując, jak na czoło występują jej krople potu, kiedy zauważyła opróżnioną do połowy butelkę piwa na porysowanym stoliku - naprawdę mam już tego dość. Jeśli to jedna z tych twoich gier, to chyba cię zabiję.

Usłyszała ciche skrobanie i odwróciła się gwałtownie. Mały ciemny kształt przemknął po pożółkłym linoleum i skrył się za starą lodówką. Stłumiła krzyk, patrząc, jak cienki mysi ogon niknie w mroku.

- O Jezu.

W uszach jej pulsowało. Nie powinna tu przyjeżdżać, wiedziała o tym od samego początku. Kiedy Roy zadzwonił, powinna zażądać, by przyjechał do niej, albo umówić się z nim w jakimś publicznym miejscu. Ta stara chata zaczynała ją przerażać.

Gdzie on jest, do diabła?

- Roy? - Musi przecież gdzieś tu być. Widziała jego samochód. -Roy? To nie jest zabawne. Gdzie jesteś?

Drzwi do łazienki były otwarte, w środku jednak było ciemno. Spróbowała włączyć lampę, ale żarówka się przepaliła, a światło latarki ukazało tylko brudny, zniszczony sedes i umywalkę. Zdecydowanie coś tu było nie tak.

Weszła na trzy stopnie prowadzące do saloniku, w którym stała na stole zapalona lampa. Najwyraźniej Roy tu był.. Nie, niezupełnie, najwyraźniej ktoś tu był, choć pokój sprawiał wrażenie, jakby nikt nie mieszkał w nim od lat. Kurz i pajęczyny pokrywały wszystko, podłogę, wyłożone sosnową boazerią ściany, sufit. Nawet popiół i zwęglone

kawałki drewna w kominku wyglądały tak, jakby leżały tam od dawna, podobnie jak magazyn wędkarski o pożółkłych, zmiętych stronach. W tej starej chacie czas się zatrzymał.

Więc co ona tu robi, do cholery? Po co tu przyjechała? Żeby spotkać się z Royem? Dowiedzieć się, co miał na myśli, mówiąc o dowodach?

Jakie dowody mógł znaleźć?

To na pewno ma jakiś związek z tatą, pomyślała. O to mu chodziło. Wiesz o tym. Czujesz to. Roy wie, czy twój kochany tatuś jest niewinny, czy wręcz przeciwnie, winny jak wszyscy diabli...

Przełknęła ślinę i wyjęła komórkę z torebki. Tu też nie było zasięgu.

- Roy, daję ci jeszcze dwie minuty a potem spadam stąd - zawołała. I nic mnie nie obchodzą twoje dowody. Wyślij mi e-mail, dobra?

Zirytowana, ostatni raz rozejrzała się dookoła. Tuż za prowadzącymi na piętro schodami znajdowały się drzwi do jedynej na parterze sypialni. I były otwarte.

Eve zebrała się w sobie i ruszyła w ich stronę.

Cholera! Ona ma telefon komórkowy! Nie pomyślał o tym. Głos też go nie ostrzegł. Wskrzesciciel patrzył przez szybę, jak szła powoli przez dom. Wiedział, że zaraz zadzwoni na 911. Na pewno wystarczy, żeby wcisnęła jeden przycisk...

Musi ją powstrzymać. I to szybko!

Bezszelestnie schował nóż i wyjął rewolwer z kabury na kostce u nogi. Czas z tym skończyć.

Napięta do ostatnich granic, Eve pchnęła drzwi sypialni. Stare zawiasy skrzypnęły.

A potem dobiegł ją jęk, tak cichy, że niemal niesłyszalny.

Poczuła, jak podnoszą się włosy na jej karku. Drżącą ręką sięgnęła do włącznika. Nacisnęła go i pokój zalało światło ze starego żyrandola wiszącego u sufitu.

Krzyknęła.

Roy leżał na podłodze przy metalowej ramie łóżka. Twarz miał zalaną krwią, która ściekała z wielkiej rany na szyi.

Eve zachwiała się i zrobiła krok do przodu. Widziała tylko krew. Ciemną. Czarną. Lepką. Wszędzie.

Pierś Roya poruszyła się lekko, oddychał z trudem.

Dzięki Bogu, żyje!

- Trzymaj się! - krzyknęła, choć przerażenie ścisnęło ją za gardło.

Kto to zrobił? Och, słodki Jezu... - Próbowała zatamować krew jedną ręką, drugą wystukując numer, ale telefon wysunął się z jej drżących palców i upadł w kałużę krwi na podłodze. Przycisnęła ranę, podniosła zakrwawiony telefon i wystukała 911.

- Pomocy... - szeptała, ale na ekranie znowu pojawił się komunikat: :Brak zasięgu:.

Ogarnęła ją panika.

Uspokój się, Eve. Żeby pomóc Royowi, musisz mieć jasny umysł. Opanuj się. Myśl. Czy w chacie jest telefon? Czy była tu linia telefoniczna? Elektryczność działa, więc może Vernon ma tu telefon, z którego da się zadzwonić na policję i pogotowie?

Rozejrzała się po pokoju. Nie, nie było gniazdka, ale nad głową Roya, na poźółkłej ścianie dostrzegła wypisaną krwią liczbę: :212:

Cofnęła się, przerażona. Co to może znaczyć? Roy to napisał?

Czy ktoś inny? O Boże, czy ten, kto chciał zabić Roya, wciąż gdzieś tu jest? Może nawet w chacie? Pomyślała o sprayu z pieprzem, który trzymała w torebce.

Nie ma chwili do stracenia. Musi sprowadzić pomoc. Z rany na szyi Roya krew prawie przestała już płynąć. O Boże... Znów cichy jęk i koniec. Roy nie żył.

- Nie! Nie, nie, o Boże, nie... Roy! Roy! - Nie wyczuwała już pulsu pod palcami. - Nie możesz umrzeć, och, proszę... Skrzypnęła deska w podłodze. Eve zmartwiała. Zabójca nadal tu był! W domu albo na ganku.

Przerażona, jeszcze raz spróbowała wystukać numer. Szybciej, szybciej, błagała bezgłośnie, nasłuchując i rozglądając się nerwowo po pokoju. Gdyby tylko były jakieś tylne drzwi, jakaś droga ucieczki.

Znów skrzypięcie skórzanej podeszwy na drewnianych deskach.

Ze strachu zrobiło jej się słabo.

Sięgnęła do torebki i zakrwawionymi palcami zaczęła szukać w niej sprayu z pieprzem, cały czas wodząc oczami od drzwi do okna i z powrotem. W końcu zaryzykowała, spojrzała w dół, znalazła spray i wyjęła go szybko. W tej samej chwili znowu usłyszała kroki. Coraz głośniejsze. Zbliżały się do niej!

Ktoś się zbliżał!

Wiedział, gdzie ona jest.

Uciekaj, Eve! Uciekaj stąd natychmiast!

Zerwała się na równe nogi. Adrenalina dodała jej sił. Wyciągnęła rękę i wyłączyła światło. Otoczyła ją nieprzenikniona ciemność. Odwróciła się i pośliznęła na mokrej od krwi podłodze. Upadła, tłumiąc krzyk i zaciskając palce na sprayu. Nogą zahaczyła o ramę łóżka. Głową uderzyła o ścianę i jęknęła z bólu.

Znowu kroki!

Nie wolno ci stracić przytomności. Na litość boską, nie daj się! Rzuciła się w stronę okna. Jednym skokiem znalazła się przy nim. I wtedy go zobaczyła.

W szybie.

Trzymał coś. Celował w nią. Rozpoznała go natychmiast. Cole?

Człowiek, którego kocha? Cole Dennis chce ją zastrzelić? Nie!

Pach!

Huk był ogłuszający. Lufa błysnęła ogniem. Rozległ się brzęk tuczzonego szkła. Jej głowa eksplodowała bólem.

Kolana ugięły się pod nią, osunęła się na podłogę. Ciemny pokój zawirował wokół. Tracąc przytomność, zobaczyła jeszcze tylko gniewną twarz Cole'a Dennisa.

## Rozdział I

### Trzy miesiące później

To duży błąd, Eve. Duży błąd! Nie możesz jeszcze wyjechać, nie jesteś gotowa.

Anna Maria, w szlafroku, rozczłapanych pantoflach, bez makijażu, szła szybko za Eve podjazdem pod swoim domem.

- Daj mi spokój. - Eve nie miała ochoty na kolejną kłótnię z Anną. Nie teraz. Był wczesny ranek, słońce jeszcze nie wzeszło, a uliczne latarnie rzucały słabe światło na elegancką ulicę przedmieścia między Mariettą a Atlantą. Czas wracać do domu.

Anna, z papierosem w jednej ręce i kubkiem kawy w drugiej, zdołała jakoś dogonić swoją szwagierkę.

- Nie skończyłaś jeszcze rehabilitacji, prawie nic nie pamiętasz z tej nocy, kiedy cię napadnięto, a poza tym, pojawiły się plotki, w których pewnie jest sporo prawdy, że Cole Dennis zostanie wkrótce wypuszczony. Na litość boską, słyszysz, co mówię? Człowiek, który próbował cię zabić wychodzi na wolność!

Na wspomnienie Cole'a serce Eve drgnęło. Jak zawsze. Postanowiła nie zwracać na to uwagi. Jak zawsze.

- Rozmawialiśmy już o tym milion razy. Muszę wrócić do domu. Podeszła do swojej toyoty camry z plastikową klatką, w której siedział Samson, jej długowłosa kocur.

- Bez względu na to, co o tym sądzisz, jeszcze nie umierasz - zapewniła nieszczęśliwego zwierzaka, szukając kluczyków w torebce.

Klatka zakołysała się gwałtownie, a przerażony Samson głośno syknął. Postawiła pojemnik z kotem na ścieżce i zanurzyła drugą rękę w torebce.

- Eve...

- Nie zaczynaj. - Eve spojrzała na szwagierkę i pokręciła głową. Krótkie loki zakołysały się lekko, muskając jej szyję. - Wiesz, że muszę wracać. - Udało jej się w końcu wyjąć kluczyki, ale telefon komórkowy zahaczył się o kółko i upadł z trzaskiem na beton. - Świetnie! - Tylko tego teraz jej brakowało.

Anna, praktykująca katoliczka, a jednocześnie osoba przesądna jak mało kto, uzna to pewnie za kolejny powód, by starać się opóźnić jej wyjazd. Eve zawsze zdumiewały te wszystkie :znaki:, :kłątwy: i

omeny; , które Anna dostrzegała w codziennym życiu. Samson, czarny kot, był w domu Anny i Kyle'a ledwie tolerowany.

- Widzisz?! - zawołała Anna. - Bóg próbuje ci coś powiedzieć.

- Tak, że potrzebuję nowego telefonu - mruknęła Eve.

- To nie jest zabawne.

- Mylisz się. To jest bardzo zabawne.

Eve uśmiechnęła się do Anny z przymusem, a potem spojrzała w niebo. Zbierały się ciemne, nabrzmiące deszczem chmury. Lekki powiew wiatru zaszumił w gałęziach drzew, przyjemnie chłodząc jej spocone plecy i szyję. Podnosząc telefon, zauważyła, że ekran jest nadal podświetlony. Nacisnęła klawisz i usłyszała znajomy ciągły sygnał.

- Nadal działa. Chyba nie będę musiała zmieniać operatora. - Wcisnęła telefon głęboko do torebki, otworzyła drzwi i wsunęła klatkę z kotem na tylne siedzenie.

- Pamiętaj, że jestem temu przeciwna - oznajmiła Anna, krzyżując ręce pod swoimi dużymi piersiami.

- W porządku.

- Mogłabyś przynajmniej zaczekać, aż Kyle wróci do domu. Pojechał tylko po mleko i papierosy. Będzie tu za kilka minut.

Jeszcze jeden powód, żeby jak najszybciej wyjechać. Stosunki między Eve i jej najstarszym bratem nigdy nie układały się najlepiej. Nie poprawił ich fakt, że zatrzymała się w jego domu, żeby dojść do siebie po postrzale i amnezji wywołanej szokiem.

- Nie uda ci się mnie zatrzymać, więc nawet nie próbuj. Nita mówi, że mój stan jest normalny w osiemdziesięciu pięciu procentach, cokolwiek to znaczy.

- Nita to idiotka. - Anna Maria zaciągnęła się papierosem i wypuściła dym kątem ust.

- Jest wykwalifikowaną fizjoterapeutką.

- A co mówi twój psychiatra? Eve znieruchomiała.

- No, to cios poniżej pasa, Anno.

Przestała chodzić do psychiatry po trzeciej sesji. Nie :zaskoczyło:. Eve wiedziała o psychiatrii wystarczająco dużo, by zdawać sobie sprawę, z tego że przede wszystkim pacjent musi całkowicie ufać swojemu lekarzowi. A ona mu nie ufała. Doktor Calvin Byrd wydawał jej się zbyt ostrożny, zbyt spokojny, zbyt uważny. Drażniło ją, że kiedy z nią rozmawiał, odchyłał się na oparcie swojego fotela, z długopisem

w dłoni. Miała wrażenie, że ją osądza, zamiast starać się jej pomóc. Przestała więc do niego chodzić. Znała wystarczająco wielu psychiatrów, by umieć odróżnić dobrych od złych. Czyż jej ojciec nie był tego najlepszym dowodem? Nie mówiąc już o tym, że ona sama jeszcze przed trzema miesiącami pracowała nad doktoratem z psychologii. Najważniejsze: lekarz nie powinien denerwować pacjenta.

- On mógłby pomóc ci odzyskać pamięć - upierała się Anna.

- Mówiłam ci już, on mi się nie podoba. Koniec dyskusji.

- To znany lekarz. Jeden z najlepszych psychiatrów w Atlancie.

- Wiem. - Eve widziała dyplomy, wyróżnienia, nagrody i listy gratulacyjne, dumnie wystawione na pokaz w gabinecie doktora Byrda. - To kwestia intuicji.

Ruszyła z powrotem w stronę domu, po bagaż. Minęła furgonetkę brata, brudny samochód, który aż prosił się, żeby go umyć. Najwyraźniej na poranne zakupy pojechał swoim porsche.

- Słuchaj, Anno, nie chcę się dłużej o to sprzeczać. Możesz mi pomóc spakować rzeczy do samochodu albo stać tam i narzekać. Więc jak?

- Chyba zwariowałaś, Eve. Evc uśmiechnęła się łagodnie.

- Och, daj spokój. Nie jest tak źle.

- Nie jest źle? Na litość boską! Od kiedy to taka z ciebie Pollyanna? Zostałaś postrzelona. Postrzelona! Kula trafiła cię w ramię, a potem, rykoszetem, w głowę. Miałaś obrzęk mózgu. Obrzęk mózgu! Nie umarłaś ani nie doszło do paraliżu, czy Bóg wie czego jeszcze, ale proszę, nie mów mi, że nie jest źle. Ja wiem swoje. - Anna zaciągnęła się papierosem i spojrzała na Eve ponad jego żarzącym się koniuszkiem. - Niewiele brakowało, a zabiłby cię. I to ten sukinsyn, którego chciałaś poślubić. Nie wygłupiaj się, Eve. Z całą pewnością jest bardzo źle, a prawdopodobnie jeszcze gorzej. Problem w tym, że nic nie pamiętasz.

Eve w milczeniu podniosła swój marynarski worek i walizczkę z komputerem i zaczęła wkładać je do samochodu, w którym Samson miauczał tak przeraźliwie, że obudziłby umarłego. To prawda, miała duże luki w pamięci, ale nie była to całkowita amnezja. Pamiętała częściowo to, co wydarzyło się tamtej nocy. Odłamki wspomnień odcisnęły się w jej mózgu. Pamiętała, że się spóźniła. I że zobaczyła Roya na podłodze, leżał zakrwawiony, umierał. Pamiętała liczbę wypisaną krwią na ścianie. Pamiętała, jak sięgnęła po telefon, jak go

upuściła, jak drżały jej ręce, jak widziała na ekranie komunikat :Brak zasięgu:. Pamiętała wymierzony w nią rewolwer, który wypalił. Pamiętała też krew. Wszędzie. Na ścianach, na podłodze, na telefonie, który cały się od niej lepił. I krew wypływającą z szyi Roya i jego czoła...

Na sekundę zamknęła oczy i wzięła głęboki oddech. Poczucie winy, które teraz zawsze czaiło się gdzieś w zakamarkach umysłu, znowu wypłynęło na powierzchnię. Mroczne, nieubłagane. Zzerało ją nocami. Przenikało jej sny. Gdyby tylko przyjechała do chaty wcześniej, tak jak obiecała, gdyby się nie wahała, gdyby nie upuściła telefonu, zanim wystukała 911, jej przyjaciel może nadal by żył...

Otworzyła oczy i spojrzała w ponure, ołowiane niebo. Ciężkie chmury wydały jej się jeszcze bardziej złowrogie.

- Lekarze uważają, że pamięć mi wróci - powiedziała, wrzucając worek na tylne siedzenie. Komputer położyła obok kota. Samson patrzył na nią rozszerzonymi źrenicami przez kratki w pojemniku.

- Może lepiej, żeby nie wróciła.

Jezu, Anna była dziś naprawdę nakręcona. Próbowwała, jak nie z jednej strony, to z drugiej. Eve zostawiła torebkę na siedzeniu z przodu i odwróciła się do szwagierki, która stała zaledwie kilka centymetrów od niej.

- Czy to nie ty zawsze mówiłaś, że mózg zamyka się z powodu traumatycznych doznań, żeby się chronić? - Anna ogarnęła długie włosy z twarzy. Stała tak blisko, że Eve poczuła zapach papierosów i kawy w jej oddechu i lekką nutę jej perfum. - Może nie chcesz wiedzieć, co się stało.

- Chcę wiedzieć - odparła stanowczo Eve.

Po drugiej stronie ulicy otworzyły się drzwi domu. Łysiejący mężczyzna koło osiemdziesiątki w pasiastym szlafroku wyszedł na próg i spojrzał na obie kobiety znad okularów. Pomachał do nich, a potem schylił się, by podnieść gazetę.

- Dzień dobry, panie Waters - zawołała Anna.

Sąsiad rzucił okiem na pierwszą stronę gazety, po czym zniknął w drzwiach. Anna pochyliła się ku Eve i zniżyła głos.

- Proszę tylko, żebyś zaczekała. Tydzień, może dwa. Aż nabierzesz sił i okaże się, co knuje Cole. Zostań tu, dopóki się nie upewnisz, że jesteś bezpieczna.



- Jestem bezpieczna.

- On może zrobić ci krzywdę. Eve znowu ruszyła w stronę domu.

- Poza tym chyba kupię sobie psa... szczeniaka.

Anna Maria ostatni raz zaciągnęła się papierosem, rzuciła go na beton i przydeptała podeszwą różowego pantofla.

- Szczeniaka? No, to na pewno zapewni ci bezpieczeństwo!

- Myślę o naprawę bardzo, bardzo ostrym szczeniaku.

W zatroskanych oczach Anny nie było jednak cienia wesołości.

- Posłuchaj, Eve, możesz się śmiać i żartować, ile tylko chcesz, ale prawda jest taka, że ktoś chciał cię zabić.

- Znalazłam się w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie. Anna spojrzała na nią zirytowana.

- Uważasz, że to Cole. Miałaś zamiar zeznać w sądzie, że do ciebie strzelał. A teraz całe oskarżenie się rozpada i mają go wypuścić. Ale to nie znaczy, że on nie będzie cię nękał. Już to robił, prawda? Kiedy wyszedł za kaucją. Dzwonił do ciebie. Chciał się z tobą spotkać, a ty, naiwna idealistka, omal się na to nie zgodziłaś. Co ty sobie właściwie wyobrażałaś?

Eve ścisnęło w żołądku. Już od wielu dni bolała ją głowa, a teraz coraz bardziej. Nie chciała o tym wszystkim myśleć.

- Cole myślał, że miałaś romans. Prawdopodobnie z Royem.

Eve drgnęła niespokojnie. To prawda, nie wszystko pamiętała. W głowie jej huczało.

- Do diabła z tym! - Wyjęła torebkę z samochodu, pogrzebała w zapinanej na suwak wewnętrznej kieszonce i znalazła prawie pustą fiolkę ibuprofenu. Wrzuciła do ust dwie tabletki. - Mówiłam już, nie chcę teraz do tego wracać. Mam dość kłótni. - Wyjęła kubek z rąk Anny i popiła tabletki letnią mleczną kawą. - Boże, ohyda.

Anna zabrała jej kubek.

Eve czuła, że zaraz znów dostanie ataku paniki; zaczynał się, jak zwykle, od nerwowego tiku pod okiem. Serce biło jej bardzo szybko, miała wrażenie, że jej płuca ściska stalowa obręcz.

Nie teraz. Nie tutaj. Byłaby to tylko woda na młyn Anny. Jeden... Oddychaj! Dwa... Myśl o czymś przyjemnym... Trzy... Uspokój serce... Cztery...

Kiedy doliczyła do dziesięciu, oddech się wyrównał, ale Anna przyglądała się jej podejrzliwie.

- No, muszę jechać.

Eve chwyciła swoją kosmetyczkę. Nie, żeby kosmetyki mogły jej teraz pomóc. Twarz ciągle miała opuchniętą, rana po operacji plastycznej wokół prawego oka jeszcze się nie zagoiła. Położyła kosmetyczkę obok klatki z kotem i sięgnęła po dużą walizkę na kółkach.

Dobrze, jak chcesz. Hej! Nie! Zaczekaj! Na litość boską, nie dźwigu takich ciężarów. Sekundę, dobrze? - Anna odstawiła kubek i chwyciła walizkę. - Chryste, waży chyba tonę. Co ty tu masz, ciężarki?

Eve uśmiechnęła się słabo.

- Przynajmniej nie powiedziałaś, że pewnie trupa.

- Ale o tym pomyślałam.

- Wiem.

Z wnętrza samochodu dobiegło żałosne miauczenie kota, który uważał, że jego pani skazała go na tortury.

- Czy to cię nie doprowadzi do szału? - spytała Anna.

- Pewnie doprowadzi. - Eve podniosła klapę bagażnika. - Ale jakoś przeżyję.

- Jesteś niemożliwa, wiesz? Uparta jak bracia. - Anna wrzuciła walizkę do samochodu. - Nie opowiadaj mi tych historii o innym kodzie genetycznym. To bez znaczenia. Wychowaliście się w tym samym domu i dlatego tak trudno dojść z tobą do ładu.

Eve nie chciała się sprzeczać. Nie miało to większego sensu, zwłaszcza że Anna Maria już się nakręciła. W takich chwilach logiczne argumenty do niej nie trafiały. Starsi bracia Eve, z pierwszego małżeństwa ich matki, mieli dwanaście i dziesięć lat, kiedy Eve, jako niemowlę, została adoptowana przez Melody i Terrence'a Rennerów, ale fakt ten zdawał się do Anny nie docierać. Eve podejrzewała, że po wyjściu ze szpitala trafiła do domu Kyle'a i jego żony tylko dlatego, że nalegała na to Anna. Nie sprawiła tego braterska miłość czy szlachetność Kyle'a, który do niczego się nie poczuwał.

Anna podniosła kubek, pociągnęła łyk kawy, przełknęła i skrzywiła się lekko.

- Masz rację. Ohyda. - Wylała resztę pod drzewko magnolii.

- Mówiłam ci.

- Cóż, jeśli masz jechać, to jedź. - Anna spojrzała w ołowiane niebo. - Aha, i jeszcze jedno.

- Tak.

- Unikaj Cole'a. To nic dobrego.

- Wiem.

- Nie to chciałam usłyszeć. - Anna objęła Eve i długo trzymała ją w ramionach, jakby nie miała ochoty się z nią rozstać. Eve nie była pewna, czy to dlatego, że się o nią martwiła, czy dlatego, że nie cieszyła jej myśl, że znowu zostanie sama ze swoim mężem. Eve doskonale wiedziała, jakim złośliwym, humorzastym tyranem potrafił być jej najstarszy brat. Fakt, że Anna nigdy nie naginała się do jego woli i nie pozwoliła mu się złamać, świadczył o jej dużej sile charakteru.

- Uważaj na siebie, Anno - szepnęła, wzruszona. - I dziękuję za wszystko. Jestem twoją dłużniczką.

- Spróbuję. Tu też uważaj na siebie.

Zanim obie się rozkleiły, Eve wysunęła się z ramion Anny, wsiadła do samochodu i przekreśliła kluczyk w stacyjce, usiłując nie zwracać uwagi na zawodzenie kota.

- Na razie, pa!

Anna sięgała już do kieszeni po paczkę papierosów. Wytrząsnęła ostatniego i zmięła kartonik.

Eve ruszyła. Na przednią szybę spadły pierwsze krople deszczu. Tylko tego teraz brakowało. Miała przed sobą długą drogę - ponad sześćset czterdzieści kilometrów do Nowego Orleanu.

A kiedy już tam dotrzesz, co dalej?

Bóg jeden wie.

Włączyła wycieraczki i nacisnęła pedał gazu. Nastawiła radio, by zagłuszyć trochę jęki Samsona. Znalazła stację nadającą muzykę country i przez chwilę zastanawiała się, czy gorsze jest zawodzenie gitary, czy kota.

Jakie będzie teraz jej życie?

- Wydostań mnie stąd, do cholery!

Cole Dennis krążył niespokojnie po małej celi. Był spięty. Zdenerwowany. Ten mały pokój o porysowanych ścianach, z kratami w oknie wydierał zapach brudu, stęchlizny i złamanych życiorysów. A także, co gorsza, śmierdziało w nim uryną i amoniakiem, jakby ktoś, kto siedział tu wcześniej, nie wytrzymał napięcia i stracił panowanie nad pęcherzem. A może sikał celowo, żeby oznakować swoje terytorium albo wkurzyć gliniarzy.

Adwokat Cole'a, Sam Deeds, siedział przy prostym stole przytwierdzonym do podłogi. Prezentował się wspaniale w garniturze od Armaniego, jedwabnym krawacie i fryzurze, której wykonanie kosztowało zapewne tyle, ile wynosi pensja niejednego obywatela tego kraju. Wyglądał jak typowy prawnik. Gładko ogolony, poważny, pełen godności. Jego ciemne oczy zauważały wszystko.

Ileż to razy Cole siedział na tym samym krześle, równie elegancko ubrany, i powtarzał klientowi, żeby się nie pocił, nie zauważając woni rozpaczki, która wnikała głęboko w te ściany?

- Czekamy już tylko, aż skończą z papierami. Znasz procedurę - odparł Deeds.

- Jasne. Specjalnie wszystko przedłużają. I dlaczego mnie tu zamknęli? Przecież wychodzę. A to jest sala przesłuchań, na litość boską. Uznali, że to specyficzna sprawa. I głośna.

- I co, robią to, żeby mnie chronić? Żeby mnie ukryć przed prasą? - Cole prychnął z pogardą. - Gówna prawda!

- Uspokój się. - Deeds spojrzał w stronę lustra na jednej ze ścian, jakby chciał mu przypomnieć, że to lustro weneckie.

Cole zamknął się od razu. Wiedział, kto stoi za lustrem i patrzy, w nadziei, że uda im się przygwoździć go za morderstwo Roya Kajaka. Jezu, co za burdel. Przeczesał włosy palcami i poczuł krople potu na głowie. Jezu, widział, że tak właśnie pocili się ci biedni sukinsyni, których reprezentował.

Spojrzał twardo w lustro, zastanawiając się, czy to ten bezużyteczny bałwan Montoya za nim stoi, czy może Bentz, jego starszy, grubszy partner. A może Brinkman... Chryste, to był dopiero ciężki przypadek. Cole'owi nie mieściło się w głowie, że temu typowi udało się tak długo utrzymać w tej pracy. No i Melinda Jaskiel, prokurator okręgowy. Cole nie potrafiłby zliczyć, ile razy siedział po drugiej stronie sali sądowej i patrzył na Jaskiel albo kogoś z jej asystentów. W sądzie był zawsze po drugiej stronie barykady. Teraz zaskoczyło go, że Jaskiel sama nie zajęła się jego sprawą, tylko zleciła ją komuś ze swojego biura.

Nic dziwnego, że robili wszystko, żeby go przyszpilić.

Co takiego powiedział Bentz, kiedy go zgarnęli? Kto mieczem wojuje, od miecza ginie. Tak, tak powiedział. Cóż, policja może to odnieść również do siebie. Zmrużył oczy i miał nadzieję, że ten nadęty dupek Bentz patrzy na niego i ze zdenerwowania obgryza paznokcie.

Myślał, że już go ma. Drań. I ten Montoya, bezczelny, arogancki dureń.

Policja miała za mało materiału, żeby go zamknąć. Od początku sprawa była niepewna, a rozleciała się całkowicie, bo Deeds znalazł jakiś problem dotyczący łańcucha dowodowego - ktoś z departamentu nawalił, pozostawiając dowód przeciw Dennisowi niezabezpieczony, przez co najprawdopodobniej doszło do jego zanieczyszczenia. No i była jeszcze Eve. Piękna, niebezpieczna, zdradziecka Eve. Gotowa zeznawać przeciw niemu; twierdziła, że do niej strzelał! Ale przecież, przypomniał sobie, usiłując stłumić złość, zawodziła ją pamięć.

Deeds miał zamiar zaatakować ją bez pardonu, pokazać jako głupią, zakłamaną kobietę bez skrupułów i moralności, która w dodatku :wygodnie: straciła pamięć. Cole wzdragał się na myśl o tym, powtarzał sobie jednak, że to ona go zdradziła.

Na szczęście nie doszło do procesu, ale Cole został aresztowany, choć zarzuty były wyssane z palca.

Durnie!

Podszedł do lustra i spojrzał w szybę, ale zobaczył w niej tylko swoje odbicie: niebieskie oczy, gniewnie zmarszczone gęste, ciemne brwi, wyraźnie zarysowane kości policzkowe i wąskie usta, zaciśnięte tak mocno, że wokół warg ukazała się biała otoczka. Zmarszczki w kącikach oczu chyba się pogłębiły, a siwych włosów na skroniach przybyło przez te trzy miesiące. Postarzał się w tej celi. Ubranie także nie przedstawiało się najlepiej: sprane dzinsy i podkoszulek były wymięte i ciągle wydzielaly zapach potu z tamtej nocy, kiedy zabrała go policja. Wtedy był boso, na szczęście później Deeds przywiózł mu parę starych adidasów. Numer za małe, cisnęły go niemiłosiernie.

Patrząc w lustro, zobaczył, że mięsień po jednej stronie twarzy nerwowo drga. Deeds także to zauważył.

- Usiądź, Cole.

- Nie mogę.

- Siadaj. - Głos Deedsa brzmiał spokojnie. Zdecydowanie. Nagłaco.

Cole zwracał się do swoich klientów takim samym tonem. To znaczy wtedy, kiedy jeszcze miał klientów, swoją kancelarię, członkostwo w klubie, jaguara i całe to cholerne życie. Cóż, sprawy potoczyły się w niewłaściwym kierunku. Teraz wiedział już, jak to jest być więźniem, słuchać czyichś rozkazów, czuć zimny dotyk stali na kostkach i nadgarstkach.

Odwrócił się i potarł rękę w miejscu, gdzie kajdanki wrzynały się w ciało. Ciągłe jeszcze widział tam ślad blizny, pamiątkę po dniu, kiedy w jego domu pojawili się policjanci, odczytali mu jego prawa i zgarnęli go do więzienia. Właśnie wyszedł spod prysznic, miał na sobie tylko stare dżinsy i wkładał koszulę, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Otworzył i zobaczył migające błękitne i czerwone światła. Sąsiedzi i prasa przyglądali się widowisku. Błyskały flesze, jego bosa stopy zapadały się w miękką glinę ogródka. Natychmiast zażądał prawnika, mimo to wepchnęli go do samochodu i zawieźli do aresztu, gdzie został spisany, u potem trzy godziny czekał na Deedsa. Nie odezwał się ani słowem, ale z pytań, jakie mu zadawano, wywnioskował, że został zatrzymany w związku ze śledztwem w sprawie zamordowania Roya Kajaka i postrzelenia Eve Renner.

Na myśl o tym zacisnął zęby.

Eve. Jezu, jak on ją kochał.

Namiętnie.

Dziko.

Nie zważając na konsekwencje.

Na tym właśnie polegał problem: kochał ją za bardzo. Chorobliwie.

A ona to wykorzystała przeciw niemu. Stracił nie tylko ją, stracił wszystko. Dziś będzie musiał zacząć od początku. Cóż, nie po raz pierwszy.

Zacisnął pięści, powoli rozprostował palce i znowu je zacisnął.

Deeds spojrział na niego ostrzegawczo i Cole postanowił, że nie straci panowania nad sobą. Mógł rzucić się na to cholerne lustro weneckie, krzyknąć, że jest niewinny, i grozić procesami za bezprawne aresztowanie.

Ale to tylko pogorszyłoby jego sytuację.

Już trochę się do tego przyczynił, w końcu spieprzył tę sprawę z kaucją. Do diabła, nie popisał się. Został wrobiony, nie miał co do tego wątpliwości. Udowodni to, jak tylko wyjdzie na wolność. Ale nie będzie to łatwe. Ci dumie z policji postanowili go przyskrzynić, udowodnić, że był tam tej nocy, kiedy zamordowano Roya Kajaka, znaleźć jakiś sposób, by wykazać, że to on pociągnął za cyngiel rewolweru i omal nie zabił Eve Renner.

Nie mógłby zaryzykować kolejnego błędu. Nawet gdyby był całkowicie niewinny. A oczywiście nie był.

## Rozdział 2

Jest winny — Montoya spojrział w szybę, za którą w małym pokoiku czekali Cole i jego adwokat. Wskazał Cole'a palcem. - Winny jak wszyscy diabli.

Bentz mruknął coś niezrozumiale i kiwnął głową. Stali w mrocznej sali, w której unosił się lekki zapach papierosowego dymu.

Montoya oddałby teraz wiele za papierosa, ale rzucił palenie i od kilku miesięcy paczkę ukochanych marlboro zastępowała mu pozbawiona smaku guma do żucia. Miała dostarczać jego organizmowi nikotyny, ale w rzeczywistości była tylko bezużytecznym substytutem. Właśnie w chwilach takich jak ta, kiedy chciał się skoncentrować, najbardziej brakowało mu papierosów. Przesunął palcami po brodzie. Miał wielką ochotę wtargnąć do pokoju za szybą, rzucić Cole'em Dennisem o ścianę i wydusić z niego przyznanie się do winy.

- Nie możemy trzymać go dłużej. Prokurator odstępuje od sprawy o zabójstwo. - Bentz także był rozczarowany. I zły. Zaciskał zęby, kąciki ust mu opadły.

- Cholera. - Montoya tak bardzo chciał dorwać Cole'a Dennisa, że niemal czuł w ustach smak tego pragnienia.

Szarpnął lekko za kolczyk z diamentem, który nosił w jednym uchu. Miał wprawdzie pewną satysfakcję, bo Dennis został zakuty w kajdanki, a następnie spędził prawie dziewięćdziesiąt dni w zamknięciu, gdzie musiał nosić więzienne ubranie ze sztywnej bawełny, ale to mu nie wystarczało. Drań niemal przez całe swoje dorosłe życie nosił garnitury z metkami znanych projektantów, grał w golfa i pomagał szumowinom unikać konsekwencji różnych przestępstw, od oszustw podatkowych po napady. Już najwyższy czas, żeby za to zapłacił.

Ale ta cholerna sprawa nie trafiła do sądu. Mimo że Dennis wyszedł za kaucją, a następnie został aresztowany ponownie, ponieważ nie spełniał warunków, na jakich go wypuszczono. Montoya pokręcił głową. Facet stracił milion dolarów, ale był wolny. Montoya podrapał się po brodzie, zauważył, że Bentz mu się przygląda, i zmarszczył brwi.

- Co?

- Odpuść sobie.

- Nie mogę, do diabła. Dennis był tamtej nocy w chacie Roya Kajaka.

Przed drzwiami był odcisk stopy, rozmiar dwanaście i pół. Rozmiar Dennisa.

- Więc gdzie jest ten but?

- Pozbył się butów, tak jak i ubrania. Musiało być strasznie zakrwawione, biorąc pod uwagę, że Kajak miał poderżnięte gardło. W końcu kiedy po niego przyjechaliśmy, akurat brał prysznic.

- I przewróciliśmy cały jego dom do góry nogami, ale niczego nie udało nam się znaleźć. Ani butów, ani ubrania, ani krwi.

Montoya wzruszył ramionami. Rzeczywiście nie znaleziono krwi, nawet w rurach. Były jednak ślady środka czyszczącego... Drań wiedział, jak zatrzeć za sobą ślady. I to szybko.

Bentz, jak zwykle adwokat diabła, powiedział:

- Może Cole nie zabił Roya. Tylko strzelał do Eve Renner.

- Więc kto poderżnął Kajakowi gardło? - spytał Montoya po raz setny.

Codziennie tak właśnie rozmawiali i nigdy nie dochodzili do żadnych wniosków. Od czasu do czasu wpadali na jakiś nowy pomysł, ale zawsze okazywało się, że to kolejna ślepa uliczka. I co, do cholery, miała znaczyć ta liczba? 212. Wypisana krwią, wskazującym palcem prawej ręki ofiary.

I ten tatuaż na czole. Te same cyfry. Zobaczyli go po oczyszczeniu ciała - przerażające. Czy to jakiś szyfr? Numer skrytki? Kod pocztowy? Hasło dostępu do komputera? Data urodzin? Policja dotąd nie wiedziała.

Tak samo było z Faith Chastain, zamordowaną w Szpitalu Psychiatrycznym Naszej Pani od Cnót wiele lat temu. Pod jej włosami także odkryto tatuaż... Zbieg okoliczności? Do diabła! Naprawdę przydałby mu się teraz papieros. I może szklaneczka czegoś mocniejszego.

Kto zadałby sobie trud, żeby wykonać tatuaż na ciele ofiary? Sama myśl o nakłuwaniu trupa była niepokojąca. Wzdrygnął się lekko.

Spojrzał na Bentza. Starszy policjant wpatrywał się w szybę ze zmarszczonymi brwiami i zamyślony żuł gumę. Wydawał się spokojniejszy od partnera, ale także był zirytowany. I to bardzo.

Cóż, na razie muszą sukinsyna wypuścić.

Montoya widział przez szybę, jak jeden z policjantów wchodzi do pokoju i podaje Dennisowi papiery. Cholera.



Ścisnęło go w dołku. Coś tu było nie w porządku. Bardzo nie w porządku.

Kilka pociągnąć piórem po papierze - i po sprawie.

Cole Dennis znowu był wolnym człowiekiem w zmiętym podkoszulku i spłowiałych dzinsach. Miał milion dolarów mniej, jego kariera prawnicza wisiała na włosku, ale nie można go było dłużej trzymać pod kluczem.

Cholera!

Nie odrywając wzroku od szyby, Montoya zdjął swoją skórzaną kurtkę z oparcia krzesła, na którym ani na chwilę nie usiadł.

Wychodząc, Dennis spojrział jeszcze przez ramię w lustro weneckie, ale się nie uśmiechnął. Przeciwnie, zmrużył oczy i zacisnął wargi. Był naprawdę niezłe wkurzony.

Dobrze.

Montoya miał tylko nadzieję, że drań jest wystarczająco wkurzony, by popełnić kolejny błąd. Postanowił, że kiedy to się już stanie, wsadzi Cole'a Dennisa do pudła na resztę jego żalosego życia.

Eve zacisnęła palce na kierownicy i poruszyła zeszytniałym karkiem, starając się nie zważać na ból głowy, który przybierał na sile, w miarę jak zbliżała się do Nowego Orleanu. Deszcz przestawał padać kilka razy i znowu zaczynał, czasem siąpiła drobna mżawka, a czasem lało jak z cebra. Kiedy minęła Montgomery, ustał na dobre, a przez ciemne, poszarpane chmury przedarły się promienie słońca, zalewając wzgórza, wieżowce i rzekę złocistym blaskiem.

Samson wreszcie przestał miauczeć i jeśli nawet nie usnął, siedział cicho.

Niestety, ładna pogoda i milczenie kota nie trwały długo. Kilka kilometrów za Mobile znowu zaczęło padać. Wycieraczki ledwo nadały usuwać wodę z przedniej szyby, Eve burczało w brzuchu, a Samson znów żałośnie zawodził.

Eve, napięta jak struna, zauważyła informację o restauracji przy kolejnym zjeździe i postanowiła, że zje tam jakąś kanapkę i przeczeka ulewę. Z powodu deszczu i tak musiała jechać znacznie wolniej. Na parkingu stało zaledwie kilka samochodów. Wzięła parasol, który zawsze wozila w aucie, i ruszyła przez kałuże w stronę wejścia. Poczula zapach dymu papierosowego. Kilku nastolatków - pewnie pracowali w barze - zapaliło właśnie papierosy i wydmuchywało dym, stojąc pod

małym daszkiem nad tylnymi drzwiami. Palił też mężczyzna siedzący w ciemnym pikapie. Koniuszek jego papierosa żarzył się czerwono w mrocznym wnętrzu samochodu.

Eve pchnęła ramieniem oszklone drzwi i weszła do restauracji, która miała kształt podkowy. Na łukowato wygiętym barze, zapewne z lat sześćdziesiątych, stała kasa, maszyna do robienia koktajli mlecznych, oszklona podgrzewana gablota, w której obracały się zapiekanki, i saturator. Szumiała klimatyzacja, skwierczał olej na patelniach, a z głośników płynęła piosenka Johnny'ego Casha. Całe wnętrze było przesiąknięte zapachem smażonej cebuli i mięsa. Eve usiadła na obitej imitacją skóry kanapie przy oknie.

Kelnerka z wielką tacą minęła ją, mrużąc: „Sekundkę”, i podeszła do stolika obok. Eve przez chwilę obracała w palcach osłonięte folią menu. Po chwili kelnerka, szczupła dziewczyna z włosami zebranymi z tyłu głowy klamrą w kształcie banana, wróciła i odebrała zamówienie.

- Co podać, kotku? - spytała, nie zwracając sobie głowy bloczkiem i ołówkiem. - Kawę? Herbatę? Wodę mineralną? Dzisiaj daniem dnia jest sztuka mięsa z grilla, palce lizać. Serio.

- Poproszę mrożoną herbatę i zapiekankę z krewetek.

- Już się robi.

Kelnerka oddaliła się prędko i zaraz wróciła z mrożoną herbatą. Eve wytrząsnęła z fiolki dwie ostatnie tabletki ibuprofenu i popiła je dużym haustem herbaty. Oby zadziałały szybko. Przyszło jej nagle do głowy, że może Anna Maria miała rację, twierdząc, że jeszcze za wcześnie na taką podróż.

Nie myśl o tym. Wszystko będzie dobrze, jak tylko dotrzesz do domu.

Zamknęła oczy. Dom. Miała wrażenie, że całe wieki minęły od czasu, kiedy ostatni raz wchodziła na znajome schody wiodące do starego wiktoriańskiego budynku w Garden District. Przywołała w pamięci jego stromy dach, okiennice i lśniące szyby, delikatną ornamentykę wykończenia i oczywiście pokój w wieżycze... O Boże, pokój, który tak kochała. Babcia nazwała go małym rajem Eve. Z tej wieżyczki patrzyła na dachy domów i wierzchołki drzew i wydawało jej się, że może stamtąd zobaczyć cały świat.

Brzdęk! Taca ze szklankami runęła na podłogę, szkło rozbiło się z hukiem na tysiąc kawałków.

- Och, nie!

Eve omal nie zerwała się na równe nogi. Serce waliło jej jak młotem, przed oczami znowu stanęła ta straszna chwila. Zamrugła gwałtownie. Znow była w starej chacie, słyszała brzęk tłuczonego szkła, widziała błysk lufy rewolweru i gniewną twarz Cole'a. Spojrzała w dół i zobaczyła, że obie dłonie ma zaciśnięte w pięści. Oddychała szybko i płytko. Powoli rozprostowała palce i policzyła do dziesięciu. To tylko taca ze szklankami. Kątem oka dostrzegła młodego chłopaka z obsługi, siedł w stronę rozbitego szkła z miotłą i szufelką. Kelnerka, która nie mogła mieć więcej niż szesnaście lat, z rumieńcem zakłopotania na twarzy przeproszała za zamieszanie.

Niedługo będziesz się bała własnego cienia, skarciła się Eve, odwracając się do okna. Nadciągała burza. Deszcz zaczął, rozmywając widok na parking i przejeżdżające dalej samochody. Zadzwoiła komórka. Eve drgnęła i uderzyła kolanem w stół.

- Cholera.

Doktor Byrd miał rację. Jesteś stuknięta.

Odebrała po drugim sygnale, wychodząc do holu, gdzie miała nadzieję na nieco więcej prywatności. Na ekranie ukazał się numer Anny Marii, a zaraz potem jej zdjęcie.

- Cześć - powiedziała Eve. Jej serce biło już wolniej.

- Gdzie jesteś? - spytała Anna.

- Niedaleko Mobile.

- Więc jeszcze nie słyszałaś?

- Chyba nie. A co się stało?

-- Cole dzisiaj wychodzi. Tak, jak ci mówiłam. Wycofano wszystkie zarzuty.

Eve poczuła nagle znajomy ucisk w żołądku.

- Cóż, wiedziałyśmy przecież, że tak będzie.

- Ale akurat tego dnia, kiedy ty wracasz do Nowego Orleanu? Niesamowite! To zły znak, Eve, mówię ci. Wiem, że ty w to nie wierzysz, ale mówię ci, są rzeczy, których po prostu nie rozumiemy. Chyba że wiedziałaś o tym i dlatego tak ci się śpieszyło do domu.

Eve usłyszała w głosie Anny oskarżycielską nutę.

- Nie miałam o tym pojęcia - powiedziała, co było najszczerzą prawdą.

- Więc to naprawdę niezwykle zbieg okoliczności. Lepsze to niż znak

od Boga.

- Mówią o tym we wszystkich wiadomościach — ciągnęła Anna - ale pomyślałam, że pewnie nie włączyłaś radia i o niczym nie wiesz, a jak powiadają, strzeżonego Pan Bóg strzeże.

- W takim razie dziękuję za ostrzeżenie.

- Ten człowiek jest niebezpieczny, Eve. Obie o tym wiemy. Jeśli nawet nie zrobi ci krzywdy fizycznej, może cię zranić emocjonalnie.

Skończyłam już z nim, Anno. Myślałam, że to jasne.

- Akurat.

- Mówię poważnie. Kiedy ktoś mierzy do ciebie z rewolweru, traci twój sentyment.

- To dobrze odparła Anna, choć nie wydawała się przekonana. -Tak trzymaj. I uważaj na siebie. I pamiętaj, że zawsze możesz przyjechać tutaj.

- Dzięki, będę o tym pamiętać.

Kłamała, oczywiście. Musi wracać do domu, koniec, kropka. Rozłączyła się i postanowiła, że myśl o ewentualnym spotkaniu z Cole'em nie spędzi jej snu z powiek. Jednak kiedy znów weszła do restauracji, stanęła tyłem do swojego stolika i spojrzała w mroczny kąt za automatem z papierosami. Siedziało tam przy barze kilku mężczyzn; popijali piwo. Jakiś dwudziestoparolatek z tatuażami na rękach szlifował swoje umiejętności, samotnie grając w bilard. Telewizory nad barem były nastawione na program sportowy. Na żadnym ekranie nie zobaczyła Cole'a Dennisa opuszczającego więzienie w towarzystwie prawnika, z nieśmiertelnym :Bez komentarzy: na ustach.

Daj spokój, pomyślała i wróciła do swojego stolika. Czekają już na nią parująca zapiekanka z krewetek, kromka kukurydzianego pieczywa i miseczka z sałatką coleslaw. Na pieczywie topniał powoli kawałek masła, a kapusta niemal tonęła w gęstym sosie. Po rozmowie z Anną Eve straciła apetyt, usiadła jednak i wbiła zęby w zapiekankę. Muszę się dobrze odżywiać, przypomniała sobie, ale przeżuwała jedzenie mechanicznie, nie czując smaku.

Co powie, jeśli spotka gdzieś Cole'a? Co on powie? Czy będzie jej unikał? Czy też spróbuje ją odszukać? Przelknęła kolejny pozbawiony smaku kawałek zapiekanki, starając się nie myśleć o jego błękitnych oczach, ciemnych gęstych włosach i mocno zarysowanej szczęce. Niestety, nagle stanął jej przed oczami taki, jaki był w dniu, kiedy się

poznali. Na szerokiej werandzie domu jej ojca. Cole siedział na stołku, pochylony do przodu, opierając opalone dłonie na udach. Jego ciemne włosy, potargane i przydługie, wyglądały tak, jakby od dawna nie widziały fryzjera, a brodę ocieniał kilkudniowy zarost.

Wzięła go za robotnika. Zaparkowała swojego starego volkswagena i wyciągnęła z niego walizkę. Kurz wzniecony przez samochód opadał powoli w rozgrzanym powietrzu. Był upalny letni dzień. Wysiadła z samochodu spocona - klimatyzacja nie działała już do dawna - koszulka kleiła jej się do pleców, spodnie wydawały się wilgotne. Poszła ścieżką w stronę domu. Cole wstał i wyprostował się - miał prawie metr dziewięćdziesiąt. Terier ojca zerwał się i zbiegł szybko po schodkach, by ją powitać.

- Proszę pozwolić mi pomóc - zaproponował Cole. Mówił z lekkim teksańskim akcentem. Niemal spodziewała się, że doda :panienko:.

- Nie trzeba, poradzę sobie. Cześć, Rufus. - Schyliła się, by pogłaskać podskakującego psa.

Ojciec był blady, wyglądał tak, jakby w ciągu kilku ostatnich miesięcy przybyło mu dwadzieścia lat. Wstał sztywno; chrupnęło mu głośno w obu kolanach.

- Witaj, kochanie - powiedział, kiedy zaczęła wchodzić na schodki z Rufusem nieodstępującym jej ani na krok, a potem objął ją i mocno uściskał, choć ciągle jeszcze miała na ramieniu swój marynarski worek. Pocałował ją w skroń i wtedy poczuła lekki zapach whisky, którą od kilku lat pił coraz częściej. Gdy wypuścił ją z objęć, czuła się dziwnie skrępowana, a ten obcy mężczyzna przyglądał jej się tak uważnie, że serce nagle zabiło jej szybciej.

- Eve, to jest Cole Dennis. Cole, moja córka.

- Miło mi poznać. - Cole wyciągnął do niej rękę.

- Cześć. - Poprawiła torbę na ramieniu i podała mu dłoń. Uściskał ją szybko i mocno.

- Cole jest moim adwokatem - wyjaśnił ojciec i usiadł. Zauważyła na stoliku małą szklaneczkę, w której topniały kostki lodu, i usłyszała osę: przyklepiała kolejny maleńki kawałek błota do gniazda przy spodniej stronie dachu.

- Adwokat? - spytała, zaskoczona. - Prawnik?

Starala się nie gapić na jego niechlujne ubranie - sprane dżinsy, zmiętą, poplamioną potem koszulę, dziurawe tenisówki, które nadawały się już tylko na śmietnik. Nie spojrzała też na placyk przed garażem, gdzie w cieniu drzew stał nieznaną jej, brudny i zardzewiały pikap.

Cole, zupełnie jakby czytał w jej myślach, uśmiechnął się.

- Zgadza się, panienko - powiedział, przeciągając sylaby, i tym razem dodał to typowo południowe określenie, choć w jego błękitnych, głęboko osadzonych oczach pojawiła się iskierka rozbawienia.

- Jakim prawnikiem?

- Obrońcą - odparł ojciec. - Zostałem pozwany do sądu. Za błąd w sztuce. - Machnął dłonią, jakby chciał odgonić natrętą muchę, a potem podniósł szklaneczkę z whisky. - To jak... ból głowy. Minie. - Ale kostki lodu w szklance zabrzączały i Eve zauważyła, że ręce ojca drżą lekko. Na pokrytej rzadkimi siwymi włosami głowie lśniły krople potu, co kiedyś nigdy się nie zdarzało, nawet w naprawdę upalne dni.

- Więc wszystko jest w porządku. A w każdym razie będzie, tak?

- Oczywiście. - Ojciec uśmiechnął się z przymusem. Falszywie. Eve spojrzała na Cole'a. Z jego twarzy i oczu zniknęło rozbawienie, nagle zmienił się z wyluzowanego ranczera w kogoś innego, drapieżnego i niebezpiecznego. Pytanie, którego nie zadała, zdawało się wisieć między nimi w powietrzu.

- Twój ojciec jest niewinny - zapewnił ją. - Nie ma się czym przejmować.

- Niewinny czego?

- Chodzi o drobny błąd w sztuce - mruknął Terrence Renner, pociągając łyk ze swojej szklanki.

- Nie rozumiem.

Mężczyźni wymienili szybkie spojrzenia. Ojciec kiwnął głową, a potem z pustą już szklanką w ręce podszedł do niewielkiego barku na kółkach, na którym stała butelka whisky Crown Royal i kubek z lodem.

- Pozew cywilny. O zgon, do którego mogło nie dojść - wyjaśnił Cole.

Eve nagle zrozumiała.

- Znowu chodzi o Trący Ariotę, tak? Ale przecież policja uznała, że nic jesteś za to odpowiedzialny, że nie mogłeś przewidzieć jej samobójstwa, że wypuszczenie jej ze szpitala było standardową

procedurą - powiedziała, patrząc na zgarbione plecy ojca w cienkiej jedwabnej koszuli.

Dolał sobie whisky i się odwrócił.

- To co innego - wtrącił się Cole. - Tym razem pozew wniosła rodzimi. Nie chodzi o zabójstwo ani...

- Rozumiem - ucieła, spoglądając na niego gniewnie.

Na jej twarz wystąpił rumieniec, paliły ją policzki. Strach i złość, które ogarnęły ją w chwili, kiedy się dowiedziała, że jedna z pacjentek ojca połknęła tyle tabletek nasennych, iż w żaden sposób nie udało się jej uratować, wróciły z całą siłą. Tracy Ariota była pod opieką doktora Terrence'a Rennera od czasu, kiedy miała trzynaście lat i po raz pierwszy targnęła się na swoje życie.

- Ale jak... to znaczy... czy oni mogą to zrobić? Legalnie?

- Jeśli tylko znajdą prawnika, który zgodzi się wziąć tę sprawę... oczywiście tak - odparł Cole.

Eve zamknęła oczy. Brzęczały moskity, a z odległego pola dobiegał warkot traktora. Śpiewały ptaki. Wszystko wydawało się takie idylliczne, takie proste i łatwe. Ale choć bardzo tego chciała, wcale takie nie było.

- Cholera - szepnęła.

Otworzyła oczy i zauważyła, że Cole się jej przygląda.

- W porządku? Oczywiście, że nie!

- Po prostu super - odparła cierpko.

- Wszystko będzie dobrze. - Ojciec poruszył szklanką, kostki lodu zaślśniły w popołudniowym słońcu. Ale powiedział to bez entuzjazmu. Bez przekonania.

- Naprawdę? - Eve odwróciła się do Cole'a, który oparł się biodrem o balustradę i przecząco pokręcił głową, kiedy Terrence podniósł butelkę, milcząco proponując mu drinka.

- Nie, dziękuję.

- Pytałam, czy wszystko będzie dobrze - powtórzyła Eve.

- Zrobię, co w mojej mocy. Znowu ten teksański akcent.

- Jesteś dobry?

Przez jego twarz przemknął cień uśmiechu. Pod tymi spłowiałymi dzinsami, brudną koszulą i postawą :oczywiście, panienko: krył się kawał bezczelnego sukinsyna.

- Nie ma lepszego - powiedział ojciec. Eve patrzyła prosto w oczy

Cole'a.

- To prawda?

- Cóż, lubię myśleć, że tak. - Czy przy tych słowach w jego oczach nie pojawił się jakiś błysk? Prawie jakby z nią flirtował... albo nawet próbował ją uwieść.

Gwizdnęła na psa, podniosła marynarski worek i otworzyła drzwi. Zobaczymy.

I zobaczyła, w wyłożonej ciemną boazerią sali sądowej, gdzie wielkie, zawieszane pod sufitem wentylatory i sędzia Remmy Mathias, potężny, lekko łysiejący Afroamerykanin w okularach na końcu nosa, walczyli z letnim upałem. Tam Cole Dennis w niczym nie przypominał mężczyzny, którego spotkała na werandzie u ojca. W świetnie skrojonym garniturze, wykrochmalonej białej koszuli i drogim krawacie, pełen powagi, a jednocześnie dowcipny, zdołał oczarować wszystkich przysięgłych i przekonać nawet najbardziej opornych, że doktor Terrence Renner zrobił wszystko, by pomóc swojej pacjentce. Rzeczywiście, Cole Dennis okazał się wart każdego centa ze swojego honorarium.

I tego lata Eve beznadziejnie zakochała się w Cole'u Dennisie, mężczyźnie, który równie dobrze czuł się na półdzikim koniu jak na sali sądowej. Był skryty i ostrożny, ale jeśli zaszła taka potrzeba, potrafił doskonale grać, zarówno przed przysięgłymi, jak i telewizyjnymi kamerami.

Bawiło go, że pierwszego dnia Eve wzięła go za robotnika z powodu brudnych spodni i rozlatujących się tenisówek, i dopiero po kilku tygodniach przyznał się, że jej ojciec zadzwonił do niego i kazał mu rzucić wszystko: i przyjechać. Cole akurat pomagał przyjacielowi w przeprowadzce i wpadł do Rennera po drodze do domu.

W końcu, po kilkunastu dniach procesu, ojciec Eve został oczyszczony z wszelkich zarzutów. A Eve, siedząca z tyłu ponadstuletniej sali sądowej, zaczęła się zastanawiać, czy istotnie sprawiedliwości stało się zadość.



### Rozdział 3

Sam Deeds zatrzymał swoje bmw 760 przy popękany krawężniku przed nowym domem Cole'a - stu pięćdziesięcioletnim bungalowiem w rodzaju tych, jakie w ogłoszeniach agencji obrotu nieruchomościami zazwyczaj określa się mianem :marzenia każdego majsterkowicza:. Ganek od frontu chylił się ku ziemi, rynny zżerała rdza, dach został załatany dachówkami we wszystkich kolorach tęczy, a kilka oryginalnych drewnianych okien zastąpiono framugami z aluminium. Po obu stronach wąskiej jezdni ze spękanego betonu stały jeden przy drugim samochody.

- Nie majak w domu - mruknął Cole pod nosem, otwierając drzwiczki od strony pasażera.

- Przecież proponowałem ci, żebyś zatrzymał się u mnie na jakiś czas.

- To znaczy u ciebie, Lynne i waszych dzieci. Lynne chyba znowu spodziewa się dziecka, prawda? Dzięki, ale raczej nie.

Deeds postarał się, by ulga na jego twarzy nie była zbyt widoczna. Z całą pewnością Lynne i ich dwie córki nie byłyby zachwycone, gdyby zamieszkała z nimi facet, który właśnie wyszedł z aresztu.

- Jak chcesz. Gdybyś jednak zmienił zdanie, oferta pozostanie nadal aktualna.

- Tu będzie mi całkiem dobrze - powiedział Cole, spoglądając na starego czerwonego dżipa, stojącego przed spaczonymi drzwiami garażu. - To mój?

- Nie, aż do czasu kiedy podpiszesz papiery, ale zasadniczo owszem, należy do ciebie. Kupiłem go od kuzyna. Dobrze ciągnie, mało pali i ma niewiele ponad dwieście tysięcy przebiegu.

- Ideal.

- Tak właśnie pomyślałem. Opony też są jeszcze całkiem w porządku, no i doszedłem do wniosku, że przyda ci się komplet zapasowych kół.

- Chyba udało ci się dobrze sprzedać jaguara.

- Zgadza się.

Cole przyjrzał się podniszczonemu dżipowi i kiwnął głową z aprobatą.

- Podoba mi się.

- Wypełnij papiery, są w schowku na rękawiczki, razem z

zapasowymi kluczykami, kopią dowodu sprzedaży i dowodem rejestracyjnym.

Deeds otworzył bagażnik. Cole wyjął z niego płaską czarną teczkę i walizkę, nieco grubszą, z laptopem. Deedsowi udało się je jakoś wywrwać policji. Oczywiście dane z twardego dysku i wszystkie informacje, jakie znajdowały się w telefonie komórkowym Cole'a, zostały skopiowane. W końcu przez pewien czas traktowano go jak przestępcę. Może zresztą było tak nadal, przynajmniej w pewnych kręgach. Cóż, dobre i to, że Deeds dostarczył tu jego rzeczy, tak naprawdę tylko to miało znaczenie.

Chwycił walizkę z komputerem i teczkę i jeszcze raz spojrzął na swój nowy dom, jeśli ten budynek można było tak nazwać. W niczym nie przypominał ostatniego domu Cole'a, dwupiętrowej eleganckiej willi w stylu włoskim. Były tam oryginalne kraty kominkowe z kutego żelaza i przestronny chłodny hol z poruszającymi się majestatycznie wentylatorami u sufitu. Wokół rosły stare dęby, a wewnątrz odnowiono tak, by oddać dawny charakter domu - ciemne drewno, marmurowe podłogi, granitowe blaty kuchenne. Framugi okienne i drzwi pomalowano na biało, w bibliotece oszklone półki na książki zostały wbudowane we wnęki, a szerokie schody prowadzące z holu na górę, do biblioteki i sypialni, miały poręcze z kutego żelaza. Na zewnątrz, ukryty za żywopłotem, był basen, w którym Cole pływał każdego ranka, tuż po wschodzie słońca. Potem wsiadał do swojego jaguara i jechał do biur kancelarii O'Black, Sullivan i Kravitz.

Co takiego powiedział jego ojciec, niedługo przed śmiercią?: Im wyżej się wespiesz, tym bardziej boli upadek:. Stary drań, wędrowny kaznodzieja i nieudacznik zostawił synowi tylko Biblię z pozaginanymi rogami i kilka ze swoich złotych myśli.

Może jednak Isaak Dennis miał trochę racji. Cole z pewnością doświadczył właśnie bolesnego upadku, a ten żalony mały bungalow tylko mu o tym przypominał.

- Niczego lepszego nie udało mi się znaleźć - mruknął Deeds, jakby czytając w jego myślach.

- Jest dokładnie w moim stylu - skłamał Cole i uśmiechnął się porozumiewawczo. Taki uśmiech rzucał często przysięgłym, kiedy przesłuchiwał świadka i czuł, że ofiara już mu się nie wymknie. Nigdy nie wydawał się arogancki czy zadufany w sobie, po prostu nie

wyglądał na zaskoczonego, kiedy główny świadek oskarżenia zaczynał przyznawać się do tego, co najbardziej chciał ukryć.

- Daj spokój - odparł Deeds. - To tylko przejściowa sytuacja.

- Teraz to ty daj spokój.

Obaj wiedzieli, że to, co się stało, poważnie nadszarpięło nie tylko jego finanse, ale także reputację. Zasoby na koncie bankowym skurczyły się do kilku marnych tysięcy. Jego willa, jaguar i praca zniknęły jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Ciągłe jednak miał dwie sprawne ręce, zdolne naprawić niemal wszystko, co naprawy wymagało, więc Deeds zdołał przekonać właściciela bungalowu, by wynajął go Dennisowi, mimo że ten aktualnie nie był nigdzie zatrudniony.

- Muszę znaleźć jakąś robotę. - Cole potarł dłonią kark. Jezu, nie cierpiał nikogo o nic prosić.

Pracujemy nad tym. Mówiąc :my:, Deeds miał na myśli partnerów z firmy prawniczej, w której Cole był kiedyś najjaśniejszą gwiazdą. Teraz jego licencja prawnicza została zawieszona, a Cole czekał na ponowne rozpatrzenie sprawy.

Ciągle możesz pracować w firmie jako urzędnik. Cole kiwnął głową. Będzie musiał zapomnieć o dumie, żeby zaro-bić jakicś pieniądze, ale świadomość, że teraz stażyści i studenci prawa, którym służył radą, będą w hierarchii wyżej od niego, była dość bolesna.

Trudno. Już nieraz kiepsko mu się wiodło i zawsze jakoś udawało mu się spaść na cztery łapy.

Tym razem też jakoś się z tego wykaraska.

Poza tym miał plan. Plan, o którym nie mógł opowiedzieć Deedsowi, bo był jego tajemnicą.

Ulicą przejechał autobus, wzniesając tumany kurzu i zostawiając po sobie wzyewy z rury wydechowej. Kierowca zmienił bieg, zbliżając się do skrzyżowania, gdzieś dalej zaszczekał pies. W oknach okolicznych domów zaczęły zapalać się światła, choć do wieczoru zostało jeszcze trochę czasu. Kilkoro dzieci jeździło na deskach i rowerach, a z garażu dwa domy dalej, gdzie kilku młodych mężczyzn naprawiało starego pontiaca, dobiegał głośny rap.

- Firma transportowa władowała twoje rzeczy do środka. Niestety, wszystko jest jeszcze w pudłach. - Deeds podał mu kółko z dwoma kłucami, jednym do domu i drugim do dzipa.

Cole uśmiechnął się sarkastycznie.

- Tak się szczęśliwie składa, że akurat mam trochę wolnego czasu. Deeds parsknął krótko. Zabrzmiało to prawie jak śmiech. Prawie.

- No, odezwę się do ciebie.

- Okej. - Cole wyciągnął do niego dłoń. - Dzięki, Sam. Deeds chwycił jego rękę i uściśnął ją mocno.

- Nie wpadnij znowu w jakieś kłopoty.

- Postaram się.

- Mówię poważnie. - Deeds przytrzymał jego rękę. - I, na litość boską, nie próbuj kontaktować się z Eve ani z nikim, kto miał jakiś związek ze śmiercią Roya! To już zamknięty rozdział.

- Jasne - odparł Cole, starając się powiedzieć to z pełnym przekonaniem. Deeds w końcu puścił jego dłoń. Tak, musi rozegrać to bardzo ostrożnie. Nikt nie może podejrzewać, jakie są jego zamiary.

Deeds zmrużył oczy, jakby nie bardzo mu wierzył. Wydawał się zaniepokojony, zmarszczył brwi, a na jego wysokim czole pojawiły się pionowe bruzdy.

- Więc jesteśmy tego samego zdania. Ktokolwiek zabił Kajaka, albo opuścił te okolice, albo się przyczaił i czeka.

- Albo nie żyje.

Deeds podniósł dłoń, ostrzegając Cole'a, by nie mówił nic więcej.

- Może. To bez znaczenia. Ty trzymaj się od tego z daleka. Obaj wiemy, że w tej chwili nie należysz do ulubieńców nowoorleańskiej policji, więc nie dawaj jej powodów, by się tobą interesowała. Ciągle jeszcze musimy uporać się z tym ostatnim oskarżeniem.

Cole zacisnął zęby na wspomnienie oskarżenia, które ciągle było skazą w jego dokumentach.

- Ktoś mnie wrobił - wycedził, prawie nie poruszając ustami. - Nie paliłem trawki od czasu studiów.

- Cóż, nawet jeśli ja ci wierzę, pozostaje faktem, że znaleźli ją w twoim schowku na rękawiczki, kiedy wyszedłeś za kaucją.

Cole zacisnął zęby jeszcze mocniej, a jego palce na uchwycie walizeczki aż zbiały.

- Ktoś zepsuł jedno z tylnych świateł w moim samochodzie, żeby zatrzymała mnie policja. A kiedy sięgnąłem do schowka po dowód rejestracyjny, wypadł z niego woreczek z marihuaną. Gdyby naprawdę należała do mnie, jak mógłbym zrobić coś tak głupiego? Jak mógłbym

być tak nieostrożny?

- Mnie nie musisz przekonywać. Tak czy inaczej, będę musiał coś zrobić, żeby nie zostało to w twoich aktach. Cole zaklął cicho. Deeds dotknął jego ramienia.

- Trawka nie należała do ciebie. Ktoś cię wrobił. W porządku. Wierzę ci. Ale to ty złamałeś warunki zwolnienia. Znałeś je i wiedziałeś, że nie wolno ci rozmawiać z nikim, kto ma jakikolwiek związek z tą sprawą, a jednak nie mogłeś się powstrzymać.

Temu Cole nie mógł zaprzeczyć. Próbował się skontaktować z Eve i zapłacił za to wysoką cenę.

- Trzymaj się od niej z daleka, chłopie - poradził Deeds, zniżając głos, jakby para dzieciaków jeżdżąca na desce po krawężniku mogła ich podsłuchać. - Ta kobieta to nic dobrego. - Zadzwoiła komórka i Deeds sięgnął po nią do paska u spodni. - Deeds. - Przerwa. Cholera... Zaraz tam będę. Spojrzał na zegarek. - Muszę lecieć - powiedział cicho.

Cole kiwnął głową. Deeds wsiadł do bmw, pomachał mu dłonią, przekręcił kluczyk w stacyjce i przełączył komórkę na zestaw głośnomówiący. Lśniący samochód ruszył wzdłuż krawężnika. Cole odwrócił się w stronę domu. Wiedział, że nie skorzysta z rady Deedsa. Przede wszystkim musi spotkać się z Eve.

Bez względu na konsekwencje.

Musi ruszać w dalszą drogę. Nie ma czasu do stracenia.

Eve podeszła do kasy, wyciągając z kieszeni banknoty. Nie chciała myśleć o ojcu, o tym, czy jest winny, czy nie, ani o niczym, co miało związek z jego procesem. To wszystko należało już do przeszłości. Kiedy Roy Kajak wspomniał o dowodach, pomyślała, że może to mieć coś wspólnego ze śmiercią Tracy Alioty, a z pewnością świadczyło to o tym, że nie do końca ufała tak kochanemu przeciw ojcu.

Zapłaciła za lunch i wyszła z restauracji. Było jeszcze ciemniej i bardziej ponuro niż wcześniej. Granatowe chmury zdawały się wisieć tuż na wierzchołkami wysokich sosen rosnących wokół parkingu. Łało i Eve musiała biec do samochodu.

Samson miauczał w swojej klatce. Odwróciła się, by go uciszyć, i zauważyła wodę na siedzeniu pasażera. Zakląła w myślach i chwyciła ręcznik, który wozila w samochodzie na wszelki wypadek. Szyba w oknie po tej stronie ostatnio się nie domykała. Kyle obejrzał okno, ale nic na to nie poradził. Wytarła mokrą plamę, a potem pochyliła się nad

siedzeniem i wcisnęła guzik, żeby podciągnąć szybę. Bez skutku, nawet nie drgnęła. Cóż, będzie musiała pojechać do mechanika, kiedy już wróci do domu.

Jeśli tam wróci.

Ból głowy zelżał trochę i Eve postanowiła, że nie pozwoli, by zmartwiło ją coś tak mało istotnego jak niedomykająca się szyba. Teraz nawet nieprzerwane miauczenie Samsona wydawało się do wytrzymania.

Wyjechała z parkingu w boczną uliczkę i znalazła wjazd na autostradę. Włączyła się w sznur samochodów zmierzających w stronę zatoki i spróbowała się odprężyć. Cole wyszedł na wolność. I co z tego? Czy będzie chciał wrócić do Nowego Orleanu? Szwagierka miała rację co do jednego: fakt, że Cole odzyskał wolność w tym samym dniu, kiedy ona postanowiła sama pokierować życiem, zakrawał na szczególną ironię losu.

Przeznaczenie?

Zbieg okoliczności?

Pech?

To bez znaczenia.

Bo Eve chciała się z nim spotkać. Miała zamiar stanąć z draniem twarzą w twarz.

I zadać mu parę pytań.

Przejechała kilka kilometrów. Deszcz ustał. Wycieraczki zaczęły skrzypieć na przedniej szybie, a słońce, tak długo zasłonięte przez chmury, zalało mokry asfalt oślepiającym blaskiem. Może wszystko jakoś się ułoży. Nawet kot przestał zawodzić. Eve wyłączyła wycieraczki i w tej samej chwili zadzwoniła jej komórka. Patrząc na drogę, sięgnęła do bocznej kieszonki torebki, wyjęła telefon i przyłożyła go do ucha.

- Halo?

- On jest wolny - zasyczał ochryply głos.

- Słucham?

Połączenie zostało przerwane.

Eve poczuła ukłucie zimnego strachu.

Chciała myśleć, że to pomyłka, że ktoś błędnie wybrał numer, ale wiedziała, że tak nie jest. To była wiadomość dla niej. Ktoś poinformował ją, że Cole został wypuszczony z więzienia.

- No, zaraz się dowiemy, kto to taki - mruknęła pod nosem. Zmarszczyła brwi, wpatrując się w ekran, na którym pojawiła się informacja: numer nieznan.

Wrzuciła telefon do torebki, usiłując nie panikować. Jakiś idiota zadzwonił do niej, żeby... No właśnie, po co? Poinformować ją? Ostrzec? Przestraszyć?

To nic wielkiego.

Dlaczego więc ten, kto do niej zadzwonił, odłożył słuchawkę? Dlaczego nie dokończył rozmowy?

Przeszył ją dreszcz. Spojrzała we wsteczne lusterko i zaschło jej w ustach. Jechała za nią ciemna furgonetka. Czy nie ta, którą widziała wcześniej pod restauracją? Ta z przyciemnionymi szybami, w której siedział mężczyzna z papierosem?

Nie myśl o tym, Eve. Nic panikuj. Nikt lepiej od ciebie nie wie, jakie to może być niebezpieczne.

Ale serce biło jej coraz szybciej, a dłonie zaczęły się pocić.

Nie myśl o tym. To nic takiego. Nic! To tylko głupi telefon. Nic poza tym.

Znowu spojrzała w lusterko. Czy furgonetka trochę się do niej nie zbliżyła? Tak, jechała teraz bardzo blisko. Eve słyszała o sytuacjach, kiedy ktoś celowo najeżdżał na inny samochód od tyłu, a kiedy ofiara skręcała na pobocze, wyciągał rewolwer albo nóż i...

Serce waliło jej w piersi jak oszalałe.

Wcisnęła pedał gazu i zmieniła pas, wyprzedając ciężarówkę przewożącą paliwo. Furgonetka zrobiła to samo. Eve zmartwiała z przerażenia. Zaczęła myśleć o tym, żeby zadzwonić na 911.

Weź się w garść, powiedziała sobie. Facet też nie chce się wlec za ciężarówką. Nic dziwnego.

Oddychała płytko i bardzo szybko, a kot, niech go diabli, jakby zarażony jej strachem, znowu zaczął zawodzić. Eve rzuciła okiem w lusterko, mijając trzy inne samochody. Licznik pokazywał, że znacznie przekroczyła już dopuszczalną prędkość. Świetnie! Najwyżej zapłaci mandat. Policja ją zatrzyma, i problem z głowy!

Ale kiedy mijala ostatni z samochodów, furgonetka, która zdawała się ją śledzić, nagle zniknęła z pola widzenia.

Więc jednak za nią nie jechała.

Może nawet nie była to ta sama furgonetka, która stała przed restauracją...

Niepotrzebnie tak się przestraszyła. Jak zwykle.

- Nie ma sensu dokładać sobie kłopotów - powiedziała. Nagle przypomniała sobie, co powtarzała jej babcia: Po co dokładać sobie czegoś, czego i tak ma się w nadmiarze? - Och, babciu - szepnęła, czując, jak ogarnia ją tęsknota za kobietą, która wychowywała ją po śmierci matki.

Atak paniki minął, powoli wypuściła powietrze z płuc. Przez kolejnych piętnaście minut próbowała skupić się na audycji radiowej, gadała do kota i co chwilę spoglądała w lusterko. Ciemna furgonetka zniknęła na dobre.

Może Anna Maria miała rację? Eve ciągle jeszcze nie doszła do siebie po tamtym tragicznym wydarzeniu. Ale czy kiedykolwiek będzie tą samą osobą, którą była, zanim została postrzelona?

Oczywiście, że nie.

To niemożliwe.

Bo próbował ją zabić mężczyzna, którego kochała, mężczyzna, któremu ufała jak nikomu innemu.

Jego oddech był płytki, urywany.

Serce waliło tak mocno, że zagłuszało niemal szum autostrady. Zamknął skradzioną komórkę i oblizał wargi. Patrzył przed siebie, ale prowadził samochód niemal jak automat, bo myślał tylko o niej. Wspominał jej głos, rozkoszował się nim.

Halo.

Niewinnie. Ufnie.

Jedno małe słowo, a wywołało w nim tyle emocji. Zaciśnął palce na kierownicy i uśmiechnął się do siebie. Krew zaczęła szybciej krążyć mu w żyłach, penis stwardniał.

Słońce wreszcie przedarło się przez chmury. Wcisnął pedał gazu i furgonetka ruszyła w górę niewielkiego wzniesienia. Przez brudną przednią szybę dostrzegł znowu jej samochód. Była mniej więcej półtora kilometra przed nim, zmieniała pas, zgrabnie wciskając się między dwie ciężarówki.



Serce zabiło mu mocniej.

Zmrużył osłonięte okularami przeciwsłonecznymi oczy i rozprostował oparte na kierownicy palce.

No, dalej, mała. Jedno spojrzenie... To wszystko, czego chcę.

Potem jej samochód zniknął za zakrętem. Wiedział jednak, że ona jest blisko, czuł ją. Wiedział, dokąd jechała, ale nie mógł zostać za bardzo w tyle, nie mógł jej zgubić.

Nie, musiał ją mieć na oku.

Nie patrząc w lusterko, wcisnął gaz i wyprzedził starego mercedesa, który palił jak smok i wypuszczał czarny dym z rury wydechowej. Szybciej!

Zaczęła mu uciekać!

Przycisnął pedał gazu do deski i minął nowego forda focusa. Dobiała z niego tak głośna muzyka, że słyszał ją wyraźnie mimo zamkniętych okien.

Cały czas patrzył prosto przed siebie, nie spuszczać wzroku z małej czerwonej toyoty.

Za pierwszym razem, w tej starej chacie, spieszył sprawę. Przeżyła.

Drugi raz na pewno nie popełni tego samego błędu.

## Rozdział 4

Eve nie mogła dojechać do Nowego Orleanu bez postoju. Bak jej samochodu był już prawie pusty, za to miała pełny pęcherz, więc niecałe sto trzydzieści kilometrów przed miastem stwierdziła, że musi się zatrzymać. Zjechała na stację benzynową ze sklepem. Przy parkingu był też bar kawowy, a po drugiej stronie drogi McDonald. Przed okienkiem, z którego wydawano jedzenie, stał sznur samochodów; inne krążyły w pobliżu wejścia.

Eve stanęła przy dystrybutorze, czekając, aż tankujący przed nią minivan zwolni miejsce. Kiedy nabrała paliwa, zjechała na parking i wyjęła Samsona z klatki. Poglaskała go i dała mu trochę wody z butelki. Przytulił się do niej rozpaczliwie, pocierając głową o jej podbródek, a ona szeptała do niego czule, że jest bardzo dzielny. Gdy znowu zamknęła go w klatce, zaczął żałośnie miauczeć.

- Już niedługo - obiecała.

Zostawiła go w toyocie i klucząc między samochodami, poszła do sklepu. To musiał być złoty interes. Ludzie płacili za paliwo i kupowali napoje, piwo, przekąski i papierosy.

W kolejce do toalety czekała ponad pięć minut. Skorzystała z niej w końcu, a potem umyła ręce i spojrzała w lustro. Zmarszczyła brwi z dezaprobatą, ale nie zrobiła nic, by poprawić swój wygląd. Kogo może obchodzić, że ma włosy w nieładzie, a z jej warg już dawno zniknęła szminka? Wyszła z toalety, wróciła do sklepu i kupiła jeszcze paczkę M&Ms, fiolkę aspiryny i napój w butelce.

Stojąc w kolejce, zauważyła lustro na ścianie wysoko w górze. Było wypukłe i ukazywało kasjerowi zniekształcone odbicie niemal całego wnętrza. Ona też widziała w nim kilka osób - chodziły między półkami, oglądały produkty, wybierały to, co zamierzały kupić... Ale jeden mężczyzna stał samotnie, niczego nie oglądał, tylko patrzył na wejście do sklepu przez ciemne, szerokie okulary. A może... Może on patrzył na nią?

Nie bądź głupia, powiedziała sobie i obejrzała się przez ramię. Nie mogła jednak zobaczyć tego mężczyzny, bo zasłaniały go półki. Uznała, że ponosi ją wyobraźnia. Na litość boską, nikt się tu nie czai, żeby przyglądać się jej zza stosów pudełek z płatkami śniadaniowymi!

Nie, to wszystko jej wymyśl. Od tego dziwnego telefonu jest po

prostu trochę zdenerwowana.

- Daj już sobie z tym spokój - mruknęła do siebie.

Stojąca za ladą dziewczyna spojrzała na nią podejrzliwie. Eve uśmiechnęła się do niej z zakłopotaniem, zapłaciła szybko za zakupy i bezołowiową.

Na zewnątrz, za zadaszeniem nad dystrybutorami paliwa, chmury podniosły się wyżej i zmieniły w warstwę mgły, która rzedła z każdą chwilą. Słońce stało nisko na niebie, jak to przed zmierzchem, jednak świeciło jeszcze jasno, odbijając się oślepiającym blaskiem w szkłe i metalu. Plamy benzyny na powierzchni kałuż w nierównym asfalcie mieniły się w jego świetle wszystkimi kolorami tęczy.

Eve pokręciła zeszywniałą szyją usiadła za kierownicą, otworzyła paczkę słodyczy i butelkę z napojem. Zjadła kilka kolorowych, czekoladowych cukierków M&Ms, połknęła dwie aspiryny i popiła to wszystko napojem. Potem wstawiła butelkę w jeden uchwyt, a paczkę z cukierkami w drugi. Przekręciła kluczyk w stacyjce, silnik zapalił, i w tej samej chwili zauważyła ciemną furgonetkę. Znieruchomiała z przerażenia. Czy to ten sam samochód, który jechał za nią wcześniej?

Są tysiące takich furgonetek, pomyślała. Z tej odległości nie potrafiła odczytać numerów na zachlapanych tablicach rejestracyjnych, ale z całą pewnością był to numer z Luizjany. Na pace stała skrzynka z narzędziami, widoczna przez szybę.

To pewnie tylko jakiś robotnik budowlany albo farmer... Nic takiego. Prawda?

Ale wyjeżdżając z parkingu, rzuciła okiem we wsteczne lusterko i dostrzegła wysokiego mężczyznę w szerokich, ciemnych okularach, który wyszedł właśnie ze sklepu, stanął przed nim i patrzył w jej stronę.

- Słodki Jezu - szepnęła.

Powtarzała sobie, że przesadza, że ten facet pewnie patrzy po prostu na samochód z dziećmi, które zamawiały coś w McDonalddie po drugiej stronie.

Rozległ się głośny dźwięk klaksonu.

Eve zahamowała gwałtownie, a jej toyota zatrzymała się zaledwie kilkanaście centymetrów od wjazdu na drogę, którą przejechał właśnie niski czerwony sportowy wóz, niemal zahaczając o jej przedni zderzak. Z samochodu dobiegała głośna hiphopowa muzyka i przekleństwa trzech nastoletnich chłopców. Obrzucili ją wyzwiskami i pomknęli

dalej.

Odetchnęła głęboko, usiłując uspokoić mocno bijące serce. Tak zaabsorbowana natrętnymi myślami ani nie zauważyła tego samochodu, ani go nie usłyszała. Gdyby doszło do wypadku, byłoby to zapewne z jej winy, bez względu na to, z jaką prędkością jechałby ten drugi samochód.

- Głupia, głupia, głupia.

Spojrzała do tyłu, ale nikogo nie zobaczyła. Mężczyzna stojący wcześniej przed sklepem zniknął. Pewnie wszedł do samochodu i pojechał załatwiać swoje sprawy, które z nią nie mają nic wspólnego.

- Weź się w garść - upomniała się surowo, wjechała w wąską drogę i zmrużyła oczy w zachodzącym słońcu. Czekając na czerwonym świetle na rampie prowadzącej na autostradę, sięgnęła do schowka na rękawiczki po ciemne okulary.

Braźowa koperta, najwyraźniej wepchnięta do schowka na siłę, spadła na podłogę. Na dywanik i między siedzenia posypały się kawałki papieru, które wyglądały jak wycinki prasowe o nierównych brzegach.

- Co jest, do diabła? - szepnęła Eve.

Światło zmieniło się na zielone, kierowca stojącego za nią samochodu zatrąbił. Eve jakoś udało się ruszyć, wjechać na autostradę i włączyć w sznur ciągnących nią na południe pojazdów.

Ale serce biło jej bardzo szybko, bez przerwy rzucała okiem na rozsypane wycinki. Wzięła jeden z siedzenia obok. Miał ostre, poszarpane brzegi, pewnie został wycięty krawieckimi nożycami, ząbkującymi krawędzie. Oparła go o kierownicę i przeczytała nagłówek:

Rozwiązanie tajemnicy sprzed dwudziestu jeden lat. Śmierć kobiety w wyniku zabójstwa.

- Co? - Jechała z prędkością ponad stu kilometrów na godzinę, więc nie odważyła się przeczytać całego artykułu, jej wzrok wyłuskał jednak z tekstu kilka słów.

Faith Chastain, ofiara morderstwa. Szpital Psychiatryczny Naszej Pani od Cnót. Detektyw Reuben Montoya z Departamentu Policji w Nowym Orleanie. Niepokój Eve rósł.

- Mój Boże - szepnęła, upuszczając wycinek.

Montoya był jednym z policjantów, którzy aresztowali Cole'a; a wspomniany w artykule szpital Eve znała aż za dobrze. Jej ojciec

pracował w nim jako główny psychiatra, a ona sama, jako dziecko, często bawiła się na jego terenie. Faith Chastain. Dlaczego to nazwisko budziło w jej umyśle cień jakiegoś wspomnienia?

Nagle zaschło jej w gardle. Spojrzała na inny artykuł. On także został wycięty krawieckimi nożycami.

Podejrzany o zabójstwo sprzed dwudziestu jeden lat oskarżony o popełnione niedawno morderstwa.

- O Boże, co?... - Eve zdjęła nogę z gazu i szybko przebiegła wzrokiem artykuł o seryjnym mordercy, jeszcze niedawno grasującym w Nowym Orleanie. Był to zaburzony psychicznie mężczyzna, który zabił co najmniej sześć osób.

Nie sięgnęła po kolejny wycinek, wiedziała już aż za dobrze, czego się spodziewać. Przygryzła dolną wargę i spróbowała skupić się na drodze i prowadzeniu samochodu.

Kto zostawił tę kopertę w jej toyocie?

Kto mógł wiedzieć, że niemal wychowała się w tym starym szpitalu psychiatrycznym?

Skąd to nagle zainteresowanie Faith Chastain, kobietą, która od dawna nie żyje?

Serce waliło jej jak młotem, oddychała z trudem. Zbliżał się kolejny atak paniki, wiedziała jednak, że nie może do niego dopuścić.

- Spokojnie - powiedziała sobie i znowu zaczęła powoli odliczać w myślach: jeden... dwa... trzy...

Ktokolwiek podrzucił te wycinki, zrobił to celowo...

Dlaczego jednak to zrobił?

I kiedy? A, co najważniejsze, kto to był?

Wszystkie artykuły dotyczyły tajemnicy, która okrywała śmierć Faith Chastain, i wszystkie zostały wycięte bardzo starannie, nożycami o ostrzach pozostawiających na krawędziach równe, ostre ząbki.

Eve poczuła, że cierpnie jej skóra.

Słyszała o skandalu, który wybuchł wokół starego, opuszczonego szpitala, i niedawnych morderstwach. Kilka miesięcy wcześniej pisały o tym wszystkie gazety.

Przed śmiercią Roya.

Przed tym, jak ona sama została postrzelona w głowę.

Kto zostawił tę kopertę w jej zamkniętym samochodzie? Spojrzała w lusterko, ale tym razem nie dostrzegła żadnej ciemnej furgonetki. Jak to

możliwe, że ktoś włożył kopertę do schowka na rękawiczki? Przecież zawsze zamykała samochód...

Ale nie na stacji benzynowej.

Wyszłaś z samochodu tylko na chwilę.

Byłaś rozdrażniona, bolała cię głowa, chciałaś skorzystać z toalety...

Ale przecież zawsze odruchowo naciskała guzik na pilocie do centralnego zamka. Zawsze. A tym razem zachowanie bezpieczeństwa było ważniejsze niż kiedykolwiek, w końcu podróżowała z niemal całym swoim dobytkiem. Czy mogła być tak nieostrożna i zostawić otwarte drzwi?

Zmarszczyła brwi. Pamiętała, że zamknęła je, kiedy szła do restauracji, ale może nie zrobiła tego na stacji benzynowej? Z dreszczem przerażenia przypomniała sobie ten dziwny telefon i chrapliwy głos.

On jest wolny.

O co w tym wszystkim, do diabła, chodzi?

A ta furgonetka, która - jak jej się wydawało - za nią jechała? Czy ona też miała jakiś związek ze starym szpitalem? Nie wyciągaj pochopnych wniosków. - Nie wyciągam! - powiedziała na głos.

Samson miauknął cicho na tylnym siedzeniu. Na czoło wystąpił jej zimny pot. Spojrzała w lusterko i wcisnęła gaz. Musi jak najszybciej wrócić do Nowego Orleanu. Kiedy będzie już w domu, kiedy dokładnie zamknie za sobą drzwi, na łańcuch i wszystkie zasuwę, przeczyta artykuły i spróbuje coś z tego zrozumieć.

Jedno wiedziała na pewno: ktoś za nią jechał. Tej grubej koperty z całą pewnością nie było w samochodzie rano, kiedy wkładała okulary przeciwsłoneczne do schowka, w którym trzymała dowód rejestracyjny i mapy. Nagle znowu ogarnęła ją panika. Co jeszcze mógł jej podrzucić ten ktoś? Pluskwę? Bombę? Kamerę?

Przezań. Chyba oglądałaś ostatnio zbyt wiele głupich kryminalów.

Ale oddech miała płytki, puls przyspieszony.

On jest wolny. Na pewno chodziło o to, że Cole Dennis został wypuszczony z więzienia. Czy wiadomość ta miała też jakiś związek ze Szpitalem Naszej Pani od Cnót? Czy to ta sama osoba, która do niej zadzwoniła, zostawiła wycinki w jej samochodzie? Czy wycinki również były rodzajem wiadomości, którą powinna zrozumieć?

Czy może dopatruje się jakiegoś zamysłu tam, gdzie go nie ma?

Zadrżała i wcisnęła pedał gazu.

Znalazła kopertę!

Wiedział o tym.

Czuł jej strach, jej przerażenie.

Przez ciemne okulary patrzył na ciągnącą się przed nim drogę. Był niedaleko. Wiedział, że trudno jej się teraz skoncentrować, że próbuje opanować panikę.

Ale nie potrafi.

Ukryty za pikapem i SUV-em, jechał teraz mniej więcej osiemset metrów za jej toyotą. Z tej odległości dostrzegał czasem ten mały czerwony samochód, który najpierw posuwał się bardzo ostrożnie, nie przekraczając dopuszczalnej prędkości, czasami nawet znacznie zwalniając, a potem nagle przyspieszył i wyprzedził dwa inne, dość szybko jadące samochody.

Doskonale.

W końcu zrozumiała.

Obliział wargi i też wyprzedził kilka samochodów. Wepchnął się na prawy pas przed dwiema limuzynami. Cały czas jednak trzymał się spory kawałek za nią. Wiedział, dokąd zmierzała.

Wyobraził sobie jej twarz. Strach w oczach. Otwarte usta, kiedy zdała sobie sprawę, że została namierzona. Wiedział, że zaciskała spoczone palce na kierownicy, a jej przerażone serce bije gwałtownie.

Och, tak.

Jego puls też bardzo przyspieszył.

Widzę cię. Czy ty widzisz mnie? Czy mnie czujesz, Eve? Boisz się? Jestem tutaj. Zawsze tu będę. Nie uciekniesz. Nigdy. Ty i ja... Naszym przeznaczeniem jest być razem... razem umrzeć...

Uśmiechnął się i mocniej wcisnął pedał gazu.

Na zachodzie słońce powoli chowało się za horyzontem.

Wkrótce zapadnie mrok.

Czuł, jak podnosi się poziom adrenaliny w jego krwi. Ponieważ wiedział, co się wkrótce stanie.

Zmierch sprzyjał Cole'owi.

Czekał, aż zapadnie, napięty jak struna. Ostrzeżenie Sama Deedsa dźwięczało mu ciągle w uszach, jak zepsuta płyta: Trzymaj się od niej z daleka... Ta dziewczyna to nic dobrego...

No cóż, wiedział o tym od samego początku.

Uznał jednak, że w tej chwili niewiele ma już do stracenia.

Po czterech godzinach sprzątanania i urządzania wynajętego domu potrzebował przerwy. I miał sprawy do załatwienia. Włożył już do dzipa małą skrzynkę z narzędziami i latarkę. Wyszedł na ganek. Było ciemno, ale latarnie rzucały dość światła, by mógł zobaczyć kilkoro dzieci nadal jeżdżących na deskach i rowerach między zaparkowanymi na ulicy samochodami. Na progu jednego z domów siedział starszy mężczyzna, paląc cygaro, a wzdłuż ogrodzenia przemykał duży szary kot. Chłopcy w garażu nadal grzebali w samochodzie, głośno grała muzyka. Cole oparł się o balustradę i wciągnął w nozdrza zapach Nowego Orleanu, zapach tytoniu, wyziewów z rur wydechowych i brudu, który przypominał, że Missisipi płynie niedaleko stąd.

Dom nie był chyba pod obserwacją policji, nie mógł jednak mieć co do tego pewności, wiedział natomiast, że detektywi Bentz i Montoya nie dadzą za wygraną. Będą chcieli go przyskrzynić. Musi więc być szczególnie ostrożny.

Wskoczył do starego dzipa i powoli wyjechał tyłem spod domu. Żaden inny samochód nic ruszył za nim, nie rozległ się dźwięk żadnego innego silnika, nie rozbłysły żadne inne światła.

Ale chciał się upewnić.

Spoglądając we wsteczne lusterko, przez godzinę kluczył po ulicach miasta. Zatankował, zatrzymał się przed supermarketem, żeby zrobić zakupy, przejechał przez strefę przemysłową i w końcu dotarł do French Quarter. Chyba jednak nikt go nie śledził. Nie zauważył żadnego samochodu, który czaiłby się za nim. Starając się nie przekraczać dozwolonej prędkości, minął Pontchartrain Expressway i dwa razy przejechał przez rzekę, cały czas bacznie przyglądając się innym samochodom i patrząc w lusterka. Ciągle jeszcze podejrzewał, że ktoś ma go na oku. Wiedział, że policja zna się na rzeczy. Zapewne używają dwóch albo i trzech samochodów. Ale kiedy zatrzymał się po raz ostatni przed sklepem spożywczym i nikogo nie zauważył, doszedł do wniosku, że jednak jest bezpieczny.

Przynajmniej na razie. Pomyślał o Eve.

Do diabła z nią i jej śliczną, kłamiwą buzią. Zawróciła mu w głowie, zdradziła go, wykorzystała i wystawiła. Jak mógł być tak ślepy?

Od trzech miesięcy zadawał sobie to pytanie i wciąż nie znał na nie odpowiedzi. Nie potrafił tego w żaden sposób wyjaśnić. Ale przecież



nie mógł się z nią w tym czasie spotkać, porozmawiać, zrobić coś, by wrócił jej rozsądek.

Teraz to się zmieni.

Załatwi kilka spraw, a potem pojedzie do Atlanty i rozmówi się z nią.

Jeżu, jak on ją kiedyś kochał. Chciał z nią spędzić resztę życia. A ona wycięła mu taki numer.

Podejrzewał, że sypiała z Royem, lecz ciągle nie był tego pewny. Prawda nadal kryła się w mroku. Ale wiedział, że w życiu Eve był jeszcze ktoś. Mężczyzna, o którym nigdy nie mówiła, mężczyzna, którego chroniła. Zaciśnął zęby. Rozpamiętując to, sam się torturował, jak masochista - a jednak tak było trzeba.

Zaciśnął palce na kierownicy, przypominając sobie ich ostatni wspólny wieczór. Eve - jeszcze zaróżowiona po upojnych chwilach, zalotna, muskająca ustami jego szyję i pierś, bawiąca się jego sutkami, kiedy leżał obok niej w pościeli wilgotnej od potu - zawojowała go zupełnie. Jego serce jeszcze nie zdążyło się na dobre uspokoić, oddech jeszcze nie zwolnił, a ona już znowu zaczęła go dotykać gorącymi palcami, mrużąc z zadowolenia, kiedy poczuła, że znów jest podniecony.

- No, no - szepnęła z błyskiem tych pięknych, zielononiebieskich oczu. - Nadal masz ochotę.

- A ty nie? - spytał, zbliżając usta do jej ucha.

- Może dam się namówić. Zaśmiał się, słysząc tę odpowiedź.

- Jeśli się naprawdę bardzo postarasz - dodała. Czuł na skórze jej ciepły oddech.

- Czy to jakiś egzamin? - Pocałował ją w szyję.

- Uhm.

- Dobrze mi idzie?

- Ledwo, ledwo - mruknęła, choć przesuwała już dłońmi w dół jego pleców, a jej sutki stwardniały. Dotknął jednego z nich językiem, a ona natychmiast wygięła się w łuk.

- Ledwo, ledwo... akurat - szepnął, muskając oddechem wilgotny sutek.

- Coraz lepiej. - Jedną ręką chwyciła go za pośladek, a drugą...

Nagle znowu ogarnęła go żądza, rozchylił jej kolana, a potem...

- Cholera! - zaklął głośno w pustym samochodzie. Znacznie przekroczył dozwoloną prędkość, ryzykując zatrzymanie, choć przecież

ostatnią rzeczą, na jaką miał ochotę, było kolejne spotkanie z policją. Zwłaszcza tej nocy.

Wziął głęboki oddech i rozprostował spocone palce. Eve, naga, leżąca na plecach z rozchyłonymi ustami, zaróżowionymi policzkami i oczami zamglonymi pożądaniem, ciągle stała mu przed oczami.

A jednak tamtej nocy, kiedy od kolejnego miłosnego spełnienia dzieliły ich już zaledwie sekundy, zadzwoniła jej komórka i Eve dosłownie wyskoczyła z łóżka. Jakby ten, kto dzwonił, Royal Kajak, poderwał ją do góry za pomocą niewidzialnego sznurka.

- Chcesz teraz wyjść? - Cole nie potrafił ukryć zaskoczenia i złości, patrząc, jak wciągała dzinsy.

- Tak.

- Dlaczego?

- Bo on mnie potrzebuje.

- On jest stuknięty.

- Nie zmienia to faktu, że potrzebuje rozmowy ze mną.

- Rozmowy o czym? Zawahała się.

- Nie wiem - odparła, ale on wyczuł, że to kłamstwo.

- Na pewno wiesz.

- Nie, i nie dowiem się, dopóki z nim nie porozmawiam.

- O tej porze? Czy to nie może poczekać? - Spojrzał na zegar, było już po dziesiątej. Jednak do Eve nie docierały jego argumenty.

- Nie zabawię długo. Wiem, że już późno, ale... taki właśnie jest Roy.

- Wsunęła ręce w wąskie ramiączka stanika, a potem wciągnęła przez głowę koszulkę z długimi rękawami.

- Gdzie masz się z nim spotkać? Czy on nie może przyjechać tutaj?

- Nie... Jest w chacie swojego wuja, wiesz, mówiłam ci kiedyś o niej... Ja i Roy spędzaliśmy tam czasem wakacje.

- Mówisz o tej chacie rybackiej?

- Tak. - Eve rozejrzała się po pokoju, znalazła jeden but i włożyła go.

- Powiedz mu, żeby przyjechał tutaj. Albo... albo do ciebie do domu. A najlepiej jutro rano, na litość boską. - Cole usiadł na łóżku. - Nie możesz jechać do jakiejś opuszczonej chaty na bagnach. Dorastałem w tamtych okolicach. Wiem, że nie jest tam bezpiecznie.

- On już tam jest. Czeka na mnie.

- I co z tego? Samochód mu się zepsuł? Nie możesz ściągnąć go tutaj? Zmienić planu?

- Jadę, Cole - oświadczyła tonem nieznoszącym sprzeciwu. - O, jest. - Znalazła drugi but pod oknem. - To nie podlega dyskusji. Roy jest bardzo ważny dla moich badań, wiesz o tym.

Cole czuł, że cokolwiek Roy Kajak powiedział jej przez telefon, nie miało to nic wspólnego z jej badaniami nad aberracjami w zachowaniu osób zaburzonych psychicznie.

- Jeśli chodzi tylko o badania, to chyba możesz z tym poczekać do rana.

Eve włożyła kurtkę i ruszyła do drzwi sypialni. Była zdeterminowana. I ukrywała przed nim jakąś tajemnicę. Cole odrzucił koldrę.

- Do diabła, skoro jesteś taka uparta, pojedę z tobą.

- Nie! - Odwróciła się do niego. - On chce ze mną o czymś porozmawiać. Najwyraźniej o czymś bardzo ważnym. Jeśli przyjadę z kimś, zamknie się w sobie. Będzie zakłopotany i skrępowany.

- Eve, posłuchaj...

- Ile razy ty mnie tak zostawiałaś? Wychodziłeś nagle na spotkania z klientami, bez słowa wyjaśnienia!

Zaskoczyło go, że tak nagle przeszła do ofensywy.

- To co innego...

Prychnęła tylko i otworzyła drzwi.

Szybki jak błyskawica, pewny już, że ona nie posłucha żadnych logicznych argumentów, Cole wyskoczył z łóżka i chwycił swoje zmięte dzinsy.

- Klient jest zawsze uprzywilejowany i... - Wsunął jedną nogę w nogawkę spodni i ruszył, podskakując, do drzwi.

- Jasne, jasne, wiem - ucięła.

Na podeście, z którego widać było hol, ciągle jeszcze walczył z dzinsami.

- Nie podoba mi się to, Eve! - zawołał.

Szła szybko schodami, z ręką na lśniącej poręczy. Nawet na niego nie spojrzała.

- To niebezpieczne. - Udało mu się wciągnąć spodnie w chwili, kiedy Eve dotarła na dół.

- Jestem już dużą dziewczynką, Cole.

- Eve! Zaczekaj! To bez sensu!

Była już przy drzwiach, zarzuciła torebkę na ramię. Cole biegł na dół,

mocując się z rozporkiem na guziki.

- Nie możesz pojechać...

- Mogę i pojadę. - Sięgnęła do klamki, ale Cole był szybszy - zabarykadował sobą drzwi.

- Zaczekaj - powiedział stanowczo. Wściekła się.

- Co ty wyprawiasz? Nie żyjemy w średniowieczu! Zjeżdżaj!

- Nigdy nie ufałem Royowi.

- Ty nikomu nie ufasz. Nawet mnie, jak widzę. Więc skończ już z tymi bzdurami w stylu macho!

Wtedy właśnie popełnił największy błąd: chwycił ją za ramię i ścisnął mocno, wbijając palce w jej ciało.

- Pojadę z tobą.

Spojrzała na jego zaciśniętą na swoim ramieniu dłoń.

- Puść mnie, Cole - powiedziała zaskakująco spokojnie. - I nigdy więcej nie próbuj w ten sposób powstrzymać. - Patrzyła na niego zimno.

- O co ci chodzi, Eve? — spytał, rozluźniając uścisk. Nie rozumiał jej. Dlaczego Royal Kajak miał nad nią taką władzę? Bo był przyjacielem z dzieciństwa? Podmiotem jej badań? A może chodziło o coś więcej? Coś głębszego. Mroczniejszego. Intymnego.

- Przesadziłeś. - Jej głos brzmiał groźnie. - Zdecydowanie przesadziłeś. Wychodzę. Ty zostajesz, a jeśli natychmiast mnie stąd nie wypuścisz, wezwę policję.

Opuścił ręce, jakby go użądliła, a ona wyjęła telefon komórkowy z bocznej kieszonki torebki.

- Naprawdę wezwałabyś policję?

Nie odpowiedziała, minęła go po prostu z telefonem w dłoni, otworzyła drzwi i ruszyła do samochodu.

Jeszcze teraz, kilka miesięcy później, ciągle słyszał trzaśnięcie drzwi, warkot silnika i pisk opon, kiedy zawracała na podjeździe.

Chwilę stał bez ruchu, po czym zamknął drzwi i wbiegł na schody, przeskakując po dwa stopnie. Wpadł do sypialni, rzucił się do garderoby i szybko przekręcił zamek szyfrowy sejfu, w którym trzymał rewolwer. Polem zbiegł do samochodu, zdezorientowany i zaniepokojony. Bał się o Eve.. Działo się coś niedobrego. Eve coś przed nim ukrywała.

A on znał skrót prowadzący do starej chaty.

## Rozdział 5

Latarnie rzucały na ulicę niesamowite błękitne światło. Eve zatrzymała samochód przed domem otrzymanym w spadku po babce. Bolały ją ramiona i głowa, w końcu jednak dotarła do jedynego miejsca na ziemi, które mogła nazywać domem.

Zaparkowała na podjeździe przed starym garażem na jeden samochód. Dom babci stał z dala od innych. Do wejścia prowadził zadaszony ganek. Budynek, w stylu wiktoriańskim, miał trzy piętra i wieżyczkę, którą babka Eve wykorzystywała jako swoje artystyczne studio tak długo, jak długo mogła wspiąć się na strome, spiralne schody. Eve już jako dziecko uważała ten pokój za własny; ilekroć spędzała u babki weekendy albo wakacje, spała w wieży. Były tam okna wychodzące na cztery strony świata i wyjście na kryty gontem dach. Latem Eve często na nim siadywała, patrząc ponad dachami innych domów i czubkami drzew w stronę St. Charles Avenue, Magazine Street i dzielnicy Irish Channel. Wyobrażała sobie wtedy, że może stamtąd zobaczyć rzekę Missisipi - co oczywiście było niemożliwe.

Teraz spojrzała na stary dom i uśmiechnęła się z ulgą.

- Udało nam się - powiedziała do Samsona, wyłączając silnik.

Najważniejsze to wypuścić kota! No, jeśli nie na dwór, to przynajmniej z klatki, żeby pobiegał sobie po domu. Przez kilka dni go w nim przetrzyma, żeby się na nowo zadomowił, dopiero później da mu więcej wolności.

Spojrzała na wycinki z gazet, ciągle zaścielające siedzenie pasażera i podłogę: postanowiła na razie je tam zostawić. Już tak bardzo jej nie przerażały. Później je zabiore, powiedziała sobie, wyjmując z samochodu torebkę i pojemnik z kotem. Postawiła je na schodkach wiodących na ganek i do drzwi na tyłach budynku.

Zawsze kochała ten dom, jego wąskie korytarze, wysokie sufity, zapach mocnej kawy i ciasta z pigwą, i saszetek z suszonymi kwiatami. A jednak była równie zaskoczona jak inni, kiedy okazało się, że babcia zostawiła go jej, pomijając własnego syna i dwóch braci Eve.

Otworzyła tylne drzwi, przeszła przez mały przedpokój i po chwili znalazła się w kuchni. Włączyła światło i zmarszczyła nos, czując nieprzyjemny zapach kurzu i stęchlizny, którym podczas jej

nieobecności przesiąknęły stare belki. Czuła też silny odór zgnilizny. Zajrzała pod zlewozmywak - no tak, śmieci sprzed trzech miesięcy.

- Super - mruknęła, otwierając klatkę z kotem. Samson natychmiast z niej wybiegł.

Przez następną kwadrans wносиła śmieci, włożyła nowy worek do kosza i przygotowała jedzenie i wodę dla Samsona. Potem przytaszczyła swoje bagaże, postawiła je przy schodach i wróciła po raz ostatni do samochodu, żeby pozbierać wycinki. Już sam ich widok był obrzydliwy. Ktokolwiek zadał sobie trud, by powycinać je z gazet, wsunąć do koperty i czekać na odpowiedni moment, by podrzucić je do jej samochodu, miał w tym swój cel.

Chciał ją przestraszyć.

No bo po co włamywać się do samochodu i zostawiać kopertę anonimowo? Czy stało się to na stacji benzynowej, gdzie być może zapomniała zamknąć samochód? To tam widziała mężczyznę w ciemnych okularach, który się jej przyglądał.

Teraz nie miała już żadnych wątpliwości: była śledzona.

On może gdzieś tu być. Może mnie obserwować.

Gwałtownie podniosła głowę i rozejrzała się po pustej ulicy. Popatrzyła na krzewy rosnące wokół domu i alejkę za garażem. Wyteżyła wzrok i słuch, ale nikogo nie dostrzegła, nie dobiegły jej żadne dźwięki, żadne kroki ani szepty. Nie wyczuła też nic poza zapachem deszczówki spływającej z szerokich liści górskiego lauru przy podjeździe.

Zadrżała, chwyciła wycinki i nacisnęła guzik na pilocie do centralnego zamka. Samochód zapiszczał, mrugnął światłami postojowymi i wszystkie drzwi zamknęły się jednocześnie. Dość nieproszonych wizyt. Obejrzała się i poczuła, jak włoski na jej karku podnoszą się lekko. Kto to zrobił? Czy ktoś za nią jeździł?

Wszystko wokół wydawało się takie zwyczajne i bezpieczne. W oknach okolicznych domów paliły się ciepłe światła, noc była cicha, spokojna, słychać było tylko szum przejeżdżających samochodów i szelest wiatru w liściach drzew. Ale pozory często mylą. Eve była czujna, napięta. Szybko wróciła do domu i zamknęła drzwi na zasuwę, która głośno szczęknęła.

Położyła kopertę i wycinki na kuchennym stole i przyjrzała im się z

pewnej odległości, jakby bała się ich dotknąć. Blisko trzydzieści artykułów, wszystkie starannie wycięte, o ząbkowanych brzegach. I wszystkie o tragicznej śmierci Faith Chastain.

Kto je podrzucił?

I dlaczego?

Co ona może mieć wspólnego z kobietą, która nie żyje od ponad dwudziestu lat?

Usiłując znaleźć odpowiedzi na te pytania, Eve zastanowiła się nad tym, co wiedziała:

Faith Chastain zginęła w Szpitalu Naszej Pani od Cnót. Szpitalu psychiatrycznym, w którym praktykował mój ojciec. W masywnym budynku z czerwonej cegły, gdzie bawiłam się jako dziecko, kryjąc się przed zakonnicami, podglądając pacjentów.

Potarła rękę, próbując zdusić niepokój. Czy nie chciałaś tam wrócić? - zapytała siebie. - Nie chciałaś przejść jeszcze raz tymi korytarzami i zajrzeć do tych pokoi, w których byłaś świadkiem tyłu aktów okrutnej przemocy, nazywanych wówczas leczeniem? Czyż nie fascynowało cię to miejsce? Czy nie jest ono istotne dla twoich badań? Nie masz zamiaru porównać dawnych metod fizycznego pacyfikowania pacjentów, tak często stosowanych w tym szpitalu, z działaniem niektórych środków psychotropowych, jakie często podaje się obecnie? I najważniejsze pytanie: Kto jeszcze o tym wie? Dlaczego go to interesuje? Co próbujecie ci powiedzieć?

Z trudem przełknęła ślinę, zaczęło jej się kręcić w głowie. Jeśli jej teoria jest prawdziwa i ktoś chce ją przestraszyć albo zniechęcić do badań, albo... co? Ostrzec? W takim razie po co te artykuły o Faith Chastain? O kobiecie, której ona nawet nie pamięta...

A może pamięta?

Czy Faith Chastain należała do tych pacjentów, których Eve obserwowała jako dziecko? Serce zabiło jej mocniej i ogarnął ją wstyd, jak zawsze, kiedy przypominała sobie, że często wówczas okłamywała ojca, mówiła, że idzie na huśtawki albo na spacer czy do stajni, gdzie trzymano kilka koni, podczas gdy w rzeczywistości skradała się jak duch po szpitalu, zaglądała do pokoi, do których nie wolno jej było wchodzić, i lekceważyła wszelkie zakazy.

Widywała pacjentów w kaftanach bezpieczeństwa albo skrzepowanych w inny sposób, co przerażało ją, ale też fascynowało.

Niektórych wiele lat wcześniej poddano zabiegom lobotomii, wielu było ofiarami terapii elektrowstrząsowej.

Te dziecięce lęki nadal sprawiały ją w zakłopotanie, teraz również poczuła, jak na policzki wypływa jej rumieniec. Pacjenci, którzy tak ją fascynowali, podobnie jak ci, których starała się unikać, i ci, którzy ją po prostu przerażali, byli chorymi ludźmi, zmagającymi się ze swymi wewnętrznymi demonami. Ale co ona mogła wtedy wiedzieć o ich chorobach i psychozach?

Nie wiedziała właściwie nic. Jeśli nawet nie była wobec nich obojętna, to z pewnością najbardziej interesowała się sobą. Pacjenci cierpiący na poważniejsze zaburzenia wywoływali u niej często dreszcz odrazy. Intrygowali ją i przerażali zarazem. Jej zainteresowanie psychiatrią nie było tylko wyborem kariery, ale także sposobem zadośćuczynienia. Śmierć Roya i pobyt w szpitalu sprawiły, że opuściła semestr wiosenny, miała jednak nadzieję, że wróci na uniwersytet jesienią.

Otrząsnęła się i spojrzała na wycinki. Ktoś najwyraźniej wie o jej związkach ze starym szpitalem. Ale dlaczego to dla niego takie ważne?

Westchnęła i podeszła do stołu. Przez chwilę podnosiła wycinki, czytała je i układała od nowa, starając się wprowadzić jakiś porządek. Nie było na nich dat, podzieliła je więc na te z prasy codziennej i te, które wycięto z magazynów. Postanowiła, że jak tylko znowu podłączy modem, poszuka tych artykułów w Internecie.

Ale nie teraz. Teraz, po długiej podróży, znowu bolała ją głowa. Prześpi się z tym i może rano coś wymyśli. Potarła palcami skronie, podeszła do zlewozmywaka i odkręciła wodę, a potem zaczęła szukać czystej szklanki. Połknęła kolejne dwie tabletki aspiryny, popiła je zimną wodą, pochyliła się nad zlewem i przemyła twarz.

Zakręciła kran, wzięła czystą ściereczkę z szuflady i wytarła się. Rozejrzała się po znajomym pomieszczeniu i nieprzyjemne przeżycia tego dnia trochę zblakły. Kiedyś spędzała w tej kuchni długie godziny w towarzystwie babki. Różowe kafelki, kwiecista tapeta w odcieniach szarości, różu i zieleni, białe wtedy szafki, podłoga z grubych desek - nic się tu nie zmieniło od czasu, kiedy Eve była małą dziewczynką, która musiała stawać na krześle, żeby lepić figurki z surowego ciasta. Babka robiła potem z niego najlepsze pod słońcem wypieki.

Uśmiechnęła się do siebie na wspomnienie swoich ubrudzonych



mąką rączek i białego fartuszka. Jej bracia - mali barbarzyńcy, jak nazywała ich babka - bawili się prawie wyłącznie na podwórku, bez względu na pogodę. Już wówczas babka traktowała ją inaczej. Chłopcom nie wolno było wchodzić w butach do domu, Eve natomiast mogła robić, co jej się żywnie podobało. Była ulubienicą babci, od samego początku. Mimo że Eve adoptowano, babka uważała ją za kogoś szczególnego, ponieważ to ona na dobre scaliła małżeństwo Terrence'a Rennera. Jego żona weszła w ten związek z dwoma synami ze swojego poprzedniego małżeństwa z człowiekiem, który spędził więcej czasu w więzieniu niż poza nim. Terrence adoptował wprawdzie Kyle'a i Vana, ale obaj chłopcy wchodziłi już wtedy w trudny wiek nastoletni chuligani i łobuzy, narzekała na nich babka. Eve natomiast pojawiła się w rodzinie jako rozkoszne niemowlę.

Ani w dzieciństwie, ani później nie mogła za bardzo liczyć na Kyle'a i Vana. Kyle wyrósł na ponurego, nieszczęśliwego człowieka, a Van na myślącego tylko o sobie egoistę, narcyza i samoluba.

Eve zdawała sobie teraz sprawę z tego, że babka, którą kiedyś darzyła takim szacunkiem i którą bardzo podziwiała, była w rzeczywistości starą bigotką, znajdowała zadowolenie w wyróżnianiu jednych, by pognać innych. Kiedy Dorothy Gilles Renner zmarła, okazało się, że lwia część swojego majątku zapisała Eve. Kyle i Van otrzymali symboliczne sumy, a Terrence, jedyne dziecko Dorothy, dostał starą opuszczoną farmę na mokradłach i po swoim ojcu pamiątki z okresu drugiej wojny światowej.

Dla wszystkich mężczyzn w rodzinie była to gorzka pigułka.

Eve uznała decyzję babci za dość niesprawiedliwą i gryzła ją trochę sumieniem. W końcu postanowiła, że jeśli kiedykolwiek sprzeda dom, postara się jakoś wynagrodzić braciom krzywdę.

Ale nie dziś.

Dziś była wykończona. Przeszła przez dom, włączając lampy na stolikach. U stóp schodów chwyciła największą walizkę i zaczęła ją wciągać na górę po skrzypiących drewnianych stopniach. Kolorowa tapeta na ścianie spłóviała od słońca, jak wszystko w tym domu, i Eve zastanawiała się czasem, czy babka zostawiła jej w spadku kurek znoszącą złote jaka, czy raczej albatrosa. Renowacja domu z zachowaniem jego historycznego uroku kosztowałaby fortunę, więc na razie Eve nie mogła wymienić strzępiących się chodników, spłóviałych

tapet i popękanych kafelków.

Na drugim piętrze zatrzymała się, odetchnęła głęboko i zmarszczyła brwi, bo nagle uświadomiła sobie, jak bardzo jest jeszcze słaba. I to wszystko przez jeden strzał niedoszłego zabójcy.

Cole'a.

Jej kochanka.

Powiernika.

Oprawcę.

Przypomniała sobie jego przystojną, gniewną twarz, kiedy patrzył na nią, podnosząc rewolwer. Przypomniała sobie brzęk tłuczonego szkła. Na myśl o tym, że omal jej nie zabił, zrobiło jej się niedobrze.

Tak właśnie było.

Czyż nie?

Cole chciał ją zabić...

- Drań - szepnęła, usiłując otrząsnąć się z tych przykrych wspomnień. Dzisiaj nie miała siły tego rozpamiętywać.

Weszła do głównej sypialni, wrzuciła brudne ubrania do kosza, a resztę powiesiła na wieszakach. Zeszła na dół, wzięła Samsona na ręce i przytuliła go mocno. Zamruczał głośno, zadowolony, owijając ogon wokół jej talii.

- Przepraszam za tę koszmarną podróż - powiedziała. - Jesteś takim grzecznym kotkiem. Wybaczysz mi? - Samson spojrzał na nią wielkimi złotymi oczami, a potem potarł głową o jej podbródek i znów zamruczał. - No, ale już jesteśmy w domu. I co teraz zrobimy? Hm? Chyba trzeba zacząć życie od nowa.

I spotkać się z Cole'em. Bez względu na wszystko. Kot wysunął się z jej ramion, wskoczył na parapet przy kuchennym stole i spojrzał przez szybę w noc.

- Nie włączaj na białe - upomniała Eve, jak zawsze. - Ani na stół. Sprawdziła jeszcze raz, czy wszystkie drzwi są zamknięte na klucz

i zasuwę, po czym poszła do łazienki. Zamknęła się od środka, opłukała starą wannę na wygiętych nóżkach i napuściła do niej wody. Rozebrała się i weszła do ciepłej kąpieli.

Niebiańsko, pomyślała, zanurzając się aż po brodę. Po całym jej ciele rozlewało się teraz przyjemne uczucie ciepła, rozluźniając napięte mięśnie szyi i pleców. Zamknęła oczy. Słyszała tylko cichy plusk opływającej jej ciało wody, własny oddech, daleki szelest wiatru w

liściach magnolii na podwórku i skrzypienie desek starego domu. Sięgnęła po mydło.

Znowu w wyobraźni zobaczyła Cole'a. Surową, męską twarz, błękitne oczy, których kolor zmieniał się nieznacznie w zależności od światła, wąskie usta, jeszcze węższe, kiedy był zły, i zaokrąglone do góry, kiedy się śmiał. Sądziła, że jest tym jedynym, jeśli coś takiego w ogóle istnieje ale się pomyliła.

Bardzo się pomyliła.

- Sukinsyn - zaklął Cole, wyjeżdżając z miasta. Rozmyślenia o Eve prowadziły donikąd.

Uważnie przyglądając się samochodom, przejechał przez most nad Lake Pontchartrain. Nawet nie spojrzał na szeroką, ciemną, głęboką przestrzeń wód. Nerwowo zastukał palcami w kierownicę. Po drugiej stronie jeziora minął kilka małych miasteczek i w końcu dojechał na skraj lasu, gdzie jeden z jego kuzynów ciągle miał domek na kółkach. Bawili się tu często jako dzieci, ale Cole podejrzewał, że Jim, od lat mieszkający z żoną i synem pod Philly, w ciągu ubiegłej dekady ani razu nie odwiedził tego miejsca. Zaparkował samochód i czekał.

Pięć minut.

Dziesięć.

Nikt się nie pojawił.

Doszedł do wniosku, że teraz albo nigdy.

Chwycił skrzynkę z narzędziami i zamknął dzipa. Noc była chłodna, między drzewami i nad wodą unosiła się delikatna mgiełka. Cole włożył grube rękawiczki, przeskoczył przez ogrodzenie i podszedł do starego domku. Był długi i niski. Kiedyś został pomalowany na biało i choć farba bardzo już ściemniała, nadal odcinał się od ciemnego lasu. Cole odważył się włączyć latarkę i skierował snop światła na aluminiowe okna. Zaciągnięte zasłony za brudnymi szybami były poplamione, a w szparach między framugami rósł zielony mech i snuły się pajęczyny.

Nikogo tu od dawna nie było.

Poza myśliwymi i wędkarzami, zapuszczającymi się czasem za ogrodzenie, był prawdopodobnie jedynym człowiekiem, który znalazł się ostatnio w pobliżu tego domu. Nie widział nawet śladów ogniska czy włamania, które mogłyby wskazywać na to, że jakiś włóczęga szukał tu schronienia.

Tym lepiej.

Czas uciekał, więc Cole ruszył szybko starą leśną ścieżką. Dotarł do rozwidlenia, skręcił bez wahania na południe i po chwili stanął przy pomoście, z którego kiedyś łowił z kuzynami ryby. Teraz nie było już łodzi, pomost zmurszał, drewnogniło i brakowało kilku desek. Cole skierował latarkę w kierunku zatoczki i usłyszał cichy plusk, pewnie aligator zanurzył się w wodzie.

Przesunął snopem światła wzdłuż brzegu i po chwili natrafił na samotny cyprys z rozłupanym pniem. Zbielące drzewo wyglądało jak duch. Cole miał nadzieję, że w ciągu ubiegłego roku nikt przy nim nie majstrował. Obszedł cyprys i znalazł dziurę między jego nagimi, wystającymi korzeniami. Włożył rękawiczki i oświetlił dziurę latarką, nie zobaczył jednak nic, bo otwór między korzeniami miał szerokość mniej więcej męskiej dłoni. Kucnął bliżej, wyjął ze skrzynki długi śrubokręt, wsunął go do dziury i zaczął nim poruszać na wszystkie strony. Chciał mieć pewność, że w środku nie znalazł schronienia wodny mokaszyn czy inne stworzenie.

Żadne zwierzę nie wyskoczyło spod starego drzewa, sycząc, warcząc czy szczekając, ale Cole i tak czuł, że serce bije mu szybciej. Sięgnął ręką do środka i delikatnie pogrzebał palcami w ziemi, aż coś zaszeleściło.

- Bingo - szepnął i wyciągnął spomiędzy korzeni nylonowy woreczek. Wsunął go do skrzynki z narzędziami i ruszył z powrotem ścieżką wśród drzew i niskich krzewów. Prawie biegł i nie słyszał nic poza własnym oddechem i przyspieszonym biciem swojego serca. Gdyby ktoś go tu teraz przyłapał, miałby się z czego tłumaczyć.

Przy ogrodzeniu wyłączył latarkę, wspiął się na nie i po chwili wylądował dwadzieścia metrów od dżipa. Leżał przez chwilę nieruchomo na ziemi, z trudem łapiąc oddech, i czekał.

Minęło kilka sekund.

Krople potu spływały mu za kołnierz.

Gdzieś na wschodzie rozległo się pohukiwanie sowy, ale nie słyszał niczych kroków, nie dostrzegł żadnej postaci czającej się w mroku, nie wyczuł w powietrzu jakiegoś niepokojącego zapachu.

Zbieraj się, chłopie. Teraz albo nigdy.

Podniósł się, napięty i czujny, a kiedy nikt na niego nie skoczył, ruszył szybko do samochodu. Otworzył go, wrzucił do środka skrzynkę

z narzędziami i brudną nylonową szaszetkę i odjechał.

Dalej także nie czekały na niego policyjne samochody błyskające czerwonymi i niebieskimi światłami, nie było krzepkich, uzbrojonych funkcjonariuszy. Zmienił bieg i przyspieszył, od czasu do czasu spoglądając na szaszetkę na siedzeniu obok. Ale dopiero siedem kilometrów dalej, kiedy przejeżdżał przez małe miasteczko, sięgnął do niej i rozpiął zamek błyskawiczny. Jego palce natrafiły na plastikowy woreczek. Włączył lampkę i w jej świetle dojrzał pieniądze - piętnaście ciasnych zwitków, po tysiąc dolarów w każdym, z banderolami. Piętnaście tysięcy. Może to nie majątek, ale wystarczy, by mógł zacząć od nowa.

Pieniądze splamione krwią, pomyślał, lecz tak naprawdę nic go to nie obchodziło.

Montoya spojrział na swoją odznakę i rzucił ją na stół. Czasami naprawdę miał dość tej pracy. Poszedł do kuchni, otworzył lodówkę, wziął piwo i zdjął z butelki kapsel. W domu panował chaos, ponieważ właśnie trwał gruntowny remont. Część instalacji hydraulicznej działała, część nie, a ścianę oddzielającą jego szeregowy dom od domu sąsiada rozebrano. Teraz, aby zatrzymać ciepło, płachta z grubej folii oddzielała dwa identyczne pomieszczenia, które miały zostać połączone w jedno. Kuchnia będzie więc dwa razy większa, będą też dwie łazienki i jeszcze jedna sypialnia.

Kiedys.

Pociągnął łyk piwa, usiadł w fotelu i z roztargnieniem poklepał dużego psa po głowie. Hershey, brązowa labradorka jego dziewczyny, polizła go po ręce.

- Dobra sunia - mruknął Montoya, choć myślał o czymś innym. Przeglądał właśnie kopie akt dotyczących zabójstwa Roya Kajaka.

Czegoś w tej sprawie nie zauważyli, przeoczyli jakiś dowód, który pozwoliłby im połączyć z tą zbrodnią Cole'a Dennisa. Nie, inaczej – dowody były, ale zostały zagubione albo zanieczyszczone. Mieli na przykład kawałek czarnej wełnianej dzianiny - na pierwszy rzut oka pasował do dziury w jednym ze swetrów Dennisa - zgubili go jednak, zanim został przetestowany pod kątem plam krwi i dziury w rękawie pulovera znalezionej u Dennisa. Problem w tym, że pulover nie był zakrwawiony, tylko dziurawy, więc tak naprawdę nie mieli nic konkretnego. Gdyby nawet kawałek dzianiny się nagle odnalazł, tylko

on mógłby posłużyć jako dowód, więc i tak szanse byłyby niewielkie. Tak czy inaczej popełniono poważny błąd, a departament nie mógł sobie na to pozwolić, zwłaszcza w przypadku kogoś takiego jak Cole Dennis.

Wszystko to razem oznaczało, że poza zeznaniem Eve Renner nie mieli żadnego dowodu na to, iż Dennis w ogóle był w chacie.

- Cholera - mruknął Montoya, kręcąc głową. Nie mieli nic, co pozwoliłoby im przyskrzynić drania, a główny świadek cierpiał na amnezję.

Więc Dennis wyszedł na wolność.

Montoya zastanawiał się, czy Eve Renner celowo sabotowała tę sprawę. Dennis był kiedyś jej kochankiem. Ale po co w takim razie w ogóle go wskazała?

Przeczesał krótkie włosy palcami i skrzywił się tak mocno, że aż rozbolała go twarz. A na myśl o prokuratorze, który zajmował się oskarżeniem w tej sprawie, rozbolały go też zęby.

Hershey szczeknęła krótko i rzuciła się do frontowych drzwi. Stała tam i machała ogonem, wzniesając tumany kurzu.

Abby wróciła do domu.

Montoya poweselał.

Drzwi skrzypnęły i otworzyły się, a pies oszalał z radości. Abby zatrzymała się na ganku, by strząsnąć krople deszczu z parasolki. Złożyła ją i wsunęła do kosza przy drzwiach, potem zdjęła płaszcz i powiesiła go na wygiętej gałęzi - niby-wieszaku. Zauważyła, że Montoya na nią patrzy, i uśmiechnęła się do niego seksownie. Ten uśmiech natychmiast na niego podziałał.

- Cześć.

- Witaj w domu.

- Przepraszam za spóźnienie, ale zrobiłam po drodze zakupy. Sekundkę... Dzień dobry, psinko. Tęskniłaś za mną? - spytała, pochylając się nad Hershey i drapiąc ją za uszami. Labradorka popiskiwała radośnie i pchała głowę pod jej pachę. - Tak, ja też za tobą tęskniłam. - Hershey jeszcze bardziej młóciła ogonem. - No już, uspokój się - nakazała Abby ze śmiechem, omal się nie przewracając.

Montoya nie mógł się nie uśmiechnąć. Widok Abby, która podniosła się i otrzepała ręce z kurzu, natychmiast poprawił mu humor.

- No, detektywie - powiedziała, wskazując Hershey - takiego właśnie powitania oczekuję.

Wróciła na ganek i przyniosła białą plastikową reklamówkę i portfolio; położyła je na huśtawce, żeby otworzyć drzwi.

- Mam machać ogonem i cicho skomleć? - spytał Montoya.

- Na początek, owszem. A później, sama nie wiem, mógłbyś na przykład trącać mnie nosem i lizać po twarzy.

Uśmiechnęła się do niego. Boże, była taka śliczna. Mimo że związała włosy z tyłu, kilka złotych kosmyków opadało jej na twarz. Z tymi małymi, często wydętymi jakby w zamyśleniu ustami i oczami o barwie dojrzałej whisky zawojowała go jak żadna inna kobieta. Teraz w tych pięknych oczach pojawił się zalotny błysk.

- I nie zapominaj o tym, żeby ucałować moje stópki powiedzieć, że za mną szalejesz i nie możesz beze mnie żyć.

- A co dostanę w zamian?

- Hm... niech pomyślę...

Podszedł do niej trzema wielkimi krokami.

- A co byś chciał? - spytała miękko.

- Uważaj - ostrzegł ją. - Wypływasz na niebezpieczne wody. Uniosła brew.

- To moja specjalność.

- Och, moja pani. - Zaśmiał się, pokręcił głową i objął Abby ramieniem. - Zapomnijmy o kolacji i chodźmy prosto do łóżka.

- Mowy nie ma. Dziesięć minut szukałam miejsca, żeby zaparkować, w końcu zostawiłam samochód w wydzielonej strefie dla dostawców, a później wystąpiłam się w kolejce po ostatnie *pad Thai*. Więc przykro mi, najpierw musimy zjeść. Ale później... kto wie?

- Co ja z tobą mam. - Montoya przycisnął usta do jej warg i natychmiast poczuł, jak stopniała pod tym pocałunkiem.

- No tak, potrafisz być bardzo przekonujący, ale naprawdę, najpierw zjedźmy kolację. Widzę, że dzisiaj nie pojawił się nikt z naszej ekipy remontowej.

- Ktoś przyjdzie jutro. Obiecali.

- Hm - mruknęła z niedowierzaniem, spoglądając na plastikową folię rozpiętą za telewizorem. Tam, gdzie były kiedyś wbudowane w ścianę półki, teraz szeleściła folia oddzielająca salon Montoi od identycznego salonu, który należał kiedyś do Selmy Alexander. - A co to jest? -

spytała, patrząc na leżące na stole akta Dennisa. - No tak, słyszałam. Wszędzie mówili o tym, że Cole Dennis został zwolniony. - Poszła do kuchni z Her-shey i otworzyła reklamówkę, w której miała plastikowe pojemniki z jedzeniem. Rozłożyła makaron, warzywa i kurczaka na dwa talerze i dodała: - Wiem, że to sprzeczne z twoimi przekonaniem, ale może powinieneś dać sobie z tym spokój.

Montoya pokręcił głową.

- Nie mogę. Jestem pewien, że Cole Dennis siedzi w tym po uszy.

- Ale nie potrafisz tego udowodnić.

- Jeszcze nie. - Montoya potarł brodę, poszedł za Abby do kuchni i oparł się biodrem o blat.

- Mam wrażenie, że to jakaś osobista wendeta.

- Nazwij to, jak chcesz. - Pociągnął łyk piwa z butelki. - Musi być jakiś sposób, żeby przygwoździć tego sukinsyna, i mam zamiar go znaleźć.

Abby podała mu talerz.

- Zrób trochę miejsca na stole, a ja przyniosę widelce. Chyba że wolisz pałeczki...

- Nie, widelce.

- A gdzie jest Ansel? Montoya wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia.

Abby spojrzała na niego podejrzliwie.

- Był w domu, kiedy wróciłeś?

- Nie wiem. Mówię ci, ten kot mnie nie cierpi.

- Też coś! - Abby wzniosła oczy do nieba. - Ale ty chyba nie robisz nic, żeby się z nim zaprzyjaźnić.

- Bo do tego trzeba dwojga.

- Dwojga to trzeba do tanga.

- Tak? - Montoya uśmiechnął się szeroko, a Abby posłała mu zjadliwe spojrzenie, podała sztucce i kazała nakryć do stołu. Sama zaczęła szukać kocura.

Montoya nie przepadał za kotami w ogóle, a ten szczególnie działał mu na nerwy. Tolerował go jednak, ponieważ Abby była przywiązana do tego okropnego zwierzęcia. Wróciła po chwili z szarym kociskiem w objęciach. Ansel mruczał głośno, kiedy drapała go po różowawym brzuchu i szeptała mu coś do ucha. Potem odwrócił głowę i spojrzał na Montoyę złotymi oczami z taką wyższością, jakby rozumiał wszystko,



co się tu mówiło, i potrafił to wykorzystać.

- Cały i zdrowy, jak widzę.

- Chował się pod łóżkiem.

- Mówię ci, nie zrobiłem nic poza tym, że wszedłem do domu.

- Jasne, detektywie. - Abby uśmiechnęła się, a kot wysunął się z jej ramion, zeskoczył na podłogę i ukrył pod kanapą.

- Nienawiść od pierwszego wejrzenia.

- Nie przejmuj się. Jedz. - Wyciągnęła z kredensu dwie podstawki pod talerze i położyła je na stole.

Montoya wyjął drugie piwo z lodówki i postanowił nie myśleć o sprawie Cole'a Dennisa. Uznał, że potrzebuje przerwy. Otworzył butelkę i podał ją Abby, przyniósł serwetki, sos sojowy i noże, po czym usiadł na krześle po drugiej stronie stołu.

Mieszkali razem od niedawna, więc czasami czuli się jeszcze trochę niezręcznie. Zaręczyli się i Abby wprowadziła się do niego. Choć nie znali się długo, czuł, że to z nią chce spędzić resztę swoich dni. Z kobietą po rozwodzie, w której życiu, kiedy się po raz pierwszy spotkali, panował chaos.

- Gina dzisiaj dzwoniła - powiedziała Abby, nawijając makaron na widelec.

Gina była jej starszą siostrą. Mieszkała w Seattle.

- Co u niej?

- Spytałam ją o to samo, a ona na to, cytując: :Z dnia na dzień jestem coraz piękniejsza:.

- Widzę, że nie ma problemu z postrzeganiem samej siebie - mruknął Montoya, ale oboje wiedzieli, że Gina mówiła o operacji plastycznej, którą właśnie przeszła. Operacja miała usunąć blizny po ataku szaleńca; omal jej nie zabił. Montoya nie wątpił, że twarz Giny się zagoi, zastanawiał się natomiast nad jej psychiką. Czy koszmar porwania przez mordercę psychopatę może nie pozostawić u niej śladów?

- Chciała wiedzieć, czy wiadomo już coś w sprawie zaginionego dziecka naszej matki. - Abby odłożyła widelec i spojrzała Montoi w oczy.

Powiedziałam, że niczego się nie dowiedziałam. Między brwiami Abby pojawiła się głęboka zmarszczka. Montoya doskonale rozumiał jej frustrację. Abby dorastała w przekonaniu, że ona i jej siostra Gina

były jedynymi dziećmi Faith Chastain, nieszczęsnej kobiety, która większość swojego dorosłego życia spędziła w Szpitalu Psychiatrycznym Naszej Pani od Cnót, zamkniętym już od ponad dwudziestu lat. Dopiero niedawno tajemnica związana ze śmiercią Faith została wyjaśniona, jednak w tym samym czasie pojawiła się nowa zagadka: Faith Chastain urodziła jeszcze jedno dziecko. Sekcja wykonana po jej zgonie wykazała, że na jej ciele znajdowała się blizna po cesarskim cięciu. Blizna, której nie liyło wtedy, gdy mała Abby przypadkiem widziała matkę nago.

Co więc stało się z tym dzieckiem?

Na razie nikt nie miał pojęcia.

Abby odsunęła talerz i oparła łokcie na stole.

- Sprawdziłam wszystkie akty urodzeń i adopcji z okresu tych piętnastu lat, jakie upłynęły od moich narodzin do śmierci matki. Jeśli urodziła jeszcze jedno dziecko, musiało się to stać w tym czasie. Ale nic nie znalazłam. A ty?

- Też nic. - Departament, oczywiście, nie miał żadnych informacji. Nie było doniesienia o przestępstwie, więc Montoya zadzwonił do starego kumpla, byłego policjanta, który aktualnie pracował jako prywatny detektyw. - Rozmawiałem z Graziano w ubiegłym tygodniu, ale on też niczego nie znalazł. Ciągle jednak szukamy.

- Jedyne sposob, żeby się czegoś dowiedzieć, to poszukać w aktach szpitala.

- Szpital Naszej Pani od Cnót był prywatną instytucją.

- Co z tego? Gdzieś muszą być dokumenty. - Abby wzięła swój talerz i włożyła go do zlewu. Hershey szła za nią krok w krok. - Ktoś na pewno wie gdzie.

Montoya domyślał się, do czego zmierzała, i nie był tym zachwycony.

- Kościół.

- Bingo.

Wziął talerz i postawił go na blacie koło zlewu, do którego lała się woda.

- Chcesz, żebym pogadał z zakonnkami?

- Nie musisz. Ja to zrobię.

- Abby - powiedział łagodnie, dotykając jej ramienia, żeby na niego spojrzała. - Może już czas sobie odpuścić.

- Chcesz, żebym zapomniała, że mam gdzieś brata albo siostrę, której nigdy nawet nie widziałam?

- Dziecko mogło nie przeżyć.

Już kiedyś o tym rozmawiali, ale Abby była bardzo uparta.

- Więc sprawdźmy to, dobrze? - Wytarła ręce ściereczką i rzuciła mu ją. Złapał ją, a Abby wycelowała w niego palec wskazujący. - Posłuchaj, detektywie, rozwiążę tę sprawę. Muszę to wiedzieć, muszę poznać prawdę. Więc albo mi pomożesz, albo zajmę się tym sama. Wybór należy do ciebie.

- Dobrze już, dobrze. Jestem z tobą.

- W porządku.

- Mówię tylko, że możemy się niczego nie dowiedzieć, a jeśli się dowiemy, może to być coś, czego wolałabyś nie wiedzieć.

- Znów to samo. - Abby westchnęła głęboko i podniosła do góry obie dłonie. - Słuchaj, nie chciałam cię wciągać w kłótnię.

- Nie wciągnęłaś. Uśmiechnęła się przebiegle.

- Próbowałam.

- Ale ci się nie udało.

- Jesteś niemożliwy.

- Dobrze i to. - Trzepnął ją lekko ściereczką po nodze. - Poza tym, porachuję się z tobą później.

- Tak? W sypialni? - spytała, szeroko otwierając oczy i kładąc dłoń na sercu z udawanym przerażeniem. - Co takiego wymyśliłeś?

- Zobaczysz...

Ku zaskoczeniu Montoi, sięgnęła do jego paska, odpięła przyczepione do niego kajdanki i pomachała mu nimi przed nosem, potem przysunęła się bliżej i pocałowała go w ucho.

- Ty też, detektywie - mruknęła, poruszając językiem diamentowy kolczyk w jego uchu. - Ty też...

## Rozdział 6

Wskrzesciciel był bardzo podekscytowany. Gotowy. Napięty do granic wytrzymałości.

Nadszedł czas.

Nareszcie.

Nie mógł się już doczekać.

Coś pchało go do działania. Krew burzyła się w żyłach.

Niemal bezgłośnie przeszedł przez niskie krzaki i zbliżył się do starego, pochyłego płotu. Ubrany tak, jakby czekała go bitwa, z bronią przy ciele, osaczał swoją ofiarę. Z ziemi podnosiła się delikatna mgiełka sprzyjała mu tak samo jak ciemność.

W oddali, za szerokim polem, dostrzegł pojedynczy dom. W oknach palily się słabe światła. Jego puls przyspieszył. Przysiągł sobie, że będzie ostrożny. Nie chciał popełnić błędu i ściągnąć na siebie gniewu Głosu.

Nie tym razem.

Bóg przemówił do niego, a jego rozkazy były jasne. Ukradkiem podbiegł do wysokiej sosny i wtedy ciszę rozdarł głośny krzyk

Dłoń Wskrzesciciela sięgnęła do noża, jeszcze zanim zauważył grubego, włochatego rosomaka. Stworzak wspiał się na tylne łapy, obnażył brzydkie, małe zęby i patrzył na niego wyzywająco.

Głupie zwierzę. Miał wielką ochotę poderżnąć mu gardło i zostawić go na pastwę sępów i wron.

Ale tego nie było w planie, a on nie mógł ryzykować. Musi skoncentrować się na swoim zadaniu. Otrzymał wyraźny rozkaz. Głos Boga, silny i wyraźny, mówił dokładnie, co powinien zrobić, podczas gdy inne głosy były tylko irytującymi szumami w jego głowie. Tak, już niedługo zacznie zabijać.

Rosomak opadł na cztery łapy i powoli, niezgrabnie ruszył w stronę gęstych krzaków, chyba nie wiedział, że otarł się o śmierć. Wskrzesciciel patrzył za nim przez chwilę. Aż świerzbila go ręka, by sięgnąć po nóż.

Krzyżyk na drogę.

Zwierzę zniknęło w ciemnościach, a on odwrócił się w stronę domu. Tam była jego ofiara. Niczego nieświadoma.

W przyplywie energii rozsunął pręty z miękkiego drutu i przez otwór w ogrodzeniu wśliznął się na pole. Noc, jak na maj, była dość chłodna.

Nad polem unosiła się mgła, a powietrze, świeże i wilgotne po deszczu, wypełniało mu nozdrza zapachem mokrej ziemi.

To był długi, udany dzień.

Widział ją kilka razy.

Eve. Piękną Eve. Uwodzicielską Eve. Złą Eve.

Och, mieć pod sobą jej miękkie, uległe ciało. Poczuc jej zapach, jej smak, czuć, jak ociera się o niego gorączkowo. Słyszeć jej jęki, widzieć, jak wiję się z przerażenia i rozkoszy. Wejść w nią ostro, brutalnie, tak by krzyknęła, a na jej pięknej szyi nabrzmiały żyły... Robiłby z jej wspaniałym ciałem wszystko, na co miałby ochotę, a ona by się na to zgadzała, rozumiejąc, że takie jest ich przeznaczenie. Ukłękłaby przed nim, oblizując wargi... gotowa wziąć jego penis do ust.

Członek mu twardniał. Wskrzesciciel zacisnął zęby.

Nie czas na takie fantazje. Jeszcze nie.

Ale później... O, tak, później...

Teraz jednak musi się skoncentrować.

Ma zadanie do wykonania.

Ona poczeka.

Wiedział, gdzie ją znajdzie.

Wcześniej ją śledził. Upewnił się, że jechała do miasta, a nie do tego domu na peryferiach. Potem zjechał z autostrady na przedmieściach Nowego Orleanu, cofnął się trochę i bezbłędnie odnalazł miejsce, w którym mógł zaparkować furgonetkę. Ukrył ją za starą, rozpadającą się stodołą na zapomnianej łące w pobliżu trzęsawiska. Zostawił ją tam i poszedł pieszo prawie trzy kilometry przez las, zarośla i pastwisko. Widział ciemne, masywne kształty drzemiącego bydła, przestraszył stadko owiec, w końcu, już za pastwiskiem, przeszedł przez dwa strumienie.

To była jego misja. Głos ostrzegł go, że domu może strzec pies. Jeśli tak, załatwi go równie łatwo jak swoją ofiarę. Musiał jednak być bardzo ostrożny. Wyjął nóż ze skórzanej pochwy i wziął go w zęby.

Zauważył we mgle niewielkie wzniesienie i aluminiową bramkę. Wiedział, że nie może jej otworzyć ani przejść górą, bo narobiłby zbyt wiele hałasu. Znowu rozciągnął druty między słupkami ogrodzenia i niemal bezszelestnie prześliznął się na drugą stronę.

Znieruchomiał.

Wyteżył słuch i przez chwilę wpatrywał się w ciemność.

Ale nie wyczuł niczyjej obecności. Słyszał tylko bicie własnego serca, cichy szelest poruszanych wiatrem liści wierzb i skrzypienie drewnianych skrzydeł starego wiatraka.

Dom był niecałe dziesięć metrów dalej.

Na ganku nie świeciło się światło, ale przed drzwiami nie dostrzegł żadnego ciemnego kształtu. Nie słyszał skrobania psich pazurów po deskach, nie wyczuł zapachu psiej sierści ani odchodów.

Czujny jak zawsze, z ręką na rękojeści noża szybko przebiegł przez trawnik i wysypany żwirem podjazd. Zatrzymał się przed garażem, napięty jak struna, i jeszcze raz rozejrzał się dookoła. Psa nie było.

Dobrze. Włożył cienkie czarne rękawiczki i wyprostował palce. Czas oczekiwania minął.

Na palcach wszedł cicho po schodach na tyłach domu i znowu się zatrzymał. Popatrzył w okna. W kuchni było ciemno, ale trochę światła wpadało do niej z holu. Była czysta. Schludna. Na blacie stała tylko otwarta butelka whisky. Dobrze. Tak, jak się spodziewał. Dalej, na stole służącym najwyraźniej jako biurko, świecił mały czerwony punkcik. Przy otwartym laptopie leżał kalendarz albo inny notatnik, a obok telefon komórkowy podłączony do ładowarki, która świeciła w mroku czerwonym światelkiem.

Podszedł do drzwi.

Na wąskim występie nad futryną znalazł ukryty klucz. Dokładnie tak, jak powiedział mu Głos.

Wstrzymał oddech i włożył klucz do zamka.

Zamek cicho szcęknął, ustąpił i drzwi otworzyły się na dobrze naoliwionych zawiasach. Idealnie.

Wsunął klucz do kieszeni i wyjął nóż z ust. Prawie nie oddychając, przekroczył próg i po chwili znalazł się w nieoświetlonej kuchni. Był w środku.

Eve wybrała numer.

Stała w koszuli nocnej i szlafroku na środku kuchni, z kubkiem gorącej zielonej herbaty w jednej ręce i słuchawką telefoniczną w drugiej. Obiecała Annie Marii, że zadzwoni, i postanowiła dotrzymać słowa, choć dochodziła już jedenasta.

- Halo? - Głos Anny brzmiał rześko i czysto. Oczywiście. Zawsze była nocnym markiem i nie rozumiała ludzi, którzy wstawali przed świtem.

- Cześć, to ja. Jestem na miejscu. Cała i zdrowa.

- A już zaczynałam się zastanawiać...

- Powiedz Kyle'owi.

- Powiem mu, jak wróci.

- Jeszcze go nie ma?

- No nie. Rano przyjechał kilka minut po twoim odjeździe, ale wpadł tylko na chwilę i zaraz znowu pojechał. Coś pilnego w pracy. Podobno zepsuł się system w jakimś banku, poważna sprawa. Cały system komputerowy siadł i właściciel dostał szału. Wiesz, ile się teraz mówi o różnych włamaniach i kradzieży danych. Uparł się, że do jutra wszystko ma działać, więc Kyle pewnie w ogóle nie wróci na noc do domu.

- Chyba powinni mieć jakiś system zabezpieczający.

- Pewnie tak, ale Kyle to ich człowiek, więc... - Anna była wyraźnie zde gustowana.

- Supermąż.

- Nie zaczynaj.

Eve nie miała takiego zamiaru. Anna wierzyła w miłość aż po grób, lecz jej własne małżeństwo okazało się katastrofą. Była jednak zbyt uparta i zbyt religijna, by coś z tym zrobić.

- Słuchaj, chcę się już położyć, więc pogadamy później.

- Dzwoniłaś do swojego ojca?

- Nie - powiedziała Eve i ugryzła się w język. Od jakiegoś czasu jej stosunki z ojcem nie układały się najlepiej. - Zadzwoń do niego rano.

- Zaraz po tym, jak kupisz szczeniaka?

- Co? Och... - Eve uśmiechnęła się do siebie. Anna znalazła bardzo sprytny sposób, by nazwać ją kłamczucha. - Nie, tuż przed tym.

- To dobrze - roześmiała się Anna. - Zadzwoń do ciebie za parę dni. Pa.

- Pa - odparła Eve, ale połączenie zostało już przerwane.

Przez chwilę zastanawiała się, czy nie zadzwonić do ojca od razu, by powiedzieć mu, że wróciła, w końcu jednak uznała, że to może poczekać do następnego dnia. Jeśli nawet Terrence jeszcze nie śpi, na pewno zdążył już sporo wypić.

A ona wolałaby z nim porozmawiać, kiedy będzie trzeźwy.

Dolała do kubka trochę gorącej wody, upiła łyk herbaty i popatrzyła na rozłożone na stole artykuły.

Powinna pójść z tym na policję.

Jeszcze raz przeczytała wszystkie wycinki. Był wśród nich nekrolog Faith Chastain sprzed dwudziestu lat, a w nim imiona jej bliskich: Jacques, jej mąż, i dwie córki, Gina i Abigail. Abby Chastain. Dlaczego to imię wydało jej się znajome?

Kto to zrobił? I jak? Nie było żadnych śladów włamania do samochodu, wybitego okna, rys czy zadrapań przy zamkach. Zupełnie jakby ktoś użył jej własnych kluczyków, żeby dostać się do środka.

Duplikat?

Przeszył ją lodowaty dreszcz. Jeśli ktoś w jakiś sposób zdobył dostęp do jej kółka z kluczami, to mógł dorobić wszystkie, łącznie z tymi do jej domu.

Usłyszała skrobanie.

Jakby paznokciem po szkle.

Serce na chwilę zamarło jej w piersi. Szybko zorientowała się, że to tylko gałąź trze o szybę na piętrze, kubek jednak wysunął jej się z dłoni i spadł na stół. Nie zwróciła na to uwagi. Wbiegła na schody i zatrzymała się na podeście. No tak, zerwał się wiatr i szarpał drzewami, jedna z gałęzi stuknęła w szybę. To właśnie usłyszała. Nikt nie próbował się włamać.

Uspokoili się z trudem i skupiła na kluczach.

Nie myśl tak, Eve! Nie sądz, że ktoś będzie mógł w każdej chwili wejść do twojego domu. Nikt nie ukradł twoich kluczy, nigdy ich nie zgubiłaś. Ktoś po prostu wśliznął się do twojego samochodu, kiedy zapomniałaś go zamknąć. I to stało się dzisiaj. Wiesz o tym. W przeciwnym razie znalazłabyś tę kopertę wcześniej, gdy wkładałaś do schowka okulary przeciwsłoneczne.

Starła się przypomnieć sobie mężczyznę w szerokich, ciemnych okularach, ale na myśl o nim natychmiast znowu wpadła w panikę. Dla niej stał się ucieleśnieniem zła, które postępowało w ślad za nią. W końcu opanowała emocje i stwierdziła, że poniosła ją wyobraźnia, ale czy rzeczywiście tak było? Może to jednak właśnie ten mężczyzna podrzucił wycinki do jej samochodu?

Szkoda, że nie widziała tablic rejestracyjnych jego wozu.

- Weź się w garść - powiedziała, i omal nie potknęła się o Samsona, który leżał na najniższym stopniu. - Uważaj, kotku. - Podniosła go i zabrała z powrotem do kuchni.

Zanieś te wycinki na policję.



Skrzywiła się. Miejscowi detektywi uważali, że brakuje jej piątej klepki. Jeśli teraz pojawi się u nich ze stertą artykułów ze starych gazet, uznają na pewno, że postrzał w głowę odebrał jej resztki rozumu.

Może policji uda się zdjąć z tego odciski palców i dowiedzieć się, kto włamał się do twojego samochodu i włożył wycinki do schowka.

Ale Eve bardzo dobrze pamiętała szorstkich, rzeczowych detektywów Bentza i Montoyę i sceptycyzm prawniczki z biura prokuratora okręgowego, wybranej, by oskarżać Cole'a.

- Jest pani pewna? - spytała Yolinda Johnson, patrząc na Eve zmrużonymi ciemnymi oczami. Była szczupłą, elegancką Afroamerykanką, miała jakieś trzydzieści pięć lat i nie wchodziła na salę sądową, jeśli nie zdobyła świadków i dowodów. Eve siedziała po jednej stronie wielkiego biurka, Yolinda po drugiej. Pokój był mały i ciasny, okna zamknięte; Eve pociała się i czuła, że leki przestają działać.

- Pan Dennis do pani strzelał?

- Tak — odparła Eve, zmęczona i spięta. Cały czas pocierała kciukiem o kostkę nad palcem wskazującym.

- Ale nie pamięta pani niczego, co wydarzyło się przed atakiem i po nim, tak? - Yolinda wyraźnie była sceptycznie nastawiona do tej historii. Ściągnęła usta i stuknęła zakończonym gumką ołówkiem w notatnik na biurku.

Eve poczuła się nagle jeszcze gorzej.

- No tak... tak... To znaczy, pamiętam, że byłam z Cole'em w jego domu...

- W jego łóżku. Nazywajmy rzeczy po imieniu. Zwłaszcza że jego adwokat na pewno będzie je tak nazywał.

Eve podniosła głowę i spojrzała prawnicze w oczy.

- Zgadza się. Byliśmy w łóżku.

- Kochaliście się.

- Tak.

- Proszę mówić dalej.

- Zadzwoił Roy... Roy Kajak. Nalegał na spotkanie. Powiedział, że ma jakieś dowody, cokolwiek to znaczyło. Ale potem... potem... wszystko jest takie... mgliste...

- Pan Dennis nie chciał, żeby pani tam jechała.

- Zgadza się.

- Zabarykadował drzwi.

- Tak...
- Pojechał za panią?
- Nie wiem.
- Widziała pani, jak wychodził z domu?
- Chyba... chyba nie.
- Ale nie jest pani tego pewna? - Yolinda pochyliła się nad biurkiem.
- Nie.
- Więc wszystko jest mgliste. Do czasu, aż zobaczyła pani przez okno Cole'a Dennisa mierzącego do pani z rewolweru.
- Tak.
- Mimo że było ciemno.
- Tak! - Eve czuła, że zaraz się załamie.

Yolinda, niezadowolona, zmarszczyła brwi i ściągnęła wargi. Jej ołówek cały czas wystukiwał na stole rytm zniecierpliwienia. W milczeniu spojrzała przeciągle na Eve i przez chwilę w pokoju panowała cisza, którą zakłócało tylko tykanie zegara stojącego na szatce za biurkiem.

- Proszę posłuchać, nie będę owijać w bawełnę, dobrze? Przysięgli na pewno rozumieją, dlaczego nie pamięta pani niczego, co się stało po strzale. Została pani ranna. Straciła pani przytomność. To ma sens. Problem w tym, że nie pamięta pani również tego, co zdarzyło się wcześniej.

- Nie mogę kłamać.

Yolinda podniosła dłonie do góry, a potem wstała i podeszła do okna.

- Nie oczekuję od pani, żeby pani kłamała, ale w sądzie będzie pani musiała odpowiedzieć na kilka nieprzyjemnych pytań. - Yolinda odwróciła się, oparła biodrem o parapet i wbiła nieruchomy wzrok w Eve. - Może pani zostać uznana za niewiarygodną, pani Renner. Zabrano panią do szpitala nieprzytomną, a tam, oprócz wielu innych badań, sprawdzono, czy ktoś pani nie zgwałcił.

Eve kiwnęła głową. W pokoju nagle zrobiło się duszno. Wiedziała, co leraz nastąpi.

Głos Yolindy zmiażdżył.

- Wiemy, że nie została pani zgwałcona. Na pani ciele nie było obrażeń, które musiałyby pani wtedy odnieść. Ale miała pani spermę w pochwie.

Eve spojrzała prawniczkę w oczy. Przechodziła przez to już wcześniej, ale ciągle z zażenowaniem tego słuchała.

- Byłam z Cole'em - powiedziała cicho. Yolinda kiwnęła głową.

- Po części to sperma Cole'a Dennisa. Ale znaleziono tam także inną. Z całą pewnością nie pana Dennisa.

Kiedy Eve usłyszała o tym po raz pierwszy, krew uderzyła jej do głowy i czuła, że zaraz zemdleje albo zwymiotuje, albo jedno i drugie. Teraz po prostu patrzyła na stojącą przed nią kobietę, dużo ją to jednak kosztowało.

- I wiemy, że nie była to sperma Royała Kajaka.

Eve przelknęła ślinę. Milczała. Co miałyby powiedzieć? Jak mogłaby to skomentować? I czy to możliwe, żeby nie pamiętała czegoś tak istotnego? Niemożliwe. Niemożliwe. Owszem, ma luki w pamięci - jakby jakaś ciemna plama zasłaniała to, co się działo owej strasznej nocy - ale przecież znała samą siebie dość dobrze, by wiedzieć, że nigdy nie uprawiała seksu z dwoma różnymi mężczyznami w odstępie kilku godzin. Nigdy.

Wiemy, że nie została pani zgwałcona. Więc?

- Pamiętam tylko, że byłam w łóżku z Cole'em - wykrztusiła w końcu niepewnie, bo tak też się czuła.

Yolinda wzruszyła ramionami i westchnęła ciężko.

- Rozumie mnie pani, prawda? Jeśli pójdzie pani do sądu i będzie tylko powtarzać tego nie pamiętam i tamtego nie pamiętam, nie pamiętam, z kim spałam, wyrze to fatalne wrażenie na przysięgłych. A jak pani sądzi, co zrobi adwokat Cole'a Dennisa, kiedy weźmie panią w krzyżowy ogień pytań? - Eve pokręciła głową, więc Yolinda mówiła dalej: - Powiem pani co. Zacznie panią maglować, pytać w kółko o to samo, wyprowadzi panią z równowagi i zrobi z pani albo kompletną idiotkę albo kłamczuchę. A potem zada jeszcze kilka pytań, żeby ostatecznie wysła pani na dwulicową dziwkę.

- Byłam tylko z Cole'em!

- Dowody wskazują na co innego.

Sytuacja była patowa, ale nie ulegało wątpliwości, że zasłanianie się zanikiem pamięci na pewno nie spodoba się przysięgłym.

Yolinda kiwnęła głową, jakby doszły do jakiegoś porozumienia.

- Jeśli nawet uda nam się przekonać przysięgłych, że naprawdę cierpi

pani na amnezję, będą przekonani, że w ciągu dwudziestu czterech godzin spała pani z dwoma mężczyznami. Wyjdzie na to, że chciała pani rzucić podejrzenie o morderstwo na zazdrosnego chłopaka. Deeds na bank tak właśnie będzie chciał to rozegrać. A obok niego będzie siedział schludny, elegancki, niewinnie wyglądający Cole Dennis. Z pewnością na wszystkich zrobi wrażenie pokrzywdzonego pocziwca, któremu narzeczona przyprawiała rogi z kimś, czyjego imienia sama nie pamięta. - Yolinda podeszła do biurka i pchnęła plik dokumentów w stronę Eve. - To będzie jeden z dowodów, jakimi posłuży się Deeds. Wyniki badania DNA. Pobrano dwie różne próbki. Fakt, że nie miała pani w pochwie spermy Kajaka, wcale pani nie pomoże. Przeciwnie, tylko pogorszy sprawę, bo pani twierdzi, że nie pamięta, z kim...

- Dość. - Eve wiedziała, że zabrzmiało to ostro, ale nie była w stanie znieść tej rozmowy ani chwili dłużej. - Rozumiem. Wiem, do czego pani zmierza. Ale od dwóch lat nie spałam z nikim poza Cole'em.

- Więc jak?...

- Nie wiem! - Eve zaprzeczyła ruchem głowy. - To... to musiało się stać... po... po tym, jak przyjechałam do chaty.

- Ale w chacie widziała pani Cole'a Dennisa. Czy mogła pani spotkać się z kimś po opuszczeniu domu pana Dennisa, a przed przybyciem do chaty? I przed pojawieniem się tam pana Dennisa?

- Nie.

- Czy w chacie był ktoś jeszcze?

- Nie.

- Kto to był, pani Renner?

- Nikt!

- Więc może był tam ktoś po tym, jak, zgodnie z tym, co pani twierdzi, pan Dennis panią postrzelił?

- Nie. Z nikim nie uprawiałam seksu!

- Skąd pani wie, pani Renner? Przecież patii tego nie pamięta.

- Więc... to musiało być później...

- Na miejscu zbrodni? Czy w szpitalu? Wtedy, kiedy zaroilo się tam już od policji, czy też może w karetce, gdzie ciągle była pani nieprzytomna? Czy mogła pani uprawiać seks z kimś z ekipy ratunkowej? - Yolinda nie dawała za wygraną. - Czy z którymś z tych mężczyzn uprawiała pani dobrowolnie seks?

Łzy napłynęły Eve do oczu.

- Mówię prawdę. Yolinda kiwnęła głową.  
- Ale nie możemy wykorzystać pani zeznań. Rozumie to pani, prawda? To załatwiłoby całą linię oskarżenia - westchnęła. - Teraz już pani dziękuję.

I na tym się skończyło.

A Eve nadal nie знаła odpowiedzi na dręczące ją pytania.

Stary był pijany.

Więc nie potrwa to długo.

Wskrziesiciel, ukryty w cieniu pnączy rosnących na podwórku za domem spojrzął na swój elektroniczny zegarek. Od czasu, kiedy wszedł do domu, zrobił, co trzeba, a potem bezszelestnie z niego wyszedł, minęło dwadzieścia minut. Ofiara, która siedziała w gabinecie i słuchała jakiegoś programu radiowego, nie domyślała się nawet, że miała gościa.

Na razie.

Ale to się wkrótce zmieni.

Dotychczas wszystko szło jak po maśle. Zgodnie z instrukcjami Głosu.

Patrzył w okno. Teraz w kuchni świeciło się światło, otwarta butelka Jacka Danielsa stała w zlewku, a na blacie topniały kostki lodu na tacy.

Bałagan. To niepodobne do porządnego pana doktora...

Wyciągnął z kieszeni telefon komórkowy i wybrał numer. Po chwili w telefonie rozległ się głos:

- Halo?

Nie odpowiedział. Jeszcze nie. Musi zrobić wszystko tak, jak kazał mu Głos ostatniej nocy we śnie.

- Halo? - Przerwa. - Kto tam, do diabła? Słyszysz mnie? Ja nic nie słyszę. - Znowu przerwa. - Terry? - Już z frustracją.

- Mam dowody - wyszeptał Wskrziesiciel, głosem tak niskim i chrapliwym, że nikt by go nie rozpoznał.

- Słucham? Co?...

Nie było potrzeby powtarzać. Wiadomość została przekazana i zrozumiana.

Rozłączył się.

Spojrzął na dom, a potem szybko wyszukał numer na liście w telefonie i wcisnął klawisz.

Po kilku sekundach numer został wybrany.

Jeden sygnał.

Drugi.

Trzeci.

- Halo? - głos starego był ostry i głośny na tle programu radiowego. - Chwileczkę. Kto mówi? Skąd masz... Cholera! To numer mojej komórki... ale... jak?

Wskrzesciciel uśmiechnął się do siebie. Stary wszedł chwiejnym krokiem do kuchni.

- Masz mój telefon!

Oburzenie. Ale słowa były już mniej wyraźne. Wskrzesciciel milczał.

- Halo? Jesteś tam? Skąd masz mój telefon? Brak odpowiedzi.

- Znalazłeś ją gdzieś? Zostawiłem ją w samochodzie?... Nie, zaraz. To było wcześniej. Pamiętam, że podłączyłem ją do ładowarki... - Umilkł nagle. A potem: - Byłeś w moim domu? Ukradłeś ją, ty draniu!

- Mam informacje - odezwał się w końcu Wskrzesciciel. Chwila ciszy.

- Jakie informacje?

- Informacje, których potrzebujesz.

- Hej... O czym ty mówisz? Znowu milczenie.

- No, więc o jakie informacje chodzi? - Teraz mężczyzna mówił spokojniej, ale Wskrzesciciel widział go, jak chodzi od pokoju do pokoju i wygląda nerwowo przez okna. - Dlaczego zabrałeś mój telefon?

Wskrzesciciel spojrział na zegarek, a potem rozłączył się i przestawił komórkę na wibracje. Już po kilku sekundach poczuł w kieszeni spodni wibrowanie i uśmiechnął się do siebie. Stary wpadł w panikę.

Zgodnie z planem.

Wibracje ustały tak nagle, jak się zaczęły.

Przemknął ostrożnie pod ścianą domu, starając się nie wychodzić z cienia. Telefon znowu zaczął wibrować. Tak, stary naprawdę się wystraszył.

Dobrze. Teraz twoja kolej.

W oknie mężczyzna nerwowym gestem podniósł do ust szklankę z whisky.

Pij, durniu. Wypij wszystko.

Stary wyraźnie się zachwiał. Złapał równowagę, opierając się ręką o okienną szybę.

Wskrzesciciel uśmiechnął się szeroko w ciemnościach. Nie zabawił

długo w kuchni, tylko ukradł telefon i wrzucił tabletki do otwartej butelki whisky.

To było takie łatwe.

A teraz tabletki zaczynały działać. Ofiara słabła z każdą chwilą.

- Do dna - szepnął bezgłośnie, czując, jak podnosi mu się poziom adrenaliny we krwi.

Mężczyzna odszedł od okna. Pewnie postanowił usiąść albo się położyć.

Wskrziesiciel nie musiał już czekać.

Pobiegł na tyły domu i szybko wspiął się na ganek.

Drzwi do kuchni nadal nie były zamknięte na klucz.

Doktor Terrence Renner dopił resztę whisky, postawił szklanekę na stoliku przy fotelu i postanowił nie ulec panice. Ktoś do niego zadzwonił... z jego własnego telefonu. Ktoś był w domu. Prawdopodobnie któryś z nastolatków mieszkających jakieś czterysta metrów dalej. Któryś z trzech chłopców, strasznych urwisów.

A te informacje: to pewnie też tylko taki kawał. Prawda?

A jednak w głosie tego człowieka słyszał groźbę. Determinację.

Trzy razy nie trafił, w końcu jednak udało mu się postawić słuchawkę bezprzewodowego telefonu na bazie. Opadł na fotel i patrzył na telefon, ciągle spodziewając się, że znowu zadzwoni. Radio nadawało *Wyznania o północy*, głupi program, w którym doktor Sam, pseudopsycholog, rozmawiała ze słuchaczami. Drażnił go i ten program, i ta kobieta, a jednak zawsze go słuchał. Pop-psychologia. Śmieszne.

Kto wziął jego telefon?

- Podli smarkacze - mruknął, usiłując się uspokoić i cieszyć urokami wieczoru: ogniem na kominku - prawdopodobnie ostatnim w tym sezonie - i resztkami whisky.

Wyłączył radio, czując, że nie zniesie tej idiotycznej audycji ani chwili dłużej.

Czy ktoś był w domu?

Kiedy?

Potań kark, spojrzął na telefon i przez chwilę myślał o tym, żeby zadzwonić na policję, ale za bardzo kręciło mu się w głowie. Rano na pewno będzie miał jaśniejszy umysł. Dziś dokończy tylko rozwiązywać krzyżówkę i pójdzie do łóżka. Położył gazetę na kolanach i spróbował

się skoncentrować.

Odruchowo wyciągnął dłoń, by poklepać po głowie starego Rufusa, zaraz jednak przypomniał sobie, że pies już od dwóch tygodni nie żyje. Zdumiewające, jak bardzo tęsknił za tym starym terierem, który w czasach swej młodości z jednakowym entuzjazmem gonił króliki, wiewiórki i samochody. Na szczęście nigdy niczego nie udało mu się dopaść.

Gdzieś na tyłach domu rozległ się odgłos kroków. Co znowu?

Podniósł głowę, strącając z kolan gazetę, i spojrzał w tę stronę ponad szklami okularów. Miał wrażenie, że pokój wiruje wokół niego; zamrugał. Dzisiaj zwyczajowa szklaneczka do poduszki naprawdę uderzyła mu do głowy. Bardziej niż kiedykolwiek. Chciał wstać, ale ugięły się pod nim kolana. Nie mógł utrzymać się na nogach.

- Cholera - warknął, łądując z powrotem na wytartej poduszce ulubionego fotela. - Jasna cholera...

I znów. Znajome skrzypnięcie deski podłogowej w przedpokoju; tej, która biegła od kuchni. Zawsze tak skrzypiała, kiedy ktoś po niej szedł. Ale przecież w domu nikogo nie ma. Jest sam. A może nie?

Zjeżyły mu się włosy na karku.

Może dzieciaki, które ukradły telefon, wróciły?

- Jest tam kto? - zawołał zdenerwowany.

Czuł się jak idiota. W domu nikogo nie ma. Nikogo.

Wyteżył słuch i znowu spróbował podeprzeć się, i wstać z fotela, niestety, ramiona i nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Może to kolejny udar?

Znowu krok... tym razem cięższy. Serce na moment zamarło mu w piersi.

- Hej? Jest tam kto? - zapytał, słysząc nutę paniki we własnym głosie.

- Inez? - zawołał gospodynię, choć miała przyjść dopiero za kilka dni. -

Franco? - Ale robotnik skończył pracę kilka godzin wcześniej, jeszcze przed zachodem słońca. Po raz pierwszy w życiu poczuł się u siebie w domu osamotniony.

Ponownie spróbował odepchnąć się od fotela i stanąć, ale ręce i nogi mu drżały. Opadł bezradnie na poduszkę.

Bez paniki. To tylko twoja wyobraźnia. Wypiłeś więcej, niż ci się wydaje... To wszystko. Wstawaj, do cholery. Wstawaj!

- Doktorze Renner - powiedział głęboki męski głos. Dobiegał od



strony ciemnego korytarzyka za oszklonymi drzwiami.

Otworzył szeroko oczy i sięgnął do telefonu. Spadł z fotela, zrzucając na podłogę szklanę z resztką whisky. Kostki lodu rozsypały się po lśniących drewnianych deskach.

Przeszył go ból, postanowił jednak, że dotrze do telefonu, choćby musiał się czołgać. Ale nie miał siły podciągnąć się na rękach ani przesunąć nóg. Leżał twarzą do podłogi. Nagle kątem oka dostrzegł jakiś cień. Oszklone drzwi otworzyły się i zobaczył czarne wojskowe buty.

Omali się nie posusiał. Podniósł powoli oczy, wyżej, jeszcze wyżej... wzdłuż długich nóg w spodniach w kryjących barwach, na kurtkę z tego samego materiału opinającą potężną klatkę piersiową... wreszcie na mocną, szeroką szyję i zasłoniętą narciarską maską twarz.

Jego wzrok napotkał spojrzenie zimnych błękitnych oczu.

- Kim... kim jesteś? Czego chcesz? Mam pieniądze... w sejfie... - Renner mówił dziwnie piskliwie, bo gardło ścisnęło mu przerażenie.

- Pieniądze - rzucił z pogardą intruz i poruszył dłońmi w rękawiczkach. Renner dostrzegł nóż - długi myśliwski nóż, ostrze lśniło ponuro

w dogasającym ogniu. Ogarnęła go panika.

- Nie - wycharczał. - Proszę... Błagam...

- Pokuta - szepnął mężczyzna głosem, który przeciął powietrze jak świst bata.

- Nie... proszę... Nie wiem, kim jesteś... czego chcesz... ale to na pewno pomyłka...

- Nie, doktorze. To nie pomyłka.

Renner oszalał ze strachu. Próbował uciec, skryć się gdzieś, lecz jego ciało... O Boże, to jakiś narkotyk. Teraz zdał sobie z tego sprawę. Był w whisky...

Mężczyzna dopadł go jednym skokiem. Wielka dłoń w czarnej rękawiczce chwyciła go za czoło, szarpnęła do góry i do tyłu, wyginając szyję w łuk, tak że omali nie pękł mu kręgosłup.

- Nie! - jęknął.

W ułamku sekundy dojrzał nóż w silnej ręce. Długie ostrze błysnęło mu przed oczami.

Poczuł koniuszek na swojej szyi.

- Jestem Wskrzesicielem - wyszeptał napastnik do jego ucha. - Ja

decyduję, kto będzie żył, kto umrze i kto zostanie wskrzeszony.

Psychopatia z urojeniami na tle kompleksu Boga. Renner zamknął oczy. Wiedział, co się zaraz stanie. Boże, zlituj się nad moją duszą. Czubek noża przebił skórę. Renner przełknął ślinę.

- Wolą Boga jest, doktorze, byś poszedł prosto do piekła - szepnął zabójca i szybkim, płynnym ruchem przeciągnął ostrzem po szyi Rennera.

## Rozdział 7

Po co, do diabła, Terrence Renner do niego dzwonił?

Cole zmrugał oczyma, wpatrując się w ekran swojej komórki. Jechał do centrum miasta.

I skąd Renner wiedział, że po trzech miesiącach więzienia, właśnie dziś, dzięki staraniom Deedsa, telefon Cole'a został ponownie aktywowany?

Ogarnęły go złe przeczucia. Z trudem powstrzymał się, by nie oddzwonić. Prawdę mówiąc, powinien w ogóle pozbyć się tego aparatu. Policja skonfiskowała go zaraz po aresztowaniu, Deeds odebrał go niedawno i aktywował, ale przecież ktoś z departamentu mógł zainstalować w nim GPS. Może śledzą jego ruchy, wcale za nim nie jeżdżąc? A on nie ma o tym pojęcia?

Cholera! Bał się skorzystać z tego telefonu, a wpisane do niego numery, których naprawdę potrzebował, i tak zdażył już zapamiętać. Musi być ostrożny... Nie wolno mu ryzykować. Wyrzuci tę komórkę i komputer

i kupi sobie inne. Nowe. By mieć absolutną pewność, że Bentz i Montoya czy jakiś ich przełożony albo ci cholerni federalni nie będą go podsłuchiwać.

Paranoja!

Ale przecież ktoś zrobił go w morderstwo Kajaka. Ktoś, kto znał jego ruchy. Jego reakcje. Ktoś, kto chciał się go pozbyć na dobre.

Kto? Przez minione trzy miesiące zastanawiał się nad tym tysiące razy. Kto go zrobił? Czy Eve brała w tym udział? I z kim jeszcze poza nim, do diabła, spała tamtej nocy, kiedy zginął Kajak? Zagryzł wargi i zmrugał oczyma, osłepiony światłem reflektorów nadjeżdżającego z przeciwka samochodu.

Byłby głupcem, gdyby uznał, że ten, kto go w to wpakował, na tym poprzestanie albo że policja nie będzie już podejrzewać go o zabójstwo Roya. Nie, musi zachować wielką ostrożność.

Więc myśl, Cole, myśl!

Najpierw to, co najważniejsze: pozbyć się telefonu. Zatrzymał dżipa, położył go przed kołem i przejechał po nim w nadziei, że zniszczy czip GPS, jeśli istotnie znajdował się w komórce.

Trzeba też ukryć pieniądze. Zamierzał wpłacać je do banku, stop-

niowo, małymi kwotami, jakby otrzymywał zapłatę za jakieś dorywcze zajęcia. Jego nowy dom nie był bezpiecznym miejscem, podobnie jak samochód.

Znał jednak inne miejsce. Zabierze mu to trochę czasu, kiedy już wróci do Nowego Orleanu.

Teraz powinien zająć się tą sprawą z Rennerem. Nie podobało mu się to i postanowił podjąć pewne środki ostrożności, ale chciał - musiał - dowiedzieć się, co się dzieje. Dlaczego Renner do niego zadzwonił?

Nie daj się wciągnąć w pułapkę.

Wyjechał na główną drogę i ruszył w kierunku starej farmy, gdzie po raz pierwszy spotkał Eve. Zaciśnął zęby, a jego puls przyspieszył, jak zawsze, gdy o niej myślał.

W dniu, kiedy się poznali, beczelnie zakwestionowała jego profesjonalizm. Patrzyła na niego swoimi inteligentnymi oczami o ułamek sekundy za długo, a później otworzyła te swoje zmysłowe usta i zaczęła go sprawdzać, przepytywać, ciągle przyglądając mu się podejrzliwie, jakby uważała, że nie jest dość dobry, by można mu powierzyć takie zadanie.

- Więc jesteś najlepszym adwokatem, jakiego można pozyskać za pieniądze? - spytała, marszcząc mały, piegowaty nos. Cole'owi wydała się zabawna i irytująca jednocześnie.

- Radzę sobie.

- Z czym? - Machnęła ręką, by odgonić muchę, która latała za blisko jej złotych loków. Wysunęła podbródek i czekała, jakby bawiło ją to przesłuchanie.

- Chciałaś chyba powiedzieć :z kim:.

- Chcę po prostu wiedzieć, czy dasz sobie radę. - Zauważył w jej oczach strach i zdał sobie sprawę z tego, że pod tą pozorną szorstkością kryje się troska córki o los ojca.

Cole dobrze ją rozumiał. Jego zdaniem z Terrence'em Rennerem było coś nie tak. Lekarz z kompleksem Boga.

W końcu jednak to Eve, a nie Terrence, psychiatra, przekonała Cole'a, że powinien wziąć tę sprawę. Nie dlatego, że go o to poprosiła; przeciwnie, dlatego, że w niego wątpiła. Spojrzała na jego zniszczone dżinsy i splóviały podkoszulek i natychmiast uznała, że nie będzie dość dobry.

A on postanowił jej udowodnić, że się myliła, że naprawdę zgodnie z tym, co mówił o nim Renner, jest najlepszym adwokatem, jakiego można pozyskać za pieniądze.

Dobre sobie.

Wszystko wymknęło mu się spod kontroli i proszę, oto, co się z nim stało.

Teraz jechał na tę samą farmę, gdzie kiedyś tak bardzo pragnął pokazać, ile jest wart, i chciało mu się śmiać na myśl o tym, jak odwróciły się role. Teraz to on miał podejrzenia. Na przykład, dlaczego Eve pojawiła się u Rennera akurat tamtego dnia? Zbieg okoliczności? A może raczej część jakiegoś planu? Przygryzł wargę. A ta pacjentka Rennera, Tracy Aliota? Czy Renner naprawdę był tak zupełnie niewinny, jak twierdził? Może jednak wypuścił ją ze szpitala, mimo że miał jakieś wątpliwości co do jej stanu psychicznego? Podejrzewał, że ona znowu spróbuje zrobić sobie krzywdę? To nie jego wina, że dziewczyna popełniła samobójstwo, ale czy on naprawdę nie jest za to choć częściowo odpowiedzialny?

Etyka, przypomniał sobie. Rozmyślał o etyce, nie o prawie. Cole udowodnił, że w świetle prawa Renner wypełnił wszystkie swoje obowiązki względem pacjentki. Choć z punktu widzenia etyki...

Tak czy inaczej, został osądzony i uznany za niewinnego. Prokurator był oczywiście wściekły, a Cole Dennis w oczach Eve Renner stał się bohaterem. Właśnie tego chciał. Tak bardzo go pociągała, świata poza nią nie widział. Dlatego nie zwracał uwagi na dzwonki alarmowe, które rozlegały się czasem w jego głowie. Za szybko złamał swoją złotą zasadę unikania wszelkich kontaktów osobistych z klientem i członkami jego rodziny. Zlekceważył fakt, że rozmycie granic między pracą a przyjemnością zawsze zniekształca percepcję.

I tak to właśnie było.

Przez ponad dwa lata.

Cole dostrzegł czerwone światło przy zjeździe na farmę Rennera, zwolnił więc i zatrzymał dżipa. Na skrzyżowaniu nie było innych pojazdów. Światło, odbite w chodniku, pulsowało czerwienią. Skręcił i ruszył przed siebie pustą ulicą.

Miasteczko zdawało się całkowicie wymarłe. Na oświetlonych pojedynczymi neonami ulicach stało niewiele samochodów. Otwarta była jeszcze tylko jedna tawerna; wszystkie inne sklepy i knajpy zamknięto

przed wieloma godzinami. Kilkadziesiąt metrów dalej chudy, zabłąkany pies przebiegł przez jezdnię ze spuszczoną głową i zniknął w mroku. Cole'a nagle ogarnęły złe przeczucia. Miał wrażenie, jakby znalazł się nagle na obcej, opustoszałej planecie.

Otrząsnął się szybko i zjechał z głównej drogi, w stronę wyjazdu z miasteczka, mijając zabezpieczone alarmami sklepy i wolno stojące domy mieszkalne z lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. W oknach, za zaciągniętymi zasłonami, tu i ówdzie paliło się światło.

Na przedmieściach przyspieszył; nagle poczuł, że jak najszybciej musi porozmawiać z Rennerem. Powtarzał sobie, że wizyta u ojca Eve nie ma z nią nic wspólnego. Najpierw rozmówi się z nim, a później postanowi, co zrobić z kobietą, która wywróciła cały jego świat do góry nogami. Która przysięgała, że go kocha, po to tylko, by go zdradzić i oskarżyć o morderstwo.

Znowu ogarnęła go wściekłość. Z trudem oderwał myśli od Eve, pięknej, zakłamaney, dwulicowej i seksowney jak wszyscy diabli. Teraz musisz skupić na czym innym.

Minał znajome miejsca: wąski most, kamienny murek, przekrzywioną skrzynkę na listy stojącą jakieś czterysta metrów od domu Rennera. Zwolnił przed zakrętem, a później wcisnął pedał gazu, wjeżdżając w długą, obrośniętą drzewami aleję.

Doktor najwyraźniej jeszcze nie spał, w oknach na parterze paliło się światło. To miejsce budziło w Cole'u mieszane uczucia. To tu po raz pierwszy ujrzał Eve. Piękny początek historii, która tak nieszczęśliwie się zakończyła.

Zaparkował obok garażu, po czym, tak jak wiele razy w ciągu tych miesięcy przed procesem, wszedł na schodki na tyłach domu i zapukał do drzwi. Cykady głośno krzyczały, o szybę kuchennego okna obijała się ćma.

- Terrence? - zawołał, dostrzegając otwartą butelkę whisky na blacie w kuchni obok tacki z lodem.

Nikt mu nie odpowiedział. Zawołał znowu:

- Halo? Terry? To ja, Cole! - Tym razem załomotał w drzwi z taką siłą, że aż zabrzęczały w nich małe szybki.

Nic.

Stukał i stukał, ale wiedział już, że to bezcelowe.

Niech to diabli.

Czyżby Renner wyjechał?

Cole podszedł do garażu, zajrzał przez boczne drzwi i dostrzegł ciemny kształt nowszego modelu dodge'a, furgonetki Rennera. Co oczywiście nic nie znaczyło, Terrence mógł przecież wyjechać z kimś. Dzwonił z komórki - Cole rozpoznał numer. Nie musiał być wtedy w domu.

A jednak... Ta otwarta butelka, ta tacka z lodem na kuchennym blacie? Cole znał wielu ludzi, którzy nie przejmowali się takimi drobiazgami, ale skrupulatny, pedantyczny doktor Terrence Renner się do nich nie zaliczał.

Cole wrócił betonową ścieżką, wbiegł na ganek, przeskakując po dwa stopnie, i znowu zapukał do drzwi.

- Terry! - krzyknął, a kiedy kolejny raz odpowiedziała mu cisza, nacisnął klamkę i pchnął drzwi.

Ustały.

Zaskoczony, znieruchomiał. To z pewnością nie było w stylu Rennera. Trzymał zapasowy klucz na występie nad drzwiami. Cole wiedział o tym i miał zamiar go tam poszukać, ale w tej sytuacji nie musiał.

Kolejna niespodzianka.

Renner miał obsesję zamykania - zamykał dokładnie wszystko, dom, biuro, samochód, teczkę. Prawdopodobnie wyrobił w sobie ten nawyk, ponieważ tak długo pracował wśród psychicznie chorych. Cole widział kilku jego pacjentów. Niektórzy wydawali się łagodni, jakby byli tylko przygnębieni albo czymś zmartwieni. Inni zachowywali się czasem bardzo agresywnie. Psychopaci. Aż dziw, że Renner dotychczas nie zainstalował u siebie w domu żadnego systemu alarmowego... No, ale przecież miał psa.

- Terry? - zawołał Cole, wchodząc do kuchni. - Doktorze Renner? Rufus?

Cisza. Żadnych okrzyków zaskoczenia ani szczekania. Żadnego skrobienia psich pazurów po podłodze czy odgłosu zbliżających się kroków.

- Doktorze Renner?

Dlaczego on nie odpowiada, na litość boską? Czyżby wypił tak dużo, że zapomniał zgasić światło, zamknąć drzwi, odstawić butelkę i

wyłączyć radio? Może poszedł już na górę, do łóżka.

Ale Cole czuł, że tak nie jest.

Powoli, nasłuchując, ruszył przed siebie korytarzem.

Może Renner zasnął. A pies i tak był już prawie głuchy. Nagle dobiegł go trzask polana w dogasającym na kominku ogniu. Cole odwrócił się w stronę gabinetu, zajął do środka i zauważył ciemną plamkę na podłodze.

Kropkę.

Czerwoną kropkę. I jeszcze jedną. I jeszcze jedną...

- Cholera! Terrence! - krzyknął, wpadając do pokoju. I skamieniał.

Renner leżał na dywanie z oczami wbitymi w sufit. Twarz i szyję miał zalane krwią; ściekała, tworząc kałużę na podłodze.

- Nie! - Cole ukląkł obok i zacisnął palce na nadgarstku starego lekarza, szukając pulsu.

Za późno.

Krew już nie płynęła. Serce przestało bić, płuca oddychać. Renner nie żył.

Cole zauważył kątem oka, że ramię Rennera leży w nienaturalnej pozycji. Powoli podniósł wzrok i zobaczył liczbę napisaną na ścianie grubą czerwoną kreską.

### **:101:**

Włosy stanęły mu dęba. Sto jeden? Jak dwieście dwanaście? Liczba wypisana krwią Royała Kajaka i jego własnym palcem? Cole miał wrażenie, że serce zaraz rozsądzi mu klatkę piersiową.

Renner nie żyje... nie żyje... A przecież zadzwonił do niego na komórkę przed niecałą godziną.

Jezu Chryste, co się tu dzieje?

Ktoś cię wrabia.

Znowu.

Ktoś na niego czekał. Czekał cierpliwie, aż wyjdzie na wolność, a potem, w ciągu kilku godzin od chwili jego uwolnienia, dokonał kolejnego mordu - i zadzwonił do niego!

Co takiego powiedział ten facet przez telefon? :Mam dowody:.

Taką samą wiadomość otrzymała Eve od Roya Kajaka tej nocy, kiedy został zabity.

Morderca ciągle może być w tym domu.



Cole sprawdził pokój, zajrzał we wszystkie kąty i na korytarzyk, gdzie nie dochodziło światło. Na biurku leżał otwieracz do listów. Chwycił go.

Wiej stąd! Wiej stąd jak najszybciej!

Wyteżył słuch, ale słyszał tylko tykanie starego zegara w holu, muzykę dobiegającą z radia na biurku i głośne, gwałtowne bicie własnego serca. Żadnych szybkich kroków, przyspieszonego oddechu, dźwięku wysuwanego z pochwy noża.

Dom wydawał się zupełnie pusty.

Cichy.

Nikt nawet nie westchnął, pies nie zawarczał. Na co czekasz? Spadaj stąd! Ogarnęła go panika.

Ktoś cię wrabia, Cole. To nie jest zbieg okoliczności. Jakiś chory sukinsyn się na ciebie wziął. Ale dlaczego? I kto?

Ktoś, z kim Renner miał na pieńku? Ktoś, kto go zabił...

Cole znalazł telefon i wystukał 911. Operator odebrał po drugim sygnale.

- Dziewięćset jedenaście. Czego dotyczy zgłosze...

- Chodzi o morderstwo - przerwał mu Cole. - Ktoś zabił Terrence'a Rennera. W jego domu... - Chwilę się zastanawiał, nim podał dokładny adres.

- Czy pan się dobrze czuje? Proszę pana?

- Tak. Ale Renner... On nie żyje.

- Pana godność?

Cole natychmiast się rozłączył.

Wiedział, że teraz musi się stąd jak najszybciej wynieść. Zanim zjawią się tu gliny... I bez tego miał dość kłopotów. Domyśla się, że tu był, oczywiście, na razie jednak potrzebował czasu, żeby to wszystko przemyśleć.

Zauważył laptop Rennera na biurku, chwycił go i wyszarpnął wtyczkę z gniazdka. Wsunął urządzenie do futerału, który leżał na małej sofie przed kominkiem.

Wynoszenie z tego domu czegokolwiek było przestępstwem, ale w tej chwili nic go to nie obchodziło. Zabójca, kimkolwiek jest, zadzwonił do niego, by go tu zwabić. Może w zapiskach Rennera znajduje się jakaś wskazówka, a może nie, lecz Cole wiedział, że szansa, by do nich zajrzeć, już się nie powtórzy.

Gnany strachem, zrobił szybkie porządki. Gdyby ktoś go tu przyłapał, tu albo gdzieś w pobliżu, na pewno znowu skończyłby w areszcie.

Zadzwoił telefon. Cole aż podskoczył. Wiedział, że to gliny. Operator oddzwania, żeby sprawdzić numer.

Najszybciej jak potrafił wytarł wszelkie ślady, jakie mógł zostawić na biurku, podłodze czy telefonie. W oddali rozległo się wycie syren. Wybiegł z domu, przetarł klamkę u drzwi i zeskoczył z ganku na miękką murawę. Z mocno bijącym sercem dopadł dzipa i wrzucił do środka futerał z komputerem.

Wycofał samochód z podjazdu, a potem, na wiejskiej drodze, wcisnął gaz i ruszył, oddalając się od miasteczka. Powtarzał sobie, że nie powinien jechać zbyt szybko, ale strach nie pozwalał mu zwolnić. W końcu z trudem trochę się uspokoił, starając się myśleć i zachowywać jak adwokat, a nie jego klient.

Jego głos został nagrany. Policja z czasem go rozpozna. Wezwą go na przesłuchanie. Będzie musiał stawić im czoło. Ale nie dziś. Dopiero wtedy, kiedy sam pozna odpowiedzi na kilka pytań. W więzieniu przysiągł sobie, że dowie się, co naprawdę zdarzyło się tamtej nocy, kiedy zginął Kajak, i nadal zamierzał to wyjaśnić. Morderstwo Roya nie może pozostać nierozwiązaną zagadką, zwłaszcza że to on, Cole, jest w tej sprawie jedynym podejrzanym. A teraz będą go także podejrzewać o zabójstwo Rennera!

Myśl, powtarzał sobie. Zastanów się, co powinieneś teraz zrobić.

Najpierw to, co najważniejsze. Ma pieniądze i laptop Rennera. Musi znaleźć jakieś miejsce, w którym będzie mógł je ukryć. Zna jedno takie, chyba idealne: dom Eve. Od miesięcy stoi pusty.

A jeśli policjanci przeszukają jej dom, myślał gorączkowo, nie zaskoczy ich fakt, że jest tam komputer jej ojca. Ukryje tam też pieniądze. Nikt nie zdoła go z nimi powiązać.

Wrócił na autostradę i po chwili dojrzał w oddali znajomą łunę nad Nowym Orleanem. Światła miasta lśniły w gęstej, podnoszącej się mgle.

A co z Eve? Musisz do niej zadzwonić i powiedzieć o ojcu. Powinna się o tym dowiedzieć.

Przygryzł wargę i przez parę sekund rozważał konsekwencje takiego

kroku.

Lepiej zostaw to policji. Jeśli ty jej o tym powiesz, sprowadzi ci gliny na kark.

- Sukinsyn - mruknął. Cokolwiek zrobi, kiepsko na tym wyjdzie.

## Rozdział 8

Czas się kończy.

A tyle jest jeszcze do zrobienia.

Tak wiele rytuałów... tak mało czasu.

A jednak nie wolno mu niczego przyspieszać, o nie.

Wskrzesiciel, ciągle jeszcze podekscytowany, zostawił furgonetkę w krzakach, gdzie wyciął część gałęzi. Napięty, spocony, wyjął narzędzia. Pracował szybko i sprawnie, usunął z samochodu wszystko, co mogło stanowić dowód przeciw niemu, a potem zamknął drzwi i pobiegł długą, zarośniętą ścieżką w górę zbocza, do swojej ukrytej wśród drzew chaty. Nawet zimne powiewy wiatru nie chłodziły jego rozpalonej skóry. Serce biło mu mocno, w nozdrzach wciąż czuł zapach krwi.

Miał też gdzie mieszkać w mieście, oczywiście, ale to tu, w lesie, był naprawdę u siebie. To tu odnalazł go Głos Boga i tylko tu mógł słyszeć go naprawdę.

W środku zarygłował drzwi, upewnił się, że okiennice są dokładnie zamknięte, zdjął ubranie i wrzucił je do starej pralki. Wstawił buty do zlewu z nierdzewnej stali i spłukał z nich krew. Włączył pralkę i wlał do niej ćwierć butelki wybielacza, a potem wyszorował wybielaczem zlew. Czuł, że dobrze zaciera za sobą ślady, ale wiedział, że i tak musi być bardzo ostrożny. Żaden, nawet najlepszy plan, nie jest doskonały, a policjanci nie są w ciemni bici.

Słuchaj Głosu. Ufaj mu.

Nigdy w niego nie wątp. Nigdy.

Ciągle był nakręcony, ciągle jeszcze przeżywał morderstwo, którego właśnie dokonał.

Wiedział, że Cole Dennis znowu będzie kozłem ofiarnym. Pojawił się w domu Rennera w idealnym momencie i znalazł ciało.

Wskrzesiciel nie był tak głupi, by zaczekać na tę chwilę, choć miał na to wielką ochotę. Byłoby to jednak zbyt ryzykowne, a Głos nakazał mu, by opuścił to miejsce zaraz po wykonaniu zadania. Wsiadł więc do samochodu i odjechał, ale włączył policyjne radio zamontowane w furgonetce i słuchał, o czym mówili gliniarze.

Nie miał zbyt dużo czasu, by zrealizować cały plan. Głos powiedział mu wyraźnie, że jego misja szybko dobiegnie końca, a jej ukoronowaniem będzie Eve.

Myślał o tym, co jej zrobi.

Jak ukarze ją za wszystkie jej grzechy.

Zatarł dłonie. Już nie mógł się tego doczekać.

Rozbierze ją do naga.

Weźmie ją i zrobi z nią wszystko, o czym od dawna marzył...

Rozpalił na kominku, rozłożył plastikową płachtę przed paleniskiem, po czym przyniósł z sypialni wysokie lustro. Postawił je na brzegu płachty, tak by odbijało ogień płonący na kominku i wiszące nad nim drugie lustro. Wyjął swoje przybory z szuflady w kredensie i położył je na gzymsie kominka. Kiedy ołtarz był już gotowy, pobiegł do małej prowizorycznej łazienki, odkręcił kran i wszedł pod prysznic. Lodowata woda biła w jego ciało mocnym, pulsującym strumieniem. Spłukał z siebie pot, brud i mydło, którym umył twarz, włosy, ręce i genitalia. Kiedy spłynęły z niego resztki piany, wyskoczył spod prysznica i stanął na zimnej kamiennej podłodze. Ociekając wodą i drżąc z zimna, poszedł do pokoju, niewielkiego, urządzonego ze spartańską prostotą pomieszczenia, oświetlonego teraz ogniem płonącym na palenisku.

Zapalił świece, które stały na gzymsie starego kominka. Proste, surowe świece wotywnie, białe i pozbawione zapachu, dłuższe i krótsze. Ich migotliwy blask zwielokrotniały lustra. W świetle zalśniły też paciorki różańca wiszącego na haczyku nad kominkiem. Zdjął go z szacunkiem, zacisnął palce na chłodnych, czerwonych jak krew koralikach, zamknął oczy i osunął się na kolana. Poczuł, że odzyskuje równowagę. Różaniec zawsze pomagał mu się uspokoić, nie dopuszczał do niego demonów i bezbożnych myśli. Wskrzesciel wiedział, że zabójstwo jest uważane za grzech. Ale nie wtedy, powiedział sobie, kiedy dokonane zostaje z rozkazu samego Boga. Nie wtedy, kiedy jest współczesną formą krucjaty, kiedy ma oczyścić świat ze zła.

Głos Boga wydał mu rozkaz.

On był tylko narzędziem. Wierzył w to.

A jednak nachodziły go myśli nieczyste. Myśli lubieżne. Poza tym zabijanie sprawiało mu przyjemność. Fantazjował o nim. Wspominał je. A tego przecież nie było w boskich planach.

Ach, jak bardzo chciał napawać się dłużej chwilą, w której odebrał życie Rennerowi, przypomnieć sobie wszystkie szczegóły, przeżyć to jeszcze raz - tak, jak pragnął wyobrazić sobie swoje zespolenie z Eve, zanim złoży ją w ofierze.

Ale musiał czekać, musiał się opanować i zapanować nad wyobraźnią. Bóg na pewno go zrozumie, bo to Bóg przywiódł go do Eve - po raz pierwszy w dzieciństwie, a po raz drugi teraz, kiedy oboje byli już dorośli. Jako dziecko była inteligentna i bystra. Pamiętał, jak biegła po szpitalnym ogrodzie. Pamiętał jej opalone nogi, lśniące złote włosy, niebieskie, roztańczone oczy. Już wtedy, gdy miała nie więcej niż dwanaście lat, zaczęły jej rosnąć piersi. Widział je wyraźnie przez materiał bluzki, zanim zaczęła nosić stanik. Była wysportowana i dzika. Patrzył, jak dorastała, i czuł dojmujący ból w kroczu. Zaślepiła go żądza.

Nie śmiał jednak wspomnieć o swoim pożądaniu temu lekarzowi, jej ojcu. Gdyby to zrobił, znowu zaordynowałiby mu leki, po których snuł się senny i otepiały. Każdy ruch był wówczas wysiłkiem, powietrze stawiało opór jak woda.

Bóg pokazał mu Eve jako dziecko.

Bóg pozwolił mu patrzeć, jak zmieniała się w kobietę.

A potem Bóg ją zabrał, prawdopodobnie po to, by ukarać go za grzechy.

Czyż siostra Vivian nie mówiła o bożym gniewie, kiedy przyłapała go samego w szafie? Dotykał się, patrząc na zdjęcie Eve przypięte do wewnętrznej strony drzwi. Ciągle miał przed oczami przerażoną twarz zakonnicy.

Ukarała go wtedy, zagroziła, że powie o tym doktorowi. Zmiękła jednak, widząc jego łzy i skrucę. W końcu powiedziała o tym tylko siostrze Rebecce, która zmarszczyła brwi i spojrzała na niego karcąco. To ona nalegała, by wyznał wszystko księdzu. Bogu. Wypowiadał się więc i odpokutował grzech, modląc się i spełniając dobre uczynki. Siostra Rebecca wymierzyła mu własną karę. Odizolowano go od innych pacjentów w jego wieku, tych, którzy mieli tylko :czyste myśli:. Nie spuszczała go też ani na chwilę z oka. Stał się jej niewolnikiem.

Czuł się tak, jakby został przywiązany do obszernych spódnic zakonnicy i jej różańca. A kiedy zaczynał narzekać, siostra Rebecca groziła, że zdradzi Eve i doktorowi Rennerowi jego mroczny sekret.

- Pomyśl tylko, co się wtedy stanie - ostrzegła go konspiracyjnym szeptem. - Wszyscy tutaj dowiedzą się, jakim jesteś grzesznikiem.

Siostra Vivian, jej podwładna, unikała go teraz. Podczas gdy siostra

Rebecca rozkoszowała się karaniem go na różne sposoby, młodsza zakonnica nie chciała mieć nic wspólnego z takim grzesznikiem.

A przecież obie także były nieczyste, czyż nie?

Czy Głos mu tego nie powiedział?

Czy sam Bóg nie przywiódł go do Eve, która nie była już dzieckiem, lecz kobietą? I grzesznicą. Nierządnicą.

Lecz choć była tak skalana, pożałował jej.

Zaschło mu w ustach, zadrżał na myśl o niej i przypomniał sobie, jak stał w szafie, patrząc na jej zdjęcie.

Wiedział, że teraz musi się modlić, błagać o przebaczenie za te nieczyste myśli, a potem odprawić własną pokutę, własny, prywatny rytuał.

Dopiero wtedy będzie mógł mieć nadzieję, że Głos znowu do niego przemówi i zagłuszy te ciche, irytujące szумы, które przyprawiały go o ból głowy.

Delikatnie przytrzymał krzyżyk różańca kciukiem i palcem wskazującym, musnął wargami postać Chrystusa i cicho, ledwo dosłyszalnie zaczął się modlić.

- Wierzę w Boga, Ojca Wszechmogącego, Stworzyciela nieba i ziemi i w Jezusa Chrystusa, Syna Jego jedyne. Pana naszego... - Krew zaczęła krążyć mu w żyłach wolniej, serce odnalazło swój naturalny rytm, krople wody na skórze obeschły. Jak wtedy, kiedy był dzieckiem, przesuwając między palcami paciorki różańca, aż skończył modlitwę słowami: - Święta Mario... módl się za nami... abyśmy się stali godnymi obietnic Chrystusowych. Amen.

Powoli podniósł się z kolan. Jego ciało i dusza zostały oczyszczone, ponieważ modlitwa ta była dla niego spowiedzią i komunią. Nie potrzebował księdza, pośrednika między Bogiem a sobą.

Bóg mówił wprost do jego ucha.

Nocą.

Kiedy był sam.

I kazał mu zrobić na ciele znaki, które będą mu przypominać o jego misji. Otworzył skrzynkę i spojrzał na lśniące w środku przyrządy.

Wyjął igłę, napelnił strzykawkę błękitnym atramentem i włożył do maszynki. Przez chwilę patrzył na odbicie swojego nagiego, ogolonego i wydepilowanego ciała w lustrze, a potem zaczął. Ostrożnymi ruchami

wypisał na skórze liczbę 101. Igła poruszała się szybko, nakłuwając skórę, ilekroć nadepnął pedał. Wykonał tatuaż w miejscu, w którym będzie mógł bez trudu go zobaczyć, między innymi starymi tatuażami. Tatuaże na ciałach ofiar robił, oczywiście, za pomocą mniejszej maszynki na baterie. Wtedy był szybki i niezbyt dokładny. Ale kiedy wykonywał tatuaż na własnej skórze, nigdy się nie spieszył. Każda cyfra i litera była doskonała. Idealna.

Ból go podniecał. Pracując igłą, musiał się bardzo starać, by opanować odruchy swojego ciała i nie myśleć o seksie i bólu. Najważniejsze, by efekt go satysfakcjonował. Nakłucie przy nakłuciu, równe, głębokie, tak by tatuaż został na jego skórze na zawsze.

Numer 101... wraz z innymi tatuażami, wśród których były imiona i liczba 212.

Skończył zbyt szybko. I zbyt szybko ustąpił ten zmysłowy ból.

Zgasił świece, zalał palenisko wodą, umył igłę, zwinął kabel i schował maszynkę do szuflady. Zdjął z podłogi plastikową folię i jeszcze raz przyjrzał się swojemu dziełu. Później położył się na łóżku, ale nie przykrył kołdrą.

Tej nocy zrobił już wszystko.

Ale nadejdą inne noce.

Wiele już minęło.

Niektórych zabijał błyskawicznie. Innych wolniej, wysyłając ich dusze prosto do raju. Jednego wskrzesał, tylko jednego i to tak dawno temu... Łzy napłynęły mu do oczu.

Teraz jednak, kiedy znowu zaczął zabijać, nie przestanie tak szybko.

Myśl ta sprawiła mu przyjemność. Oczekiwanie dobiegło końca.

Zamknął oczy i wkrótce napłynęły głosy, te syczące, jęśliwe, denerwujące głosiki, które nie dawały mu spokoju, wywoływały napięcie, budziły gniew. Zaciśnął pięści. Teraz łzy, które czuł pod powiekami, nie były już łzami smutku, ale frustracji. Zagryzł wargę tak mocno, że pojawiły się na niej kropelki krwi. Niewiele brakowało, a zaczęłyby krzyczeć. Wiedział już, że będzie to jedna z tych nocy. Jedna z tych długich, okropnych nocy. Kiedy sen wreszcie nadejdzie, nie przyniesie mu ukojenia, lecz rozszalałą burzę koszmarów.

Komórka zaczęła dzwonić. Eve otworzyła oczy.

Gdzie ja jestem? Co to tak dzwoni... Telefon? Gdzie jest telefon?



Przez chwilę, zdezorientowana, nie wiedziała gdzie. Usiadła na łóżku.

Samson głośno, przenikliwie syknął, wygiął grzbiet w łuk, a potem zeskokczył z łóżka i schował się pod komodę.

Szukając telefonu, Eve nacisnęła przypadkiem włącznik nocnej lampki i pokój nagle zaalało ostre światło. Zamrugwała, usiłując uspokoić mocno bijące serce.

- On jest wolny - ostrzegł ją ten sam chrapliwy głos, który już kiedyś słyszała.

Gwałtownie wciągnęła powietrze.

- Kto mówi?

Cisza. Ale ten człowiek ciągle był na linii. Czują to.

- Słuchaj - powiedziała spokojnie i stanowczo - kimkolwiek jesteś... wiem, że on jest wolny, więc przestań do mnie wydzwaniać.

- On jesssst wolnyyy - głos był tak bardzo cichy, że niemal go nie słyszała.

A potem połączenie zostało przerwane.

- Sukins... - szepnęła, odgarniając włosy z twarzy i usiłując się uspokoić. Kto, do diabła, znęca się nad nią w taki sposób? Wydzwania do niej w środku nocy? Spojrzała na ekran telefonu, modląc się, by wyświetlił się na nim numer albo nazwisko. Ale numer był oczywiście zastrzeżony i na ekranie nie pojawiła się żadna informacja. Kimkolwiek był ten człowiek, chciał pozostać anonimowy, przerazić ją i doprowadzić do szaleństwa.

Zgasiła światło, oparła się o wezglowie łóżka i spojrzała na stojący obok elektroniczny budzik. Druga trzydzieści sześć.

Kto przy zdrowych zmysłach dzwoni o takiej... No tak, w tym właśnie problem. To na pewno nie był ktoś przy zdrowych zmysłach. Ktokolwiek to robił, musiał mieć nierówno pod sufitem. Bardzo nierówno.

- Cholera.

Leżała w ciemności, czekając, aż jej serce zacznie bić wolniej. Kto to może być? Skąd dzwoni? Dlaczego musi informować ją o tym, że Cole wyszedł na wolność? Pisały o tym przecież wszystkie gazety. W dodatku to nie były przyjazne ostrzeżenia. Nie, brzmiały tak złowieszczo. Miały wzbudzać strach.

Ktoś próbuje cię sterroryzować.

- I całkiem nieźle mu idzie - przyznała.

Samson wskoczył na łóżko i zwinął się w kłębek. Z roztargnieniem pogłaskała go po głowie, zadowolona, że jej wybaczył. Po co ktoś miałby... Rozległo się pukanie do drzwi.

Serce podeszło jej do gardła. Zagryzła wargi, by nie krzyknąć. Ktoś pukał! Samson podniósł głowę i spojrzął na zamknięte drzwi sypialni.

Eve wstrzymała oddech, ale pukanie rozległo się ponownie, choć tym razem zdawało się dobiegać od strony tylnych drzwi. Pomyślała o draniu, który przed chwilą do niej dzwonił. Może sprawdzał, czy ona jest w domu.

Ale nikt przecież nie wiedział, że ona tu jest!

- Nie panikuj - szepnęła do siebie, coraz bardziej przerażona. Zadzwoń na policję? Odrzuciła ten pomysł... na razie. Była w domu, nie na odludnych moczarach.

Nie myśl o nocy, kiedy zginął Roy. Uspokój się... myśl racjonalnie...

Nie włączając światła, narzuciła szlafrok i pobiegła na drugie piętro, do pokoju, kiedyś gabinetu dziadka. Urządziła w nim drugą sypialnię, w której teraz, dwadzieścia lat po jego śmierci, ciągle było wiele należących do niego przedmiotów: zdjęcia jego i jego żony, medyczne dyplomy, stary ulubiony fotel i rewolwer. W świetle ulicznej latarni, choć słabym, znalazła broń w dolnej szufladzie biurka. Nie była naładowana, a w domu nigdzie nie było amunicji, wzięła jednak rewolwer, a także swój telefon i ruszyła na dół.

Jeśli natknie się na intruza, on nie będzie przecież wiedział, że broń nie jest nabita.

Myśl, powtarzała sobie, schodząc po schodach. Jej oczy powoli przyzwyczajały się do ciemności. Jako dziecko tysiące razy chodziła tymi korytarzami, nie włączając światła. Teraz także go nie włączyła, wiedząc, że jej sylwetka byłaby wówczas doskonale widoczna na tle jasnych okien.

Ten ktoś pukał tak mocno, że zatrzęśły się szyby w oknach. Na pewno nie był to złodziej, bo złodziej nie chciałby zwracać na siebie uwagi. A może szaleniec, ktoś pod wpływem narkotyków, ktoś zdesperowany?

Zacisnęła palce na rewolwerze i ruszyła długim korytarzem, oddzielającym hol od jadalni. Minęła łazienkę i weszła do kuchni. Serce waliło jej jak młotem.

Nie panikuj, powtórzyła, wchodząc do przedsiionka, skąd przez okno dostrzegła sylwetkę mężczyzny na ganku. Był wysoki, a jego twarz ginęła w mroku.

- Kto tam? - spytała pełnym napięcia głosem, ściskając rewolwer. Wymierzyła w okno, jakby zamierzała strzelić, i drugą ręką włączyła światło na ganku.

Żarówka rozbłysła mdło, migotliwie, w każdej chwili mogła zgasnąć i pogrążyć ganek w całkowitej ciemności. A jednak Eve natychmiast rozpoznała tego mężczyznę.

Cole Dennis.

## Rozdział 9

Eve nawet nie drgnęła. Celowała w sam środek jego klatki piersiowej, jakby chciała trafić go prosto w serce.

Cole dostrzegł ją przez szybę i zmartwił. Powoli podniósł rękę, rozcapierzając palce obu dłoni.

- Eve! To ja! - krzyknął.

- Czego chcesz, do diabła? - spytała, zła, że głos jej drży ze strachu.

- Nie wiedziałem, że tu jesteś.

- Więc dlaczego waliłeś w drzwi w środku nocy?

Była na niego wściekła, serce biło jej bardzo mocno, a rozsądek podpowiadał, że powinna natychmiast zadzwonić na policję. Pamiętaj, co on ci zrobił! Pamiętaj, że kiedyś patrzyłaś przez inną szybę, w starej chacie, i widziałaś, jak do ciebie strzelił. Mierzył do ciebie. Do ciebie! Miał zamiar cię zabić.

W domu sąsiadów, na piętrze, zapaliło się światło.

Cholera, zrobili scenę. Ostatnią rzeczą, jakiej życzyła sobie Eve, było roztrząsanie jej prywatnych spraw przez sąsiadów. Miała już dość skandali.

Ale to był Cole.

- Muszę z tobą porozmawiać - zawołał.

W domu pani Endicott też zapaliło się światło. Eve zakłęła pod nosem. Jeśli nie chce, by o tym, co się tu dzieje, dowiedziała się cała dzielnica i policja, musi wpuścić go do środka.

Niechętnie otworzyła drzwi, lecz siatkę zostawiła zamkniętą.

- Przestań krzyczeć. Mów, co masz do powiedzenia, i idź sobie. Cole zniżył głos.

- Kiedy tu przyjechałem, nie miałem pojęcia, że tu jesteś. Właśnie wyszedłem z...

Wiem o tym. Wszędzie o tym mówili.

- ...ale zobaczyłem twój samochód.

- Więc postanowiłeś obudzić mnie o wpół do trzeciej w nocy, tak? - zakpiła.

Co on tu robi do cholery? Na pewno nic dobrego. Cole zawahał się i opuścił rękę.

- Tak.

- Dlaczego?

- Chyba będzie lepiej, jeśli wpuścisz mnie do środka.
- Mowy nie ma - pokręciła głową. Krótkie loki zatańczyły wokół jej szyi.
- Eve, proszę. To poważna sprawa.
- Nie wątpię! - Rozrzęsiona, z emocji miała ściśnięte gardło i nie potrafiła oderwać od Cole'a wzroku. Trzy miesiące wcześniej widziała, jak mierzył do niej z rewolweru, widziała na własne oczy, jak wycelował. Czula uderzenie kuli, a później, jeszcze długo, ból.
- Cole jeszcze bardziej ściszył głos.
- Nie, nie żartuję. Naprawdę muszę z tobą porozmawiać.
- Niech mnie diabli, jeśli pozwolę ci wejść do mojego domu. To koniec, Cole. Rozumiesz? Koniec! - Lewą ręką sięgnęła do kieszeni szlafroka, wyjęła komórkę i podniosła ją do góry, cały czas celując z rewolweru w pierś Cole'a. Dobry Boże, jak bardzo go kiedyś kochała. Jaka była ślepa. I głupia. — Dzwonię na policję.
- Świetnie. - Zmarszczył brwi i zacisnął usta w dobrze jej znanym wyrazie frustracji. Widziała to już tyle razy. Mruknął coś pod nosem, a potem powiedział: - Proszę bardzo.
- Myślisz, że nie? Myślisz, że blefuję? - Zaczęła kciukiem naciskać przyciski na telefonie, nie spuszczać wzroku z jego chmurnej twarzy.
- Chyba nie wiesz, co robisz.
- Super, Cole. Naprawdę umiesz przełamać lody.
- Nie tak dobrze jak ty. Za pomocą rewolweru...
- Wiesz dlaczego!
- Do diabła, Eve! Nie przyjechałem tu dla zabicia czasu! - Zrobił krok w stronę drzwi. Teraz dopiero zauważyła, jak bardzo jest zmęczony. Źle wyglądał. Zmarszczki wokół oczu bardzo się pogłębiły, był nieogolony.
- Wysłuchaj mnie.
- Żebyś znowu mnie okłamał? Albo zabił?
- Nigdy nie chciałem zrobić ci krzywdy - odparł gniewnie, patrząc jej prosto w twarz. Błękitne oczy, tak szczerze, tak poważne. Bardzo chciała mu zaufać. Ale nie mogła. Nie miała odwagi. Nie ufała nawet samej sobie. - Nigdy nie narażałem twojego życia na niebezpieczeństwo.
- Kłamiesz!
- Wiesz, że to prawda, Eve. W głębi serca wiesz, że nigdy nie zrobiłbym ci krzywdy - powtórzył.
- Widziałam cię, Cole.

- Nie. - Wyciągnął do niej rękę, jakby chciał powstrzymać potok słów, którego się spodziewał. - Wydaje ci się, że mnie widziałas. Ale nie jesteś pewna. Dlatego nie mogłaś przekonująco zeznawać. Masz problem z pamięcią.

- Byłaś tam - powtórzyła z uporem. Czy nie o to właśnie cały czas chodziło, że nie wierzyła w to, co widziała na własne oczy. Że nie ufała własnej pamięci? I prokurator o tym wiedział. Yolinda Johnson wyraźnie dała jej to do zrozumienia. - Wiem, co widziałam.

- Jesteś pewna?

Machnęła w powietrzu rewolwerem.

- Nie próbuj ze mną tych swoich adwokackich sztuczek. Rozumiesz? Ta sądowa taktyka na mnie nie podziała.

- Mówię prawdę.

- Prawdę. - Westchnęła i zauważyła kolejne światło, które właśnie rozbłysło w sąsiednim domu. Do diabła z tym wszystkim! Pani Endicott na pewno słyszała kłótnię. - W tym właśnie problem, Cole. Że ty już nie wiesz, co to prawda.

- Ale to nie ja cierpię na amnezję.

- Fakt. Ty masz pamięć selektywną. Wierzysz w to, w co chcesz wierzyć. Mnie nie stać na taki luksus. A co jest w tym wszystkim chore? Ty naprawdę wierzysz w te bzdury, którymi mnie karmisz.

W jego twarzy drgnął mięsień.

- Doskonale - powiedział chłodno i wziął głęboki oddech. - Myślę jednak, że chciałabyś wiedzieć o ojcu.

- O moim ojcu?

- O Terrensie.

- Wiem, jak mój ojciec ma na imię. - Ale już udało mu się ją trochę zmiękczyć. Chciała myśleć, że blefował, lecz coś w jego twarzy kazało jej zaniechać kłótni. - O co chodzi? - spytała.

On znowu na nią spojrział, a wyraz jego oczu zmroził ją do szpiku kości.

- Byłoby lepiej, gdybym wszedł do środka.

Patrzyła na niego w milczeniu, z mocno bijącym sercem.

Czy może zaufać Cole'owi Dennisowi?

Nie.

To na pewno jakaś sztuczka.

- Tak jest całkiem dobrze.

- Mówię serio, Eve.

- Ja też.

- To nie jest dobra wiadomość - zawahał się, jakby szukał sposobu na jej przekazanie.

Eve miała wrażenie, że zmienia się w lód. On nie blefował. Z trudem przełknęła ślinę, położyła telefon na stoliku, otworzyła drzwi i odsunęła się na bok.

- Tylko mi nie mów, że on nie żyje - powiedziała.

- Eve... - Jego głos drżał lekko.

Otworzyła usta z przerażenia. Nie. To jakaś sztuczka! Na pewno. Chce ją zmiękczyć.

- Nie, nie wierzę ci.

Jego twarz była blada i śmiertelnie poważna.

- Właśnie stamtąd przyjechałem. Znalazłem go na podłodze w jego gabinecie. Ktoś go zabił, Eve. Tak samo jak Roya.

Nagle nogi się pod nią ugięły, cofnęła się do kuchni i oparła o blat, żeby nie upaść. Nie kłamałby w takiej sprawie, prawda? Nawet Cole nie upadłby tak nisko.

Nie ufaj mu, nie ufaj, nie ufaj!

Zaschło jej w ustach. Resztką sił włączyła światło nad zlewem i spojrzała na swoje odbicie w okiennej szybie - szczupła kobieta o przerażonych oczach, bladych ustach i krótkich, wystrzępionych włosach, które nie odrosły jeszcze nawet na tyle, by zakryć blizny.

- Mówiłeś... och... mówiłeś, że nie myślałeś, że tu będę... Więc dlaczego... Och, Boże! - krzyknęła, kiedy Cole wszedł do jasno oświetlonej kuchni. Na jego białej koszulce widniała zaschnięta krew, tak ciemna, że niemal czarna. - Cole? - szepnęła, przerażona.

Co on zrobił? Włosy stanęły jej dęba na głowie. Spojrzał tam, gdzie ona, i też zauważył plamę.

- To nie tak... Eve, wiesz, że ja nie miałem z tym nic wspólnego.

- Z ?...

Drżała na całym ciele. Żołądek podszedł jej do gardła, nagle ogarnęły ją mdłości. Pochyliła się nad zlewem, ale nie zwymiotowała. Kiedy zacisnęła palce na jego krawędzi, rewolwer niemal wysunął jej się z dłoni. Ojciec nie żyje? Nie żyje? W ataku torsji znowu się pochyliła. Nie, nie potrafi przyjąć tego do wiadomości. Nie, nie, nie! Nie! Nie

wierzy w to, nie może w to uwierzyć. Cole to świetny aktor... prawnik... kłamca!

- Zadzwoił do mnie... Sądziłem, że to on... I pojechałem się z nim zobaczyć. Kiedy tam dotarłem, nie otwierał drzwi. Nie były jednak zamknięte na klucz... Wszedłem do środka i znalazłem go w gabinecie...

Podniosła głowę i otarła usta wierzchem dłoni.

- Jak? - spytała niemal bezgłośnie, usiłując powstrzymać cisnące się jej do oczu łzy.

Cole wyglądał strasznie. Miał zapadnięte oczy, jego opalona zazwyczaj twarz była blada jak ściana.

- Tak jak Roy, Eve. Jak Roy. Twój ojciec miał poderżnięte gardło. Wszędzie była krew... Chryste, Eve, dokładnie...

- Przestań.

- ...tak samo.

- Nie wiem, dlaczego tu przyjechałeś; dlaczego mi to robisz. To niepojęte... To...

- Próbowałem go ratować, ale mi się nie udało. On nie żyje, Eve. Krew uderzyła jej do głowy.

- Ty... właśnie wyszedłeś z więzienia... Dzisiaj. Dlaczego ktoś... ktokolwiek poza tobą... miałby zabić mojego ojca? - Znowu zrobiło jej się niedobrze. Kątem oka dostrzegła kota, przycupnął w mrocznym korytarzu.

- Eve. - Cole wydawał się wstrząśnięty. - Nie miałem żadnego powodu, by go zabić.

- A od kiedy to potrzebujesz powodów, Cole? Najpierw próbowałeś zabić mnie, a teraz zabiłeś mojego ojca... Po co tu przyjechałeś? Żeby mnie wykończyć? - Była bliska hysterii.

- Przestań, Eve. Wysłuchaj mnie, na litość boską. Sądziłem, że jesteś w Atlancie.

- Więc po co tu przyjechałeś, Cole? Skoro myślałeś, że jestem w Atlancie?

Zawahał się.

- Nie - szepnęła. - Nie okłamuj mnie.

Samson, jakby wyczuł panujące w domu napięcie, wstał i zniknął w głębi korytarza.



Eve wyprostowała się i wzięła w garść, choć po jej twarzy płynęły łzy.

- Przynajmniej tyle możesz zrobić. Powiedzieć prawdę. Cole zacisnął jedną dłoń w pięść, a potem rozprostował palce.

- Chciałem tu coś ukryć.

- Co? Tutaj? - Prychnęła i potrząsnęła głową. Nie wierzyła mu. Otarła łzy rękawem szlafroka. - Co chciałeś tu ukryć? Dowody swojej winy?

Patrzył na nią, niepewnie przestępując z nogi na nogę. Słucham - ponagliła. Pieniądze.

- Pieniądze? - powtórzyła z niedowierzaniem.

- Tak. I walizeczkę.

- Twoją? Znów cisza.

- Czyją walizeczkę, Cole?

- Twojego ojca. Eve zmartwiała.

- Ukradłeś pieniądze mojego ojca i jego walizkę?

Szok. To wszystko nie mieściło jej się w głowie. Było takie dziwne, nierealne. Nieprawdopodobne. A jednak patrząc na jego poważną twarz, widząc ból w jego oczach, była niemal pewna, że mówił prawdę. Albo przynajmniej część prawdy. A ojciec? Czy naprawdę nie żyje? Zamordowany? Nagle zrobiło jej się zimno.

- Pieniądze są moje.

- Twoje?

- Ukryłem je już dawno, dawno temu.

- Och, Cole...

- To prawda, do cholery! Nauczyłem się tego wiele lat temu od mojego starego.

- Tego artysty?

- Któż mógł wiedzieć lepiej od niego, jak bardzo czasem przydają się fundusze chowane na czarną godzinę? - spytał i wszedł dalej do kuchni, nie spuszczać wzroku z rewolweru, który Eve ciągle ścisnęła w dłoni.

- Miałem już gotówkę przy sobie, kiedy zadzwonił twój ojciec... Było to dość dziwne, więc pojechałem do niego i znalazłem go... leżał na podłodze. Próbowałem go reanimować, ale było za późno. Zadzwoniłem na 911. A potem wzięłem jego laptop, włożyłem do walizeczki i zwałem.

- Okradłeś nieżyjącego człowieka... zamordowanego człowieka... - Słowa z trudem przechodziły Eve przez gardło. Nie mogła się

pozierać.

- Pomyślałem, że uda mi się wyjaśnić, co się właściwie stało - powiedział Cole. - Dowiedzieć się, dlaczego twój ojciec został zamordowany. Kto jest za to odpowiedzialny. Czy zabito go, bo coś wiedział? Czy miało to jakiś związek z morderstwem Roya.

- To zadanie policji.

- Naprawdę? W sprawie Roya gliniarze chyba nie bardzo się popisali?

Eve przycisnęła dłoń do czoła.

- Zostaniesz aresztowany za... zawłaszczenie dowodów, opuszczenie miejsca zbrodni, sama nie wiem... Masz poważne problemy...

- Właśnie dlatego tu przyjechałem.

- Nie umiem... zebrać myśli... - mruknęła, ale Cole mówił dalej.

- Te dwa morderstwa na pewno są ze sobą powiązane. Roy Kajak był pacjentem twojego ojca...

- Wiele lat temu.

- Posłuchaj, Eve, nikt nie będzie się starał dowiedzieć, co się naprawdę wydarzyło. Gliny nie odkryją więcej niż ja.

- Winisz ich za to? - spytała, dziwnie cichym i słabym głosem. - Dopiero wyszedłeś z więzienia i nagle mój ojciec zostaje zamordowany. Popatrz na siebie. Na tę krew na twojej koszulce.

- Ktoś mnie wrabia, Eve. Nie jestem zabójcą. A gdybym był, nie zachowywałbym się tak. Nie rozmawiałbym tu teraz z tobą. Ktoś do mnie zadzwonił, myślałem, że to twój staruszek. Powiedział: „Mam dowody”.

Eve nagle przypomniała sobie tamtą noc, kiedy zadzwonił do niej Roy. Był przerażony, nalegał, by przyjechała. „Mam dowody”.

- Tak, dokładnie to samo co Roy. - Cole spojrział na rewolwer w drżącej ręce Eve. - Na litość boską, daj mi to. Nie chcesz przecież zastrzelić mnie ani nikogo innego. - Wyjął broń z jej bezwładnej dłoni; nie opierała się. Była zbyt wstrząśnięta, a on miał rację. Nigdy nie uważała, że jest głupi. Ale szybko się wkurzał. Jeśli jej ojciec go wystawił...

Cole zajął do komory rewolweru i westchnął.

- Tak myślałem. - Rzucił bezużyteczną broń na kuchenny blat.

- Masz alibi?

- Nie. - Patrzył na nią twardo. Kiedyś te błękitne oczy przyprawiały ją

o dreszcze, teraz jednak była zbyt odrętwiała, by cokolwiek czuć. - Ktoś za tym stoi, za czymś, co przekracza granice mojej wyobraźni. Ale twój ojciec i Roy zostali zamordowani z jakiegoś powodu. To nie przypadek ani zbieg okoliczności. Ktoś czekał, aż zostaną wypuszczony na wolność.

- Nie mogę w to uwierzyć. - Strach, smutek, niedowierzenie... Wszystko to sprawiało, że znowu zaczęła ją boleć głowa. Sięgnęła po telefon.

- Co robisz? - spytał Cole.

- Dzwonię do ojca.

- Eve, on nie żyje. Zadzwoiłem na 911. Na pewno policjanci są już na farmie. Odbiorą i natychmiast tu przyjadą.

Eve słyszała już w słuchawce przerywany sygnał, ale nikt nie odebrał Iclefonu. Przełknęła nerwowo ślinę. No, dalej, odezwij się, tato! Serce waliło jej jak młotem, tysiąc razy na minutę, na plecy wystąpił pot. W końcu odezwała się automatyczna sekretarka.

- Musisz wrócić do Atlanty. Albo gdzieś wyjechać. Tu nie jesteś bezpieczna.

- Zaraz, zaraz, to jest mój dom. Zrobił krok w jej stronę.

- Dwóch ludzi nie żyje, Roy i twój ojciec. Zostali okrutnie zamordowani, a ciebie trafiła kula. W dniu, kiedy twój ojciec ginie, ty znajdujesz dziwną kopertę w swoim samochodzie i odbierasz jakieś dziwne telefony. Eve, musisz stąd zniknąć. Jedź do Atlanty albo przynajmniej zatrzymaj się w motelu na resztę nocy. W Lafayette albo Baton Rouge czy gdziekolwiek indziej.

- Nigdzie się jadę. Muszę się dowiedzieć, co z moim ojcem.

- Do diabła, Eve!

Zadzwoiła jej komórka i Eve aż podskoczyła. Spojrzała na ekran i zobaczyła numer swojego brata Kyle'a.

- Halo?

- Eve! - odezwała się Anna Maria zduszonym głosem. - Jezu, przepraszam cię, że tak późno dzwonię, ale Kyle'a nie ma, a do mnie właśnie telefonował przyjaciel, który pracuje dla nowoorleańskiej gazety. On zawsze słucha tego, co mówią na policyjnej częstotliwości, i powiedział mi, że prawdopodobnie doszło do zabójstwa, a ofiara ma na nazwisko Renner. Nie powinien o tym mówić, dopóki nie zostanie to

potwierdzone i nie powiadomią rodziny, ale pomyślał, że... Och, Boże, chodzi o tatę? Adres brzmiał tak znajomo i... nie wiem, co robić, i...

- Nikt do mnie nie dzwonił - powiedziała Eve, nie patrząc na Cole'a. Wciąż jeszcze nie chciała w to uwierzyć.

- Próbowałam się skontaktować z Kyle'em, ale nie odbiera — ciągnęła Anna. - Nie może się nauczyć, jak się posługiwać komórką. A nie widzę powodu, żeby dzwonić do Vana, on mieszka tak daleko, a poza tym, dopóki nie wiemy, co się właściwie stało... - Urwała, a po chwili Eve usłyszała trzask zapalniczki i głęboki wdech.

- Nie dzwoń do Vana.

- Ktoś powinien to zrobić. Próbowałam się dodzwonić do taty, ale nikt nie odpowiadał. Tylko ta głupia automatyczna sekretarka.

- Pojadę tam - zapewniła ją Eve. Kątem oka dostrzegła, że Cole znieruchomiał, kiedy to powiedziała.

- Nie... ty i tak już wiele ostatnio przeszłaś... To Kyle powinien się tym zająć!

- Ze mną wszystko w porządku, Anno. Ja to zrobię - nalegała Eve, choć czuła się tak, jakby mówił to ktoś inny. Zabrzączał drugi telefon. - Słuchaj, ktoś dzwoni. Lepiej odbiorę.

- Odezwij się do mnie jak najprędzej!

- Zadzwoń, jak tylko się czegoś dowiem, obiecuję.

Cole spojrział jej w oczy. Spuściła wzrok i wbiła go w telefon. Rozpoznała kierunkowy, jej ojciec miał taki sam. Nie odebrała i uśmiechnęła się krzywo do Cole'a.

- To była Anna Maria.

- A ten drugi telefon?

- Domyślam się, że z departamentu szeryfa. Mówiłeś, że policja oddzwoni, prawda?

Mięsień zapulsował na twarzy Cole.

- Tak.

Telefon znowu zabrzączał. Eve spojrzała na ekran.

- Ten sam numer.

- Jadą tu - powiedział przez zaciśnięte zęby - żeby poinformować cię o śmierci ojca.

- Więc lepiej już idź.

Zawahał się, zaklął pod nosem i przez chwilę wpatrywał się w Eve tak intensywnie, że sądziła, że zaraz ją pocałuje. Ale on w końcu się

odwrócił i otworzył drzwi. Stał na progu, lecz spojrzął na nią jeszcze przez ramię.

- Naprawdę mi przykro, Eve, z powodu tego, co się stało. Bardzo przykro.

Eve z trudem przełknęła ślinę.

To nie koniec, wiesz o tym. Patrzyła na niego. Nawet nie próbowała udawać, że nie wie. Nic miała jednak wątpliwości, że między nimi wszystko skończone. Pokręciła głową, ale Cole już zniknął w ciemności.

## Rozdział 10

Bentz wsiadł do samochodu, a Montoya wrzucił wsteczny. - No, mów. Co mamy? - spytał Bentz.

Wyglądał na mocno wkurzonego. Montoya niczego mu nie wyjaśnił, powiedział tylko, że pojedzie po niego pod dom, w którym mieszkał ze swoją żoną Olivią, na przedmieściach niewielkiego miasteczka Cambrai. Bentz burknął, że będzie gotowy, co tego dnia oznaczało spłowiełe dzinsy, klapki na bosych stopach i bawełniany podkoszulek.

- Terrence Renner. Nie żyje. Zamordowany w taki sam sposób jak Royal Kajak.

- Cholera.

- W dniu, w którym Cole Dennis wyszedł z pudła - dodał Montoya. Światła samochodu rozpraszały nieco poranną mgłę. - Zadzwonił do mnie kumpel, pracuje w okolicy, w której mieszkał Renner. Słyszał o Kajak i pomyślał, że to nas może zainteresować.

- Jasne - prychnął Bentz. Ten potężny mężczyzna walczył z nadwagą, boksując worek treningowy, i codziennie zmagął się ze swoimi nałogami.

- Czy Dennis jest głupi? - spytał Montoya.

- Nie - odparł Bentz, przesuując dłonią po nieogolonej twarzy. - To kuty na cztery nogi adwokat. Wychował się na ulicy, wpadł nawet w jakieś kłopoty jako nastolatek, ale później bardzo się pilnował, skończył college i studia z wyróżnieniem. Trzymał się zasad.

- Na pewno doskonale je znał. - Montoya przyhamował przed zakrętem, a później, kiedy wyjechali na autostradę, znowu wcisnął gaz.

Silnik zawył i samochód skoczył do przodu z piskiem opon. Bentz jak zawsze w takich chwilach kurczowo zacisnął palce na uchwycie przy drzwiach. - Głupi palant.

- Dennis nie jest głupi - zaprzeczył Bentz.

- Złamał warunki zwolnienia za kaucją.

- No, tak... - Bentz nie wydawał się przekonany

Ale Montoya wiedział swoje. I miał wielką ochotę przyskrzynić drania.

- Słuchaj, chłopie, podłożył się i tyle. Próbował zobaczyć się z Eve Renner, kiedy wyszedł na warunkowe.

Bentz mruknął coś niewyraźnie.

- I przyłapali go z trawką. Został zatrzymany, bo nie świeciło mu się jedno z tylnych świateł. Otworzył schowek na rękawiczki... i och, co też my tu mamy? - wypadła z niego paczka z maryśką.

- O to właśnie chodzi. Dlaczego Dennis zrobił coś tak głupiego?

- Bo ma obsesję na punkcie Eve Renner. Nie potrafi trzymać się od niej z daleka.

- A światło i trawka? Ktoś wykręcił mu z samochodu bezpiecznik. Właśnie po to, żeby został zatrzymany. A potem, kiedy chciał wyjąć papiery, ze schowka wypadła trawka.

- Co właściwie chcesz powiedzieć? - spytał Montoya, wyprzedzając wielką ciężarówkę.

- Nie sądzisz, że ktoś chce go zrobić? - Bentz pokręcił głową, sięgnął do kieszeni, wyjął gumę do żucia, odpakował ją i włożył do ust. - Dlaczego nie schował trawki gdzie indziej?

- Bo to arogancki sukinsyn, któremu wydaje się, że stoi poza prawem.

- A bezpiecznik?

- Mógł go wykręcić i wsadzić gdzie indziej.

- Był na zwolnieniu, znał warunki. - Bentz przez chwilę w milczeniu żuł gumę. Jechali teraz krętą wiejską drogą, prowadzącą na farmę Terrence'a Rennera. - Nie, niemożliwe.

- To on! - Montoya z trudem panował nad irytacją. Od miesięcy pracowali razem nad morderstwem Roya Kajaka, usiłując złożyć wszystkie fragmenty tej układanki w jedną całość, i zawsze dochodzili do tego samego wniosku: zabójcą jest Cole Dennis. Koniec, kropka. A teraz Bentz zaczął się wahać. Cholera! Montoya był zmęczony i

rozdrażniony i nie miał ochoty słuchać o rozterkach swojego partnera.

Przejechali przez miasteczko; na głównym skrzyżowaniu migąło pojedyncze żółte światelko. Żadnego samochodu, żadnych pieszych. Było tak cicho, że Montoyę przeszły ciarki. Lubił miejski gwar, jasne światła, otwarte przez dwadzieścia cztery godziny na dobę lokale. Tu było zdecydowanie zbyt spokojnie.

- Coś mi tu nie gra - mruknął Bentz, strzelając gumą. - Coś tu jest nie tak.

- Wszystko. - Wyjechali z terenu zabudowanego i Montoya znowu przyspieszył. Przez chwilę obaj milczeli.

Do Montoi zadzwonił zastępca szeryfa z tej gminy, facet, który wcześniej pracował w mieście i zauważył podobieństwa między tą sprawą a morderstwem Kajaka. Montoya i Bentz musieli bardzo uważać, by szeryf nie doszedł nagle do wniosku, że nie chce żadnych miejskich glin węszących na obszarze znajdującym się pod jego jurysdykcją. Jeśli jednak okaże się, że to morderstwo przypomina morderstwo Kajaka na tyle, by można było podejrzewać działanie seryjnego zabójcy, wtedy do sprawy włączą się federalni, chyba że Montoya dorwie Dennisa i wsadzi go do pudła.

Dostrzegł błyskające światła, jeszcze zanim dotarli do zjazdu na farmę Rennera. Na końcu wąskiej drogi stał już samochód kogoś z biura szeryfa, znacznie utrudniając ruch, a dwaj funkcjonariusze w mundurach zniechęcali ciekawskich, sąsiadów, przedstawicieli mediów do sprawdzania, co się stało. Trochę dalej stało kilka innych samochodów, telewizyjna furgonetka, dwa pikapy i jeden sedan. Wszyscy ci, którzy nimi przyjechali, byli teraz pod domem. Montoya zaparkował i wysiadł. Nocne powietrze pachniał deszczem i wilgotną ziemią. Głośno skrzeczały żaby, trzeszczało policyjne radio. Detektywi z Nowego Orleanu podeszli do dwóch policjantów. Przedstawili się, okazali odznaki i wyjaśnili, że zostali tu wezwani.

- I tak musicie się wpisać - powiedział wysoki, chudy policjant. Miał za duży kapelusz i wydatną grdykę, która podskakiwała, kiedy mówił. Na plakietce przypiętej do jego piersi było nazwisko :Blair Mott:.

Bentz i Montoya złożyli podpisy w książce.

- Czy ktoś skontrolował tych ludzi? - spytał Bentz, wskazując głową grupkę gapiów przy samochodach.

- Tak, wylegitymowałem ich i spisałem.

- Dobrze. Ktoś jeszcze się tu zatrzymywał?

- Nie. Kilka osób zwolniło, ale pojechało dalej, w tym jeden dziennikarz. Jest jeszcze wcześniej. Za godzinę czy dwie pewnie więcej się tu będzie działo. Ludzie zaczną wstawać i wychodzić do pracy, pojawią się dostawcy i tak dalej.

- Dzięki.

Starając się jak najmniej przeszkadzać, Bentz i Montoya ruszyli w stronę domu. Na miejscu zbrodni roilo się już od śledczych, detektywów z departamentu szeryfa i ludzi koronera. Po domu, w którym zapalono jasne światła chodził facet z kamerą wideo. Bonita Washington z laboratorium kryminalistyki wydawała rozkazy Inez Santiago, dokonującej pomiarów plam krwi, i AJ. Tennenowi, który zbierał odciski palców. Mierzono, analizowano, posypywano proszkiem, oglądano ślady butów. Użyto nawet odkurzacza, by wessać wszystko, co było niewidoczne gołym okiem, a mogło okazać się wartościowym materiałem dowodowym. Wszystko co dało się zebrać, zostało już umieszczone w plastikowych woreczkach.

Weszli do kuchni gdzie badano właśnie butelkę whisky i tacę, wcześniej wypełnioną lodem, a teraz wodą.

Dalej, za otwartymi oszklonymi drzwiami, znajdowało się miejsce zbrodni - gabinet. Na kominku, wśród białych popiołów, żarzyły się jeszcze kawałki drewna. Renner leżał na podłodze w kałuży krwi, z tatuażem na czole, a obok gazeta przewrócona szklanka.

- Jezu - mruknął Montoya.

Zauważył, że twarz jego partnera pobladła. Bentz zacisnął zęby i przełknął ślinę, jakby starał się opanować odruch wymiotny.

Na ścianie nad głową Rennera widniał wypisany krwią numer 101. Prawdopodobnie krwią Rennera, czyli ofiary. Tak samo jak w przypadku Kajaka...

- To zły numer - powiedział Bentz. Montoya prychnął.

- Tego nie wiemy. Wiemy tylko, że jest inny niż w sprawie Kajaka.

- Naśladowca? - zasugerował Bentz. Kilka faktów dotyczących morderstwa Royała Kajaka nie zostało podanych do publicznej wiadomości. Na przykład liczba napisana krwią na ścianie chaty. Na wypadek, gdyby jakiś świr usiłował podszyć się pod mordercę. W ten sposób policja mogła oddzielić szaleńców od tych, którzy rzeczywiście



mieli coś istotnego do powiedzenia. - Ktoś, kto miał coś za złe Rennerowi, przeczytał o jego związkach z Kajakiem i załatwił go tak, żeby zrobić zabójcę Kajaka.

- Ja stawiam na Cole'a Dennisa.

- Tak, wiem. - Bentz zajrzał do pokoju. Był tam detektyw Louis Broun-ier, potężny Afroamerykanin o siwych włosach, nalanej twarzy i bystrych oczach, które zdawały się zauważać absolutnie wszystko.

- Wygląda znajomo? - spytał Broun-ier. Montoya skinął głową.

- Kto was o tym powiadomił? - zapytał Bentz.

- Facet się nie przedstawił, ale dzwonił z telefonu Rennera, a nie był to Renner. - Broun-ier wyjął mały notes, zmarszczył brwi i przerzucił kilka kartek. - Mężczyzna, zadzwonił na 911 o pierwszej czterdzieści siedem, dzisiaj. Powiedział: :Morderstwo. Zamordowano doktora Terrence'a Rennera. W jego domu. . Potem dwie sekundy ciszy i podał adres.

- Sądzicie, że powiadomił was morderca?

- Może. Ktokolwiek to był, nie zaczekał na nas. Kiedy przyjechał pierwszy policjant, nikogo już tu nie zastał. Tylne drzwi były otwarte. - Broun-ier uniósł krzaczaste brwi. - A tak przy okazji, nie ma śladów włamania.

- Zginęło coś?

- Nic, o czym byśmy wiedzieli. Na razie. Ciągłe szukamy. Ale jeśli motywem był rabunek, sprawca przeoczył kilka cennych dzieł sztuki i portfel Rennera w tylnej kieszeni jego spodni. Trzymał w nim dokumenty, karty kredytowe i prawie sto dolarów w gotówce. W domu został też sprzęt grający, telewizor, nowy i dość drogi model, komputer. Stacjonarny, jest w sypialni na górze.

- Laptop? Telefon komórkowy?

- Nie znaleźliśmy.

- Może ktoś coś widział? Albo zostawił wiadomość na automatycznej sekretarce?

- Nic, o czym byśmy wiedzieli. Dwie wiadomości zostawiono tuż po tym, jak przyjechał tu nasz oficer. Jedną Eve Renner, córka Rennera; drugą jego synowa, Anna Maria Renner. Oficer Mott nie odebrał żadnego z tych telefonów. Chciał usłyszeć, jakie zostawią wiadomości.

- Broun-ier podszedł do automatycznej sekretarki i nacisnął przycisk. Po chwili rozległ się lekko zdyszany, niespokojny głos Eve Renner.

- Tato? Mówi Eve. Przepraszam, że dzwonię tak późno, ale pomyślałam, że będziesz chciał wiedzieć... Już wróciłam... Jestem w mieście. Powinnam była dać ci znać wcześniej... Zadzwoń do mnie.

Brounier wyłączył magnetofon.

- Ta wiadomość została nagrana o drugiej pięćdziesiąt jeden, w każdym razie taką godzinę pokazuje automatyczna sekretarka.

- Ona wie - powiedział Montoya, czując, że puls mu przyspiesza. Jego mózg pracował teraz bardzo szybko, wprawiając go w stan nerwowego podekscytowania. - A skąd mogła się dowiedzieć? Jest tylko jedna odpowiedź. Zadzwoił do niej ten, kto to zrobił.

- Nie wiesz przecież, czy...

- Nikt nie dzwoni do rodziców o trzeciej nad ranem, chyba że chce, żeby dostali zawału. Ona się o niego martwiła, w przeciwnym razie zaczęłyby do rana.

- Może coś jej się stało i chciała z nim porozmawiać. Może się zraniła, upadła albo...

- Och, zamknij się już, Bentz. Nie musisz odgrywać adwokata diabła. Eve Renner wie, bo ktoś jej powiedział, na pewno morderca.

Bentz spojrział na Brouniera.

- Może - zgodził się. - A skąd dzwoniła Eve Renner? Była ostatnio w Atlancie.

- Numer wskazuje na to, że dzwoniła z Nowego Orleanu. Już to sprawdziłem. Dzwoniła z domu. Drugi telefon był z Atlanty. - Znowu wcisnął przycisk.

- Tato? Tu Anna Maria... Mógłbyś do mnie zadzwonić? Chcę się tylko upewnić, że u ciebie wszystko w porządku. Wiesz, jeden z moich przyjaciół... eee... pracuje w gazecie... Zadzwoił do mnie i powiedział, że coś się tam złego u was wydarzyło, więc trochę się niepokoję. Kyle jeszcze nie wrócił do domu, ale pewnie uda ci się dodzwonić na jego komórkę. Zadzwoń też tutaj, do domu. Dobrze? Bardzo cię proszę. Po prostu daj mi znać, że wszystko w porządku. Kocham cię. Pa.

Klik.

- Głupi dziennikarze - burknął Brounier. - Podszuchują nasze częstotliwości. Wiem, że tylko wykonują swoją pracę, ale, do diabła, są jak wrzód na dupie.

- A więc Eve Renner wróciła już do Nowego Orleanu - szepnął

Montoya. - W tym samym dniu, w którym Cole Dennis wyszedł na wolność. W tym samym dniu, w którym ktoś załatwił jej ojca. To chyba coś więcej niż zbieg okoliczności?

- Znasz moje zdanie na temat zbiegów okoliczności - mruknął Bentz.

- Ja tam nie wierzę w takie rzeczy. - Brounier zdjął okulary i wytarł szklą koszulą.

- Ktoś z departamentu powinien ją powiadomić - zauważył Montoya.

- Jeden z naszych do niej pojechał - odparł Brounier. Spojrzał na zegarek i zmarszczył brwi. - Powinien już zameldować się z powrotem.

- Skrzywił się lekko i Montoya zrozumiał, że Louis Brounier nie cierpi półgłówek, zwłaszcza jeśli to jego podwładni.

- Możecie nam powiedzieć coś jeszcze? - spytał Bentz

- Nic, dopóki nie zbierzemy więcej dowodów i nie przesiejemy tego, co mamy. Wygląda na to, że ofiarę zaskoczono, zaatakowano, poderżnięto jej gardło i zostawiono, żeby się wykrwawiła. Potem morderca wypisał krwią liczbę na ścianie.

- Palcem ofiary - dodał Montoya. - Jeśli to ten sam morderca.

- No i jest jeszcze tatuaż na czole. Sto jeden, ta sama liczba, co na ścianie.

- Ten sam schemat działania jak w przypadku morderstwa Kajaka, tylko liczba jest inna - stwierdził Montoya.

Bentz przez chwilę patrzył na ciało, po czym podniósł wzrok na Mon-toyę.

- To musi być ten sam facet.

- Nareszcie gadasz do rzeczy. Zadzwoiła komórka Brouniera.

- Brounier. Co? Och, Boże! Teraz? Nie... zaraz tam będę. - Rozłączył się i spojrzał na Montoyę. - Córka przyjechała. Jest tutaj.

Eve zobaczyła samochody, błyskające światła, policjantów i dziennikarzy, którzy zostawili swoje furgonetki przy drodze niedaleko domu jej ojca. I wszystko nagle do niej wróciło. Znalazła miejsce pod płotem sąsiada, wjechała w chaszczę i się zatrzymała. Zmówiła w myślach krótką modlitwę, wysiadła i prawie biegiem ruszyła w stronę domu, przed którym

Kim jest ten facet, żeby jej mówić, czego ona chce, a czego nie chce?

- Nie możemy pani na to pozwolić - odezwał się Bentz. - Przynajmniej na razie. Za kilka godzin, kiedy zostanie przetransportowany do kostnicy, poprosimy panią o zidentyfikowanie zwłok.

- Departament szeryfa będzie współpracował z policją stanową i Departamentem Policji Nowego Orleanu. Nie mamy dość środków, by zająć się taką sprawą samodzielnie - wyjaśnił Brounier, Eve wiedziała jednak, że chodzi o coś więcej. Bentz i Montoya zostali wezwani, bo zabójstwo jej ojca było podobne do zabójstwa Roya Kajaka. Te dwie sprawy zapewne są powiązane. Wcześniej czy później policja znowu zastuka do drzwi Cole'a. Eve czuła, że nastąpi to raczej wcześniej.

Montoya spojrział na nią.

- Dzwoniła tu pani. Do ojca. Kiwnęła głową.

- Późno wróciłam do miasta, a chciałam dać mu znać, że już jestem na miejscu. Ale odezwała się automatyczna sekretarka, a potem zadzwoniła do mnie moja szwagierka z Atlanty. Jej przyjaciel dziennikarz zadzwonił do niej i powiedział, że coś się stało w domu taty i że podejrzewają morderstwo. - Eve z trudem zapanowała nad drżeniem głosu. Postanowiła nie wspominać o Cole'u, przynajmniej na razie. - Potem przyjechała policja, wsiadłam do samochodu, no i jestem tutaj.

- Byłoby lepiej, gdyby została pani w domu i pozwoliła nam robić swoje - odparł Montoya.

- Nie mogłam.

Montoya zmierzył ją wzrokiem.

- O której zadzwoniła pani do ojca?

- O drugiej trzydzięci, może o trzeciej... Czy to ma jakieś znaczenie?

- Eve poczuła, że zaczyna się pocić. Kiedy dzwoniła do ojca, był z nią Cole; teraz miała wrażenie, że detektyw o tym wie.

- To nie mogło zająć do rana?

- Naprawdę nie zastanawiałam się nad tym, która jest godzina. Byłam zbyt niespokojna, żeby zasnąć.

Przez chwilę panowała niezręczna cisza; w końcu przerwała ją Eve.

- Czy wiadomo, kto mógł to zrobić? I dlaczego?

- Sądziliśmy, że pomoże nam pani ustalić listę wrogów pani ojca - zasugerował Bentz.

- Wrogów? Nie... nie mam pojęcia. Był już na emeryturze. - Pomyślała o rodzicach Tracy Alioty i ich przekonaniu, że to doktor Renner był odpowiedzialny za śmierć ich córki. - Ale zastanowię się nad tym - obiecała. Nagle poczuła się śmiertelnie zmęczona. Jej ojciec nie żyje. Ona już nic nie może dla niego zrobić. Nawet gdyby chciała

puścić w niepamięć fakt, że ostatnio oddalili się od siebie, i tak już za późno, by cokolwiek naprawić. - Powinnam chyba zawiadomić braci.

- A co z Cole'em Dennisem? Kontaktował się z panią? - spytał Montoya. Diamentowy kolczyk w jego uchu błysnął w świetle lampy stroboskopowej.

Eve zabrakło tchu.

- Co?

- Właśnie wyszedł z więzienia. Wie pani o tym?

- Oczywiście. Wszędzie o tym mówią.

- Kontaktował się z panią?

- Dopiero wróciłam do miasta, detektywie. Cole Dennis ma zakaz zbliżania się do mnie, a poza tym, bądźmy szczerzy, ma też powody, by za mną nie przepadać.

- Więc nie kontaktował się z panią?

- Nie, nie dzwonił do mnie. Od bardzo długiego czasu - odparła, zastanawiając się, dlaczego czuje, że musi chronić człowieka, który próbował ją zabić.

Ruszyła w stronę swojego samochodu, ale Montoya stanął przed nią.

- Mamy jeszcze kilka pytań.

- To nie może poczekać? Do jutra?

- Może, proszę pani. Pozwoli pani, że ktoś z naszych ludzi odwiezie panią do domu - proponował Brounier.

- Nie, dam sobie radę.

- Jest pani pewna? Może do kogoś zadzwonię?

- Nie, dziękuję. Naprawdę, wszystko w porządku - odparła, w nadziei, że wyda im się bardziej pozbierana niż rzeczywiście była. Bolała ją głowa, nogi się pod nią ugiwały, ale na pewno nie życzyła sobie, by odwoziła ją policja. Wiedziała, że musi być bardzo ostrożna i wszystko przemyśleć.

- Zadzwonimy do pani później - powiedział detektyw Bentz, choć Montoya przyglądał jej się podejrzliwie.

Brounier kiwnął głową.

- Dziękuję, pani Renner. Proszę jeszcze raz przyjąć wyrazy współczucia z powodu straty, jaką pani poniosła.

- Dziękuję - szepnęła i szybko poszła do samochodu, nie czekając, aż któryś z policjantów zmieni zdanie.

Czuła, że musi zostać sama, żeby pomyśleć. Jutro, kiedy odpocznie,

porozmawia z policjantami, pokaże im te wycinki na temat szpitala i powie, że ktoś ją śledzi - a w każdym razie, że tak jej się wydaje. Jeśli uznają ją za wariatkę, trudno.

Ale czy powiesz im też o Cole'u?

Jeden z dziennikarzy spojrział w jej stronę. O Boże, nie chciała rozmawiać z prasą. Na pewno nie teraz i prawdopodobnie nigdy. Odwróciła głowę, otworzyła samochód, wśliznęła się za kierownicę i zatrzasnęła drzwi. Miała nadzieję, że dziennikarz jej nie rozpozna, nie skojarzy sprawy Royała Kajaka z zabójstwem jej ojca. I z Cole'em. Ale dziennikarze w końcu jego także z tym powiążą.

Włożyła kluczyk do stacyjki.

Powiesz im? Powiesz?

Pokręciła głową i zagryzła wargę, zastanawiając się, dlaczego, wbrew zdrowemu rozsądkowi, chroni Cole'a.

## Rozdział 11

- Chyba mam kłopoty. - Cole przycisnął do ucha słuchawkę płatnego telefonu, popijając bardzo gorącą kawę, którą kupił w kafejce na Decatur. Dzwonił do Deedsa. Na szczęście adwokat postanowił odebrać telefon.

- Coś nowego - mruknął Deeds i Cole wyobraził go sobie, jak odchyła się na oparcie fotela i spogląda przez panoramiczne okno swojego biura. - Jest ósma rano. Minęły całe dwadzieścia cztery godziny od czasu, kiedy wyszedłeś z więzienia. Co tak długo?

Cole nie był w nastroju do żartów.

- Terrence Renner nie żyje. Cisza.

- Mówią już o tym we wszystkich wiadomościach.

- Co się stało? - wydusił Deeds.

- Został zamordowany. Ktoś poderżnął mu gardło. Tak jak Royalowi Kajakowi.

- To dowcip, prawda?

- Nie bardzo mam teraz ochotę dowcipkować. Włącz telewizor. Renner został zamordowany w niemal identyczny sposób jak Kajak. Jest tylko jedna różnica. Liczba wypisana krwią na ścianie i wytatuowana na czole jest inna: 101 a nie 212.

- Wszystkie te informacje podają w wiadomościach? - spytał Deeds.

- Prawdopodobnie nie wszystkie.

- Więc skąd ty to wszystko wiesz?

- Byłem tam. Renner do mnie zadzwonił.

- Cholera, Cole! Wiedziałem! Nie umiesz wytrzymać nawet przez jeden dzień.

- Mówiłem ci, że mam kłopoty.

- Kłopoty to mandat za złe parkowanie. To nie są kłopoty. To jest pieprzona katastrofa! - Deeds urwał i wciągnął powietrze. - Co ty sobie wyobrazasz, do cholery? - Zaklął znowu i nawyzywał Cole'a, aż w końcu trochę się uspokoił. - Okej, okej. Nie wiem, czy dobrze zrozumiałem... Byłeś świadkiem tego, co się tam stało?

- Nie. - Cole upił łyk kawy z papierowego kubka, patrząc na ludzi przez zamgloną szybę budki telefonicznej. Jedni szli w stronę przystanku, inni jechali na rowerach, jeszcze inni spacerowali z psami albo uprawiali jogging. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Samochód

policyjny zatrzymał się na światłach, ale zaraz ruszył dalej, a żaden z siedzących w nim mężczyzn nawet nie spojrział w stronę budki telefonicznej. - Chyba przyjechałem tam tuż po tym, jak to się stało. - Szybko, przyciszonym głosem, opowiedział o wypadkach ubiegłej nocy, nie wspomniał tylko o pieniądzach, rzeczach Rennera, które ze sobą zabrał, i o Eve. Te szczegóły przekaże mu później.

Może.

Deeds słuchał w milczeniu.

Cole wiedział, że w jego umyśle z prędkością światła obracają się małe trybiki, uruchamiane zawsze wtedy, kiedy któremuś z jego klientów zdarzyło się zbłądzić. Kiedy Cole skończył, Deeds mruknął tylko:

- Powiedz mi, że nie zadzwoniłeś do Eve.

- Nie zadzwoniłem do Eve. - To przynajmniej było prawdą. Nie wiedział, ile może powiedzieć swojemu prawnikowi, a jeśli chodzi o Eve, do diabła, sam się zastanawiał, co o tym sądzić. Nie miał zamiaru spotkać się z nią ubiegłej nocy, ale prawdę mówiąc, gdyby wiedział, że wróciła do miasta, i tak pewnie by do niej pojechał. - Słuchaj, muszę kończyć. Zadzwonię później, to się umówimy.

- Do szóstej jestem zajęty. Później miałem iść na squasha, mogę to jednak odwołać. Przyjedź do mnie.

- Nie, spotkajmy się gdzie indziej. Chwila ciszy.

- W porządku. U ciebie?

A może w O'Callahan's, w Magazine, dwie czy trzy przecznice za Julią?

Dobra - zgodził się Deeds. - Będę tam koło szóstej trzydzieści. Postaraj się, i mówię to naprawdę poważnie, postaraj się nie zrobić do tego czasu niczego głupiego.

- W porządku. Aha, Sam, nie dzwoń do mnie. Musiałem pozbyć się telefonu.

- Cholera, Cole, co w ciebie wstąpiło?

- Nie chcę, żeby mnie namierzili. Jeśli nie przyjedziesz do O'Callahan's, ja do ciebie zadzwonię.

- Jezu Chryste, co ty tym razem zrobiłeś? Człowieku, gdybyś tylko wiedział...

- Wyjaśnię ci wszystko, kiedy się spotkamy - skłamał Cole, odłożył słuchawkę i wyszedł z budki.



Postaraj się nie zrobić niczego głupiego. Deeds chciał mu w ten sposób powiedzieć, żeby nie kontaktował się z Eve. Nie wiedział jeszcze, że wróciła do Nowego Orleanu i że Cole już zdążył się z nią spotkać.

Upił kolejny łyk niemal wrzącej kawy i ruszył szybko w stronę niewielkiego wzniesienia, które oddzielało ulicę od wybrzeża. Potrzebował czasu, by pomyśleć.

Ale wciąż widział Eve. W miękkim szlafroku, z oczami pełnymi łez i gniewnie zaciśniętymi ustami, z wycelowanym w jego pierś rewolwerem w dłoni. Tak, nawet wtedy wydawała mu się najbardziej pożądaną kobietą na świecie. Powinien być przerażony, zły, lecz ona miała w sobie coś takiego, co chwyciło go za serce. Mimo że najwyraźniej go zdradzała, mimo że jego obciążała winą, i tak była najbardziej intrygującą istotą, jaką kiedykolwiek spotkał.

To by było na tyle, jeśli chodzi o zdrowy rozsądek.

Skręcił w stronę Riverwalk Marketplace, patrząc na powolny nurt Missisipi. W górę rzeki płynęła barka, a lekki wiatr niósł ze sobą zapach wody.

Kto zabił Terrence'a Rennera?

Ten sam psychopata, który poderżnął gardło Royalowi Kajakowi?

Na pewno... Co więc oznaczają te liczby? 212? 101? Są wskazówkami, które mogą pomóc odkryć tożsamość zabójcy, czy może odnoszą się do jakiejś zasady jego chorego poczucia sprawiedliwości?

Dlaczego w dniu, w którym on wyszedł na wolność, zabójca znowu zamordował?

Może wcale nie chodzi o ciebie. Może druga osoba zginęła, bo Eve wróciła do miasta. A może z jakiegoś zupełnie innego powodu. Zbieg okoliczności.

Jasne, tak jakby wierzył w zbiegi okoliczności.

Obserwując nastolatka, który rzucał frisbee skundlonemu owczarkowi z czerwoną bandanana szyi, Cole dopił kawę, zgniótł papierowy kubek i wrzucił go do kosza na śmieci. Miał za dużo do roboty, by tracić czas na bezproduktywne rozmyślenia, więc poszedł tam, gdzie zostawił swojego dżipa.

Wczesnym rankiem Cole rozstał się z Eve, wrócił do siebie, przebrał się w czyste rzeczy, a potem pojechał do pralni, by wyprać poplamioną krwią koszulkę i dzinsy. Wysuszył je i podrzucił do Armii Zbawienia.

Do domu wrócił przed szóstą, położył się i spał trzy godziny. Wstał, wziął prysznic w miniaturowej łazience, zrobił sobie kawę i zatelefonował. Na szczęście kofeina zadziałała jak należy i wkrótce nabral wigo ru. Miał dziś wiele rzeczy do zrobienia. Przede wszystkim zamierzał kupić jeden z tych opłacanych z góry, niemal niemożliwych do namierzenia telefonów komórkowych, popularnych, jak przypuszczał, wśród dilerów narkotyków. Kiedy już sprawi sobie taki aparat, wykona kilka telefonów i zobaczy, czy uda mu się skontaktować z jednym ze swoich danych klientów, typem spod ciemnej gwiazdy, który może będzie mógł mu pomóc.

Tymczasem miał zamiar zrobić coś, co stało w sprzeczności i z radami jego adwokata, i ze zdrowym rozsądkiem.

Bo po prostu nie potrafił trzymać się z daleka od Eve Renner.

Dochodziła już niemal dziesiąta, kiedy Eve wreszcie zwlokła się z łóżka. Mimo spotkania z Cole'em, a potem z policją pod domem ojca, mimo rozmów z Anną Marią i telefonów do Vana, udało jej się zasnąć.

I spała jak kamień.

Teraz jednak czuła się ocieźała, wspomnienia przygnębiających wydarzeń ostatnich dwudziestu czterech godzin wróciły ze zdwojoną siłą. Otworzyła zamrażarkę, znalazła w niej otwartą torebkę fasolki i włączyła ekspres do kawy. Wypuściła Samsona na dwór i wróciła do kuchni w chwili, kiedy kawa, bulgocząc, zaczynała ściekać do dzbanka, a dom wypełnił jej aromat. Eve nie pamiętała, kiedy kupiła tę kawę, ale teraz nie było w tym nic dziwnego - mimo pewnej poprawy, pamięć nadal często ją zawodziła.

Wzięła szybki prysznic. Potem, owinięta ręcznikiem, wytarła parę z lustra i skrzywiła się na widok swojej twarzy. Włosy, kiedyś dość długie, były teraz krótko ostrzyżone i lekko rozjaśnione złotymi refleksami. To zasługa fryzjera Anny Marii. Fryzura - jeśli to, co miała teraz na głowie, zasługiwało na taką nazwę - była nastroszona i asymetryczna, ponieważ włosy wokół jednej skroni zostały ogolone przed operacją. Cóż, odrosną, a na razie będzie musiała polubić swój nowy styl, nie taki znów najgorszy, poza tym miała teraz poważniejsze problemy.

Gorzej od włosów wyglądała twarz. Eve miała wrażenie, że w ciągu ubiegłych trzech miesięcy przybyło jej dziesięć lat: blada cera, oczy przygasłe, kości policzkowe wystające bardziej niż zwykle, bo bardzo

schudła. Zawsze była szczupła, a tak znaczna utrata wagi nie sprzyjała ładnemu, zdrowemu wyglądowi, na jakim jej zależało.

- Za jakiś czas - powiedziała jej fizjoterapeutka - wszystko wróci do normy w stu procentach, ale to jeszcze trochę potrwa.

Może więc jej ramię także się w końcu zregeneruje. Umyła zęby, nałożyła na usta błyszczycy, a na rzęsy odrobinę mascary i uznała, że jest całkiem niezłe.

Zresztą, kogo to teraz obchodzi?

Wciągnęła znalezione w szufladzie dzinsy. Opadały niżej niż kiedyś. Sweter także wydawał się luźniejszy, ale był wygodny. Ból głowy, dręczący ją poprzedniego dnia, zelżał trochę i mimo smutku, który ogarniał ją na myśl o śmierci ojca, czuła, że uda jej się jakoś przetrwać ten dzień.

Wsunęła ulubione klapki i zaczęła schodzić po drewnianych schodach, kiedy zadzwonił telefon. Wbiegła do kuchni i złapała słuchawkę jeszcze przed trzecim sygnałem.

- Halo?

- Pani Eve Renner?

Nieznajomy męski głos. Na wszelki wypadek przygotowała się na coś nieprzyjemnego.

- Tak - odparła ostrożnie.

- Mówi Miles Weston z WKMF. Zrobiło jej się słabo. Znała tę nazwę.

- Chciałbym porozmawiać z panią o śmierci ojca.

- Nie mam nic do powiedzenia.

- Policja uważa, że to morderstwo - ciągnął dziennikarz. Odłożyła słuchawkę. Anonimowość nie trwała długo. Ubiegłej nocy jej nie rozpoznali, ale dziś prasa dodała dwa do dwóch. Dowiedzieli się, że wróciła już do Nowego Orleanu. Była w końcu Eve Renner, kobietą, której kochanek został oskarżony o zamordowanie Roya Kajaka, a teraz też Eve Renner, córką Terrence'a Rennera, zamordowanego w bardzo podobny sposób.

A Cole Dennis, niech go wszyscy diabli, był wolnym człowiekiem. Przynajmniej na razie.

Telefon znowu zadzwonił. Identyfikator pokazał ten sam numer, więc zostawiła to automatycznej sekretarce. Nie zamierzała użerać się z mediami. Miała tego już serdecznie dość.

A poza tym nie czuła się jeszcze gotowa, by stawić czoło śmierci ojca.

Jeszcze nie.

Kawa, mimo apetycznego zapachu, bez śmietanki była dość gorzka, Eve popijała ją jednak, przeglądając ponownie artykuły o Faith Chastain i Szpitalu Naszej Pani od Cnót. W świetle przedpołudnia wydawały się mniej złowrogie, niemal infantylne, z tymi ząbkowanymi brzegami. Dlaczego ktoś użył krawieckich nożyc? Dlaczego przysłał jej te wycinki? Dlaczego, dlaczego, dlaczego?

Usiadła przy stole i jeszcze raz przeczytała uważnie wszystkie teksty. Faith Chastain. Przesunęła palcem po gruboziarnistym, prasowym zdjęciu pięknej kobiety o udreńczonym spojrzeniu. Czy widziała ją już kiedyś? Z wycinków wynikało, że Faith była przyjmowana do szpitala i opuszczala go kilkakrotnie, a raz, kiedy Eve była bardzo mała, spędziła tam dłuższy czas... Zginęła dwadzieścia lat temu, kiedy miałam jakieś piętnaście lat... Niedługo przed śmiercią mojej matki, pomyślała Eve.

Przesunęła wycinki po stole i spróbowała jakoś je uporządkować. Myślami wróciła znowu do szpitala. Dla pełnego życia, ciekawego świata dziecka było to miejsce fascynujące i przerażające zarazem. Mimo że od czasu do czasu przypominano jej, by nie oddalała się od głównych korytarzy i gabinetu ojca, Eve w ciągu tych wszystkich lat poznała cały ten stary budynek z czerwonej cegły, od wyłożonych kaflami, pełnych lśniących narzędzi suterren aż po zakurzony strych, gdzie trzymano uszkodzone albo po prostu już nieużywane meble i szpitalną dokumentację. Uwielbiała chować się w tym zapomnianym pomieszczeniu pod samym dachem.

To tam, w Szpitalu Naszej Pani od Cnót, poznała Roya... Mieli wtedy oboje około dziesięciu lat i pstro w głowie. Roy był synem ogrodnika. Zaprzyjaźnili się natychmiast - dwoje normalnych dzieciaków w świecie obłądu, urojeń i bólu. Najczęściej bawili się na dworze, wałęsali po okolicznych lasach i łąkach, ale kiedy pogoda była brzydka, spędzali czas na terenie szpitala. Większa część szpitala i klasztoru była dla nich miejscem zakazanym, ale oni zazwyczaj wiedzieli, jak omijać zakazy.

Był to dla nich rodzaj gry. Przemykali przez ciche korytarze i wspinali się na schody dla personelu, starając się unikać spotkania z siostrą Rebeccą o surowym spojrzeniu, która szeleściła obszernym

habitem. Ile to razy Eve kryła się w szafie na bieliznę, skąd przez szparę w drzwiach widziała krzyżyk różańca u pasa siostry Rebecki? Ile razy spoglądała przez tę szparę na pielęgniarkę o wąskich ustach, w białym, wykrochmalonym fartuchu, która zdawała się wykonywać swoją pracę bardzo sumiennie, choć bez cienia zaangażowania? Jak ona miała na imię? Chyba... Suzanne... Tak, na pewno... Eve przypomniała sobie piosenkę o dziewczynie noszącej to samo imię, matka miała ją nagraną na taśmę magnetofonową, a Roy często gwizdał tę melodię, śpiewając tylko jeden fragment: :Chcesz z nią ruszyć w podróż, w podróż bez końca... ale przecież wiesz, wiesz, że jest szalona...:

Wydawało im się, że są tacy sprytni, tacy przebiegli... Kradli z kuchni ciastka i jabłka, a potem wymykali się na strych, gdzie wśród starych zasłon, uszkodzonych mebli i zepsutych urządzeń medycznych urządzili sobie kryjówkę.

Eve pamiętała pewien pochmurny dzień, kiedy Roy zabrał ją na strych, kazał jej przysiąc, że nigdy nikomu nie powie o tym, co zaraz zobaczy, a potem pokazał jej kilka szpar w podłodze, w których widać było światło palące się w pokojach piętro niżej.

- Będziemy jak szpiedzy - powiedział.

Później spędzili wiele wieczorów, zaglądając przez te szpary do pokoi pacjentów i na korytarze.

Eve czuła się trochę winna. Wiedziała, że to nie w porządku podglądać prywatne życie innych ludzi, a jednak nie potrafiła się powstrzymać.

Czy jedną z podglądanych osób mogła być Faith Chastain? Dlaczego ktoś podrzucił jej do samochodu artykuły o tej kobiecie?

Teraz, siedząc w słońcu wpadającym do pokoju przez brudne szyby i szpary w żaluzjach, nadal nie знаła odpowiedzi na to pytanie, nurtował ją jednak dziwny niepokój, tak jak przed wielu laty.

Z głodu zaczęło jej burczeć w brzuchu. Pomyślała, że trzeba zrobić zakupy. Zebrała wycinki i wsunęła je do tej samej koperty, w której je otrzymała.

Policja bez wątpienia będzie chciała dowiedzieć się jak najwięcej. A szczególnie usłyszeć prawdę. I co im powiesz o Cole'u, Eve?

Wcześniej czy później będziesz musiała powiedzieć im, że u ciebie był, że miał ubranie poplamione krwią, że był też w domu twojego ojca... i że ty, kobieta, która oskarżyła go kiedyś o to, że chciał ją zabić,

uwierzyłaś mu natychmiast, kiedy zapewniał, że to nie on poderznął gardło twojemu ojcu.

- Pomyślę o tym później - mruknęła i w tej samej chwili na jej komórkę przyszła wiadomość tekstowa. Sprawdziła, od kogo - napisała do niej Anna. :Mam nadzieję, że wszystko w porządku. Zadzwoń.. Anna nauczyła się pisać SMS-y?

Wsunęła kopertę do torebki, wyszła z domu i zamknęła drzwi. Było cieplej niż poprzedniego dnia; przez chmury przedzierało się słońce.

Samson, rozplaszczony nieruchomo na ganku - tylko koniuszek ogona bił o deski - obserwował przez sztachety ptaka siedzącego między pąkami kwiatów na gałązce klematisu, który obrastał ryny.

- Możesz sobie pomarzyć - powiedziała do kota, uśmiechając się do siebie pod nosem.

Otworzyła samochód, wsiadła, poczuła nagrzane już przez słońce powietrze i miała ruszyć, kiedy jej wzrok padł na schówek na rękawiczki. Był zamknięty. Nic też nie wskazywało na to, że ktoś go ostatnio otwierał. Jednak natychmiast serce zaczęło jej bić szybciej. Zajrzała do środka, nie mogła się powstrzymać.

Były w nim tylko okulary przeciwsłoneczne i instrukcja obsługi toyoty camry.

- Uff - mruknęła, wyjeżdżając tyłem na ulicę. Zauważyła panią Endicott - pełną grządkę z kwiatami. Starsza pani pomachała do niej, więc Eve także pozdrowiła ją gestem i ruszyła w kierunku St. Charles Avenue. Wolą nie zastanawiać się nad tym, co jej sąsiadka słyszała w nocy. Jeśli będzie miała szczęście, może to nigdy nie wyjdzie na jaw.

- Akurat - sarknęła, hamując przed czerwonym światłem.

Zanim się zmieniło, zabrzęczała komórka. Wyjęła ją z torebki. Na ekranie wyświetlił się napis :Renner, Kyle:, Eve jednak była niemal pewna, że dzwoni Anna Maria.

- Eve? - spytała Anna, kiedy Eve odebrała telefon. - Nie zadzwoniłaś do mnie!

- Dostałam twoją wiadomość kilka minut temu. Przepraszam.

- W porządku. Udało ci się skontaktować z Vanem?

- Taaak... Nagrałam mu wiadomość.

- Ja też, ale nie oddzwonił. - Anna wydawała się zatroskana, jak to ona. - Nie rozumiem go. Dowiedziałaś się czegoś jeszcze? No wiesz,

musimy zaplanować pogrzeb. Kyle nie cierpi zajmować się takimi sprawami, zresztą chyba przechodzi teraz fazę wyparcia i... Cholera, nie chciałam o tym mówić... Jak się czujesz?

- Dobrze.

- Na pewno?

- Tak. A ty?

- Chyba też dobrze. Dziennikarze zaczęli tu dzwonić, zrobiło się trochę... dziwnie. Wiesz, nerwowo.

- Właśnie słyszę - odparła Eve. - Do mnie też zaczęli wydzwaniać.

- Na szczęście nie ma Kyle'a, bo by się wściekł. Dzwonił do ciebie?

- Nie. A gdzie on jest?

- W pracy. Ciągle w tym cholernym banku, opowiadałam ci.

- Jak wróci, powiedz mu, żeby do mnie zadzwonił. Ustalimy szczegóły dotyczące pogrzebu, gdy tylko policja wyda nam ciało. Ale nie wiem, kiedy to będzie.

- Dobrze... Słuchaj, nie chciałabym poruszać tej kwestii w takiej chwili, ale co z jego testamentem?

Ktoś za zatrąbił; Eve dopiero teraz zauważyła, że światło zmieniło się już na zielone. Wjechała na skrzyżowanie.

- Nie wiem. Nigdy o tym nie mówił.

- Cóż, pewnie dowiemy się, kiedy zajrzemy do jego sejfu albo skrzynki depozytowej.

- Jeśli miał coś takiego.

- To trochę niezręczne rozmawiać teraz o takich rzeczach, ale Kyle uważa, że ty możesz coś o tym wiedzieć.

Eve skrzywiła się z niesmakiem. Ich ojciec został zamordowany, a jej starszy brat myślał tylko o jego majątku. To było bardzo w stylu Kyle'a. Do dziś nie potrafiła zrozumieć, co Anna w nim widzi. Zwalniając przed kolejnymi światłami, postanowiła zakończyć tę rozmowę.

- Zadzwonię do ciebie później, Anno. Nie bardzo umiem robić kilka rzeczy naraz, zwłaszcza gdy jedną z nich jest prowadzenie samochodu.

Wjechała w dzielnicę biurową i zatrzymała się przed małą firmą: Ksero i Usługi Wysyłkowe. Zostawiła samochód na parkingu, weszła do środka, minęła długi rząd skrzynek pocztowych i po chwili znalazła się w dużej sali pełnej kserokopiarek. Na jednej ze ścian znajdowały się półki z pudłami i kopertami w różnych kształtach i rozmiarach; były tam też rozmaite różne rodzaje taśmy klejącej i inne przybory biurowe.

Kilku urzędników stojących za ladą wysyłało faksy, listy i paczki.

Eve położyła torbę na blacie obok nieużywanej akurat kopiarki, po czym zrobiła odbitki ksero wszystkich wycinków prasowych, które znalazła w samochodzie. Miała zamiar pójść na policję, a wiedziała, że wówczas będzie musiała oddać oryginały. Kopie jednak zachowa dla siebie, przejrzy je jeszcze raz dokładnie i może w końcu uda jej się rozgryźć, kto jej przysłał te artykuły i po co.

Skończyła kopiowanie, wzięła dużą kopertę, zapłaciła za wszystko, pchnęła drzwi i wyszła.

Po chwili stanęła twarzą w twarz z Cole'em Dennisem.

- Co ty tu robisz? - zapytali jednocześnie.



## Rozdział 12

Oparty nonszalancko o ścianę budynku, ubrany w dżinsy, podkoszulek i w ciemnych okularach, Cole Dennis wyglądał luzacko i seksownie jak kiedyś. Nie przypominał już w niczym wystraszonego uciekiniera, jakim był w nocy, człowieka bliskiego paniki, przekonanego, że policja oskarży go o dokonanie drugiego morderstwa. Teraz jego twarz i cała postać nie zdradzały najlżejszych nawet oznak stresu.

Nie widzieli się od paru godzin; w tym czasie wziął prysznic i włożył czyste ubranie. Wyglądał lepiej. Znacznie lepiej. Eve jednak powiedziała sobie w duchu, że pozostanie niewrażliwa na jego wdzięk. Tak!

- Wiedziałaś, że tu będę. Nie kłam, to bez sensu. Śledziłeś mnie - odsunęła się od ceglanej ściany małego bistra obok biura UPS. Nie zaprzeczył, dodała więc ostro: - A może tak się złożyło, że akurat byłeś w tej okolicy?

Słońce świeciło mocno, odbijając się ostro w kawałkach szkła na drodze. Eve skupiła się na otoczeniu - wszystko, byle nie patrzeć na Cole'a.

- Właśnie, tak się złożyło, że akurat byłem w tej okolicy.

- Hm. - Spojrzała na niego z ukosa. Czy w kącikach jego ust nie czai się przypadkiem uśmiech? Czasem trudno było odczytać coś z jego twarzy. - Więc doszedłeś już do siebie po tej strasznej nocy?

- Wątpię, czy kiedykolwiek całkiem do siebie dojdę. - Uśmiech zniknął, a na czole Cole'a pojawiła się głęboka zmarszczka.

Tak samo jak ja, pomyślała.

- Dlaczego mnie śledzisz?

- Z powodu niezakończonych spraw. Eve westchnęła.

- Zaczynasz mnie męczyć.

- Naprawdę? - Uśmiechnął się znowu. Jakby zapomniał o wszystkim, co się stało, i znowu zaczął odgrywać rolę zbuntowanego bohatera rodem z Hollywood.

Eve włożyła okulary przeciwsłoneczne i milczała. Jej irytacja sprawiła, że uśmiechnął się szerzej, pokazując równe białe zęby. Był seksowny i miał wiele chłopięcego wdzięku, który chyba zawsze w sobie pielęgnował. Cóż, tym razem nie podziałało. W każdym razie na nią.

- Przestań za mną jeździć, Cole - powiedziała i ruszyła w stronę swojego samochodu. Zauważyła, że minął już czas parkowania, więc przyspieszyła, z roztargnieniem słuchając saksofonu, którego dźwięki chwilami przebijały się przez uliczny hałas.

Cole szedł za nią, a kiedy stanęła przy samochodzie i zaczęła szukać w torebce kluczyków, zatrzymał się także. Wsunęła klucz w zamek i spytała:

- Byłeś na policji?

- Jeszcze nie.

Westchnęła i pokręciła głową, czując na włosach palące promienie słońca.

- Słuchaj, nie mogę cię kryć bez końca. Ubiegłej nocy skłamałam, Bóg jeden wie dlaczego. Teraz jadę na komisariat i jeśli zapytają mnie o ciebie, powiem prawdę. I tak mają mnie już za wariatkę.

- Potrzebuję tylko trochę czasu. Otworzyła drzwi.

- Przykro mi. To koniec.

Ale zanim zdążyła wsiąść do samochodu. Cole nagle zatrzasnął drzwi i niemal ją do nich przycisnął.

- Hej!

Był teraz tak blisko, widziała pory jego skóry i ciemny zarost na brodzie, czuła lekko piżmowy zapach wody po goleniu, który tylko z nim jej się kojarzył.

- Nie proszę przecież, żebyś kłamała. Tylko żebyś dała mi trochę czasu.

- Zaraz, zaraz. Ukradłeś komputer mojego taty. Z miejsca zbrodni. To na pewno poważne wykroczenie. A ja o tym wiem. Więc jeśli skłamię, będę współwinna albo... Ale właściwie dlaczego ja ci to wszystko tłumaczę? To ty jesteś świetnym adwokatem. Sam dobrze wiesz, w jaki sposób łamię prawo.

- Jedziesz teraz na policję?

Eve podniosła kopertę z wycinkami.

- Taki miałam zamiar, tak... ale... - O Boże, dlaczego w ogóle zaczęła myśleć o tym, by spełnić jego prośbę? Chciała się od niego odsunąć, lecz on zacisnął palce na jej ramieniu.

- Proszę tylko o kilka godzin - powiedział, wpatrując się w nią przez ciemne szkła.

Czuła ciepło jego dłoni na swojej nagiej skórze. To bez sensu. Ten człowiek, nawet jeśli nie jest jej wrogiem, na pewno może być niebezpieczny. Przynajmniej emocjonalnie...

- Jeśli teraz pojedziesz na policję, oboje wiemy, co się stanie. - Teraz nie był już taki wyluzowany. Zaczynał się denerwować.

Wyrwała mu się.

- Nie będę dla ciebie kłamać, Cole.

- Mnie jednak mogłaś okłamywać - dobrze wiedział, co mówi, co insynuuje.

Dostrzegła w jego oczach zimną furię.

- Cios poniżej pasa, Cole. Poza tym niezbyt to inteligentne. Siedzisz mnie, dopadasz, prosisz o dużą przysługę, a potem zaczynasz mnie obrażać? Najpierw niemal błagasz, żebym nie mówiła policji o tym, co wiem, a później pozwalasz sobie na takie uwagi? Ostrożnie, panie mecenasie.

- Po prostu chcę poznać prawdę.

Eve nie mogła uwierzyć w taką bezczelność.

- Więc tu, w biały dzień, krótko po tym, jak mój ojciec został zamordowany, oskarżasz mnie, że cię okłamałam... Chodzi ci o moje życie seksualne, tak? - Teraz była już wściekła. Naprawdę wściekła. - To nieprawdopodobne!

Cole podniósł dłoń i przygryzł dolną wargę.

- Masz rację. Trochę przesadziłem.

- Trochę? Bardzo! Zostaw mnie w spokoju. Dobra? Po prostu zostaw mnie w spokoju. - I zanim Cole zdążył otworzyć usta, wsiadła do samochodu, przekręciła kluczyk w stacyjce i omal nie potrąciła rowerzysty, który wypadł z za rogu w chwili, kiedy zjechała z krawężnika. Zahamowała; rowerzysta spojrział na nią ze złością. Zaciśnęła wargi, zdenerwowana, a potem powoli odjechała.

Widziała Cole'a we wstecznym lusterku - stał i patrzył za nią.

- Drań - mruknęła, zła na siebie za to, że w ogóle jeszcze interesował ją jego los. Powinna od razu pojechać na policję i opowiedzieć o wszystkim, co zrobił. Niech ma za swoje. Detektyw Montoya bez wątplenia z przyjemnością znowu wsadziłby go do więzienia.

A ty? Jak będziesz się wtedy czuła? Może jednak zareagowałaś zbyt gwałtownie, może poczucie winy wzięło górę nad rozsądkiem. Cole chciał tylko wiedzieć, z kim sypiałaś; kim był ten drugi mężczyzna w

twoim życiu.

Ręce zaczęły jej się pocić, ze złości paliły ją policzki. Do diabła z tym facetem. Zwolniła przed żółtym światłem i opuściła szyby w oknach, żeby trochę ochłonać.

Problem w tym, że Cole trafił w jej słaby punkt.

Bardzo słaby.

Jak to możliwe, że nie pamiętała tego drugiego mężczyzny, mężczyzny, który był jej tak bliski, że poszła z nim do łóżka? Kiedy to się stało? Zanim kochała się z Cole'em czy potem? Na pewno nie stało się to w drodze do Roya. I tak była już spóźniona, to akurat pamiętała. Nerwowo poruszyła palcami na kierownicy.

Gdyby w jej życiu był inny mężczyzna, ktoś, z kim sypiała, chyba by o tym pamiętała? Pamiętałaby jego twarz, jego zapach, dotyk. Doskonale pamiętała przecież chwile, które spędziła z Cole'em, jego szare oczy, jego pierś pod swoimi palcami, zapach jego potu, kiedy w nią wchodził... Pamiętała nabrzmiałe żyły na jego szyi, mięśnie ramion i barków... Przyspieszony, urywany oddech, dotyk jego warg, pachnących lekko whisky... A nie potrafiła przywołać choćby jednego wspomnienia związanego z tym drugim kochankiem. Nie miała nawet pojęcia, kim był.

Ktoś za nią zatrąbił; ocknęła się. Spojrzała do góry, miała zielone światło. Odruchowo wcisnęła pedał gazu i rzuciła okiem we wsteczne lustro, na zirytowanego kierowcę samochodu za nią.

I omal nie zemdląca. Tuż za tylnym zderzakiem toyoty stała furgonetka o przyciemnionych szybach.

- Boże - szepnęła Eve, skręcając na północny wschód, w St. Charles Avenue. Czy to ten samochód, który widziała wczoraj? Niemożliwe... A jednak... a jednak...

Jechała, co chwilę spoglądając w lustro. Oddzielił ją od furgonetki jakiś samochód, a później jeszcze dwa czy trzy inne, cały czas jednak podejrzany ciemny wóz jechał w tę samą stronę. Na Poydrass Street Eve skręciła w kierunku autostrady, a jadąca cztery samochody za nią furgonetka zrobiła to samo.

- Ty chory draniu - wyjąkała Eve drżącym głosem. Miała już tego dość.

Zwolniła, a potem nagle przyspieszyła, przejeżdżając przez kolejne

skrzyżowanie w chwili, kiedy światło zmieniało się z żółtego na czerwone. Srebrny samochód tuż za nią zahamował gwałtownie z piskiem opon, a furgonetka, uwięziona za minivanem, musiała się zatrzymać. Eve wcisnęła gaz i szybko podjechała pod następne światła. Przyhamowała lekko

i skręciła w prawo. Tak, nadszedł czas na zamianę ról. Teraz ona będzie śledzić tego świra. Zobaczy numer rejestracyjny furgonetki i spróbuje jak najwięcej dowiedzieć się o właścicielu tego samochodu. Może nawet go rozpozna. Ciągłe przekraczając dozwoloną prędkość, przejechała dwie wąskie uliczki i znowu wjechała w Poydrass.

- Mam cię, draniu - mruknęła pod nosem, zaciskając palce na kierownicy.

Ale na skrzyżowaniu trwały roboty drogowe. Mężczyzna z brodą kierujący ruchem zmienił trzymany w ręce znak z napisem :Zwolnij:, na znak z napisem :Stój:, dokładnie w chwili, kiedy się do niego zbliżyła. Nie miała wyboru, przyhamowała gwałtownie i zatrzymała samochód, wzniecając tumany kurzu. Brodacz spojrział na nią z niechęcią.

- Cholera! - Uderzyła dłońmi w kierownicę.

Na skrzyżowanie powoli wjechała ciężarówka ze żwirem, smoła parowała w rozgrzanym powietrzu.

Czekając, aż brodacz zatrzyma jadące z przeciwnej strony samochody, Eve odliczała sekundy. Na razie przejeżdżały powoli, podskakując na dziurawej nawierzchni. W końcu, po chwili, która wydawała się Eve wiecznością, brodacz zmienił znak i zaczął popędzać ją gwałtownymi gestami. Przejechała więc szybko przez skrzyżowanie, ale kiedy znowu znalazła się na Poydrass Street, nie dostrzegła już ciemnej furgonetki. Wiedziała, że straciła szansę na to, by dowiedzieć się, jaki to model samochodu, i poznać numer rejestracyjny.

Co za pech.

Zadzwoił telefon. Spojrzała na niego, czując, że cierpie jej skóra. To na pewno ten świr! Zauważył jej wysiłki, a teraz dzwoni, żeby ją wyśmiać albo żeby jej czymś zagrozić... Oddychając szybko i płytko, chwyciła telefon, otworzyła go i przyłożyła do ucha.

- Halo?

- Cześć, Eve! - To był jej brat, Van, nieodpowiedzialny lekkoduch. Nie żaden świr, tylko Van.

Odetchnęła z ulgą.

- Domyślam się, że już słyszałeś? - powiedziała.

- Tak, Anna Maria do mnie dzwoniła. Przykra sprawa z tym Terrence'em.

No, tak. Prawie o tym zapomniała. Żaden z jej braci nie nazywał człowieka, który ich adoptował, ojcem.

- Bardzo przykra - zgodziła się.

- To ten sam facet, który załatwił Roya? Przecieki.

- Nie wiem.

- Cole Dennis?

Żołądek podszedł jej do gardła. Jechała powoli, rozglądając się i zwracając szczególną uwagę na samochody.

- Wątpię.

- Mówiłaś, że zabił Roya.

- Mówiłam, że tak mi się wydawało. Teraz nie jestem już tego pewna.

- Zmiękałaś?

- Po prostu... próbuję sobie przypomnieć, co się naprawdę wydarzyło.

- No tak... Jestem akurat w Nowym Orleanie. - Van zrzęcznie zmienił temat.

- Co? Nie w Arizonie?

- Byłem w Arizonie. Przyjechałem do Nowego Orleanu na konferencję... Teraz sprzedaję pobyty w spa. Bardzo ekskluzywne. Co za zbieg okoliczności, prawda? Akurat w czasie, kiedy Terrence zszedł z tego świata.

Eve miała wrażenie, że krew ścina jej się w żyłach.

- Taaa...

Trochę tego za dużo jak na nią jedną.

- Pomyślałem więc, że moglibyśmy się spotkać. Obgadać nasze sprawy. Kyle też jest już w drodze.

- W drodze? Tutaj?

- Uhm. - Van zachowywał się tak, jakby była to rzecz najnaturalniejsza pod słońcem, choć przecież nie rozmawiali ze sobą od wielu miesięcy. - Wiesz, pogrzeb, testament, mnóstwo różnych spraw. Obaj z Kyle'em wiemy, że ostatnio sporo przeszłaś, więc pomyśleliśmy, że ci pomożemy.

- Naprawdę? - spytała z goryczą.

Bracia, którzy nigdy się nią specjalnie nie interesowali, nigdy nie

chcieli się do niej zbliżyć, nagle się o nią troszczyć?! Wiedziała, że chodzi im tylko o majątek. Wspaniale. Tylko tego jej teraz brakowało!

- Słuchaj, muszę kończyć. Mam kogoś na drugiej linii. - Van odłożył słuchawkę, a Eve przez chwilę zastanawiała się, czy nie wyłączyć telefonu. Co za bałwan. Od śmierci ojca nie minęły jeszcze nawet dwadzieścia cztery godziny, a sępy już zaczęły krążyć nad jego ciałem.

Ale jeszcze zanim zdążyła odłożyć telefon, zadzwonił po raz drugi. Przycisnęła zielony przycisk kciukiem, pewna, że Van zakończył tę drugą rozmowę i wpadł na jakiś fantastyczny pomysł dotyczący majątku po ojcu.

- Halo?

- On jest wolny! Klik.

Połączenie zostało przerwane.

Obserwował ją uważnie. Furgonetka stała tuż przy krawężniku, ukryta za ciężarówką z meblami. Widział jej frustrację, kiedy stojąc na rozkopanym skrzyżowaniu, czekała, aż znowu będzie mogła ruszyć. Była nerwowa. Niespokojna. Rozglądała się ciągle, bo zauważyła jego samochód i wiedziała, że ją śledził.

Głupi! Znowu za bardzo się do niej zbliżył. Za bardzo mu zależało, żeby ją zobaczyć. Ustawił się tuż za nią, a potem, kiedy na światłach nie ruszyła od razu, jakiś bałwan za nim zaczął trąbić. A ona, oczywiście, spojrzała w lusterko.

Zorientowała się. Wiedziała, że za nią jechał.

Mimo że potem między nimi było kilka innych samochodów, nie miała wątpliwości.

Natychmiast zrozumiał, że będzie chciała coś zrobić: przeczytać jego numery rejestracyjne albo mu się przyjrzeć.

Na szczęście domyślił się, co się zaraz stanie. I rzeczywiście, przemknęła przez skrzyżowanie w ostatniej chwili i skręciła z piskiem opon w najbliższą ulicę. Przeszła do ofensywy. A on przejechał w poprzek ulicy, skręcił w wąską drogę między budynkami, minął tylne wejścia do dwóch restauracji i wrócił na trzypasmówkę, niemal zatarasowaną przez wóz meblowy. Dwóch osiłków właśnie wynosiło z niego lodówkę. Stał za nim i z tej bezpiecznej kryjówki obserwował główną ulicę, czekając na małą czerwoną toyotę. Dostrzegł ją w końcu; stała na rozkopanym skrzyżowaniu, zatrzymana przez człowieka

kierującego tam ruchem.

Czekał.

Serce waliło mu jak młotem. Oblizął wargi. Głos wyraźnie nakazał mu śledzić Eve, obserwować ją, lecz przecież najpierw musi wykonać inne rozkazy...

Myśl ta budziła w nim frustrację.

Pragnął Eve. Tylko Eve.

Ale wytrzyma, będzie posłuszny rozkazom, złoży swoje życie w ręce Boga.

Czyż Głos nie powiedział mu, co go czeka?

Twoja cierpliwość i czyny zostaną nagrodzone. Nie lękaj się, Wskrzesicielu.

Dreszcz przeszywał jego ciało, kiedy Bóg nazywał go tym imieniem. Bóg powie mu, kto zginie na wieki, a kto będzie cierpiał, by zostać wskrzeszonym.

Czyż nie tak właśnie było z Eve?

Czyż niemal nie zginęła, by zostać wskrzeszoną?

Nie był pewny, czy jej powrót do życia to istotnie jego zasługa, ale cieszyło go to, bo teraz będzie mógł zabić ją powtórnie... tym razem wolniej... bardziej intymnie.

Będzie patrzył jej w oczy, a ona będzie wiedziała.

Znowu ogarnęło go pożądanie, paliło żywym ogniem jego duszę i ciało, obejmowało płomieniem genitalia, zasnuwając czerwoną mgłą oczy. Jego oddech stał się płytszy, puls przyspieszył.

W tej właśnie chwili na skrzyżowaniu zmienił się kierunek ruchu, Eve skręciła w Poydrass Street i ruszyła w stronę autostrady. Nie mógł za nią pojechać. Miał zbyt wiele spraw do załatwienia. Marzył, by ją śledzić, ale wiedział, że i na to przyjdzie czas. Na razie wróci do swojego życia i będzie się użerał z głupcami, którzy nic o nim nie wiedzą, a sądzą, że go rozumieją. Durnie, wszyscy oni to durnie.

Wyjechał powoli zza wozu z meblami, zaczekał, aż dwaj krzepcy mężczyźni wyniosą z niego fotel, a potem dołączył do sznura samochodów czekających na skrzyżowaniu. W oddali dostrzegł czerwoną toyotę camry. Wyobraził sobie Eve, jak nerwowo zerka co chwilę w lusterka, jak przygląda się mijanym samochodom.

I jak się teraz czujesz, Eve? Ty, księżniczka... Czujesz na sobie mój wzrok? A może wydaje ci się, że mnie zgubiłaś? Wiesz, że cię widzę?



Domyślasz się, że depczę ci po piętach? Och, rozpieszczona, zepsuta Eve.

Zaczekaj tylko...

## Rozdział 13

- To najlepsze, co mam. - Ivan Petrusky otworzył drzwi do mieszkania, które nazywał optymistycznie :umeblowanym apartamentem typu studio:. W rzeczywistości było to jedno pomieszczenie, w którym wydzielono maleńką łazienkę i kuchnię z miniaturowym zlewem, bardzo krótkim blatem, małą lodówką i kuchenką mikrofalową. A meble? Stara, zapadnięta sofa, stół i lampa z dziurawym abażurem i przepaloną żarówką. Ale mieszkanie było tanie. Co więcej, Petruski brał gotówkę i nie prowadził żadnej ewidencji.

Cole tego właśnie potrzebował.

- Odsuścili ci to morderstwo sprzed paru miesięcy? - spytał Petrusky, niski, żylasty mężczyzna dobiegający siedemdziesiątki, o bielusiennych włosach. Prawie zawsze miał w ustach niezapalone cygareto, a na nosie okulary o grubych szklach. Oczy miał jednak bystre, a umysł jasny. Petrusky znał ojca Cole'a, a później, kiedy jedna z jego trzech ekszów oskarżyła go o przemoc domową, wynajął Cole'a, by reprezentował go w sądzie. Dla Cole'a wszystko było jasne jak słońce. Belva kazała się pobić swojemu nowemu narzeczonemu, a potem oskarżyła Ivana. Cole od początku czuł, że sprawa śmierdzi. Właściwie niewiele zrobił, bo to policja w końcu wycisnęła z Belvy prawdę, ale Ivan od tego czasu uważał go za swojego wybawcę. Postanowił też nigdy już się nie żenić.

- Wiesz, o czym mówię... Ta sprawa z facetem, którego załatwiono w chacie na mokradłach... chyba nazywał się Kajak.

- Ja tego nie zrobiłem.

- Nie o to pytałem. - Petrusky uniósł krzaczaste białe brwi nad szylkretowe oprawki okularów. - No, tak to wygląda. Skoro szukasz mieszkania...

- Szukam, a przyszedłem z tym do ciebie, bo zwykle nie zdajesz tylu pytań.

Petrusky wzruszył ramionami.

- Dobra. Ale to prawdziwa perełka, wiesz, wynająłbym je za więcej, no ale że to dla ciebie...

- Nie musisz mnie przekonywać. Biorę. - Cole sięgnął do portfela, wyjął kilka banknotów i zapłacił za dwa miesiące z góry. Potem spojrział znacząco na Petrusky'ego, ten zrozumiał i wyszedł.

Mieszkanie jest małe i brzydkie, ale musi mu wystarczyć. Zainstaluje

tu komputer, który właśnie kupił, podepnie się do czyjejś sieci bezprzewodowej i podłączy się do Internetu. Poza tym, że sprawił sobie laptop, zdążył już skopiować prawie wszystko, co znajdowało się w teczce Rennera. Teraz musi jeszcze skopiować to, co jest w komputerze doktora na dyskietki i znaleźć sposób, żeby przekazać informacje policji.

Nie zrobi jednak tego sam.

Na pewno nie.

- Mówię ci, on jest umoczony - powiedział Montoya, opierając się ramieniem o szatkę z aktami w gabinecie Bentza. Drzwi były lekko uchylone, a przez szparę dobiegał szmer rozmów, stukot klawiszy komputerów, dzwonki telefonów, a od czasu do czasu też okrzyki uciśnionej niewinności, jakiegoś męta, który akurat składał zeznania. Montoya wyjął z kieszeni kurtki paczkę nikotynowej gumy do żucia i zaczął odwijać jedną z papierka, patrząc na ekran komputera, a konkretnie na kilka upiornych zdjęć zrobionych w domu Rennera. - Cole Dennis ma z tym coś wspólnego.

Bentz odchylił się na oparcie fotela, który zaskrzypiał przeraźliwie.

- Dlaczego tak uważasz?

- Nie wiem. - Montoya zmarszczył brwi i włożył gumę do ust. We fluorescencyjnym świetle jego czarne włosy wydawały się niemal granatowe, a oczy lśniły jak obsydian. Był zły i tego nie krył. - Chciałbym móc powiedzieć, że to na pewno on, ale... - Urwał i przez chwilę żuł gumę.

- Masz rację. Nie jest głupi, nie sądzę też, żeby był psychopata. Zabójcą... może... Myślę, że mógłby zabić tego, kto próbowałby czegoś z Eve, jednak nie wydaje mi się, by był krwiożerczym szaleńcem.

- Więc kto zabił Rennera?

- Ten, kto zabił Kajaka.

- Nie Dennis.

Montoya nie odpowiedział, tylko w milczeniu żuł gumę.

- Jesteśmy w punkcie wyjścia - mruknął Bentz.

Morderstwa Kajaka i Rennera nie były jedynymi nierozwiązanymi sprawami w aktach departamentu. Przed dwoma dniami nad morzem znaleziono człowieka zadźganego nożem, wyglądało to na porachunki mafijne; we French Quarter napadnięto kobietę; doszło też do przypadkowego postrzelenia: nastolatek znalazł broń swojego ojca, nie

wiedział, że jest naładowana, wycelowwał w kolegę i strzelił.

Czasami ta praca naprawdę wykańczała. Bentz spojrział na ekran komputera i zrobiło mu się niedobrze, tak jak wtedy, kiedy po raz pierwszy wchodził na miejsce zbrodni.

- Kiedy możemy się spodziewać wstępnego raportu z autopsji?

- Chyba się spieszą, ale i tak zajmie to jeszcze co najmniej jeden dzień, a całość dostaniemy dopiero pod koniec tygodnia. A laboratorium? Odciski palców? Inne dowody?

Bentz westchnął.

- Spytałem Washington, i to był błąd. Omal nie wydrapała mi oczu.

Bonita Washington miała pod sobą całe laboratorium i była na pewno kimś, z kim należało się liczyć. Ta kobieta o kawowej skórze, zielonych oczach i - jak przypuszczał Bentz - IQ na poziomie geniusza nie tolerowała głupoty i niekompetencji, więc Bentz nauczył się postępować z nią bardzo ostrożnie. Czasami nawet przynosił jej kawę. Kiedy po raz pierwszy stanął w drzwiach jej biura z parującym kubkiem w ręce, zerknęła tylko na niego znad okularów i kiwnęła głową. Jakby coś, na co wpadła już dawno temu, zostało właśnie potwierdzone.

- Muchy lecą na miód, nie na ocet, detektywie?

Uśmiechnął się i podał jej kubek. Spojrzała sceptycznie na jego zawartość i upiła łyk. Bentz był pewny, że zarobił kilka punktów.

- Cóż, jeśli chcesz mnie przekupić, mam słabość do brylantów. Karmelowe macchiato latte z bitą śmietaną i czekoladą w proszku jest na pewno pyszne, ale brylanty zadziałają dużo lepiej. Do diabła, jeden porządny karat i od razu wskoczysz na pierwsze miejsce na mojej liście.

- Też się uśmiechnęła i upiła kolejny łyk. - Więc pomyśl tylko, co mógłbyś mieć za dwa karaty.

- To tylko kawa.

Bonita zmrużyła zielone oczy.

- Znam twoją historię, Bentz. Słyszałam o tym, co się stało w LA, i zdaję sobie sprawę z tego, że jesteś tutaj, bo pani prokurator nadstawiła za ciebie karku. Gdyby nie Melinda Jaskiel byłbyś już pewnie bezrobotny. A to? - Podniosła papierowy kubek. - Tak się składa, że to moja ulubiona kawa, co oznacza, że zadałeś sobie wiele trudu, żeby dowiedzieć się, co piję.

Bentz poczuł, że napinają się mięśnie jego pleców i płoną mu policzki. Ta kobieta to barrakuda.

- Chcesz czegoś, Bentz, nie czarujmy się. Problem w tym, że będziesz musiał poczekać na swoją kolej. Mam za mało ludzi, a za dużo pracy. Wiedziałeś o tym, prawda? A jeśli nie, to teraz już wiesz.

Wszystko to słyszał cały jej zespół, i Bentz dostał nauczkę. Bonita znów zagłębiła się w lekturze papierów zaściewających jej biurko, mrużąc coś o zadufanych w sobie, bezczelnych frajerach. A potem dodała jeszcze, na tyle głośno, by mógł to usłyszeć:

- Masz szczęście, że cię lubię.

Trzy godziny później raport, na którym mu zależało, wylądował na jego biurku - całe dwa dni wcześniej niż mu obiecała. Od czasu tej rozmowy połączyła ich szczególna nić porozumienia.

Zadzwoiła komórka Montoi. Odebrał, kiwnął głową w stronę Bentza i wyszedł z gabinetu. Już miał zamknąć za sobą drzwi, kiedy córka Bentza, Kristi, chwyciła za klamkę. Miała na sobie wąską dżinsową spódniczkę i bluzeczkę w kolorze fuksji.

- Cześć Reub - powiedziała, mijając Montoyę, po czym opadła na krzesło przy biurku swojego ojca.

- Cześć - rzuciła zdyszana.

Natychmiast przypomniała mu się Jennifer, jej matka, a jego pierwsza żona. Choć od dawna nie żyła, nie zapomniał o niej. Kristi niedawno obcięła włosy i teraz niesforne miedziane loki opadały luźno po obu bokach jej ślicznej, inteligentnej buzi, a zielone oczy błyszczały ciekawością, /daniem Bentza miała w sobie tyle życia i energii, że kiedy wchodziła do pokoju, robiło się w nim jaśniej. Cóż, była jego dzieckiem, więc nie mógł być obiektywny.

- Cześć, mała.

- Pomyślałam, że może miałbyś ochotę wyskoczyć gdzieś na lunch albo na kawę, czy coś w tym rodzaju. - Uśmiechnęła się do niego szeroko, co znowu przypomniało mu jej matkę. Trochę podejrzany ten entuzjizm.

Lunch? - spytał, spoglądając na zegarek. - Dochodzi trzecia. Dobrze, więc na późny lunch albo, jak już mówiłam, na kawę. Możemy nawet zaszaleć i pójść do Cafe Du Monde na coś słodkiego.

Bentz jeszcze raz teatralnie spojrzął na zegarek. Ostatnią rzeczą, na jaką miał ochotę w środku dnia, były słodkie jak ulepek pączki posypane obficie cukrem pudrem.

- Kristi? Co jest?

- O co ci chodzi? - spytała tak niewinnie, że nie mógł się nie uśmiechnąć.

- Od jak dawna pracuję w policji? - Nim jednak zdążyła odpowiedzieć, powstrzymał ją gestem ręki. - To było pytanie retoryczne. Sęk w tym, że pracuję tu, przy tym biurku, od lat, ale dziś po raz pierwszy wpadłaś do mnie i zaproponowałaś wspólny lunch. Więc zapytam jeszcze raz: co jest?

- Twoje detektywistyczne zdolności są wprost zdumiewające - powiedziała takim tonem, jakby naprawdę tak myślała.

Bentz doskonale wiedział, kiedy czegoś od niego chciała.

- Nie przyszłaś tu chyba tylko po to, żeby mi pochlebiać.

- No... nie - przyznała, unikając jego wzroku. Zerknęła na monitor komputera, na którym wciąż widniały zdjęcia z domu Rennera. - O rany. To doktor Renner, tak?

- Tak. - Bentz chwycił myszkę i szybko zamknął plik. Na ekranie koszarne zdjęcia zakrwawionego Rennera zastąpił jego ulubiony widok Nowego Orleanu. - No, bądź ze mną szczerą. Po co tu przyszłaś?

Przynajmniej nie wyskoczyła z tekstem: :Czyż-córka-nie-może-już-zjeść- lunchu-z-ojcem?: Nie, wzięła głęboki oddech i przez chwilę patrzyła w okno. A kiedy znowu spojrzała mu w oczy, jej twarz była poważna.

- Chcę pracować z tobą. Pokręcił głową.

- Nie jesteś detektywem. Ani nawet policjantką. A poza tym jesteś moim dzieckiem.

- Nie o taką pracę mi chodziło - odparła, ujmując słowo :praca: w zaznaczony palcami w powietrzu cudzysłów.

- A jaka jeszcze może być praca ze mną?

- Chciałabym o tym pisać.

Teraz słuchał jej z uwagą. Już kiedyś wspominała o pisaniu. W szkole średniej i później, w College'u Wszystkich Świętych w Baton Rouge, angielski był jej ulubionym przedmiotem. Jeden z wykładowców, doktor Northrup, twierdził, że jej eseje są wybitne. Kristi przyznawała, że facet jest trochę stuknięty, ale bardzo cieszyła ją jego opinia. Więc bawiła się w pisanie, wysłała kilka swoich tekstów do różnych magazynów i napomykała czasem o planach napisania książki.

- Chciałabym się zająć literaturą faktu, opisywać prawdziwe zagadki kryminalne. W końcu mogłabym poznać to wszystko od środka, skoro ty jesteś detektywem, no i w ogóle.

- Och. Nie mogę dopuścić cię do śledztwa w toku. Byłoby to nieetyczne i pewnie zaszkodziłoby sprawie.

- Nawet gdybym obiecała, że wszystko zachowam w tajemnicy do czasu jej rozwiązania?

Patrzył na nią twardo przez dłuższą chwilę - na tę swoją inteligentną, wysportowaną i upartą jak osioł córkę.

- Nie.

- Więc pogadam z Montoyą.

- On też się nie zgodzi.

- No to z Brinkmanem - nalegała, wysuwając podbródek do przodu, jak wtedy, kiedy była dzieckiem i bardzo chciała coś dostać. - Albo z Noonem.

- Z Brinkmanem nie wytrzymałabyś nawet dwóch minut - mruknął, krzywiąc się na myśl o irytującym koledze. Brinkman był dobrym gliną, ale też mizoginem, bigotem i... strasznie przeklinał. Bentz nie wyobrażał sobie, by jego córka mogła spędzać czas z takim człowiekiem. - A Noon to świr. Coś z nim jest nie tak. - Noon, jeden z młodszych detektywów, wyraźnie miał problem z autorytetami. - Wiesz co, masz rację. Chodźmy na lunch.

- Próbujeś zmienić temat.

- Eee...

- Cóż, to nie działa. Mówię poważnie, tato. - Wstała i podeszła do drzwi. Bentz otworzył je przed nią. - Tym właśnie chcę się zajmować. Gulf Auto and Life nie jest miejscem, w którym chciałabym robić karierę. Nie chcę sprzedawać ubezpieczeń.

- Przecież dopiero zaczęłaś tam pracować.

- Dziewięć miesięcy temu! - Szli teraz wielką salą pełną biurków, komputerów, telefonów i urzędników.

- To chyba niedługo.

- Ale po co mam robić coś, co mnie nie interesuje? - odparła, kiedy zbiegali ze schodów. - Po co tracić czas?

- No wiesz, jest coś takiego, jak rachunki. Za gaz, prąd, czynsz, i tak dalej, rozumiesz.

- Przecież nie zamierzam od razu tego rzucić. Dopiero jak napiszę

książkę, która się świetnie sprzedaje.

- Jeśli się sprzedaje.

Byli już na parterze. Kristi odwróciła się i spojrzała na Bentza surowo.

- Dzięki za wsparcie, tato.

- Wspieram cię, naprawdę, ale jestem realistą. Chodź - zaproponował, rozluźniając kołnierzyk koszuli. Był dopiero maj, ale upał już dawał się we znaki. - Jakieś trzy przecznice dalej jest niezła knajpa, otwarta do wieczoru. Serwują świetny paprykarz z ryby.

Kristi zmarszczyła nos, i znów przypomniała mu się Jennifer, taka piękna, choć zupełnie inna niż Olivia.

Na myśl o swojej obecnej żonie pokręcił tylko głową. Pozostawała dla niego zagadką. Olivia Benchet Bentz była piękną kobietą, inteligentną, lecz także uduchowioną. On nadal nie rozumiał tego, co przeżywała, nie miał jednak wątpliwości, że lepiej nie mógł trafić. Nawet jeśli w małżeństwo z nim weszła z długowłosym kundlem zwanym Włochaczem i papugą.

- Nie przepadam za paprykarzem - powiedziała Kristi, gdy przechodzili przez ulicę.

- Nie martw się, na pewno mają tam coś, co lubisz.

- Kiedy ja sama nie bardzo wiem, co lubię.

- Ostatnim razem, o ile sobie przypominam, było to tofu i fasolka.

- Bardzo zabawne.

Bentz roześmiał się i otworzył przed nią drzwi. W środku unosił się apetyczny zapach gorących dań i ostrych przypraw. Stoliki stały w boksach z ciemnego drewna, a na ławach leżały miękkie poduszki.

Zamówili półmisek owoców morza i frytki. Później, kiedy popijali mrożoną herbatę, Kristi usiłowała przekonać ojca, że powinien dopuścić ją do śledztwa w sprawie zabójstwa Rennera. Bentz był innego zdania.

- Nic z tego, moja droga - oświadczył bez ogródek.

- Więc może powiesz mi coś o którejś ze spraw już rozwiązanych? - Kristi zanurzyła frytkę w ketchupie. - Co by to szkodziło? Zrobiłabym wszystko jak należy, dokładnie, załączyłabym podziękowania i tak dalej...

- Dlaczego? - przerwał jej, marszcząc brwi. Kiedy patrzył w ten spo-



sób, lepiej było pomyśleć dwa razy, zanim się coś powiedziało.

- Wyjaśniłam ci już, dlaczego.

- Ale dlaczego po tym, przez co przesłaś, chcesz się grzebać w tym gównie?

- Prawdopodobnie z tego samego powodu, z jakiego ty to robisz. Bentz skrzywił się, odsunął półmisek i pochylił się nad stołem.

- A ten świr, który nazwał się Wybrańcem? Pamiętasz go? - Na samą myśl o tym zrobiło mu się zimno. On sam doskonale pamiętał te straszne godziny, kiedy Olivia i Kristi były zdane na łaskę szaleńca.

- To już przeszłość, tato - powiedziała, ale on jej nie uwierzył. Taki koszmar nie kończy się nigdy, nigdy nie można o nim zupełnie zapomnieć.

Po lunchu Bentz uregulował rachunek.

- Chcę to zrobić dla siebie - wyznała Kristi, gdy wyszli z restauracji. - Myślałam, że spodoba ci się ten pomysł.

Spojrzał na nią sceptycznie. Schodziła właśnie z krawężnika, kiedy usłyszał ryk silnika, a kątem oka dostrzegł błysk chromowanego metalu. Odruchowo chwycił Kristi za ramię i pociągnął na chodnik. Motocykl, rycząc przeraźliwie, wypadł z za rogu, przejechał przez przejście dla pieszych i wszedł w zakręt, tak szybko, że omal się nie przewrócił.

- Cholera! - krzyknęła przestraszona Kristi.

Bentz patrzył za oddalającym się motocyklem, nie dojrzał jednak numeru. Nagle zdał sobie sprawę z tego, że wciąż zaciska kurczowo palce na ramieniu córki; rozluźnił je powoli.

- Przepraszam.

- Nie... wszystko... wszystko w porządku - wyjąkała, ciągle przestraszona. - Widziałam go i słyszałam, ale pomyślałam, że nie skrećci.

- Ja też, ale nie byłem pewny. - Chwycił ją znów za ramię i ścisnął lekko. - Woląłem nie ryzykować.

- W porządku, tato. Rozumiem. Ale mam zamiar napisać książkę o prawdziwej sprawie, takiej, która mnie zafascynowała, i to pewnie będzie jedna ze spraw prowadzonych przez ciebie. Więc lepiej żebyś był na to przygotowany - powiedziała i uśmiechnęła się ślicznie.

## Rozdział 14

Eve czekała, aż szyba zostanie odsunięta. Jej ojciec, blady, z zamkniętymi oczami, leżał na wysokim stole. Pomyślała o tym, co chciała mu powiedzieć, a czego już nigdy mu nie powie. Kiedyś byli sobie bliscy - dawno temu, gdy ona była małą dziewczynką, a jej matka jeszcze żyła. Po śmierci Melody Renner zaczęli się od siebie oddalać. A później pojawiła się Tracy Aliota, pacjentka ojca, podobnie jak Eve zbuntowana, tyle tylko, że w swoim buncie posunęła się tak daleko, że w końcu przegrała walkę o zdrowie i życie. Choć Terrence Renner nie został o nic oskarżony, rodzina Tracy pozwała go do sądu za zaniedbanie i nieumyślne spowodowanie śmierci. Cole Dennis wraz ze znaną i drogą kancelarią O'Black, Sullivan and Kravitz, przekonał jednak przysięgłych, że Terrence Renner nie zaniedbał swojej pacjentki, że zrobił wszystko, co było w jego mocy, że postawił trafną diagnozę, dlatego też nie jest odpowiedzialny za śmierć Tracy.

Jedyną osobą w sali sądowej - poza rodziną Tracy – nieprzekonaną o słuszności wyroku była Eve.

Przykro mi, tato, myślała ze ściśniętym gardłem. O Boże, tak strasznie mi przykro. Gdybym porozmawiała o tym z tobą, gdybym spróbowała... Gdybym tylko...

- Pani Renner? - oderwał się cicho Montoya.

- To on - powiedział Nie mogła na to patrzeć. Ciało ojca zostało umyte, widziała więc wyraźnie ranę u nasady szyi i ciemny, nierówny tatuaż na czole.

Pomyślała o ostatnich chwilach jego życia. O bólu. O strachu.

Co za potwór mógł zrobić coś takiego?

Kto?

Dlaczego?

Drżącymi palcami otarła łzy z policzków.

- Dobrze się pani czuje?

Kiwnęła głową, odchrząknęła i wyprostowała się. Ból głowy, dręczący ją od wielu dni, znowu zaczął się nasilać, ale zignorowała go, nie miała czasu się nim przejmować

- Dorwijcie tego drania który to zrobił - powiedziała, patrząc na Montoyę.

- Staramy się, proszę mi wierzyć. Ale na razie mam jeszcze kilka

pytań.

- Słucham.

- Może lepiej porozmawiać u nas, w departamencie?

- Obojętnie.

Było jej wszystko jedno chciała tylko jak najszybciej mieć to za sobą.

- Doskonale.

Montoya zadzwonił do Bentza; spotkali się w jego zagraconym gabinecie. Na biurku leżały stosy raportów i papierowe kubki po kawie, a na szafce z aktami stała doniczka z wędną rośliną. W pokoju było gorąco i duszno mimo otwartych okien, przez które wpadał do środka uliczny hałas. Eve usiadła na jednym z krzeseł przy biurku i spojrzała na dwa gołębie drepczące po parapecie za oknem. Przez szum samochodów przebijał się głos ulicznego kaznodziei; z pasją namawiał przechodniów, by przyjęli Jezusa do swoich serc.

Montoya stanął przy szafce.

- Co chcecie wiedzieć? - spytała Eve, kiedy Bentz wyjął mały kieszonkowy dyktafon, przesunął stertę papierów i postawił go na mocno sfatygowanym kalendarzu. Wcisnął przycisk, powiedział, kto jest w pokoju, a potem podał dzień, godzinę i miejsce przesłuchania.

- W porządku, więc proszę nam jeszcze raz opowiedzieć o tej nocy, kiedy zginął pani ojciec.

Opowiedziała więc o tym, jak wyruszyła z Atlanty do Nowego Orleanu, o telefonach spanikowanej Anny Marii, o swojej własnej próbie skontaktowania się z ojcem. Nie wspomniała o Cole'u ani o podejrzeniu, że ktoś ją śledzi. Montoya oparł się o szafkę i słuchał. Wydawał się zadowolony, że to Bentz zadaje pytania. Przesłuchanie trwało około godziny i kiedy Eve była pewna, że to już koniec, Montoya nagle oderwał się od szalki i stanął przed biurkiem.

- No cóż, pani Renner, widzę tu mały problem. Pani wersja wydarzeń trzyma się kupy, owszem, z jednym wyjątkiem. Przesłuchaliśmy wiadomości nagrane na automatycznej sekretarce pani ojca; wkrótce będziemy mieć też pełny wykaz połączeń. Zadzwoniła pani do niego, zanim do pani zatelefonowała szwagierka. Przegrałem wszystko, co było na automatycznej sekretarce znalezionej na miejscu zbrodni. - Wyjął z kieszeni mały magnetofon i nacisnął klawisz z napisem :play:.

Eve starała się zachować spokój, ale na dźwięk swojego niespokojnego głosu odruchowo zacisnęła dłonie.

- :Tato? Mówi Eve. Przepraszam, że dzwonię tak późno, ale chciałam, żebyś to wiedział... Już wróciłam... Jestem w mieście... Powinnam była dać ci znać wcześniej... Zadzwoń do mnie:.

- To, czego właśnie pani wysłuchała, zostało nagrane o godzinie drugiej pięćdziesiąt jeden. Później, około trzeciej, nagrało się to: :Tato? Mówi Anna Maria. Mój... mój przyjaciel pracuje w gazecie. Zadzwoił do mnie i powiedział, że coś złego mogło się u was stać... Kyle'a nie ma teraz w domu, ale pewnie będziesz mógł złapać go na komórce... Po prostu daj mi znać, że wszystko jest w porządku:.. Rozumie pani, jaki mamy problem?

- Chyba nie.

- Wiedziała pani, że coś się stało, zanim zadzwoniła do pani szwagierka.

Detektywi patrzyli na nią w milczeniu.

- Chciałam z nim porozmawiać.

Na razie nie miała zamiaru mówić, że o śmierci ojca dowiedziała się od Cole'a. Jeszcze nie.

- A drugi problem polega na tym, że ktoś, jakiś mężczyzna, zgłosił morderstwo.

- Kto?

- Nie wiemy, ale porównamy nagranie z 911 z innymi głosami, które mamy na kasetach. Pomyśleliśmy, że może pani pozna ten głos.

Eve z trudem przełknęła ślinę.

- Nie... Sądziecie, że ten człowiek, który zadzwonił na 911, zabił mojego ojca?

- Niewykluczone. Może też być świadkiem. - Montoya skrzyżował ręce na piersi. Skóra jego kurtki zaskrzypiała cicho. - Mamy kilka śladów, którymi warto się zająć.

- Czy przychodzi pani do głowy coś jeszcze, co by nam pomogło? - spytał Bentz.

- Może.

Policjanci spojrzeli na nią wyczekująco.

- Wydaje mi się, że ktoś mnie śledzi. Ktoś za mną jeździ, dzwoni do mnie o najdziwniejszych porach i mówi zawsze to samo.

- To znaczy co?

- :On jest wolny:.. To męski głos, jak sądzę, niski i ochryply, jakby szeptął, żeby nie dało się go rozpoznać. Nie mam pojęcia, kto to może

być.

- Mówi o Cole'u Dennisie? Czy o kimś innym?

- Myślę, że o Cole'u. To wszystko zaczęło się mniej więcej w tym czasie, kiedy został zwolniony.

Bentz zmarszczył brwi.

Montoya rzucił mu spojrzenie. Co ono znaczyło, Eve nie umiała odgadnąć. Sięgnęła do torebki i wyjęła z niej brązową kopertę.

- Nie wiem, jak to rozumieć ani czy ma to jakiś związek z tą sprawą, ale stało się jeszcze coś dziwnego. Sądzę, że ktoś jechał za mną, kiedy wracałam z Atlanty, i podrzucił mi to do samochodu.

Montoya przez chusteczkę ujął róg koperty i wysypał wycinki na biurko. Kawalki gazet o ząbkowanych brzegach opadły na magnetofon i kalendarz jak płatki wykonanych przez dzieci papierowych kwiatów.

- Co to jest?

- Nie wiem. Mój ojciec był głównym psychiatrą w Szpitalu Naszej Pani od Cnót, a ta kobieta, Faith Chastain, chyba jego pacjentką.

Montoya szybko podniósł głowę.

- Faith Chastain?

- Wszystkie te artykuły są o niej, nie tylko o szpitalu. Jestem pewna, że w gazetach było więcej artykułów o szpitalu, o personelu, o jego zamknięciu i tak dalej, ale te tutaj wszystkie są o Faith Chastain. O was dwóch także jest tu kilka wzmianek... o, na przykład w tym... - Wskazała palcem jeden z wycinków.

- Nie wie pani, skąd to się wzięło w pani samochodzie ani dlaczego? - spytał Montoya bardzo poważnie.

Eve pokręciła głową.

- Ktoś musiał włamać się do mojego samochodu. Włożył kopertę do schowka na rękawiczki, ale dlaczego, nie mam pojęcia.

Montoya zmarszczył brwi. Poprosił Eve, by opowiedziała swoją historię jeszcze kilka razy. Wspomniała o ciemnej furgonetce, ale nie umiała podać im żadnych konkretnych informacji. Nie widziała numeru rejestracyjnego, nie знаła modelu ani nawet marki tego samochodu. Wiedziała tylko, że był duży, granatowy albo czarny i miał przyciemnione szyby.

- Według mnie, furgonetka należała do prywatnej osoby, ale nie jestem pewna.

- I wydaje się pani, że była z Nowego Orleanu.

- Tak mi się wydaje, nie mam pewności. I chyba ktoś śledził mnie dzisiaj takim samochodem, mogę się jednak mylić.

- Możemy to zatrzymać? - Bentz wskazał dłonią stertę wycinków, nie dotykając ich.

- Oczywiście.

- Czy ktoś jeszcze ich dotykał?

Eve pomyślała o Cole'u - czytał te artykuły i niewiele brakowało, a wzięłyby jeden do ręki, lecz go powstrzymała.

- Nikt poza mną.

- Pokazywała je pani komuś?

- Nie, detektywie. Dostałam je wczoraj.

Och, jak łatwo byłoby im przyłapać ją na kolejnym kłamstwie. Wystarczy, by porozmawiali z panią Endicott; ona bez wątpienia słyszała sporo z jej rozmowy z Cole'em, kiedy stali na ganku, i na pewno wskazałaby policji właściwy kierunek.

- Może nam pani opowiedzieć o swoich stosunkach z ojcem? - spytał Montoya, kiedy dyktafon znowu zaczął nagrywać.

Bentz zanotował coś w małym notatniku.

- Układały się całkiem dobrze, kiedy byłam dzieckiem, ale kiedy zaczęłam dorastać, oddaliliśmy się od siebie. Ostatnio nie byliśmy ze sobą blisko. Nie staliśmy się sobie obcy, ale... nie było już tak, jak dawniej.

- Z powodu morderstwa Royała Kajaka?

- Nie, to stało się wcześniej.

- Z powodu pani związku z Cole'em Dennisem?

- Nie, niezupełnie.

- Niezupełnie?

- Oddaliliśmy się od siebie, bo ojciec został oskarżony o zaniedbanie, które doprowadziło do samobójstwa jego pacjentki.

Nie dodała nic więcej. Montoya zapytał nagle:

- Pani matka nie żyje?

- Nie.

- Jak zmarła?

- Na atak serca. Miałam wtedy szesnaście lat, stało się to mniej więcej piętnaście lat temu. Dlaczego pan pyta? Czy to jakoś wiąże się z tą sprawą?

- Uzupełniam brakującą wiedzę. Ma pani brata, który mieszka w Atlancie, i drugiego w...

- Phoenix... a właściwie w Mesie. Ale chyba w tej chwili obaj są w Nowym Orleanie. Van jest drugim dzieckiem, młodszym z braci. Właśnie do mnie dzwonił. Mówił, że przyjechał tu na jakąś konferencję, i wspomniał, że Kyle też już tu jedzie, choć ja z nim nie rozmawiałam.

- Zatrzymają się u pani?

- Wątpię. Van nic na ten temat nie powiedział, a Kyle nie przepada za nocowaniem w prywatnych domach. Na pewno będzie wolał hotel. Nie lubi przestrzegać zasad ustanowionych przez kogoś innego.

- Naprawdę?

Eve wzruszyła ramionami.

- To nie tak, że jesteśmy jedną wielką, szczęśliwą rodziną. Mój ojciec adoptował Kyle'a i Vana, kiedy ożenił się z moją matką. Chłopcy byli już prawie nastolatkami, kiedy rodzice adoptowali mnie.

Żrenice Montoi rozszerzyły się gwałtownie.

- Więc Terrence Renner nie jest pani biologicznym ojcem?

- Nie.

- A kto nim jest? - spytał Bentz. Przestał notować i pochylił się do przodu.

- Nie znam żadnego z moich biologicznych rodziców. Pytałam o to kilka razy, ale nie otrzymałam odpowiedzi. Powiedziano mi, że była to tak zwana zamknięta adopcja, a to znaczy, że oboje moi biologiczni rodzice nie chcą się ze mną kontaktować. - Skrzywiła się lekko. - Sprawę załatwiono dyskretnie, przez prawnika. A później, cóż, moja matka zmarła, zanim zdążyłam się czegokolwiek od niej dowiedzieć, a ojciec udzielał tylko wymijających odpowiedzi. Zawsze myślałam, że pewnego dnia uda mi się poznać moich biologicznych rodziców. Co w końcu ryzykuję? Że ktoś zatrze mi drzwi przed nosem? - Westchnęła. - Ale jakoś nigdy nic w tej sprawie nie zrobiłam.

Montoya podrapał się po brodzie, a Bentz powiedział:

- Będą nam potrzebne numery telefonów pani braci. Podała im numer do domu Kyle'a w Atlancie.

- Sekundę - dodała, wyciągając komórkę z torebki. Odszukała w niej numery telefonów komórkowych Kyle'a, Anny Marii i Vana. - Nie mam już domowego telefonu Vana. Przeprowadził się do Mesy niedługo przed tym, jak zostałam postrzelona, a poza tym zawsze dzwonię do niego na komórkę i zostawiam wiadomości.

- W porządku. - Bentz zanotował wszystko w swoim zeszytce. - A

wrogowie? Czy ktoś mógł chcieć wyrządzić pani ojcu krzywdę?

Eve przypomniała sobie zrozpaczonych rodziców i brata Tracy Alioty, kiedy usłyszeli na sali sądowej werdykt :niewinny:. Matka Tracy, Leona, omal nie zemdląła. Gdyby nie podtrzymało jej silne ramię męża, upadłaby na podłogę. Starszy brat Tracy, J.D., miał twarz czerwoną z gniewu i oczy płonące przekonaniem, że sprawiedliwości nie stało się zadość.

- Chyba tak. - Pokrótce opowiedziała detektywom o Tracy. - Zapewne byli też inni niezadowoleni pacjenci, choć, o ile wiem, nikt nie posunął się do tego, by pozwać ojca do sądu. Ale prawda jest taka, że zajmował się przecież ludźmi chorymi psychicznie.

- Psychotykami? Kiwnęła głową.

- A czy w życiu osobistym też mógł mieć wrogów? - spytał Montoya.

Eve zastanawiała się przez chwilę.

- Ojciec moich braci, ich biologiczny ojciec, Ed Stern, na pewno za nim nie przepadał. Obwinił go o rozbicie swojego małżeństwa, przynajmniej tak to rozumiałam. Ale dość szybko zniknął z naszego życia. Jeszcze kiedy chłopcy byli bardzo młodzi, zrezygnował z wszelkich rodzicielskich praw. Ja nigdy nie miałam okazji go poznać, a bracia nie widzieli go od czasu, kiedy wyjechał.

Bentz wszystko notował.

- Ktoś jeszcze? Pokręciła głową.

- Wydaje mi się, że ojciec wplątał się w jakiś proces cywilny o dostęp do drogi, która prowadziła przez jego farmę, z sąsiadem, Hugh Jakimstam... Hugh... Hugh Capp, tak się chyba nazywał, ale ojciec wspominał o tym tylko raz czy dwa i było to jakieś pięć, sześć lat temu. O ile wiem, w końcu się dogadali.

- A zawodowo? Miał jeszcze jakichś wrogów? - spytał Bentz.

- Naprawdę nie wiem.

- Myślę wciąż o pacjentach i personelu Szpitala Naszej Pani od Cnót; to był ostatni szpital, w którym pracował na etacie. Później prowadził praktykę prywatną, sam, o ile wiem. I był luźno związany z takim małym, prywatnym szpitalem... - Bentz przewrócił kilka kartek - St. Andrews, niedaleko Slidell.

- Zgadza się - powiedziała Eve. Doskonale pamiętała ten mały szpital za jeziorem Pontchartrain.

- Zna pani w tych szpitalach kogoś, kto mógł chować urazę do pani



ojca?

- Nie. Musielibyście zapytać kogoś, kto tam pracował - odparła, czując narastający ból głowy. - Muszą przecież być jakieś dokumenty.

Detektywi zadali jeszcze kilka pytań, wreszcie przesłuchanie dobiegło końca. Głowa porządnie już ją rozboleła.

Montoya odprowadził Eve i pokazał drogę do wyjścia. Na dworze głęboko odetchnęła.

Na niebie zbierały się chmury, rzucając na miasto wydłużone cienie. Było duszno. Parno. Ubranie lepiło się do wilgotnej skóry.

Podeszła do swojej toyoty, oglądając się przez ramię. Znowu miała to dziwne wrażenie, że ktoś ją obserwuje, jakiś diabeł wcielony. Wydawało jej się, że czuje na plecach jego oddech. Przystanęła, odwróciła się powoli i rozejrzała dookoła.

Jakaś kobieta szła chodnikiem, pchając przed sobą wózek z dzieckiem. Para nastolatków trzymała się za ręce, rozmawiając bardzo głośno, bo oboje mieli w uszach słuchawki iPodów. Starszy mężczyzna prowadził na smyczy małego psa, chyba teriera. Kilka osób czekało na przystanku na miejski autobus. Facet w srebrnym sedanie wpatrywał się w mapę ze zmarszczonymi brwiami, jakby zgubił drogę. Dzieciaki o nastroszonych włosach jeździły na deskorolkach, klucząc między przechodniami. Uliczny grajek - ponoć bezdomny weterynarz - czekał, aż ktoś wrzuci monetę do futerału na gitarę.

Nie dostrzegła nikogo, kto kryłby się cieniu bramy, nikt też nie siedział w ciemnej furgonetce z papierosem w ustach. W ogóle nikt nie zwracał na nią najmniejszej uwagi. Uliczny kaznodzieja nadal rozdawał broszury i nakłaniał każdego, kto chciał go słuchać, by przyjął Jezusa jako swojego zbawiciela.

Nikt nie obserwował jej z ukrycia, a jedyną ciemną furgonetką w zasięgu jej wzroku był samochód przed kwiaciarnią. Za kierownicą siedziała dziewczyna wyglądająca najwyżej na szesnaście lat.

Ponosi cię wyobraźnia, pomyślała sobie, ale nie mogła otrząsnąć się z wrażenia, że gdzieś bardzo niedaleko jest ktoś, kto uważnie śledzi każdy jej krok.

- Wiem, co myślisz - powiedział Bentz, kiedy Montoya wrócił. - Myślisz, że Eve Renner jest zaginioną córką Faith Chastain. Ale to bardzo naciągana teoria. To, że wiek się zgadza, że była adoptowana i ktoś

podrzucił jej do samochodu kilka artykułów o Faith Chastain nie znaczący jeszcze, że jest jej trzecim dzieckiem.

- Na pewno trzeba to sprawdzić.

- Zgoda - Bentz postukał ołówkiem w blat stołu.

- Moglibyśmy jej o tym powiedzieć. Poprosić o próbkę materiału do badania DNA.

Bentz spojrział w okno, na drepczące po parapecie gołębie.

- To właściwie nie jest sprawa policji - odparł. - Kobieta może urodzić dziecko, nie o tym nikomu nie mówiąc. To nie przestępstwo.

- A co, jeśli ta kobieta ma tatuaż ukryty na linii włosów? Tatuaż, który najprawdopodobniej wykonano, kiedy była pacjentką w szpitalu?

- Cóż, to chyba też nie przestępstwo. Poza tym ta kobieta nie żyje. Wiemy, jak zginęła, i wiemy, że była przedtem ofiarą przemocy. A ten tatuaż wykonano ponad dwadzieścia lat temu i nie ma pewności, czy ktoś ją do tego zmusił.

- To tatuaż na głowie, która musiała być ogolona... Myślisz, że tego chciała?

- Nie była całkiem zdrowa psychicznie.

- Och, daj spokój. Ktoś znęcał się nad tą kobietą. Wiemy to.

Bentz skrzywił się, ale nie mógł tego podważyć. Mieli dowody wskazujące, że Faith Chastain padła ofiarą wielu przestępstw, kiedy była w szpitalu.

- Wiem, ale spójrz prawdzie w oczy, dla ciebie to sprawa osobista. Jeśli nawet Faith była ofiarą, przestępstwa przeciw niej popełniono bardzo dawno temu.

- Więc co to ma znaczyć, do cholery? - Montoya wskazał wycinki na biurku Bentza. - Nie sądzisz, że to dziwne, że to naprawdę zdumiewający zbieg okoliczności? Ktoś chce, żeby Eve Renner dowiedziała się o Faith Chastain w tym samym czasie, kiedy ludzie z jej otoczenia, z otoczenia Eve, giną zamordowani.

- Tak, to bardzo dziwne.

Bentz popatrzył na wycinki i zmarszczył brwi. Wszystkie miały jednakowe, równo ząbkowane brzegi. Wszystkie dotyczyły Faith Chastain. Czy to istotnie może być aż tak proste? Czy to możliwe, że zaginiona córka Faith Chastain weszła przed chwilą do budynku departamentu policji, przynosząc ze sobą dowody na to, że coś łączy ją z dawno zmarłą pacjentką szpitala psychiatrycznego? Kto jeszcze mógł

wiedzieć o adopcji? Dlaczego postanowił ujawnić to teraz, po tylu latach? I jaki Eve, jako córka Faith, może mieć związek z tymi morderstwami?

Royal Kajak przebywał w Szpitalu Naszej Pani od Cnót nie tylko jako syn ogrodnika, ale także, później, jako pacjent.

Terrence Renner był głównym psychiatrą w tym szpitalu, aż do jego zamknięcia.

Faith Chastain w tym szpitalu zakończyła życie.

Znowu seria tajemniczych zabójstw zdawała się mieć za wspólny mianownik ten stary, wspaniały niegdyś budynek z czerwonej cegły, który popadał w ruinę.

- To ty nie wierzysz w zbiegi okoliczności - przypomniał mu Montoya.

- Więc co chcesz zrobić?

- Sprawdzić to. Jeśli Eve się zgodzi. Chciałbym wykonać test DNA. I porównać wynik z DNA Abby. Jeśli Eve jest córką Faith, powinna mieć DNA podobne do DNA Abby.

- Nie potrzebujemy do tego Abby. Mamy przecież DNA Faith, zostało pobrane po ekshumacji zwłok. Wystarczy Eve, jeśli wyrazi zgodę - odparł Bentz. - Może nie będzie chciała nam pomóc.

Montoya prychnął.

-Ona coś ukrywa. - Sięgnął do kieszeni po papierosy, nie znalazł, więc wsadził obie ręce do kieszeni swojej skórzanej kurtki.

- Ja też tak myślę.

- Pamiętaj, ona ciągle dochodzi do siebie po przeżytych wstrząsach. Ciągle ma problemy z pamięcią-powiedział Montoya, lecz takim tonem, jakby sam nie bardzo w to wierzył. - Jeśli chcesz znać moje zdanie, to uważam, że ona jest lekko stuknięta.

- Nie będę się z tobą kłócił, ale jeśli nawet tak jest, to i tak wygląda na to, że ktoś się z nią zabawia. - Bentz otworzył szufladę biurka, wyjął z niej fiolkę z lekiem na nadkwasotę i wrzucił dwie tabletki do ust. Według niego te dwie sprawy - kobieta otrzymująca dziwne wiadomości i dwa morderstwa - wcale nie musiały być ze sobą powiązane. Jednak obie miały związek z Eve Renner.

Dlaczego?

I co wspólnego z tym wszystkim miała Faith Chastain, nieżyjąca od

dwudziestu lat matka narzeczonej Montoi?

Montoya był niespokojny, krążył po biurze i nerwowo pociągał za kolczyk w uchu.

- Pamiętasz to oblężenie starego szpitala ubiegłej jesieni, kiedy dorwaliśmy tego sukinsyna, który terroryzował Abby?

Bentz wiedział, do czego zmierza Montoya. Wtedy właśnie zabójca go ostrzegł: Bez względu na to, co się jeszcze stanie, to dopiero początek.

Minęło ponad pół roku. Montoya zaczynał już myśleć, że zabójca plół, co mu ślina na język przyniosła, wykrzykując złowieszcze prorocтва. Że blefował. Teraz jednak nie był już tego pewny.

Z powodu wycinków podrzuconych do samochodu Eve Renner. Jeśli Eve mówiła prawdę.

- Nie wyciągajmy pochopnych wniosków - odparł Bentz. - Wyślemy te wycinki do laboratorium, niech zdejmą odciski palców i poszukają innych śladów. A później zobaczymy.

- Muszę powiedzieć Abby. - Montoya stał już w drzwiach, ale odwrócił się jeszcze. - Dopilnuj, żebym dostał kopie.

Bentz kiwnął głową.

- Załatwione.

Przez otwarte drzwi patrzył, jak Montoya idzie w stronę schodów, klucząc między biurkami. W końcu zniknął i Bentz został sam na sam z dziwnymi wycinkami z gazet.

Jak to wszystko się ze sobą łączy?

Postanowił dowiedzieć się czegoś więcej o braciach Eve, o jej zmarłej matce i - jeśli będzie to możliwe - o jej biologicznych rodzicach. Wiedział też, że czy mu się to podoba, czy nie, musi wybrać się z wizytą do klasztoru Naszej Pani od Cnót i porozmawiać z matką przełożoną.

Odwrócił się do komputera, otworzył stary plik i znalazł zdjęcie Faith Chastain. Tak, choć twarz ta nosiła piętno cierpienia, była niewątpliwie bardzo piękna. Wydatne kości policzkowe, prosty nos, złote oczy, rozwichrzone ciemne loki. Abby Chastain to wierna kopia matki, ale Eve Renner? Może i ją trochę przypomina, ale podobieństwo na pewno nie jest uderzające, pomyślał.

Zastukał ołówkiem w blat biurka, włożył rękawiczki i wsunął wycinki z powrotem do koperty, żeby zanieść je do laboratorium. Nie

rozumiał, o co w tym wszystkim chodzi, ale cokolwiek to było, nie podobało mu się.

## Rozdział 15

**Deeds** się spóźnił.

Był wkurzony jak wszyscy diabli.

- Powiedz mi, że nie zrobiłeś nic głupiego - warknął, zamawiając u barmana piwo.

W O'Callahan's było ciemno i chłodno, podniszczone mahoniowe meble i obite skórą fotele wydzielaly delikatny zapach starej whisky, cygar i korzennych przypraw.

- Nie zrobiłem nic głupiego.

Deeds nie zarzucił mu kłamstwa, tylko przysunął do siebie zmrożoną szklanke z piwem, pociągnął z niej długi łyk i spojrzał w stronę kilku młodych mężczyzn przy barze, wpatrzonych w ekran wiszącego pod sufitem telewizora.

Przy stolikach siedziało tylko paru stałych bywalców. Z ukrytych głośników sączyła się przyciszona jazzowa muzyka. W końcu sali, obok wejścia do toalet, jakiś mężczyzna grał w strzałki. Krótko mówiąc lokal był cichy. Spokojny.

- I trzymasz się zasad? - spytał sceptycznym tonem Deeds, sięgając do miseczki z orzeszkami, którą barman postawił na stoliku.

- Tak.

- Więc powiedz mi, że Eve Renner nie wróciła do miasta, a ty się z nią nie widziałeś. - Wrzucił do ust kilka orzeszków.

- Tego nie mogę powiedzieć.

- Wiedziałem! Cole, czyś ty rozum postradał?

- Może.

- To nie czas na żarty - rzucił ze złością Deeds. Upił łyk piwa, spojrział na swoje odbicie w lustrze i wycedził przez zaciśnięte zęby: - Opowiadaj, co się wydarzyło.

Cole opowiedział.

Prawie wszystko. O telefonie od Rennera i o wizycie na jego farmie.

- Kiedy tam przyjechałem, Renner już nie żył, choć od niedawna. Sprawdziłem puls. Był niewyczuwalny. Renner nie oddychał. - Kiedy przypomniał sobie te chwile, jego głos zadrżał lekko. - Na ścianie były cyfry wypisane krwią, a Renner miał ma czole tatuaż.

- Jak Kajak. - Deeds wrzucił do ust kolejną porcję orzeszków.

- Tylko że zamiast 212 było 101.

- Myślisz, że to ten sam zabójca?
- Na pewno.
- Więc dlaczego zmienił liczbę?
- Nie wiem. - Cole pokręcił głową i pociągnął łyk piwa. - Może coś się facetowi pomieszało, a może cyfry miały być inne. Kto wie?
- Tylko morderca.
- Łamię sobie nad tym głowę, ale niczego nie potrafię wymyślić.
- Musisz złożyć zeznanie na policji.
- Będą chcieli mnie przyskrzynić.
- Po co miałbyś zabijać Rennera? I to pierwszego dnia po wyjściu z więzienia? Bez sensu. - Deeds otrzepał dłonie i dopił piwo. - Ale miałeś unikać kłopotów, a chyba ci się to nie udało.
- To Renner do mnie zadzwonił. A w każdym razie ktoś, kto się za niego podał.
- W porządku. A Eve? Widziałeś się z nią. I domyślam się, że znowu masz zamiar się z nią zobaczyć.
- Cole wbił wzrok w swoją szklankę i nie odpowiedział. Deeds z zalem pokręcił głową.
- Popełniasz duży błąd. Już cię przed nią ostrzegąłem, więc nie będę się powtarzał. Ale zastanów się, Cole. I lepiej uważaj. Ktoś próbuje cię wrobić, przyjacielu. Ktoś postarał się, żebyś był wczoraj w domu Rennera. - Deeds postawił pustą szklankę na stole. - Tak samo jak przedtem.
- Cole milczał. Nikomu się nie przyznał, że był w chacie Roya Kajaka tej nocy, kiedy Roy zginął, a Eve straciła pamięć. Uznał, że jeszcze nie wyzna prawdy.
- A więc, pani Renner, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, chcielibyśmy zbadać pani DNA. Wystarczy wymaz z jamy ustnej - powiedział detektyw Bentz.
- Eve wjeżdżała akurat na podjazd przed swoim domem. Zatrzymała samochód i siedziała w nim przez chwilę, trawiąc to, co właśnie usłyszała o tajemniczej cesarce Faith Chastain, porodzie, który odbył się najprawdopodobniej wtedy, kiedy była pacjentką Szpitala Naszej Pani od Cnót. Porodzie, o którym ojciec Eve musiał wiedzieć.
- Należało poprosić panią o to, kiedy była tu pani u nas, ale wówczas jeszcze nie byliśmy na takim etapie... - ciągnął Bentz.
- O ile dobrze rozumiem - przerwała mu Eve - uważacie, że mogę być

córką Faith Chastain? Córka, o której nikt nie wie?

- Tak.

- Sądźcie też, że ten, kto podrzucił mi te wycinki, kimkolwiek jest, wie o tym?

- To możliwe.

- Więc dlaczego po prostu nie zadzwonił, żeby mi o tym powiedzieć?

- Niestety, na to pytanie nie znamy odpowiedzi. Ciągłe prowadzimy dochodzenie.

- Dobry Boże - szepnęła Eve, patrząc w osłupieniu na przednią szybę swojego samochodu, na której wycieraczki zostawiły półkoliste ślady.

- Sprawdzimy oczywiście szpitalne akta, ale to zabierze trochę czasu; szpital od lat jest zamknięty. Na szczęście mamy próbki DNA Faith Chastain. Chcielibyśmy porównać je z materiałem pobranym od pani.

- Zgadzam się - odparła. - Kiedy?

- Jak najszybciej. W przeciwieństwie do laboratoriów, które pewnie widuje pani w telewizji, u nas takie badania trwają czasem nawet kilka tygodni, choć pewnie da się to trochę przyspieszyć.

- Mogę przyjechać teraz?

- Jeśli to nie problem...

Żeby odnaleźć moich biologicznych rodziców? Żartuje pan? Włączyła silnik.

- Już jadę.

Bentz powiedział jej, jak dojechać, i obiecał spotkać się z nią w laboratorium. Eve skręciła i znowu znalazła się na głównej drodze, prowadzącej do centrum miasta.

Miała mętlik w głowie. Czy to możliwe? Czy naprawdę może być zaginioną córką Faith Chastain? Siostrą, a w każdym razie przyrodnią siostrą, Abby Chastain, narzeczonej detektywa Montoi? Czy to nie grom z jasnego nieba? Nie wiedziała, co o tym wszystkim myśleć.

- Coraz to dziwniejsze - mruknęła pod nosem, ściskając kierownicę. Kiedy dotarła na miejsce, na przednią szybę spadły pierwsze krople deszczu. Zaparkowała i weszła do laboratorium, gdzie czekał już na nią Bentz. Pracownik uśmiechnął się do niej, pobrał próbkę, zapisał informacje i zapewnił Bentza, że powie komu trzeba, iż badanie musi zostać wykonane w trybie natychmiastowym.

Wszystko to razem trwało zaledwie kilka minut.

Wkrótce więc dowie się, czy naprawdę jest zaginionym dzieckiem



Faith Chastain.

- Myślisz, że Eve Renner może być moją przyrodnią siostrą? - spytała wstrząśnięta Abby.

Właśnie zakończyła ostatnią tego dnia sesję fotograficzną; klienci wyszli ze studia w chwili, kiedy pojawił się w nim Montoya. Zamknął drzwi, chwycił Abby w ramiona i zaczął całować tak, jakby nigdy nie miał zamiaru przestać.

- Hej! Co w ciebie wstąpiło? - spytała bez tchu, gdy w końcu postawił ją na ziemi.

Wtedy wypalił:

- Myślę, że Eve Renner może być twoją zaginioną siostrą. Patrzyła na niego w osłupieniu.

- Co? Chwileczkę. Wyjaśnij mi, o co chodzi.

Przeszył ją dreszcz na myśl o tym, że w końcu po tym, jak dowiedziała się o trzecim dziecku swojej matki, pozna może to tajemnicze rodzeństwo... Ale Eve Renner? Jaki ona może mieć z tym związek?

Montoya zrelacjonował wszystko tak szybko i zwięźle, jak tylko potrafił. Abby słuchała uważnie, a kiedy zakończył niepokojącą informacją, że Eve Renner sądzi, iż jest śledzona, zmarszczyła brwi.

- Ale - dodał — ta kobieta cierpi na amnezję będącą skutkiem szoku i Bóg wie, na co jeszcze. Nie bardzo można polegać na tym, co mówi.

Abby zgasiła światła i włączyła alarm.

- Naprawdę sądzisz, że ona może być moją przyrodnią siostrą? Dlatego że została adoptowana, a jej ojciec pracował w szpitalu? To chyba żaden dowód?

- Mówię tylko, że to możliwe. Hm.

Wyszli z budynku. Zmierzchało. Na miasto kładły się już długie fioletowe cienie, a w powietrzu czuć było deszcz. Montoya objął Abby ramieniem i pociągnął w stronę swojego samochodu, czarnego, lśniącego mustanga, zaparkowanego w niedozwolonym miejscu.

- Pewnego dnia, kiedy wrócisz do samochodu, jego już nie będzie - mruknęła Abby.

- Nie, ja mam szczęście. - Uśmiechnął się, błyskając bardzo białymi zębami. Jego włosy, dłuższe teraz niż zazwyczaj, w świetle ulicznych latarni wydawały się niemal granatowe. Abby poczuła zapach wody koloń-skiej i papierosów i zrozumiała, że ta sprawa musi naprawdę go

nurtować, skoro wbrew zdrowemu rozsądkowi znowu zaczął palić. Postanowiła jednak go nie zbesztać, choć kiedy usiadła na miejscu dla pasażera, zobaczyła otwartą paczkę marlboro leżącą przed przednią szybą.

- Mamy DNA twojej matki. Mamy też nadzieję, że Eve Renner da nam próbkę swojego materiału do porównania. Ale trzeba będzie poczekać na wynik.

- Cóż, nie mam zamiaru wstrzymywać oddechu - odparła Abby.

Montoya przekreślił kluczyk w stacyjce, wrzucił wsteczny i wycofał. Potem ruszył ulicami miasta z taką prędkością, że Abby kurczowo uczepliła się rączki nad drzwiami.

- Ja nadal chcę skontaktować się z klasztorem i sprawdzić, co one wiedzą - powiedziała, kiedy Montoya skręcił w Chatres. - Czy gdzieś jedziemy?

- Co powiesz na kolację?

- Nie mów, że wyszedłeś z pracy tylko po to, żeby coś przegryźć, i zaraz tam wracasz?

- Cóż, taki właśnie mam plan.

- W takim razie weźmy coś na wynos - odparła, spoglądając na zegarek. - Hershey od rana nie była na spacerze, Ansel zresztą też.

- Są gorsze niż dzieci - mruknął Montoya.

- Tak myślisz? - roześmiała się. Montoya skręcił ponownie, kierując się w stronę ich domu, w którym ciągle jeszcze trwał remont. - A postawiłbyś na to jakieś pieniądze? - zapytała i spojrzała na pierścionek z brylantem, który miała na palcu. Dostała go od Montoi w ostatnie Boże Narodzenie, kiedy się jej oświadczył. Powiedziała :tak: i przeniosła większość swoich rzeczy do jego domu jeszcze przed Nowym Rokiem.

- A ty założyłabyś się, że dzieci są gorsze od zwierzaków?

- Hm. Wyplata, jak będziesz miał dwoje dzieci.

- Czyżbyś chciała mi coś powiedzieć? Spojrzała na niego z ukosa i roześmiała się cicho.

- Nie jestem w ciąży, jeśli o to ci chodzi. Ale kiedy już będę, a ty zostaniesz tatusiem parki nieznośnych młodych Montoi, porównamy nasze spostrzeżenia i zobaczymy, czy butelki i zmienianie pieluch nie jest bardziej wyczerpujące niż sprzątanie kuwety i dwa spacery z Hershey na dzień.

- Umowa stoi - odparł i zachęcająco uniósł jedną brew. - Zacznijmy

pracować nad tym już dziś.

- Co? Mówisz o dziecku? - uśmiechnęła się Abby. - Chyba zupełnie ci odbiło.

- No, bo, tak sobie myślę... To chyba nie jest taki zły pomysł, żebyśmy... no, wiesz... - sugestywnie zniżył głos.

- Chcesz iść do łóżka, kiedy tylko dotrzemy do domu? Montoya zwolnił przed światłami i spojrzał na nią przeciągle.

- Myślałam, że masz zamiar wrócić dzisiaj do pracy. W jego oczach pojawił się diabelski błysk.

- Owszem, ale mógłbym zostać dodatkowe piętnaście minut.

- No, no - roześmiała się. - Szybki numerek. Uroczy pomysł.

Montoya skręcił, wjechał na podjazd przed budynkiem, który od pewnego czasu oboje nazywali domem, i zatrzymał samochód.

- Zamówimy pizzę.

- Bardzo romantycznie.

Montoya popatrzył na nią i zmrużył jedno okno.

- Będzie tak romantycznie, jak tylko zechcesz.

- Obiecanki cacanki, detektywie - odparła, sięgając do klamki. Zadzwońiła komórka Montoi, a on, jak zawsze, odebrał. Abby czuła, że pizza będzie musiała zaczekać. Wyszła z samochodu i zaczęła szukać w torebce kluczy, przechodząc obok starego zlewozmywaka i szafki, które zostały wyrzucone z kuchni pani Alexander i czekały na wywiezienie.

Wyjęła klucz i ruszyła spękaną betonową ścieżką do drzwi frontowych. Przez ich przeszkloną część, w słabym świetle pojedynczej lampy widziała szalejącą z radości Hershey. Podskakiwała energicznie, merdała ogonem i szczekała jak opętana.

- Już idę! Idę! Spokojnie!

- Stój! - krzyknął nagle Montoya głosem nabrzmiałym paniką. - Abby! Nie!

Zmartwiała.

Odwróciła się. Montoya wyskoczył z mustanga i ruszył biegiem przez niewielki trawnik przed domem. Jeszcze nigdy nie widziała na jego twarzy takiego przerażenia.

- Odejdź od domu! Odsuń się! Natychmiast! - wrzeszczał, a potem błyskawicznie chwycił ją za ramię i pociągnął za sobą w stronę ulicy. Upuściła klucze i potknęła się o krawężnik.

- Czyś ty oszalał?

Montoya tylko przyspieszył, ciągnąc ją za sobą przez ulicę. Abby wypadła z ręki torebka.

- Zaczekaj !

Odwrócił się i wbił wzrok w drzwi domu.

- Jakiś sukinsyn właśnie do mnie zadzwonił. Powiedział, że zostawił mi :dowód: tuż obok wejścia i, niech mnie diabli, coś tam rzeczywiście jest.

- Co?

- Przy samych drzwiach !

Abby spojrzała tam i serce na moment przestało jej bić. Tuż przy sta-rej huśtawce na ganku stały dwie małe skrzynki.

- Cholera! - Montoya rozejrzał się szybko dookoła.

- Nie rozumiem - wyjąkała. Nagle zrobiło jej się zimno.

Montoyę trudno było wyprowadzić z równowagi. Teraz jednak wydawał się bliski obłędu.

- To może być bomba, Abby. Jakiś świr, który coś do mnie ma, zdobył mój adres i numer telefonu. Może to ktoś, kogo posłałem za kratki, a on właśnie wyszedł na warunkowe...

- Ale Hershey...

Montoya, nie puszczając jej ramienia, sięgnął drugą ręką do kieszeni, wyjął komórkę i wystukał 911.

- Nikt nie zostawiłby bomby na ganku - powiedziała Abby, usiłując przekonać samą siebie. - Muszę wydostać stamtąd zwierzęta! Natychmiast!

- Nic im nie będzie - upierał się Montoya, ściskając jej ramię. Abby usłyszała dobiegający z telefonu głos operatora.

Montoya przedstawił się i zażądał przyjazdu grupy antyterrorystów pod swój dom. Potem rozłączył się i znowu uważnie rozejrzał.

- Ansel i Hershey są w domu - wyszeptala Abby zbielełymi wargami. Więc tak to jest, być w związku z policjantem.

- Nic im nie będzie - powtórzył Montoya, ale jego głos zdradzał wielkie napięcie i Abby zaczęła się zastanawiać, czy jej życie będzie jeszcze kiedykolwiek takie jak kiedyś.

Eve spała jak zabita.

Żadne telefony nie zakłóciły jej odpoczynku. Nikt nie zapukał do drzwi w środku nocy.

Wstała odświeżona, dręczący ją od kilku dni ból głowy ustąpił.

Przynajmniej na razie. Pościeliła łóżko, wzięła prysznic, nałożyła dyskretny makijaż i odrobinę żelu na włosy, i uznała, że może być.

Poza tym, kogo to teraz obchodzi?

Zjadła nawet śniadanie razem z Samsonem. On dostał trochę suchej karmy, a Eve zrobiła sobie kawę i kanapkę z kremowym serem. Nie były to szczególnie wykwintne dania, ale smakowały całkiem nieźle.

Już zaczynała się czuć niemal jak ktoś zupełnie normalny, kiedy dostrzegła Cole'a Dennisa - zmierzał właśnie do kuchennych drzwi.

- Co znowu? - mruknęła, ale serce zabiło jej szybciej, jak zawsze kiedy go widziała. - Masochistka - mruknęła.

Tym razem otworzyła drzwi, zanim zdążył do nich zapukać.

- Cóż to? Otwierasz bez rewolweru? - spytał, unosząc jedną brew.

- Jest wcześniej, Cole. Jeszcze wszystko przed tobą. Uśmiechnął się seksownie i Eve natychmiast pożałowała swoich słów.

- Nie o to mi chodziło i dobrze o tym wiesz.

- Kokietka.

- Tak, to cała ja - odparła, przewracając oczami. Ale uśmiech zniknął już z jego twarzy. - Domyślam się, że nie jesteś tu bez powodu?

Cole wszedł do kuchni, a Eve zamknęła za nim drzwi, starając się nie zwracać uwagi na zapach wody po goleniu, który przez chwilę unosił się w powietrzu. Nie pamiętała dokładnie, co się wydarzyło tamtej nocy, kiedy zginął Roy, doskonale natomiast pamiętała, co czuła, ilekroć usta Cole'a muskały jej policzek albo dotykały jej szyi. O tak, te intymne wspomnienia ciągle powracały.

- Pomyślałem, że chciałabyś to wiedzieć... Rzeczy twojego ojca są już w rękach policji.

- Oddałeś je? - spytała podejrzliwie.

- Dopilnowałem, by trafiły tam, gdzie trzeba. Zmrużyła oczy.

- Bardzo wymijająca odpowiedź, panie mecenasie. - Podeszła do blatu, na którym stał dzbanek z kawą, i patrzyła, jak Cole wygodnie sadowi się na krześle. - Napijesz się kawy? Czy raczej tego, co z niej zostało? — Podniosła szklane naczynie z resztkami ciemnego naparu.

- Bardzo chętnie. Dziękuję.

- Więc rozmawiałeś z tymi detektywami? - spytała.

Sięgnęła po filiżankę, obejrzała ją, wyplukała gorącą wodą, po czym wlała do niej kawę i włożyła ją do kuchenki mikrofalowej.

- Jeszcze nie, ale zrobię to wkrótce. Deeds przeciera mi szlak. Eve

nastawiła mikrofalówkę na jedną minutę.

- Nie ufam Deedsowi.

- Ty nikomu nie ufasz.

To ją zastanowiło. Chyba miał rację, ale przecież nie zawsze była taka cyniczna. Nie należała do naiwnych, jednak kiedyś, zanim związała się Cole'em, łatwiej było zdobyć jej zaufanie. Może teraz pamięć ją zawodziła, ale to akurat pamiętała.

- Deeds to dobry chłop.

- Skoro tak twierdzisz - powiedziała bez przekonania.

Deeds, typowy adwokat, wydawał jej się zawsze zbyt śliski w tym swoim eleganckim garniturze i drogich butach. Poza tym Yolinda Johnson uważała, że gdyby tylko miał okazję, nie zostawiłby na Eve suchej nitki. Nie, nie przepadała za nim.

Mikrofalówka brzęczała. Eve włożyła starą kuchenną rękawicę, wyjęła filiżankę i podała Cole'owi.

- Przepraszam, jest bardzo gorąca.

- Dzięki. - Podmuchał na kawę. - Co policjanci powiedzieli na te wycinki?

- Myślą, że ten, kto mi je podrzucił, mógł chcieć mi powiedzieć, że jestem zaginionym dzieckiem Faith Chastain.

- Co takiego? - Cole, który podnosił do ust filiżankę z kawą, zamarł.

Wyjaśniła mu to pokrótce. Wiedział, że była dzieckiem adoptowanym, tylko tyle.

- Nie sądzisz, że to trochę za daleko idące wnioski? Od kilku artykułów do zaginionej córki? - Upił łyk kawy. - To... to bardzo naciągane. Poza tym, kto mógłby o tym wiedzieć? Nie, według mnie to ma związek z morderstwem twojego taty i faktem, że Faith była pacjentką tego szpitala, kiedy on tam pracował.

- Są tylko dwa sposoby, żeby się dowiedzieć.

- Dwa sposoby? - spytał.

- Cóż, mogę siedzieć w domu i czekać na wyniki testu DNA albo pojechać do Naszej Pani i sprawdzić, czy jest tam ktoś, kto coś o tym wie.

- Szpital został zamknięty lata temu.

- Ale klasztor jest nadal otwarty i założę się, że niektóre z zakonnicy pracujących dawniej w szpitalu jeszcze żyją i tam mieszkają. - Podeszła do szuflady, w której schowała kopertę z kopiami wycinków. Cole

popijał kawę, a ona zaczęła je przeglądać. - Zobaczmy... O, tak. W tym tutaj - podała Cole'owi kartkę papieru - zacytowano siostrę Rebecę Starats, obecnie matkę przełożoną. Pamiętam ją ze szpitala.

Cole zmarszczył brwi i szybko przejrzał artykuł.

- Spróbuję z nią porozmawiać - oświadczyła Eve.

- Naprawdę wierzysz, że ona coś pamięta?

- Nie wiem, ale tego nie wykluczam.

Żeby nie być gołosłowną, sięgnęła po swoją komórkę, zadzwoniła do informacji i połączyła się z klasztorem. Sekretarka powiedziała jej, że matka przełożona będzie zajęta przez kilka dni, ale żeby zadzwoniła na początku przyszłego tygodnia, wtedy może uda się coś załatwić.

- A czy matka przełożona mogłaby do mnie oddzwonić? - Eve postanowiła nie dać się spławić.

- Oczywiście. Zazwyczaj odpowiada na telefony przed nieszporami, ale dzisiaj przez cały dzień ma spotkania. Zobaczę, czy będzie mogła zadzwonić do pani jutro.

- Byłoby wspaniale - odparła Eve i podała sekretarce swój numer, po czym rozczarowana odłożyła słuchawkę.

- Porażka?

- Nie wiem. - Zabębniła palcami w blat stołu. - Ale pewnie tak.

- Witaj w klubie.

- To znaczy?

- Niczego nie znalazłem w komputerze twojego ojca. Żadnych informacji.

- Chyba nie nadajemy się na detektywów. Cole dopił kawę i wstawił filiżankę do zlewu.

- Mów za siebie. Ja się nie poddam.

- Świetnie, a więc, Sherlocku, jaki będzie twój kolejny ruch?

- Kolejny ruch? A jak sądzisz, na co mam ochotę? - uśmiechnął się. Eve poczuła, że atmosfera między nimi się zmieniła, i nagle pożałowała, że była taka otwarta i że trochę z nim flirtowała.

- Chciałam tylko zapytać, co teraz planujesz.

- Nie wiem. Daj mi chwilę.

Spojrzeni sobie w oczy. Eve wstrzymała oddech. Och, wpadła jak śliwka w kompot.

Cole zrobił krok w jej stronę.

- Nie - powiedziała szybko.

- Ciągłe jest tak samo jak kiedyś, prawda, Eve?

- Nie. Nie pamiętam, jak było kiedyś.

- Oczywiście, że pamiętasz. Uniosła dłonie obronnym gestem.

- Nie... nie. Podeszedł jeszcze bliżej.

Nie spojrzy na niego, nie zrobi zupełnie nic, a jednak powoli podniosła wzrok.

- Tak - szepnął. A potem przyciągnął ją do siebie i zanim zdążyła zaprotestować, przycisnął wargi do jej ust.



## Rozdział 16

Ten pocałunek był błędem. Od razu to zrozumiał. Wiedział to, zanim jeszcze się stało, ale nie umiał się powstrzymać. Jej dotyk, jej przytulone do niego ciało, bicie jej serca, jej piersi, usta... na litość boską! Popenił kolosalny błąd. Kolosalny!

Ale od chwili, kiedy po raz ostatni ją przytulał, minęło tyle czasu... Teraz powoli ruszył do przodu, a ona cofała się tak długo, aż oparła się plecami o ścianę. Dotknął jej szyi i zabrakło mu tchu.

- Nie... nie możemy - wyszeptała, kiedy w końcu podniósł głowę.

- Uhm.

- Nie powinniśmy... To znaczy... nie wolno nam.

- Uhm.

Pocałował ją znowu i całkiem zatracił się w tym pocałunku. Eve zamknęła oczy i jęknęła cicho. Czuł jej napięte pod koszulką mięśnie. Zacisnął palce na jej ramionach, a potem przesunął dłonie w dół, aż do bioder, i dalej, pod pasek jej dżinsów.

Ogarnęła go fala gorąca.

Pożądanie dudniło mu w uszach.

Pamiętał, jak się z nią kochał. Pamiętał namiętność. Przekomarzanie się i jej niemal dziecięcy śmiech. Uwodzicielski, koci wdzięk. Zawsze była namiętna.

Pamiętał, jak wrócił kiedyś do domu i zastał ją czekającą na niego w łóżku, a kiedy rozebrał się, by do niej dołączyć, uciekła ze śmiechem pod prysznic. Złapał ją tam, rozgrzaną, w kabinie pełnej pary, uniósł lekko i oparł o kafelki, by się nią kochać... Pamiętał, jak poszli w góry i wystarczyło, by Eve odwróciła się i spojrzała na niego, mrużąc w słońcu oczy, z piersią poruszaną urywanym oddechem, z zachęcającym uśmiechem na ustach...

A teraz, w kuchni jej domu, pocałował ją i czuł reakcję jej ciała. Znajomą. Kuszącą. Podniecającą.

Wsunął palce w jej krótkie loki, odgiął lekko jej głowę do tyłu i dotknął wargami nasady jej szyi.

Wzbierała w nim pulsująca fala pożądania.

Znalazł guzik przy pasku jej spłowiałych dżinsów i odpiął go. Zamek błyskawiczny rozsunął się niemal natychmiast, a jego palce dotknęły jedwabnych majtek.

- O Boże... - Eve nagle otworzyła oczy. Zamrugnęła, a obejmujące jego szyję ramiona zeszywniały. - Cole... nie. Nie. - Odepchnęła go, patrząc na niego z przerażeniem. - Nie możemy tego zrobić! O Boże, o czym ja myślałam?

- Nie myślałaś.

- I ty też. - Zapięła spodnie i obciągnęła koszulkę. - Mowy nie ma. Nie mogę tego zrobić... po prostu nie mogę.

Cole przeczesał włosy palcami, usiłując zapanować nad swoim ciałem.

- Jeśli oczekujesz, że będę cię przepraszać...

Spojrzała na niego rozszerzonymi pożądaniami źrenicami. Na policzkach ciągle jeszcze miała rumieńce.

- Przepraszać? Nie. Na litość boską, nie obwiniam cię o to, co się stało. Nie zamierzam udawać oburzonej dziewicy. Wiesz o tym. Czuleś, jak zareagowałam... - Wzięła głęboki oddech. - Chciałam iść z tobą do łóżka, zatracić się, zapomnieć choć na chwilę o tym koszmarze, ale ze względu na sytuację... - Machnęła ręką i pokręciła głową.

- Ze względu na sytuację... no tak. - Musiał się z nią zgodzić, ale do diabła, tak bardzo jej pragnął. Jego głupie ciało zdawało się nie rozumieć, że nie będzie ciągu dalszego, odwrócił się więc i zaczął myśleć o czymś innym. O czymś złym i niebezpiecznym, co sprawiło, że się tu znalazł. - Całą ubiegłą noc to roztrząsałem. Cokolwiek się tu dzieje, jest to coś złego i oboje jesteśmy w to wplątani. Ktoś, nie mam pojęcia, kto to może być, postarał się, żebyśmy siedzieli w tym razem.

Eve przytaknęła, a potem wzięła na ręce kota, który właśnie wszedł do kuchni, i pogłaskała go po grzbiecie.

- Więc powinniśmy razem z tym walczyć.

- Jak? - zapytała, marszcząc brwi.

- Jeszcze nie wiem. Ktoś podrzucił ci wycinki na temat Faith Chastain. Ktoś jechał za tobą z Atlanty, żeby to zrobić. Ktoś zabił twojego ojca i ściągnął mnie na miejsce zbrodni. - Eve znowu przytaknęła. - Dlaczego akurat tamtego dnia postanowiłaś wyjechać z Atlanty?

- Cóż, był już najwyższy czas. Naprawdę za długo tam siedziałam. Poza tym między Kyle'em i Anną Marią nie układało się najlepiej i miałam wrażenie, że moja obecność tylko pogarsza sytuację.

- Więc to nie miało nic wspólnego z moim zwolnieniem?

- Nie, nie bezpośrednio. Owszem, wiedziałam, że masz niedługo wyjść, ale nie wiedziałam dokładnie kiedy.

- Zadzwoiłaś do ojca, żeby mu powiedzieć, że wracasz?

- Nie tamtego dnia. Zadzwoiłam do niego tydzień wcześniej, ale nie pamiętam, którego dnia. - Kot zaczął się wiercić w jej objęciach. Pozwoliła mu zeskoczyć na podłogę. Popędził do drzwi, miaucząc prze-  
rażliwie.

- Więc tylko twój brat i twoja bratowa wiedzieli, kiedy wyjedziesz?

- Nawet Kyle nie mógł być tego pewny, mówiłam dużo o powrocie, miałam spakowaną jedną torbę, ale akurat tego dnia, kiedy postanowiłam wyjechać, nie było go rano w domu. Anna powiedziała mi, że pojechał do sklepu.

- A przyjaciele i sąsiedzi? Zadzwoiłaś do kogoś, żeby poinformować o swoim powrocie?

- Nie, ale moja fizjoterapeutka Nita wiedziała, że wyjeżdżam. - Eve podeszła do drzwi przedsiionka i otworzyła je. Samson natychmiast wybiegł na dwór.

Cole popatrzył w bok, starając się nie myśleć o jej opiętych dzinsach. Wziął kuchenne krzesło, obrócił je i usiadł, obejmując rękami oparcie.

- Ktoś jeszcze? Eve zamknęła drzwi.

- Prawdopodobnie mój psychiatra, Calvin Byrd. - Przewróciła oczami. - Anna Maria mi go poleciła. Absolutny niewypał. Byłam u niego kilka razy, a potem przestałam chodzić. Zakomunikowałam mu, że znajdę sobie kogoś tutaj, na miejscu, jeśli uznam, że potrzebuję psychoterapii. Nie spodobało mu się to. Twierdził, że stosuję wyparcie, może i tak. - Wyplukała dzbanek i nalala wodę do ekspresu. - I chyba już nikt więcej. Niewykluczone jednak, że Anna komuś o tym powiedziała.

- Ktokolwiek podrzucił ci te wycinki, był przygotowany. Czekał. Widziałaś znowu tę furgonetkę?

Eve wyjęła z szafki kawę.

- Wydaje mi się, że tak, ale nie jestem pewna - przyznała. - Wczoraj, po tym, jak wyszłam z komisariatu, ale... Próbowałam go zajechać od tyłu i zobaczyć numer rejestracyjny, nie udało mi się jednak. Zgubiłam go. - Uśmiechnęła się z żalem i wysypała ziarna kawy do młynka. - To chyba ja nie zostanę nigdy Sherlockiem Holmesem.

Wcisnęła przycisk i głośny chrzęst mielonej kawy na chwilę

uniemożliwił im rozmowę.

- Nie rozumiem, o co chodzi - oznajmiła, kiedy hałas ucichł.

- Ja też nie. - Cole zamyślił się i potarł kark. - Zamierzam pogadać z policją. Może jeszcze dzisiaj. O ile Deedsowi uda się to zorganizować. Nie wiem, co się tu dzieje, Eve, ale ktoś postarał się, żebym był tamtej nocy w domu twojego ojca. Już czas, żebym powiedział prawdę.

- Dobrze. - Eve uśmiechnęła się z ulgą. - A co teraz?

- Mówiłem już, połączmy siły - odparł, podchodząc do niej. Eve właśnie wsypywała świeżo zmieloną kawę do papierowego filtra. - Nie podoba mi się, że ktoś za tobą jeździ, włamuje się do twojego samochodu...

- Mnie też się to nie podoba.

- Dlatego powinienem zamieszkać na razie tutaj.

- Nie! - Odwróciła się tak szybko, że trąciła łokciem ekspres i trochę wody chlapnęło na blat. - Chyba żartujesz? - Nie odpowiedział, więc zaśmiała się, chwyciła papierowy ręcznik i zaczęła wycierać wodę. - Na Boga, nie możesz tu mieszkać! Wydaje ci się, że co możesz zrobić, ochronić mnie? Zastanów się, Cole. Ja przecież oskarżyłam cię, że usiłowałeś mnie zabić.

- Ale nie wierzysz w to, prawda?

- Sama już nie wiem, w co wierzę!

- Eve...

- W porządku. Nie wierzę, że chciałeś mnie skrzywdzić. Chyba nigdy naprawdę tak nie myślałam, kiedy jednak wracam myślami do tamtej nocy i chcę się skoncentrować, widzę twoją twarz i rewolwer, z którego pada strzał. - Skończyła wycierać blat i wrzuciła zużyty ręcznik do kosza.

- Ale i tak nie możesz tu zostać. To wykluczone.

- Jeśli mamy razem przez to przejść, musimy wierzyć sobie nawzajem.

- Właśnie, nawzajem, panie mecenasie. - Eve skrzyżowała ręce na piersi. - Nie miałam romansu z nikim poza tobą - powiedziała stanowczo. - Ale policja twierdzi, że nie zostałam zgwałcona, kiedy straciłam przytomność, więc... - Wzruszyła ramionami. - Nie wiem. Nie pamiętam nikogo poza tobą, Cole. Kochałam cię, chciałam wyjść za ciebie i...

- Zmarszczyła brwi, wpatrując się w plamę na kafelkach. - Nigdy cię

nie zdradziłam. - Starła plamę, a potem podniosła głowę i spojrzała Cole'owi w oczy. - Przecież wiedziałabym, gdyby tak było, prawda?

Ta niepewność rozdarła mu serce. Nagle zapomniał o swoim gniewie i poczuciu zdrady, i zrozumiał, jak straszna jest dla niej utrata pamięci.

Ale Eve, jakby pod wpływem tego wyznania, znowu zamknęła się w sobie.

- Jeśli to ma się udać... Oboje musimy zacząć wszystko od nowa. Kiwnął głową, opierając się pragnieniu, by chwycić ją w objęcia.

- Wiem.

- Tu chodzi o zaufanie, a zdaje się, że żadnego z nas nie stać pod tym względem na zbyt wiele.

- Zdaje się też, że nie mamy wielkiego wyboru. Podała mu kubek z kawą.

- Więc zgoda.

- Zgoda.

Cole spojrzał na nią nad brzegiem kubka. Zawarli właśnie umowę, pakt, czy Eve zdawała sobie z tego w pełni sprawę, czy nie.

Byli razem!

Eve i jej kochanek.

Ze swojego punktu obserwacyjnego na terenie należącym do opuszczonego domu, którego ogród przylegał do ogródka Eve, doskonale widział jej kuchnię. Rzadko miał odwagę podchodzić tak blisko, tym razem jednak zaryzykował, bo przejeżdżając obok jej domu, zauważył starego dżipa. Samochód Dennisa.

Widział, jak Cole ją całował, jak napierał na nią, a ona, oczywiście, słabo się broniła.

Przygryzł nerwowo paznokiec. Przysięgłby, że nawet z tej odległości czuł ich zapach, odrażający odór spółkowania. Ogarnęły go mdłości. Eve księżniczka. Eve nierządnica.

Zmysłowa, uwodzicielska i niezwykle przebiegła.

Jak ona potrafi używać swojego kobiecego uroku!

A jednak pragnął jej.

Rozpaczliwie.

Boleśnie.

Niegrzeczna dziewczynka. Przed takimi jak ona ostrzegała go matka.

Kiedy zamykał oczy, słyszał głos matki tak wyraźnie, jakby stała tuż obok niego, pod gałęziami wierzby płaczącej.

***Nie wolno ci jej pragnąć! Ona jest nieczysta! To dziwka! Opętana przez diabła!***

Mama nie żyła od lat, ale on ciągle słyszał jej wyzwiska, ostrzeżenia i modlitwy... I jej szloch.

Miała cichy, miękki głos, który w pierwszej chwili sprawiał wrażenie miłego i troskliwego. Ale pod powierzchnią słodczy zawsze zdawało się czaić ostrzeżenie. Zdecydowane. Nagłace. Choć pokryte fałszywą życzliwością jak warstwą mdlącego lukru. Ten głos przenikał jego noce i dni, szarpał jego mózg.

- Kochanie, nigdy nie zbliżaj się do takich dziewcząt - upominała go często. W szkole, gdzie zakonnice chodziły w obszernych habitach, na podwórku, gdzie inne dzieci bawiły się i dokazywały, w samochodach, którymi jeździli. Przed oczami stanęła mu nagle scena z dzieciństwa.

Miał osiem lat, a ona ciągnęła go przez miasto na mszę do St. Louis Cathedral we French Quarter. Pamiętał, jak stał przed wielkim kościołem i czuł się w porównaniu z nim bardzo mały. Trzy białe wieże wznosiły się w bezchmurne letnie niebo. Obok przejeżdżały zaprzężone w konie wozy. Koła skrzypiały, kopyta stukwały o kamienie. Pod katedrą i na Jackson Square zbierali się ludzie.

Przyglądał się ubranej w żółtą sukienkę dziewczynce o kręconych włosach, przewiązanych żółtą kokardą. Dziewczynka szła ze swoją matką przez plac. Zatrzymały się przed pomnikiem Andrew Jacksona, spoglądającego na świat z wysokości swojego konia. Wtedy właśnie dziewczynka odwróciła się i przez ramię uśmiechnęła do niego. Brązowe loki zatańczyły wokół jej głowy.

Jego matka zauważyła to i rozpoznała w niewinnych brązowych oczach dziewczynki czyste zło.

- Trzymaj się od niej z daleka - warknęła, obracając go gwałtownie, tak by spojrzął jej w twarz, znów ponurą i zaciętą. — To jedna z nich - wysyczała mu do ucha. Poczul zapach jej perfum, słodki, duszący zapach, który prześladował go jeszcze wiele lat później. - Słyszysz mnie, synu? Ta dziewczyna będzie chciała nakłonić cię do rzeczy złych, nieczystych, zaprowadzi twą duszę prosto do piekła. One wszystkie są grzeszne. Och, wiem, wyglądają ładnie i niewinnie. Ale wszystkie są takie same. Nigdy, synu, nigdy im nie ufaj. Słyszysz? Są jak Ewa w rajskim ogrodzie. Zrodzone z grzechu pierworodnego. Rozumiesz to, prawda? Nigdy, nigdy nie wolno ci ich dotknąć. - Matka przesunęła się

trochę i jej wysoka postać zasłoniła słońce, rzucając na niego chłodny cień. Pochyliła się lekko i wpatrzyła w niego nieruchomymi bladoniebieskimi oczami. - Takie dziewczęta to wiedźmy, skarbie. Córki Lucyfera. Słyszysz? - Jej wąskie czerwone usta rozciągnęły się nagle w uśmiechu, a palce zacisnęły na jego ramieniu tak mocno, że poczuł wbijające się w skórę ostre paznokcie.

- T-tak, mamó - wyjąkał zawstydzony.

- Świetnie - odparła i pchnęła go w przeciwnym kierunku, ku oślepiająco białej katedrze.

Dziewczynka odwróciła się i poszła w drugą stronę. Dzwony biły, ludzie spacerowali i rozmawiali, przecnicę dalej ktoś grał na saksofonie. Sierpniowe słońce stało wysoko na niebie, jego promienie odbijały się od płyt chodnika.

- Nigdy o tym nie zapominaj. - Matka wyprostowała się, poprawiła kapelusz, zakryła woalką oczy i pociągnęła go do otwartych drzwi kościoła.

Teraz, wiele lat później, ciągle czuł ten palący wstyd. Z powodu Eve. Zawsze Eve.

Miał wielką ochotę zadzwonić do niej, ostrzec ją... przypomnieć jej... sprawić, by znowu poczuła zimny dreszcz przerażenia, który zmrozi jej grzeszną duszę.

Wszystko w swoim czasie, powiedział sobie i poszedł do nierzucającego się w oczy srebrnego sedana, którego zaparkował trzy przecznice dalej. Wszystko w swoim czasie.

Musi trzymać się planu.

Eve jest zakazana. To grzesznica. Ale pożądał jej, nie potrafił się oprzeć tej żądzy. Pragnął czuć pod sobą jej wijące się ciało, nogi oplecione wokół jego pasa, wiedział jednak, że może nigdy tego nie zaznać. Odgryzł kawałek paznokcia i wypluł go na chodnik. Wiedział też, nie miał co do tego cienia wątpliwości, że on i Eve zginą razem.

Już on się o to postara.

To właśnie jest ich przeznaczeniem.

Montoya zapalił, zaciągnął się głęboko, a potem zmiął paczkę marlboro w dłoni i cisnął ją do kosza na śmieci. Kupił papierosy poprzedniego dnia i wypalił dwa. Ten będzie ostatni. Koniec palenia.

Przynajmniej na razie.

Sprawa Rennera dała mu w kość tak bardzo, że pomoc mogła tylko

nikotyna.

Zatrzymał się przed schodami i zaciągnął jeszcze raz.

- Hej, myślałem, że rzuciłeś. - Brinkman, największy bałwan pod słońcem, toczył się ku wejściu od strony pobliskiego parkingu. Jako detektyw był całkiem niezły, pod każdym innym względem jednak strasznie upierdliwy. Wytykał innym słabości albo pozwalał sobie na nieprzyjemne uwagi. Taki nieprzystosowany społecznie typ. Teraz wskazał na tłący się jeszcze niedopałek papierosa w ręce Montoi.

- Rzuciłem. - Montoya upuścił niedopałek na chodnik, przygniótł go obcasem i zaczął wchodzić po schodach.

Brinkman ruszył za nim. Zapuścił włosy - zakrywały mu uszy - pewnie po to, by zrekompensować brak owłosienia na czubku głowy. Ciągłe walczył z nadwagą i wchodząc po schodach, dyszał ciężko.

- Słyszałem o alarmie bombowym u ciebie. Montoya otworzył drzwi i nie odpowiedział.

- Ale okazało się, że to nic takiego?

Ktoś podrzucił dowód w sprawie Rennera. Jego laptop.

- Tak po prostu zostawił ci go na ganku?

- Facet zadzwonił do mnie i powiedział, co zostawił, ale mu nie ufałem. - Montoya uznał, że Brinkmanowi nie należą się dalsze wyjaśnienia.

- Kto to był?

- Nie mam pojęcia. Pewnie ten sam dupek, który zgłosił morderstwo.

- Sprawca?

- Może.

Brinkman zatrzymał się przed windami. Montoya wbiegł po schodach na drugie piętro, przeskakując po dwa stopnie naraz. Tam poszedł do kuchni, zadowolony, że pozbył się Brinkmana. Nalał sobie kawy i patrzył, jak Lynn Zaroster, młoda, rezolutna policjantka, kładzie na blacie torebkę ze słodzikiem. Była w tym oddziale trochę ponad dwa lata i miała już mniej idealistyczne nastawienie do pracy niż na samym początku. Rozerwała torebkę i wrzuciła dwie miniaturowe tabletki słodzika do dużego kubka z parującą kawą.

- To cię zabije - powiedział Montoya.

- Naprawdę? - Uniosła jedną brew z rozbawieniem, dmuchając na kawę. - Zanim ty umrzesz na raka płuc czy później?

- On już rzucił palenie - odezwał się Brinkman. Wtoczył się do kuch-



ni, uśmiechając się zgryźliwie.

Drań. Jezu, czy tego faceta nigdy nie przeniosą? Dlaczego nie wysła go do Kansas City, Sacramento czy Nowego Jorku? Byle gdzie?

- Uwierzę, jak zobaczę - oświadczyła Zaroster.

Brinkman mruknął coś pod nosem i wziął do ręki szklany dzbanek, w którym na dnie zostało już tylko trochę fusów.

- Wiesz, jak się to obsługuje? - spytał Montoyę, choć oczy miał wlepione w zgrabny tyłek Zaroster, która poruszała biodrami nieco bardziej niż zwykle, pewnie po to właśnie, żeby go wkurzyć.

- Wiem, ale ty też wiesz - odparł Montoya. Postawa :nie-potrafię-bo-to-takie-babskie-zajęcie: zupełnie na niego nie działała. Otworzył szatkę, wyjął jedną z małych paczuszek kawy i rzucił ją Brinkmanowi. - Powodzenia.

Brinkman błyskawicznie wyciągnął rękę i złapał paczkę w powietrzu. Był szybki, choć na takiego nie wyglądał.

Nie czekając, aż Brinkman zacznie znowu narzekać, Montoya wyszedł z kuchni i poszedł do gabinetu Bentza. Jego partner siedział nad aktami oznaczonymi napisem :Royal Kajak:. Na biurku leżały zdjęcia z miejsca zbrodni, notatki i wyniki analiz laboratoryjnych. Na ekranie komputera też widniały zdjęcia ofiary, wnętrza chaty i jej otoczenia.

Bentz podniósł głowę.

- Słyszałem, że miałaś bombę na ganku.

- Dobre wiadomości szybko się rozchodzą.

- Laptop Rennera?

- Zgadza się. Jeszcze mu się nie przyjrzałem. Zajmę się tym, kiedy technicy zrobią swoje. - Montoya odsunął stopą jedno z krzeseł i usiadł naprzeciw Bentza.

- Kto go tam zostawił?

- Facet, który zadzwonił i powiedział, że laptop i walizeczka czekają na moim ganku, nie przedstawił się, ale myślę, że obie te rzeczy były w domu Rennera, a ten, kto zgłosił morderstwo, zabrał je stamtąd i dał nogę.

- Dlaczego? - Bentz przeczesał włosy wciąż wilgotne po porannym prysznicu.

- Nie wiem.

- Świadek?

- Możliwe, ale w takim razie dlaczego nie chce się ujawnić?

- A jeśli to sprawca?

- Dzwonił z automatu telefonicznego i coś mi mówi, że kiedy dowiemy się, gdzie jest ten automat, nic nam to nie da.

- To może być sprawca.

Przez chwilę rozważali tę teorię, choć właściwie żaden w nią nie wierzył. Po co sprawca miałby oddawać dowody policji?

- Popatrz na to. - Bentz podniósł kilka kartek i podał je Montoi.

- Analiza toksykologiczna. Rennera. Jeszcze niekompletna, ale już interesująca.

- Poziom alkoholu we krwi bardzo wysoki - mruknął Montoya, przeglądając dokument. - Leki? Alprazolam? Środek uspokajający?

- Hm. Nazwa handlowa Xanax.

- Popił go alkoholem?

- Kiepska kombinacja.

- Był psychiatrą, sam mógł to sobie przepisać. Bentz kiwnął głową.

- Ale w domu nie znaleźliśmy tego leku. Sprawdziłem bardzo dokładnie. Nic.

- Może zużył już wszystko.

- W śmieciach nie było opakowania. Montoya w zamyśleniu podrapał się po czole.

- Więc doktor był nieprzytomny, kiedy ktoś go zaatakował?

- Uhm. Tak wynika z analiz. Sprawdzili butelkę... Whisky została zmieszana z xanaksem.

- Myślisz, że zabójca zrobił to celowo, żeby ułatwić sobie zadanie?

- Na to wygląda.

- I nie było włamania.

- Właśnie.

- Więc był gościem?

- Na stoliku stała tylko jedna szklanka. Nie ma żadnych dowodów na to, że Renner kogokolwiek podejmował.

Montoya wskazał palcem poprzedni raport.

- Analiza toksykologiczna Kajaka nie wykazała obecności leków, prawda? Ani alkoholu?

Bentz rzucił mu raport.

- Ani śladu antydepresantów, a przecież facet od lat był pod opieką psychiatry.

- Myślisz więc, że nasz zabójca przechodzi ewolucję?
  - Może. - Bentz przez chwilę patrzył na upiorne zdjęcie Roya Kajaka.
  - Nie wiem. Federalni już do mnie dzwonili - zmarszczył brwi. - Uważają, że te dwie sprawy mogą być powiązane, więc mamy seryjnego na wolności.
  - No to będziemy mieli na głowie jeszcze FBI.
  - Na to wygląda - przytaknął Bentz.
  - Służby specjalne?
  - Niewykluczone. Sporządziłem już listę wszystkich, którzy znali Rennera. Oczywiście sąsiedzi nic nie słyszeli.
  - Ci, którzy są najbliżej, zawsze najmniej wiedzą.
  - No tak, ale można by się spodziewać, że ktoś zauważył samochód na podjeździe, słyszał kłótnię, cokolwiek... A tu nic. Próbuję skontaktować się z jego synami. Na razie żaden nie oddzwonił.
  - Naprawdę? - Montoya nie krył zdziwienia. - Mnie udało się dodzwonić do żony Kyle'a Rennera, Anny Marii. Była zdenerwowana, ale nie potrafiła mi powiedzieć, gdzie jest jej mąż. Mówiła tylko, że w pracy.
  - Słabe.
  - Bardzo. A jeśli chodzi o osobę, która ostatnio widziała Rennera żywego, to mógł to być ekspedient w monopolowym; on sprzedał mu butelkę Jacka Danielsa.
  - Nowa butelka? Bentz kiwnął głową.
  - Zgadza się. Kupiona koło czwartej trzydzieści po południu. Otwarta później.
  - Żadnych odcisków palców?
  - Żadnych, których nie powinno na niej być.
  - Jak w chacie Kajaka.
  - Właśnie.
- Montoya zmarszczył brwi.
- Wiesz, Eve Renner tkwi w tym po uszy.
  - Powiedz mi coś, czego jeszcze nie wiem. - Bentz założył ręce za głowę i poruszył zeszywniała szyją.
  - Chciałbym. - Montoya upił łyk kawy, patrząc na zdjęcia. Napisane krwią na ścianach liczby i tatuaże na ciałach ofiar. Nie miał pojęcia, co mogą oznaczać te numery. 212. 101.
- Czy mają istotne znaczenie?

Czy są tylko żartem zabójcy, fałszywym tropem? Czas pokaże.

## Rozdział 17

Eve zamknęła drzwi na klucz i patrzyła przez okno na Cole'a, który szedł przez zarośnięty chwastami ogródek do swojego dżipa. Widziała, jak układa się koszula na jego szerokich ramionach, a spłowiełe dzinsy opadają nisko na biodra. Pamiętała to ciało, nagie i silne, twarde mięśnie pośladków, długie, mocne nogi, plecy... O Boże, dałaby wiele, by móc jeszcze raz przesunąć palcem w dół jego kręgosłupa. Jeden ruch jej dłoni i jego oczy gwałtownie ciemniały, usta zaczynały gorączkowo szukać jej ust, muskularne ramiona obejmowały ją mocno, a nogi miękko, lecz stanowczo rozsuwały jej kolana... chyba że wcześniej ułożył ją brzuchu, by wejść w nią od tyłu.

Zadrżała i dotknęła dłonią warg.

Co ten człowiek potrafi z nią zrobić!

Widziała, jak otworzył drzwi samochodu. Wsiadł i włożył okulary przeciwsłoneczne.

Pomyślała o pocałunku w kuchni i o tym, jak niewiele brakowało, by stało się coś więcej. Pomyślała o seksie, który ich kiedyś łączył i mógłby znowu połączyć. Wszystko to sprawiło, że zaschło jej w ustach. To przecież idiotyczne! Co ona sobie właściwie wyobrażała, kiedy pozwoliła mu się całować?

Niezbyt mądrze, Eve, skarciła się w duchu, choć zdołała już przecież przekonać samą siebie, że to, co zapamiętała z tamtej nocy, kiedy zginął Roy, było nie tylko niedokładne, lecz całkowicie fałszywe. Cole nigdy nie chciałby jej zabić. Oczywiście, że nie. Jakiś szczegół umknął jej pamięci. Na pewno.

Ciągle jeszcze patrzyła na niego, kiedy zatrzasnął drzwi, opuścił szybę w oknie i jakby czując na sobie jej wzrok, nagle spojrzął na nią. Cholera. Miała wrażenie, że, rozbawiony, uśmiechnął się kącikiem ust. A jej głupie serce natychmiast zabiło mocniej.

- To tylko facet - powiedziała do Samsona, który wskoczył na krzesło, a potem na kuchenny blat, jakby wiedział, że tym razem go stamtąd nie zrzuci.

Czuła jednak, że okłamuje samą siebie.

Cole Dennis nie jest po prostu jeszcze jednym facetem. Tym gorzej dla niej.

Zdegustowana własną słabością, wyciągnęła rękę, by zepchnąć

Samsona z blatu, ale on był szybszy. Zdażyła tylko musnąć dłonią jego grzbiet, kiedy zeskakiwał na podłogę. Wylądował miękko na zniszczonym linoleum i pobiegł, kładąc uszy po sobie, w głąb korytarza. Eve odwróciła się i zobaczyła jeszcze tylne światła samochodu Cole'a, kiedy zwalniał przed zakretem. Miała bzika na jego punkcie. To uczucie zawsze było problemem.

- Jeden z wielu - dodała, wbiegając na schody.

Nie zatrzymała się na drugim piętrze, wspięła się aż na wieżyczkę, a tam podeszła prosto do starego sekretarzyka, w którym wiele lat temu chowała swoje skarby jej babka.

Babka dała sekretarzyk Eve, a ona, zachwycona, szybko zapełniła jego zamykaną na klucz część swoimi drobiazgami. Jeszcze teraz, po tylu latach, miała ten mały kluczyk i bez trudu go znalazła.

Włożyła go do dziurki, przekręciła i opuściła górną część, która mogła służyć za blat biurka.

Wewnątrz znajdowały się maleńkie szuflady i półeczki na znaczki, papier listowy, pióra i lak. W otworze przeznaczonym na koperty były dwie tylne ścianki. Za pierwszą znajdowała się ukryta szufladka - otwierała się po naciśnięciu we właściwym miejscu. Mała Eve chowała w niej swoje najbardziej sekretne skarby, teraz jednak była tam tylko skórzana sakiewka, a w niej trzy klucze, które dawno temu dał jej ojciec. Eve miała nadzieję, że te klucze otworzą pewne bardzo stare drzwi.

W końcu co ryzykuje?

Nie może siedzieć w domu i nic nie robić. Pogładziła palcami gładką, pociemniałą skórę i wsunęła klucze do kieszeni.

Siostra Rebecca nie oddzwoniła, więc Eve postanowiła do niej pójść. Matka przełożona była zajęta, oczywiście, miała dużo pracy i tak dalej. Ale, do diabła, dwoje ludzi bliskich Eve zginęło - dwoje ludzi, którzy mieli powiązania ze Szpitalem Naszej Pani od Cnót. No i jeszcze sprawa ciąży Faith Chastain. Jeśli urodziła dziecko w szpitalu, powinien zostać po tym jakiś dokument, prawda? Eve zadzwoniła do kilku urzędów, ale niczego się nie dowiedziała, więc zaczęła szukać w Internecie. Znowu na próżno. Jeśli Faith Chastain wydała na świat trzecie dziecko, najwyraźniej nie został po nim żaden ślad.

W akcie urodzenia Eve jej biologiczni rodzice figurowali jako :nieznani:. Zgodnie z historią opowiedzianą jej w dzieciństwie, wkrótce

po narodzinach została podrzucona do działającego przy klasztorze Naszej Pani od Cnót sierocińca. Ktoś wspomniał o tym w szpitalu i doktor Renner pojawił się w sierocińcu, by zbadać dziecko. Ponieważ od pewnego czasu wraz z żoną rozważali adopcję, załatwili niezbędne formalności przez miejscowego prawnika, który - jak dowiedziała się Eve - zmarł kilka lat później. Dokumenty związane z prowadzonymi przez niego sprawami były zamknięte w jakiejś skrytce, a jego siostrzeniec i jedyny spadkobierca nie widział powodu, by je udostępniać. Eve nie dysponowała nakazem sądowym, więc nic nie mogła na to poradzić.

Czas rozpocząć poszukiwania na własną rękę.

Może coś się znajdzie, pomyślała, i zeszła do kuchni. Otworzyła jedną z szuflad przy tylnych drzwiach i wyjęła z niej dużą, ciężką latarkę. Włączyła ją, a latarka, o dziwo, zaświeciła słabym, ale widocznym światłem.

- Wystarczy - mruknęła Eve.

Znalazła stary, zakurzony plecak i włożyła do niego latarkę oraz kilka zapomnianych rzeczy dziadka: rolkę taśmy izolującej, rękawice i mały ręcznik.

Chwilę później wyszła z domu.

Przesłuchanie na policji nie należy do przyjemności.

Deeds wszystko zaaranżował, a Cole odegrał swoją rolę. Przyznał się, że był w domu Rennera tej nocy, kiedy doktor zginął, że znalazł jego ciało i zadzwonił na policję. Wyraził nadzieję, że nagranie rozmowy telefonicznej potwierdzi jego zeznania, przyznał też, że popełnił błąd, nie przedstawiając się i nie czekając na przyjazd policji. Powiedział, że to on zabrał walizeczkę z laptopem. Policjanci mieli ochotę od razu zakuć go w kajdanki, ale Deeds zdołał ich uspokoić, przypominając, że Cole zgłosił się sam, choć może byłoby dla niego lepiej, gdyby trzymał język za zębami.

Montoya się wściekł, oskarżył Cole'a o kradzież dowodów i utrudnianie śledztwa. Deeds zaproponował, by technicy sprawdzili laptop, i wyraził przekonanie, że jeśli znają się na rzeczy, na pewno stwierdzą, że w komputerze nie wprowadzono żadnych zmian i że nic nie zostało z niego usunięte.

W końcu, choć motywy jego postępowania wydawały im się mocno podejrzane, policjanci chyba uwierzyli, że Cole nie zabił Rennera - albo

nie znaleźli wystarczającego powodu, by go zatrzymać. A najprawdopodobniej po prostu nie chcieli znowu aresztować nie tego faceta, co trzeba, i wyjść na idiotów przed mediami.

W czasie całego przesłuchania Cole był bardzo zdenerwowany, ale starał się tego nie pokazywać. Siedział na twardym krześle w małym, dusznym pokoiku naprzeciw przyglądającego mu się podejrzliwie Montoi i Bentza, który bez przerwy stukał ołówkiem w blat stołu. Montoya, ten bałwan w skórzanej kurtce i z kolczykiem w uchu, wyraźnie rwał się do bitki; miał to wypisane na twarzy, napiętej i gniewnej. Cedził pytania, żując gumę, którą międził w ustach tak zażarcie, jakby zależało od tego jego życie. Żyły nabrzmiały mu po obu stronach szyi i ciągle zaciskał w pięść jedną dłoń. Wyluzowany to on nie był.

Ten starszy, Bentz, działał wolniej, spokojniej i bardziej metodycznie, ale Cole czuł, że on także ma wielką ochotę wsadzić go za morderstwo Rennera. Nie prowadzili jednak z nim żadnej gry, nie bawili się w :dobrego policjanta - złego policjanta:, jak to czasem pokazują w telewizji. Byli po prostu parą pewnych siebie, zdeterminowanych detektywów.

- Złamał pan warunki zwolnienia za kaucją - powiedział Montoya, pychając zaciśniętą w pięść dłoń do kieszeni.

Deeds pokręcił głową.

- Zarzuty wycofano. Kaucja nie jest problemem.

- Pozostaje jednak kwestia marihuany, którą znaleziono w pańskim samochodzie - odezwał się Bentz.

Deeds spojrział na niego znad okularów, głęboko zawiedziony.

- Wszyscy wiemy, o co chodziło. I staramy się rozwikłać całą sprawę. Mój klient został wrobiony. - Montoya otworzył usta, ale Deeds uniósł dłoń. - W innym miejscu, w innym czasie, detektywie. Mój klient przyszedł tu dziś dobrowolnie. Nie popełnił żadnego przestępstwa, więc jeśli nie ma więcej pytań, pożegnamy panów.

- Kradzież jest przestępstwem - ripostował Montoya, choć wiedział, że to żadne oskarżenie, biorąc pod uwagę, że laptop znalazł się już w posiadaniu policji. Bentz spojrział na niego ostrzegawczo. Montoya opanował się i powiedział chłodno: - Być może będziemy mieli więcej pytań, Dennis. Jeszcze nie wiadomo, czy się z tego wywiniesz.

Deeds wstał.



- Kiedy będziecie mieli jakieś podstawy, żeby go oskarżyć, dajcie mi znać.

Cole odsunął się od stołu. Metalowe nogi krzesła zazgrzytały po starej, wyłożonej kafelkami podłodze. Odpowiedział na pytania, przedstawił swoją historię - nic więcej nie mógł zrobić. Przesiedział kilka godzin w dusznym pomieszczeniu, wiedząc, że każde jego słowo jest nagrywane, a każdy gest rejestrowany przez policjantów stojących po drugiej stronie lustra weneckiego. Z trudem to zniósł.

Kristi Bentz czuła, że zwymiotuje, jeśli będzie musiała odebrać kolejny telefon od jeszcze jednego idioty, domagającego się odszkodowania z tytułu opłaconego wcześniej ubezpieczenia. Miała już serdecznie dość słuchania o zgniecionych zderzakach, rozbitych szybach i wygiętych osiach i udawania, że bardzo ją to interesuje, podczas gdy klient pieklił się z powodu jakiegoś :bałwana:, który prawie :wjechał mu w dupę:, albo :kretyna:, który nie miał pojęcia o prowadzeniu samochodu.

Siedziała przed monitorem komputera z wyświetloną listą wszystkich produktów firmy Gulf Auto and Life i rozmawiała przez telefon z matką piętnastolatka, który mimo braku prawa jazdy jeździł rodzinnym minivanem i w końcu wpadł do rowu. Kobieta miała nadzieję, że Gulf Auto and Life zapłaci jej odszkodowanie za samochód, który nadawał się już tylko do kasacji.

Kristi skierowała tę kobietę do agenta i zapewniła ją, że skontaktuje się też z prawnikiem, ale okazało się, że to za mało. Klientka/Matka Imbecyla chciała, by Kristi obiecała jej odszkodowanie.

Święta Mario, Matko Boża.

- Pani Osgoode zadzwoni do pani - powiedziała i wreszcie mogła się rozłączyć, ale przed wyjściem do domu czekało ją jeszcze kilka godzin wypełniania różnych papierków.

Do domu.

Czyli do niewielkiej kawalerki w University District, umeblowanej używanymi sprzętami, które kupiła w komisach. Mieszkanie było przytulne, choć Kristi nie tak wyobrażała sobie swoje otoczenie po ukończeniu studiów. Praca, którą teraz wykonywała, także nie była szczytem jej aspiracji.

Na pewno nie.

Zwłaszcza że tyle fascynujących spraw, tyle prawdziwych historii

mogła opisać. Przecież sporo wiedziała o kilku zabójstwach dokonanych w tych stronach. W dodatku najbardziej interesującego z nich, morderstwa Terrence'a Rennera, dokonano niemal pod samym jej nosem, a wszyscy podejrzani w tej sprawie mieli powiązania z tym upiornym starym szpitalem psychiatrycznym tak blisko miasta. Czyż to nie idealny temat?

Co z tego, że ojciec nie chce, by się tym zajmowała?

Może poszperać w tym trochę na własną rękę, sama zebrać informacje. Pisząc do magazynów kryminalnych i żyjąc bardzo, bardzo, bardzo oszczędnie, Kristi zdołała odłożyć dość pieniędzy, by rzucić tę robotę. Mogłaby pracować wieczorami jako barmanka albo kelnerka, a w dzień prowadzić swoje małe dochodzenie i pisać książkę.

Właściwie nie miała życia towarzyskiego.

No to co?

Już dawno przestała zawracać sobie głowę chodzeniem z chłopakami. Ten, z którym spotykała się w szkole średniej, który zamierzał zostać farmerem i ożenić się z nią, w końcu poszedł na studia, a później jeszcze zrobił doktorat z kryminologii. Teraz pracował już w laboratorium kryminologicznym. Stało się. Drugi, za którym szalała w college'u, okazał się dwulicowym draniem i marnie skończył. Od tego czasu spotykała się z facetami tylko niezobowiązująco i sporadycznie spędzała weekendy z przyjaciółmi.

Zadzwoił telefon. Kristi jęknęła przeciągle.

Nie, to nie do zniesienia. Mała przestrzeń, oddzielona od innych stanowisk pracy dyktą, była ciasna i duszna, a Kristi czuła, że nie ma nic wspólnego ze swoimi kolegami. Stopień naukowy z literatury angielskiej do niczego jej się tu dotąd nie przydał. Mogłaby wykonywać tę robotę, nawet gdyby zakończyła edukację na szkole podstawowej.

Rzuci to zajęcie.

Już wkrótce.

Może jeszcze tego popołudnia, jak wróci szef.

Historia morderstwa Terrence'a Rennera mogła stać się prawdziwym bestsellerem. Jeśli ona o tym nie napisze, zrobi to ktoś inny. Postanowiła, że do tego nie dopuści. Zabójstwo Rennera, zwłaszcza jeśli łączyło się z zabójstwem Roya Kajaka, to temat dla niej!

Telefon znów zadzwonił i tym razem Kristi podniosła słuchawkę.

Uśmiechnęła się z przymusem i powiedziała pogodnie:

- Gulf Auto and Life. Mówi Kristi. W czym mogę pomóc?

- Cześć, Diego, widzę, że masz towarzystwo - mruknął Brinkman, mijając biurko Montoi. - Czy nie tego imienia używasz, ilekroć w pobliżu znajduje się jakaś gorąca kobietka?

- Odczep się, Brinkman. - Montoya podniósł wzrok i zobaczył Abby, szła właśnie do biura. Miała zaciśnięte zęby, a na pobludłej twarzy wyraźniej widać było piegi. Szła szybko, klucząc między biurkami.

- Pomyślałam, że chciałbyś to zobaczyć - powiedziała bez żadnego wstępu, po czym sięgnęła do torebki i wyjęła z niej kopertę.

Montoya ostrożnie wziął ją do ręki, otworzył i wytrząsnął zawartość. W środku było czarno-białe zdjęcie Szpitala Naszej Pani od Cnót wraz z negatywem.

- Zrobiłam je jakiś czas temu, kiedy próbowaliśmy ustalić, co się stało z moją matką. Zapomniałam, że ten film został w aparacie, a dzisiaj w końcu go wywołałam.

Montoya patrzył na zdjęcie, usiłując zrozumieć, co wydało jej się tak ważne, że postanowiła przyjść z tym na komisariat.

- Spójrz. - Wskazała okno na trzecim piętrze, okno, z którego przed dwudziestoma laty wypadła jej matka. - Widzisz ten cień?

Montoya zmarszczył brwi i przysunął fotografię do lampy na biurku. Dostrzegł tylko ledwo widoczną, ciemną smugę.

- To człowiek. Podniósł na nią wzrok.

- Jesteś pewna?

- Tak. Popatrz na to przez szkło powiększające. - Znowu sięgnęła do torebki, wyciągnęła lupę i podała mu.

Montoya przeszedł na drugą stronę biurka, usiadł i pochylił się nad zdjęciem, jak jubiler szukający skaz na brylancie.

- A niech mnie. - Rzeczywiście, w oknie majaczyła czyjaś sylwetka.

- To nie on - powiedziała.

Montoya wiedział, że mówi o zabójcy, który sterroryzował Nowy Orlean ubiegłej jesieni; o mordercy, który zabijał swoje ofiary parami i był blisko związany ze starym szpitalem.

- Więc kto?

- Właśnie.

- Myślisz, że ten facet może mieć coś wspólnego z tym, co się teraz dzieje?

- Nie wiem, ale to możliwe. - Abby postukała palcem w zdjęcie. - Tam nikogo nie powinno być. Szpital był już wtedy zamknięty. A jednak ktoś tam był, wyraźnie to widać.

- Może ogrodnik.

- Jasne - zakpiła.

Oboje wiedzieli, że wówczas w Naszej Pani od Cnót jako ogrodnik pracował Du Loc, a mimo że zdjęcie było nieostre, widniejąca na nim postać w niczym go nie przypominała. Montoya przyjrzał się sylwetce stojącego w oknie mężczyzny przez szkło powiększające i musiał przyznać Abby rację.

To na pewno nie Du Loc.

Ale czy zabójca Rennera?

Może. A może ktoś, kto coś wiedział.

Montoya skrzywił się lekko. Zastanawiał się, czy nie gonią cienia. Ponieważ jednak w sprawie nie było żadnych innych tropów, nie mógł niczego przeoczyć, bez względu na to, jak wydumane czy naciągane mogło się to wydawać.

- Sprawdzę. Może chłopcom z technicznego uda się trochę to zdjęcie podostrzyć. Pamiętasz, kiedy dokładnie je zrobiłaś?

- Nie, dokładnie nie, ale było to kilka dni przed tym, jak złapaliście tego faceta.

- To wystarczy. Na razie. Abby pochyliła się nad biurkiem.

- Rozmawiałam z Giną. O Eve.

- Tak?

- Chciałabym ją poznać. Gina też, ale na razie nie może się ruszyć ze Seattle. Nie może nigdzie wyjechać i jest naprawdę wkurzona. Więc zostają tylko ja.

Montoya niczego nie potrafił jej odmówić - chyba że dotyczyło to spraw policji.

- Ta kobieta jest w to zamieszana. Toczy się dochodzenie. Lepiej poczekać, aż dowiemy się, co jest grane, i będziemy mieli podejrzanego za kratkami.

Abby przekrzywiła głowę, spojrzała na niego i wysunęła brodę. Masz kłopoty, chłopie, pomyślał.

- Detektywie, nie chodzi o to, że w ciebie nie wierzę, ale może minąć wiele tygodni albo nawet miesięcy, zanim zamkniesz tę sprawę. A ja chciałabym poznać tę kobietę teraz.

Chciał zaprotestować, lecz Abby tylko machnęła ręką, ucinając dyskusję.

- Wiem, że potrafiłbyś zamknąć to o wiele szybciej, może się jednak zdarzyć, że to wszystko bardzo się przeciągnie albo, nie daj Boże, zabójca nigdy nie zostanie ujęty. Więc sądzę, że mam prawo poznać osobę, która może być moją przyrodnią siostrą, już teraz.

- Zaczekaj przynajmniej, aż dostaniemy wyniki badań DNA.

- A kiedy to będzie? Dziś po południu? Jutro? Albo za kilka tygodni? Zresztą to bez znaczenia. Nie zamierzam zaszkodzić śledztwu, chcę tylko poznać Eve. - Abby odsunęła się od biurka i wstała. - Spójrz na to z innej strony. To może przynieść nawet pozytywne efekty. Domyślałam się, że Eve przydałaby się teraz siostra.

- Ona już ma dwóch braci.

- To co innego.

Montoya pokręcił głową. Bracia Eve... Coś mu się nie podobało. Byli nieuchwytni, nie odpowiadali na telefony, nawet jeśli to policja chciała się z nimi skontaktować. Obaj, Kyle i Van Rennerowie, mieli też kłopoty finansowe. Z wyciągów bankowych wynikało, że ich karty kredytowe są maksymalnie obciążone, a Kyle miał trzy oddzielne hipoteki na dom. Van wynajmował mieszkanie, ale już kilka razy przenosił się z jednego miasta do drugiego, uciekając przed wierzycielami. Firma windykacyjna deptała mu po piętach.

A jeśli Abby ma rację? Eve Renner może naprawdę potrzebować teraz kogoś, komu mogłaby zaufać. Westchnął ciężko.

- W porządku. Zorganizuję to.

- Chyba będzie lepiej, jeśli sama to zrobię. Wiesz, :żadnej policji:.

- Nie bardzo mi się to podoba. Ktoś morduje bliskich Eve Renner...

- Nic mi nie będzie, detektywie - przerwała mu. - Poza tym mam dużego, silnego narzeczonego, którego mogę wezwać, jeśli wpadnę w kłopoty.

- Tak, i nigdy o tym nie zapominaj.

- Jasne. - Mrugnęła do niego i uśmiechnęła się szelmowsko, a Montoi serce zaczęło bić szybciej. Cholernica ! Doskonale wiedziała, jak na niego działa, i umiała to wykorzystać.

- Jesteś moją dłużniczką.

- Uhm... Spróbuję coś wymyślić, żeby ci się zrewanżować. - Pocałowała go w policzek, wyszeptła kilka namiętnych słów do jego

ucha, a potem ruszyła w stronę drzwi z miną tak niewinną, jakby wychodziła ze szkółki niedzielnej.

- Szatan, nie kobieta - mruknął na tyle głośno, by mogła usłyszeć.

- Tak, to właśnie ja, kotku! - odrzyknęła jeszcze przez ramię.

Montoya wrócił na swój fotel i spojrzał na zdjęcie starego szpitala. Czy to możliwe? Czy mężczyzna stojący w oknie może być zabójcą Roya Kajaka i Terrence'a Rennera, i czy to on podłożył Eve wycinki z gazet?

Niemożliwe.

Byłby to nieprawdopodobny zbieg okoliczności. A jednak...

Czyż morderca Faith Chastain go nie ostrzegł? To dopiero początek. J

Te słowa zmroziły Montoyę.

## Rozdział 18

- Przykro mi, ale sądziłam, że o tym wspomniałam - powiedziała sekretarka. - Matka przełożona jest dziś bardzo zajęta. Przekazałam jej pani wiadomość i jestem pewna, że wkrótce się z panią skontaktuje. - Była ubrana w białą bluzkę i czarną spódnicę, na palcu miała obrączkę, a na szyi krzyżyk na cienkim złotym łańcuszku. Siwe, o lekko błękitnym odcieniu włosy ułożyła w loczki nad uszami, w których nosiła małe, złote krzyżyki. Posłała Eve niebiańsko spokojny uśmiech. Na plakietce przypiętej do jej piersi widniało nazwisko Miller.

- Pomyślałam, że może znajdzie dla mnie chwilę czasu - odparła Eve. Dziwnie się czuła, stojąc w klasztorным westybulu ubrana w dżinsy i podkoszulek. Chciała jednak najpierw spróbować załatwić swoje sprawy w normalny, konwencjonalny sposób.

Niestety, ta droga chyba prowadziła donikąd.

Pani Miller na pierwszy rzut oka mogła przywołać na myśl raczej małego łagodnego pudelka niż psa obronnego, ale przyparta do muru była jak mastif.

- Proszę powiedzieć matce przełożonej, że to bardzo ważne - poprosiła Eve i jeszcze raz podała swój adres i numer telefonu.

Wyszła z cichego, mrocznego holu na parking, gdzie jej mała toyota pławiła się w popołudniowym słońcu. Usiadła za kierownicą i nagle zauważyła, że ktoś obserwuje ją z okna na drugim piętrze. Siostra Rebecca? A może jakaś inna zakonnica przystanąła na chwilę przy oknie, by spojrzeć na wypiełgnowane klasztorne trawniki? W szybach odbijały się promienie słońca, Eve nie mogła więc rozpoznać rysów twarzy ani nawet płci tej osoby. Założyła, że ten, kto przebywa na terenie klasztoru, musi być kobietą, która wstąpiła do zakonu, wpatrując się jednak w błyszczącą szybę, nie była już tego taka pewna.

Nie, żeby to miało znaczenie.

Wiedziała, co musi zrobić.

Najpierw włamać się do starego szpitala.

- Świetnie - mruknęła do siebie.

Nigdy nigdzie się nie włamała i na pewno nie chciała, by ktoś ją na czymś takim przyłapał. Nie miała pojęcia, jak wytłumaczyłaby się z tego na policji.

Więc nie daj się przyłapać.

Wyjechała z parkingu i oddaliła się trochę od klasztoru, a później, tam, gdzie droga się rozwidlała, skrzyła w stronę starego szpitala, a nie autostrady do Nowego Orleanu.

Mimo że tereny klasztoru i szpitala przylegały do siebie, były oddzielone wysokim parkanem, który otaczał dwie grupy budynków. Były w nim furtki, rzecz jasna, a Eve doskonale wiedziała, gdzie ich szukać, spędziła tu przecież wiele lat. Musiała jednak być bardzo ostrożna. Nie chciała, by ktoś zobaczył, jak ignoruje znaki z napisem :Zakaz wstępu:, umieszczone wzdłuż ogrodzenia.

Zwolniła przed szpitalem i zauważyła, że wielka brama z kutego żelaza jest zamknięta. Za nią znajdował się podjazd prowadzący do szpitalnych zabudowań. Ogród, o który nikt już teraz się nie troszczył, był bardzo zapuszczony. Z pęknięć w betonie wyrastały trawa i chwasty.

Eve zadrżała lekko na widok zaniedbanych trawników i zabitych deskami okien. Wiele lat temu było tu zupełnie inaczej.

Pojechała dalej drogą wzdłuż ogrodzenia, aż dotarła do cmentarza. Tu nie było bramy, tylko łuk z kutego żelaza, układający się w słowa: :Cmentarz Naszej Pani od Cnót:. Po obu jego stronach stały rzeźby, kiedyś białe, teraz poszarzałe i brudne. Jedna przedstawiała świętego Piotra, druga Jezusa, a sam łuk był tak szeroki, że mogła pod nim przejechać spora furgonetka.

Eve wjechała na cmentarz i zaparkowała na wysypanym żwirem pasie ziemi przed grobowcami rodzinnymi. Tu, inaczej niż w Nowym Orleanie, teren był bardziej stabilny, a woda nie podchodziła wysoko, można więc było chować zmarłych w ziemi. Eve zostawiła samochód pod drzewem.

Szła między grobami, czując się tak nieswojo jak wtedy, kiedy chodziła tędy jako dziecko. Spędziła na tym cmentarzu wiele godzin w towarzystwie Roya, oglądała stare nagrobki, czytała wryte na nich słowa i rozmyślała o tych, którzy tu spoczywali. Roy zaproponował nawet kiedyś, żeby spróbowali dostać się do jednego z grobów i zobaczyć rozkładające się ciało nieboszczyka, ale oczywiście nigdy tego nie zrobili. Eve była pewna, że Roy wpadł na ten pomysł tylko po to, żeby ją nastraszyć.

W lasku za cmentarzem rosły sosny i cyprysy; kiedyś, dawno temu, były tam ścieżki wydeptane przez sarny. Kto wie, czy te stare zwierzęce



szlaki jeszcze istnieją?

- Pora to sprawdzić - powiedziała do siebie Eve, wróciła do samochodu, wzięła plecak i ruszyła w stronę tej części parkanu, która oddzielała cmentarz od terenu szpitala. Na skraju lasu weszła w kępę sosen i przestraszyła dzikiego królika, który, spłoszony, umknął spod jej stóp. Przez gałęzie drzew przeświecało słońce, ale było tu chłodniej, a las wydawał się dziwnie cichy i nieruchomy, jakby nie przenikał tam najłżejszy nawet powiew wiatru. Eve nie zatrzymała się ani na minutę. To była jej misja, misja, którą podjęła po miesiącach wahań i wypierania prawdy. W końcu przestała być ofiarą. W końcu postanowiła coś zrobić, zamiast czekać, aż ktoś inny znajdzie odpowiedzi na jej pytania. Odgarnęła pajęczyny, znalazła zarośniętą ścieżkę i poszła nią wzdłuż ogrodzenia, przez krzewy i niskie trawy.

Usłyszała dziecięcia - stukał gdzieś niedaleko - a potem zatrzymała się gwałtownie na widok czarnego węża, który wygrzewał się na stercie płaskich głazów pod parkanem. Syknął i zniknął w szczelinie między kamieniami.

Wąż się w garść, pomyślała. Te węże nie są jadowite, a ten był w dodatku mały. Mimo to serce biło jej szybciej, a kiedy znalazła miejsce, w którym kiedyś wraz z Royem przechodziła przez parkan, sprawdziła dokładnie, czy na kamieniach i gałęziach drzew nie ma żadnych węży. Potem wspięła się po metalowym łańcuchu i uchwyciła zwisającej gałęzi, by przeskoczyć nad zwiniętym jak sprężyna drutem kolczastym w górnej części parkanu. Jako dziecko była zwinna i silna; teraz zadanie okazało się dla niej trudniejsze. Przypomniała sobie słowa fizjoterapeutki Nity :Pamiętaj, wróciłaś do zdrowia w osiemdziesięciu pięciu procentach, i bardzo dobrze, ale musisz regularnie ćwiczyć i nie wolno ci się forsować:.

Za późno, pomyślała, podciągając się na gałęzi. Ramię paliło ją żywym ogniem, wdrapała się jednak wyżej, a kiedy znalazła się po drugiej stronie ogrodzenia, zeskoczyła na ziemię; jej nogi i kręgosłup przeszył ostry ból. Na szczęście szybko minął. Po chwili Eve szła już starą ścieżką prowadzącą wśród zarośli na tyły szpitala i parking dla personelu i dostawców. Jej ojciec miał na nim swoje miejsce, w którym stawiał małą sportową carmację. Eve była pewna, że gdyby bardzo się postarała, mogłaby jeszcze zobaczyć resztki białych linii wymalowanych kiedyś na asfalcie.

Minęło tyle czasu, pomyślała, patrząc na stary szpital po raz pierwszy od wielu lat. Główny budynek z czerwonej cegły, o stromym dachu, wznosił się na wysokość trzech pięter. Po obu jego stronach od parteru aż do najwyższych okien prowadziły stare metalowe schody przeciwpożarowe. Rynny, powyginane i przeżarte rdzą, odstawały gdzieś od ścian, choć kamienne maszkarony niewzruszenie trzymały się muru. Część dachówek, obluzowanych przez wichury i deszcze, spadła na zaniebane trawniki. Kiedyś wypielegnowane klomby pyszniły się tu wielobarwnymi kwiatami, a w oczkach wodnych unosiły się białe lilie o gładkich, płaskich liściach. Teraz w zarośniętych chwastami, wybetonowanych zagłębieniach zbierała się tylko deszczówka.

Po drugiej stronie parkingu stały jeszcze garaże i stare szopy, ale ich dachy zapadały się już powoli, ściany pochylały się ku ziemi, a okna, które nie zostały zabite deskami, miały wybite szyby i wypaczone futryny.

Wszystko to wyglądało okropnie.

Ogólne wrażenie zniszczenia i rozkładu potęgowało coś jeszcze, jakaś bezbrzeżna rozpacz, zdająca się przenikać te obrośnięte dzikim winem mury.

Och, na litość boską, przestań dramatyzować! Po prostu zrób to, co masz zrobić.

Cały czas jednak prześladowało ją to uczucie. Nie dość, że bezprawnie wtargnęła na teren szpitala, to jeszcze myślała, że byłoby lepiej, gdyby nie budziła z uśpienia duchów tego miejsca.

- Och, dałabyś już spokój - skarciła się głośno.

Był biały dzień, a ona chciała tylko wejść do środka, rozejrzeć się trochę, sprawdzić, czy nie ma tu gdzieś jakiegoś zamkniętego archiwum z dokumentami. Uznała, że wszystko to zajmie jej niecałą godzinę, powinna więc wynieść się stąd na długo przed zapadnięciem zmroku.

Zaczęła od tylnych drzwi, prowadzących do kuchni, ale żaden z jej kluczy nie pasował do zamka.

- Świetnie - mruknęła.

Nie mogła otworzyć tych drzwi, okrążyła więc budynek i podeszła do drzwi bocznych, pod schodami pożarowymi. Niestety, do nich także nie pasował żaden z kluczy ojca.

- Drugie podejście - powiedziała sobie, czując jak popołudniowe

słońce grzeje jej kark i plecy.

Zatrzymała się na szerokiej werandzie, na której kiedyś stały stoliki pod parasolami. Niesprawnych pacjentów przywożono tam na wózkach. Były też donice w kwiatami i leżaki dla tych, którzy mieli ochotę po-grzać się trochę w słońcu. Teraz w splekanej betonowej posadzce rosły chwasty, a pod wysokim krzewem magnolii leżało zardzewiałe ogrodowe krzesło.

Gdyby zamknęła oczy, mogłaby znowu zobaczyć pacjentów siedzących w swoich wózkach, zakonnice krzątające się między nimi i pielęgniarki opiekujące się grupą młodszych chorych, którzy obserwowali Eve i Roya. Jak też nazywał się ten chłopiec... Rick... albo Ralph czy Ron... Boże, nie mogła sobie przypomnieć jego i imienia, choć wiedziała, że nigdy nie zapomni tej zaciętej, gniewnej twarzy i płonących niebieskich oczu, które zdawały się wypalać dziurę w jej plecach, ilekroć obok niego przechodziła.

Jeszcze teraz na myśl o tym poczuła, jak podnoszą jej się włosy na karku. Otrząsnęła się i zajęła tym, po co tu przyszła.

Zerwał się wiatr. Gorący jak oddech szatana, nie ukoił jej umysłu ani nie ochłodził ciała. Pobiegła do frontowego wejścia po zarośniętej wysokiej trawą ścieżce. Pamiętała, jak kiedyś szła tędy z ojcem, usiłując dotrzymać mu kroku i zwrócić na siebie jego uwagę. Bez skutku. Tu zatrzymywał się tylko po to, by zamienić parę słów z pielęgniarkami, zakonnice, a czasem z pacjentem.

*Pielęgniarki białe,  
Zakonnice czarne,*

***Żadna nie zna Jacka, Życie mają marne...***

Głos Roya zabrzmiał w jej głowie tak nagle, że omal się nie potknęła. Jak często szeptał jej do ucha te właśnie słowa? Był to jeden z jego wierszyków o szpitalu. Przypomniła sobie też inny, ***Odę do klasztoru.***

***Dom z czerwonej cegły, w środku grozą wieje.***

***Kitle i habity, co się tutaj dzieje?***

***Cnotliwa zgrzeszyła, kur wieczorem pieje.***

***Bóg swą twarz odwrócił, Lucyfer się śmieje...***

Poetyckie próby Roya były amatorskie i okrutne, ale jeszcze teraz jego rymowanki dźwięczały wyraźnie w jej pamięci. Przyspieszyła, minęła róg budynku i znalazła się przed jego frontową ścianą. Na

środku szerokiego, łukowato wygiętego podjazdu stała kamienna fontanna, teraz w ruinie.

Eve weszła po szerokich marmurowych schodach i zatrzymała się przed drzwiami.

A jeśli wszystkie zamki zostały wymienione?

Co wtedy?

Naprawdę chcesz dosłownie włamać się do szpitala?

Włożyła do zamka pierwszy klucz.

Nic.

Drugi też nie pasował.

- Do trzech razy sztuka - szepnęła i wsunęła w zamek trzeci. Ale on także nie chciał się obrócić.

- Świetnie. - Wyjęła klucz, czując, jak pot spływa jej po twarzy i plecach. Czego się spodziewała? Powinna dać sobie z tym spokój. Ze szpitala na pewno już dawno wszystko wyniesiono, była tam też policja i technicy... Co mogło się jeszcze ostać?

Nic. Wracaj do domu. Zapomnij o tym. Co ty właściwie tutaj robisz? To tylko niezbyt przyjemna podróż w krainę wspomnień.

A jednak okrążyła budynek, starając się nie zniszczyć gniazda os, a kiedy wyszła zza ostatniego rogu, zatrzymała się zaskoczona. Schody pożarowe zostały obniżone.

Dziwne.

Czy ktoś o nich zapomniał i tak je zostawił?

Zauważyła kawałek żółtego plastiku na stopniu. To oderwany fragment policyjnej taśmy, jaką zwykle otacza się miejsca, w których popełniono przestępstwo, pomyślała. Powoli podniosła głowę. Metalowe schody miały podesty przy każdym oknie. Na pierwszym piętrze okna zabito deskami, na drugim nie.

Można tam wejść?

Był tylko jeden sposób, by się o tym przekonać.

Poprawiła plecak, chwyciła poręcz i podciągnęła się do góry. Ramię natychmiast przeszył nieznosny ból, wiedziała jednak, że jeśli teraz odpuści, nie znajdzie w sobie dość sił, by spróbować jeszcze raz. Zaciśnęła zęby i starając się nie myśleć o słabnących z każdą chwilą mięśniach, zaczęła się podciągać coraz wyżej.

W głowie jej huczało, po plecach ściekał pot. Kilka razy pytała samą siebie, czy policja, która uważa ją za trochę stukniętą, przypadkiem nie

ma racji. Ale powoli przesuwała się w górę. Zaciskając zęby, dotarła wreszcie do podestu na drugim piętrze, podniosła się i stała przez chwilę, z trudem łapiąc powietrze.

Rozejrzała się dookoła, spodziewając się, że zaraz pojawi się dozorca albo zakonnica i każe jej zejść. Ale zobaczyła tylko kukułkę na gałęzi rosnącego w pobliżu drzewa.

Panowała absolutna cisza, tylko wiatr szeleścił w gałęziach.

Spokój.

Niemal podejrzany spokój.

Eve postanowiła nie zwracać na to uwagi. Spróbowała otworzyć okno, nie dała jednak rady.

Niezrażona, weszła jeszcze raz na chwiejne schodki i wspięła się na trzecie piętro.

Tutaj okno, choć do połowy zabite deskami, było półotwarte. Wyglądało to jak zaproszenie.

Eve przełknęła ślinę. To przywidzenie, nic tylko przywidzenie. Ale kiedy chwyciła framugę, spodziewając się skrzywienia i oporu, okno gładko odchyliło się do góry, jakby ktoś je naoliwił.

Nawet o tym nie myśl, powiedziała sobie, wchodząc do ciemnego, cichego wnętrza.

Mimo dostępu powietrza w środku unosił się zapach stęchlizny. Wszystko pokrywała gruba warstwa kurzu, ze ścian odpadała farba i tapety.

Eve zeszła na dół, mijając dobrze zachowany witraż z wizerunkiem Madonny na półpiętrze. Przesunęła dłonią po gładkiej poręczy, tak jak wtedy, kiedy była dzieckiem. Postanowiła, że zacznie poszukiwania od parteru, choć wiedziała, że z tej części szpitala wyniesiono wszystko ubiegłej jesieni, gdy policja schwytała tam seryjnego zabójcę.

A stało się to z powodu Faith Chastain, kobiety, która być może była twoją biologiczną matką.

Na dole było ciemno i prawie zupełnie pusto. Przez zabite deskami okna i połamane okiennice wpadało tam niewiele światła. Wielki stary zegar, który stał kiedyś w holu i wygrywał kuranty, zniknął, pozostał jednak długi blat oddzielający recepcję od biur.

Przypomniało jej się, jak kiedyś wyglądał ten hol. Pełen pielęgniarek, pacjentów i ich zatroskanych rodzin. I wszechobecnych zakonnic. Teraz było tu mroczno i ponuro, a powietrze pachniało kurzem i wilgocią.

Eve nagle poczuła się jak w grobie.

Przestań. To tylko stary budynek. Nic tu nie straszy. Na zewnątrz jest jasno. Ciepło. Weź się w garść.

Włączyła latarkę i ruszyła przez labirynt korytarzy. Minęła pokoje, kiedyś zajmowane przez sekretarkę, dwie pielęgniarki, matkę przełożoną i księdza. Ich nazwiska zniknęły już z drzwi, ale zostało kilka spłowiałych numerów. Przypomniała sobie szepty, które dobywały się zza tych drzwi, rozmowy i dyskusje, zapach środków dezynfekcyjnych i lizolu. Zaskrzypiała podłoga. Po chwili Eve znalazła się w pokoju numer 1, gabinecie ojca, niewielkim pomieszczeniu bez okien. Światło wpadało tam z korytarza przez szybę nad drzwiami.

Pokój był pusty, na podłodze zobaczyła tylko ślady w miejscach, w których kiedyś stały biurko, szafka i biblioteczka, a na brudnych ścianach -jaśniejsze prostokąty po wiszących tu dawniej obrazach.

Teraz, poza pająkami, które tkwały się w rogu pod sufitem, nikt tu już nie bywał.

Ale czego mogła się spodziewać?

Wyobraziła sobie ojca siedzącego za szerokim biurkiem, pochylonego nad jakimś medycznym magazynem albo kartą pacjenta, przy niskiej, biurkowej lampie. Na ścianie za jego plecami wisiały dumnie dyplomy oprawione w ramki. Na biblioteczce stała podwójna ramka ze zdjęciem Eve i jej matki, a obok portret rodzinny - jedyna fotografia, na której byli też jej bracia.

A teraz jej ojciec nie żyje.

Został zamordowany.

Jak Faith Chastain.

Jak Roy Kajak.

Oszpecony tatuażem.

Na myśl o tym dostała gęziej skórki. Szybko przeszukała resztę pomieszczeń na parterze, oświetliła latarką kąty świetlicy, jadalni i kuchni, po czym spróbowała otworzyć drzwi do suterenu.

Były zamknięte.

Do nich także nie pasował żaden z jej kluczy. To chyba dobrze. Nie bardzo miała ochotę wchodzić do ciemnych, zimnych podziemi. Od czasu, kiedy bracia dla kawału zamknęli ją w piwnicy domu ich ciotki na wsi i zostawili ją tam na trzy godziny, cierpiała na łagodną formę klaustrofobii. Miała wtedy pięć lat, przeżyła prawdziwy szok. Nigdy już

nie czuła się dobrze w ciemnych, zamkniętych miejscach pod ziemią. Przez wiele miesięcy spała przy włączonym świetle, a w nocy często dręczyły ją koszmary - widziała wpatrzona w siebie w ciemności oczy albo pająki o wielkich kłach. Budziła się z krzykiem, zaalarmowana matka zazwyczaj do niej przychodziła, kładła się obok niej w łóżku, uspokajała ją szeptem i tuliła do siebie, kołyszając do snu.

Tak, mili chłopcy z tych moich braci, pomyślała, wracając na schody. Weszła na piętro - znów puste pokoje, puste łazienki, puste szafy. Podłogi i ściany brudne, zniszczone i poznaczone jaśniejszymi śladami po meblach i obrazach.

Na trzecim piętrze podeszła od razu do drzwi pokoju numer 307, pamiętała, że należał do Faith Chastain. Różnił się nieco od innych pokoi, miał wyższy sufit, kominek i wysokie, łukowate okno... Z tego okna wypadła. Na ścianach były ślady po obrazach i jak wydało się Eve, po krucyfiksie.

Czy tu mieszkała jej matka?

Przygryzła wargę i usiłowała przypomnieć sobie Faith. Ale potrafiła przywołać tylko kilka mglistych wspomnień drobnej kobiety o intrygujących, złotych oczach, która w chwilach jasności umysłu uśmiechała się tajemniczo.

Eve cofnęła się, by nie nastąpić na dużą ciemną plamę na środku podłogi. To ślad po krwi?

Wyobraźnia cię ponosi. To ciemne, ponure miejsce tak na ciebie wpływa.

Poszła dalej korytarzem, mijając inne pokoje. Zajrzała do każdego, oświetlając wnętrza latarką, ale wszystkie były puste. W brudnych łazienkach i prysznicach roiło się od robactwa.

Na końcu korytarza stała pusta bielizniarka, a naprzeciw niej szafa z drzwiami w tylnej ścianie. Były zamknięte, ale tym razem jeden z kluczy jej ojca wszedł gładko w zamek. Przekręciła go i drzwi otworzyły się na kręte schodki prowadzące w górę, dookoła komina, na długi wąski strych o podłodze z nieheblowanych desek.

W dzieciństwie to była jej kryjówka. Wraz z Royem zakradali się tu po tych krętych, wąskich schodach, wymyślali niestworzone historie, podglądali pacjentów i lekarzy. Teraz zrobiło jej się wstyd na myśl o tym, że przez szpary w podłodze obserwowali to, co działo się w pokojach.

Także w pokoju Faith Chastain.

Roy spędził wiele godzin, zanim ustalił, który pokój widać przez konkretną szparę. Teraz Eve szła powoli przez strych, pochylając głowę pod belkami stropowymi, zrywając pajęczyny. W końcu słaby snop światła latarki padł na numer 307, wypisany flamastrem obok szpary i pokryty kurzem.

Przez małe wykuszowe okienka wpadał wiatr, ale nie przynosił ulgi w upale.

Strych był bardziej niesamowity, niż go zapamiętała. Wydawało jej się, że jeśli tylko zamknie oczy, usłyszy znowu ciche jęki i szloch udreżonych pacjentów.

Ile razy ona i Roy zaglądali przez tę szparę do pokoju Faith Chastain? Teraz, oczywiście, czuła się zażenowana, kiedy o tym myślała. Jak mogła być tak niedelikatna, ciekawska, tak okropnie wścibska?

- Wybacz mi - szepnęła, ale nie potrafiła oprzeć się pokusie, by jeszcze raz spojrzeć w dół przez otwór, który powstał, gdy w pokoju montowano górne oświetlenie. Jej wzrok padł na ciemną plamę na podłodze.

A potem przez środek pokoju przemknął jakiś cień. Zamarła.

Przecież w tym opuszczonym budynku nie ma nikogo poza nią. Prawda?

Ogarnęła ją panika.

To tylko cień, gra światła. To nie znaczy, że ktoś tam jest. Ale z trudem przełknęła ślinę. Nasłuchiwała. Zamrugęła. Cień zniknął. Przywidziało jej się?

Światło z okna... no pewnie... W niektórych oknach były jeszcze szyby, a gałąź drzewa, poruszona wiatrem, mogła na moment zasłonić słońce... Wiał wiatr, słyszała go przed chwilą... Ale teraz ucichł. Panowała absolutna cisza.

Czekała.

Cień już się nie pojawił.

Nie usłyszała też niczyjego oddechu ani kroków, ani głosu... Może tylko wyobraziła sobie ten cień, który przemknął nagle przez pokój Faith Chastain.

Ale na całym ciele miała gęsią skórkę, a serce biło jej szybko.

Rób, co masz do zrobienia, a potem zmiataj stąd!

Minęła szybko stertę starych szpitalnych łóżek, szuflad, tac na leki i



Bóg wie, czego jeszcze, i podeszła do metalowej wysokiej szafki. Stare dokumenty. Dawno zapomniane. Znowu wyciągnęła klucze ojca, wybrała najmniejszy z nich i otworzyła szatkę.

Były w niej karty chorób i inne dokumenty, pokryte kurzem i zalatujące stęchlizną, jakby pochodziły sprzed stu lat. Eve wiedziała, że nie są aż tak stare, zostały jednak sporządzone w czasach, kiedy wszystkie informacje spisywano ręcznie albo na maszynie, a nie na komputerze.

Była ciekawa, czy są tu też dokumenty Roya. W końcu przebywał tu również jako pacjent, jeśli nawet było to zaledwie kilka miesięcy tuż przed zamknięciem szpitala. Co za ironia losu, pomyślała. Możliwe, że Roya także ktoś podglądał przez szpary w podłodze strychu, kiedy on sam przeżywał załamanie nerwowe.

Ale papiery w tej szafce były znacznie starsze. Znalazła wśród nich teczkę z napisem :Chastain, Faith:.

- O Boże - szepnęła, otwierając zakurzoną szarą kopertę.

Była gruba i ciężka, pełna notatek, analiz i wyników badań. Za dużo tego, by mogła przejrzeć wszystko na miejscu. Włożyła ją więc do plecaka, starając się nie myśleć o tym, że teraz jest już winna nie tylko wtargnięcia na cudzy teren, lecz także kradzieży.

Trudno.

Jeśli jest córką Faith, ma prawo poznać te informacje. A jeśli okaże się, że jednak nie jest z nią spokrewniona, może przynajmniej zrozumie, dlaczego ktoś łączy ją z tą kobietą i z tym szpitalem. I dlaczego Roy i jej ojciec zostali zamordowani.

Przejrzała szybko pozostałe akta i zauważyła tam kilka nazwisk, które obudziły wspomnienia. Rich Carver... och, to ten dziwny chłopiec, który nigdy się nie odzywał. Patrzył tylko, uśmiechając się lekko do siebie, a kiedy odwracał wzrok, jego twarz przybierała demoniczny wyraz... Enid Walcott, szczupła panienka o rozwichrzonych włosach i dzikim spojrzeniu... Merwin Anderson, potężny mężczyzna: siedział godzinami przy oknie, obserwując karmnik dla ptaków... John Stokes, agresywny chłopiec, stale nafaszerowany środkami uspokajającymi... po szpitalu krążyły plotki, że zabił swoją kuzynkę... Ronnie Le Mars. Zmarszczyła brwi. Tak właśnie nazywał się chłopak, który zawsze jej się przyglądał. Zadrżała na wspomnienie jego lodowatych niebieskich oczu. Z jakiego powodu

trafił do szpitala? Chyba chodziło o samookaleczenie... a może pomyliła go z Johnem Stokesem? Może to Ronnie zamordował kogoś ze swojej rodziny? Przeglądała dalej kartotekę. Neva St. James - to nazwisko też pamiętała - bystra, zdolna dziewczynka, którą ciotka oddała do szpitala z powodu jakiejś formy autyzmu.

Akta były fascynujące i na pewno przydałyby jej się do badań, nie mogła ich jednak zabrać ze sobą, przynajmniej nie teraz. Zamknęła więc szybko szafkę i ruszyła w stronę schodów. Pochyliła się lekko, by nie uderzyć o coś głową, i oświetlała kątę latarką.

I w jej słabym świetle nagle zobaczyła lalkę.

Swoją lalkę. Nie widziała jej od prawie dwudziestu lat.

- Słodki Jezu - szepnęła, znów kierując snop światła w stronę kąta, w którym przy małym brudnym okienku leżał stary, spłowieły śpiwór. W tym kącie często bawiła się jako dziecko. Nieraz udawało jej się wyprosić od kucharek talerzyki i sztucce, a także kawałek ciasta albo trochę herbatników. Przynosiła swoje łupy tutaj. Prawie zapomniała o tym kącie i o lalce, Charlotte.

Teraz lalka leżała twarzą do dołu na brudnym, nadgryzionym gdzieniegdzie przez myszy śpiworze. Coś tu było nie tak.

Nie pamiętała, żeby zostawiła Charlotte tutaj, a bywała tu jeszcze wiele razy po tym, jak straciła zainteresowanie gałgankowymi lalkami. Charlotte uszyła i wypchała babcia. Babcia też ubrała ją w niebieską sukienkę i fartuszek, zaplotła jej włosy w dwa warkocze i włożyła na głowę kapelusik - i tak lalka przypominała małą dziewczynkę z przełomu wieków.

Teraz Eve zauważyła, że kapelusz leży obok Charlotte, podobnie jak warkocze, które odcięto tak, że okrągła głowa wydawała się niemal łysa. Ręce i nogi lalki były szeroko rozłożone, a spódnica podciągnięta wysoko i umocowana gumką. Majtki zostały zsunięte aż do zamyszonych bucików. Różowa pupa była wypięta w jakiejś dziwnej pozie.

- To chore - szepnęła Eve, wiedząc, że na pewno by jej takiej nie zostawiła. Poza Charlotte budziła seksualne skojarzenia. Takie rzeczy robią psychopaci. Nagle ogarnęły ją mdłości. I strach. Na strychu było gorąco i duszno, ale jej nagle zrobiło się zimno.

Kto się tu bawił i zostawił tak Charlotte? Jeden z tych zaburzonych psychicznie chłopców, pacjentów tego szpitala wiele lat temu?

Czy ktoś nie całkiem zdrowy na umyśle postanowił zażartować w taki makabryczny sposób?

Nie, Eve, to nie przypadek.

Wiesz o tym.

Ktoś przyniósł tu tę lalkę i ułożył ją w takiej pozycji celowo. I chciał, by ktoś, najprawdopodobniej ty, ją znalazł.

Zaschło jej w ustach. Opanowała jednak przerażenie, podeszła powoli do śpiwora, podniosła lalkę, odwróciła ją twarzą do góry...

I zamarła. Miała wrażenie, że krew ścięła jej się w żyłach.

Krzyk uwiązał jej w gardle.

Wykonane z guziczków oczy Charlotte zostały wydłubane, a fartuszek pocięty krawieckimi nożycami. Na brzuchu napisano czerwonym tuszem: :444:.

Pod numerem było tylko jedno słowo. :Eve:.

## Rozdział 19

Eve upuściła lalkę, jakby sparzyła się w palce.

- O Boże, Boże, Boże... - wydusiła, cofając się w stronę schodów. Kto mógł zrobić coś takiego? W jakim chorym umyśle mógł powstać...

Nagle zadzwoniła jej komórka i serce Eve omal nie stanęło. Zaczęła gorączkowo grzebać w plecaku. Wyjęła telefon - na ekranie nie pojawiła się żadna informacja. Numer zastrzeżony.

Cholera!

Telefon zadzwonił drugi raz. Eve stała jak sparaliżowana. Wyłączyć go?

Nie odbieraj!

Nacisnęła jednak klawisz.

Podniosła telefon do ucha, ale się nie odezwała.

- On jesssst wolnyyy...

Zatrzasnęła klapy telefonu. Omiotła żółtawym światłem latarki ściany i sufit. Ten, kto do niej zadzwonił, wiedział, gdzie ona jest. Wiedział, że znalazła lalkę. Była tego pewna. Sięgnęła do plecaka i wyjęła śrubokręt dziadka. Zaciśnęła palce na trzonku i z mocno bijącym sercem, spocona z przerażenia, rozejrzała się po mrocznym, zakurczonym strychu.

Tu go nie ma... Jest piętro niżej. Pamiętasz? Widziałas tam jego cień.

Skierowała światło latarki na schody, jedyne wejście na strych, i czekała. Serce podeszło jej do gardła. Powoli zaczęła się przesuwac ku kominowi z cegieł. Pomyślała, że jeśli uda jej się za nim schować, poczeka, aż ten psychopata wejdzie w głąb strychu. Potem zbiegnie ze schodów, zamknie drzwi na klucz i ucieknie na schody pożarowe, tam będzie względnie bezpieczna...

Ale możesz już teraz zadzwonić na 911!

Jeśli nawet zabójca się nie pojawi, będziesz mogła pokazać policji lalkę.

I co z tego?

Ktoś zniszczył starą, zapomnianą zabawkę. To ona weszła bez pozwolenia na teren szpitala. To ona włamała się do budynku.

To ona miała w plecaku skradzione dokumenty.

Nie, nie może ulec panice. Musi się opanować.

Przykucnęła za kominem z kruszącymi się cegieł, wyłączyła latarkę i

czekała, wstrzymując oddech. Była przerażona. W uszach jej pulsowało.

Zaczęła bezgłośnie liczyć. Jeden... dwa... trzy... cztery... Poczuela, że pot spływa jej z czoła na oczy. Pięć... sześć... Zamrugala.

Oddychala szybko i plytko. Siedem...

Rozleglo sie wyraźne skrzypnięcie. O Jezu, czy to kroki?

Serce omal nie wyskoczylo jej z piersi. Ktos byl w szpitalu razem z nia.

Wstrzymala oddech. Wytęzyla sluch.

Byla bliska hysterii, kiedy zobaczyła mysz biegnącą po podłodze. A potem znów coś zaskrzypiało.

Zacisnela palce na śrubokręcie. Użyjesz go? Oczywiście! Boże, daj mi siłę... Kroki. Coraz szybsze. Już się nie wahał.

Wiedział, że znalazła się w pułapce!

U szczytu schodów pojawiła się wysoka, ciemna sylwetka.

Eve była napięta jak sprężyna, gotowa do skoku.

Jeszcze jeden krok, sukinsynu... Zrób jeszcze tylko jeden krok...

- Eve! - Silny męski głos odbił się echem od ścian strychu. Omal nie zemdlala.

- Cole? - szepnela głosem tak słabym, że niemal niedosłyszalnym.

- Gdzie ty, u diabła, jesteś?

- Tutaj! - Rzuciła się na niego, obejmując go za szyję. Kolana się pod nią ugięły.

- Hej!

Ostatnim razem, kiedy byłaś z nim sama w takim miejscu, mierzył do ciebie z rewolweru i... Nie!

Nie wierzyła w to teraz i gdy otoczył ją swoimi silnymi ramionami, omal się nie rozplakała.

- Cśśś, kochanie... - szepnął, głaszcząc ją po głowie. - Co ty tu, do licha, robisz?

Niewiele brakowało, a wybuchnęłyby śmiechem. Nerwy miała napięte do granic wytrzymałości. Musi to jakoś rozładować... śmiechem albo płaczem... wszystko jedno. I nagle go pocałowała. Namiętnie. Gorąco. W usta.

Zareagował natychmiast. Objął ją mocniej i odpowiedział pocałunkiem.

Przyłgnęła do niego i poczuła, że powoli, bardzo powoli, wraca jej

zdrowy rozsądek. Uświadomiła sobie, że całuje się z Cole'em, niemal leżąc na brudnej podłodze strychu.

Odepchnęła go lekko, delikatnie wysunęła się z jego objęć i przeczesła palcami włosy, starając się uspokoić oddech i opanować emocje.

- Rozmyśliłaś się? - spytał ochryple.

- Miałaś szczęście... Niewiele brakowało, a skończyłbyś ze śrubokrętem w plecach.

- Co? A kto?... - urwał. - Ty? Niemożliwe!

- Byłam naprawdę przerażona.

- Jeśli tak reagujesz na przerażenie, to może powinienem przerażać cię częściej.

- Dziękuję bardzo. - Włączyła latarkę i skierowała słaby snop światła na jego twarz. - Skąd wiedziałeś, że tu jestem?

- Jechałem za tobą.

- Co?

- Czy nie mówiłem ci, że moim zdaniem powinniśmy trzymać się razem?

- Sądziłam, że pojechałeś na policję. - Zmarszczyła brwi, usiłując zebrać myśli. - Zaraz, zaraz. Jak to za mną jechałeś?

- Próbowалаś się skontaktować z matką przełożoną. Ten szpital łączy się z tą sprawą.

- Ale skąd wiedziałeś, że przyjadę tutaj? Teraz?

Cole patrzył na nią przez chwilę, jakby podejmował jakąś decyzję.

- Bardzo zależy mi na tym, żebyś mi zaufała, więc chyba będę musiał się przyznać. Podrzuciłem ci pluskwę do samochodu

- Co? Chyba żartujesz. Cole? Nie mogłeś zamontować mi jakiegoś elektronicznego urządzenia w... - Słowa uwięzły jej w gardle. - To jest prześladowanie... Nie wolno ci tak po prostu naruszać mojej prywatności.

- A tobie wolno wdzierać się na teren zamknięty i włamywać do szpitala?

- Nie odwracaj kota ogonem.

Cole roześmiał się i objął ją ramieniem.

- Chodźmy stąd.

Chciała czuć się pokrzywdzona, to lepsze od... od wdzięczności... od

strachu...

- Proszę nie zmieniać tematu, panie mecenasie - powiedziała. - Poza tym, jest tu coś, co chciałabym ci pokazać. - Poświeciła latarką i poprowadziła go do kąta, w którym leżał śpiwór i Charlotte.

Cole spojrzął na lalkę.

- Co to jest, do diabła?

- Według mnie wiadomość. Zobaczyłam to, chciałam stąd uciec i wtedy zadzwoniła moja komórka. Znowu powiedział tylko :On jest wolny:. Tak jakby wiedział, że tu jestem i patrzę na Charlotte.

- Charlotte?

- Tak nazwałam lalkę. Moja babcia uszyła ją dla mnie wiele lat temu. Myślałam, że leży w domu w jakimś kufrze. Babcia bardzo chciała, żebym zachowała ją dla mojej córki, jeśli będę ją kiedyś miała. Nie widziałam tej lalki od wieków.

- Jesteś pewna, że to ta sama?

- O tak. Nie ma takiej drugiej.

Cole znalazł obok śpiwora szmatę, przykląkł na jednym kolanie i podniósł ostrożnie lalkę. Spojrzął na słowo wypisane na jej brzuchu.

- Twoje imię.

Eve kiwnęła głową i odwróciła wzrok.

- Kto wiedział o tym miejscu?

- Może dzieci, które tu mieszkały. No i pewnie zakonnice domyślały się, co się tu dzieje. Mój ojciec też w końcu się domyślił i dostał szału, ku satysfakcji moich braci.

- Więc oni też o tym wiedzieli?

- Tak... a ja, cóż, zostawiłam tu wszystkie moje rzeczy. Każdy, kto tutaj był w ciągu ubiegłych dwudziestu lat, mógł się dowiedzieć, że chodziłam na strych. Wydaje mi się, że zostały tu książki podpisane moim imieniem... och, no tak, i może nawet pamiętnik. - Eve oświetliła latarką okno, pod którym leżały stare komiksy i powieści w miękkich okładkach. - O, tam jest mój słownik angielsko-hispański.

Cole schylił się i podniósł książkę. Na pierwszej stronie widniały wypisane dziecięcą ręką słowa :Eve Renner:.

- Ja udało mu się zwabić cię na strych?

- Nie wiem. Nie wiedziałam nawet, że tu przyjdę. Gdyby siostra Rebecca spotkała się ze mną po południu, prawdopodobnie pojechałabym prosto do domu.

- Zastanawiam się, czy chciał cię tu sprowadzić - powiedział Cole ponuro.

- Jak mam to rozumieć? - spytała, ale zaraz domyśliła się, o co mu chodziło, i poczuła, jak cierpiej jej skóra.

- Żeby cię porwać.

- Boże, nie... nawet tak nie mów.

- Dobrze, nie będę. - Cole wstał i zacisnął zęby. - Ale od tej chwili nie spuszczę cię z oka ani na minutę. Stale będziesz mnie miała na karku.

- Myślisz, że w ten sposób mnie ochronisz?

- Albo ja, albo policja - odparł stanowczo.

- Policja nie!

- Dobrze, więc nie policja.

- Ale będziemy musieli powiedzieć im o tym. Tym razem się nie spierał.

- I to jak najszybciej. Chodź.

- Zabierzemy lalkę?

Cole zawahał się, a potem pokręcił głową.

- Zostawmy wszystko tak, jak było, niech policja przyjedzie i to zobaczy.

- Zgoda. - Eve wyjęła mu z ręki Charlotte, odwróciła ją twarzą w dół i położyła na śpiworze. Na myśl o tym, że mimowolnie uczestniczy w czymś tak odrażającym, znowu zrobiło jej się niedobrze.

Zeszli razem po krętych schodach.

-- Niewiele brakowało, a dostałabym ataku serca. Potwornie mnie wystraszyłeś. - Otworzyła drzwi i przeszła przez szafę. - Patrzyłam przez szparę w podłodze na pokój Faith i zobaczyłam twój cień. Omal nie zemdlałam.

- Jak to?

- I tak byłam już wystraszona, a to było, jeszcze zanim znalazłam Charlotte. A potem zobaczyłam ciebie w pokoju 307.

- 307? - Cole wyciągnął rękę w stronę drzwi tego pokoju. - Nie byłem w nim.

- Ależ musiałeś tam być.

- Nie. - Śmiertelnie poważny, patrzył na nią ze zmarszczonymi brwiami. Zacisnął usta. - Wszedłem po schodach, usłyszałem kogoś na



strychu, więc tam zajrzałem.

- Ale ja cię widziałam - upierała się Eve. - Wiem, że na pewno w tym pokoju, bo twój cień padał przez moment na tę okropną plamę na podłodze...

- To nie byłem ja, Eve. Przysięgam.

Nagle zrobiło jej się słabo. A Cole, ten bałwan, podszedł prosto do drzwi pokoju 307.

- Zaczekaj ! - zawołała. Była przekonana, że za drzwiami czeka morderca jej ojca z nożem w podniesionej ręce, gotów poderznąć Cole'owi gardło. - Nie wchodź!

Nie zwrócił uwagi na jej słowa. Otworzył drzwi i wszedł do środka.

- Cole! - Ruszyła za nim, ale potknęła się o krawędź obluźowanej deski. Przewróciła się i upuściła latarkę. Uderzyła ramieniem o podłogę i krzyknęła. Cole natychmiast do niej podbiegł.

- Eve! Wszystko w porządku? - Położył jej rękę na plecach. Nie!

- Chyba tak - szepnęła, czując łyzy pod powiekami. Ramię paliło ją jak ogień. Spróbowała wstać, ale skrzywiła się z bólu.

- Zaczekaj, pomogę ci.

- Moja latarka - powiedziała słabo.

Cole znalazł ją i włożył do plecaka. Potem przy świetle wpadającym przez kilka niezabitych deskami okien pomógł Eve wstać i zniósł ją ze schodów. Nie miała wyboru, musiała objąć go ramieniem za szyję dla zachowania równowagi.

- Nic mi nie jest.

Spojrzał na nią z ukosa. Jego twarz była tak blisko.

- Akurat.

Eve czuła się jak idiotka. Owszem, bolało ją ramię, ale bez problemu mogła samodzielnie chodzić.

- Domyślam się, że w pokoju Faith nikogo nie było?

- Nie.

- Cóż, ja byłem w nim wcześniej i nie zamknęłam za sobą drzwi. Jeśli ty także lego nie zrobiłeś, musiał tam być ktoś jeszcze, kto je zamknął.

Cole zaklął pod nosem. Na parterze postawił ją na podłodze i przekreślił zasuwę we frontowych drzwiach. Zanim jednak zdążył znowu wziąć Eve w ramiona, ona już wyszła z budynku, podtrzymując obolałe ramię zdrową ręką. Słońce stało nisko nad horyzontem, upał zelżał.

Odetchnęła.

Cole zrobił temblak z ramiączka plecaka i poszli razem przez las, wzdłuż ogrodzenia cmentarza.

Eve nie wspiełaby się teraz na ogrodzenie, więc Cole pomógł jej przejść na drugą stronę w miejscu, w którym sam wszedł na teren szpitala: przez płot, tam, gdzie pręty się wygięły. Cole poszerzył trochę otwór między nimi, by jej to ułatwić. Teraz czuła już w ramieniu nieprzerwany, pulsujący ból.

- Ja poprowadzę - powiedział.

Eve pokręciła głową, ale zaraz zauważyła jego starego dzipa, stał niedaleko od jej toyoty.

- Będziemy musieli przyjechać tu później po twój samochód.

- Nie my. Ja. Deeds mnie tu przywiezie.

- Och, pewnie będzie zachwycony. - Eve poruszyła lekko ręką i syknęła z bólu.

- Jasne.

- Już to widzę.

Cole wziął kluczyki i otworzył przed nią drzwi od strony pasażera. Eve wsiadła do rozgrzanego samochodu, już nie dyskutując. Chwilę później Cole usadowił się za kierownicą, pogrzebał w plecaku i wyjął z niego dokumenty Faith Chastain.

- Co to jest?

Eve wiedziała, że kłamstwo na nic się nie zda.

- Coś, co znalazłam.

- Wtargnięcie na cudzy teren, włamanie, a teraz jeszcze zawłaszczenie?

- Ty to masz gadane - mruknęła, a Cole uśmiechnął się lekko. - Po to właśnie tu przyjechałam. Wydawało mi się, że widziałam kiedyś na strychu stare dokumenty.

- Jest tam tego więcej?

Eve przytaknęła i odchyliła się na oparcie fotela. Teraz bolało ją nie tylko ramię, ale i głowa.

Cole wyraźnie się wahał. Zaczął bębnić palcami po kierownicy.

- Co?

- Chciałbym przejrzeć te dokumenty.

- Są bardzo stare. Zapomniane. Mają co najmniej dwadzieścia lat.

- Ale mogą stanowić klucz do tego, co dzieje się tutaj.

- Dlaczego tak sądzisz?

Cole postukał palcem w kopertę z dokumentami Faith Chastain.

- Z powodu tej kobiety. Była tu ponad dwadzieścia lat temu. Urodziła dziecko, o którym nikt nic nie wie. Ktoś przysłał ci wycinki z prasy mówiące o jej śmierci. Więc może w tej szafce z dokumentacją pacjentów znajdzie się coś jeszcze?

- Ale po co ktoś miałby czekać dwadzieścia parę lat, żeby zrobić to wszystko?

- Nie wiem - przyznał Cole i przekręcił kluczyk w stacyjce. - Ale może dowiemy się tego z tych dokumentów.

- Zacznijmy od tego, co już mamy - zaproponowała, usiłując się uśmiechnąć, choć wargi jej drżały.

Cole spojrzał na nią twardo i zarazem czule.

- Musisz pójść do lekarza.

- Nic mi nie będzie, naprawdę. Dotknął jej łokcia, syknęła z bólu.

- Oczywiście, ale najpierw będziesz musiała zgłosić się w izbie przyjęć i pozwolić się prześwietlić i zszyć. Jakiś lekarz cię zbada, dostaniesz środki przeciwbólowe.

- Nie jadę do szpitala, Cole. Uśmiechnął się do niej szeroko.

- Przykro mi, skarbie, ale wygląda na to, że pojedziesz wszędzie tam, gdzie cię zawiozę.

- Drań - mruknęła.

- Tak, to cały ja.

Tej nocy Głos mówił wyraźnie. I z gniewem.

Starał się nie słuchać irytujących pisków innych głosów, które przenikały jego mózg, domagając się uwagi.

- Musisz złożyć następną ofiarę - powiedział mu Bóg.

Leżał w łóżku, drżący i spocony, i myślał o Eve. Czy nadeszła jej kolej? Czy to ją wybrał Bóg? Zamknął oczy i przywołał w pamięci jej twarz. Tak idealnie piękną.

Teraz, jako kobieta, była śliczna.

Kiedyś, jako dziecko, nieuchwytna.

To jej zawsze pragnął.

Bóg wiedział, jak bardzo. Czy ta żądza nie była właśnie powodem, dla którego do niego przemówił?

- Kto, Ojczy? - wyszeptał żarliwie, zaciskając palce na kołdrze. - Kto ma zginać? Powiedz mi, a ja spełnię Twą wolę.

Zamknął oczy i skoncentrował się na Głosie. Tak szybko Pan znowu go wezwał. Znow wyciągnie swój nóż. Znow dokona okrutnej rzezi tych, którzy nie spodobali się Wszchemocnemu. To jego misja, Głos obiecał mu, że jeśli spełni Jego wolę, zostanie deifikowany.

Deifikowany!

Pewnego dnia zasiądzie obok Ojca w niebie... Na myśl o tym łzy napłynęły mu do oczu. Musi tylko spełnić wolę Boga, zrobić to, co nakaze mu Głos, zmyć swoje grzechy...

Proszę, proszę, niech to już będzie czas Eve...

- Są tacy grzesznicy - powiedział Głos twardo - którzy udają niewinnych i prawych, przewodzą maluczkim, mamią ich fałszywą wiarą. Pod płaszczykiem świętości skrywają swe brudne dusze. Ci najgorsi muszą zostać złożeni w ofierze, a grzechy ich ukazane światu. Złożysz pierwszą ofiarę, a potem zabierzesz drugą...

- Mam zabrać drugą? Ale dokąd? Odpowiedziała mu cisza.

- Ojczy? - krzyknął.

Czy nie jest szalony, tak jak mówiła jego matka? Czy nie taka była diagnoza lekarzy, nie to sugerowały pielęgniarki, nie z tego powodu modliły się za niego zakonnice?

Lecz przecież Głos Boga był prawdziwy. Przemawiał do niego. Czyż nie nadał mu imienia? Czyż nie powiedział, że zostanie deifikowany? Nie, nie wolno mu wątpić. Musi być silny wiarą.

- A Eve? Kiedy nadejdzie czas Eve? - Widział ją dziś w szpitalu. Wiedział, że tam będzie, i to go zwabiło. Szpital Naszej Pani od Cnót należy do niej. I do niego. Już wkrótce, pomyślał, oblizując wargi. - Ojczy? - spytał, ciągle jeszcze mając nadzieję, że teraz wreszcie wybije jej godzina.

Ale znow nie usłyszał odpowiedzi, w pokoju było cicho jak w grobie.

Bóg rozgniewał się na niego.

Wiedział o tym.

Okazał zbyt wiele śmiałości.

- Niech się dzieje wola Twoja - powiedział głośno, a potem, drżąc z podniecenia, zsunął się z łóżka i upadł na kolana. Pochylił głowę, oparł ręce na materacu i czekał na boskie rozkazy, by kontynuować swoją misję.

I Bóg do niego przemówił.

## Rozdział 20

Chodź tu - powiedziała Eve, kiedy Cole opatulił ją kołdrą w łóżku, w jej łóżku, wysoko w wieżycze jej domu.

Uśmiechnął się do niej i pokręcił głową. Jego ciemne włosy lśniły w świetle lampy stojącej na nocnym stoliku.

- To chyba nie jest najlepszy pomysł.

- Dlaczego? - Czuję się tak dobrze. Lepiej niż kiedykolwiek od bardzo dawna, a Cole, do diabła z nim, wydawał jej się przystojniejszy nawet niż zwykle. W szpitalu był taki opiekuńczy, pomógł jej w rejestracji i czuła się przy nim tak bezpiecznie.

Westchnęła, zadowolona, i poklepała materac obok siebie.

Cole przysiadł na brzegu łóżka i pocałował ją w czoło.

- Posłuchaj, Eve, to nie dlatego, że nie mam ochoty, przecież wiesz. Myślę jednak, że powinniśmy poczekać, aż wydobrzejesz.

- Dajesz mi kosza.

- Och... - Uśmiechnął się, w jego policzku pojawił się dołeczek. - Powiedzmy, że zostawiam to sobie na później.

- Mówiłeś, że chcesz się mną opiekować... chronić mnie...

- Tak mówiłem, i tak będzie.

- Ale nie będziesz ze mną spał? Nie chcesz się ze mną kochać?

- Przekręcasz moje słowa. Muszę zadzwonić do Montoi i Bentza albo Deedsa czy kogoś w tym rodzaju i powiedzieć, co znaleźliśmy w starym szpitalu.

- A ja chcę, żebyś tu ze mną został.

- Wiem, że chcesz. Nic cię już nie boli, proszki podziałały. Ale ja wolałbym, żebyś w takiej chwili nie znajdowała się pod wpływem pigułek szczęścia.

- Daj spokój, Cole. - Wysunęła dolną wargę. Zdawała sobie sprawę, że nie kryje swoich pragnień, bo została nafaszerowana lekami. Ale nic sobie z tego nie robiła. - Jesteś nudny.

- Och, bardzo się mylisz.

- Udowodnij.

- Co mam udowodnić? Uniosła brew i spojrzała na niego.

- Że nie jesteś nudny - odparła i lekko przygryzła wargę zębami. Jęknął.

- Jesteś bardzo niegrzeczną dziewczynką, Eve Renner.

- Naprawdę?

- I kocham cię. - Pocałował ją w usta.

Ich wargi tak idealnie przylgnęły do siebie, że Eve miała wrażenie, iż unosi się nad łóżkiem. Rozchyliła usta i poczuła język Cole'a na swoich zębach. Przesunął dłońmi po jej ciele, dotykając ramion, a potem brzucha i piersi.

- Oooh... - jęknęła i wiedziała, że zwyciężyła.

Ich pocałunek stawał się coraz bardziej namiętny. Czowała na twarzy gorący oddech Cole'a i jego ciało tuż obok niej. Był ostrożny... Wyjątkowo delikatny. Przyklęknął nad nią w rozkroku, zdjął dżinsy i koszulę, a potem położył się na niej.

- Jesteś pewna? - spytał ostatni raz, odgarniając niesforny lok z jej czoła. A potem zsunął ramiączko jej koszuli i odsłonił pierś. Szybkim ruchem obwiodł sutek palcem. Eve wstrzymała oddech.

- Absolutnie.

- Naprawdę? - Dotknął brodawki wargami, a po chwili końcem języka.

- Uhm... - Eve patrzyła na niego w słabym świetle nocnej lampki. Dłonie Cole'a powędrowały niżej. Wciągnęła brzuch. Silne palce podciągnęły jej koszulę do góry... Zahaczyły o koronkowe majtki.

- No nie wiem - wyszeptał.

- Cole! Proszę...

- Więc dobrze, kochana. - Zdarł z niej majtki jednym szybkim ruchem i zaczął całować najintymniejsze miejsca. Smakował ją, oddychał jej zapachem.

Jej skórę zrosił pot, a w głębi ciała odezwało się pragnienie; rosło z każdą chwilą, domagając się zaspokojenia. Wsunęła palce zdrowej ręki w jego włosy i zacisnęła je, kiedy jej ciałem wstrząsnął pierwszy dreszcz rozkoszy, potężna fala, nieokiełznana i gorąca. Wygięła się w łuk, żądając więcej, znacznie więcej... i się nie zawiodła.

Cole rozchylił jej kolana, uniósł ją do góry i wszedł w nią gwałtownie. Krzyknęła cicho, objęła go kurczowo za szyję i przycisnęła twarz do jego piersi tak mocno, że prawie nie mogła oddychać. Wtuliła usta w zagłębienie między jego szyją a barkiem. Cole jęknął, jego ruchy stały się szybsze, głębsze, spazmatyczne. W końcu opadł na plecy, pociągając ją za sobą tak, żeby na nim usiadła.

Coraz szybciej, coraz głębiej...

Eve miała wrażenie, że świat wiruje wokół nich w zawrotnym pędzie.

- Cole... - zacharczała. - O Boże, Cole...

Druga fala uderzyła z taką siłą, że Eve zadrżała i dygotała jeszcze, kiedy jego ciało pod nią nagle znieruchomiło i Cole wydał przeciągły, ochryply jęk rozkoszy.

Przylgnęła do niego i leżeli tak, spleceni uściskiem, w tej małej sypialni wysoko nad miastem. Tak dobrze się z nim czuła. Wiedziała, że nie pozwoli mu odejść, nie dopuści do siebie żadnych wątpliwości, nie będzie się zastanawiała nad tym, co właśnie się stało.

Przynajmniej do rana.

Nieszpory już dawno się skończyły i nad murami klasztoru świecił jasno księżyc. Na niezmierzonym granatowym niebie migotały gwiazdy.

Zazwyczaj nocna ciemność otulała siostrę Rebecę czule jak szata Chrystusa. Zwykle północ była dla niej czasem spokoju i siły, szukała wtedy samotności w ogrodzie, tam, gdzie mogła zastanowić się nad minionym dniem i pomodlić o kolejny, szczęśliwy. Jako matka przełożona przyjęła na siebie wielką odpowiedzialność - odpowiedzialność, której czuła się niegodna.

Powietrze pachniało sosną i kwiatami magnolii, z rzadka rytmicznie pohukiwała sowa. To tu, na brzegu fontanny, siostra Rebecca przesiadywała nocą najczęściej, patrząc na wodę spływającą z figury anioła, i modliła się, by jej dusza także została obmyta z grzechów.

Oby Bóg jej wysłuchał.

Ale zbyt wiele było tajemnic.

Zbyt wiele grzechów.

A wkrótce jej perfidia wyjdzie na jaw.

- Wybacz mi - szepnęła i przeżegnała się, muskając palcami łańcuszek, na którym nosiła okulary.

Była zmęczona, wyczerpana, żyła już przecież ponad osiemdziesiąt lat. Nadszedł czas, by Pan wezwał ją do siebie. Najpierw, oczywiście, będzie musiała się wyświadczyć - wyświadczyć z grzechów, których nie wyznała nikomu przez tak wiele, wiele lat.

Wstała. Chrupnęło jej w obu kolanach. Sztywno ruszyła w stronę drzwi; zostawiła je uchylone, by wpuścić do środka chłodne, rześkie nocne powietrze. Przeszła długim korytarzem, gdzie lampy świeciły

celowo słabo, by przywodzić na myśl czasy, kiedy po tych starych murach pełgało tylko światło świec.

Drzwi kaplicy skrzypnęły, gdy je otworzyła; powinna poprosić dozorcę, by naoliwił zawiasy. Weszła do środka i podążyła główną nawą, muskając dłonią oparcia drewnianych ław.

Niewielka kaplica, mimo zimnej kamiennej podłogi, wysokiego sufitu i wielkich łukowatych okien, była przytulna i siostra Rebecca zawsze znajdowała tu spokój i wytchnienie. Spędziła tu wiele godzin, modląc się i przesuwając w palcach gładkie paciorki różańca. Tego dnia jednak nawet tu czuła się dziwnie niespokojna.

I wiedziała dlaczego.

Terrence Renner zginął.

Jakaś zagubiona dusza załatwiła go nożem, jeśli wierzyć temu, co pisały gazety. Siostra Rebecca dobrze знаła Terrence'a Rennera w czasach, kiedy pracował w szpitalu. Arogancki mężczyzna, i z pewnością dręczony przez swoje własne demony, ale żeby go zamordować? Brutalnie poderżnąć mu gardło?

Spojrzała w górę na krucyfiks, na spokojną twarz Jezusa pod krwawą cierniową koroną, a potem przeżegnała się jeszcze raz i uklękła. Modliła się, otwierała swoją duszę, ale czuła, jak ogarnia ją mrok. Był czas, kiedy sądziła, że wszystko, co złe, jest już za nią, że stary szpital zostanie sprzedany i zburzony, a ktoś zbuduje tu nowy dom opieki. Żywiła naiwną nadzieję, że tajemnice i skandale związane z tym miejscem znikną pod gruzami i nigdy nie ujrzą światła dziennego.

Ale jej piękne marzenie rozwiało się, ponieważ policja wstrzymała rozbiórkę szpitala na czas bliżej nieokreślony. A wszystko z powodu wątpliwości narosłych wokół Faith Chastain, choć ta biedna, udęczona kobieta nie żyła już od ponad dwudziestu lat.

- Ojczy, wybacz mi - szepnęła. Usłyszała bicie dzwonu. Północ.

Powinna już opuścić kaplicę i pójść do swej celi, choć wiedziała, że sen jeszcze długo nie nadejdzie.

Bo masz nieczyste sumienie, pomyślała. Od serii okrutnych mordów, powiązanych z tym miejscem, nie minął jeszcze nawet rok. Człowiek, który się ich dopuścił, chodził po tych świętych korytarzach.

Kiedy został schwytany, w sercu siostry Rebecki znowu zaświtała nadzieja na spokój, na wolność od bólu przeszłości.



Daremna nadzieja.

Tak, policja w końcu się stąd wyniosła, zostawiając Naszą Panią od Cnót oplataną resztkami żółtej taśmy, przypominającej o tym, co zdarzyło się na terenie szpitala. Zostały tu wspomnienia i to one jak duchy nawiedzały te stare mury.

Siostra Rebecca modliła się, by skandal wreszcie ucichł, ale w głębi duszy wiedziała, że nie ucichnie nigdy. A teraz te kolejne morderstwa, kolejne ofiary, Royal Kajak i doktor Renner. Obaj byli związani ze Szpitalem Naszej Pani od Cnót, a to tylko potwierdzało jej najgorsze podejrzenia.

Zadrzała nagle w przeczuciu czegoś złego i nieuniknionego. Zrozumiała, że rządy strachu, który ogarnął wszystkich ludzi mających coś wspólnego z tym starym szpitalem, jeszcze długo nie dobiegną końca. Ostatnie spokojne miesiące miały tylko uśpić ich czujność; była to cisza przed burzą.

Przerwana dwoma brutalnymi morderstwami.

Zło znowu zerwało się z uwięzi.

Jeszcze bardziej okrutne i przerażające.

- Boże, zostań z nami - szeptała, czując, jak całe jej ciało aż do kości przenika lodowaty chłód.

Czy powinna pójść na policję? Powiedzieć, co wie? Wyjawić tajemnicę, którą nosiła w sobie od ponad dwudziestu lat?

Bóg nią pokieruje. Musi się modlić, musi w Nim pokładać zaufanie.

- Ojczy, proszę, proszę, wskaż mi drogę.

Wyszła z kaplicy i ruszyła znowu przez klasztor. Kiedy znalazła się przy bramie, usłyszała krakanie wrony, ale powiedziała sobie, że to nie jest żaden zły znak, że nie zwiastuje nadejścia Lucyfera. Poza tym nie wierzyła w takie bajania, była silna swoją wiarą.

Lecz gdy mijiała fontannę, wydało jej się, że słyszy skrzypienie skóry na kamieniu. Ktoś idzie? O tej porze? Na pewno nie.

To tylko jej wyobraźnia. Dziś była wyjątkowo niespokojna.

Ale serce zaczęło jej bić szybkim, nierównym rytmem. Obejrzała się za siebie, usiłując dostrzec coś w ciemności, tam, gdzie nie docierało światło księżyca.

Nic.

Skarciła się w duchu i szła dalej, mrużąc pod nosem znajome słowa modlitwy. Tak szybko nie chodziła od ponad dziesięciu lat.

- Ojciec nasz, któryś jest w niebie... Znowu to skrzyknięcie.

Zmartwiała i wstrzymała oddech. Może ktoś ją sprawdza. Odwróciła się, lecz nikogo nie zobaczyła. Tylko kwiaty w wiszących koszykach chwiały się lekko na wietrze.

Ciemny kształt, szybki jak błyskawica... Dostrzegła go jednak kątem oka

- Jest tu kto? - spytała, czując, jak cierpnie jej skóra. Oddychała z trudem. - Proszę się pokazać!

Czy to naprawdę tylko jej wyobraźnia? Gra światła i cienia? Czy wzrok ją myli? Przełknęła ślinę, wsunęła dłoń do kieszeni i dotknęła palcami różańca.

Nie lękaj się, Pan jest z tobą.

Rozejrzała się. To tylko wyobraźnia. Wyobraźnia starej, głupiej kobiety, której poczucie winy zaburzyło zdrowy rozsądek.

I wtedy jej spadł. Wyskoczył z mroku.

Duży, ciemny kształt. Rzucił się na nią od tyłu. Był ciężki, poczuła, jak uginają się pod nią nogi. Chciała krzyknąć, ale wielka dłoń w rękawiczce zakryła jej usta. Nie!

Nie, nie, nie!

Miała wrażenie, że zaraz pęknie jej kręgosłup.

Drugą rękę wyciągnął do przodu, tak by zobaczyła nóż; długie, cienkie ostrze błysnęło w świetle księżyca.

Pomocy! Niech mi ktoś pomoże! Dobry Boże, proszę!

Przerażona, próbowała krzyczeć, gryźć, walczyć, napastnik był jednak o wiele silniejszy.

Zadał cios.

Szybko.

Ostrze weszło w jej pierś od góry. Głęboko.

Wydała krótki, zduszony okrzyk i upadła na kolana. Zakreśliło jej się w głowie, przeszył ją ból. Kto to? Próbowała dojrzeć jego twarz, ale skrywała ją ciemność. Nie mogła się poruszyć, nie mogła nikogo ostrzec. Patrzyła więc tylko bezradnie, jak oprawca znika w drzwiach klasztoru. Jej krew sączyła się na gładkie, wypolerowane przez czas kamienie.

Siostra Rebecca wiedziała, że on jeszcze nie skończył.

Znów ktoś zabije.

I tajemnica, której dochowywała przez tak wiele lat, wyjdzie na

jaw.

Ojcze, przebacz mi, modliła się bezgłośnie, choć jej świadomość powoli spowijała śmiertelny mrok. Ojcze, przebacz mi, bo zgrzeszyłam.

Dźwięki nocy, gwizd i stukot kół przejeżdżającego w oddali pociągu, szelest wiatru w liściach drzew - wszystko to docierało do niego jak przez mgłę, zagłuszone oszalałym biciem jego serca, zamordował starą zakonnice, tak jak kazał mu Głos. Musiał zostawić ją, krwawiącą, na dziedzińcu i pójść do klasztoru, bo wydawało mu się, że kogoś tam usłyszał. Ale na klasztornych korytarzach było pusto. Cicho. Spokojnie.

Upewnił się, że jest sam, wrócił do ciała i palcem ofiary nakreślił krwawy napis na murze. Potem wyjął przenośną maszynkę i wytatuował numer na czole denatki. Nie lubił robić tego tak nieporządnie, w pośpiechu. Potrzebował więcej czasu, lecz nigdy nie miał go dość. Prawdziwe dzieła sztuki wykonywał tylko na własnym ciele.

Skończył szybko i pobiegł ścieżką wśród krzewów. Serce wciąż mocno biło mu w piersi. To nie koniec jego misji, została jeszcze druga ofiara, ale najważniejsza zakonnica, matka przełożona, nie żyła.

Jej dusza opuściła ciało.

Ciało, które nie będzie wskrzeszone.

A teraz rytuał...

W swojej chacie, za zaryglowanymi drzwiami, rozpałił ogień, choć noc była ciepła, rozebrał się, umył buty, wyprał ubranie, a potem rozłożył płachtę plastikowej folii przed kominkiem. Ustawił lustro pod właściwym kątem, obmył ciało pod prysznicem i oczyścił umysł. Później, nagi, zapalił świece.

Z różańcem w dłoniach modlił się długo i żarliwie, aż w końcu poczuł, że jego dusza jest równie czysta jak ciało. Wtedy wyjął zestaw do tatuażu i zabrał się do pracy.

Wziął czerwony atrament i wybrał miejsce na skórze, blisko tatuażu wykonanego ostatnio. Uważnie nakreślił numer, numer tak podobny do poprzedniego, że niemal identyczny: 111 dla siostry Rebecki. Zadowolony włączył maszynkę i przez chwilę patrzył, jak czerwony atrament napływa do igły. Poczul pierwsze lekkie ukłucie i zacisnął zęby, uśmiechając się jednocześnie, bo w bólu zawsze znajdował też przyjemność, a w udreće - spokój.

A co do Wielebnej Matki Przełożonej, ona na pewno nie zostanie

wskrzeszona, o nie. Jej czarna dusza pójdzie prosto do piekła. Tam, gdzie jej miejsce.

## Rozdział 21

**Telefon** zadzwonił o czwartej trzydzięci. Montoya otworzył oczy, jęknął i sięgnął po komórkę. Przewrócił się na bok, odsuwając się trochę od ciepłego, nagiego ciała Abby.

- Montoya - wymamrotał niskim, nosowym głosem. Ten cholerny kot, który w nocy zdołał jakoś wśliznąć się do łóżka, syknął przeciągle i zeskoczył na podłogę.

- Mamy kolejne. - Bentz wydawał się irytująco rozbudzony.

- Kolejne co? - spytał Montoya, choć natychmiast domyślił się, o co chodzi. Usiadł na łóżku.

Abby westchnęła, obróciła się i potarła oczy.

- Co znowu?

Hershey - ona także złożyła im w nocy wizytę i udało jej się zmieścić między Abby a krawędzią łóżka - podniosła na chwilę głowę, po czym ułożyła ją z powrotem między przednimi łapami.

- Ten sam schemat, wszystko tak samo - mówił Bentz. - Tyle że tym razem to zakonnica.

- Zakonnica?

- Siostra Rebecca. Matka przełożona klasztoru...

- ...Naszej Pani od Cnót - dokończył Montoya.

Odechciało mu się spać, nie miał też ochoty nawet na poranny seks z Abby. Spotykał siostrę Rebeccę wielokrotnie i lubił tę drobną kobietę, teraz już po osiemdziesiątce. Dobry Boże, kto mógł ją zabić? Montoya odrzucił cienką kołdrę i zaczął szukać džinsów w ciemnym pokoju.

- Oficer, z którym rozmawiałem, mówi, że ma podejrzięte gardło i tatuaż na czole. Jednak numer jest inny. Tym razem 111.

- 111?- Montoya nie zwracał sobie głowy slipkami i od razu wciągnął spodnie.

Abby włączyła nocną lampkę i w pokoju zrobiło się jasno. Usiadła i spojrzała na Montoyę, mrużąc oczy. Była blada i wyglądała tak, jakby miała się zaraz rozplakać.

- Powinniśmy tam pojechać i to wszystko obejrzeć - stwierdził Bentz.

- Będę za pięć minut.

- A ja za trzy.

Montoya rozłączył się i spojrzał na Abby.

- Matka przełożona. Zamordowana w taki sam sposób jak inni. Abby

sięgnęła po zmiętą koszulę nocną i wciągnęła ją przez głowę.

Jej piękna twarz była bardzo poważna, złote loki opadały na czoło.

- Nie... - wyszeptwała. - Nie wierzę. Nie siostra Rebecca...

- Przykro mi - powiedział szczerze.

Abby przełknęła ślinę, w jej oczach zalśniły łzy. Popatrzyła na Montoyę.

- Nie rozumiem. Dlaczego? - rzuciła z gniewem.

- Tak, dlaczego? - powtórzył ponuro i rozejrzył się dookoła. - Gdzie, do diabła, jest mój portfel?

- Tam - wskazała toaletkę.

Montoya chwycił portfel, odznakę i kluczyki, a potem włożył koszulę.

- Dorwicie go - powiedziała Abby, kiedy trzymał już w rękach buty.

- Proszę cię, złap tego szaleńca. - Wstała z łóżka i podeszła do niego, jeszcze rozgrzana snem, gniewna, seksowna, ponętna.

Pocałował ją w usta, krótko, ale namiętnie; tak, by wiedziała, że pragnie jej bez względu na wszystko.

- Dorwę go - obiecał. - Przyskrzynie drania. - Poklepał ją po pupie.

- Kładź się.

- Już nie zasnę.

- Zadzwoń później.

- Dobrze. - Ziewnęła i przysiadła na brzegu łóżka, szukając pantofli.

Montoya wyszedł z sypialni, przeszedł przez krótki korytarzyk i minął ścianę z folii w salonie. Zdjął kurtkę z haka w przedpokoju. Usłyszał skrobanie psich pazurów. Najwyraźniej Hershey liczyła na mały spacer. Ale tego ranka nie miał na to czasu. Abby ją później wyprowadzi.

Zamknął za sobą drzwi i przebiegł przez trawnik. Na podjeździe już czekał na niego wóz policyjny. Za kierownicą siedział Bentz. Montoya usiadł obok niego i znalazł kubek z kawą w plastikowym uchwycie pod oknem.

- Gdzie udało ci się to dostać? - spytał, podnosząc kubek do ust.

- W sklepie całodobowym. - Bentz wycofał z podjazdu, wrzucił bieg, włączył światła i wcisnął gaz.

- Dobry Boże, o której ty wstałeś? - Montoya przełknęła mocny napar, spojrzła na Bentza i zauważyła, że ma wilgotne włosy.

- Na tyle wcześniej, żeby jeszcze poćwiczyć z workiem treningowym

i wziąć prysznic.

- I kupić kawę. - Montoya zmarszczył brwi. Zaczęło świtać. - Wkurzają mnie takie ranne ptaszki. - Pociągnął kolejny łyk. Bentz wyprzedził samochód dostawczy, który zwolnił przed jakąś restauracją, i skręcił w stronę autostrady. - No to mów, co się stało.

- Zadzwoiła do mnie siostra Odine z klasztoru. Znalazła siostrę Rebecę.

- Cholera. - Montoya patrzył w rozświetlone pierwszymi promieniami słońca niebo. Już o tej porze do miasta ciągnął sznur samochodów; zdawał się nie mieć końca. - Domyślam się, że media już się na to rzuciły.

- Nie zdziwiłoby mnie to. - Bentz zerknął na niego z ukosa. - A jeśli nawet nie, wkrótce to zrobią.

- Federalni też. Teraz FBI nie popuści. Może i dobrze, bo trochę nas odciążą.

Bentz mruknął coś pod nosem i zmienił pas.

- Nasi nieuchwytni chłopcy wreszcie się ze mną skontaktowali.

- Jacy chłopcy? - spytał Montoya, zirytowany. Uważał, nie czas na gierki słowne.

- Bracia. Obaj są jeszcze w mieście. Umówiłem się z nimi na spotkanie dzisiaj rano. Ciekaw jestem, co mają do powiedzenia na temat swojego ojca.

- Amen - Montoya się skrzywił. - Obaj do ciebie zadzwonili? Czy każdy osobno?

- W odstępie pół godziny.

- Są tu razem?

- Na to wygląda. I Anna Maria, żona jednego z nich, Kyle'a, zdaje się. Chyba nie jest tym zachwycona. Dzwoniła do mnie kilka razy i pytała, czy jej mąż już się ze mną widział.

- Nie przepadają za sobą.

- Myślę, że chcą jak najszybciej zabrać ciało, pochować starego i podzielić się jego majątkiem.

- Przecież jeszcze nawet ich nie poznałeś - zauważył Montoya.

- Mówię tylko, że moim zdaniem tak to wygląda. Zadawali pytania, z których wynikało, że nie łączyła ich z Rennerem jakaś szczególna więź.

- To jego adoptowani synowie. Udało nam się skontaktować z ich biologicznym ojcem? Tym, który rzekł się praw do nich?

Bentz zaprzeczył.

- Ciągłe cisza. Nie odzywa się od dwudziestu lat.

- Ciekawe, co się z nim stało.

Bentz skręcił w wiejską drogę prowadzącą lasem i między polami do klasztoru Naszej Pani od Cnót. Na niebie powoli gasły ostatnie gwiazdy. Montoya usiłował skupić się na sprawie. Kolejne morderstwo. Tak blisko starego szpitala, nawet nie pół kilometra.

- Wiesz może, kiedy będziemy mogli się spodziewać wyników badań DNA Eve Renner?

- Zadzwoiłem do Jaskiel, bo pomyślałem, że prokuratura okręgowa ma znacznie większe wpływy niż, ja. Poleciała laboratorium, żeby się z tym pośpieszyli, cokolwiek to znaczy.

- Taaa... - Montoya zmarszczył brwi. - Lepsze to niż nic.

Dotarli do miejsca, w którym droga się rozwidła. Jedna prowadziła do klasztoru, druga do starego szpitala, stąd niewidocznego. Montoya wiedział jednak, że on tam jest.

I wiedział, że popełnione niedawno morderstwa wiążą się z jego tajemnicami.

Deifikacja!

Głos obiecał, że czeka go deifikacja, jeśli wykona swoje zadanie.

Jechał przez noc, czując, jak krew pulsuje mu w żyłach. Ledwo dostrzegał światła nadjeżdżających z przeciwnej strony samochodów, bo w jego umyśle ciągle odgrywała się scena ostatniej złożonej przez niego ofiary. Wciąż widział przerażenie starej zakonnicy w chwili, kiedy go rozpoznała. Podała się jego woli, wiedząc, że nie ma ucieczki przed wolą Boga.

Siostra Rebecca.

Zakonnica. Matka przełożona.

Ścisnął kierownicę spoconymi dłońmi w rękawiczkach. Jechał autostradą na północ od Nowego Orleanu. Na przedniej szybie furgonetki rozbijały się muchy i inne owady.

Był zdenerwowany.

Baton Rouge leżało dość daleko od terenów, na których zwykle polował. College'u Wszystkich Świętych właściwie nie znał. Wiedział jednak, że tam właśnie znajdzie swoją kolejną ofiarę. Kolejną zakłamaną, udającą niewinność istotę.

Prowadził z dozwoloną prędkością, a nawet nieco wolniej, starając



się, by jego ciemna furgonetka nie zwróciła niczyjej uwagi, i ani razu nie zszedł z trasy.

Bóg powiedział mu, gdzie ją znajdzie.

Co będzie wtedy robiła.

Jak może ją porwać.

Musi więc być silny swą wiarą.

- Nigdy nie wątp, nigdy nie wątp, nigdy nie wątp - szeptał, żeby się uspokoić. Ta mantra pozwalała mu oczyścić umysł. To Ojciec kazał mu powtarzać ją sobie, ilekroć poczuje obecność szatana.

- Nigdy nie wątp... nigdy nie wątp...

Dostrzegł zjazd do Baton Rouge, a na ekranie swojego przenośnego GPS-u zobaczył miejsce, do którego zmierzał - kampus. Przebrał się w samochodzie, żeby nikt jakiś idiota na spacerze z psem czy dzieciak wracający po imprezie do akademika - nie zauważył nic niezwykłego, na przykład plam krwi na jego sportowym kombinezonie z neoprenu.

Zgodnie z instrukcjami Głosu, minął główne bramy college'u i strażnika, który akurat tamtędy przechodził, a potem zaparkował w uliczce za opuszczoną stacją benzynową. Okna budynku zabito deskami, stojące przed nim dystrybutory były zardzewiałe. Cena za litr benzyny, wypisana na tablicy obok, dwadzieścia pięć centów? Albo był to kiepski dowcip, albo stacja została zamknięta bardzo dawno temu.

Na szczęście uliczka przylegała do tyłów kampusu i nikt nie zwrócił na niego uwagi, kiedy ruszył szybko przez trawnik. Miał na sobie sportowy kombinezon i za dużą o kilka rozmiarów kurtkę, zakrywającą plecak, narzędzia i broń. Ktoś, kto by go teraz zobaczył, biegnącego wcześniej rano między dębami, uznałby, że po prostu facet z nadwagą usiłuje zrzucić parę kilo.

Niewielki klasztor znajdował się na obrzeżach kampusu, daleko od głównych zabudowań, biblioteki i sal wykładowych. Wskrzesciel biegł, nie rozglądając się na boki, jakby przemierzył tę trasę już setki razy. Kiedy dotarł do klasztornej ogrodu, zatrzymał się i pochylił, opierając dłonie na kolanach, jakby chciał złapać oddech, a potem rozejrzał się wokół ukradkiem. W pobliżu ani żywego ducha; szybko wspiął się na mur. Dla kogoś dość silnego, by podciągnąć się na rękach, nie było to trudne, zwłaszcza że krawędzie cegieł dawały świetne oparcie dla palców rąk i nóg. Na górze, gdzie pojedynczy rząd żelaznych kolców miał powstrzymać intruzów przed wdzieraniem

się na teren kampusu, położył dłonie na gładkim betonie, wygiął ciało w łuk, odbił się, wykonał perfekcyjne salto w powietrzu, i, miękko jak kot, wylądował po drugiej stronie. Bułka z masłem.

Czekało go coś znacznie trudniejszego.

Miał tylko nadzieję, że Głos dobrze zna zwyczaje siostry Vivian.

Bóg jest z tobą, nie dopuszczaj do swojej duszy zwątpienia, pomyślał. Bardzo chciał, by Głos przemówił do niego teraz, by go poprowadził. Wiedział, oczywiście, że tak się nie stanie. Bóg przemawiał do niego tylko wtedy, kiedy sam chciał. Zwykle późną nocą. Gdy leżał w łóżku, nie mogąc zasnąć, gdy nękały go te irytujące piski i pojękiwania. Tak, to wówczas najczęściej Bóg do niego przychodził, pocieszał go i mówił mu, co ma robić.

Na terenie klasztoru było ciemniej niż w kampusie, ale jego oczy przyzwyczyły się już do mroku, a na niebie słabo świecił księżyc. Szedł szybko, kierując się zapamiętanym planem tego miejsca, wokół obrośniętego dzikim winem budynku, przez małe patio, a potem skrzypiącą bramę, aż znalazł się w bujnym, pachnącym ogrodzie.

Spojrzał na zegarek - czwarta czterdzieści. Musiał zaczekać dwadzieścia minut, kolejnych dziesięć wystarczy, by zrealizować zawiły Boży plan. Ukryty za wysokim filarem, modlił się o siłę, prosił o wyrozumiałość, błagał o pomoc i przewodnictwo... Choć przez cały czas myślał o Eve. Na pewno kiedy już wykona to zadanie, Bóg zobaczy, że...

Bim!

Serce omal nie wyskoczyło mu z piersi. Szybko jednak zorientował się, że to kościelny zegar zaczął wybijać godzinę piątą. Bam!

Był gotowy. Nóż, sznur, napój, a nawet mały rewolwer, którego użyje, jeśli okaże się to konieczne... Wszystko miał pod ręką. Bim!

Wychylił się zza filara. Wytężył wzrok i czekał. Bam!

Dostrzegł zbliżającą się drobną, ciemną postać. Szła szybko, z pochyloną głową, niska, krucha. To będzie łatwiejsze, niż się spodziewał.

Usiadła na ławce i mruzczała coś do siebie cicho, przesuwając w palcach paciorki różańca. Bezszelestnie ruszył w jej stronę, kryjąc się w cieniu wysokich roślin.

Bim!

Wybiła godzina śmierci. Skoczył do przodu i zarzucił swoją małą garotę na jej szyję. Cicho krzyknęła, usiłując odciągnąć zaciskający się na jej gardle sznur. Była silniejsza, niż myślał. Upuściła na kamienną ścieżkę różaniec i mały modlitewnik. Wiła się i wykręcała, próbowała krzyczeć, odepchnąć go, walczyła desperacko.

Ale ta mała zakonnica, siostra Vivian - Viv, jak ją nazywali - w starciu z nim nie miała szans. Żadnych szans.

Skrzywił się i zacisnął mocniej sznur, a kiedy jej ciało nagle zwiotczało, rozluźnił uchwyt.

Czuł się przepełniony mocą. Jak Bóg. Bo rzeczywiście, jak Bóg doprowadził ją na krawędź śmierci, a potem lekko przerzucił ją sobie przez ramię, tak jak robią to strażacy, i wyniósł przez główną bramę z ogrodu.

Teraz zaczynała się najtrudniejsza część jego zadania.

Gdyby ktoś go zobaczył, musiałby użyć rewolweru, a to wywołałoby komplikacje, na co nie miał najmniejszej ochoty. Szedł szybko w ciemności, trzymając się z dala od światła i kryjąc w krzakach, ilekroć kogoś usłyszał. Kiedy w ulicę wjechali śmieciarze, przykucnął za samochodem.

Był spocony i zdenerwowany, ale jednocześnie przeżywał niezwykle uniesienie.

To, czego teraz dokonał, porwanie, dostarczyło mu nowych, nieznanych dotąd emocji.

Siostra Vivian zostanie wskrzeszona. Ale na krótko.

Później także i ona będzie musiała umrzeć.

Kristi zwlokła się z łóżka i jęknęła. Naprawdę za wcześnie, żeby wstawać. Za oknami ciągle ciemno. Ale nie ma wyboru. Musi dbać o swoje ciało, jeśli chce pozostać silna i sprawna. Poza tym potrzebowała czegoś, co pomoże jej rozładować napięcie i pozwoli przygotować się na czekający ją dzień, który spędzi, słuchając skarg ludzi ubezpieczonych w Gulf Auto and Life.

- No dobra - powiedziała głośno, przeciągnęła się i podeszła do szafy.

Leżała w niej spakowana już torba z kostiumem kąpielowym i strojem gimnastycznym. Klub, w którym Kristi ćwiczyła, był dość snobistycznym miejscem, ale miał czysty basen olimpijski, o tej porze prawie pusty. Gdyby jeździła tam po południu, musiałaby pływać w tłumie ludzi. Poza tym

po pracy wołała czytać, oglądać seriale kryminalne w telewizji i pisać. Właśnie sprzedała dwa opowiadania sensacyjne pewnemu magazynowi, ale odmówiła redaktorowi naczelnemu, który chciał, by napisała jakąś ciekawą powieść sensacyjną w odcinkach. On chyba ciągle wierzył, że uda jej się wciągnąć w to swojego ojca policjanta. Akurat.

Zdjęła za duży podkoszulek, w którym sypiała, włożyła sportowy stanik, bawełniany T-shirt i szorty. Pobiegła do łazienki, ochlapała twarz wodą, upięła włosy w ciasny węzeł z tyłu głowy i wykonała dla rozgrzewki kilka ćwiczeń rozciągających. Włożyła adidasy i przerzuciła przez ramię małą płócienną torbę. Miała w niej świeże ubranie, tenisówki i wszystko, co potrzebne, gdyby chciała po basenie pójść na siłownię.

Wyjęła z małej lodówki butelkę wody mineralnej, rzuciła okiem na policyjny skaner na biurku i podeszła do drzwi. Ojciec byłby wściekły, gdyby wiedział, że go kupiła i słuchała policyjnego radia, ale nie dbała o to. Uznała, że skoro kupiła go za własne pieniądze i używała we własnym mieszkaniu, była to tylko i wyłącznie jej sprawa.

A co do mieszkania... Rozejrzała się dookoła i zmarszczyła brwi.

Nieliczne sprzęty były przykryte kawałkami kolorowego materiału, powinna umyć podłogę, no i stertę kubków i szklanek w zlewozmywaku. Prysznic wołał o pomstę do nieba. Gdyby jej macocha, Olivia, wstąpiła tu przypadkiem, pewnie by zemdlała. Kristi nie lubiła sprzątać, ale wiedziała, że zanim usiądzie przy biurku, będzie musiała zrobić porządek. Na szczęście mieszkanie było niewielkie.

Policyjne radio zaczęło nadawać w momencie, kiedy otwierała drzwi. Usłyszała słowa :Klasztor Naszej Pani od Cnót: i znieruchomiała. Mówiło kilku oficerów, rozpoznała głos swojego ojca. O zabójstwie. Morderstwie.

Czy też raczej o kolejnym morderstwie.

Wróciła do mieszkania i cicho zamknęła drzwi.

Była podekscytowana. To jest dopiero historia. Bez względu na to, co twierdzi ojciec. Morderstwa związane z tym starym szpitalem i klasztorem są doskonałym materiałem na książkę. Doskonałym!

Rozmyśliła się - nie pójdzie na basen i siłownię. Gimnastyka może poczekać.

A do pracy musi iść dopiero za trzy godziny. Ma więc mnóstwo czasu, by wybrać się do klasztoru, wrócić do domu, wziąć szybki prysznic i pojechać do biura. Ojciec ją zabije, oczywiście, będzie wściekły, ale może uda jej się wmieszać w tłum dziennikarzy, którzy na pewno już się tam zbierają.

Ojciec w niczym jej nie pomógł... na razie. Kristi chciała to zmienić i to już wkrótce. Tymczasem korzystała z przecieku w departamencie - z tego przystojnego młodego policjanta po kilku drinkach można było coś wydusić. Owszem, zależało mu głównie na tym, żeby zaciągnąć ją do łóżka, oboje o tym wiedzieli, ale może coś mu się jednak wypnie.

Więc jeśli ojciec nie będzie skłonny do współpracy, co jest dość prawdopodobne, będzie mogła liczyć na swojego znajomego.

Teraz jednak musi jak najszybciej dostać się na miejsce zbrodni i jak najwięcej się dowiedzieć. Pod klasztorem będą media, dziennikarze i ekipy stacji telewizyjnych. A ona, córka gliniarza, znała się na sztuce obserwacji. Ojciec, w stosunku do niej nadopiekuńczy, nalegał, by uczyła się obserwować otoczenie i zawsze była przygotowana na jakiś atak albo porwanie. Płacił za treningi samoobrony i upierał się, by idąc pobiegać do parku, zabierała gwizdek i spray z pieprzem. Zwłaszcza jednak uczył ją mieć oczy szeroko otwarte i zwracać baczną uwagę na wszystko, co się wokół niej dzieje. Miał fioła na tym punkcie, ciągle mu się wydawało, że ktoś, kogo posłał do więzienia, może chcieć w akcie zemsty skrzywdzić Kristi.

Ale ona wiedziała, jak się bronić, i już to udowodniła.

A po porwaniu, którego stała się ofiarą, wzięła rady ojca do serca i ze zdwojoną energią zabrała się do ćwiczeń w sztukach wojennych i posługiwaniu się bronią. Jak powiedział kiedyś jej przyjaciel, była prawdziwym wojownikiem... a raczej wojowniczką.

Znowu otworzyła szafę i wyjęła z niej zniszczoną bejsbolówkę. Potem wyciągnęła z torby okulary przeciwsłoneczne. Włożyła je i czapkę, daszek zsunęła nisko na czoło. Spojrzała w lustro. Tak, nawet ojciec prawdopodobnie jej nie pozna.

A gdyby nawet, to co z tego?

W końcu to ciągle jest wolny kraj.

Półżywa zakonnica leżała na łóżku rozebrana i jęczała cicho. Było to dość irytujące. Znowu zaczynała odzyskiwać przytomność. To błąd, że do tego dopuścił. Czyż Głos nie kazał mu jej porwać, zabić, a potem się

jej pozbyć? Czyż Bóg nie powiedział mu wyraźnie, czego żąda?

A jednak Wskrzesiciel improwizował.

Przywiózł ją tu, do swojej chaty w lesie, a nie do miejsca wyznaczonego przez Pana.

No i ona nadal żyła.

Dlatego, że dał się ponieść emocjom. Ciągle jeszcze nabuzowany po pierwszym zabójstwie, uznał, że może podejmować własne decyzje, że jest Wskrzesicielem i wolno mu decydować o tym, kto będzie żył, a kto umrze. Ale mylił się. Bóg srodze się na niego rozgniewa. Może nawet go ukarze. Może cofnie swą obietnicę deifikacji. Musi działać szybko. Musi naprawić błąd.

Bóg jest wszechwiedzący. I pała gniewem. Dlatego do ciebie nie przemówił. Już spadła na ciebie jego kara! Podekscytowany stanął przed kominkiem. Numer 111 - ten ostatni - lśnił na jego ciele tuż przy innych. Patrzył przez chwilę na słowa, które wiele godzin tatuował na skórze. Ciągle czuł ukłucia igły i piekący ból. Było ich tyle, starych i całkiem nowych.

- Aaaa - jęknęła zakonnica. Wskrzeszona.

Przywrócona do życia po to tylko, by zanurzyć się w otchłani już na zawsze. Pomyślał o ozdobieniu swojego ciała jej numerem, ale postanowił z tym poczekać. Rytuał był zawsze taki sam. Tatuaż dopiero po śmierci ofiary.

No nie całkiem, pomyślał. Złamałeś już tę zasadę... Spójrz w lustro. Na swoje odbicie. Co widzisz?

Zobaczył jej imię. Eve. Wryte w jego skórze, przypominające mu o niej. Przesunął po nim palcem i wyobraził sobie igłę, która wkuwa się w jej jędrne ciało, coraz szybciej, coraz głębiej... A ona z każdą chwilą należy coraz bardziej do niego.

Serce zabiło mu mocniej. Eve! Eve! Eve!

Złamał własne zasady dla niej, ale to... Ta zakonnica była mu przecież obojętna.

Odwrócił się i spojrzała na nią. Oprzytomniała. Patrzyła na niego szeroko otwartymi z przerażenia oczami i bełkotała coś niezrozumiale przez knebel.

- Viv- szepnął.

Skurczyła się na dźwięk swojego imienia. Jej blade ciało błyszczało lekko w świetle ognia z kominka.

Potrząsała głową i bezgłośnie krzyczała: :Nie!:

W pewnym sensie było mu żal tej grzesznicy, podszedł więc do ołtarza, wziął różaniec i wsunął go między palce jej związanych dłoni. Łzy spłynęły jej po policzkach, on jednak wiedział, że już zaczęła szukać ukojenia w modlitwie.

Wtedy zabrał się do pracy.

## Rozdział 22

Co ona narobiła?

Eve otworzyła oczy i przewróciła się na bok, pewna, że Cole leży obok niej. Te długie upojne godziny z nim to nie sen. Była obolała we wszystkich swoich intymnych miejscach, co przypomniało jej, że poprzedniego wieczoru, kiedy ciągle znajdowała się pod wpływem leków, właściwie uwiodła Cole'a Dennisa!

Teraz jednak nie było go przy niej, a kiedy się obróciła, jej ramię przeszył koszmarny ból.

No tak.

Jeszcze i to.

Obrzuciła się szybko spojrzeniem. Miała na sobie tylko temblak.

- Wspaniale - mruknęła, wstając z łóżka.

Popatrzyła w lustro nad toaletką: wyglądała gorzej, niż przypuszczała: posiniaczona, rozczochrana, oczy podkrążone. Albo ubiegła noc była wyjątkowo udana albo wręcz przeciwnie.

No i gdzie jest Cole?

A jeśli zwiął?

Byłoby nawet dobrze. Bardzo dobrze. Nie może znowu się w to zaangażować. Chyba że ma zamiar popełnić emocjonalne samobójstwo.

Spójrz prawdzie w oczy, Eve. Już jesteś zaangażowana.

Skrzywiła się na samą myśl o tym i wtedy usłyszała głos Cole'a. Śpiewał, fałszując okropnie, a tęskna melodia dotarła do niej wraz aromatem świeżo parzonej kawy. Jak za dawnych, dobrych czasów. Jakby nie przeżyli tego całego koszmaru, który sprawił, że omal nie spotkali się na sali sądowej. Jakby nigdy nie uważała, że Cole usiłował ją zabić, a on nie podejrzewał jej o to, że spała z innym mężczyzną.

Jakby biedny Roy nie zginął...

- To jakaś opera mydlana - mruknęła, chwyciła szlafrok i poszła boso do łazienki na drugim piętrze.

Wzięła szybki prysznic, a potem łyknęła kilka tabletek przeciwbólowych i osuszyła włosy ręcznikiem. Musnęła rzęsy tuszem i nałożyła na wargi odrobinę błyszczycy - to musi wystarczyć. Narzuciła szlafrok, zawiązała go ciasno paskiem i omal nie potknęła się na schodach o Sam-sona.

- Lepiej uważaj - ostrzegła kota, idąc za nim do kuchni, gdzie na



patelni apetycznie skwierczał bekon.

Cole stał przy zlewie.

I, cholernik, wyglądał bardzo seksownie.

Zaparzył kawę i rozbił jajka, podczas gdy na talerzu parowały grzanki.

- Zrobiłeś zakupy? - spytała.

Stary toster wydał cichy brzęk i wyskoczyły z niego dwie kolejne, apetycznie przyrumienione grzanki.

- Byłem tylko na targu - odparł, spoglądając na nią ze znaczącym uśmiechem, który miał jej zapewne przypomnieć o ubiegłej nocy.

Drań!

Ale jej głupie serce natychmiast zabiło mocniej. Do diabła z tym facetem, doskonale wiedział, jak na nią działa, i wykorzystywał to bez skrpułów. Nawet teraz, w zmiętych dżinsach i podkoszulku, odwrócony do niej tyłem i zajęty smarowaniem grzanek masłem, wyglądał bardzo seksownie. Dżinsy trzymały mu się nisko na biodrach, koszula przy każdym ruchu napinała się na szerokich plecach i momentami ukazywało się gładkie, opalone ciało.

- Podoba ci się to, co widzisz? - spytał, nawet się nie odwracając. Zacerwieniła się lekko.

- Owszem, ładny widok.

- Fantastyczny, nie ładny.

- Co za skromność. Spojrzał na nią przez ramię.

- O co ci chodzi? Miałem na myśli ogródek - wskazał brodą okno, za którym rósł krzew magnolii. Ale jego uśmiech mówił coś zupełnie innego.

- Jesteś okropny, wiesz o tym?

- Słyszałem już gorsze rzeczy na swój temat. - Cole wziął kubek, umył go i nalał kawy. - Dupek, drań, szumowina... co tylko chcesz.

- Prawnik?

- Tak - roześmiał się. - To też już słyszałem. - Dolał do kawy odrobinę śmietanki i postawił kubek przed Eve.

- Starasz się być czarujący, prawda?

- To u mnie naturalne.

- Akurat. - Eve podmuchała na gorącą kawę, próbując nie myśleć o tym, jak nieswojo się czuje, tu, we własnym domu, w towarzystwie Cole'a. Spędziła już tutaj parę samotnych nocy i powiedziała sobie, że

tę właśnie chce, ale teraz nie była wcale taka pewna.

- Posłuchaj, Cole, co do tej nocy...

- Hm?

- To, co zrobiliśmy... Żle się stało.

- Czyim zdaniem? Policji seksualnej czy szwadronów kamasutry?

- To nie jest śmieszne - powiedziała, ale nie mogła powstrzymać uśmiechu.

- A ja myślę, że bardzo.

- Nie zmieniaj tematu. Wiesz, że mam rację.

- To znaczy?

- Nie możemy się zachowywać jak para napalonych nastolatków. Położył dłonie na blacie i spojrzał jej w oczy.

- Być może twoje wspomnienia z ostatniej nocy są trochę zamglone i fragmentaryczne, moje natomiast bardzo wyraźne, i wyglądało to mniej więcej tak, że ja mówiłem :nie:, a ty naciskałaś.

Eve uniosła dłoń w obronnym geście.

- To ty mnie uwiodłaś, nie odwrotnie. Ja starałem się zachować szlachetnie, ale ty nie dawałaś za wygraną.

- W porządku, tak, wiem...

- Więc ciesz się tym. Uznaj to za wspaniałe doświadczenie.

- Ale to się już nie powtórzy?

- Tę nie mogę obiecać - uśmiechnął się Cole. - A sądząc z tego, jak się zachowywałaś wczoraj wieczorem, ty chyba też nie. I nie opowiadaj mi, że to z powodu leków, bo i tak nie uwierzę. Byłem tam, skarbie, i to całkowicie przytomny. Pamiętam wszystko. Bardzo wyraźnie.

Eve spuściła oczy i poczuła, jak jej twarz i szyję oblewa rumieniec.

- Nie przejmuj się tym, dobrze? Mamy teraz znacznie większe problemy.

Z tym nie mogła się nie zgodzić.

- No tak. Ale biorąc pod uwagę zaistniałą sytuację, muszę chyba zadzwonić do mojego prawnika i załatwić zniesienie zakazu zbliżania się do mnie, który ciągle cię obowiązuje.

- Dobra myśl, to może pomóc. - Podsunął jej pod nos talerz z jajecznicą na bekonie, serem i ziemniakami. - Proszę, twoje śniadanko.

- A gdzie zielona pietruszka? - spytała, ale wszystko wyglądało tak apetycznie, że ślina napłynęła jej do ust.

- Na targu akurat się skończyła. - Postawił na stole drugi talerz i

podał Eve papierowy ręcznik i sztucce. - Nie mieli też serwetek. Ale kupiłem jabłka. - Wskazał stojący na blacie koszyk.

- Wybaczam ci - mruknęła, wyjmując z jego dłoni nóż i widelec.

- Ja myślę. A teraz jedz. Później porozmawiamy o tym, kto zadzwoni na policję i powie o szpitalu i lalce.

Eve odgryzła kawałek grzanki.

- Nie chcę nawet o tym myśleć.

- Wiem. Ale musimy.

- Po śniadaniu.

- Zdecydowanie.

Jajka były pyszne, bekon chrupiący, ziemniaki wspaniałe. Eve myślała właśnie o tym, że Cole mógłby częściej przygotowywać takie śniadania, kiedy zadzwonił telefon.

- Chyba wolę nie wiedzieć, kto to - westchnęła, ale spojrzała na ekran i wzięła się w garść. - Halo?

- Eve? Mówi Anna Maria. - Jak zwykle bez tchu. - Miałaś jakieś wieści od Kyle'a? On... on nie wrócił do domu, a kiedy do niego zadzwoniłam, powiedział, że jest w Nowym Orleanie! - Zaciągnęła się głęboko papierosem. Wydawała się bardzo zdenerwowana. - Możesz w to uwierzyć? Nawet nie zapytał, czy nie chciałabym pojechać razem z nim, nawet nie wpadł do domu, żeby się spakować. Po prostu wyjechał... Wygląda na to, że tego samego dnia, co ty!

- Nie wiedziałam - odparła Eve. Wrażenie domowej przytulności sprzed kilku chwil nagle przysło.

- Powiedział, że ma zamiar się z tobą spotkać... Pamiętasz, jak mówiłam ci, że interesuje go testament? Słuchaj, jeśli się z tobą skontaktuje, poproś, żeby do mnie zadzwonił, dobrze?

- Oczywiście.

- Pakuję się właśnie... także jego rzeczy. Za kilka godzin wyjeżdżam i będę w Nowym Orleanie dziś wieczorem, nie wiem dokładnie, o której, to zależy od ruchu na drogach... Ale proszę, powiedz Kyle'owi, żeby do mnie zadzwonił.

- Jeśli tylko się ze mną skontaktuje.

- Dzięki. - Anna Maria westchnęła ciężko. - Nie muszę ci mówić, że mieliśmy ostatnio pewne problemy, alej ą, w przeciwieństwie do twojego brata, uważam, że lepiej spojrzeć prawdzie w oczy i o wszystkim porozmawiać, zamiast uciekać. O, dzwoni drugi telefon...

Pamiętaj, powiedz Kyle'owi, żeby do mnie zadzwonił. Ściskam cię, pa.

Rozłączyła się, zanim Eve odłożyła słuchawkę.

- Moja bratowa - wyjaśniła. - Mój brat jest w Nowym Orleanie. Wygląda na to, że odkąd wyjechałam z Atlanty, w ogóle nie był w domu.

- Dlaczego?

- Tego nie powiedziała, ale wierz mi, już dawno przestałam próbować zrozumieć moją rodzinę.

Cole prychnął.

- Witaj w klubie. A teraz powinniśmy zadzwonić na policję i powiedzieć, co znaleźliśmy w szpitalu. - Wziął plecak i wyjął z niego dokumenty Faith Chastain. - Najpierw jednak przejrzymy to.

Eve kiwnęła głową, choć trochę obawiała się tego, czego mogła się jeszcze dowiedzieć. Pogrzebała zdrową ręką w kilku szufladach i wyciągnęła dwa notatniki i długopisy.

- Myślę, że policja będzie chciała to zatrzymać - postukała palcem w dokumenty.

Usiadła przy stole i zaczęła czytać. Cole nalał kawy do kubków, przysunął sobie krzesło i usiadł obok.

Dziwnie było czytać te notatki. Jedne były napisane na maszynie, inne odręcznie, a wszystkie dotyczyły kobiety, która przeszła kilka załamań nerwowych, walczyła z depresją i prawdopodobnie miewała halucynacje. Notatki sporządzili psychiatrzy, psychologowie, a nawet kilka osób duchownych. Nigdzie jednak nie było żadnej wzmianki o ciąży ani porodzie.

- Może to nieprawda? - powiedziała Eve, kręcąc głową. - W końcu czy coś wskazuje na to, że jestem córką Faith?

Ale zanim Cole zdążył odpowiedzieć, rozległ się dzwonek do drzwi.

- O wpół do dziewiątej rano? - mruknęła Eve. - Niemożliwe, żeby... zaraz, zaraz... Anna Maria mówiła, że Kyle się do mnie wybiera.

- Myślę, że właśnie stoi za drzwiami - oświadczył Cole.

Eve spojrzała ponad jego ramieniem i w wąskiej szybie w drzwiach zobaczyła swojego starszego brata. Wysoki i ponury, patrzy! na nią oczami, które zdawały się nigdy nie uśmiechać.

Pod Eve ugięły się nogi.

- I nie jest sam - dodał Cole chłodno.

W tej samej chwili spostrzegła Vana, stał trochę z boku, opalony, z

papierosem w ustach, zdenerwowany jak dziki kot zamknięty w klatce. Jej bracia. Obaj. Tutaj. Teraz.

A poranek zapowiadał się tak miło.

- Bez komentarza - powiedział Bentz.

Minął dziennikarza i poszedł do samochodu. Miejsce zbrodni, otoczone policyjną taśmą i już poddane różnym badaniom, wyglądało dokładnie tak, jak się spodziewał. Omal nie wymiotował na widok ciała, które ciągle jeszcze leżało na dziedzińcu, pod krwawym numerem na murze i z upiornym tatuażem na czole. Brzeg białego zakonnego welonu był zakrwawiony.

Udało mu się nie zwrócić porannej kawy i zadać kilka pytań, wkrótce jednak zauważył, że baterie w jego dyktafonie właśnie się rozładowały.

Dowiedział się, że siostra Odine, idąc do kaplicy, natknęła się na ciało matki przełożonej. Zadzwoiła najpierw na 911, a potem do Bentza, ponieważ poznała go osobiście ubiegłej jesieni. Zastępca szeryfa także przyjechał, a kiedy tylko przyjęto zgłoszenie o zabójstwie, Bentz został poinformowany po raz drugi, akurat wtedy, gdy podjeżdżał pod klasztor.

Teraz wziął zapasowe baterie ze schowka na rękawiczki i wrócił pod klasztor. Dziennikarze stali za blisko, warknął więc do policjantów, by odsunęli reporterów, kamerzystów i gapiów nieco dalej. Było już jasno i zapowiadał się upalny dzień. Bentz zaczął się pocić.

Podeszła do niego jakaś dziennikarka, trochę po trzydziestce. Włosy prosto od fryzjera, inteligentne spojrzenie.

- Detektywie, może zechce pan poświęcić mi minutkę - uśmiechnęła się do niego. - Ostatnio doszło do trzech morderstw. Są podobne do siebie i wszystkie mają coś wspólnego ze szpitalem i klasztorem Naszej Pani od Cnót. Czy może pan powiedzieć kilka słów na temat związków między tymi zabójstwami? Czy po naszych ulicach chodzi kolejny seryjny morderca?

Bentz stał w oślepiającym świetle kamer.

- Nie mogę tego na razie komentować. Ale jestem przekonany, że nasz rzecznik jeszcze dziś wyda oświadczenie. Do tego czasu jednak naprawdę nic nie mogę powiedzieć.

Ludzie mają prawo wiedzieć, co się dzieje.

- W odpowiedniej chwili wystosujemy oświadczenie - powtórzył Bentz.

Bardzo starał się zachować spokój, ale prasa i ci przekleci gapie, karmiący się takimi krwawymi zbrodniami jak wampiry, doprowadzali go do szału.

- Trzymajcie ich z dala od tego — polecił policjantom, wskazując dłonią ekipy dziennikarskie i gapiów. Kątem oka dostrzegł wśród nich kobietę w bejsbolówce, wydała mu się znajoma. Przyjrzał się jej dokładniej i rozpoznał córkę. Jeszcze przed chwilą patrzyła na niego, teraz jednak odwróciła głowę.

Co ona sobie wyobraża? Gdyby nie był tak zajęty, podszedłby do niej i kazał jej wracać do domu albo jechać do pracy czy gdziekolwiek, byle stąd zniknęła. Miał jednak co innego do roboty.

Chryste, co za koszmar!

Przeszedł szybko przez bramę i ruszył w stronę klasztoru. W ogrodzie Bonita Washington w rękawiczkach i osłonach na buty dokonywała oględzin ofiary.

- Milutko, nie ma co - powiedziała, wskazując głową kruche ciało starej zakonnicy. - Santiago, nie zapomnij zrobić zdjęć tatuażu na jej czole.

Inez Santiago, z długimi radymi włosami związanymi z tyłu głowy, podeszła bliżej i sfotografowała tatuaż.

- Nie naróbcie tu bałaganu, panowie. Ciągłe jeszcze pracujemy - ostrzegła Washington.

- Znamy procedury - burknął Montoya, nadal w kiepskim nastroju. - Chcemy tylko zobaczyć, co się tu dzieje. - Spojrzał na nią ostro.

Bentz zauważył, że jego partner nerwowo zaciska usta. Miał w końcu osobiste związki z tym klasztorem i zakonnicy, które mimo postanowień II Soboru Watykańskiego ciągle nosiły habitę.

- Jak my wszyscy, prawda? - odparła, po czym podeszła do swoich techników. - Santiago, Tennet, jak wam leci?

Santiago zrobiła kolejne zdjęcie.

- Potrzebuję jeszcze kilku minut.

AJ. Tennet, który często pracował z patologiem, podniósł do góry niewielką kasetkę. - Mam próbki krwi.

- Uważaj na nie... Nie chcemy, żeby ktoś oskarżył nas o utratę dowodów albo inne zaniedbania - powiedziała Washington, przypominając wszystkim o tym, co stało się po morderstwie Kajaka.

Tennet uśmiechnął się szeroko.

- Jasne.

- Dobra.

Technicy wrócili do pracy, a Montoya i Bentz obeszli ogród, w którym siostra Rebecca zakończyła życie. Krzyczały cykady, skrzeczały żaby, woda w fontannie szemrała cicho. Budził się dzień. Gdyby nie martwe ciało i krew na kamiennej ścieżce, byłoby to idylliczne miejsce, oaza spokoju i kontemplacji.

Zostało jednak sprofanowane, na zawsze.

- Czasami ta robota jest naprawdę wredna - mruknął Montoya. Bentz zmrużył oczy, oślepiiony słońcem, które właśnie weszło nad ogrodem.

- Nie czasami - odparł. - Zawsze.

Przez chwilę rozglądał się po terenie, usiłując wyobrazić sobie, jak zabójca się tu dostał, jak zaskoczył zakonnicę i jak ją zamordował.

Nie miała żadnych szans, pomyślał, wchodząc do klasztoru. Na korytarzach panował mrok i cisza, zakłócana niekiedy szeptem zakonnice. Siedziały w rzędzie i czekały na wezwanie do pokoiku, gdzie odbywały się przesłuchania. Małą celę siostry Rebecki i jej nieco bardziej okazały gabinet sprawdzała właśnie policja, gdyż uznano, że to także miejsce zbrodni, podobnie jak teren, na którym ją znaleziono, niewielki dziedziniec niedaleko klasztorowego budynku.

Fantastyczne miejsce na morderstwo, pomyślał Bentz, wkładając baterie do dyktafonu, po czym usiadł naprzeciw siostry Odine. Była to drobna, krucha kobieta koło siedemdziesiątki, ostra jak brzytwa.

I ona, i inne zakonnice powtarzały właściwie jedno i to samo: siostra Rebecca uczestniczyła w nieszpórach, a później, jak zwykle, pracowała w swoim gabinecie. Kilka sióstr spoglądało w jego okna i widziało w nich światło.

Właściwie nie było nic dziwnego w tym, że poszła samotnie do ogrodu czy do kaplicy. Umysł i ciało miała sprawne, a snu potrzebowała niewiele, zaledwie kilka godzin na dobę. Siostra Odine znalazła jej zwłoki, kiedy szła wczesnym rankiem do kaplicy.

Montoya poprosił ją o listę osób, które dzwoniły do siostry Rebecki lub odwiedzały ją w ciągu ostatnich dwóch miesięcy, a Bentz zażądał tego samego od wszystkich, którzy mieszkali lub pracowali w Naszej Pani od Cnót.

Okazało się, że na niektóre ich pytania odpowiedzieć może ktoś z miejscowej parafii, a na inne tylko archidiecezja, a kiedy poprosili o dokumenty dotyczące osób zatrudnionych w szpitalu lub przyjmowanych do niego na leczenie, siostra Odine otworzyła usta, po czym niemal natychmiast je zamknęła i pokręciła głową.

— Przykro mi — powiedziała ale nie mam pojęcia, gdzie one mogą być. Oczywiście możecie panowie zapytać o to w archidiecezji i przejrzeć wszystko, co tam jest, ale szpital został zamknięty wiele lat temu, więc nie wiem, czy takie akta jeszcze istnieją. Zamrugła i nerwowym gestem dotknęła krzyża na szyi. Powinno jednak coś się znaleźć. Poszukam.

- Jeden z naszych oficerów siostrze pomoże oświadczył Bentz, a drobna zakonnica uniosła wysoko brwi. Zrozumiała, choć nie zostało to wyraźnie powiedziane, że Bentz robi, wszystko, by zdobyć dowody, i że nie ufa nikomu, nawet kobiecie, która od czterdziestu lat służyła wyłącznie Bogu.

Przesłuchali wszystkich, ale niewiele się dowiedzieli. Tymczasem technicy ciągle przeszukiwali teren, fotografowali, filmowali i pobierali odciski. Robili to jeszcze po odjeździe Bentza i Montoi. Na razie nikomu nie udało się odkryć, w jaki sposób zabójca dostał się na teren klasztoru. Bramy już od kilku lat były zamknięte na klucz, ogrodzenie wydawało się nienaruszone.

Bentz spojrział na mur. Na pewno można na niego wejść, zwłaszcza po drabinie, pomyślał, ale nigdzie w błocie pod nim nie było śladów, które mogłyby na to wskazywać. Nie znaleziono też odcisków stóp, przynajmniej na razie. Ale dochodzenie dopiero się rozpoczęło.

Zabójca nie mógł mieć tak wielkiego szczęścia. I nie przez cały czas.

Wcześniej czy później musi popełnić błąd.

Bentz miał tylko nadzieję, że nastąpi to, zanim ktoś jeszcze skończy z poderzniętym gardłem.

- Na litość boską, Eve! Co on tu robi? - spytał Kyle, spoglądając na Cole'a takim wzrokiem, jakby widział wcielonego diabła.

- Zostałem zaproszony - odparł Cole, choć Eve wiedziała, że to nie do końca prawda. - A ty?

Już kiedyś dał jej do zrozumienia, że nie ma najlepszego zdania o żadnym z jej braci. Najwyraźniej teraz również nie widział powodu, by okazywać im jakieś szczególne względy.



- Przyjechaliśmy z powodu ojca - powiedział Van, rzucając niedopałek papierosa w wilgotną trawę.

Był niższy od Kyle'a, miał jaśniejszą skórę i ciemnoblonde włosy. Włosy Kyle były brązowe jak kawa. Obaj mieli natomiast takie same zimne, niebieskie oczy jak ich ojciec. Tak przynajmniej twierdziła Melody Renner. Eve widziała pierwszego męża matki tylko na zdjęciach.

- Ale przecież to tego faceta oskarżyłaś o zabójstwo Kajaka... a teraz co? Sypiasz z nim? Całkiem ci, kurwa, odbiło? - wydarł się Kyle.

Nie chcę o tym rozmawiać - odparła Eve spokojnie, odsuwając się od drzwi, by wpuścić braci do środka. I uważaj, jakich słów używasz, Kyle, dobrze? Mam sąsiadów.

Przez trzy miesiące twierdziłaś, że ten facet zamordował Roya Kajaka i próbował zabić również ciebie!

Myliliam się. - Eve zatrzęsnęła drzwiami i wciąż starała się zachować spokój.

Tak po prostu? Ot, tak? - Kyle strzelił palcami, a Van wyglądał, jakby miał ochotę zapaść się pod ziemię. - Kurwa, nie mogę w to uwierzyć.

Eve prosiła chyba, żebyś się tak nie wyrażał - rzucił Cole ostrzegawczo.

- Wystarczyło, że na moment spuściłem cię z oka, a ty znowu zaczęłaś się prowadzić z tym... tym zabójcą. Sypiać z nim... co to, jakaś perwersja?

- Lepiej, żebyś już sobie poszedł - powiedział zimno Cole, mrużąc oczy. Awantura wisiała w powietrzu.

- To chyba ty powinieneś się stąd wynieść - odparł Kyle, czerwony ze złości. Palcem wskazał podłogę. - To był dom naszej babki. Nie masz tu czego szukać!

- Dość już tego! - Eve stanęła między nimi. Popatrzyła na Cole'a, a potem na swojego brata. - Siadajcie obaj i uspokójcie się.

- Nie bądź idiotką, Eve - mruknął Kyle. - On się tobą bawi. Pogrywa tobą.

Cole zeszywniał, ale jego głos brzmiał chłodno, jak głos zdystansowanego prawnika.

- Jeśli ktoś tu w coś pogrywa, to raczej ty, Renner. Po co tu przyjechałaś? Z powodu ojca? Nie zapominaj, że to ja go reprezentuję. I

wiem, że był ci obcy. Przyjechaliście tu obaj, bo chcecie dorwać się do jego majątku.

- To nie tak! - Wybuchnął Van, lecz kiedy Cole spojrział na niego, odwrócił wzrok.

- Zaczniemy jeszcze raz - zaproponowała Eve. - I nie skaczymy sobie do oczu.

Przez chwilę wszyscy milczeli. Bracia Eve rozglądali się po domu, jakby nigdy wcześniej w nim nie byli. Kyle przesunął palcem po boazerii w korytarzu, a Van patrzył na obrazy, kinkiety, dywany i meble tak, jakby w myślach już szacował ich wartość.

- Ładnie tu - zauważył, wyraźnie starając się rozładować atmosferę. Uspokoił się i Eve przyjęła to z ulgą. Uświadomiła sobie nagle, że od wielu lat żaden z jej braci nie był w tym domu.

- Właśnie skończyliśmy śniadanie, ale jest jeszcze kawa i grzanki - zaprosiła ich do kuchni.

Cole, który szedł pierwszy, zdołał jakoś sprzątnąć ze stołu dokumenty Faith Chastain i wsunąć je pod stertę starych gazet.

- Nie rób sobie kłopotu - powiedział Kyle, kiedy sięgała po kubki do szafki, i wskazał palcem temblak, jakby dopiero teraz go zauważył. - Co się stało?

- Upadłam.

Van spojrział na Cole'a.

- Czyżby?

- Tak, potknęłam się - odparła Eve chłodno. - Ale jestem w stanie zrobić kawę.

- Ja dziękuję - mruknął Kyle.

- Ja też. Już piłem - dodał Van. - Przyjechaliśmy z powodu ojca. No i zapytać, czy nie potrzebujesz pomocy przy pogrzebie albo w sprawie majątku.

- Prawdę mówiąc, jeszcze o tym nie myślałam. Policja na razie nie wydała ciała.

- Ile to może potrwać?

- To zależy. Od wielu rzeczy. - Cole wziął jabłko z koszyka i zaczął przekładać je z jednej ręki do drugiej, jakby chciał w ten sposób rozładować napięcie. - Możecie domagać się wydania zwłok, ale dopóki policja nie wykona wszystkich badań, i tak będziecie musieli poczekać.

- Podrzucił jabłko wysoko do góry, a potem, nie patrząc, złapał je jedną

ręką. - A skąd ten pośpiech?

- Nie ma sensu tego przeciągać. - Kyle sięgnął do kieszeni po papierosy, wytrząsnął jednego z paczki i włożył do ust. Potem z tej samej kieszeni wyjął zapalniczkę i wtedy napotkał pełne dezaprobaty spojrzenie Eve.

- Och, na miłość boską, Eve, chyba pozwolisz mi tu zapalić? W końcu siedziałas u mnie tyle czasu.

- Na dworze - powiedziała twardo i rzuciła mu telefon. - I zadzwoń do żony. Odchodzi od zmysłów, zamartwiając się o ciebie.

- Że odchodzi od zmysłów, to prawda. Co za kobieta! - Ale złapał telefon.

- Zadzwoń na komórkę. Ona już tu jedzie.

O kur... - Spojrzał na nią ponuro i z papierosem w ustach wyszedł przed dom.

Gdy drzwi się za nim zamknęły, odezwał się Van.

- Posłuchaj, Eve, przykro mi, że nie przyjeżdżałem do ciebie częściej, wiesz, kiedy dochodziłaś do siebie po tym wszystkim, ale byłem bardzo zajęty i... cóż, wiem, że to żadne wytłumaczenie, ale naprawdę nie mam ani chwili... - Zaciśnął wargi. - Ani chwili wolnego. Haruję bez przerwy, żeby jakoś związać koniec z końcem. Cholera, przeprowadziłem się do Arizony, bo kumpel mi powiedział, że są t am teraz duże możliwości.

- I rzeczywiście są? - spytała.

Cole podszedł do okna, skąd mógł obserwować Kyle'a.

- Bo ja wiem. Ale kiepsko mi się wiodło. Zadzwoniłem nawet do Kyle'a.

- Nic mi nie mówił.

- Chyba nie chciał was martwić, ciebie i Anny.

Gówno prawda, miała na końcu języka, lecz się powstrzymała. Van przeczesał włosy palcami.

- Więc chodzi o to, że jestem...

- Bez grosza - domyślił się Cole.

Van kiwnął głową, spojrzął w okno i zmarszczył brwi.

- Im szybciej uda nam się podzielić majątek ojca, tym lepiej dla mnie. I dla Kyle'a. Do diabła, dla ciebie też.

- Ja nie jestem wykonawcą jego woli, Van. Przynajmniej tak mi się wydaje.

- Nie masz kopii jego testamentu?

- Nie.

- Więc musi być gdzieś w jego domu. - Na myśl o tym Van wyraźnie poweselał.

- Farma jest teraz miejscem zbrodni. Nie wiem, czy policja już się stamtąd wyniosła.

- Jezu, ile to może potrwać?

- Znacznie dłużej, niż pokazują w telewizji - odparł Cole.

- No to jak dowiemy się o pieniądzach? Ojciec był przecież nadziany.

- Ja nic o tym nie wiem - przyznała Eve.

- Ale ktoś musi coś wiedzieć - upierał się Van. - Naprawdę przydałaby mi się ta forsa.

- A skąd wiesz, że coś ci zapisał? - spytał Cole. - Terrence mógł zostawić wszystko jakiejś organizacji charytatywnej.

- Nie... nie mógł. Nie zrobiłby czegoś takiego. - Van się przeraził. Odsunął długie włosy z twarzy. - Posłuchaj, Eve, musimy to ustalić.

- Ustalimy, kiedy będziemy mogli wejść do jego domu i poszukać testamentu.

Cole odsunął się od okna.

- Idź do Guya Perrine'a z kancelarii O'Black, Sullivan i Kravitz. Nie jestem pewny, ale Terrence mógł z nim pracować. O mnie lepiej nie wspominać, ciągle jestem tam persona non grata.

- A jeśli ten facet, ten Guy, nie ma testamentu? Cole spojrział na niego chłodno.

- To będzie znaczyło, że masz pecha, kolego.

- Nie kłóćmy się - powiedziała Eve, kiedy Kyle wrócił do kuchni, otwierając drzwi z takim impetem, że uderzyły w ścianę.

- Ona tu jedzie - warknął, patrząc gniewnie na Eve, jakby to ona była odpowiedzialna za jego małżeńskie problemy. - I już świruje z powodu tej zakonnicy.

- Zakonnicy? - spytała Eve, marszcząc brwi.

- Matki przełożonej z klasztoru Naszej Pani od Cnót.

- Siostry Rebecki? - Pod Eve ugięły się kolana. Z twarzy Kyle'a wyczytała, że stało się coś strasznego.

Kyle kiwnął głową.

- Tak, o nią właśnie chodzi. Anna Maria mówi, że trąbią o tym we

wszystkich wiadomościach. Podobno ubiegłej nocy została zamordowana.

## Rozdział 23

Bentz szedł z Montoyą w stronę samochodu, kiedy zadzwoniła jego komórka. Na ekranie pokazał się numer Eve Renner. Po raz pierwszy tego ranka odebrał telefon.

- Bentz.

- Mówi Eve Renner. Właśnie usłyszałam o siostrze Rebecce. To znowu on, prawda?

- Nie mogę rozmawiać o sprawie, pani Renner. Ale tak, dokonano morderstwa.

- Media podają, że ofiarą jest matka przełożona - ciągnęła Eve, a Bentz zastanawiał się, kto jest odpowiedzialny za ten przeciek. - Wiem... po prostu wiem, że to ten sam człowiek. Chciałabym pomóc... Znalazłam... znalazłam coś, co powinien pan chyba zobaczyć.

- Co'?

- Lepiej, żeby sam pan to zobaczył. Bentz nie lubił takich gier.

- Dobrze. Gdzie?

- W szpitalu.

- Jakim szpitalu? - spytał, ale wiedział, co zaraz usłyszy, i zrobiło mu się zimno.

- Naszej Pani od Cnót.

- Jestem w tej chwili pod klasztorem.

- Więc proszę otworzyć główną bramę szpitalną. Przyjadę za jakieś pół godziny.

- Czy nie może mi pani po prostu powiedzieć, o co chodzi? - Bentz się zirytował.

- To dość skomplikowane i na pewno zechce pan sam to zobaczyć - odparła stanowczo, choć w jej głosie brzmiała też nuta strachu. - Mam też coś, co pana zainteresuje. Coś, co stamtąd zabrałam. Dokumentację medyczną Faith Chastain.

- Co ?!

Rozłączyła się. I tyle.

- Cholera!

Montoya zatrzymał się i spojrzał na niego.

- O co chodzi, do diabła?

- Nie wiem - odparł Bentz - ale nie podoba mi się to. Odsunął się trochę, kiedy kilku ludzi od koronera wynosiło z klasztoru czarny

worek z ciałem. Dziennikarze stali przed samochodami i furgonetkami telewizyjnymi, zaparkowanymi wzdłuż alei prowadzącej do klasztoru. Wcześniej, gdy policjanci przeszukiwali ogród, usłyszał nad głową warkot, a kiedy spojrział w górę, dostrzegł helikopter z logo znanej stacji telewizyjnej. Prawdopodobnie kamerzysta liczył na dobre ujęcia z lotu ptaka.

Bentz zdawał sobie sprawę z tego, że media często okazują się przydatne. Czasami lokalne stacje odgrywają dużą rolę w śledztwie, pokazując zdjęcia poszukiwanych przestępców albo prosząc swoich widzów o pomoc w odnalezieniu podejrzanego lub ofiary. Tego dnia jednak nie chciał mieć z nimi do czynienia.

- Daj mi sekundę. Muszę jeszcze coś załatwić. Spotkamy się przy samochodzie.

- Co? - zawołał za nim Montoya, Bentz nie odwrócił się jednak. Nie rozumiał dlaczego, ale czuł, że musi zrobić to, o co prosiła Eve

Renner. Może to z powodu desperacji i strachu w jej głosie. Podeszedł do biurka, przy którym siedziała wstrząśnięta, ale opanowana sekretarka. Przed nią stał telefon i komputer, choć większość notatek leżących na biurku została napisana odręcznie piękną kursywą. Bentz zauważył trzy starannie zaostrzone ołówki w rowku na brzegu biurka.

Pani Miller miała na szyi złoty krzyżyk, a wyraz jej twarzy mówił wyraźnie, że uważała się za stróża tego sanktuarium. Niełatwo było ją skłonić, by wydała klucze do starego szpitala, Bentz zasugerował jednak, że odmawiając, utrudni śledztwo, za co grozi areszt. Sekretarka zbladła i szybko wystukała jakiś numer na swoim telefonie.

Po pięciu minutach przyszedł dozorca z pękiem kluczy. Pani Miller, sznurując usta, poprosiła Bentza, by jak najszybciej zwrócił :własność klasztoru:, po czym niechętnie położyła klucze na jego wyciągniętej dłoni.

Podziękował i pobiegł do samochodu. Zatrzymał się tylko na chwilę i polecił jednemu z policjantów, by za nim pojechał. Nie wiedział, co Eve Renner szykuje dla niego w szpitalu, ale pomyślał, że może mu się przydać wsparcie. Ktoś powinien stanąć przy bramie i nie dopuszczać gapiów.

- Był przeciek - powiedział do Montoi, siadając za kierownicą i wręczając mu klucze do szpitala. - Zadzwoń do mnie Eve Renner. Wie z wiadomości, że ofiarą jest Rebecca Starats.

- Cholera! - Montoya zdjął kurtkę i rzucił ją na tylne siedzenie. - Wygląda na to, że nie będziemy musieli informować krewnych.

- Chyba zajęło się już tym biuro szeryfa. Siostra Rebecca miała siostrzenicę w Cambrai.

- Mam nadzieję, że powiadomili ją, zanim zobaczyła to w telewizji.

- Ja też - odparł Bentz, przekręcając kluczyk w stacyjce.

- Szeryf będzie wkurzony.

- Nie tylko on.

Bentz wrzucił wsteczny i zaczął cofać, kiedy Montoya powiedział nagle:

- Zaraz, zaczekaj chwilę. Ktoś tu do nas idzie.

Bentz zahamował, widząc siostrę Odine; biegła w stronę samochodu, unosząc obszerny habit. Kilku oficerów ruszyło za nią, a jakiś kamerzysta zaczął filmować całą scenę.

- Detektywie - zawołała, machając rozpaczliwie rękami. Policzki miała zaczerwienione z wysiłku. - Proszę poczekać!

Bentz opuścił szybę w oknie.

- Tak się cieszę, że jeszcze was złapałam - wydyszała.

Kątem oka Bentz dojrzał idącego wolno ku nim kamerzystę i paru dziennikarzy.

- Pozbądź się ich - nakazał jednemu z funkcjonariuszy, którzy przybiegli za siostrą Odine. Policjant kiwnął głową i odwrócił się do grupy reporterów.

- Właśnie zadzwoniła do mnie siostra Jeannette, matka przełożona z klasztoru Wszystkich Świętych - wyrzuciła z siebie siostra Odine. Bentz zmartwił na wspomnienie college'u, do którego chodziła Kristi i gdzie przeżyła kiedyś prawdziwy horror. - Pytała, czy miałam jakieś wiadomości od siostry Vivian... Vivian Harmon należy do ich zakonu.

- A co się z nią stało?

- Zaginęła.

Kiedy? — spytał Bentz.

- Wielebna matka nie powiedziała, ale... - Siostra Odine pokiwała głową. - Jej cela jest pusta, a w ogrodzie zakonnice znalazły różaniec i modlitewnik. Wielebna matka rozpoznała oba przedmioty: to własność siostry Viv.

Puls Bentza przyspieszył gwałtownie. Doskonale znał kampus i zdecydowanie zbyt wiele wiedział o tym, co tam się kiedyś wydarzyło.



Prawdziwy koszmar.

- Czy wielebna matka zadzwoniła na policję?

- Jeszcze nie. Przeszukali na razie teren i myślą, że może siostra Vivian poszła do kogoś z wizytą i zapomniała zostawić wiadomość, ale to do niej niepodobne. - Twarz siostry Odine wyrażała głęboki niepokój. - Któryś z nauczycieli w college'u powiedział zakonnicom o tym, co się stało tutaj, o siostrze Rebecce... Boże! - Do jej oczu znowu napłynęły łzy.

- Tak czy inaczej... teraz matka przełożona boi się, że... że coś strasznego przydarzyło się siostrze Vivian.

Bentz chciał pocieszyć zakonnicę, powiedzieć, że siostra Vivian pewnie zapragnęła odpocząć trochę od klasztoru, może zastanowić się nad swoim powołaniem, i że wkrótce wróci, wiedział jednak, że zabrzmiałoby to nieszczerze.

- Niech siostra ją poprosi, żeby zadzwoniła na 911 i wyjaśniła, co się stało, i przekaze też, że detektywi Montoya i Bentz przyjadą za kilka godzin, żeby z nią porozmawiać. My tymczasem zadzwonimy na policję do Baton Rouge.

- Dziękuję - odparła zakonnica z wdzięcznością i przeżegnała się szybko. Wyglądała tak, jakby jej wyraźnie ulżyło, nieco przedwcześnie.

- Niech was Bóg błogosławi - szepnęła jeszcze i pobiegła z powrotem do klasztoru.

Bentz zawrócił i ruszył w dół podjazdu, przy którym, blisko wysokich dębów i rozłożystych krzewów magnolii, stały policyjne samochody, furgonetki i vany.

- Hej - powiedział Montoya, kiedy powoli torowali sobie drogę między zaparkowanymi pojazdami. - Czy to nie twoja córka? - wskazał palcem dziewczynę w czapce bejsbolowej z napisem :Florida Marlins:. Dziewczyna odwróciła się szybko i zaczęła rozmawiać z kimś w tłumie.

Bentz zacisnął usta. Jego kontakty z Kristi zawsze były dość trudne, zapewne także z powodu kłamstw, którymi musiał ją karmić, kiedy była mała. Przeżyła szok, gdy wreszcie poznała prawdę: Bentz nie był jej ojcem biologicznym. Tak, wybuchła wtedy niezła awantura, ale w końcu to on właśnie zawsze ją wspierał, zwłaszcza po śmierci Jennifer i później, kiedy weszła w trudny okres dorostania.

Wstrząsnęło to nią, lecz to jeszcze nie powód, by teraz narażała się tak głupio na niebezpieczeństwo. Bentz wiedział, że nawet gdyby była

jego biologicznym dzieckiem, nie mógłby kochać jej bardziej. Koniec, kropka.

- Co ona tu robi? - spytał Montoya, marszcząc brwi i obserwując malejącą sylwetkę Kristi w bocznym lusterku.

Bentz tylko prychnął. Doskonale wiedział, co jej chodzi po głowie. Ale nie miał ochoty nikomu się z tego zwierzać, zwłaszcza Montoi.

Autorka sensacyjnych powieści dokumentalnych!

Nie mogła chyba wpaść na bardziej kretyński pomysł.

Dlaczego, na Boga, chciała narażać się na ryzyko większe jeszcze niż to, które wiązało się z faktem, że jest córką policjanta?

Teraz nie miał czasu, żeby się tym zająć, ale postanowił, że już wkrótce porozmawia z nią naprawdę poważnie.

Montoya taktownie zmienił temat.

- Czego chciała Eve Renner?

- Spotkać się z nami. W szpitalu.

- W jakim szpitalu?

- Tym tutaj.

- Naszej Pani od Cnót? Po co?

- Poinformowała, że tam była i znalazła dokumentację medyczną Faith Chastain. Da nam ją, ale jest coś jeszcze. Przez telefon nie chciała mi nic więcej powiedzieć i się rozłączyła. - Bentz wyjechał na drogę, zobaczył, że ruch jest niewielki, i wcisnął gaz.

- Coraz to dziwniejsze - mruknął Montoya, osłaniając oczy przed słońcem. - Mówiłem ci o zdjęciu szpitala, które zrobiła Abby.

- Coś nowego?

- Laboratorium ciągle nad tym pracuje.

Bentz z skręcił głównej drogi w stronę szpitala. Ruda wiewiórka wyskoczyła na jezdnię, jakby chciała przebiec na drugą stronę, zatrzymała się i zawróciła. Bentz zahamował gwałtownie.

- Idiotka! - zawołał, ale zwierzątko już zniknęło w krzakach.

- Mam nadzieję, że nie gonimy za cieniem - powiedział Montoya. Bentz znalazł w kieszeni paczkę gum. Odwinął folię, patrząc, jak SUV szeryfa zbliża się do ich samochodu.

- Jest tylko jeden sposób, żeby się dowiedzieć.

Montoya i Bentz czekali.

Wraz z oficerem z biura szeryfa.

Dwaj policjanci opierali się o błotnik cruisera, kiedy Eve zatrzymała

swoją toyotę tuż obok nich. Człowiek od szeryfa rozmawiał akurat przez telefon, ale rozłączył się, gdy ją zobaczył.

- Wygląda to tak, jakby się spodziewali kolejnej strzelaniny na O.K. Corral -- mruknęła.

- Są po prostu ostrożni - powiedział Cole uspokajająco.

- Skoro tak mówisz.

Policjant z biura szeryfa wyskoczył z SUV-a, a Eve i Cole wysiedli z toyoty.

Obaj detektywi zeszywnieli, Montoya w czarnej koszuli, dzinsach, okularach przeciwsłonecznych i starej skórzanej kurtce, Bentz w podkoszulku i spłóviałych dzinsach.

Dobrana para. Tylko tego jej teraz trzeba. Zrzuciła plecak na ramię i zamknęła samochód. Policjant od szeryfa trzymał się trochę z tyłu i nie spuszczał wzroku z drogi.

- Czy przypadkiem nie masz zakazu zbliżania się do pani Renner? - spytał Montoya, patrząc zimno na Cole'a.

Eve podniosła dłonie do góry.

- Zakaz został zniesiony.

- Towarzyszę tu pani Renner - oświadczył Cole i spojrzał Montoi prosto w oczy.

Montoya uniósł wysoko brwi.

- Jesteś teraz jej prawnikiem?

Kącik ust Cole'a rozciągnął się lekko w ugodowym półuśmiechu, zdaniem Eve tyleż irytującym, co rozczulającym.

- O ile mnie pamięć nie myli, ostatnio byłeś po drugiej stronie. Cole wzruszył ramionami.

- To już przeszłość, detektywie.

- A ubiegła noc? - Montoya zdjął okulary i popatrzył na niego twardo. - Gdzie byłeś ubiegłej nocy?

Cole uśmiechnął się szeroko. Boże, naprawdę świetnie się bawił. Eve miała ochotę go udusić. Montoyę zresztą też.

- Był ze mną przez całą noc - odezwała się, zanim Cole zdążył powiedzieć więcej, niżby sobie życzyła. - Spędziliśmy też trochę czasu w South General Hospital. - Wskazała na temblak. - Przewróciłam się tutaj, na trzecim piętrze, przed drzwiami pokoju Faith Chastain.

- Tutaj? - spytał Montoya, wciąż mierząc wzrokiem Cole'a.

- Tak.

Bentz stanął nagle między nimi. Policjant z biura szeryfa spojrział na niego, jakby czekał na wezwanie o pomoc.

- No dobra, wystarczy, przejdźmy do sprawy. Gdzie są te dokumenty?

Eve wyciągnęła z plecaka grubą teczkę. Bentz wziął ją ostrożnie i przeczytał to, co było napisane na wierzchu.

- Czy ktoś jeszcze tego dotykał?

- Nie, przynajmniej od wczoraj, kiedy to znalazłam. Tylko my. Oboje. Montoya, zirytowany, włożył okulary i burknął:

- To upraszcza sprawę. Mamy już w aktach wasze odciski.

Cole przemilczał tę uwagę. Bentz wziął latarkę i zamknął dokumenty Faith Chastain w samochodzie. Potem wsunął kluczyki do kieszeni i zapytał:

- A tak w ogóle, to jak je znaleźliście? Gdzie byli? - Spojrzął na budynek, jakby stamtąd spodziewał się odpowiedzi.

Ruszyli powoli w kierunku szpitala. Eve wskazała dłonią ostatnie piętro.

- Na strychu.

Montoya przekrzywił głowę.

- Na strychu?

- Nad ostatnim piętrem jest małe poddasze. Często bawiłam się na nim jako dziecko. Wczoraj poczułam, że muszę tam wrócić. Z powodu tych podejrzeń, że mogę być córką Faith. Chciałam się trochę rozejrzeć.

Weszli do ogrodu i Bentz zamknął za nimi bramę na klucz.

- Pilnuj, żeby nikt tu nie wszedł - polecił policjantowi, po czym dogonił Eve, Cole'a i Montoyę.

Dochodziła dwunasta i słońce stało już wysoko na niebie. Mimo to Eve zrobiło się zimno na myśl o tym, co znajdą w tym starym budynku, który najpierw był sierocińcem, potem szpitalem ogólnym, a w końcu szpitalem psychiatrycznym. Teren i zabudowania zawsze należały do archidiecezji, a teraz walący się szpital oczekiwał na rozbiórkę.

Tym lepiej, pomyślała, idąc po spękanych betonach między zaniedbanymi trawnikami. Łukowato wygięty podjazd otaczał wspaniałą niegdyś fontannę, stojącą dokładnie naprzeciw głównego wejścia. Jako dziecko Eve zachwycała się skrzydlatymi aniołami, które tryskały wodą w niebo. Teraz fontanna była sucha i nieruchoma, postaci aniołów brudne i wyszczerbione, a zachwył Eve już dawno zgasł.

- No, to jak się tu dostaliście? - spytał Bentz.

Eve widziała w błocie i trawie ślady swoich stóp, ale kiedy wyszli z za rogu, zauważyła, że schody pożarowe, jeszcze poprzedniego dnia obniżone, kończyły się teraz przy dachu. Dolna część drabinki znajdowała się na wysokości drugiego piętra.

- To tak nie było - oświadczyła Eve, zaskoczona, i opowiedziała, jak użyła drabiny, by wejść do środka przez uchylone okno.

- Tak, drabina była na dole - potwierdził Cole. - Ja też z niej skorzystałem. No i okno jest zamknięte, a my zostawiliśmy je otwarte.

- Na pewno?

- Oczywiście. - Eve przesłoniła oczy ręką i spojrzała w górę. - Wczoraj, kiedy patrzyłam przez szparę w podłodze na pokój Faith, zobaczyłam w nim jakiś cień. Nie mam pojęcia, co to mogło być.

Montoya potarł kark dłonią.

- Jaka szpara? Jaki cień? Nic z tego nie rozumiem.

- Wejdźmy do środka - powiedział Cole. - Wtedy sami wszystko zobaczycie.

Okrążyli budynek. Wszystkie okna były pozamykane. Weszli na marmurowe stopnie wiodące do frontowych drzwi. Bentz wyjął klucz i otworzył zamek. Włączył latarkę, zrobił to też Montoya. Eve miała własną, ale kiedy weszła do tego starego, opuszczonego szpitala, znowu ogarnął ją strach. Dostała gęsiej skórki, choć w budynku było bardzo ciepło. Policjanci także wydawali się teraz bardziej ponurzy; omiatali stare ściany snopami światła.

- Pani ojciec tu pracował - odezwał się Bentz. - Miał tu swój gabinet?

- Tak. - Eve wskazała dłonią kierunek. - Ale nic tam nie ma. Zajrzałam do niego wczoraj.

- Proszę nas poprowadzić.

Eve poszła z nimi do niewielkiego pomieszczenia, gdzie jej ojciec przyjmował pacjentów i sporządzał dokumenty. Bentz przeszukał pokój, podczas gdy Montoya oświetlał mały labirynt sal.

- Jego gabinet był w pokoju numer 1?

- Jedyńka była chyba zarezerwowana dla głównego psychiatry. Pokazała im inne sale: tę, w której przeprowadzano badania, i tę, gdzie mieściła się księgowość, a także pokój księdza i większe pomieszczenia, dla pielęgniarek i personelu kuchni.

- A suterena?

- Prowadzono w niej terapie alternatywne.

- To znaczy?

- Były tam sale operacyjne, pokoje o miękko wyściełanych ścianach i gabinety, w których poddawano pacjentów elektrowstrząsom. - Widząc pytanie w oczach Bentza, wyjaśniła: — Niektóre z tych praktyk mogą wydawać się dziś barbarzyńskie, ale były powszechnie akceptowane w czasach, kiedy działał ten szpital. - Usłyszała w swoim głosie obronną nutę, ale nie chciała, by powstał choć cień podejrzenia, że jej ojciec jako główny psychiatra robił coś choćby w najmniejszym stopniu niestosownego.

- Wspomniała pani, że jest tu coś jeszcze - powiedział Bentz.

- Tak, na strychu - potwierdziła Eve. - Chodźmy.

Na podeście spojrzała na witraż z Madonną, prawdziwe dzieło sztuki, które dobrze się zachowało.

Szli na górę w milczeniu, ciszę przerywało tylko skrzypienie drewnianych schodów. Na trzecim piętrze zatrzymali się na chwilę przed drzwiami pokoju 307 i oświetlili latarkami upiorną plamę na środku podłogi.

Montoya tylko rzucił na nią okiem, mruknął coś cicho i odwrócił się do Eve.

- Jak weszła pani na strych?

Eve wskazała szafę z drzwiami ukrytymi za kominem. Opowiedziała, jak w dzieciństwie bawiła się na strychu z Royem. Była to ich :forteca:, tu trzymali swoje zabawki i książki.

Wspięli się po schodkach na strych. Na ostatnim stopniu Eve zatrzymała się, wzięła głęboki oddech i powiedziała im o lalce. Bentz nie wierzył własnym uszom.

- Odciągnęła mnie pani od dochodzenia w sprawie zabójstwa, żeby pokazać mi zniszczoną lalkę?

- I dokumentację Faith Chastain. Jest tu szafka, w której znajdują się też akta innych pacjentów. Pomyślałam, że mogą zawierać informacje pomocne w śledztwie.

- To nielegalne - przypomniał jej, zirytowany. Wszystko to bardzo mu się nie podobało. Dlaczego w ogóle wmówił sobie, że ta wycieczka ma jakikolwiek sens?

- Gdzie ta lalka? - spytał Montoya.

- W kącie przy oknie. - Eve pochyliła głowę, by nie uderzyć w

wystające belki, i skierowała światło latarki tam, gdzie poprzedniego dnia znalazła śpiwór i lalkę.

Snop światła przesunął się po starej drewnianej podłodze, musnął półkę na książki i wreszcie padł na śpiwór. Ale lalki nie było.

Leżało na nim na wpół rozebrane, zakrwawione ciało zakonnicy.

- Boże - szepnął Montoya.

Eve zaniemówiła, a później wrzasnęła przeraźliwie.

- Nie! Och, Boże, nie! - krzyczała głosem ochrypłym ze zgrozy. Cole objął ją ramieniem, a Eve przylgnęła do niego rozpaczliwie.

Oboje nie mogli oderwać oczu od makabrycznego widoku. Tam, gdzie poprzedniego dnia leżała ohydnie zmaltretowana szmaciana lalka, teraz znajdowało się ciało prawdziwej kobiety, ułożone w tej samej pozycji, twarzą w dół, pocięte nożem, z habitem podciągniętym do góry i opuszczonymi majtkami.

Bentz i Montoya podeszli do zakonnicy, ale żaden jej nie dotknął, bo nie było cienia wątpliwości, że nie żyje.

- Ten drań wiedział, że tu byliśmy - wydusiła Eve drżącym głosem. - Był w pokoju Faith, jestem tego pewna... i... i zadzwonił do mnie, tuż przed tym, jak ty tu przyszedłeś - przytuliła policzek do piersi Cole'a.

- Dzwonił do pani? - Montoya odwrócił się do niej szybko.

- Wczoraj... na moją komórkę... tak. - Trzęsła się teraz jak w febrze, ze strachu i z gniewu. - Chciał mi dać do zrozumienia, że mnie obserwuje. - Na myśl o tym, że był tak blisko, cierpła na niej skóra. Nogi zaczęły się pod nią uginać, ale Cole trzymał ją mocno.

- Lalka była ułożona w tej samej pozycji - powiedział do Bentza. - Tyle że zamiast prawdziwych nacięć miała rysy namalowane czerwonym pisakiem. I numer... :444:... na brzuchu. A niżej, drukowanymi literami, było wypisane imię Eve.

- Charlotte... to znaczy moja lalka... miała też obcięte włosy - dodała Eve, patrząc na odsłoniętą, krótko ostrzyżoną głowę zakonnicy. Obok leżał jej splamiony krwią kornet i woalka.

Bentz pochylił się, przyjrzał uważnie ciału, a potem popatrzył na Montoyę.

- Zgłoś to i powiedz temu facetowi przy bramie, żeby nie wpuszczał nikogo poza policję. Cholera. - Zakołysał się lekko na piętach i z trudem przelknął ślinę. - Chyba właśnie znaleźliśmy zaginioną zakonnice.

## Rozdział 24

Bentz wyszedł przed szpital i przystanął. Mdlilo go, był spocony jak mysz i miał czarne myśli. Słońce stało w zenicie i grzało niemilosiernie, wilgotność powietrza dochodziła do stu procent. Technicy już dokonywali oględzin miejsca zbrodni, a cały przyszpitalny teren został ogrodzony żółtą policyjną taśmą. Znowu.

Dwie zakonnice zamordowane, z tatuażami na ciele, ułożone w nienaturalnych pozycjach. Seryjny zabójca?

Może, ale nie wszystko w tym, co robił, miało sens. Nie trzymał się zasad.

Seryjni zabójcy zwykle działają w obrębie swojej rasy. Zwykle wybierają też jedną płęć. Między kolejnymi morderstwami zwykle upływa więcej czasu.

Zwykle, zwykle, zwykle.

- Nasz chłopak przyspieszył - powiedział Montoya, zapalając papierosa, którego wycygnął od jednego z mundurowych. - To wyraźna eskalacja. - Zaciągnął się głęboko i wydmuchnął kłęb sinoniebieskiego dymu.

- Ten facet wybiera konkretne ofiary, nie zabija przypadkowo, bo to go podnieca - odparł Bentz.

- I nadaje im konkretne numery. Tatuuje je, na litość boską!

- Musimy sprawdzić wszystkich sprzedawców sprzętu do tatuażu.

- Zaroster już się tym zajęła. - Montoya spojrział w stronę Cole'a Dennisa i Eve Renner; stali obok czerwonej toyoty.

Bentz osłonił oczy dłonią. Dziesięć minut po tym, jak Montoya zadzwonił na policję, pod szpitalem pojawili się dziennikarze i gapie, którzy wcześniej ściągnęli pod klasztor, zafascynowani tym, co się tam stało. Dewianci, co do jednego.

Przyjechali też federalni. Przejęli dowodzenie. Bentzowi to nie przeszkadzało. Niech FBI wykorzysta swoje źródła i przyda się na coś lokalnej policji. Dzięki nim można było spojrzeć na sprawę z innej perspektywy, a jeśli nawet kilku agentów działało mu na nerwy, co z tego? Ci, którzy współpracowali z nim w jego departamencie, też czasami doprowadzali go do szału.

- Nasz kamerzysta filmuje tłum?



- Tak.

- Dobrze.

- Bentz chciał mieć pewność, że każdy, kto kręci się koło miejsca zbrodni, zostanie zidentyfikowany i przesłuchany. Przyglądał się obcym twarzom, szukając kogoś, kto musiał tu przyjść, kto nie potrafił oprzeć się pokusie. Nagle jego oczy zatrzymały się na Kristi. Cholera! Mówiła coś do trzymanego blisko ust dyktafonu. Najwyraźniej nie poszła dziś do pracy. Czyż nie powiedziała mu, że ma zamiar napisać o tej sprawie książkę?

Musiała poczuć na sobie wzrok ojca, bo spojrzała w jego stronę. Tym razem nie odwróciła się, ale pomachała do niego ręką.

Postukał palcem w tarczę swojego zegarka, dając jej do zrozumienia, że powinna jechać do pracy, lecz ona tylko wzruszyła ramionami, lekceważąc ojcowską radę.

Niech to diabli!

Mrucząc gniewnie pod nosem, Bentz sięgnął do kieszeni, wyjął ostatnią pigułkę na nadkwasotę i włożył ją do ust.

- Co myślisz o tej zaginionej lalce? Wierzysz w to? - spytał Montoya.

- A po co mieliby kłamać? Po co zabierać nas na strych? Nie sądzę, żeby nas zwodzili.

- Więc gdzie jest ta lalka... ta Charlotte, chyba tak się nazywa?

- Nie wiem.

- To jednak może być blef - upierał się Montoya. Bentz spojrzał na niego zniecierpliwiony.

- Numer się nie zgadza - zauważył Montoya. - Dennis i Renner mówili, że na lalce było :444: wypisane czerwonym atramentem. Ale nasza zakonnica, siostra Viv, miała numer :323: wytatuowany na czole i taki sam numer został nabazgrany krwią, jej palcem, na ścianie. Nigdzie nie było numeru :444:.. - Zaciągnął się papierosem. Rozżarzony koniuszek odbijał się w szklach jego ciemnych okularów.

- Lalka podobno ma też imię :Eve: napisane na brzuchu.

- Jeśli w ogóle istnieje.

- Bardziej od zaginionej lalki martwią mnie zaginione akta.

- Hm. - Montoya zaciągnął się jeszcze raz, rzucił niedopałek na beton i przygniótł go obcasem. Na strychu nie znaleźli żadnych dokumentów.

- Może one także nie istnieją.

- Mamy dokumentację Faith Chastain. Ona istnieje.

- Te papiery mogły być gdziekolwiek. Może Dennis ukradł je z domu Rennera i nie dołączył ich, kiedy oddawał laptop. A może cały czas były u Eve Renner? Ten dom należał do jej dziadków ze strony ojca. Terrence Renner najpierw w nim mieszkał, a później był tam częstym gościem. Ostatnio może tam nie bywał, ale te dokumenty mają dwadzieścia lat. Nie wiadomo skąd Eve Renner je wygrzebała. My wiemy tylko to, co nam powiedziała.

- Jej kluczyk pasował do zamka w szafce.

- W pustej szafce. Wielkie rzeczy. - Montoya nie był przekonany.

- Dennis i Renner twierdzą, że jeszcze wczoraj była pełna.

- Więc nasz facet, sprawca, zabił dwie osoby, porwał jedną, przywiózł tutaj, i jeszcze tu posprzątał. Nie tylko zabrał lalkę, ale również akta z szatki na dokumentację medyczną. Po co? Bo było w nich jego nazwisko?

- Albo coś, co mogłoby wskazywać na jego związek z tymi zabójstwami.

- A może miał nadzieję, że są tam też akta Faith.

- To po co zabrał inne? - spytał Bcntz.

- Ty mi powiedz — odparł Montoya cierpko.

- Może nie mógł znaleźć jej dokumentów, spanikował, stwierdził, że są gdzie indziej, a nie miał czasu szukać.

- Więc zabrał wszystko, co było w środku? W czym? W pudłach? Torbach? Kim jest ten facet? Supermanem? Gdzie zaparkował? Na tyle blisko, by dać radę przenieść akta do samochodu? A później zdążył jeszcze zatrzeć za sobą ślady, zamknąć okna i przesunąć drabinę? Nie wierzę w to. - Montoya przeczesał palcami swoje lśniące czarne włosy i spojrzał gniewnie w stronę Eve i Cole'a. - Poza tym nie ufam Dennisowi. Może tym razem nie jest sprawcą, ale coś ukrywa. Po prostu to wiem.

- Ona chyba mu ufa. - Bcntz obserwował Eve i Cole'a spod oka. Rozmawiali, gestykulowali i spoglądali na stary szpital, a potem na niego, czekając, aż pozwoli im odjechać. - Zadzwoiłem do South General. Byli tam ubiegłej nocy. Oboje.

- No to o co w tym wszystkim chodzi? Najpierw była głównym świadkiem w sprawie o zabójstwo Roya Kajaka, a teraz sypia z Denni-sem? Choć jeszcze niedawno twierdziła, że sukinsyn próbował ją zabić?

Bentz pokręcił głową i zamachał ręką, usiłując odgonić muchę, która krążyła wokół jego ucha.

- Nie wiem, ale powinniśmy to rozpracować.

- Też tak myślę.

Eve spała wiele godzin.

Cole przywiózł ją do domu i nie zważając na protesty, zaaplikował leki przeciwbólowe przepisane przez lekarza z South General. Uparł się, by odpoczęła. Eve była pewna, że nie zaśnie, bo znowu rozboleła ją głowa i niemiłosiernie rwało ją w chorym ramieniu. Poza tym przeżyła prawdziwy wstrząs i ciągle miała przed oczami upiorne obrazy ze starego szpitala: plamę ciemnej krwi, zmaltretowaną lalkę i ciało siostry Vivian, makabrycznie upozowane, zakrwawione, naznaczone tatuażem.

Eve i Cole porozmawiali z policją i agentem FBI, a potem złożyli zeznania na komisariacie, starając się nie pominąć żadnego szczegółu. Eve musiała odpowiadać na pytania dotyczące ojca. Policjanci sugerowali, że nie tylko miał problem alkoholowy, ale że mógł też sam przepisywać sobie leki. Pytali ją także o dzieciństwo, o Roya i o to, co ją z nim łączyło. Chcieli wiedzieć, jakie nazwiska widziała w zaginionej dokumentacji i czy było tam nazwisko kogoś, kogo dobrze znała. Potem skupili się na jej życiu seksualnym, po raz kolejny poruszając kwestię mężczyzny, którego nie pamiętała, a którego spernę znaleziono w jej pochwie i z którym kochała się zaledwie kilka godzin po tym, jak kochała się z Cole'em.

Przesłuchanie było bardzo wyczerpujące. Cole'a przesłuchiowano w innym pokoju, tak drobiazgowo, że w końcu zapytał, czy nie powinien wezwać swojego adwokata.

Na komisariacie widziała się też z Kyle'em i Vanem, choć z nimi nie rozmawiała. Oni również zostali przesłuchani.

Kiedy wreszcie policjanci zrozumieli, że Eve i Cole nie mają nic więcej do powiedzenia, pozwolili im odejść. Eve pojechała z Cole'em po jego dzipa. Kiedy wrócili do domu, poczuła, że uszła z niej cała energia.

Położyła się po południu, teraz było już po ósmej. Zapadał zmrok. Burczało jej w brzuchu z głodu - to dobry znak.

Zeszła do kuchni, gdzie świeciły się lampy, a Cole siedział przy stole, pochylony nad żółtymi kartkami z notesu, który gdzieś znalazł. Usłyszał jej kroki, podniósł głowę i uśmiechnął się lekko.

- No, no, Śpiąca Królowna się obudziła - powiedział do Samsona; zdrajca, zadowolony, leżał mu na kolanach.

Eve spojrzała na swoje odbicie w lustrze i się wzdrygnęła.

- Raczej Brzydkie Kaczątko.

Cole roześmiał się i wstał z krzesła, zsuwając kota na podłogę.

- Nigdy.

- Oj, chyba to lepsze określenie - odparła ze smutkiem, dotykając swoich krótkich włosów, potargane, sterczały na wszystkie strony. Pod oczami miała ciemne smugi rozmazanego tuszu do rzęs. Szminka dawno zniknęła z jej warg, ubranie było wygniecione, a ręka ciągle wisiała na temblaku. Jednym słowem, wyglądała okropnie.

Cole przy wołał ją gestem i poklepał swoje kolana.

- Siadaj i popatrz. Kiedy ty ucinałaś sobie małą drzemkę dla... hm, urody... ja byłem bardzo zajęty.

Eve jęknęła i usiadła mu na kolanach, a on objął ją w talii.

- To może być niebezpieczne - powiedziała.

- I o to właśnie chodzi. — Pocałował ją w szyję, a potem wskazał leżące na stole kartki. - Ale nie teraz. A więc, oto czym się zajmowałem...

Wyjaśnił jej, że zrobił zestawienie informacji dotyczących wszystkich osób, które zostały ostatnio zamordowane, próbując znaleźć coś, co je wszystkie łączyło. A kiedy już znalazł coś, co mógł przypisać więcej niż jednej osobie, umieszczał to na osobnej kartce wraz z nazwiskami wszystkich ofiar, które miały tę cechę.

- Na przykład siostra Rebecca i siostra Vivian, obie były zakonnicami, więc jest to ich wspólna cecha, ale nikt inny nie był członkiem żadnego zakonu, a przynajmniej ja nic o tym nie wiem. A zatem to łączy tylko te dwie kobiety. - Zanotował coś na jednej z kartek. - A tu są ludzie, którzy pracowali w szpitalu: obie zakonnice i twój ojciec. Ale nie Roy. Wiem, że pracował tam jego ojciec, więc postawiłem przy jego nazwisku znak zapytania, ale jego związki ze szpitalem są szersze, nie dotyczą zatrudnienia, w przeciwnym wypadku nie wziąłbym go pod uwagę.

- Ale chyba wszyscy są w jakiś sposób związani z tym starym szpitalem? - spytała Eve.

- Tak, lecz nie z Faith Chastain. - Cole zabębnił palcami po stole. -

Sądziłem, że wszystkich zamordowanych łączyło z nią coś bardzo istotnego, nie mogę jednak nic takiego znaleźć. Roy nawet jej nie znał.

- Ależ oczywiście, że znał... No, przynajmniej z widzenia. Nie był tylko synem ogrodnika. Później był też pacjentem tego szpitala.

- W tym samym czasie, kiedy leczyła się tam Faith?

- Tego nie wiem - przyznała Eve.

- Więc na razie jedynym naprawdę wspólnym dla wszystkich mianownikiem jest szpital. - Cole postukał ołówkiem w jedną z żółtych kartek.

- Szpital to klucz... A co oznaczają te numery? :212:, tam gdzie zginął Roy, :101:, tatuaż twojego ojca, :323: na czole zakonnicy i :444: na lalce.

- A matka przełożona, siostra Rebecca?

- Jeszcze nie wiemy. Możemy zakładać, że zabójca wytatuował na niej jakiś numer i napisał go krwią gdzieś w pobliżu, ale to na razie sekret policji.

- Oparł podbródek na jej ramieniu i patrzył na rozrzucone po stole karteczki.

- Nie domyślasz się, co mogą oznaczać te numery? Może są częścią numerów polis ubezpieczeniowych? Albo innych dokumentów tożsamości? Adresów? Dat? Może :212: to dwunasty lutego? Pierwszy stycznia u twojego ojca?

- Nie, to bez sensu. Bo co miałyby oznaczać :444:? Przecież nie datę. Nie ma czterdziestego czwartego dnia ani miesiąca... To musiałby być rok, na przykład czwarty kwietnia 2004, ale to z kolei nie pasuje do numeru 101. Nie ma zerowego dnia ani miesiąca. - Eve znowu zaczynała boleć głowa. Poczowała ciepły oddech Cole'a na swojej szyi.

- Może :444: oznacza coś innego, bo ten numer był na lalce, a nie na człowieku? I w ogóle, cała ta sprawa: najpierw Charlotte, a później zakonnica ułożona w tej samej pozie... O co w tym chodzi?

- Nie wiem. - Silne ramię Cole'a dodawało jej otuchy. - I dlaczego morderca ukradł dokumenty?

- Może było tam coś jeszcze?

- Ja nic więcej nie widziałam, ale nie miałam czasu przejrzeć wszystkich akt i zajrzeć do wszystkich szuflad.

- Więc co właściwie widziałas?

- Niech pomyślę... - Przypomniała sobie parę nazwisk, które rzuciły

jej się w oczy. - Kilka nazwisk... Enid... Enid Waller, to znaczy Walcott. I John Stokes, Ronnie Le Mars i Merlin... Boże, jak on miał na nazwisko? Nie, nie nazywał się Merlin, tylko Merwin... Merwin Anderson. I Neva St. James... Byli tam też inni, ale teraz już sobie nie przypominę.

Cole zapisał wszystkie wymienione nazwiska.

- Czy któraś z tych osób miała jakieś związki z ofiarami? - zapytał.

- Poza tym, że wszyscy byli pacjentami tego szpitala i leczył ich mój ojciec?

- Może ktoś z nich był blisko z Faith Chastain? Eve powoli pokręciła głową.

- Nie wiem. Byłam wtedy dzieckiem. Nie zwracałam na takie rzeczy uwagi. Wydaje mi się, że wszyscy przebywali w szpitalu w tym samym czasie, ale tego też nie jestem pewna. - Westchnęła ciężko. - Przykro mi. Po prostu nie wiem.

Cole pocałował ją w kark.

- Trudno. A ponieważ donikąd nas to na razie nie doprowadziło, może zabiorę cię gdzieś na kolację?

- Na kolację? - powtórzyła. To brzmiało tak normalnie. Tak miło. - Tak, chodźmy gdzieś. - Spojrzała w okno. Było już ciemno.

Cole postawił ją na nogi.

- Świetnie. Znam taką fantastyczną małą knajpkę... Dostaniemy miseczkę brązowego ryżu z małżami i innymi zalatującymi błotem stworzeniami.

- Jakie to romantyczne - uśmiechnęła się Eve.

- Tylko na to mnie stać - odparł, biorąc ją za rękę. - Idziemy.

- Mówię ci, to niezbyt mądre. Rzucić pracę, żeby sterczeć na miejscu zbrodni? - Bentz starał się nad sobą panować. Przyciskał nerwowo telefon komórkowy do ucha, a Kristi używała wszelkich argumentów, jakie tylko przyszły jej do głowy, by przekonać go, że powinna dostać wyłączność na informacje o bieżącej sprawie. - Nawet o tym nie myśl. Mowy nie ma.

- Tato, wysłuchaj mnie, proszę! Nie zrobię nic, co mogłoby zaszkodzić śledztwu. Musisz mi zaufać.

- Odpowiedź brzmi :nie:, rozumiesz? Zadzwoń do ciebie później. - Rozłączył się, sapiąc ze złości. Dlaczego tak na niego naciskała? Dlaczego chciała rzucić pracę, dobrą pracę? Dlaczego tak komplikowała

sobie życie?

Do pokoju wszedł Montoya.

- Powinieneś pojechać do domu i przespać się trochę - powiedział, widząc frustrację partnera.

Bentz spojrział na niego z ukosa.

- Bo to mi pomoże.

- Mnie zawsze pomaga.

- Super.

- Posłuchaj, nie palisz, nie pijesz, ale w domu czeka na ciebie piękna kobieta.

Bentz rzucił okiem na zdjęcie Olivii, które stało na jego biurku. Montoya miał rację. Drobna, złote loki opadające na ramiona, jasne oczy i mały nosek...

- Idę z nią na kolację za pół godziny - burknął, ale zaraz uznał, że im mniej Montoya będzie wiedział o jego życiu osobistym, tym lepiej. - Słyszałeś oświadczenie na temat tej serii zabójstw? Prosił ludzi o pomoc.

- Ta niewiele da. Tego faceta nikt nawet nie widział.

- Ale może ktoś widział coś w Naszej Pani od Cnót albo we Wszystkich Świętych. Może w końcu nastąpi jakiś przełom.

- Oby - mruknął Montoya bez przekonania. Bentz się nie obraził.

- Co poza tym?

- Nie dostaliśmy jeszcze wyników DNA, ale laboranci mówią, że to już nie potrwa długo.

- Uwierzę, jak zobaczę.

- Zaroster ma już kilka pomysłów na atrament i sprzęt do tatuażu, ale na razie to jeszcze nic konkretnego. Gipsowe odlewy z odcisków stóp i opon ciągle jeszcze są analizowane, wiadomo już jednak, że szukamy faceta, który nosi rozmiar dwanaście albo dwanaście i pół.

- Potężny gość.

- Na to wygląda.

- Co ze zdjęciem Abby?

- Na razie nic. Nikt z klasztoru ani college'u nie zauważył nic niezwykłego.

- Dwie zakonnice zostały zamordowane, to nic niezwykłego? - skrzywił się Bentz, obracając ołówek w palcach.

- Jeszcze nie skończyliśmy - odparł Montoya, poirytowany i

niespokojny zarazem. - Wciąż staram się znaleźć ludzi, którzy pracowali w szpitalu, kiedy leczyła się tam Faith, ale nie ma akt.

Muszą być jakieś dokumenty w urzędach państwowych albo w FBI. W skarbówce.

- FBI się tym zajmie. No i co, rozmawiałeś z braćmi Eve Renner?

- Z obydwoma.

- I?

Bentz odchylił się na oparcie fotela.

- Ta Eve ma szczęście, że jest ich tylko dwóch. Starając się o wydanie ciała, żeby, zaraz, gdzieś to zapisałem... - zjrzał do notatek - ...móc dalej żyć. Rozumiem więc, że nie mogą się już doczekać chwili, kiedy położą łapy na tym, co zostawił im stary.

- Myślisz, że mogli go zabić? - spytał Montoya.

- Wszystko jest możliwe. Czekam na testament, żeby zobaczyć, kto dziedziczy. Musi być jakaś ostatnia wola, sprawdzamy też, kto dostanie pieniądze z jego polisy. Żaden z braci nie ma alibi. Wygląda na to, że kiedy ich ojciec kończył z podejrzanym gardłem, obaj byli w rozjazdach. Kyle twierdzi, że akurat jechał tu z Atlanty, a Van, że jechał z Arizony. Czy mówią prawdę? Pomogą to ustalić wyciągi z kart kredytowych.

- Albo będą dowodem na to, że oni kłamią.

- Kyle to potężne chłopisko. Może nosić buty w rozmiarze dwanaście, ale ten drugi jest drobniejszy.

- A po co którykolwiek z nich miałby zabijać zakonnicę?

- Po w ogóle ktokolwiek miałby to robić? - Bentz pochylił się nad biurkiem i wbił wzrok w notatki.

- Co to? - spytał Montoya, wskazując głową kartkę papieru.

- Próbuję coś z tego zrozumieć. To są te tatuaże.

Montoya przysunął kartkę do siebie i przeczytał to, co drukowanymi literami na niej napisał

Bentz.

FAITH CHASTAIN	LIVE
ROYAL KAJAK	212
TERRENCE RENNER	101
REBECCA STARATS	111
VIVIAN HARMON	323
LALKA???	444



- No i co o tym sądzisz? - spytał Montoya.

- Przede wszystkim nie jestem pewny, czy ten, kto zrobił tatuaż na głowie Faith, to nasz zabójca. Jej tatuaż to słowo, a nie numer. A lalka tak naprawdę się nie liczy. Nie mamy nawet pewności, że istnieje. Ale w tych numerach jest coś dziwnego.

- Co takiego?

- Czytane od końca są takie same jak czytane od początku.

- I co z tego? - Montoya zmarszczył brwi.

- Cóż, może to nic nie znaczy, ale kiedy przeczytasz od końca słowo wytatuowane na głowie Faith, co otrzymasz?

Montoya spojrzął na słowo przy imieniu Faith i arogancki uśmiech zniknął z jego twarzy.

- Evil\*<sup>1</sup>. Bentz wstał.

- Jezu - Montoya zmrużył oczy. - No dobrze... ale właściwie co z tego? Może to tylko zbieg okoliczności? Zresztą ktoś zrobił tatuaż Faith ponad dwadzieścia lat temu.

- Myślałem, że nie wierzysz w zbiegi okoliczności.

- Bo nie wierzę, ale...

- To tylko taki pomysł. Nieważne.

- Ważne, skoro o tym mówisz. - Montoya oparł się biodrem o biurko Bentza, jakby czekał na wyjaśnienia.

- To tylko coś, co można by zbadać - powiedział Bentz, ale czuł, że zbliża się do czegoś, co może okazać się przełomowe. Jeszcze tego nie przemyślał, jeszcze nie był pewny, co to jest. Rzucił ołówek na biurko.

- Muszę lecieć.

- Oj, chyba dziś wieczorem szczęście ci dopisze - mruknął Montoya ze znaczącym uśmiechem.

- Zawsze mi dopisuje.

- Takiemu staremu tłuszczochowi jak ty? Hm.

Bentz parsknął śmiechem, nie mógł się powstrzymać. Wyłączył światła i spróbował się otrząsnąć. Faith Chastain. Wiąże się z nią coś

---

<sup>1</sup> \* *Live* (ang.) - żyć, *evil* (ang.) - zło (przyp. tłum.).

bardzo istotnego. Lata temu ktoś wykonał na jej głowie tatuaż z jakiegoś powodu. Teraz on musi po prostu ten powód poznać.

## Rozdział 25

- **Tu** mieszkasz? - Eve rozejrzała się po małym domku wciśniętym między dwa inne budynki przy kiepsko oświetlonej ulicy. Wymagał remontu

- ogłędnie powiedziane, a w porównaniu z luksusową willą w stylu włoskim, w której mieszkał kiedyś Cole, była to rudera. Dosłownie. Zapewniała dach nad głową, ale nic ponadto.

- Jak widać, pnę się w górę drabiny społecznej - zakpił Cole. Wstąpił do siebie w drodze do restauracji, żeby wziąć szybki prysznic

i zapakować parę osobistych rzeczy. Czy to nie dziwne? Kiedyś, kiedy planowali małżeństwo, nigdy razem nie mieszkali, tylko sporadycznie spędzali wspólnie noce. A teraz wyglądało to tak, jakby Cole miał się do niej wprowadzić, przynajmniej na jakiś czas, i mogło się wydawać, że to zupełnie naturalne.

Poważny zwrot w porównaniu z sytuacją sprzed zaledwie kilku dni, kiedy uważała, że jest zdolny do morderstwa.

- Wszystko gotowe? - Wyszedł z sypialni ubrany w spodnie w odcieniu khaki i sportową koszulę z podwiniętymi do łokci rękawami. - Moja garderoba jest dość skromna - przyznał, widząc, że Eve mu się przygląda.

- Chyba mam gdzieś tonę różnych garniturów, ale nie jestem pewny. Może Deeds sprzedał też garnitury. Nie dał mi klucza do żadnego schowka, więc...

- Rozłożył ręce i wzruszył ramionami. - Mam tylko to, co widzisz.

- I to mi się nawet podoba - powiedziała Eve, przytulając się do niego i całując go mocno.

- Uważaj, skarbie, jeszcze trochę i nie dotrzemy na kolację.

- O nie, kolacja przede wszystkim. - Pocałowała go jeszcze raz, a potem wzięła za rękę i wyprowadziła na wąski podjazd, gdzie stał dżip.

Plątało się tam kilkoro dzieciaków ze słuchawkami iPodów w uszach; ćwiczyły skoki na deskorolkach. Jakiś starszy mężczyzna palił papierosa przed wejściem do niewielkiego bloku, a paru młodych chłopców grzebało przy samochodzie w garażu trzy domy dalej.

Na rogu następnej przecznicy lśnił zielony neon baru. Dalej na południe, za skrzyżowaniem i starymi domami, zaczynało się wybrzeże, gdzie Missisipi powoli uchodziła do Zatoki Meksykańskiej. Noc była

pogodna, w górze, nad ulicznymi latarniami, świeciły gwiazdy. Wsiedli do dzipa i pojechali do French Quarter. Cole zauważył wolne miejsce cztery przecznice od Chez Michelle i tam zostawili samochód.

Weszli do przytulnej, wyłożonej drewnem i pełnej stałych bywalców restauracji. Zapach pomidorów, pieprzu cayenne i szafranu sprawił, że Eve ślina napłynęła do ust.

Szczupła, sympatyczna kelnerka poprowadziła ich obok wejścia do kuchni, w której kucharze w białych fartuchach piekli mięsa, smażyli ryby i mieszali sosy.

Przy małym stoliku na tyłach sali Cole zamówił przystawkę ze skorupiaków i dzban piwa.

- Będiesz zachwycona, zobaczysz - zawołał, przekrzykując szum rozmów i jazzową muzykę, sączącą się z ukrytych głośników.

- Nie przestraszysz mnie, mecenasie. Nie takie rzeczy jadałam.

- Czyżby? - mruknął, w jego oczach pojawił się diabelski błysk.

Och, jak łatwo było przypomnieć sobie ich dawne wspólne zwyczaje. Mimo częściowej amnezji Eve dobrze pamiętała, że kiedyś bardzo go kochała.

Na stoliku pojawiły się zmrożone kufle z piwem i półmisek czerwonych, aromatycznych skorupiaków. Zaczęli jeść, rozłamując twarde skorupki i zanurzając miękkie ogonki w gęstym, pikantnym sosie. Potem Eve zamówiła potrawkę z ryb i owoców morza, a Cole jambalayę.

Po raz pierwszy tego dnia Eve trochę się rozluźniła i ból głowy, który męczył ją od tygodni, ustąpił. Rozmawiali o różnych, błahych sprawach, nie wspominając o morderstwach, więzieniu ani skomplikowanej relacji między nimi. W tej chwili chcieli uciec od całego świata z jego koszmarami i skryć się w najciemniejszym zakątku nocy. Eve zastanawiała się, gdzie byliby teraz, gdyby nie dramatyczne wypadki sprzed kilku miesięcy. Jaki los czekałby ich miłość, gdyby nie ten jeden feralny wieczór?

Gdyby Roy do niej nie zadzwonił?

Gdyby do niego nie pojechała?

Gdyby nie była pewna, że widziała tam Cole'a, z rewolwerem w dłoni? Roy miał poderżnięte gardło, w jego ciele nie było kul, a jednak ona została postrzelona z broni, której dotychczas nie odnaleziono.

- ...więc mam nadzieję, że wyniosę się stamtąd, jak tylko znowu stanę

na nogi - mówił Cole, patrząc na nią swoimi niebieskimi oczami w taki sposób, że poruszyła się niespokojnie na swoim krześle.

- A dokąd się przeprowadzisz?

- Czy to ma jakieś znaczenie?

- Może... - uśmiechnęła się do niego.

Wiedziała, że flirtuje. Nie rób tego, Eve. Nie daj się ponieść... Jeszcze za wcześnie. Ciągłe dzieje się zbyt wiele dziwnych, niewyjaśnionych rzeczy.

Cole mrugnął do niej i Eve natychmiast mocniej zabiło serce.

- Zobaczymy.

Wypili kawę i podzielili się deserem: creme brulee o smaku espresso i pralinek.

Cole zapłacił gotówką, po czym wyszli z restauracji na świeże, nocne powietrze.

- Co o tym myślisz? - spytał, kiedy wracali do samochodu.

- O czym?

- O wszystkim, co się dzieje.

-- Musimy o tym myśleć? - spytała, czując, że beztronski wieczór się kończy.

- Chyba nie mamy wyboru - odparł i w tej samej chwili zadzwoniła komórka Eve. Spojrzała na ekran i nie odebrała.

- Telewizja - jęknęła. - Nie chcę z nimi rozmawiać.

- Więc nie rozmawiaj.

Otworzył drzwi. Wsiadając, Eve miała dziwne, nieprzyjemne wrażenie, że ktoś na nią patrzy, ktoś bardzo jej niezyczliwy. Znieruchomiała na moment i rozejrzała się dookoła.

- O co chodzi? - spytał Cole, wyczuwając jej niepokój. - Zobaczyłaś coś?

Pokręciła głową.

- Nie. Tylko ten dzień był taki dziwny. Zbyt wiele okropnych rzeczy się teraz dzieje.

Cole zatrzasnął drzwi. Eve spojrzała w boczne lustro i zaczęła obserwować oświetlony przez latarnie chodnik.

Usłyszała stukot kopyt i po chwili minął ich muł zaprzęzony do wózka.

Zaraz potem w lusterku pojawił się jakiś cień. Eve zmartwiała.

Wysoka ciemna postać wyłoniła się z mroku.

Eve odwróciła się szybko, ale w tym momencie ulicą przejechała furgonetka, na sekundę zasłaniając jej widok. Ciemna postać zniknęła. Jakby rozplynęła się w powietrzu.

- Coś tu jest nie tak - mruknął Cole, wsiadając do dżipa.

- Miałam przez chwilę wrażenie, że ktoś na mnie patrzy, ale może tylko mi się wydawało.

- Sprawdźmy.

Cole wyjechał z parkingu, zawrócił i ruszył wąskimi uliczkami, pełnymi jeszcze ludzi i wolno jadących samochodów. Eve rozglądała się uważnie, nie zauważyła jednak niczego niezwykłego.

- To chyba tylko moja wyobraźnia.

- Wątpię. - Cole skręcił w boczną uliczkę. - Nie masz skłonności do paranoi i konfabulacji.

- To, co widziałam w chacie Roya, to wyjątek od tej reguły? - spytała. Cole zeszywniał, wyjeżdżając zza zakrętu.

- Musisz mi zaufać, nigdy nie zrobiłbym nic, co mogłoby cię zranić, Eve. Ani tamtej nocy, ani nigdy.

- Więc tylko wyobraziłam sobie, że cię tam widziałam.

Nie było to pytanie, lecz stwierdzenie faktu. Cole spojrzał na nią z ukosa i dotknął jej kolana.

- To była dziwna noc.

- Nie przeczę - odparła, wciąż czując się nieswojo.

Znowu zadzwoniła jej komórka. Tym razem na ekranie pojawiła się informacja: numer zastrzeżony.

- Może to jakiś dziennikarz - powiedziała i wyłączyła telefon. - Ktokolwiek to zresztą jest, nie mam zamiaru teraz się tym zajmować.

Ale beztróski nastrój prysł jak bańka mydlana.

Dziwne telefony, wrażenie, że ktoś ją obserwuje... Znowu znaleźli się w punkcie wyjścia. Kilka wolnych od koszmaru godzin dobiegło końca, trzeba znowu wrócić do rzeczywistości.

Cole, milcząc, skręcił w stronę Garden District. Eve zawsze bardzo lubiła tę okolicę, jej wysokie, piękne kamienice i zadbane ogrody.

Tej nocy jednak zwróciła uwagę na łuk bramy i ogrodzenie cmentarza. W mroku nagrobki wydały jej się dziwnie złowieszcze, przypominały o nieuchronnej śmierci. A kiedy skręcili w St. Charles Avenue, nawet budynki uniwersytetów Loyoli i Tulane zrobiły na niej wrażenie ciemnych i ponurych, jakby w ich wnętrzach czaiło się zło.

Przystań, skarciła się w duchu. Czy Cole nie powiedział przed chwilą, że nie masz skłonności do paranoi? Próbowała zdusić złe przeczucia, lecz kiedy wyjechali z za rogu i przed nimi pojawił się jej własny dom, nawet widok znajomego, szerokiego ganku i wieżyczki nie podziałał na nią uspokajająco.

Cole zaparkował przy garażu. Eve otworzyła drzwi i nagle jakiś cień przemknął przez trawnik.

- Samson? - zawołała. Kot wbiegł na schodki i przysiadł na wycieraczce. - Jak wydostałeś się na dwór? - Wzięła go na ręce, czekając, aż Cole otworzy drzwi. - Jesteś nieznośny, ale i tak cię Kocham.

- Miło mi to słyszeć - mruknął Cole, wpuszczając ją do środka.

- Mówiłam do kota.

- Hm...

Samson, jakby nie podobało mu się, że rozmawiają nad jego głową, wysunął się z jej ramion, zeskoczył na podłogę i pobiegł do kuchni.

- Kiedyś mówiłaś takie rzeczy do mnie.

Serce Eve zabiło mocniej, przypomniała sobie nagle, jak jechali konno przez wielkie, płaskie pastwisko przy domu jej ojca. Proces dobiegł końca i Terrence Renner został oczyszczony z wszelkich zarzutów. Był piękny wiosenny dzień, słońce powoli chyliło się ku zachodowi. Założyła się z Cole'em o to, czyj koń jest szybszy a później ścigali się do stodoły. Ona jechała na mniejszej, raczej klaczy, ale Cole zdołał jakoś zmusić swojego konia, by przeskoczył przez wielki pień zwalonego drzewa, no i znalazł się przy stodole nieco wcześniej. Ciągłe jeszcze zdyszany ogłosił się zwycięzcą. Oskarżyła go o oszustwo, ale on tylko zeskoczył na ziemię, ściągnął ją z konia i pocałował tak namiętnie, że ledwo utrzymała się na nogach.

- Pora zapłacić, Eve, albo sam będę musiał sobie wziąć to, co mi się należy.

- Obiecanki cacanki - mruknęła.

- Prowokujesz mnie? - Jego oczy, błękitne jak niebo nad Teksasem, błyszczały, kiedy na nią patrzył. Uśmiechnął się do niej kącikiem ust.

- Myśl sobie, co chcesz!

- Niebezpiecznie sobie, pani, poczynasz!

- Oj, już się boję...

- I powinnaś.

Roześmiała się, a on znowu ją pocałował. A kiedy w końcu podniósł głowę, ujęła jego twarz w dłoń.

- Jesteś nieznośny, Cole'u Dennisie, ale i tak cię Kocham...

Teraz Cole patrzył na nią tymi samymi błękitnymi oczami, z taką samą intensywnością. A jej głupie serce natychmiast zaczęło bić szybciej. Chciała coś powiedzieć, lecz nie mogła wydobyć głosu. Odchrząknęła.

- Nie mówmy o tym, nie dzisiaj - wydusiła w końcu.

- A kiedy?

- Nie wiem.

- Kocham cię, Eve.

Stało się. Jego słowa zawisły między nimi i nastrój flirtu, który towarzyszył im przez cały wieczór, prysł. Tu, w słabo oświetlonym pokoju, w jej domu, Cole Dennis obnażył swoją duszę. Spojrzała na niego. Wydawał się nagi, bezbronny. Wyznał jej swoje uczucia.

Przełknęła ślinę. W pierwszym odruchu chciała zrobić to samo, ale zdołała się powstrzymać.

Cole stał przez nią z opuszczonymi rękami i czekał, czekał, by wypowiedziała słowa, tak głęboko wyryte w sercu.

Powiedz mu. Powiedz, że go Kochasz, że zawsze go kochałaś, że tak naprawdę wiedziałaś, że nigdy nie mógłby cię skrzywdzić. Powiedz, że się myliłaś, że jest ci przykro z powodu bólu, jaki mu zadałaś. Powiedz mu, Eve.

Ale głos uwiązł jej w gardle. Od jak dawna czekała, by Cole powiedział, że ją nadal Kocha?

- Powinniśmy być ostrożni - wydusiła, choć w głowie rozbrzmiewały jej zupełnie inne słowa. Kochasz go. Kochasz. Więc powiedz mu to. Na litość boską, Eve, nie schrzań tego!

Kiedyś go kochała, nie miało sensu zaprzeczać czemuś tak oczywistemu. I istniała szansa, że nigdy nie przestała. Delikatnie dotknął jej twarz dłoń.

- Nie spiesz się, Eve. - Z trudem powstrzymała się, by nie rzucić mu się w ramiona. - Nigdzie się nie wybieram. - Jego palce ześliznęły się z jej policzka na szyję, i niżej, pod wycięcie bluzki. Pochylił się nad nią i zajrzał jej w oczy. - Zaczekam.

Och, dobry Boże...

Łzy wezbrały jej pod powiekami, ale zdołała się opanować. Nie



chciała przy nim płakać. Czowała na skórze jego ciepłe palce i nagle zapragnęła zarzucić mu ręce na szyję i zacząć go całować, dotykać, ściągać z niego ubranie. Oczami wyobraźni zobaczyła jego nagie ciało obok niej na łóżku. Czy naprawdę tak źle by się stało, gdyby?...

Chwyliła go za rękę.

- Powinniśmy się do tego zabrać naprawdę powoli - powiedziała ostrożnie.

- Nie wiem, czy przy tobie cokolwiek może być :powoli:.

- Cole...

- Nie opieraj mi się - wyszeptał żarliwie.

Spojrzała na niego. Pragnęła go. Próbowwała pamiętać, że nie wolno jej się z nim związać, ale przecież to jego tak bardzo kochała.

- Dobrze - odparła z nerwowym śmiechem.

Jej nagła uległość zaskoczyła go i uradowała. Pocałował ją namiętnie, a potem uśmiechnął się szeroko.

- Pójdę po swoje rzeczy. Spotkamy się na górze.

Eve odwróciła się, pobiegła przez kuchnię i po schodach, z kotem, który pędził tuż za nią. Oszalałaś? To jakiś obłąd? Ale w tej chwili mogła myśleć tylko o tym, żeby się z nim kochać. Czy powinna się rozebrać i naga zaczekać na niego w łóżku?

A może włożyć seksowną bieliznę? Boże, czy ma w ogóle jakąś ładną piżamę albo przejrzystą koszulkę nocną? Na pewno coś znajdzie... nie, żeby to było dla niego najważniejsze.

Samson wyprzedził ją na schodach, kiedy biegła do sypialni w wieżycy. Cole właśnie wrócił do domu. Jeśli ma go zaskoczyć, będzie musiała się pospieszyć.

Czyste szaleństwo! Ale cudowne...

Wskoczyła na ostatnie stopnie i pchnęła drzwi. Dysząc ciężko, z mocno bijącym sercem przeszła przez ciemny pokój i włączyła lampę przy łóżku.

I wtedy zobaczyła lalkę.

W miękkim, ciepłym świetle lampy.

Charlotte leżała w takiej samej pozycji jak w starym szpitalu: twarzą w dół, rozebrana, poznaczona czerwonymi pręgami. Tylko że teraz - na samym środku łóżka Eve.

Wszędzie była krew. A na ścianie, wypisana krwią, wiadomość... dla niej.

Z jej gardła wydobył się zduszony krzyk. Ochryply i przeciągły niósł się echem po domu.

## Rozdział 26

Cole usłyszał ten krzyk. Eve!

Upuścił torbę i wbiegł na schody, przeskakując po dwa stopnie. Omal nie przewrócił się przez kota, który akurat w popłochu zbiegał w dół. Dopadł sypialni w chwili, kiedy Eve cofała się do drzwi, zakrywając usta rękami. Odwróciła się do niego. Miała szeroko otwarte, przerażone oczy. Niewiele myśląc, chwycił ją za rękę, mocno ścisnął i zajrzał do pokoju.

- O Boże, o Boże, Boże... - jęczała.

Wtedy to zauważył, słowa na ścianie ponad wezłowiec łóżka. *Dennis sinned*. Dennis zgrzeszył. Wypisane drukowanymi literami, wielkimi i ciągle jeszcze ociekającymi krwią. Żołądek podszedł mu do gardła, cofnął się odruchowo i nagle zobaczył zmaltretowaną lalkę i krew. Całe łóżko zdawało się nią przesiąknięte. Gęsta i czerwona, spływała na podłogę. Ogarnęły go mdłości.

Pociągnął za sobą Eve w dół schodów.

- Jak? - wyszeptała. - Kto? - Drżała w jego ramionach. - Dlaczego ktoś miałby...

- Ten ktoś jest poważnie zaburzony - powiedział. *Dennis sinned*.

Dennis zgrzeszył. Ktoś wiedział.

- Chodź. - Wepchnął ją do kuchni, a potem wcisnął w jej dłoń wielki rzeźnicki nóż. - Nie sądzę, żeby ktoś tu jeszcze był, lepiej to jednak sprawdzić. Gdzie jest rewolwer, ten, z którego do mnie mierzyłaś?

- Rewolwer... och, włożyłam go z powrotem do szuflady biurka w gabinecie dziadka - odparła z roztargnieniem, a później, bardziej przytomnie, dodała: - Ale on nie jest naładowany. W domu nie ma chyba żadnej amunicji.

- To właściwie dobrze. A może masz tu wiatrówkę albo inną strzelbę?

- Nie. Babcia sprzedała wszystkie dawno temu.

Nie musieli więc martwić się o żadną broń poza tą, którą psychol, być może, przyniósł ze sobą. Jeśli jeszcze tu był.

- W porządku. A teraz - Cole chwycił słuchawkę bezprzewodowego telefonu, szybko wystukał 911 i podał ją Eve - powiedz, żeby tu kogoś przysłali i znaleźli Bentza albo Montoyę. Możesz to zrobić?

Kiwnęła głową, ale on nie wydawał się przekonany.

- Na pewno?

- Tak. - Ujęła telefon jedną ręką, w drugiej ścisnęła rzeźnicki nóż.

- Przeszukam parter i pójdę na górę.

- Idę z tobą.

- Nie, Eve, zostań tu i...

- Mówi Eve Renner - powiedziała do telefonu, po czym podała adres, błagając wzrokiem Cole'a, by zaczekał, aż skończy. - Chciałabym zgłosić... włamanie... Nie, nie wiem, czy coś zginęło, ale ten ktoś zostawił mi wiadomość... wypisaną krwią na ścianie... i lalkę, całą we krwi... i... - Spojrzała na Cole'a, lecz słowa, które widziała w sypialni, nie chciały jej przejść przez gardło. - Chciałabym, żeby zadzwonił do mnie detektyw Bentz albo Montoya... Tak... Nie, zaczekam tutaj. Nie, nie jestem sama... Będę tu bezpieczna. - Odłożyła słuchawkę, jedną dłoń włożyła w dłoń Cole'a, w drugiej ścisnęła nóż i ruszyła za nim. Na parterze wszystko wydawało się w porządku. Pełni obaw weszli więc na piętro, ale i tu było pusto. Spokojnie. Nienaładowany rewolwer leżał tam, gdzie zostawiła go Eve, w szufladzie biurka.

Tylko sypialnia w wieżycze została zbrukana krwią.

Cole miał zamęt w głowie. Kto mógł chcieć przerazić Eve w tak okropny sposób? Wykorzystując jego imię? Cole zdał sobie sprawę, że nic nie działo się przez przypadek. Ktokolwiek stał za tymi morderstwami, miał obsesję na punkcie Eve. To ona była jego ostatecznym celem. Ktoś chciał ją sterroryzować. I nie podobało mu się, że on jest blisko niej... Bo gdyby było inaczej, po co miałby wypisywać jego imię krwią na ścianie? Do wszystkich zbrodni, poczynając od morderstwa Roya Kajaka, doszło z powodu fascynacji zabójcy kobietą, którą on. Cole, kochał, i jego pragnienia, by kontrolować jej życie.

I to śmiertelnie Cole'a przeraziło.

Eve ciągle patrzyła na łóżko, kiedy pociągnął ją lekko w stronę szafy.

- Spakuj torbę. Nie zostaniemy tu dzisiaj na noc. Nie było żadnego włamania, Eve - dodał, wyjmując z szafy torbę podróżną. - Ktoś ma klucze do twojego domu.

- Nie, nikt nie ma kluczy.

- Nieprawda. Ja mam. Pamiętasz? Dałaś mi je, kiedy chcieliśmy się pobrać.

Kiwnęła głową.

- Może ktoś z twoich sąsiadów też ma je? Żeby zaglądać tu, kiedy

gdzieś wyjeżdżasz? Albo twoi bracia? Nie zmieniłaś zamków, gdy się tu wprowadziłaś, prawda?

- Nie, to był dom babci.

- A komu babcia mogła powierzyć klucze? Sprzątacze? Ogrodnikowi? Najlepszej przyjaciółce? - Cole zdjął kilka bluzek z wieszaków i wrzucił do torby.

- Nie wiem.

- Właśnie. No, pakuj się. Policja nie będzie zachwycona, że grzebaliśmy w szafie, ale poradzą sobie.

Eve ostatni raz spojrzała na łóżko, a potem spakowała bieliznę, dzinsy i dwa swetry.

- To jakiś obłęd - szepnęła. Kiwnął głową.

Zabrała jeszcze kosmetyczkę z łazienki.

Kiedy wychodzili, Cole chwycił laptop Eve i po chwili byli już za drzwiami. Z oddali dobiegało wycie policyjnych syren.

Po raz pierwszy od bardzo dawna Cole Dennis poczuł ulgę na myśl o tym, że policja już do nich jedzie.

Montoya zatrzasnął klapkę telefonu komórkowego i wyłączył telewizor.

- Muszę lecieć - powiedział do Abby, zabierając portfel, broń i odznakę.

- Dokąd?

- Problemy u Eve Renner. Abby szybko podniosła głowę.

- Ale z nią wszystko w porządku?

- Chyba tak, choć nie wiem na pewno. - Chwycił kluczyki od samochodu. - Wygląda na to, że nikt nie odniósł tam żadnych obrażeń. Dowiem się więcej na miejscu.

- Jadę z tobą - oznajmiła Abby, rozglądając się za swoją torebką.

- Mowy nie ma. To sprawa policji.

- Ale ona może być moją siostrą.

- Właśnie, :może:. - Montoya był już blisko drzwi. - Nie mam pojęcia, co tam się dzieje, ale ty ze mną nie jedziesz. - Spojrzał na nią bardzo poważnie.

- Nie możesz mnie powstrzymać.

- Oczywiście, że mogę. Nie wtrącaj się do tego, Abs.

- Jadę, do cholery.

- Och, na litość boską, nie czas na takie przepychanki. Zostań tu,

zadzwoń do ciebie.

Abby wyglądała tak, jakby miała zamiar dalej się kłócić, w końcu jednak tylko machnęła ręką.

Montoya wyszedł, a Hershey zaskomlała żałośnie, wpatrując się w drzwi.

- Wiem - powiedziała Abby do psa i poklepała go czule po szerokim łbie. - Nie martw się. My też pójdziemy, tyle że nie z nim.

Zaczekała, aż ryk samochodu Montoi zaczął cichnąć, a kiedy tylne światła znikły za zakrętem, zagwizdała na Hershey. Zamknęła drzwi domu na klucz i poszła przez trawnik do swojej hondy.

- No, wskakuj - powiedziała, otwierając tylne drzwiczki.

Hershey posłuchała i Abby ruszyła. Wiedziała, że Eve mieszka w Garden District, więc już po kilku minutach jechała szybko wzdłuż St. Charles Avenue. Minęła kilka statecznych, wielkich domów i po chwili zobaczyła błyskające światła policyjnych wozów przed sporą wiktoriańską kamienicą z wieżyczką. Stał tam też mustang Reubena. Tak, to musi być tu. Zaciekawieni sąsiedzi, w piżamach albo szortach i podkoszulkach, wychodzili już na ganki i gromadzili się przy krawężniku. Gdzieś w ogrodzie zaszczekał pies, Hershey odpowiedziała mu ostrzegawczym warknięciem.

- Cśśś, bądź grzeczna - skarciła ją Abby. - I bez tego pewnie będę miała kłopoty.

Zaparkowała przecnicę dalej. Zostawiając uchylone okna, zamknęła samochód i szybko wróciła pod dom Eve Renner. Zebrało się tam mnóstwo ludzi. Jeden z policjantów rozwijał żółtą taśmę wokół terenu, drugi spisywał wszystkich, którzy chcieli się przez nią przedostać. Przyjechała furgonetka z ekipą policyjnych techników, a zza zakrętu wyłonił się właśnie van jakiejś stacji telewizyjnej.

Abby podeszła od strony garażu, który znajdował się dość daleko od ganku, gdzie Montoya rozmawiał z Bentzem, Cole'em Dennisem i Eve Renner. Eve stała zaskakująco blisko człowieka, którego jeszcze całkiem niedawno oskarżała o to, że próbował ją zabić. Abby widziała już Eve na zdjęciach i powiedziała nawet do siostry, że Eve mogłaby należeć do ich rodziny, ale to był tylko żart. Widziała też jej fotografie w prasie, kiedy o morderstwie Roya Kajaka gazety pisały na pierwszych stronach. Jednak dopiero teraz, gdy zobaczyła Eve w słabym świetle palącej się na ganku lampy, naprawdę dostrzegła

podobieństwo. W półmroku Eve wyglądała zupełnie jak Faith Chastain.

Abby doszła do wniosku, że musiała być ślepa, skoro nie zauważyła tego wcześniej.

Wyciągnęła z kieszeni komórkę i wystukała numer swojej siostry w Seattle.

Gina odebrała po trzecim sygnale.

- Cześć, witaj! - Od razu rozpoznała numer Abby. - Co słychać?

- Jestem na miejscu zbrodni i właśnie na nią patrzę.

- Na miejscu zbrodni?

- Wydaje mi się, że wszystko w porządku. Nie wiem jeszcze, co się stało, ale dam ci znać, jak tylko się dowiem.

- A niby dlaczego miałoby mnie to interesować? Zaraz, zaraz... na kogo właściwie patrzysz?

- Na Eve Renner. I muszę ci powiedzieć, że jeśli ona nie jest naszą siostrą, to powinna nią być. To skóra zdarta z mamy.

- Myślałam, że to ty jesteś sobowtórem mamy. Wszyscy zawsze mówili, że jesteś do niej tak podobna, że to wprost niesamowite.

Abby nie spuszczała wzroku z Eve.

- Chyba już nie mamy na to wyłączności.

- Naprawdę?

- Jest bardzo podobna, Gino. Bardzo.

- Czy znane są już wyniki testu DNA?

- Jeszcze nie.

- Jeśli ona jest naszą siostrą, to będzie naprawdę dziwne. Czy tata wie? Abby pomyślała o ojcu, który przebywał w zakładzie opiekuńczym, walcząc z chorobą nowotworową, i o Charlene, jego drugiej żonie, która nie bardzo potrafiła się zająć swoim chorym mężem.

- Myślę, że nie powinniśmy mu nic mówić, dopóki nie będziemy pewne. To samo dotyczy Charlene, bo jeszcze dostałaby jakiegoś ataku i skończyła w tym samym zakładzie.

- Gdzie tam - prychnęła Gina. - Ale zgoda. Zachowajmy to dla siebie, dopóki nie poznamy wyników DNA. - Urwała i dodała po chwili: - Słuchaj, a czy ona... Eve, jest choć trochę podobna do taty?

Abby przyjrzała się Eve - wydatne kości policzkowe, mały, prosty nos, krótkie kręcone włosy o rudawym odcieniu. Potem przypomniała sobie ojca, jego twarz i budowę ciała.

- Nie - odparła w końcu bez cienia wątpliwości, choć serce ścisnęło jej się w piersi. - Ani trochę.

- Dobry Boże - szepnęła Gina. - Nie sądzisz chyba... To znaczy, czy to w ogóle możliwe, żeby on był jej ojcem?

Abby zadrżała. Wróciła myślami do przeszłości, mrocznej przeszłości. Faith Chastain nie była wierna swojemu mężowi, z powodu psychicznych zaburzeń czy słabości umysłu albo dlatego, że zmuszano ją do odrażających dla niej czynów w czasach, kiedy leczyła się w Szpitalu Naszej Pani od Cnót. Nikt nie wiedział dokładnie, co tam przeszła.

- Zostawmy to - powiedziała do telefonu.

- Ale co będzie, jeśli ona jest naszą przyrodnią siostrą, a ten szaleniec jej ojcem? Co wtedy?

- Daj spokój, Gino. Nie dokładajmy sobie problemów.

- W porządku. Dobrze. Więc ty jej powiesz, że jest córką psychopatycznego zabójcy.

- Nie wiemy tego na pewno.

- Lepiej jednak, żebyś była na to przygotowana. Mam przeczucie, że nasza mała, dziwaczna, dysfunkcyjna rodzinka stanie się wkrótce jeszcze dziwniejsza i, jeśli to możliwe, bardziej dysfunkcyjna.

- Chyba pójdę z nią pogadać.

- Jasne, idź. I koniecznie przekaz jej pozdrowienia i uściski od starszej siostry.

Abby zignorowała sarkazm w głosie Giny i się rozłączyła. Teraz albo nigdy, pomyślała. Szkoda, że okoliczności nie są inne, ale trudno. Musi to wiedzieć. Musi. Odetchnęła głęboko i podeszła śmiało do Eve, która ciągle rozmawiała z Montoyą. Obok stał jeszcze jeden mężczyzna; Abby widziała go kilka razy w wiadomościach i na zdjęciach w prasie. Montoya nazywał go :mętem: i bardzo starał się doprowadzić do jego skazania za morderstwo Royała Kajaka. Abby wiedziała wszystko o Cole'u Dennisie. A przynajmniej wszystko to, co najgorsze.

Montoya musiał ją dostrzec kątem oka, bo odwrócił się nagle, i gdyby wzrok mógł zabijać, Abby po tym jednym jego spojrzeniu z pewnością byłby już martwa.

- Przepraszam - powiedziała odważnie i wyciągnęła rękę. - Ty musisz być Eve Renner. A ja jestem Abby Chastain.

Wskrzesciciel obserwował wszystko, kryjąc się w cieniu. Podszedł tak



blisko, jak było to możliwe.

Policja miała kamery i filmowała każdego, kto tylko nieco bardziej zbliżył się do domu. Wiedział, że musi być ostrożny; na jego ubraniu i furgonetce zostały ślady krwi. Nie mógł ryzykować. Nie teraz, kiedy miał jeszcze tyle do zrobienia.

Dostrzegł ją w świetle palącej się na ganku lampy.

Drobna i piękna, stała obok Cole'a Dennisa, kiedy podeszła do nich jakaś kobieta; kobieta, której nie rozpoznał, bo widział ją od tyłu. Ale to i tak było bez znaczenia. Dla niego liczyła się tylko Eve.

Tylko Eve.

Zacisnął zęby, kiedy zobaczył, jak Eve ściska dłoń tej kobiety, a potem poufałym gestem dotyka ramienia Dennisa i szepcze coś do jego ucha. Dennis położył dłoń na jej ramieniu i przyciągnął ją bliżej do siebie.

Żołądek podszedł mu do gardła.

Afiszowali się ze swoim uczuciem.

Przed tym policjantem.

I przed nim.

I przed Bogiem.

Czekał, aż Głos odezwie się do niego, powie, że to świętokradztwo nie uszło jego uwagi, i poinstruuje go, jak ma poradzić sobie z tą sytuacją. Proszę, błagał cicho. Pozwól mi zabić najpierw jego, a później Eve... kiedy nadejdzie czas.

Nie śmiał prosić o kilka minut sam na sam z nią, mógłby wtedy zrobić z nią wszystko, czego tylko by zapragnął: zmusić ją, by go całowała, dotykała, lizła... tak jak Cole'a Dennisa. Och, wiedział, na jakie sposoby oddają się swojej zakazanej namiętności. Widział światło w pokoju na wieży i czuł zapach ich brudnego, niegodnego seksu. Wiatr przywiał do niego ten zapach, wraz z zapachem świeżo skoszonej trawy i kwiatów magnolii. Wyobraził sobie, jak to robią, i nie potrafił się skupić na niczym innym.

To Dennis ją skusił.

To Dennis skłonił ją do grzechu.

To Dennis zdierał z niej ubranie, odsłaniając te idealne piersi o sutkach domagających się pieśszczot. To Dennis śmiało zanurzał twarz w kręconych włosach u zbiegu jej ud, wsuwał tam palce i w końcu wchodził w nią gwałtownie, szybko, brutalnie, a ona wydawała jęk

strachu i odrazy, po czym łączyła się z nim w tej dzikiej namiętności, podsycanej przez samego Lucyfera, której później z pewnością żałowała.

Ten akt był gwałtem nie tylko na jej ciele, ale także na duszy.

Bóg nigdy by nie pobłogosławił tak barbarzyńskiego złączenia ciał.

Przez Dennisa Eve stała się Jezabel. Nierządnicą. Dziwką. Kurwą. To, co robili, robili nie z miłości, tylko ze zwierzęcej żądzы.

Akt zespolenia z nim, ze Wskrzesicielem, byłby inny. Czysty. Nakazany przez Boga. Stał się wybawieniem dla Eve, zanim zapłaci ostateczną cenę za swoje grzechy i spojrzy w twarz Stwórcy.

Daj mi ją, modlił się gorączkowo, na chwilę zapominając, że policja jest tak blisko i że powinien już opuścić to miejsce. Proszę, proszę, daj mi ją. Tej nocy. Och, jak najszybciej! Płonął z pożądania. Patrzył na nią i fantazjował, a jego członek był twardy jak skała... Gdyby tylko Bóg zechciał przemówić!

Ale Głos przemawiał do niego tylko wtedy, gdy w swojej chacie leżał na łóżku, rozmyślając o Eve. Kiedy indziej nie słyszał głosów, nawet te ciche, drażniące piski rozlegały się tylko nocą, budziły go i nie pozwalały mu zasnąć. Wiedział więc, że Bóg nie odpowie mu teraz. A jednak się modlił. Proszę, Ojczy, błagał Go w duchu, robiąc w powietrzu znak krzyża. Przemów do mnie, powiedz mi, czego żądasz. Jestem Twoim sługą i chcę uczynić, co każesz, ale muszę wiedzieć, czego żądasz...

- Hej, ty, masz ogień? - rozległ się czyjś głos.

Drgnął i spojrzał na człowieka, który stał tuż obok. Tak głęboko zapadł w świat swoich fantazji i modlitw, że nie usłyszał kroków.

Serce biło mu bardzo szybko, oblał go zimny pot. Mężczyzna, Latynos po trzydziestce, z papierosem w kąciku ust, zdawał się jednak niczego

Krew! Ten idiota zaraz zauważy krew! Zjeżdżaj stąd, i to już! Pokręcił głową i zaczął się cofać. Nie chciał, by ktoś go zobaczył albo usłyszał jego głos.

- Ciekawe, co tam się stało? - zapytał facet, a potem odwrócił się w stronę innego mężczyzny, który szedł w ich stronę.

Wskrzesiciel omal się nie zsiusiał. Zbliżający się właśnie człowiek był gliną. W mundurze. Patrzył na nich. Wielki, czarny, pewny siebie policjant.

- Nie ma pan czasem ognia? - spytał go głupi Latynos. Wskrzesciel, szybki jak błyskawica, dał nura przez żywopłot i ruszył przez nieoświetlony trawnik. Nie odwrócił się, by sprawdzić, czy któryś z mężczyzn za nim idzie. Szedł szybko, cicho, na skróty przez ogrody, klucząc między domami, w stronę parkingu przed restauracją, gdzie zostawił samochód.

Kiedy w końcu tam dotarł, dyszał ciężko i był mokry od potu. Czuł metaliczny zapach krwi, która wsiąkała w jego ubranie. Wściekał się na siebie. Jak mógł być tak nieostrożny?

Obejrzał się i dostrzegł jakiś ruch w krzakach rosnących wokół parkingu. Och, nie! Policjant, wielki, silny facet, siedział mu na karku.

Nie! Nie po to posunął się tak daleko, żeby teraz wszystko zaprzepaścić.

Popędził do furgonetki i wskoczył za kierownicę.

- Hej! - usłyszał w tej samej chwili. Sięgnął pod siedzenie i wyjął swojego glocka.

Za późno, by uciec się do fortelu, gliniarz na pewno zdołałby dojrzeć numer rejestracyjny jego wozu. Opuścił szybę w oknie i wyjrzał, ściskając rewolwer w dłoni. Odbezpieczył go bez trudu.

- Jakiś problem, panie oficerze? - spytał.

- Proszę wysiąść z samochodu. Bardzo powoli.

Policjant celował prosto w okno furgonetki. Do barku miał przyczepiony mikrofon, na plakietce było nazwisko: :Tiggs:.

Wskrzesciel wiedział, że w ciągu kilku sekund Tiggs wezwie wsparcie, jeśli już tego nie zrobił.

- I proszę podnieść ręce do góry - rozkazał gliniarz tonem nieznośnym sprzeciwu. - Wysoko.

Wskrzesciel wykonał taki ruch, jakby miał zamiar posłuchać. Podniósł lewą rękę, a potem błyskawicznie wyrzucił w górę prawą i strzelił. Policjant runął na ziemię.

## Rozdział 27

- Przepraszam, ty musisz być Eve Renner. A ja jestem Abby Chastain.

Eve, stojąca obok Cole'a, odwróciła głowę, by spojrzeć na szczupłą kobietę po trzydziestce; zbliżała się do niej z wyciągniętą ręką.

Więc to jest kobieta, która może być moją siostrą; kobieta zaręczona z detektywem Montoyą, pomyślała, ciągle starając się otrząsnąć z koszmaru, jaki właśnie przeżyła.

- Miło mi - powiedziała, bo nic innego nie przyszło jej głowy. Uścisnęły sobie dłonie i Eve nagle przypomniała sobie znowu, że jedno ramię ma na temblaku.

Piękna ta Abby, pomyślała Eve, może trochę do mnie podobna. Spojrzała na Montoyę; patrzył na narzeczoną takim wzrokiem, jakby miał ochotę skrócić jej kark.

- To miejsce, w którym popełniono przestępstwo - powiedział.

- Wiem, ale bardzo chciałam poznać Eve. - Abby uśmiechnęła się do niego chłodno, po czym przeniosła wzrok na Eve. - Istnieje szansa, że jesteśmy spokrewnione... że jesteśmy siostrami. Zdawałam sobie sprawę, że to może być niezręczna sytuacja, więc pomyślałam, że przyjadę i przełamie lody.

- W samym środku dochodzenia - wycodził Montoya przez zaciśnięte zęby.

- Rozumiem. Chcesz, żebym się stąd zabrała. - Odwróciła się do Eve.

- Muszę już iść, ale gdybyś chciała kiedyś pogadać, napić się kawy albo wina, zadzwoń, proszę. - Sięgnęła do torebki i wyjęła portfel, a z niego wizytówkę. - Mój numer do pracy i na komórkę.

- Dziękuję - odparła Eve.

Montoya gotował się ze złości. Abby końcami palców przesłała mu pocałunek.

- Do zobaczenia wkrótce, skarbie - rzuciła i szybko się oddaliła. Montoya, mrużąc coś pod nosem o upartych kobietach, patrzył za nią; jego wzrok na dłuższą chwilę zatrzymał się na jej zgrabnej pupie.

- Przepraszam - powiedział. - Właściwie i tak już skończyliśmy.

- Więc możemy iść? - Cole także odprowadził Abby spojrzeniem, po czym poinformował Montoyę: - Eve nie będzie tu dzisiaj spała. Najpierw trzeba zmienić zamki.

- No tak - mruknął detektyw. - Proszę mi dać znać, jeśli przyjdzie pani do głowy jakiś pomysł na to, kto mógł zrobić coś takiego.

Dennis nawet nie mrugnął.

Pewnie uznał, że policja to jego największy wróg, pomyślał Montoya. I chyba nie był daleki od prawdy.

- Zadzwoń, jeśli coś mi się przypomni.

Akurat. Montoya spojrzął na zegarek. Gdzie, do cholery, podziewa się Bentz?! Kiedy zgłoszono to, co stało się u Eve Renner, Montoya zadzwonił do niego i dowiedział się, że Bentz jest już w drodze.

Jeśli celowo zwleka z przyjazdem, osobiście skręcę mu kark.

Ale to niepodobne do Bentza. Sięgnął po komórkę i...

Barn.

Montoya znieruchomiał. Odwrócił się do oficera, który stał pod gan-kiem.

- Strzał?

- Chyba tak.

Cole właśnie szedł do swojego dzipa; zatrzymał się i spojrzął w stronę, z której rozległ się huk. Barn.

- Cholera! - Montoya wyciągnął broń, czując, że wydarzyło się coś złego. - Jedźcie już. Na razie - powiedział, kiedy napotkał wzrok tego aroganckiego prawnika. Potem sięgnął po radio. - Detektyw Reuben Montoya - zgłosił się i podał numer odznaki. - Strzały, gdzieś niedaleko St. Charles. - Wyrecytował adres Eve. - Nie wiem, zaraz sprawdzę...  
Przyślijcie wsparcie!

- Gdzie Tiggs? - spytał jeden z mundurowych.

- Miał pogadać z sąsiadami... - Montoya spojrzął na ulicę, którą przed niespełna dziesięcioma minutami szedł Tiggs. Wszyscy sąsiedzi patrzyli teraz tam, skąd padły strzały, ale nie było wśród nich nikogo w mundurze.

Cholera!

Podbiegł do samochodu i chwycił radio. Operator potwierdził jego najgorsze podejrzenia.

- Ranny oficer.

Montoya krzyknął do policjantów, by zabezpieczyli teren. Operator podał mu adres.

Trzy przecznice dalej, na parkingu przed restauracją. Jezu, sytuacja pogarszała się z minuty na minutę.

Był roztrzęsiony. Przerażony.

Z mocno bijącym sercem, ogarnięty paniką, uciekał z miasta, co chwilę spoglądając we wsteczne lusterko. Czy na pewno nikt za nim nie jedzie?

Skręcił nagle i zawrócił, a potem powtórzył manewr. Cztery razy przejechał przez rzekę, zanim w końcu zdecydował się ruszyć we właściwym kierunku i światła Nowego Orleanu zaczęły się oddalać. Na przedmieściach ruch był mniejszy. Ale dopiero na dwupasmowej drodze wijącej się wśród mokradeł - nie jechał tamtędy żaden inny samochód - odetchnął. Później, na prostym odcinku dwa razy dostrzegł przed sobą tylne światła jakiegoś pojazdu, wtedy zwalniał i czekał, aż znikną.

Kiedy dotarł wreszcie do swojej kryjówki, jego serce było znowu normalnym rytmem. Czuł jednak w nozdrzach zapach krwi, który przypominał mu o nieposłuszeństwie wobec Boga.

Bóg nigdy nie rozkazał mu zabić policjanta.

Nigdy.

Zamrugął gwałtownie. Miał nadzieję, że jeszcze nie wszystko stracone. Wierzył, że Głos przemówi do niego tej nocy i zapewni go, iż uczynił tylko to, co było konieczne. I że może jednak zostać deifikowany.

Będę absolutnie posłuszny.

Kiedy parkował samochód, znowu stanęły mu przed oczami wydarzenia tego dnia i błędy, jakie popełnił: Eve w domu z Cole'em Dennisem; fantazje, które odebrały mu jasność myślenia; nadejście policjanta i ucieczka przez ogrody.

Nie miał wyboru, musiał strzelić. Mimo że nie było to częścią jego misji, mimo że Głos nie kazał mu odebrać życia policjantowi.

Ale nie skończyło się na jednym strzale.

Upadając, Tiggs zdążył jeszcze pociągnąć za spust.

Wskrzesciciel uchylił się, kula odbiła się rykoszetem od dachu samochodu.

Wtedy, napędzany adrenaliną, wrzucił bieg i wcisnął pedał gazu. Furgonetka z piskiem opon wyjechała z parkingu.

Z sercem walącym jak młotem, odważył się spojrzeć we wsteczne lusterko.

Tiggs leżał bez ruchu na asfalcie, w kałuży krwi. Umierał.

Z restauracji zaczęli wybiegać ludzie. Krzyczeli. Pokazywali go sobie palcami. Jeden z tych sukinsynów nawet wskoczył do swojego samochodu, żeby go ścigać. Ktoś inny przykląkł przy Tiggsie, usiłując go ratować.

Za późno, pomyślał. Szybko zgubił niedoszęłego bohatera, a co do Tiggsa, to nie miał żadnych wątpliwości.

Policjant będzie jedyną ofiarą, która nie zostanie wskrzeszona.

Teraz przemierzał szybko las, nie zwracając uwagi na pohukiwanie sowy i trzepoczące mu nad głową nietoperze. Otworzył drzwi chaty i wszedł do znajomego, ciemnego wnętrza.

Weźmie prysznic. Zmyje z siebie krew.

A potem upadnie na kolana przed zimną kratą kominka i będzie się modlił.

O przewodnictwo. O siłę.

A w końcu także o przebaczenie.

Bentz patrzył na kobietę siedzącą naprzeciw niego w jego biurze. Nazywała się Ellen Chaney. Była czarna, dość pulchna i dobiegała pięćdziesiątki, a sprowadziło ją tu coś, co usłyszała w wiadomościach.

Operator zadzwonił do niego, przerywając randkę z Olivią. Bentz był wściekły, że uroczy wieczór przedwcześnie się skończył, na szczęście jednak jego żona, która także sporo w życiu przeszła, była bardzo wyrozumiała.

Spotkał się więc z Chaney na komisariacie, gdzie kilku detektywów pracowało przy swoich biurkach, ale w porównaniu z hałasem, jaki panował tu za dnia, było bardzo cicho.

- A zatem przyszła tu pani z powodu konferencji prasowej?

- Tak. - Kiwnęła głową, wpatrując się w niego niespokojnie; nerwowo obracała na placu obrączkę. - Byłam pielęgniarką w Szpitalu Naszej Pani od Cnót. Przez pewien czas... To... to była bardzo przygnębiająca praca. - Odwróciła wzrok. - Dochodziło tam do rzeczy bardzo złych i... powinnam była to komuś zgłosić. Zarządowi szpitala, prokuraturze albo archidiecezji... ale nie zgłosiłam. Robiłam tylko to, co do mnie należało, a kiedy pojawiła się okazja zmiany pracy, odeszłam stamtąd.

Bentz słuchał, nagrywając rozmowę na mały dyktafon.

- Sądziłam, że to wszystko jest już za mną. Zwłaszcza ubiegłej

jesieni, kiedy ten pierwszy seryjny morderca grasował w okolicy. Wtedy wiele spraw wyszło na jaw, czytałam o tym i czułam, że w końcu jestem naprawdę wolna, a potem... - Przyciskała obrączkę z taką siłą, że cały palec poczerwieniał - ...potem zaczęło się od nowa, i znów mówi się o Faith Chastain. Pomyślałam, że jeśli zostanie ekshumowana, ktoś na pewno zauważy bliźnę po cesarskim cięciu.

Zainteresowanie Bentza gwałtownie wzrosło, ale tego nie okazał, czekając, aż kobieta zakończy swoją historię. Informacja o bliźnie nie została podana do publicznej wiadomości nie bez powodu. Tylko ci, którzy byli blisko związani z Faith lub ze szpitalem, mogli wiedzieć o jej trzecim dziecku.

I ...

- Faith urodziła dziecko. Doktor Renner sam odebrał poród, a ja mu asystowałam jako pielęgniarka.

- Był chirurgiem? - spytał Bentz, zaskoczony.

- Psychiatrą. Lekarzem medycyny. Podczas studiów zaliczył też kurs chirurgii. Tak nam przynajmniej powiedziano.

- Ale dlaczego nie wezwano ginekologa położnika? Chaney spuściła wzrok.

- Obawiano się skandalu.

- Kto się obawiał?

- Administracja szpitala i matka przełożona. To dziecko... to nie było dziecko męża Faith.

- Skąd mogli to wiedzieć?

- W czasie, który to poprzedzał, Faith przez ponad rok nie miała kontaktu z mężem.

Bentz nie wiedział, ile z tego wszystkiego kupić, ale kobieta podała dość faktów, by jej historia brzmiała prawdopodobnie. Nie potrafił jednak oddzielić faktów od fikcji. Chaney wydawała się przepełniona szczerym żalem, miała udreconą twarz, a wiszący na jej szyi krzyżyk świadczył o jej religijności, ale...

- Więc kim był ojciec dziecka?

- Nie wiem.

- Renner?

- Co? - Patrzyła na swoją obrączkę, lecz słysząc nazwisko lekarza, szybko podniosła głowę. - Doktor Renner? Nie.

- A może doktor Simon Heller?



- Och, nie... To znaczy, nie wiem. Mówiono, że kiedyś go... hm, przyłapano z pacjentką, ale ta sprawa nigdy nie wyszła na jaw. Naprawdę nie wiem, czyje mogło być to dziecko. Wiem tylko, że urodziło się martwe. Chłopczyk. Faith dała mu na imię Adam.

- Urodził się martwy? - spytał Bentz, zdziwiony.

- Tak.

- Widziała go pani? Tego chłopca? Chaney z powagą pokiwała głową.

- Nie oddychał i... Faith była zrozpaczona. Doktor dał jej coś na uspokojenie, a mnie powiedziano, żebym wyszła z sali.

Bentz zauważył, że kobieta wyraźnie unika jego wzroku. Czy mówiła prawdę? Może... tyle tylko, że nie całą. A jeśli nie kłamała, Eve Renner nie mogła być zaginionym dzieckiem Faith Chastain. Znowu rozboleł go żołądek. Postanowił spotkać się z Ellen Chaney zamiast dołączyć do Montoi w domu Eve Renner, bo miał nadzieję na przełom...

- Co się stało z dzieckiem?

- Mówiłam już. Urodziło się martwe.

- Chodzi mi o jego ciało.

- Zostało pochowane na cmentarzu. Pod kamieniem bez żadnego napisu, jakby nigdy nie istniało. Oznaczyli to miejsce tylko z powodu Faith, żeby mogła tam chodzić. Wszyscy musieliśmy przysiąc, że zachowamy to w tajemnicy.

- Pani i lekarz?

- A także Faith, siostra Rebecca i ojciec Paul.

- Siostra Rebecca Starats? - spytał. - Matka przełożona w Naszej Pani od Cnót?

Ellen kiwnęła głową i przygryzła dolną wargę.

- Czytałam o tym, co się stało. I zastanawiam się, czy nie zginęłaby, gdybym przyszła tu wcześniej.

- A ten ojciec Paul? On jeszcze żyje?

- Nie wiem.

- Ile może mieć lat?

- Hm, wtedy był już dobrze po pięćdziesiątce.

- Jak miał na nazwisko?

- Och... Boże... nie pamiętam... Ale to było proste nazwisko, o ile sobie przypominam. Pracowało tam wielu księży, niektórzy zostawali u nas tylko przez kilka miesięcy albo rok, a potem musieli zmienić

parafię, ojciec Paul był tam jednak długo. - Przytknęła palce do skroni i masowała je przez chwilę, zamyślona. - Tak, to było pospolite nazwisko... jak Smith albo Johnson czy Brown... Naprawdę nie mogę sobie przypomnieć.

Bentz usiłował dopasować te informacje do istniejącej już układanki i nie zadał kolejnego pytania, a kiedy cisza zaczęła się przedłużać, Ellen sięgnęła po swoją torebkę.

- Cóż, mam nadzieję, że to w czymś pomoże. Chyba nic więcej nie potrafię panu powiedzieć.

- Jeszcze chwileczkę, pani Chaney. - Bentz przeglądał notatki, które robił w ostatnich dniach. Był pewny, że pojawiło się w nich imię Paul. O, jest, przy nazwisku jednego z dwóch księży, o których pisano w aktach Faith Chastain. - Może Paul Swanson?

Zawahała się, a potem kiwnęła głową.

- Tak, tak mi się wydaje.

Bentz postanowił, że go odnajdzie - ten ksiądz najwyraźniej znał wiele tajemnic.

- Może przypomni sobie pani jeszcze jakieś osoby zatrudnione przez szpital w czasie, kiedy przyszło na świat dziecko Faith? Może zna pani nazwiska pacjentów? To chyba by nam pomogło.

- Cóż, minęło już prawie trzydzieści lat.

- Wiem. - Bentz uśmiechnął się z przymusem. Wiedział, że jest już spóźniony. Montoya na pewno się wścieknie. - Tu jest częściowa lista. Może te nazwiska pomogą pani coś sobie przypomnieć. - Podsunął jej trzy kartki. Były na nich nazwiska osób, których dokumentację Eve Renner widziała podobno w szafce na strychu. Bentz dodał do nich jeszcze kilka nazwisk znalezionych w aktach Faith, w tym także Rennera i Hellera, oraz parę takich, których nie znał, w tym ojca Paula Swansona.

Ellen Chaney wzięła kartki do ręki i przejrzała pierwszą stronę.

- Och, Enid Walcott. Taka miła kobieta... bardzo smutny przypadek. Była zbyt nerwowa, by jeść, spać czy robić cokolwiek innego, i miała alergię na tyle leków. Och, i Neva... taka zagubiona, zawsze pogrążona we własnym świecie. Dziecko głęboko autystyczne... - Odłożyła pierwszą stronę i spojrzała na drugą, ale zaraz odwróciła wzrok, wyraźnie wstrząśnięta. - Och, nie... Dobry Boże... - upuściła kartkę na biurko.

- Co?

Ellen zadrżała i przeczeswała włosy palcami.

- Pewnie nie powinnam nic mówić, ale on... - wskazała nazwisko Ronniego Le Mars. - W całym swoim życiu nie spotkałam nikogo, poza nim, o kim mogłabym powiedzieć, że urodził się zły. To znaczy, oczywiście wierzę w Chrystusa Zbawiciela i zbawienie przez modlitwę, i że każdy może zostać zbawiony... ale... ale on, Ronnie, on prędzej poderznąłby człowiekowi gardło, niż spojrzał mu w oczy...

- Czyja to krew? - spytała Eve szeptem, kiedy odjeżdżali spod jej domu. - Całe łóżko... we krwi. Czyja to była krew?

- Nie wiem. - Cole zmrużył oczy, wpatrując się w noc. Zapakowali do jego dzipa klatkę z kotem, śpiwory, poduszki i kilka rzeczy osobistych, po czym opuścili dom, w którym ciągle jeszcze pracowała policja. Nie było ciała, nie wyglądało to na zabójstwo, ale fakt, że łóżko tonęło we krwi, a na ścianie widniał napis obwiniający Cole'a, przekonał policjantów, iż ten incydent ma związek z tym, co stało się w Szpitalu Naszej Pani od Cnót. Został więc włączony w śledztwo w sprawie niedawnych morderstw.

- Chyba nie zebrał krwi siostry Vivian, żeby potem wylać ją na lalkę i łóżko, prawda? - spytała. Myśl o tym wydała jej się tak odrażająca, że słowa z trudem przechodziły jej przez gardło.

- Nie mam pojęcia, do czego on jest zdolny.

Eve spojrzała w okno, jakby chciała, by światła miasta dodały jej otuchy.

Samson, zamknięty w swojej klatce, zaczął żałośnie miauczeć.

- Dokądkolwiek nas zabierasz, lepiej się pospiesz, zanim Samson doprowadzi nas oboje do szału.

- To niedaleko - powiedział i ku zdumieniu Eve nie zawiózł jej do małego bungalowu, z którego wcześniej zabrał swoje ubrania. Ale mieszkanie, do którego ją wprowadził, nie było od bungalowu lepsze. Właściwie nawet gorsze - brudna, nieumeblowana kawalerka, duszna i gorąca po upalnym dniu.

- Co to jest? - zapytała Eve, kiedy zaczął rozkładać śpiwory na podłodze.

- Można to chyba nazwać bezpieczną przystanią.

- Hm... - Rozejrzała się po pokoju. - Rzeczywiście, wystarczyłoby

wiadro lizolu, trochę farby, nowa podłoga... och, no tak, i parę mebli. A także kilka poduszek i obrazów. Byłoby całkiem przytulnie.

Cole uniósł jedną brew.

- Może wolałabyś wrócić do siebie?

Przed oczami stanęła jej lalka na zakrwawionym łóżku.

- Racja. Cóż, w takim razie to mieszkanko nie ustępuje w niczym pięciogwiazdkowemu hotelowi. - Postawiła klatkę z kotem na podłodze i otworzyła ją. Samson natychmiast wybiegł i zaczął sprawdzać pokój. - Chyba mamy szczęście. Przywieźliśmy ze sobą własny czworonożny zestaw do dezynsekcji i deratyzacji.

Cole podszedł do okna. Nie otworzył go, ale wcisnął przycisk klimatyzacji; włączyła się z głuchym klekotem. Eve miała nadzieję, że temperatura w pokoju choć trochę spadnie.

- Najlepsze w tym mieszkaniu jest to, że nikt o nim nie wie.

- Poza tym, kto ci je wynajął.

- Petrusky nie puści pary z ust.

- Ahaaa... Klient.

Cole spojrział na nią z ukosa i zaczął układać na brudnej podłodze śpiwory i poduszki. Eve wolała nie myśleć o tym, jakie insekty mogą po niej biegać ani kto mieszkał tu, zanim kawalerkę wynajął Cole.

- A teraz, panno Renner, jeśli uda się pani utrzymać ręce przy sobie, możemy trochę popracować.

- To znaczy?

- Musimy odkryć, kto za tym wszystkim stoi. Postanowiłem, że będziemy traktować to jak sprawę. Ilekroć bronilem kogoś przed policją, starałem się wiedzieć co najmniej tyle samo, co ona.

- Ach tak? Uśmiechnął się lekko.

- Zawsze znajdzie się ktoś, kto chętnie puści farbę. Za odpowiednią cenę, rzecz jasna.

- Nigdy jeszcze nie słyszałam czegoś równie cynicznego. Nawet od ciebie.

Cole wzruszył ramionami.

- Taka prawda.

- Zaczekaj. Chcesz powiedzieć, że w departamencie jest przeciek? - spytała z niedowierzaniem.

- Nie przeciek, moja pani - poprawił ją, sięgając po pudełko z długopisami i notes. - To prawdziwy wodospad.

Eve spojrzała na niego sceptycznie, rozsiadła się na prowizorycznym posłaniu i otworzyła pudełko.

- Więc dlaczego nie korzystałeś z tego wodospadu wcześniej? Usiadł obok niej i wziął długopis.

- Korzystałem, ale musiałem być ostrożny. Śledzili mnie, obserwowali, ciągle miałem ogon... czy jak chcesz to nazwać. Może dostałem paranoi, byłem jednak pewny, że nagrywają moje rozmowy, nie ufałem nawet mojej komórce. Nie mogłem ryzykować bezpieczeństwa moich informatorów, więc położyłem uszy po sobie i czekałem.

- A teraz?

- Montoya i Bentz chętnie by mnie przyskrzynili, ale żaden z nich nie jest idiotą, a teraz jest już zupełnie oczywiste, że to nie ja stoję za tymi morderstwami, w tym także za śmiercią Roya.

Miała ochotę zapytać, co to za informator, ale imię Roya wytrąciło ją z równowagi. Nagle coś w jej głowie zaskoczyło, jakby otworzyła się klapka, która do tej pory coś zasłaniała.

Zalała ją fala wspomnień. Przypomniała sobie, jak kochała się z Cole'em, jak się pokłócili, jak pędziła po schodach, a Cole za nią, ubierając się w biegu. Chciał ją powstrzymać, ale ona go nie posłuchała, a kiedy przyjechała do chaty, Roy już nie żył, wszędzie była krew, i ten okropny numer wypisany nią na ścianie, a w szybie... celował w nią z rewolweru... nie, nie w nią... ale blisko, jakby w coś ponad jej ramieniem...

Zamrugła i wizja stała się jeszcze wyraźniejsza. Bardziej ostra.

- Cole - wyszeptała teraz.

Serce biło jej bardzo szybko. Oderwane od siebie fragmenty wspomnień wreszcie zlały się w jeden kompletny obraz, który zaraz znowu się rozpadł. Ale został jeden bardzo jasny przeblysłk tego, co stało się tamtej nocy.

- Co?- spytał.

Nie odpowiedziała, pogrążona we wspomnieniach.

To Cole pojawił się przed nią w ciemności, to była jego twarz. I to on trzymał w dłoni rewolwer.

- Nie strzelaj! - krzyknęła. Ale broń wypaliła, szkło pękło, a w jej ramieniu i głowie eksplodował ból.

- Eve! - krzyknął. Świat wokół niej zawirował. Upadła, nie spuszczać z niego wzroku. Wszystko w jej umyśle krzyczało: :Nie, nie, nie!: On był tak blisko, a jednocześnie tak bardzo daleko... I nóż... Widziała też nóż... Krew ściekała z niego na podłogę. Cole miał nóż... Nie! Nie on... Ktoś inny. Ale kto?

Ogarnęła ją ciemność. Zemdlała.

Teraz ujrzała Cole'a nowym światłem. Drżała na całym ciele. I wiedziała, że on wiedział. W jego niebieskich oczach był ból i żal. Wiedział. Wiedział przez cały ten czas. Od trzech miesięcy trzymał to przed nią w tajemnicy. Kłamał, by chronić siebie.

- Byłeś tam - wyszeptała ochryple. - Ty zakłamany sukinsynu, ty tam byłeś !

Nie zaprzeczył. Nie musiał.

- Ale nie byliśmy sami. W tym pokoju był ktoś jeszcze. Zabójca Roya. - Przełknęła ślinę, czując, że mgła, w której tonęły jej wspomnienia, zaczyna się podnosić. - Strzelałeś do niego... - uświadomiła sobie. - Ale trafiłeś mnie. A potem mnie okłamałeś. Dlaczego, Cole? Co ty wiesz? Co ukrywasz?

## Rozdział 28

Cole patrzył na kobietę, którą kochał. Nadszedł czas, by zakończyć tę walkę.

- Byłem tam - przyznał po raz pierwszy. Nikomu tego wcześniej nie powiedział. Wyraz bólu na twarzy Eve ranił go, ale mówił dalej. - Coś było nie tak z tym wszystkim, co wydarzyło się wtedy w nocy. Wiedziałem, do-kąd pojechałaś, oczywiście, a ponieważ kiedyś mieszkałem w tamtej okolicy, wiedziałem też, że mogę być tam przed tobą i wypytać Kajaka, czego chce, czym są te jego dowody. Ale kiedy tam dotarłem, już nie żył.

- Byłeś tam przede mną...

- Wpadłem w panikę. W porządku, przyznaję. Nie miałem komórki, nie mogłem zadzwonić na policję, a potem zobaczyłem, jak wchodzisz do środka, i zwęszyłem podstęp. Pomyślałem, że ktoś zmusił Royn, żeby zadzwonił do ciebie i zwabił cię do tej chaty. Zanim zdążyłem cię zawołać, zobaczyłem go przy oknie. Strzeliłem i tak, masz rację, trafiłem cię przez przypadek. Widziałaś wszystko, co zrobiłem, w lustrze, nie w oknie.

- I zostawiłeś mnie tam - szepnęła.

- Nie, zostałem z tobą. Dlatego właśnie go nie złapałem. Zadzwoniłem na 911 z twojego telefonu i zczekałem, aż przyjadą, a potem, tak, zviałem. Kiedy policjant wchodził frontowymi drzwiami, ja wymknąłem się tylnymi. To był policjant z patrolu, sam, a zanim wezwał wsparcie, ja się już schowałem. Zczekałem jeszcze na karetkę. Przyjechała kilka minut później. Wtedy stamtąd uciekłem.

- Mogłam umrzeć. Mogłam... Kto to jest?

- Nie widziałem go dobrze. Zniknął natychmiast. Nie mogłem cię zostawić. - Próbował jej dotknąć, ale odsunęła się z odrazą.

- Mogłeś posłać policję za zabójcą!

- To by nic nie dało. Nigdy by mi nie uwierzyli. Byłem tam. Byłem zazdrosny o twoją przyjaźń z Royem. Miałem i motyw, i okazję.

- Powinieneś zostać. W jej głosie brzmiała nuta hysterii. - Powinieneś zaufać wymiarowi sprawiedliwości.

- I powiedziec policji, że prawdziwy morderca uciekł? I że niestety nie zdążyłem mu się przyjrzeć? Jak doktor Richard Kimble w *Uciekinierze!* Zawsze szukający faceta bez jednej ręki... - Chwycił ją za

ramię, a kiedy spróbowała się wyswobodzić, mocniej zacisnął palec. - W porządku, może powinienem zostać i jak mężczyzna stawić czoło oskarżeniom. Nie myślę o tym, że policja Nowego Orleanu od dawna szuka na mnie haka. Ale postanowiłem rozwiązać tę sprawę sam.

- Jak Kimble - stwierdziła Eve gorzko. - Teraz ci to nie przeszkadza. - Strząsnęła jego dłoń z ramienia. - Cały czas sobie powtarzałam: nie wierz mu, to kłamca, nie słuchaj go i na litość boską nie zakochaj się w nim znowu! - Wstała, a kiedy wyciągnął do niej rękę, wycelowała palec w jego twarz. - Nie dotykaj mnie! Już nigdy! Kiedy tylko to się skończy, już nigdy się do siebie nie odezwiemy. Nigdy!

- Eve...

- Ale na razie tkwimy w tym razem - powiedziała drżącym głosem. Widział w jej oczach gniew, odrazę i niezłomne postanowienie. Stała dumnie wyprostowana i patrzyła na niego z zaczerwienionymi ze złości policzkami. Boże, była piękna. Wściekła i pogrążona w głębokim śnie, przerażona, i roześmiana - ona jedna działała na niego w taki sposób. I miała rację. Haniebnie ją zawiódł.

- Pomyśl o tych kilku ostatnich dniach...

- Odkąd wyszedłeś z więzienia? Tak?

- Wszystko, co robiłem, robiłem tylko po to, by udowodnić ci, ile dla mnie znaczysz. Chcę poznać prawdę tak samo jak ty, a może nawet bardziej.

- I dlatego przez ciebie wyszłam przed prokuratorem na kłamczuchę? Dlatego zaprzeczałeś prawdzie, przez co inni, a nawet ja sama, zaczęli podejrzewać, że brakuje mi piątej klepki? Tak chciałeś mi pokazać, ile dla ciebie znacę? Myliłam się co do ciebie, Cole. To inni mieli rację. Jesteś tylko śliskim adwokatem, który zawsze potrafi odwrócić kota ogonem w taki sposób, żeby prawda służyła jego celom... A co gorsza, jesteś też zakłamanym draniem, dbasz tylko o własny tyłek, więc zostaw mnie, do cholery, w spokoju!

Była naprawdę wściekła, gotowała się ze złości, oddychała szybko, a jej oczy ciskały błyskawice. Miał ochotę wziąć ją w ramiona i obiecać, że naprawi zło; powiedzieć, że ją kocha i zrobi wszystko, nawet umrze dla niej, ale wiedział, że ona nie uwierzyłaby teraz w ani jedno jego słowo. Zacisnął pięści i patrzył na nią bezradnie.

- Pomyśl tylko... - spróbował znowu.

- Nic innego nie robiłam przez ostatnie trzy miesiące. Rozmyślałam i



bałam się, że postradałam zmysły. A ty przez cały ten czas znałeś prawdę, ale nie zaufałeś mi na tyle, by mi ją wyjawić. Więc nawet nie próbuj mi mówić, co teraz mam robić.

- Kocham cię. To się nie zmieniło. Spojrzała na niego chłodno.

- Idź do diabła, Cole. I nie pleć już o miłości, zaufaniu czy innych uczuciach. To koniec.

Nie powiedział jej, że kłamie, choć miał ochotę, bo to i tak by niczego nie zmieniło. Była wściekła, ale przede wszystkim zraniona. Nie winił jej za to. Może nigdy mu nie wybaczy. Ale i tak postanowił nie spuszczać jej z oka.

Przynajmniej dopóki ten koszmar się nie skończy.

- A teraz jeszcze straciliśmy policjanta! - wściekał się Montoya, kiedy Bentz dołączył do niego w departamencie następnego ranka.

Stali w kuchni i pili kawę.

- Słyszałem, że Tiggs żyje.

- Jego życie wisi na włosku! - Montoya przecesał włosy palcami i zaklął. - Musimy dostać tego drania. Byłem tak blisko ubiegłej nocy. Człowieku, tak blisko!

- Wiesz, jak to mówią...

- Tak, wiem. Nie musisz mi tu wyjeżdżać z ludowymi mądrościami!

- Och! - Do kuchni weszła Lynn Zaroster. Spojrzała na Montoyę i skrzywiła się lekko. - Wstałeś dzisiaj lewą nogą?

- Prawa leży przy ścianie - mruknął.

Zaroster spojrzała na Bentza wzrokiem, który wyraźnie mówił, jak bardzo jest zadowolona, że Montoya jest jego partnerem, a potem pochyliła się nad pudełkiem z pączkami. - Jaka to okazja?

- Brinkman ma urodziny.

- Więc kto?.. - Wskazała pudełko.

- Vera, z działu zaginięć. - Bentz upił łyk kawy, prawie parząc sobie język. - Kto wie, dlaczego ona robi to, co robi, ale poczęstuj się.

- Myślisz, że niektóre z nich są beztłuszczowe? Montoya spojrzał na nią wymownie.

Uniosła dłoń, by powstrzymać ich od dalszych komentarzy, złapała obficie oblanego czekoladą pączka i wyszła z kuchni. Bentz wybrał pączka posypanego makiem.

- Nie możesz obwiniać nikogo z departamentu. Wszyscy harują nad tą sprawą jak woły.

- Jasne. Powiedz to Tiggsowi.  
- Wyluzuj, Montoya.  
- Mowy nie ma. Nie, dopóki nie dorwiemy tego psychola.  
- Zabierajmy się stąd. - Zdążyli już porozmawiać o tym, co stało się u Eve Renner i dlaczego Bentz się tam nie pojawił.  
- Dokąd? - Montoya nalał kawy do papierowego kubka.  
- Tam, gdzie najbardziej lubimy... do Naszej Pani od Cnót. Ekipa od ekshumacji już czeka na wypadek, gdyby trzeba było zajrzeć do jakiegoś grobu.  
- Świetnie. - Montoya chwycił kubek, gorąca kawa chlapnęła mu na rękę. - Cholera!  
- Coś mi się zdaje, że dobrze by ci zrobił papieros - zauważył Brinkman, który właśnie wszedł do kuchni. Zalatywało od niego dymem.  
- Nic mi nie jest.  
- No widzę.  
- Lubisz wkurzać wszystkich dookoła, co? - spytał Montoya.  
- Ciężka noc? - Brinkman nie pozostał dłużny.  
- Odpieprz się.  
- Nie moja wina, że nie możesz złapać Trzycyfrowego Rzeźnika.  
- Kogo? - wtrącił się Bentz.  
- Tak go nazywają. Słyszałem w radiu, kiedy tu jechałem.  
- Przecież nikt nie wie o tych numerach - powiedział szybko Bentz.  
- Teraz już wiedzą.  
- Jezu Chryste, skąd się biorą te wszystkie przecieki?! - Montoya gotował się ze złości. Bentz nigdy jeszcze nie widział go tak wściekłego.  
- To twoja sprawa. - Brinkman wycelował w niego palcem. Przez chwilę przebierał w pączkach, aż w końcu wziął obficie polanego czekoladą. - Mógłbyś chyba powiedzieć swoim ludziom, żeby się przymknęli - dodał.  
Montoya zeszytniał. Bentz był pewny, że Brinkman oberwie. Jednak Montoya tylko uśmiechnął się zimno.  
- Dzięki za dobre rady, Brinkman, i sto pieprzonych lat z okazji urodzin. - Odwrócił się do Bentza. - Spadajmy.  
Wyszli z kuchni i ruszyli do wyjścia. Bentz zatrzymał się jeszcze przy biurku Zaroster. Właśnie miała zamiar podnieść słuchawkę

telefonu, ale na jego widok znieruchomiała i pytająco uniosła brwi.

- Próbujesz namierzyć tego Ronniego Le Marsa?

- Już coś mam... zobacz. Ronnie został zwolniony z więzienia pięć miesięcy temu, przez jakiś czas nie sprawiał problemów, a później nagle zniknął. Po prostu przestał kontaktować się z kuratorem, nikt go nie widział ani o nim nie słyszał.

- Przecież nie rozpułnął się w powietrzu - mruknął Montoya.

- Ale może wyjechał?

- Musi gdzieś pracować. Musi być jakaś dokumentacja - upierał się Montoya.

Zaroster wzruszyła ramionami.

- Może mieć fałszywe dokumenty albo pracować na czarno. Takie rzeczy ciągle się zdarzają.

Bentz odgryzł kawałek pączka.

- A co z księdzem? Pracujesz też nad tym?

- Tak, ale dopiero zaczęłam. W archidiecezji są ostatnio trochę nieufni, myślę jednak, że zechcą nam pomóc. Tyle że to zajmie trochę czasu.

- A my go nie mamy - zauważył Montoya.

- Rozumiem.

- Daj mi znać, jak tylko któregoś z nich namierzysz, Le Marsa albo Swansona - powiedział Bentz.

- Pierwszy się o tym dowiesz. - Spojrzała na Montoyę. - No, może drugi. Rzucę monetę.

Bentz postukał w jej biurko.

- Dzięki.

Montoya już szedł w stronę schodów.

- Ja poprowadzę - zdecydował Bentz, odgryzając kolejny kawałek pączka i wyrzucając resztę do kosza na śmieci.

Montoya był w kiepskim nastroju i Bentz nie zamierzał pozwolić mu usiąść za kierownicą. Zdarzało się już, że siedział w samochodzie sztywny z przerażenia, podczas gdy jego partner gnał przez miasto jak na wyścigach samochodowych.

Zaskoczyło go, że Montoya się nie sprzeciwił, ale nic nie powiedział. Jedna kłótnia mniej.

Montoya usiadł więc na miejscu pasażera, a kiedy ruszyli, uchylił okno, wyjął z wewnętrznej kieszeni kurtki papierosy, zapalił jednego, a potem wyciągnął paczkę w stronę Bentza.

Bentz omal się nie skusił, powstrzymał się jednak i pokręcił głową. Gdy śledztwo napotykało trudności, łamał się czasem i sięgał po papierosa - może tym razem też mu się to przydarzy - ale na razie postanowił zadowolić się gumą. Montoya wsunął więc paczkę marlboro do kieszeni.

- Ta pielęgniarka twierdzi, że Faith urodziła martwego chłopca, który został pochowany gdzieś na klasztorным cmentarzu, tak? - powiedział.

- Aha.

- Wierzysz jej?

- Ona jej wierzy - odparł Bentz, wyprzedzając samochód z przyczepą.  
- Zadzwoń do klasztoru i rozmawiałem z siostrą Odine, ale niewiele mi pomogła. Nie podobał jej się pomysł, żeby grzebać w grobach, przekonałem ją jednak, że to konieczne, jeśli mamy schwytać mordercę siostry Rebecki.

- Eve jest podobna do Faith. Abby tylko rzuciła na nią okiem i już uznała ją za siostrę. Niewiele brakuje, żeby dopisała ją do drzewa genealogicznego swojej rodziny.

- Niedługo powinniśmy dostać wyniki testów DNA. Pogonię ich tam trochę. Wtedy przynajmniej to się wyjaśni.

Montoya zaciągnął się papierosem.

- To na czym właściwie stoimy, jeśli chodzi o Eve Renner? Jeśli ona nie jest córką Faith, to dlaczego dostała wycinki z gazet na jej temat? Jaki jest tego powód?

- Poza tym, że dorastała w pobliżu szpitala? Nie mam pojęcia - przyznał Bentz, zmieniając pas, by zjechać z autostrady.

Montoya wydmuchnął dym i zgasił papierosa w popielniczkę.

- Ciekawe - mruknął - kim, do diabła, jest ta Eve Renner?

Kristi wyszła z biura Gulf Auto and Life. Tak wolna nie czuła się od czasów college'u. Zawsze wiedziała, że praca biurowa od - do, przez pięć dni w tygodniu, nie jest dla niej, ale musiała przecież płacić czynsz i coś jeść. A nie miała zamiaru wrócić do domu, o nie. Zwłaszcza teraz, kiedy zaczęła podejrzewać, że jej macocha stara się zająć w ciążę. W czasie ostatniej wizyty u ojca zauważyła opakowanie po teście ciążowym w koszu na śmieci w łazience. Niesamowite. Mieć dwadzieścia pięć lat młodszego przyrodniego brata albo siostrę? Nie potrafiła sobie tego nawet wyobrazić.

Poza tym, tak naprawdę, to dziecko nie byłoby dla niej nawet

przyrodnim rodzeństwem. Przynajmniej z biologicznego punktu widzenia.

Nie chciała się nad tym zastanawiać ani sobie z tym radzić, nie chciała też wrócić pod czujne oko ojca. Usamodzieliła się po studiach. Podejmowała się wszystkich zajęć, jakie udało jej się znaleźć, była kelnerką i urzędniczką, aż w końcu dostała pracę w firmie ubezpieczeniowej.

Teraz jednak, dzięki Bogu, ją rzuciła! Już nigdy nie będzie musiała słuchać niczyich jęków i pretensji.

Rano poinformowała szefa, że odchodzi, a jego odpowiedź bardzo ją zaskoczyła.

- Cóż, masz prawie dwa tygodnie zaległego urlopu, więc może od razu weźmiesz swoje rzeczy? - spytał, uśmiechając się fałszywie.

Kristi po raz pierwszy przyszło do głowy, że może firma Gulf również nie była zachwycona współpracą z nią.

Wszystko ułożyło się więc doskonale.

Wzięła głęboki oddech i spojrzała na centrum miasta inaczej. Mogłaby przejść przez położone na nadbrzeżu słynne akwarium, jeszcze nigdy w nim nie była. Przepuścić trochę pieniędzy, grając na automatach, i wypić darmowego drinka, mimo że to dopiero dziesiąta rano. Może weźmie mimozę albo krwawą Mary? Ojciec by się wściekł, gdyby się dowiedział. Uśmiechnęła się do siebie. Nie, żeby nie szanowała staruszka. Dobry Boże, nie. Robił dla niej wszystko, co mógł. Wychowywał ją samotnie i stawiał jej potrzeby ponad swoje własne. Prawie zawsze. Nie była zachwycona przeprowadzką z Los Angeles do Nowego Orleanu, ale w końcu wrosła w to miasto. Teraz naprawdę je kochała i nie wyobrażała sobie, że mogłaby kiedykolwiek wrócić do Kalifornii.

Przeszła kilkaset metrów chodnikiem i wspięła się na wał przeciwpowodziowy. Rzeka, szeroka i ciemna, płynęła powoli. Kristi widziała stare barki przycumowane na Toulouse Street Wharf. Kanałem płynął wolno statek handlowy, pilotowało go kilka łodzi. Woda migotała w porannym słońcu, ale na horyzoncie pojawiły się białe, skłębione chmury. Tak, podobało jej się tu, postanowiła jednak nie marnować czasu. Rekiny i automaty do gry mogą poczekać. Jeśli naprawdę chce zostać poważną autorką powieści kryminalnych, musi skupić się na swoim śledztwie.

Wyjęła komórkę z kieszeni i wystukała numer swojego kontaktu w departamencie policji.

Dzisiaj, pomyślała, role się odwróciły.

Tym razem to nie tatuś będzie ją sprawdzał, ale ona jego.

Eve nie próżnowała. W ciągu godziny zwinęła śpiwór i opróżniła z piasku tekturowe pudło, które postawiła w łazience dla Samsona. Zadzwoiła do firmy wymieniającej zamki i zamówiła usługę. Znalazła sprzątaczkę: miała doprowadzić dom do porządku. Planowała też dezynfekcję sypialni i wszystkich innych pomieszczeń, które psychopata mógł skazić swoją obecnością.

Ubiegłej nocy udało jej się zasnąć koło drugiej, choć Cole jeszcze pracował - przeglądał notatki i szukał czegoś w Internecie, korzystając ze swojego laptopa i niezabezpieczonego serwera jednego z sąsiadów. Pewnie bardzo późno się położył. Kiedy się obudził, z ożywieniem zaczął mówić o tym, co muszą zrobić w związku z dochodzeniem. A Eve złość nie przeszła. Jak mogła okazać się tak głupia i znowu mu zaufać? Czy nie powinna wiedzieć lepiej?

Zakłamany, ohydny drań!

Gdyby nie Samson, pojechałaby wieczorem do hotelu. A przynajmniej usiłowała przekonać samą siebie, że tak by właśnie zrobiła.

Problem w tym, że czuła się zagubiona. Wściekła jak wszyscy diabli i strasznie zagubiona.

Powiedział jej, by przypomniawszy sobie ostatnie dni; i właściwie o niczym innym nie myślała. Owszem, Cole'owi bardzo zależało na tym, by rozgryźć, kto stał za tymi morderstwami; nadstawiał za nią karku i wspierał ją, kiedy traciła grunt pod nogami. Nie zmieniało to jednak faktu, że kłamał, by chronić własny tyłek.

Mówił, że cię kocha, zanim przyznał, że istotnie był wtedy w chacie.

I co z tego?

Powiedzieć można wszystko; to nic nie kosztuje. Choć rzeczywiście mogło się wydawać, że chciał ją chronić, że dbał o nią i ją kochał...

Zacisnęła zęby i jęknęła.

Czy odkąd wyszedł z więzienia, zrobił coś, co mogłoby wskazywać na to, że nie jest godny zaufania?

Tak! Nie powiedział ci prawdy. Kłamał!

Dopiero kiedy zaczęła jej wracać pamięć i poskładała razem wspomnienia tej nocy, kiedy zginął Roy, w końcu się poddał i się przyznał. Nie wolno jej znów mu zaufać! I nie zaufa.

Co gorsza, nie mogła też ufać samej sobie, kiedy była przy nim. Obudziła się przytulona do niego! Całkowicie ubrana, ale przecież chłonęła jego ciepło. Odsunęła się natychmiast i poszukała swojej komórki. Cole, do diabła z nim, spał na śpiworze. Ciemne włosy opadały mu na czoło, usta miał lekko rozchylone, ciało rozluźnione...

Musi uporządkować swoje życie. Wykonać kilka telefonów, żeby móc wrócić do domu, który znowu będzie czysty i bezpieczny, a potem pójść na pocztę i dopilnować, by korespondencji do niej nie wysyłano już na adres Kyle'a i Anny.

O ile w ogóle odważy się nocować w budynku, który od dzieciństwa był jej domem. Nie mogła być tego pewna. Gdy przypominała sobie swoje zakrwawione łóżko, lalkę i wiadomość na ścianie, zaczynała myśleć o przeprowadzce. Nie wyobrażała sobie, by mogła jeszcze kiedyś zasnąć w sypialni na wieży. Ktokolwiek stał za tym koszmarem, wygrał. Ona była już tylko wrakiem człowieka. Nie wiedziała, co zrobi za dwie minuty, nie mówiąc już o reszcie życia.

Cole poruszył się lekko.

Poczuła, że jej serce mięknie na jego widok, zaraz jednak odrzuciła wszelkie romantyczne mrzonki. Ten rozdział jej życia dobiegł już końca. Była tego pewna.

Cole wymamrotał coś przez sen, obrócił się na bok i otworzył jedno oko.

- Dzień dobry - mruknął z tym swoim teksańskim akcentem. No tak.

Przeciągnął się, kładąc wyprostowane ręce za głowę - jego brzuch wydał się teraz jeszcze bardziej płaski, niemal wklęsły.

- A gdzie kawusia?

- Bardzo zabawne.

- Ciągle zła?

Eve nie wierzyła własnym uszom. Co za bezczelność!

- A co myślałeś? Westchnął i potarł oczy palcami.

- Myślałem, że mamy jeszcze czas na szybki numer, zanim...

- Przestań! - krzyknęła, znów rozwścieczona. - Zapomniałeś już, w czym siedzimy po uszy?

- Oczywiście, że nie. Pomyślałem tylko, że moglibyśmy trochę

wyluzować. Podobno, kiedy człowiek jest zły, nie powinien kłaść się do łóżka, ale doszedłem do wniosku, że miałaś już dość czasu, żeby się z tym wszystkim przespać, i na pewno wrócił ci...

- Jeśli chciałaś powiedzieć :rozsądek:, to nie kończ.

- Ale wczoraj ty... - zaczął.

- Wczoraj byłem ślepą kobietą, która nie знаła prawdy.

Nie dokończył przerwane go zdania, stwierdził tylko spokojnie:

- A dzisiaj nie ma czasu na kłótnie. Trzeba rozwiązać tę sprawę. Szybko.

Chciała mu się postawić, wiedziała jednak, że miał rację. Nadal czuła, że nie potrafi mu zaufać, ale musiała znieść jego obecność.

- Na pewno jest jakaś metoda na tego szaleńca - powiedział Cole. - Weźmy numer, który napisał w chacie Kajaka. 212, prawda?

Kiwnęła głową.

- A u twojego ojca 101?

- Tak.

- A tam, gdzie znaleziono tę zakonnice, Vivian, w szpitalu... 323... lalka miała numer 444.

- Wiem, jakie to były numery - burknęła, zirytowana. - Ale co z tego?

- A jeśli przeczytasz je od końca? - podał jej kartkę ze swoimi notatkami.

Eve jeszcze raz spojrzała na cyfry.

- No dobrze... od końca są takie same. Są takie same bez względu na to, czy czyta się je od lewej do prawej czy odwrotnie.

- A teraz popatrz na wiadomość wypisaną na ścianie twojej sypialni. *Dennis sinned*. I przeczytaj to od tyłu.

- *Dennis sinned*... - spojrzała na niego, zaskoczona. - Nadal nie rozumiem.

- To nie może być zbieg okoliczności, Eve. No i jeszcze ten lek, który dostał twój ojciec?

- Xanax... - urwała. - Dziwne.

Nie rozumiała tego ani trochę, była jednak pewna, że Cole jest bliski odkrycia czegoś ważnego.

- A nazwisko twojego ojca? Renner. To palindrom. Słowo, które tak samo czyta się od końca jak od początku.

- Jak Viv - powiedziała. - Ale... siostra Rebecca... Becca... Albo...

- Starats.



- Rzeczywiście. Starats.

Ich oczy spotkały się. Eve przeszły zimny dreszcz - zrozumiała, do czego zmierzał Cole.

- Jest jeszcze Kajak - wyszeptała drżącym głosem.

- Tak, Kajak, ale to dopiero przystawka. - Cole nagle spochmurniał i zanim otworzył usta, Eve pojęła, co zamierzał powiedzieć.

- Bardzo mi przykro, ale nie możemy zapominać, jak masz na imię. E-v-e. Od początku i od końca czyta się tak samo. Podobnie jak Renner. Ktokolwiek za tym wszystkim stoi, na pewno ma obsesję na twoim punkcie.

## Rozdział 29

Bentz patrzył na świeży grób - pulchną, wilgotną, czerwonobrazową ziemię i niewielki krzyż umieszczony między dwoma większymi, kamiennymi nagrobkami. Miejsce to wyraźnie odcinało się na tle zielonej trawy.

- Nie rozumiem -- powiedziała siostra Odine, wykręcając nerwowo palce. Wraz z Bentzem i Montoyą obchodziła dookoła gotową do pracy koparkę. W kabinie siedział operator, dwóch robotników stało nieopodal. Silnik warkotał głośno, wydzielając silny zapach oleju napędowego. - Od sześciu miesięcy nie było tu żadnego pogrzebu. - Spojrzała na Bentza, zamrugała i pokręciła głową. - Przechodziłam tędy trzy dni temu i to... - wskazała pokryty świeżą ziemią grób - ...to tak nie wyglądało. Był tu grób, owszem. Oznaczony co najmniej tak długo, jak tu mieszkam; tak mi się przynajmniej wydaje. Ale mogłabym przysiąc, że rosła na nim trawa.

- Wierzę siostrze - odparł Bentz i kiwnął do robotników. Potem podał siostrze Odine papiery do podpisania, choć ona wydawała się zupełnie niezainteresowana formalnościami. Bentz zapewnił ją jednak, że archidiecezja będzie chciała zobaczyć dokumenty. Później podszedł do koparki, która zaczynała właśnie odgarniać wierzchnią warstwę ziemi.

- Nie podoba mi się to. - Montoya sięgnął do kieszeni po papierosy, ale spojrzał na siostrę Odine i zreflektował się szybko. - Rozkopywanie grobów jest... no, straszne. Nie lubię zakłócać spokoju zmarłym. Kiedy raz zakryje ich ziemia, powinni już na zawsze w niej pozostać.

- Taka praca.

- Hm. - Montoya skrzyżował ręce na piersi; jego skórzana kurtka zaskrzypiała lekko. Niecierpliwie przestępował z nogi na nogę. Co chwilę spoglądał w niebo, obserwując białą smugę po przelatującym odrzutowcu.

Koparka hałaśliwie odgarniała kolejne ciemne, pachnące wilgocią warstwy, a obok wykopu rosła góra ziemi. W końcu w dole ukazała się trumna.

- Stop! - krzyknął jeden z robotników, podnosząc rękę i pokazując operatorowi, żeby zatrzymał koparkę. - Detektywie?

Bentz podszedł do krawędzi grobu. W środku, częściowo ciągle

jeszcze przysypana ziemią, leżała mała trumienka. Ogarnął go smutek. W przeciwieństwie do Montoi nie wzbraniał się przed ekshumacją, choć musiał przyznać, że także nie przepadał za tą robotą.

- Jezu Chryste - jęknął Montoya, podchodząc do wykopu i spoglądając na trumnę. - O Jezu...

- Zakładam, że pan się modli - powiedziała zakonnica surowo.

- Oczywiście! - zapewnił Montoya.

Bentz był niemal skłonny mu uwierzyć. Kiwnął głową w stronę robotników.

- Wyciągamy - powiedział i cofnął się, podczas gdy dwaj mężczyźni zaczęli wydobywać drewnianą skrzynkę, niewiele większą od ciała niemowlęcia.

Montoya, ze stężałą twarzą, patrzył, jak trumna wyłania się z grobu. Blady, skupiony, z zaciśniętymi zębami czekał, aż robotnicy położą ją na-ziemi. Potem, na znak Bentza, podnieśli wieko.

Bentz zmusił się, by spojrzeć do środka. W prostej, drewnianej skrzynce leżało martwe ciało.

Świeże ciało.

Krew ciągle czerwieniła się na płótnie.

Ale nie było to ciało dziecka. Był to mały prosiak z poderżniętym gardłem.

- Boże wielki! - wydusił Montoya z odrazą. - Co to jest, do diabła? - Popatrzył na zakonnice. - Przepraszam, sostro - mruknął i znowu zajrzał do trumny. - Co to jest? Prosiak? Cholerny prosiak?

Odsunął się i nie zważając już ani na procedury, ani na szacunek dla zmarłych, sięgnął po papierosy i szybko zapalił jednego.

- Jezu - mruknął znów pod nosem. Nawet robotnicy przerwali pracę.

Zakonnica także zajrzała do trumny i się przeżegnała. Ona również była wyraźnie wstrząśnięta. Zbladła i szeroko otworzyła przesłonięte okularami oczy.

- Po co ktoś miałby zrobić coś takiego?

- Nie wiem - odparł Bentz - ale na pewno się dowiemy. Muszę zabrać tę trumnę do laboratorium. - Przykląkł na jedno kolano i przyjrzał się jej uważnie. Prosiak był świeży, niezarobaczony, choć zaczynał już wydzielać nieprzyjemny zapach rozkładu. Bentz włożył rękawiczki, ostrożnie podniósł zewłok i zajrzał pod płótno. - Masz latarkę? - spytał Montoyę, który podał mu ją szybko. Bentz skierował światło do

wnętrza skrzynki. A tam, na jednej ze ścianek, ukryta pod płótnem, była kolejna wiadomość.

- *Live not on evil*. Nie żyj złem.

- Co? - Montoya podszedł bliżej i sam przeczytał. - *Live not on evil?*  
Co to ma znaczyć?

Bentz odwrócił się i spojrzął z ukosa na swojego partnera.

- Chciał, żebyśmy to przeczytali. Dlatego zostawił ziemię na grobie poruszoną, nie próbował ukryć tego, co zrobił. Chciał, żebyśmy znaleźli ten grób i wykopali trumnę.

- I żebyśmy znaleźli martwą świnię?

- Raczej wiadomość. - Bentz opuścił płótno na dno skrzynki, wyprostował się i zdjął rękawiczki. - On do nas mówi. Ale co chce powiedzieć?

Bóg rozgniewał się na niego.

Wskrziesiciel wiedział o tym. Leżał bezsennie całą noc, czekając na Głos, w nadziei na przebaczenie. Ale słyszał tylko kakofonię tych irytujących piskliwych głosików. W końcu wstał z łóżka, upadł na kolana i zaczął się modlić, błagać o odpuszczenie grzechów. Łzy płynęły mu po twarzy, lecz Bóg milczał.

- Proszę, wybac mi, Ojcze, błagam cię, przemów do mnie znowu, bym mógł uczynić, co mi każesz.

Nadal nie było odpowiedzi, wziął więc różaniec do ręki, rozłożył płachtę przed kominkiem i wyjął świece. Rozebrał się i ostrożnie, by nie uszkodzić ostatnich znaków, oczyścił swoje ciało, a potem duszę. Wyjął maszynę do tatuażu zapalił świece i sprawdził fiołki z atramentem. Niedługo będzie musiał zaopatrzyć się w nowe, ale na razie miał wszystko, czego potrzebował.

Z jednym wyjątkiem: Bóg już do niego nie przemawiał.

Nie dawał mu instrukcji.

Nie nazywał go Wskrziesicielem i nie wspominał o rychłej deifikacji. Wiedział, że musi odpokutować swoje winy, zanim Bóg znowu obdarzy go swą łaską.

Stał przed lustrem, włączył maszynę i położył dłoń na wewnętrznej stronie uda, gdzie jego wyćwiczone ciało było twarde jak stal. Zamknął oczy, zmówił krótką modlitwę i wbił igłę w skórę, głęboko; poczuł ból pierwszego ukłucia. Tak, wypisze tu swoje imię, w miejscu, gdzie będzie je widział bez pomocy lustra. Będzie musiał uważać przez kilka

dni, by uniknąć otarcia, ale pomoże mu to pamiętać.

Skoncentrował się pod wpływem bólu i zaczął tatuować słowo :*Reviver*.; Wskrziesiciel, na swojej skórze. Starał się myśleć o Bogu, a nie

o Eve, która przypominała mu się zawsze, kiedy dotykał swojego ciała. Pożądać jej było grzechem. Wiedział o tym, a jednak miał nadzieję, że Głos przemówi do niego znowu, powie mu, że jego cierpliwość i posłuszeństwo zostaną nagrodzone. Że w zamian za nie otrzyma trochę czasu z Eve.

Tylko trochę... Niewiele... dość jednak, by mógł zrobić z nią to wszystko, o czym marzył. Dotykać jej... całować... złączyć się z jej ciałem.

Igła wchodziła w skórę boleśnie głęboko, więc wkrótce udało mu się przestać myśleć o Eve.

Na razie musi skoncentrować się na Bogu.

Cole pojechał do sklepu po ciastka, sok i kawę. Teraz okruchy wały się po leżących na podłodze śpiworach, które stały się ich sypialnią, kuchnią i gabinetem. Klimatyzacja zawodziła głucho, ale chłodziła trochę powietrze w dusznym pomieszczeniu. Rozsunęli żaluzje i poranne słońce oświetliło brudną podłogę.

Eve mdliło po kawie i słodyczach, zdołała się jednak skupić na zrobionych wcześniej notatkach. Była pewna, że Cole odkrył coś bardzo ważnego, kiedy zauważył, że wszystkie napisy to palindromy.

Przerażało ją to.

A bała się nie tylko o siebie.

Była jeszcze Anna Maria. Jej pierwsze imię to też palindrom. Eve nie знаła nikogo, kto nazywałby się Bob, Lil, Ava, Gig ani w ogóle nikogo, czyje imię czytałoby się tak samo w obie strony. Opracowała wraz z Cole'em listę potencjalnych ofiar; Cole wciągnął na nią nawet Sama Deddsa -gdyby zestawić tylko pierwszą literę jego imienia z nazwiskiem, S. Deeds, mógłby znaleźć się w spektrum zainteresowania zabójcy.

Ależ to wszystko pokrętne. I bez sensu. A jednak musi coś znaczyć i wyraźnie wiąże się ze Szpitalem Naszej Pani od Cnót i Faith Chastain.

Eve zadzwoniła na komórkę Anny; od razu włączyła się poczta głosowa. Chcąc upewnić się, że bratowa jest cała i zdrowa, zadzwoniła nawet do Kyle'a, niestety, usłyszała tylko nagrane powitanie i

zdawkowe :Proszę zostawić wiadomość:.

Fantastycznie.

Już wcześniej serce podchodziło jej do gardła ze zdenerwowania, a teraz napięcie jeszcze wzrosło.

Cole siedział na śpiworze ze skrzyżowanymi nogami, pochylony nad papierami. Podkoszulek przesunął mu się trochę do góry, odsłaniając fragment pleców. Podniósł głowę i zauważył, że Eve mu się przygląda.

- Przestań się gapić i wracaj do pracy.

- Nie gapię się.

Uśmiechnął się bezczelnie. Eve spojrzała w bok. Czuła, że złość powoli jej przechodzi. Cholera. Miała słabość do tego człowieka. I to doprowadzało ją do szału.

- Przeczytaj te numery od początku i od końca - powiedział, wrywając ją z zamyślenia. - Wypisałem przy nich imiona albo nazwiska, tak jak mi się wydaje, że połączył je zabójca... Widzisz?

- Widziałam to już wcześniej - sarknęła, ale usiadła obok niego, uważając, by go przypadkiem nie dotknąć, i spojrzała na kartkę.

Samson przyszedł do niej i ułożył się jej na kolanach. Z roztargnieniem zaczęła głaskać jego długą sierść, czytając duże drukowane litery.

KAJAK	212
RENNER	101
STAR ATS	111
VIV	323
(lalka) EVE	444

- Przyjrzyj się temu uważnie. Myślę, że lalka symbolizuje ciebie. Leżała na strychu, w miejscu, do którego nikt nie zaglądał, odkąd byłaś dzieckiem, a potem w twoim łóżku.

- Wspaniale - sapnęła.

- Wiem - odparł Cole, zaciskając dłonie. - Ale cię nie zaatakował. Robił tylko różne rzeczy, żeby cię przerazić.

- I udało mu się - szepnęła.

- Chory sukinsyn - wycedził Cole ochryple, wskazując na numery. - Czy to ci coś mówi?

Eve przez chwilę patrzyła na listę. Zaprzeczyła ruchem głowy. Samson przewrócił się na grzbiet i zaczął mruzczyć.

- Myślałam o tym bardzo długo, ale jedyne, co mi przychodzi do głowy, to piętra w szpitalu.

- To znaczy?

- Mój tata i siostra Rebecca mieli gabinety na pierwszym piętrze, a wydaje mi się, że Roy, kiedy przebywał w szpitalu jako pacjent, był w pokoju na drugim. Strych można uznać za piętro czwarte.

- A siostra Vivian? Ev rozłożyła ręce.

- Ona też mogła być tam kiedyś pacjentką.

Cole przesunął palcem w dół listy.

- W porządku... pójdźmy krok dalej. Czy pokój, w którym był gabinet twojego ojca, miał jakiś numer?

- Tak, numer jeden. Podobało mu się to. Pamiętam, bo czasem szeptał mi do ucha, że jest numerem jeden. Wiesz, każda drużyna piłkarska, która chce wygrać puchar, tak o sobie mówi.

- A siostra Rebecca?

- Nie jestem pewna. Jej pokój był dalej, w innej części korytarza.

- Czy to mógł być numer jedenaście? - spytał Cole. Zdjął zakrętkę z napoczętej już butelki soku żurawinowego i pociągnął długi łyk.

- Tak...

Samson trącił ją łebkiem, bo zatopiona w myślach, przestała się nim zajmować. Z roztargnieniem zaczęła go znowu głaskać.

- Czy twoim zdaniem jest możliwe, że są to numery pokoi w szpitalu?

- Może. Ale w takim razie co ze strychem? Tam nie było numerów. Cole zakręcił butelkę, postawił ją na podłodze i sięgnął po otwarte pudełko z ciastkami.

- Może za bardzo kombinuję... ale pomyśl sama. Gdyby przestrzeń na strychu podzielić na pokoje, tak jak na innych piętrach, jakie byłyby tam numery?

- Mózg mi się zaraz zagotuje - mruknęła. Ta drobiazgowa analiza źle na nią działała.

- No, dalej, Eve - ponaglił. - Pokoje na drugim i trzecim piętrze miały dokładnie taki sam rozkład, więc wyobraź sobie pokój znajdujący się pod miejscem, w którym urządziłaś sobie kryjówkę na strychu. Jaki ten pokój miał numer? Trzysta czterdzieści cztery?

- Możliwe... - Eve miała ochotę uciec od tego wszystkiego gdzieś daleko, opanowała się jednak i spróbowała przypomnieć sobie układ

numerów na korytarzach.

- Więc może twoje gniazdko na strychu znajduje się w miejscu, gdzie byłby pokój numer czterysta czterdzieści cztery, gdyby były tam pokoje.

- To dość naciągana teoria, nie sądzisz? Cole kiwnął głową.

- Owszem, ale zawsze coś. Na razie to wszystko, co mamy.

- Niewiele - odparła zniechęcona, po czym sięgnęła po telefon, by kolejny raz zadzwonić do Anny. - Odbierz, proszę - szepnęła. Niestety, po chwili znowu usłyszała pocztę głosową.

Wiadomość z laboratorium dostali tuż przed piątą.

- Byłoby dobrze, gdybyście tu przyszli - powiedziała Bonita Washington do Bentza. -I zobaczyli, co mamy.

- Już idę. - Bentz odwrócił się do Montoi, który siedział ze słuchawką przy uchu i coś notował.

- Dobra... tak... tak... - Rozłączył się i wyjaśnił: - To ta druga sprawa... Bójka na noże na nadbrzeżu. Dowiedziałem się właśnie, że ktoś tu do nas wpadnie i opowie, co się tam właściwie wydarzyło. Co słyhać?

- Dzwoniła Bonita. Chce, żebyśmy jak najszybciej przyszli do laboratorium.

Montoya chwycił swoją kurtkę.

- Poważna sprawa.

- Na to wygląda.

Montoya rzucił swoje notatki na biurko Zaroster.

- Nie będzie mnie przez jakiś czas. Jeśli ten facet - postukał palcem w kartkę - się tu pojawi, zbierz informacje, a ja do niego oddzwonię. Nie jestem pewny, czy on rzeczywiście coś wie, ale twierdzi, że widział, co się stało wczoraj koło parku.

- Rozumiem. - Zaroster kiwnęła głową i położyła kartkę obok telefonu. - Chyba udało mi namierzyć tego księdza, ojca Paula, który pracował w Naszej Pani. Paul Swanson. Jest już na emeryturze. Może przebywać w jakimś domu spokojnej starości albo zakładzie opiekuńczym. Dam ci znać, kiedy będę miała adres.

- Dobra. A Le Mars?

- Na razie bez powodzenia - odparła, obracając ołówek w palcach. - Sprawdzam wszystkie jego kontakty... przyjaciół, rodzinę, dawne dziewczyny. Na razie zero. Ale ciągle nad tym pracuję.

Jak wszyscy w wydziale. Bentz i Montoya wiele godzin badali każdy



śląd, ale wszystkie zdawały się prowadzić donikąd. Telefon na biurku Zaroster znowu się rozdzwonił.

- To pewnie ten telefon - zażartowała. - Przełom w sprawie. Montoya prychnął.

- Pan Bóg szybko spełnia twoje prośby.

- Zgadza się. Mam z nim naprawdę niezły układ. Wysłuchuje moich modlitw na bieżąco. - Sięgnęła po słuchawkę. - Wydział zabójstw, detektyw Zaroster... - usłyszeli jeszcze, idąc po schodach.

Bonita Washington rozmawiała z Inez Santiago w laboratorium fotograficznym.

- Montoya... dobrze, że jesteś. Chodź tu i popatrz na to. - Poprowadziła go do długiego blatu i włączyła światło pod wiszącymi nad nim szafkami. - To jest oryginalne zdjęcie szpitala zrobione przez Abby Chastain. Wyraźnie widać na nim cień mężczyzny w oknie. Mogłabym długo opowiadać o tym, co zrobiliśmy, by powiększyć, wyostrzyć i poprawić obraz, ale to bez znaczenia. Istotne jest to... - Wskazała na ostatnie z mniej więcej dwudziestu odbitek. - To najwyraźniejsza fotografia, jaką udało nam się uzyskać.

- Niezłe - mruknął Bentz.

Na zdjęciu dobrze widać było mężczyznę. Wysokiego i potężnie zbudowanego mężczyznę. Rysy jego twarzy były trochę zamazane, ale rozpoznawalne.

- Niezłe, detektywie? Doskonale. Zrozumiano? Doskonale! A teraz... popatrzcie na to.

Wręczyła mu zdjęcie Ronniego Le Marsa, to samo, które Bentz widział już w komputerze.

- To może być wasz facet.

Montoya, który do tej chwili milczał, kiwnął głową.

- To on.

- Może. - Bentz nie był przekonany.

- Jest bardzo podobny - wtrąciła się Santiago. Ubrana w biały laboratoryjny kitel, rude włosy owinęła wokół głowy. - Mamy więcej dobrych wiadomości - dodała.

- To prawda - zgodziła się Washington. - Badania krwi. - Poprowadziła ich jasno oświetlonym korytarzem do pomieszczeń, w których wykonywano autopsje.

AJ. Tennet siedział na obrotowym stołku i patrzył w mikroskop.

Spojrzał na nich.

Wsunął stołek pod stół, schylił się i wyjął jakieś papiery z płaskiego koszyczka. - Po pierwsze, krew z sypialni Eve Renner to krew wieprzowa, nie ludzka.

Bentz odetchnął z ulgą.

- Chyba mamy tę świnię. Tennet kiwnął głową.

- Sprawdzamy to teraz i badamy ślady w trumnie.

- Trumna jest stara - wyjaśniła Washington. - Podejrzewamy, że mogła być już wcześniej używana. Pobieramy próbki ziemi z terenu wokół Szpitala Naszej Pani od Cnót, z racic prosiaka i z trumny, żeby upewnić się, że jest to ta sama ziemia. Wszystkie inne dowody rzeczowe, w tym płótno, też zostaną dokładnie zbadane.

- Świetnie.

- Montoya, może przejrzysz jeszcze wyniki badań z Tennetem? - zaproponowała Washington. - A tobie, detektywie - zwróciła się do Bentza

- chciałabym pokazać coś jeszcze. Na osobności.

Montoya uniósł brew, wyraźnie zaintrygowany, ale został w laboratorium. Washington zabrała Bentza do swojego biura.

- O co chodzi? - spytał, kiedy zamknęła drzwi.

- Jest coś, o czym, moim zdaniem, powinieneś chyba dowiedzieć się bez świadków. Od ciebie tylko będzie zależało, co z tym zrobisz.

- W porządku. - Bentz coraz bardziej się denerwował. Bonita Washington nigdy nie owijała niczego w bawełnę. Zmierzała prosto do celu i nie robiła scen. - Więc o co chodzi?

- Dostałam wyniki badań DNA Eve Renner.

- Ona nie jest spokrewniona z Faith Chastain - domyślił się Bentz.

- Wiemy już, że Faith miała syna. Urodził się martwy. I to właśnie on miał być w tej trumnie.

- Macie nieprawdziwe informacje. - Bonita wręczyła mu raport. - Z badań wynika niezbicie, że Eve ma wystarczająco dużo markerów identycznych z markerami Faith, by być jej córką... ale ma także markery innej osoby.

- Czyje? - spytał Bentz. - Ronniego Le Marsa?

- Nie.

- Nie Royała Kajaka?

- Nie. - Spojrzała na niego, jakby postradał rozum.

- W takim razie sam nie wiem... Czyje? Washington patrzyła mu prosto w oczy.

- Twoje, detektywie - odparła, obserwując go uważnie. - Wyniki badań, które dla pewności przeprowadziłam trzy razy, wskazują, że jesteś spokrewniony z Eve Renner.

## Rozdział 30

**Musi** w nich być jakiś błąd - sapnął Bentz z niedowierzaniem. Podniósł ręce do góry i w osłupieniu pokręcił głową. - Nigdy nawet nie poznałem Faith Chastain. Nigdy.

- Cóż, ktoś z tobą spokrewniony ją poznał. I to dość dobrze...

- Zaczekaj... - Coś musiało tu być nie tak! Ale powoli zaczynało to do niego docierać. - Jacques Chastain był jej mężem. Może to on... Na pewno w tym wszystkim jest jakiś błąd - powtórzył.

Nie słuchasz mnie, detektywie - powiedziała Washington twardo.

- To ja, Bonita. Nie robię niczego na odwal się. Sprawdziłam też DNA twojej córki. Ciągłe mamy próbkę z tej sprawy sprzed kilku lat. Pamiętasz tego psychopate, którym nazywał się Wybrańcem?

Bentz przytaknął. Kristi i Olivia omal nie straciły życia przez tego obłąkanego maniaka.

- Więc sprawdziłam również tę próbkę... i bingo, Kristi też jest spokrewniona z Eve Renner.

- Przez biologicznego ojca Kristi... - Nogi ugięły się pod Bentzem.

- Wiedziałam, że musisz być bystry, skoro tak szybko awansowałaś.

- Wsunęła raporty w jego dłoń, żeby mógł je przejrzeć. Nie była już tak zasadnicza jak zawsze, a jej inteligentne zielone oczy patrzyły na niego współczująco. Odgarnęła z czoła kosmyk włosów i dodała: - Słuchaj, Bentz, nie wiem, co to znaczy, wiem tylko, że jesteś spokrewniony z Eve Renner. Pomyślałam, że będziesz chciał sam to przetrwać i zdecydować, jak poinformować o tych wynikach resztę wydziału. Każdy, kto pracuje przy tej sprawie, musi o tym wiedzieć.

Bentz bezradnie pokręcił głową. Jak to możliwe? Kto z jego rodziny znał Faith Chastain? Przez chwilę powątpiewał we własny zdrowy rozsądek.

- Chyba jesteś mi coś winny - powiedziała Bonita z łagodnością, o jaką jej nie podejrzewał.

- Tak, wiem. Brylanty.

- Zgadza się. - Poklepała go po ramieniu. - Tylko pamiętaj: duże.

Z raportem w ręce Bentz dogonił Montoyę, który szedł korytarzem z telefonem przy uchu, pogrążony w rozmowie.

- Aha... sprawdź to. Tak, doskonale .. Tu już skończyliśmy. Dobrze,

więc tam się spotkamy. Dzięki.

Razem wyszli z budynku.

- To była Eve Renner - powiedział Montoya. - Ona i Cole Dennis mają pewną teorię. Jest mało prawdopodobna i pewnie bym jej nie kupił, ale bardzo przypomina twoją.

- To znaczy?

Montoya opowiedział mu o palindromach - słowach i numerach, które były takie same bez względu na to, od której strony się je odczytywało. Wspomniał też, że numery te mogą być numerami szpitalnych pokoi.

- Pokój Terrence'a Rennera miał numer 101, a siostry Rebecki 111. Nie mają pewności, co do wszystkich ofiar, ale warto to sprawdzić. - Montoya szarpnął swoją bródkę. - Trochę to naciągane, ale też o tym myśleliśmy.

- Zdaje się, że to, co naciągane, dość często ostatnio okazuje się prawdą - mruknął Bentz.

Byli sami, ale po chwili minęli ich dwaj policjanci, którzy spieszyli w przeciwnym kierunku.

- Eve jest bardzo zdenerwowana - dodał Montoya - bo nie może się skontaktować ze swoją bratową, Anną... Wiesz, jej imię też jest palindromem.

- Czy ta Anna ma jakieś związki ze szpitalem?

- Nie, a przynajmniej żadnych nie odkryliśmy. Na razie. Cholera. Ale Eve ma związek ze szpitalem i z całą pewnością zabójca bardzo się nią interesuje.

- Może oni rzeczywiście coś odkryli - zamyślił się Bentz. - Ta historia z palindromami nie wygląda na zbieg okoliczności.

- Powiedziałem Eve, że spotkamy się z nią u niej w domu. Zamówiła już sprzątaninę i wymianę zamków. Tam już chyba skończyliśmy? Wszystkie dowody zostały zabrane, mamy pościel, próbki krwi, odciski. No i zdjęcia. Możemy pozwolić jej wrócić do domu.

- Jeśli będzie tego chciała.

- Ja bym nie chciał - przyznał Montoya.

Ciężkie chmury zasłoniły popołudniowe słońce i temperatura spadła o kilka stopni. Samochody, jak zwykle w godzinach szczytu, wlokły się ulicami w stronę przedmieść.

- A o czym chciała z tobą rozmawiać Bonita?

- O DNA. - Bentz wręczył raporty Montoi. Ten przejrzał je szybko.

- Więc... Zaraz, zaraz, przecież... Ellen Chaney przysięga, że Faith Chastain urodziła jedno dziecko, martwego chłopca. Jak to się ma do prosiaka w trumnie i kobiety, która żyje i jest córką Faith?

- Czytaj dalej.

- Jest tu coś więcej?

- O, tak. - Bentz wcisnął ręce do kieszeni. Ciągłe jeszcze trawili informacje, które dostał od Bonity Washington. Wszystko to nie trzymało się kupy: martwe dziecko, DNA Eve wskazujące na jej pokrewieństwo z Faith... Coś tu było nie tak. Albo Ellen Chaney kłamała, albo sama nie знаła prawdy. Bentz przecesał włosy palcami i poczuł znajome ssanie w żołądku. - Teraz chętnie bym sobie zapalił, jeśli masz fajki - powiedział do Montoi.

- Jasne. - Montoya znalazł papierosy i wręczył Bentzowi paczkę wraz z zapalniczką.

Bentz zapalił i zaciągnął się głęboko, patrząc, jak jego partner przerzuca powoli strony raportu, coraz bardziej zdumiony.

W końcu Montoya podniósł oczy znad dokumentu.

- Co to ma znaczyć, do diabła?

Bentz podał mu papierosy i zapalniczkę, rozkoszując się pierwszą od dłuższego czasu dawką nikotyny.

- Nie wiem. Nigdy nawet nie poznałem Faith Chastain.

- Ale...

- Nie potrafię tego wyjaśnić - powiedział Bentz, lecz w myślach szedł znowu mrocznym korytarzem, z wieloma drzwiami, których nie chciał już nigdy otwierać. Jednak bez względu na to, jak bardzo się starał ją ukryć, prawda zawsze w jakiś sposób wpływała na powierzchnię. Nagle rozboleł go żołądek. Sięgnął do kieszeni po tabletki na nadkwasotę.

Montoya zmarszczył brwi i przeczytał raport jeszcze raz.

- Na litość boską, musisz coś wiedzieć. To w końcu twoja rodzina!

- I twoja też, jeśli ożenisz się z Abby. - Bentz wrzucił tabletkę do ust i rozgryzł ją szybko. - Wszyscy możemy być spokrewnieni.

- Jezusie, Mario i Józefie... Spokrewnieni? - Montoya wytrząsnął z paczki papierosa, włożył go do ust, zapalił i zaciągnął się tak głęboko, jakby nikotyna miała uratować mu życie. - To chore - mruknął, wydychając kłęb dymu.

A nie wiesz nawet połowy tego, co ja, pomyślał Bentz, zastanawiając się, kto z jego rodziny mógł być ojcem Eve Renner. Rozwiązanie, które podsuwała mu logika, wcale mu się nie podobało. Jak o tym powiedzieć Olivii albo Kristi? Montoya miał rację. To było chore.

- Wygląda na to, że Abby jednak może dopisać Eve do swojego drzewa genealogicznego.

- I ty też... Człowieku, ale się porobiło .

Amen, bracie. Bentz rzucił niedopałek papierosa na chodnik i przydeptał go butem.

Eve nie wierzyła własnym uszom. Zdumiona, stała z Cole'em w ogródku na tyłach swojego domu. Lekki wiatr poruszał gałęziami magnolii, zapadał wieczór, a szokująca wiadomość od Bentza ciągle zdawała się wisieć w powietrzu, jak jakieś żywe stworzenie.

- Testy DNA wykazały, że jest pani córką Faith Chastain. Ale obawiam się, że jest coś jeszcze. Wygląda na to, że jest pani spokrewniona również ze mną:.

Patrzyła na detektywa Ricka Bentza, a on patrzył na nią.

- Jak... to znaczy... - Podniosła zdrową rękę do czoła, usiłując pojąć to, co właśnie usłyszała. Jest spokrewniona z Bentzem. Jest siostrą przyrodnią Abby Chastain, lecz nie dzieckiem Jacques'a Chastaina. - Nie wierzę.

Cole także zareagował na to sceptycznie, no ale on nigdy nie ufał policji.

- Jest pan pewny? - spytał Bentza, przenosząc wzrok z Montoi, opierającego się biodrem o samochód, na niego, i z powrotem.

- Rozumiem, że to trudne.

- Trudne? - Cole'a rozśmieszyło to określenie.

- Mam raporty. Testy wykonano trzykrotnie. Ja sam tego nie pojmuję, proszę mi wierzyć. Ale markery DNA są bardzo wyraźne.

Eve przyglądała mu się, szukając jakiegoś podobieństwa do siebie, nie dostrzegła jednak żadnego. Ona była drobna, miała kręcone rudawe włosy, krótki nos i niebieskozielone oczy. Bentz był krępy, miał ciemne, lekko przyprószone siwizną włosy, kwadratową żuchwę i brązowe, głęboko osadzone oczy.

- Spokrewnieni... ale jak? - spytała nieufnie. Czowała, że będzie potrzebowała niezbitych dowodów, by przelknąć tę historię. Nie widziała powodu, dla którego Bentz miałby kłamać, ale to po prostu nie

mogła być prawda! O czym on właściwie mówi? O tym, że jest jej ojcem? Albo bratem?

Bentz musiał wyczytać to pytanie w jej oczach.

- Nie wiem dokładnie, w jakim stopniu jesteśmy ze sobą spokrewnieni, ale nie, nie jestem pani ojcem. Nigdy nie poznałem Faith Chastain osobiście.

Eve zdecydowanie ulżyło. I tak przeszła już wystarczająco dużo. Terrence Renner został niedawno brutalnie zamordowany, ciągle nie można go było pochować, a ona nie potrafiła przyjąć do wiadomości, że ten szorstki w obejściu policjant, z którym od pierwszej chwili darła koty, może być jej biologicznym ojcem. Bentz, tak samo jak Montoya, od samego początku jej nie ufał i obaj robili wszystko, by wsadzić Cole'a za kratki.

A jednak, patrząc teraz na Bentza, widziała wyraźnie, że szczerze wierzy w to, iż wiadomość, jaką jej przekazał, jest prawdziwa.

- A czy może pan być moim przyrodnim bratem? - spytała, pocierając rękę, która ciągle wisiała na temblaku. - Może mamy jednego ojca?

Montoya wyjął papierosy i zapalił jednego.

- To raczej wykluczone - odparł Bentz. - Mój ojciec zginął na wojnie na długo przed tym, jak pani się urodziła.

- Więc może jest pan moim wujem?

- Nie znam jeszcze odpowiedzi na te pytania. Ale proszę mi wierzyć, wkrótce je poznam.

- Ale Abby jest moją przyrodną siostrą?

- Tak.

Montoya spojrzął na Eve.

- Miałem zamiar powiedzieć jej o tym dziś wieczorem, chyba że pani chciałaby to zrobić.

Eve nie musiała się nad tym zastanawiać.

- Zostawię to panu, detektywie. Ale niech ją pan poprosi, żeby do mnie zadzwoniła, jeśli będzie miała ochotę.

Montoya kiwnął głową.

- Jak ją znam, odezwie się do pani, gdy tylko się dowie.

- Niech zadzwoni, kiedy tylko zechce.

Eve czuła się dziwnie, jakby była na morzu. Jeśli to prawda... jeśli... wtedy Abby i Gina Chastain będą jej przyrodnymi siostrami, a Rick Bentz też należy do jej rodziny.



- Powinna pani też wiedzieć, że znaleźliśmy grób, ten, w którym miało leżeć dziecko Faith, jej syn - powiedział Bentz.

- Grób? - Eve zmartwiła. Cole podszedł i stanął obok niej. - Z dzieckiem?

- Dziecka tam nie było, a przynajmniej my go nie znaleźliśmy. Eve przytknęła dłoń do czoła i zamknęła oczy.

- Znaleźliście pusty grób, przygotowany dla dziecka Faith, to znaczy dla mnie... dobrze rozumiem?

- Sądzimy, że pierwotnie był to grób dla dziecka Faith, ale ktoś go musiał odkopać. Ziemia była świeża, a kiedy otworzyliśmy trumnę, w środku zobaczyliśmy martwego prosiaka.

Eve zółdek podszedł do gardła. Opanowała się i odruchowo przytuliła do Cole'a.

- Nie tylko prosiaka. Również wiadomość napisaną krwią - dodał Montoya. - *Live not on evil.*

- Kolejny palindrom - mruknął Cole. - Coraz lepiej.

- Krew w pani sypialni... to była krew tego prosiaka.

- O Boże, dlaczego? - szepnęła Eve, zszokowana.

Ulżyło jej, że nie była to krew ludzka, lecz na myśl o tym wszystkim, co się działo, o człowieku, który zniszczył lalkę, znęcał się na prosięciem, zalał krwawą sypialnię i zostawiał na ścianach dziwne wiadomości, zrobiło jej się słabo. To było chore, nienormalne, przerażające.

- Co to za dewiant? - Cole pokręcił głową. Zapadł zmierzch, zbliżała się ciemna, bezgwiazdka noc.

Montoya odsunął się od samochodu.

- Ten facet to psychopata. Jest chory. Zaburzony. I tak, skoro o to pytacie, ma najprawdopodobniej obsesję na punkcie Eve. Nie wiemy tylko dlaczego.

Eve wiedziała sporo o psychozach, widziała na własne oczy przypadki różnych poważnych zaburzeń psychicznych, ale człowiek, który czerpał satysfakcję, a może doświadczał też seksualnej ekscytacji, terroryzując ją w taki sposób, budził w niej przerażenie.

- Zapewnimy pani ochronę - zaproponował Montoya.

- Więc uważa pan, że jestem w poważnym niebezpieczeństwie.

- A pani tak nie uważa?

- Myślę, że gdyby chciał mnie zabić, już by to zrobił. Na pewno miał

niejedną okazję.

- Ale robi wszystko, by zmienić twoje życie w piekło. Chce, byś żyła w ciągłym strachu. Powinnaś się zgodzić na ochronę - odezwał się Cole.

Spojrzała na niego, zaskoczona. Cole nigdy nie ufał policji. Nigdy. Przez chwilę patrzyli sobie w oczy i wydało jej się, że on walczy ze swoim własnym sumieniem i jest szczerze zaniepokojony.

- Myślę, że to by nie zaszkodziło, a może ostudzi trochę zapędy tego maniaka - wyjaśnił.

- Na pewno nastąpi eskalacja - dodał Bentz. - Już zabił kilka osób. Eve zadrżała. Ale... ochrona? Ktoś będzie ją obserwował dniem i nocą? Odbierze jej prywatność?

- Ja z nią będę - powiedział Cole, widząc jej wahanie.

- Cóż, wszystko pięknie i ładnie, ale o ile wiem, nie ma pan broni. A w każdym razie tak zeznał pan podczas śledztwa w sprawie śmierci Kajaka. Więc jak zamierza pan ją chronić? - Montoya przeniósł wzrok z Cole'a na Eve. - Na pani miejscu zdecydowałabym się na profesjonalną ochronę.

- A jak by to wyglądało?

- Obstawimy dom. Ktoś będzie go stale obserwował.

- Zgódź się, Eve - poprosił Cole.

- Zastanowię się nad tym. Dzisiaj i tak śpię w hotelu, więc nie będzie problemu. A później, kiedy dom zostanie wysprzątany i wprowadzę się z powrotem, dam wam znać.

- Jest pani pewna? - spytał Bentz.

- Nic mi się nie stanie - odparła, myśląc o Cole'u. Nie wątpiła, że on ją ochroni. Z bronią czy bez. Na tyle mu ufała.

- Poza tym mamy rewolwer po moim dziadku. Muszę tylko kupić amunicję.

- Poczulbym się lepiej, gdybym wiedział, że pilnuje pani oficer wyszkolony w posługiwaniu się bronią - mruknął Bentz cierpko.

- Zadzwoń, jeśli zmienię zdanie.

- Doskonale. A my przejrzymy to. - Bentz wziął do ręki notatki Cole'a. - Spróbuję się też skontaktować z pani bratową. Na razie nie zadzwoniła ani się nie pojawiła.

- Tak, proszę. - Eve odchodziła od zmysłów z niepokoju o Annę. Zostawiła jej trzy wiadomości na poczcie głosowej, zadzwoniła też do

niej do domu, do Atlanty. Annie tak bardzo zależało, żeby skontaktować się z nią po śmierci Terrence'a, a zaraz potem umilkła i nie dawała znaku życia.

Podczas gdy ludzie z otoczenia Eve kończyli z poderżniętym gardłem.

Zadzwoiła komórka Montoi. Spojrzał na ekran, odwrócił się tyłem do Eve, Cole'a i Bentza i odszedł na bok.

- Czy może mi pan też dać znać, jeśli będzie pan miał jakieś wiadomości od moich braci? - spytała Eve.

Kyle i Van, którzy tak bardzo nalegali na spotkanie z nią i policją, teraz jakby zapadli się pod ziemię. Żaden z nich nie odbierał komórki. Wprawdzie minęło zaledwie kilka dni, ale ich milczenie wydawało się Eve dziwne, biorąc pod uwagę, jak palili się obaj do podziału majątku po Terrensie.

Bentz kiwnął głową i spojrzął na Montoyę. Jego partner rozłączył się, wsunął telefon do kieszeni kurtki i podszedł do nich. Popatrzył na Bentza i powiedział krótko:

- Musimy spadać.

- Chyba i tak już skończyliśmy - odparł Bentz. A do Eve: - Będziemy w kontakcie.

- Dziękuję.

Bentz podbiegł do samochodu. Montoya już siedział za kierownicą. Bentz otworzył drzwi od strony pasażera. Chwilę później Montoya przekręcił kluczyk w stacyjce, opony zachrzęściły na żwirze i mustang zjechał z krawężnika.

Eve przez chwilę patrzyła za nimi.

- Co to wszystko ma znaczyć? - mruknęła, usiłując poukładać sobie w głowie to, co usłyszała.

- Bardzo dziwne - stwierdził Cole, kiedy tylne światła wozu zniknęły za rogiem. - Martwy prosiak, nowa rodzina. Ty spokrewniona z Bentzem i narzeczoną Montoi... Czyste szaleństwo. Wygląda to na jakiś spisek czy coś w tym rodzaju.

- Spisek? Co masz na myśli?

- Prawdę mówiąc, sam nie wiem, co o tym sądzić - przyznał Cole, spoglądając na dom, ciągle otoczony żółtą policyjną taśmą, która trzepotała na wietrze. - Ale uważam, że powinnaś przyjąć ich propozycję.

- Nie dziś. W porządku? Chcę tylko oderwać się od całej tej sprawy na jedną noc.

- Myślisz, że to możliwe?

- Cóż, będę się bardzo starała - odparła.

Miała nadzieję, że uda jej się przespać noc bez tych koszmarnych snów. Czowała, że musi wszystko sobie poukładać i zacząć nowe życie.

- Wspominałaś coś o hotelu?

- Tu nie mogę zostać, a u ciebie jest bezpiecznie, ale chyba potrzebuję prawdziwego łóżka. Może moglibyśmy zostawić tam Samsona na kilka godzin. Rano spotkam się tu z firmą sprzątającą i tym facetem od zamków.

- Więc jesteście razem?

Czowała się tak samo, jak zawsze, kiedy miała go przy sobie. Byłoby o wiele łatwiej, gdyby jej na nim nie zależało.

- Tak.

Spojrzała na stary dom, gładkie drewniane deski, duże okna, ciemne okiennice. Przypomniała sobie dziadka przy biurku, babcię krzątającą się po kuchni. Ten dom, bardziej niż cokolwiek innego, symbolizował dla niej rodzinę. Bardziej niż starsi bracia, którzy nigdy za nią nie przepadali, bardziej niż chorowita matka i ojciec, chłodny i obcy w jednej chwili, a zaraz potem przesadnie uczuciowy. Trzypiętrowa wiktoriańska kamienica, pełna wspomnień o dziadkach, była jej domowym ogniskiem, a sypialnia w wieży - jej sanktuarium. Podniosła głowę i popatrzyła w okno pokoju na wieżyczce - tam kiedyś zawsze potrafiła się wyciszyć.

Ale wszystko to zmieniło się w jednej chwili. Tak krótkiej, jak błysk światła w ostrzu noża.

Poczuła na karku chłodny powiew pachnącego kwiatami magnolii wiatru i nagle ogarnął ją głęboki smutek. Jej dom został skalany. Na zawsze. Spojrzała na Cole'a i zagryzła wargę.

- Nie wiem, czy jeszcze kiedykolwiek będę umiała tu mieszkać.

## Rozdział 31

Sukinsyn.

Kristi siedziała przy biurku w swoim mieszkaniu i gotowała się ze złości. Cholerny detektyw Rick Bentz! Miała wielką ochotę zadzwonić do niego i powiedzieć mu, co wie. Radosny nastrój i poczucie wolności przysły, kiedy dowiedziała się, co robi jej ojciec. Nie od niego, rzecz jasna, ale od faceta z departamentu, którego właściwie ledwo знаła. To on był jej informatorem, to do niego mogła zadzwonić o każdej porze dnia i nocy, to jego mogła o wszystko zapytać. Nie kochanego tatusia. Od tatusia nigdy nie udało jej się nic wyciągnąć.

Zabębniła palcami po blacie biurka i wbiła oczy w monitor komputera. Czytała wszystkie artykuły o ostatniej serii morderstw. Na stronie internetowej lokalnej gazety znalazła informację o akcie wandalizmu, jakiego ktoś dopuścił się w domu Eve Renner. Musiało to być coś strasznego i dziwnego, skoro wezwano tam tylu policjantów. Jeden z nich został nawet postrzelony, kiedy ścigał podejrzanego.

Kilka minut wcześniej znajomy z departamentu powiedział jej przez telefon, że detektyw Rick Bentz znowu był na terenie tego starego szpitala psychiatrycznego, gdzie ni mniej, ni więcej, tylko rozkopał jeden z grobów. Kristi wiedziała, że ojca interesowały wyniki testów DNA Eve Renner i Faith Chastain.

Jej informator nie wiedział dokładnie, co stało się w domu Eve. Albo wiedział, ale nie chciał jej powiedzieć czasami dawkował jej informacje, po trochu - ale nie miała wątpliwości, że w końcu uda jej się to z niego wydusić. W ten czy inny sposób.

Sprawa, która zaczęła się od morderstwa Roya Kajaka, z każdą chwilą stawała się bardziej intrygująca. A ojciec, oczywiście, postarał się ją całkowicie od tego odciąć.

- Nie powinienem ci tego mówić - oświadczył informator tym swoim niskim, zmysłowym głosem.

Kristi nie zwracała uwagi na ten ton. Wiedziała, że facet ma wielką ochotę ściągnąć z niej majtki, więc pozwalała mu myśleć, że ma na to szanse, tylko po to, by jak najwięcej od niego wydobyć.

- Och, daj spokój - odparła, zgodnie z zasadami tej gry uwodzicielsko zniżając głos. - Wcześniej czy później i tak wszystko będzie w gazetach.

- No, niby tak... ale ja mógłbym stracić pracę.

- Nie wykorzystam niczego, co mi powiesz, do czasu, aż prasa wygrzebie to z innego źródła. Nie spieszy mi się, nie potrzebuję materiału do artykułu w jutrzejszym wydaniu. To ma być książka. Świetna książka !

- A kiedy już opublikujesz tę książkę? - spytał znacząco.

- Zrewanżuję ci się, możesz być pewny.

- Tak? A czego mogę się spodziewać?

- Więcej niż tylko wzmianki w podziękowaniach.

- Obiecujesz?

- Obiecuje. - Omal nie zakrztusiła się przy tym słowie. Nie, żeby facet nie był przystojny i inteligentny. Rzecz w tym, że trochę zbyt gładki i trochę za bardzo przejęty pracą w policji, wydziale zabójstw, co Kristi знаła z autopsji.

- Wiesz, coś jeszcze mogłoby mnie przekonać, żeby dopuścić cię do tych spraw - dodał tym samym znaczącym tonem, który zaczynał wywoływać u niej mdłości.

- Eee... To tylko interesy, nie zapominaj o tym.

- Pewnego dnia się złamiesz i w końcu ze mną umówisz.

- Możliwe. Jeśli rozegrasz to właściwie. - Kłamała jak najęta. Już dawno przysięgła sobie nigdy nie umawiać się z żadnym policjantem. Bez wyjątku. Dobrze wiedziała, jak ta praca może zrujnować związek. No i był jeszcze Jay. Chłopak, którego zostawiła. Zaraz po szkole średniej chciał się z nią ożenić, ale go rzuciła. Teraz pracował w sądowym laboratorium.

Bardzo nie chciała wpaść gdzieś na niego. Słyszała, że się zaręczył. To dobra wiadomość - tak przynajmniej sobie powtarzała. Kiedyś przyjęła od niego pierścionek. Ale to było wieki temu. W innym życiu.

Więc nie, nie miała zamiaru widywać się z nikim, jeśli wiązałoby się to z najmniejszym choćby prawdopodobieństwem spotkania Jaya.

Postanowiła wkrótce obejrzeć grób na szpitalnym cmentarzu, za dnia, i przy okazji się też porozglądać. Na myśl o tym nagle obleciał ją strach, stłumiła go jednak. To jest jej nowy zawód, zawód nie dla mięczaków. Była silna i sprawna, zaliczyła wiele kursów samoobrony. I niegłupia. Zawsze miała przy sobie spray z pieprzem. Tak, spokojnie może odwiedzić ten stary budynek. Da sobie radę.

Przez chwilę surfowała po Internecie, ale w końcu wróciła do historii,

którą zaczęła pisać. Potrzebowała tytułu. Czegoś chwytliwego, czegoś, co przyciągnie uwagę wydawców i czytelników. Czegoś, co będzie mocne i seksowne. I będzie wiązało się z tą zbrodnią. Najlepiej jakiegoś wyrażenia o podwójnym znaczeniu albo gry słów.

Niestety, akurat nic nie przychodziło jej do głowy, pewnie dlatego, że ciągle gotowała się ze złości na ojca, który wszystko przed nią ukrywał.

To jego praca. Nie może rozmawiać o sprawie z tobą, nie wolno mu narazić dobra śledztwa. Musisz znaleźć sobie inne źródło informacji. Nie wystarczy ci tylko ten facet z departamentu, potrzebujesz też kogoś z zewnątrz. Mogłaby to być któraś z zakonnice albo ktoś, kto pracował w tym szpitalu. Ktoś, kto jest blisko tej sprawy, ale nie będzie ryzykował utraty pracy, rozmawiając o niej z tobą.

Zaczęła spisywać listę rzeczy do zrobienia.

Myślała o przeprowadzeniu wywiadu z mordercą.

Kiedy już zostanie aresztowany, oczywiście.

To by było coś, prawda?

Wywiad na wyłączność nie tylko z detektywem prowadzącym śledztwo, czyli z jej własnym ojcem, ale także z psychopatą, który dopuścił się tych wszystkich zbrodni.

Tak. Odchyliła się na oparcie krzesła i wyciągnęła ręce nad głowę. To będzie wspianała książka. Może nawet bestseller.

Wypchaj się, tatusiu.

Pensjonat miał ponad sto lat, ale został odrestaurowany i znajdował się w samym sercu French Quarter, a w porównaniu z mieszkaniem wynajętym od Petrusky'ego wydawał się przedsiönkiem raj.

Zameldowali się. Eve próbowała przekonać samą siebie, że to nic wielkiego, że jest tu z Cole'em, bo potrzebuje jego siły, jego inteligencji, twórczego umysłu. Och, na litość boską, czy naprawdę?

Jakaś jej część była święcie przekonana, że nie. W końcu nie była kobietą łatwo uzależniającą się od mężczyzny. Zwłaszcza od takiego zakłamanego, dwulicowego drania.

Ale inna część mówiła: Do diabła, oczywiście, że go potrzebujesz! On daje ci siłę i pomaga spojrzeć na to wszystko z innej perspektywy. Jest mądry, bystry, sprytny. Tak, kłamał, żeby chronić siebie, ale odkąd go wypuścili, bardzo się stara. Nie musisz przecież za niego wychodzić. Wystarczy, że obdarzysz go odrobiną zaufania. Potrzebujesz go - taka

jest prawda.

Ciągle była na niego zła, bez dwóch zdań, ale postanowiła kierować się rozsądkiem. Po prostu czuła się bezpieczniej. Tę noc mieli spędzić razem, starała się więc nie zwracać uwagi na romantyczny wystrój pokoju, w którym był kominek na gaz, szerokie łóżko z baldachimem i przeszkłone drzwi na balkon.

Pożałowała, że nie wybrała jakiegoś czystego, bezosobowego motelu przy autostradzie. Byłby tańszy i nie sprzyjałby żadnym romantycznym ciągotom.

- Głodna? - spytał Cole, kładąc torby na łóżku.

- Jak wilk.

- Więc chodźmy poszukać jakiejś knajpy.

Znał małą włoską restaurację jedną przecznicę za Bourbon Street. Udało im się zjeść cały posiłek bez rozmowy o śmierci i koszmarnych wydarzeniach kilku ubiegłych dni. Cole kupił butelkę wina na wynos i choć Eve czuła, że sączenie rieslinga przy kominku w towarzystwie Cole'a to recepta na katastrofę, nie narzekała.

Nie trać głowy, powtarzała sobie tylko. Wiedziała jednak, że przy Cole'u to często niemożliwe.

Kiedy wrócili do pokoju, Eve zrzuciła buty, a Cole otworzył butelkę. Zaczął nalewać wino do kieliszków, i wtedy zadzwoniła komórka Eve.

- Nie odbieraj - powiedział.

Eve spojrzała na ekran i zobaczyła na nim imię swojej bratowej. Zalała ją fala ulgi.

- Anna Maria! Gdzie jesteś? Wszystko w porządku? - spytała, spoglądając na Cole'a.

- Tak... Tak. Jadę samochodem - odparła Anna nienaturalnie niskim głosem, który zdawał się przeczyć jej słowom. - Ale co u ciebie? Jezu, Eve, właśnie przeczytałam o tym, co się stało. Czy u ciebie wszystko w porządku?

- Hm, zależy, w zasadzie tak.

Eve usiadła po turecku. Gazety i wiadomości telewizyjne nie podały szczegółów tego, co zaszło w jej domu, ponieważ policja nie wszystko ujawniła. Eve nie mogła opowiedzieć Annie całej historii, wyjaśniła jej jednak, gdzie jest i że nie wróci do domu, dopóki nie zostanie wysprzątnany i zabezpieczony.



- Nie dziwię ci się - powiedziała cicho Anna.

Żeby dać Eve trochę prywatności, Cole wyszedł na balkon i zamknął za sobą drzwi. Eve widziała, jak położył dłonie na poręczy z kutego żelaza, spoglądając na ulicę. Przez chwilę patrzyła na jego plecy, później jej spojrzenie ześliznęło się niżej. Zreflektowała się szybko i wbiła wzrok w ogień na kominku, gdzie żółte płomienie pełgały po ceramicznych kłodach.

- Ale gdzie ty jesteś? Szalałam z niepokoju!

- Ja... to znaczy my, Kyle i ja... byliśmy w motelu. Cóż, on mieszkał w nim od jakiegoś czasu. Nie dzwoniłam do ciebie, bo mam złe wieści. - Urwała. Eve usłyszała, jak bratowa głęboko wciąga powietrze, prawdopodobnie paląc papierosa, i wstrzymała oddech. Znowu jakieś złe wieści? Przygotowała się psychicznie. W końcu Anna wyjaśniła smutno: - Zdecydowaliśmy się na separację.

- Och... - Eve nie wiedziała, jak zareagować. Była to na pewno trudna decyzja, ale bez wątpienia słuszna. Eve czuła, że Anna bardzo cierpi.

- Wiem, że to szok. Dla mnie też. Ale on tego chce. Mówi, że potrzebuje więcej przestrzeni, cokolwiek to znaczy. Ostatnio bez przerwy się kłóciliśmy. Żyliśmy jak pies z kotem. Cały ten stary, zapiekły gniew... Okropność. - Głos Anny był niski i nosowy, jakby z trudem powstrzymywała się od płaczu. - Rozmawiamy, usiłując rozwiązać te wszystkie problemy... przez kilka godzin, a frustracja narasta... i wybuchamy, po czym jedno z nas wychodzi. Tak to wygląda. Straszna emocjonalna huśtawka... w końcu zdałam sobie sprawę, że nic z tego nie będzie. Nie wiem nawet, czy my się choć trochę jeszcze lubimy, nie mówiąc już o miłości. - Głos jej się załamał. Pociągnęła nosem i dodała: - Nie podoba mi się to, ale nic nie mogę na to poradzić. Nie... o Boże, nie zdziwiłabym się, gdyby chodziło o inną kobietę... On przysięga, że nie, ale co ma mi powiedzieć?

- Tak mi przykro, Anno.

- Nie przyzna się przecież, nie poda mi jej nazwiska.

W głębi duszy Eve uważała, że rozwód nie byłby wcale takim złym rozwiązaniem i że Anna mogłaby sobie znaleźć kogoś znacznie lepszego od tego dupka Kyle'a. Ale Anna nie to chciała teraz usłyszeć.

- Mogę ci jakoś pomóc?

- Nie możesz... - Anna łkała teraz głośno i rozpaczliwie.

- Pewnie tylko pogorszyłam sytuację, tak długo siedząc wam na

karku.

- Wcale nie tak długo, a poza tym od czego człowiek ma rodzinę?

- Posłuchaj, Anno... Gdzie jesteś? Chyba nie powinnaś prowadzić w takim stanie. Ja jestem w pensjonacie w centrum miasta. Przyjedź tutaj albo - spojrzała na Cole'a - ja po ciebie przyjadę.

- Nie... nic mi nie jest.

- Nie wydaje mi się. Możesz zatrzymać się u mnie na noc. Obgadamy wszystko albo i nie... ale wolałabym, żebyś nie była dzisiaj sama.

- Naprawdę nic mi nie jest. - Anna znów pociągnęła nosem. - Nie potrzebuję opieki. Jestem przygnębiona, owszem, nie myślę jednak o samobójstwie ani o niczym takim.

- Anno...

- Jadę do domu. Mój wspaniały mąż postanowił na jakiś czas :władować się:, tak to określił, do Vana. Napomyka o przeniesieniu firmy do Nowego Orleanu, ale przecież to by się wiązało z utratą wielu stałych klientów. Jezu, co on sobie myśli?

- Więc zawracaj. Możesz mieszkać ze mną, dopóki nie poczujesz się lepiej.

- Mieszkać z tobą? W tym domu? Dzięki, ale po tym, co się tam stało, powinnaś go sprzedać. Nie rozumiem, jak w ogóle możesz chcieć tam wrócić. - Zaśmiała się krótko. - No, muszę kończyć. Zadzwoń do ciebie jutro, jak sobie to wszystko przemyślę. Może będę potrzebowała prawnika. Tak się właśnie kończy wieczna miłość, co?

Eve mruknęła coś pod nosem i się rozłączyła. Spojrzała na stojącego na balkonie Cole'a. Wieczna miłość. Ona nie bardzo w to wierzyła.

Ale może dziś się to zmieni. Może dziś otworzy serce dla Cole'a. Popatrzyła na łóżko. Stracili tyle czasu, kłócąc się i podejrzewając nawzajem. Ale dzisiaj, pomyślała, będzie inaczej. Dzisiaj nie będzie się przed nim bronić. Zawiązała ciasniej pasek szlafroka, wyszła na balkon i objęła Cole'a w pasie.

- A to co ma być? - odwrócił się zaskoczony. Eve uśmiechnęła się i uniosła brew.

- Cóż, jeśli dobrze sprawę rozegrasz, :to: może być twoja szczęśliwa noc.

Późną nocą położył się na łóżku i zamknął oczy.

Był zmęczony. Potrzebował snu. Ale dręczył go niepokój. I złość. Zaczął obgryzać paznokcie, wypluwając je do kosza na śmieci przy

łóżku. Tyle było jeszcze do zrobienia. A czasu coraz mniej. Zadrzał. Przed oczami stanęła mu Eve.

Zawsze Eve.

Podobały mu się inne kobiety, ale żadna z nich nie tak jak Eve.

Piękna Eve.

Rozpieszczona Eve.

Eve księżniczka na ziarnku grochu.

Nadszedł czas na rozgrzeszenie.

Nadszedł czas, by w końcu spotkał się z Eve.

Koniec zabawy, koniec z lalkami. Koniec czekania. Wszystko już przygotowane. Wreszcie, wreszcie będzie należała do niego. Do śmierci. Ich losy były nierozłącznie ze sobą splecione. Od samego początku. Zło.

Nie wolno żyć złem.

Czyż nie to powtarzała mu zawsze matka? Czyż nie mówiła palindromami? Czyż nie uważała ich za sekretny sposób przekazywania wiadomości? W obie strony?

Leżał i słuchał odgłosów nocy, wpadających do pokoju przez okno wraz z ciepłym wiosennym powietrzem.

Wyobrażał sobie jej zaskoczenie. Wkrótce naprawdę zobaczy je na jej twarzy. Przeciągał to wszystko tak długo, jak tylko było to możliwe, ale teraz, o Boże, teraz nadszedł już czas. Z napięcia zaschło mu w ustach, zwilżył więc wargi językiem, a potem zamknął oczy i pomyślał o tym, co jej zrobi. Nareszcie.

- Ona jest księżniczką - przypominała mu matka. Lubiała drażnić go w ten sposób: opowiadając o szczegółach szczęśliwego życia Eve, siedząc przy maszynie do szycia, przegryzając nitkę ostrymi zębami albo tnąc materiał krawieckimi nożycami. One także miały zęby. Mnóstwo ostrych, stalowych zębów.

- O, tak... mała Eve. - Matka cmokała językiem. - Zawsze miała wszystko, co najlepsze, nigdy niczego jej nie brakowało. Nic dziwnego, jej ojciec jest lekarzem no i... - Marszczyła brwi nad okularami. Kolorowa tkanina sływała z jej kolan na podłogę. - Piękny dom, lśniące samochody, drogie sukienki. Księżniczka. A ładna to ona jest... i to jak. Matka ją kocha, ojciec jest nią zachwycony, a jeszcze dziadkowie ją rozpieszczają! Nic nie jest za dobre dla tej małej.

Usiłował zamknąć uszy na tę truciznę, ale jego matka, uboga, ciężko pracująca krawcowa, z powykręcanyimi przez artretyzm palcami i duszą skażoną przez zawiść, nigdy nie pozwoliła mu zapomnieć. Wspominała o Eve przy każdej okazji. Zwłaszcza w nocy, kiedy cały dom spał, jego ojciec chrapał głośno w innym pokoju, a młodsze rodzeństwo od dawna leżało już w łóżku.

Wtedy do niego przychodziła. Skradała się bosą korytarzem, wślizgiwała do jego sypialni i zamykała za sobą drzwi na klucz. Przynosiła ze sobą zapach dżinu, dymu papierosowego i desperacji. Mówiła, że przyszła go tylko :opatulić: albo :pocałować na dobranoc:.

Ale dotyk jej warg na jego policzku nie był niewinnym pocałunkiem, a opatulanie kołdrą zawsze prowadziło do tych nieczystych pieszczoł.

- Jesteś grzecznym chłopcem, bardzo, bardzo grzecznym chłopcem - powtarzała, jakby był psem, który właśnie wykonał jakąś trudną sztuczkę. - Jesteś dużo grzeczniejszy niż mała Eve, ta dziwka, dziwka w drogich sukienkach i koronkowych majtkach. Ale nieważne, ile te majtki kosztują, bo Eve ma je zawsze ściągnięte do kostek. To bardzo zła mała dziewczynka, wierz mi. Kłamie, dyszy, jęczy i rozkłada nogi dla każdego.

Leżał na swoim materacu, zmartwiały, spocony, bez ruchu, walcząc z ogarniającymi go mdłościami, i modlił się do Boga, by kazał jej przestać, by nie pozwolił jej zlizywać swoich łez, powtarzać, że wszystko jest w porządku. Wślizgiwać się pod jego kołdrę i przyciskać do niego nagim, kościstym ciałem. Zawsze wtedy mówiła, że okazywanie uczuć synowi przez matkę jest zupełnie naturalne.

Ale on wiedział swoje.

Już jako chłopiec.

Podczas tych strasznych, poniżających nocy, przywoływał przed oczy obraz Eve. Ją, a nie matkę, zapraszał do swojego łóżka. Eve, piękną Eve, rozpieszczoną księżniczkę.

Usiłował zamknąć umysł na to, co się z nim działo, próbował uciec od drżących, spoconych dłoni matki w jakieś dalekie, bezpieczne miejsce. I cały czas myślał o Eve... O tym, że byłoby mu o wiele lepiej, gdyby to ona, ta mała dziwka, przychodziła do niego do łóżka.

A teraz leżał na posłaniu, nerwowo obgryzając paznokcie, i nadal myślał o Eve, choć przecież matka już go nie molestowała, choć koszmar dzieciństwa dawno się skończył. Eve ciągle wypełniała jego

umysł. Bez przerwy.

Piękna Eve.

Rozpieszczona Eve.

Kochana Eve.

Eve, ta wredna dziwka.

## Rozdział 32

Głos przemówił do niego późnym wieczorem, kiedy spał już, o niczym jeszcze nie śniąc. Wyraźny, rozbrzmiewał w ciszy; denerwujące, piskliwe głosiki, które często Go poprzedzały, tym razem się nie odezwały. Mówił zwięźle. I dokładnie poinstruował go, co ma robić.

Bóg mu przebaczył!

Ale to przebaczenie miało swoją cenę.

Będzie musiał odpokutować swój grzech.

Wiedział, że drugi raz nie popełni już błędu. Napięty jak struna, czekał. Zdawał sobie sprawę, że jest poddawany próbie.

Jechał prawie osiem godzin i przybył na miejsce przed świtem. Wszyscy w okolicy jeszcze spali, świeciły uliczne latarnie. Znalazł ten adres.

Była tam.

Tylko jej samochód stał przed domem, dokładnie tak, jak powiedział mu Głos.

Śmiało wjechał na podjazd, pewny, że nikt nie przeoczy tablicy z numerem z Florydy, którą oderwał od samochodu stojącego pod jakimś motelem. Był aktualny, to ważne. Właściciele dodge'a zauważą pewnie rano brak przedniej tablicy, ale wtedy będzie już za późno. Jego misja zakończy się dużo wcześniej.

Wyjął rewolwer z tłumikiem i przeszedł na tył budynku. Przesuwne drzwi na patio nie były zamknięte na klucz. Otworzyły się z cichym szumem.

Stał przez chwilę, z mocno bijącym sercem, ale żaden pies nie zaszczekał. Nie włączył się żaden alarm. Usłyszał jednak głosy... Miękkie, ciche głosy.

Zesztywniał z przerażenia, lecz teraz nie mógł się już wycofać. Spojrzał w głąb ciemnego korytarza i przez niedomknięte drzwi dostrzegł błękitne, migotliwe światło ekranu telewizora.

Powoli ruszył w stronę sypialni. Zrobił kilka kroków, kiedy pod jego stopą skrzypnęła deska podłogowa. Zmartwił, pewny, że zaraz ktoś krzyknie albo wybiegnie na korytarz, ale w domu panowała cisza, słychać było tylko dialog z jakiegoś filmu. Zbliżył się do drzwi, zajrzał przez szparę i zobaczył w wiszącym na ścianie lustrze odbicie łóżka.

Leżała na zmiętej pościeli. Ciemne włosy miała w nieładzie, oczy zamknięte, usta rozchylone. Chrapała cicho, telewizor niemal ją zagłuszał. Pchnął lekko drzwi i wszedł do pokoju. Na stoliku nocnym stały fiołki z tabletkami, butelka wódki i pudełko chusteczek higienicznych. Kilka zużytych, zgniecionych spadło na podłogę. Dwie fiołki z Ickami były otwarte.

Nagle ogarnęła go panika.

A jeśli ona próbowała się zabić? Nie, to niemożliwe, nie taki był plan.

Nie wolno mu znowu popełnić błędu. Głos dał mu wyraźne instrukcje.

Ona musi żyć! Musi!

Gdy podchodził do niej, na środku pokoju potknął się o but. Uderzył kolanem w łóżko i z trudem powstrzymał cisnące mu się na usta przekleństwo.

Kobieta poruszyła się lekko, a potem podniosła głowę, odgarnęła z twarzy splątane włosy i zamrugła.

- Kyle? - spytała, sięgając do telefonu, a może do lampki nocnej. - To ty, Kyle?

Wtedy skoczył.

Wylądował na niej z impetem. Usłyszał, jak powietrze uszło z jej płuc.

Oprzytomniała i zaczęła się bronić. Wiła się pod nim i próbowała go z siebie zrzucić. Chciała krzyżeć, ale zdążył zakryć jej usta dłonią w rękawiczce. Drugą ręką przyłożył rewolwer do jej skroni, przyciskając lufę tuż obok jej oka.

- Nie, skarbie - wycharczał, rozkoszując się strachem, który widział w jej szeroko otwartych oczach; grozą, jaką wyczuwał w jej zeszytniałym ciele; urywanym z przerażenia oddechem. - To nie Kyle.

- Namierzyłam go - powiedziała Zaroster. Weszła do biura Bentza z notatnikiem w ręce i tryumfalnym uśmiechem na twarzy.

- Ronniego Le Marsa? - spytał Bentz.

- Ojca Paula Lavendera Swansona.

- Lavendera?

- Nic dziwnego, że został księdzem. Gdyby w szkole ktoś się dowiedział, że takie jest jego drugie imię, nie miałby chłopak życia.

- A może właśnie zostałaby największym twardzielem w drużynie

bejsbolowej.

Może. Teraz jest w domu opieki niedaleko stąd. Po drugiej stronie jeziora Pontchartrain, w Covington. - Zaroster jeszcze raz szeroko się do niego uśmiechnęła i wydarła kartkę z notatnika. - Tu jest adres. Nad Ron-niem Le Marssem ciągle pracuję. Bentz chwycił kartkę i wstał.

- Powiedz Montoi, gdzie jestem. Może do mnie zadzwonić albo dojechać na miejsce.

- Załatwione.

Wróciła do biurka, a Bentz wziął marynarkę i ruszył do wyjścia, klucząc między biurkami, przy których policjanci rozmawiali przez telefon, patrzyli na ekrany komputerów, spisywali zeznania, szeleścili papierami. Omal nie wpadł na Arvina Noona, młodszego detektywa; właśnie wprowadzał na salę faceta zalatującego whisky i wymiotami. Podejrzany miał włosy w strąkach, brudne ubranie i ręce skute na plecach kajdankami.

- To Herman Tessler. Zatrzymany podczas próby napadu na sklep spożywczy.

- I? - spytał Bentz. Na pewno był jakiś powód, dla którego Noon sprowadził tego gościa do wydziału zabójstw, choć potężny detektyw często stosował dość niekonwencjonalne metody.

- Tessler twierdzi, że był wczoraj w nocy pod restauracją Black Bird, grzebał w śmietniku i widział, co zaszło między Tiggsem a facetem z granatowej furgonetki. Mówi, że kula obila się od niej rykoszetem, co zgadza się z naszymi ustaleniami. Z broni oficera Tiggsa padł strzał.

- Ale kula nie trafiła napastnika? - spytał Bentz. Tessler kiwnął głową.

Szkoda.

- Spiszę zeznania, poczekam, aż wytrzeźwieje, a potem pogadam z nim jeszcze raz. Pokażę mu parę zdjęć i zobaczę, czy rozpozna na którymś tego gościa.

- To po co przesłuchiwać go teraz? Przecież jest pijany. Błękitne oczy młodszego policjanta błysnęły przekornie.

- Chcę porównać obie wersje. Czasami pod wpływem alkoholu ludzie odślaniają swoje prawdziwe uczucia.

- A czasami plotą bzdury.

- Zrobię to po swojemu. Masz coś przeciwko temu? Bentz spojrzął na Noona przeciągle.



- Daję ci wolną rękę. Tylko powiadom mnie, co z tego wyszło. - Nie miał czasu na ambicjonalne przepychanki. Niech młody popracuje nad tym Tesslerem. Pijak wytrzeźwieje, złoży zeznania i tyle. Noon to wrzód na dupie, ale co z tego?

Wziął broń, marynarkę i kluczyki, poklepał się po kieszeniach, chcąc się upewnić, że ma przy sobie portfel, po czym zbiegł po schodach.

Otworzył drzwi samochodu i kiedy wsiadał, zauważył mustanga Montoi, który właśnie wjeżdżał na parking. Pomachał w jego stronę.

Montoya, wyraźnie w bardzo złym nastroju, podbiegł do cruisera.

- Coś nowego?

- Ojciec Paul jest w Domu Opieki pod wezwaniem Świętej Agnieszki, w Covington.

- Jedziemy. - Montoya usiadł obok Bentza. Niebo zasnuły ciemne chmury, ale w samochodzie było ciepło. Bentz skręcił w AC i włączył się w sznur samochodów. Na drodze był duży ruch, jak zwykle o tej godzinie. Zmierzali na północ, w stronę Metairie i Lake Pontchartrain Causeway. Most o długości trzydziestu ośmiu kilometrów zaczynał się w pobliżu ujścia rzeki, a kończył niedaleko Covington.

- Właśnie wracam ze szpitala - powiedział Montoya, poprawiając się na siedzeniu. - Stan Tiggsa poprawił się z krytycznego na ciężki.

- To dobrze.

- Cóż, może. Nie ma części twarzy i na pewno doszło do uszkodzenia mózgu. Czeka go kilka operacji plastycznych, terapia i Bóg wie, co jeszcze. - Montoya patrzył w okno na niekończącą się taflę wody. Wjeżdżali na most. Nisko nad powierzchnią jeziora latały pelikany, a nieco wyżej, nawołując się hałaśliwie, grupki białych mew. Niebo przybrało ponurą barwę zwiastującą nadejście burzy. - Cholera, człowieku, Tiggs ma żonę i dwumiesięczną córkę. Dwumiesięczną! Jest taka mała, że pewnie jeszcze go nawet nie rozpoznaje. A on już nigdy nie będzie taki sam. Straci pracę. Będzie musiał pójść na rentę inwalidzką. Kto wie, czy jeszcze kiedykolwiek... Kurna! To gówniana robota, mówię ci, gówniana!

Bentz milczał. Pozwolił mu się wygadać. Każdy policjant wcześniej czy później dochodzi po raz pierwszy do punktu, w jakim teraz znajdował się Montoya. To nieodłączna część tej pracy. Ale człowiek nigdy się do tego nie przyzwyczaja. Nigdy. Policyjne radio skrzeczało, w tle słychać było jednostajny szum silnika. Przez chwilę obaj się nie

odzywiali. W końcu Bentz powiedział:

- Tak, czasem to ciężki kawałek chleba.
- Właśnie - zgodził się Montoya. - W lepsze dni.

Po drugiej stronie jeziora przejechali przez Mandeville i pomknęli autostradą numer 190 ku Covington. W mieście minęli zaledwie kilka przecznic i już po chwili znaleźli dom opieki, otoczony pięknym parkiem dwupiętrowy budynek, podzielony na odrębne mieszkania. Na teren ośrodka można było się dostać tylko poprzez wystukanie kodu na specjalnej tabliczce. Gościom pozostawał dzwonek.

Zadzwonili więc, pokazali odznaki kobiecie, która pojawiła się w oszklonych drzwiach, i weszli do przytulnego, pogodnego wnętrza. Kobieta zaprowadziła ich do kierowniczkę, tęgiej Afroamerykanki, Alyce Smith; miała krótko ostrzyżone włosy i nosiła okulary. W jej gabinecie stało ogromne biurko, biblioteczka i mnóstwo szafek. Na specjalnej podpórce leżała otwarta Biblia, a na jednej ze ścian wisiał krzyż. Okna, przysłonięte żaluzjami, wychodziły na niewielki dziedziniec, a cały pokój pachniał jaśminem, dzięki odświeżaczowi powietrza w jednym z gniazdek.

Na prośbę pani Smith kolejny raz pokazali odznaki i wyjaśnili, że chcą spotkać się z ojcem Paulem Swansonem w związku z prowadzoną sprawą.

- Powinniście wiedzieć, że ojciec Paul jest słaby i szybko się męczy. Poza tym cierpi na demencję, więc nie jestem pewna, czy wam pomoże.
- Tak czy inaczej musimy z nim porozmawiać - powtórzył Bentz z uporem.

- Proszę go nie zdenerwować - odparła z uśmiechem, który, choć szeroki, był całkowicie pozbawiony ciepła. Alyce, najwyraźniej kobieta interesu, nacisnęła brzęczyk i po chwili do gabinetu weszła mniej więcej osiemnastoletnia dziewczyna. - Sherry, zaprowadź detektywa Bentza i detektywa Montoyę do pokoju ojca Paula.

Poszli za Sherry długim korytarzem, starając się nie zwracać uwagi na spojrzenia pielęgniarek i pacjentów. Niektórzy siedzieli na wózkach, inni podpierali się laskami albo balkonikami na kółkach. Policjanci weszli do windy, wysiedli na drugim piętrze, skręcili w mały korytarzyk i minęli okno wychodzące na ten sam dziedziniec, który widzieli z gabinetu Alyce Smith.

- Ojciec Paul nie zawsze jest całkowicie przytomny - uprzedziła ich Sherry. - Wszystko zależy od tego, jaki ma dzień.

Montoya tylko machnął ręką.

- I tak musimy z nim porozmawiać.

- Oczywiście.

W pokoju ojca Paula było niewiele mebli: podwójne łóżko, toaletka, fotel. Na szafce stał telewizor. Duży krzyż, dokładnie taki sam jak ten w gabinecie Alyce Smith, wisiał na jednej ze ścian, a na drugiej kalendarz z wizerunkami świętych. Tu także w gniazdku tkwił odświeżacz powietrza, tuszując zapach umierającego ciała.

Lokator, wysoki, bardzo chudy mężczyzna o zapadniętych policzkach, siedział w fotelu, ubrany w kraciastą koszulę, rozpinany sweter, spodnie i pantofle, bez koloratki. Miał zamknięte oczy, półotwarte usta i chrapał cicho, przy wtórce meczu golfowego transmitowanego przez telewizję.

- Ojczy? - powiedziała Sherry głośno. Ksiądz drgnął i otworzył jedno oko.

- Ojczy? Ma ojciec gości.

- Co?

- Gości. Ci panowie są z policji. — Sherry niemal krzyczała, a ojciec Paul sięgnął ręką do swojego aparatu słuchowego.

- Nie znam żadnych policjantów.

- Przyszli zadać ojcu kilka pytań.

- Pytań? - Staruszek zamrugnął i spojrzał na nich przez szkła okularów, które nadawały jego twarzy sowi wygląd. Z trudem podniósł wyżej oparcie fotela i podciągnął się do góry.

- Detektywi Bentz i Montoya - dziewczyna przedstawiła policjantów.

- Musimy z ojcem porozmawiać o Faith Chastain - powiedział Bentz głośno. Ojciec Paul zdawał się nie słyszeć albo nie rozumieć, Bentz dodał więc jeszcze głośniejsze: - Leczyła się w Naszej Pani od Cnót w czasie, gdy był tak ojciec księdzem.

- Faith - powtórzył ojciec Paul tępo. Ale zaraz potem coś zaskoczyło i jego oczy trochę oprzytomniały. - Och, Faith. Tak. Uroczą, ale zagubioną, bardzo... Umarła. Wypadła z okna... chyba. Szkoda.

- Tak.

- Dawno temu, prawda? - Spojrzał na Bentza i zamrugnął, jakby sam nie był tego pewny. Potem otarł kąciki ust wierzchem dłoni.

- Tak.

- To smutne... Faith? Tak... tak...

- Ale Faith urodziła w szpitalu dziecko. Miała cesarskie cięcie.

- I siostra Rebecca, ona też nie żyje - twarz staruszka nagle wykrzywił grymas bólu. - Ktoś ją zabił. Czytałem o tym. Straszne, naprawdę straszne... Szkoda.

- Tak.

- Ale teraz jest już z Bogiem - ciągnął ojciec Paul. Przesunął drżącą ręką po łysej głowie, przyglądając kilka siwych kosmyków.

- Co może nam ojciec powiedzieć o Faith Chastain i dziecku, które urodziła w szpitalu mniej więcej dwadzieścia osiem lat temu? - Bentz doszedł do wniosku, że lepiej nie wspominać imienia Adam ani o tym, że urodził się martwy, i że z badania DNA Eve Renner wynika, iż jest ona córką Faith. Sherry uprzedziła ich, że ojciec Paul chwilami traci kontakt z rzeczywistością, i teraz nie mieli już co do tego żadnych wątpliwości. Bentz chciał jednak sprawdzić, co ojciec Paul jest w stanie sobie przypomnieć bez pomocy.

- Dziecko - szepnął ksiądz i wbił oczy w dywan. Wpatrywał się w niego tak długo, jakby chciał na zawsze zapamiętać jego wzór. W końcu powiedział przytomniej, niż mogli się spodziewać: - Chyba już czas, żeby prawda wyszła na jaw. Zanim komuś stanie się krzywda.

- Albo zanim ktoś zostanie zabity - wtrącił Montoya. - Kto był ojcem? I co się stało z dzieckiem? Na cmentarzu znaleźliśmy trumnę. Ktoś ją wykopał i włożył do środka martwego prosiaka.

Ojciec Paul skrzywił się lekko.

- Więc do tego doszło. - Potarł dłońmi kolana. Zapadł się w sobie, wydawał się teraz mniejszy, jakby się kurczył z poczucia winy. - Faith była zagubiona ale aktywna. Wybierała mężczyzn, których obdarzała swoimi łaskami...

- Była molestowana przez członków personelu szpitala i innych pacjentów - poprawił go Bentz.

- Ona potrzebowała uwagi. - Ojciec Paul spojrział na przelatujące za oknem ptaki.

Bentz i Montoya czekali na ciąg dalszy, ale staruszek długo, długo milczał. Wymienili spojrzenia.

Ksiądz zdawał się zafascynowany ptakiem, który usiadł za oknem. Niebo pociemniało nagle i spadły pierwsze krople deszczu.

- Czyjej uwagi?

Ojciec Paul drgnął, jakby już zapomniał, że nie jest sam.

- Faith Chastain. Czyjej uwagi potrzebowała?

- Ojca Jamesa. On był jej spowiednikiem.

- James McClaren? - spytał Bentz. Nogi się pod nim ugięły. Znał dobrze to nazwisko, ale nie lubił go wspominać. Tym razem jednak nie miał wyboru.

- Och, nie wiem... McCafferty ?

- McClaren.

- Och... ojciec James... Tak.

- Pracował w tej parafii.

Bentz poczuł na sobie wzrok Montoi.

- Tak. Nie... Och, krótko. - Ojciec Paul, wyraźnie zaniepokojony, zmarszczył brwi, usiłując przywołać wspomnienia. - Wydaje mi się, że on i ta kobieta... pacjentka...

- Faith Chastain.

- Tak, tak. Ona. Urodziła dziecko. - Pokręcił głową. - Nie... - Podniósł do góry długi, wykręcony przez artretyzm palec. - Urodziła dwoje dzieci. Byłem tam... Oni sądzili, że chłopiec zmarł.

- Ale nie zmarł?

- Och, nie... - Znów pokręcił głową, zamyślony. Pielęgniarka wyszła z pokoju, a ten lekarz... doktor...

- Renner.

- Tak. Renner. Zgadza się. Doktor Renner zobaczył, że dziecko żyje, a wtedy to drugie... Ta kobieta tak strasznie cierpiała. Nic nie można było zrobić. - Spojrzał na nich błagalnie i opadł na oparcie fotela. - Ja... my... przysięgliśmy, że... zachowamy to w tajemnicy. Modliłem się o to.

- Może nam ojciec o tym opowiedzieć? - spytał Bentz, przysuwając sobie krzesło.

Ojciec Paul pochylił głowę i założył ręce na piersi.

- Tak.

Przerywając często, przechodząc od chwil względnej jasności umysłu do momentów całkowitej, zdawałoby się, utraty pamięci, ojciec Paul wyjawiał im kolejne mroczne sekrety Naszej Pani od Cnót. Trwało to niemal godzinę. Bentz i Montoya siedzieli w milczeniu, chłonąc słowa

starego księdza.

Powiedział, że Faith urodziła dwoje dzieci. Pierwszy przyszedł na świat chłopiec i na początku wszyscy sądzili, że urodził się martwy. Poród przebiegał siłami natury, dziecko miało pępowinę okręconą wokół szyi i było sine, ale...

- Cud nad cudy, za sprawą miłosiernego Boga biedne dziecko zaczęło oddychać.

Ellen Chaney o tym nie wiedziała, bo wcześniej wyszła z pokoju. Potem wystąpiły komplikacje. Ojciec Paul mówił o tym dość niejasno, z jego słów wynikało jednak, że Faith zaczęła mieć skurcze i lekarz zorientował się, że będzie musiał przyjąć kolejny poród. Z niewiadomych przyczyn tym razem wykonano cesarskie cięcie, ale pielęgniarki już nie wezwano. Szpital nie posiadał odpowiedniego wyposażenia do przeprowadzania takich operacji. Ojciec Paul nie był pewny, czy Faith wiedziała, że urodziła bliźnięta, twierdził jedynie, że :nie myślała jasno:, była :zagubiona:, a nawet miała jakieś :urojenia:. Na pewno Faith wiedziała tylko, że wydała na świat martwego chłopca. Była pogrążona w rozpacz, dręczył ją ból i wstyd.

- Spowiadała mi się często i zawsze wtedy płakała, ale nie jestem pewny, czy wiedziała, dlaczego czuła się tak bardzo winna.

Ojciec Paul chyba także już tego nie wiedział. Nie potrafił podać żadnych informacji o ludziach, którzy adoptowali chłopca, powiedział tylko, że dzieci umieszczono w rodzinach :o silnej wierze:. Dziewczynka trafiła w końcu do Rennerów, ale tożsamość przybranych rodziców chłopca pozostała tajemnicą. Ojciec Paul niczego więcej nie mógł sobie przypomnieć, nie wiedział nawet, czy byli ludźmi z tej parafii, choć wspominał, że to doktor Renner załatwił wszystkie papiery, cokolwiek to znaczyło. W ten sam sposób Renner adoptował dziewczynkę, co nie wzbudziło niczyjego zainteresowania.

Zapytany o grób, w którym miał spocząć urodzony przez Faith chłopiec, ksiądz westchnął ciężko.

- Kolejne kłamstwo - mruknął, nerwowo zacierając ręce. - Żeby uchronić ją przed prawdą.

- Uchronić kogo? - spytał Montoya.

Ksiądz otworzył usta, ale zaraz znowu je zamknął. Przez chwilę wydawał się nieobecny duchem, potem jednak wyszeptał:

- Wszystkich.

Zadali mu jeszcze kilka pytań. Bentz wspomniał Ronniego Le Marsa, lecz o nim ojciec Paul nic nie wiedział, chyba nie rozpoznawał nawet tego nazwiska. Staruszek powoli tracił kontakt z rzeczywistością, więc kiedy do jego pokoju zapukała pielęgniarka z lekami, Bentz i Montoya pożegnali się i wyszli.

Zbiegli na dół po schodach i po chwili byli już przed budynkiem. Bentz zastanawiał się, czy syn Faith nadal ma na imię Adam. Jego adopcyjni rodzice mogli je zmienić, by jeszcze bardziej zatrzeć ślady.

Teraz przynajmniej wiedzieli, czego się trzymać. Renner prawdopodobnie sfabrykował część informacji, ale może nie zmienił daty i miejsca narodzin, więc powinny istnieć jeszcze jakieś przydatne dokumenty.

Wsiadli do samochodu i wyjechali z terenu ośrodka.

- Połowa tego, co nam ten stary naopowiadał, może być tylko jego fantazją. Mógł to sobie zmyślić.

- Niewykluczone, ale całkiem sporo zgadzało się z tym, co mówiła Chaney.

- Wierzysz w takie bajki? Ukryte dzieci, sfałszowane dokumenty, nielegalne adopcje? Kim są ci ludzie, którym się wydaje, że wolno im naginać prawo i łamać zasady według uznania, bo jakieś dziecko, przecież istota ludzka, stanowi problem albo jest czymś wstydliwym? Jezu Chryste! I to wszystko w imię religii!

- To nie ma nic wspólnego z Kościołem. Ludzie łamią prawo, bo uważają, że robią to, co trzeba.

- Żeby uniknąć skandalu. Niewiarygodne!

Bentz odwrócił się przez ramię, a potem znowu spojrzał na Montoyę.

- Myślisz, że ojciec Paul jest bezpieczny? Siostra Rebecca była przy narodzinach dzieci. Tak jak Terrence Renner. Oboje zostali zamordowani. A co z Ellen Chaney i ojcem Paulem? Czy im też coś grozi?

Montoya wyjął z kieszeni telefon komórkowy.

- Dam znać FBI i policji z Covington i miasta, w którym teraz mieszka Chaney.

- Zadzwoń też do Zaroster i powiedz jej, żeby zbadała dokumenty. Niech się postara o kopię aktu urodzenia Eve Renner i sprawdzi, czy w tym samym czasie i miejscu urodzili się też jacyś chłopcy o imieniu Adam, choć niekoniecznie. Imię mogło zostać zmienione.

- A ojciec James? Masz zamiar powiedzieć Eve Renner, że jesteś jej wujem? - spytał Montoya.

- Tak, ale najpierw muszę poinformować Kristi, że ma siostrę - odparł Bentz sucho.

- Nie dam rady utrzymać tego w tajemnicy przed Abby, więc daj mi znać co i jak, dobrze?

Bentz kiwnął głową i włączył wycieraczkę.

Dom był czysty, zamki zostały wymienione, a jednak kiedy Eve weszła do środka i zaczęła chodzić po znajomych pomieszczeniach, jej ciało pokryła gęsia skórka. Tu, w miejscu, które tak kochała, gdzie wraz z babcią piekła ciasta i pierniczki, gdzie wspinała się na wieżyczkę, by poczuć się jak na dachu świata.

Spojrzała na Cole'a, ale nic nie powiedziała, tylko postawiła Samsona na podłodze. Kot natychmiast wbiegł na schody, a Eve powoli ruszyła za nim. Odgłos kroków Cole'a za jej plecami dodawał jej otuchy.

Na drugim piętrze wszystko było tak, jak to zapamiętała. Nic się nie zmieniło, lecz gdy pchnęła drzwi do sypialni na wieżyczce i spojrzała na świeżo wysprzątaną, lśniąco czystością pokój, zrobiło jej się słabo. Kupiła nowy materac i narzutę, ale wyobrażenia ciągle podsuwała jej upiorne obrazy zakrwawionego łóżka, zmalretowanej lalki i ciała siostry Vivian na strychu starego szpitala.

Rozległ się dzwonek u drzwi i Eve zdrętwiała.

- Zobaczę, kto to - powiedział Cole i zbiegł po schodach, zanim zdążyła się sprzeciwić. Ruszyła szybko za nim, a kiedy była na pierwszym piętrze, dostrzegła detektywa Bentza. Stał w progu. Cole opierał dłoń na przeszklonych drzwiach, jakby gotów w każdej chwili je zatrasnąć.

Bentz spojrzał w górę, na Eve. W lot zrozumiała, że cokolwiek miał jej do powiedzenia, nie była to dobra wiadomość. Policjant nie owijał niczego w bawełnę.

- Spotkałem się z ojcem Paulem; księdzem w Szpitalu Naszej Pani od Cnót, kiedy przyszła pani na świat. Potwierdził to, czego i tak się domyślałem: niejaki ksiądz James McClaren jest pani biologicznym ojcem i moim przyrodnim bratem. Jest więc pani moją bratanicą.

Eve znieruchomiała.

- Bratanicą? - spytała z niedowierzaniem. Kiwnął głową i Eve zrozumiała, że to nie koniec, a to, co zaraz usłyszy, będzie jeszcze



trudniejsze. - Jest coś jeszcze?

Westchnął.

- To skomplikowana historia. Powiem tylko, że James McClaren jest także biologicznym ojcem mojej córki Kristi.

- Co?

- Moja pierwsza żona miała romans z moim przyrodnim bratem, księdzem.

- Ale dlaczego, do diabła, ten facet został księdzem? - Cole nie krył zdziwienia.

- Dobrze pytanie. Ale już za późno, by mu je zadać. Nie żyje. Eve zaczęło szumieć w uszach.

- Więc jestem spokrewniona z panem i z Kristi przez mojego ojca, a z Abby i Giną przez matkę? - Nie mogła w to uwierzyć. Przez tyle lat była jedyną adoptowaną córką, a teraz nagle w jej życiu pojawiły się trzy siostry i stryj.

- To żart? - spytał Cole, jakby zwęszył jakiś podstęp. - Jakie są właściwie szanse, że Eve jest spokrewniona i z tobą, i z Montoyą?

- Z Montoyą właściwie nie, tylko przez małżeństwo, jeśli on i Abby się pobiorą.

Ciągle stali w holu, przy otwartych drzwiach, przez które do środka wpadał wiatr i deszcz.

- Zamknij drzwi, proszę - powiedziała Eve do Cole'a.

- Ale co to wszystko ma wspólnego z dochodzeniem? - ciągnął Cole.

- To interesująca historia, ale co z tego?

- Przypuszczamy, że Eve ma brata bliźniaka.

- Brata bliźniaka? - powtórzyła Eve, otwierając usta ze zdziwienia.

- Tak. Chłopca o imieniu Adam, który, jak sądzono, urodził się martwy. To jego grób otworzyliśmy na cmentarzu Naszej Pani, nie było tam jednak jego ciała.

- Chwileczkę... nie tak szybko... - przerwała mu, przykładając dłoń do czoła. Od tego wszystkiego zaczęło jej się kręcić w głowie.

- Sporo tych rewelacji - powiedział Bentz przepraszająco. - Nie wiemy jeszcze, w jaki sposób, ale obawiamy się, że jest pani w to zamieszana. Pomyślałem, że chciałaby pani o tym wiedzieć.

- Tak... pewnie. Proszę wejść, detektywie.

Weszli do salonu, rzadko teraz używanego pokoju. Eve wskazała Bentzowi jeden z foteli. Sama usiadła na brzegu kanapy.

Bentz zaczął opowiadać. Eve słuchała, a Cole stanął w drzwiach, założył ręce na piersi i patrzył na Bentza takim wzrokiem, jakby spodziewał się jakiejś pułapki.

Eve słuchała w milczeniu tej zdumiewającej historii, której jej ojciec zdawał się główną postacią. Czy to rzeczywiście możliwe? Czy to możliwe, że jej ojciec i reszta personelu szpitala przed dwudziestoma ośmioma laty ukryli fakt narodzin dwojga dzieci? Spojrzała na Cole'a. Stał ze zmarszczonymi brwiami, oburzony.

- Teraz próbujemy odnaleźć pani brata - zakończył Bentz. - Zobaczmy, co on będzie miał do powiedzenia.

- Więc waszym zdaniem on ma jakiś związek z tymi morderstwami? Jako zabójca czy jako ofiara? - spytał Cole, w którym znowu odezwał się prawnik.

- To pytanie bardzo chciałbym mu zadać.

Zadzwoiła komórka Bentza. Wyjął ją i spojrzał na ekran: Montoya.

- Bentz - powiedział do telefonu.

- Pomyślałem, że chciałbyś to wiedzieć. Ten facet, którego przyprowadził Noon, Tessler, wybrał ze zdjęć fotografię Ronniego Le Marsa.

- Zaraz tam będę.

- To jeszcze nie wszystko, Bentz - przerwał Montoya ponuro.

- Tak?

- Tiggs właśnie zmarł.

## Rozdział 33

Eve czuła, że zaraz oszaleje. Przez trzy ostatnie godziny pracowali z ekspertem od zabezpieczeń z miejscowej firmy. Cole nie był zadowolony z tej, która wymieniła zamki, i nalegał, by Eve zainstalowała w domu system alarmowy. Zaraz po wyjściu Bentza zadzwonili więc do firmy, z której usług Cole korzystał, kiedy musiał sprzedać swój dom.

- Nie wiem nawet, czy będę tu mieszkać - perswadowała mu Eve, ale do Cole'a nic nie docierało

- Nawet jeśli go sprzedasz, gdzie masz zamiar mieszkać tymczasowo? W hotelu? Jak długo?

- Może twój przyjaciel Petrusky znajdzie mi jakieś lokum - mruknęła ironicznie, ale dała za wygraną.

Siedzieli teraz na ganku na tyłach domu i rozmawiali o kosztach instalacji alarmu. Komórka Eve zadzwoniła, kiedy Cole informował przedstawiciela firmy, jaki rodzaj najnowocześniejszych zabezpieczeń widziałby w tym domu, który przetrwał w końcu wiele lat bez promieni laserowych, fotokomórek i kodów dostępu. Słuchając, jakie Cole ma, Eve nabrała przekonania, że wkrótce ten stary wiktoriański budynek będzie bezpieczniejszy od Białego Domu.

- Moim zdaniem to lekka przesada - powiedziała do Samsona trzy godziny wcześniej, kiedy się to wszystko zaczęło.

- Zaraz wracam - rzuciła teraz i wbiegła do domu, ale telefon przestał dzwonić, zanim zdążyła go odebrać.

Sprawdziła połączenia przychodzące i zobaczyła, że ostatnia dzwoniła Anna Maria. Oddzwoniła, lecz odezwała się poczta głosowa Anny. Potem odsłuchiwała wiadomość zostawioną przez Annę Marię, która, idąc za jej radą, przyjechała do Nowego Orleanu i chciała się spotkać. Zaproponowała bar w centrum miasta i powiedziała, że będzie tam za piętnaście minut. Eve ponownie wystukała numer bratowej, ale Anna Maria nadal nie odbierała.

Czasami te nowoczesne technologie tylko człowieka frustrują.

Eve wróciła na ganek, gdzie Cole i spec od alarmów ciągle jeszcze omawiali nowy system, przeglądając katalog z różnymi modelami.

- To Anna Maria. Chce, żebym spotkała się z nią w Gallagher's.

- Daj mi pół godziny, pojedę z tobą - powiedział Cole. - Skończymy chyba do tego czasu, prawda?

Technik kiwnął głową.

- Jasne, na pewno.

- Hm, może pojedę tam sama, a ty do mnie dołączysz? Zobaczą, jak ona się czuje i tak dalej, wiesz, a jeśli wszystko będzie w porządku, zadzwonię i dam ci zielone światło.

Cole się zawahał.

- Wolałbym, żebyś nie jechała tam sama.

- Na Boga, Gallagher's jest w centrum.

- Chwileczkę - powiedział Cole do przedstawiciela firmy, po czym pociągnął Eve za sobą do kuchni.

- Nie ma sprawy - mruknął technik, przerzucając katalog.

- To nie jest dobry pomysł. - Cole zamknął za sobą drzwi.

- No tak, ale muszę się z nią spotkać. Ona potrzebuje przyjaznej duszy, mój brat zachowuje się jak ostatni dupek. Przyjechała do Nowego Orleanu tylko dlatego, że ją o to poprosiłam.

- Zaczeka kilka minut.

- Ona może nie chcieć, żebyś tam był. Nie należysz do jej ulubieńców, a poza tym na pewno chce pogadać z kobietą. Zadzwonię do ciebie, jak tylko tam dotrę, a potem jeszcze raz, kiedy się upewnię, że możesz przyjechać.

Cole pokręcił głową.

- Słuchaj, nie możesz trzymać mnie na smyczy, bez względu na przyczynę. Rozumiem, że się o mnie martwisz. Naprawdę. I nie, nie zapomniałam, co wydarzyło się w tym domu na górze. Pamiętam też, że obłąkany morderca jest ciągle na wolności. Ale nie mogę żyć pod kloszem.

- Proszę tylko, żebyś była rozsądna. Eve westchnęła ciężko.

- Więc może zrobimy tak... ale chcę, żebyś wiedział, że wcale mnie to rozwiązanie nie zachwyca... Pojedziesz tam ze mną, by mieć pewność, że bezpiecznie dotarłam na miejsce, a potem znikniesz stamtąd, zanim dojrzy cię Anna. - Eve przewróciła oczami. - Boże, ale to zabrzmiało... jakbym była jakąś żalostną małą kobietką, która nie radzi sobie z własnym życiem.

- To po prostu ostrożność.

- Jasne. Pozwalam, żeby jakiś świr dyktował mi, jak mam żyć.

- Nie świr, Eve, tylko seryjny morderca. Psychopata sadysta, który ma obsesję na twoim punkcie.

Znów westchnęła ciężko i spojrzała mu w oczy.

- Przykro mi, Cole, ale nie mogę tak żyć. Mam wiele rzeczy do zrobienia. Zaraz po spotkaniu z Anną Marią zamierzam zadzwonić do Abby Chastain i umówić się z nią, żeby porozmawiać o tym, że jesteśmy siostrami, no i w ogóle o wszystkim. Potem chcę się spotkać z Kristi Bentz. A ty zajmij się tym systemem alarmowym, dobrze? Ja będę zajęta przez cały dzień.

Cole nie mógł uwierzyć, że ona tak lekceważy zagrożenie.

- To nie są żarty, Eve

- Wiem, ale wydaje mi się, że kilku policjantów ma mnie na oku. Powiedziałam wprawdzie Bentzowi i Montoi, że nie potrzebuję dodatkowej ochrony, ale chyba mnie nie posłuchali.

- Naprawdę? Cóż, jestem pewny, że mogliby zrobić wiele za twoimi plecami, dlaczego jednak sądzisz, że masz osobistych ochroniarzy?

Eve wzięła go za rękę, zaprowadziła na górę i weszła do sypialni, nie zwracając uwagi na nieprzyjemne wrażenie, które pojawiała się ilekroć przekraczała próg tego pokoju. Potem stanęła z Cole'em przy oknie wychodzącym na sąsiednią ulicę.

- Widzisz tego czerwonego pontiaca? Cole kiwnął głową.

- Stoi tam od kilku godzin. Siedzę w nim dwie osoby. Przedtem stał tam granatowy blazer, kilka metrów dalej. Wtedy, kiedy był tu Bentz.

- Skąd wiesz, że to policja?

- Nie wiem, ale założyłabym się o pięćdziesiąt dolarów. Jak już wyjdę, patrz, czy pojedą za mną.

- To może być morderca.

- Nie... nie w towarzystwie. - Eve odwróciła się i pocałowała go w policzek. - Spójrz prawdzie w oczy, gliny śledzą każdy nasz krok. Więc załatw system alarmowy, a ja będę się z tobą kontaktować przez komórkę.

Cole zacisnął zęby. Chciał się sprzeciwić, ale wiedział, że ona i tak go nie posłucha. Dzisiaj czuła się silniejsza, gotowa zmierzyć się ze światem. W sypialni ciągle robiło jej się nieswojo, zaczynała jednak przypuszczać, że z czasem to także może się zmienić.

Może.

Zdjęła temblak i rzuciła go na łóżko. Ramię przestało ją boleć i miała dość tego kawałka materiału, który ograniczał jej ruchy. Poruszyła ostrożnie ręką i stwierdziła, że wszystko niemal wróciło do normy. Kiedy wkładała czyste dżinsy i czerwony bawełniany sweter, Cole stał z rękami skrzyżowanymi na piersi i przyglądał jej się z dezaprobatą.

- Zadzwoń, obiecuję - powiedziała, jeszcze raz go pocałowała i, zanim zdążył zaprotestować, zbiegła po schodach.

Przez zalaną deszczem szybę samochodu widziała Cole'a w oknie wieżyczki. Patrzył na ulicę. W czerwonym pontiacu dwaj mężczyźni się poruszyli. Eve wyjechała zza rogu, minęła ich i po chwili zobaczyła we wstecznym lusterku, jak pontiac zjeżdża z krawężnika i szybko zawraca.

Biedna Anna Maria.

Nie miała pojęcia, że Eve przybędzie na spotkanie z całą świtą.

Anna Maria nie mogła się ruszyć. Nie wiedziała, jakiego środka użył napastnik, by ją unieruchomić, było to jednak coś bardzo skutecznego, bo nogi miała jak z waty. Śmiertelnie przerażona, leżała z tyłu furgonetki, usiłując nie stracić głowy i wymyślić jakiś sposób ucieczki.

Napastnik przytknął jej nóż do oka i kazał zadzwonić do Eve. Teraz, w jego samochodzie, słuchała deszczu padającego na brezentowy dach i zastanawiała się, czy jeszcze kiedykolwiek zobaczy Kyle'a. Tego drania. O, Boże, tak bardzo pragnęła, by przybył ją ocalić... on albo ktokolwiek inny. A teraz jeszcze wciągnęła w to szaleństwo Eve.

Nie widziała jego twarzy. Miał na niej coś w rodzaju maski z neoprenu. Był potężny i silny, zaatakował ją w sypialni, zakneblował i wrzucił do furgonetki, którą jechała już kilka godzin, obolała, z pełnym pęcherzem.

Musiał domyślić się, że chce jej się siusiać, bo zatrzymał samochód gdzieś w lesie, zdjął jej majtki i patrzył, jak oddawała mocz. Początkowo była tak przerażona, że sądziła, iż nic z tego nie będzie, ale w końcu natura zwyciężyła.

Potem wepchnął ją z powrotem do furgonetki, na poplamiony materac, z rękami znowu związanymi na plecach, zdążyła jednak dojrzeć numer rejestracyjny na zderzaku furgonetki. Wyryła go w pamięci, na wypadek gdyby jakoś udało jej się zdobyć przewagę i uciec.

Ruszyli w dalszą drogę. Anna Maria uważnie słuchała szumu opon na

mokrym asfalcie, miarowego warkotu silnika i głosu kierowcy, który mówił coś do siebie jednostajnie, jakby się modlił albo powtarzał jakąś mantrę, tak cicho, że nie potrafiła rozróżnić słów.

Zorientowała się, że przyspieszył, kiedy wjechali na autostradę. Próbowwała przypomnieć sobie, jak można zwrócić na siebie uwagę na drodze, jak porozumieć się z ludźmi w innych samochodach, jak dać im znać, że została porwana.

Przez szaleńca.

Ale była związana, nie mogła się ruszyć ani nic zrobić.

W głębi duszy wiedziała, że psychopata, który ją porwał, to ten sam szaleniec, który zabił jej teścia, Royała Kajaka i zakonnice. Dobry Boże, co teraz?

Czuła się taka słaba.

Przez kilka kolejnych godzin to płakała, to się modliła. Potem furgonetka zwolniła i zmieniły się dźwięki dobiegające z zewnątrz. Anna wiedziała, że przywiózł ją do dużego miasta, prawdopodobnie do Nowego Orleanu. Samochód parę razy zatrzymywał się na światłach. W końcu zaparkował. Jej serce waliło jak młotem.

Co się dzieje?

Czy on ma zamiar ją zabić?

Och, dobry Boże, nie !

Zaschło jej w ustach, żołądek podszedł do gardła. Porywacz wysiadł i wskoczył na pakę. Było tak ciemno... tak strasznie ciemno. Dotknął jej, drgnęła i odsunęła się odruchowo. Poczowała na policzku coś zimnego i twardego jak stal - lufę rewolweru. Przycisnął ją do jej twarzy i powiedział, co ma robić. Zagroził, że ją zabije, jeśli nie posłucha. Zbyt przerażona, by się przeciwstawić, zadzwoniła do Eve.

I w ten sposób zwabiła swoją najlepszą przyjaciółkę w pułapkę.

Była pewna, że zaraz ją zabije, on jednak opuścił rewolwer i powiedział :Grzeczna dziewczynka:, uprzejmym, kojącym głosem. Później wysliznął się z paki i zamknął ją od zewnątrz. Anna Maria zaczęła szarpać krępującym ją sznurem, próbowała walić w coś, by zwrócić uwagę na samochód, ale materac tłumiał wszystkie dźwięki, a knebel - jej krzyki.

Boże, wybac mi, modliła się, usiłując powstrzymać napływające do oczu łzy. Starła się skupić, bardzo starła. Na pewno jest jakiś sposób.

Musi ocalić Eve.

I siebie.

O Boże, pomóż mi, proszę. Proszę! A więc nie kłamał.

Kristi stała na cmentarzu i patrzyła w rozkopany grób, w którym kiedyś leżała trumna. Tak, jak mówił jej informator. Zajrzała do grobu, a potem wyjęła z plecaka aparat cyfrowy. Niebo zasnuły ciemne chmury, zanosilo się na deszcz, ale było dość światła, by zrobić parę zdjęć do książki. Wyobrazila sobie rozdział z fotografiami z miejsca zbrodni.

I natychmiast przyszło jej do głowy, że powinna zrobić też parę zdjęć szpitala, póki jeszcze istnieje. Oczywiście był już wcześniej wielokrotnie fotografowany, Kristi pomyślała jednak, że przydałyby jej się zdjęcia sypialni Faith Chastain i schodów wiodących na strych, gdzie znaleziono ciało siostry Vivian Harmon. Wiedziała, że to może być trudne, bo w klasztorze ciągle mieszkaly zakonnice, a dookoła kręcili się ludzie, którzy tam pracowali. Kristi była pewna, że nie pozwolą jej do niego wejść bez ważnego powodu.

Dlatego właśnie tak bardzo jej zależało, żeby ojciec użył swoich wpływów i pomógł jej otworzyć parę drzwi.

Odwróciła się w stronę widocznego za drzewami klasztoru i doszła do wniosku, że to ślepa uliczka. Ale szpital, jeśli tylko uda jej się sforsować ogrodzenie, nie powinien stanowić problemu.

Podniosła głowę i spojrzała w ołowiane niebo. Spadły pierwsze krople deszczu. Zrobiło się tak ciemno jak o zmierzchu, wiedziała więc, że musi się śpieszyć. Była przygotowana, miała przy sobie, poza aparatem fotograficznym, także kilka narzędzi, porządną latarkę i oczywiście spray z pieprzem.

Zerwał się wiatr, poruszał gałęziami drzew i trawą między nagrobkami. Wiele z nich kruszyło się już albo chyliło ku ziemi, tylko kilka rodzinnych grobowców ciągle znacznie wystawało ponad poziom gruntu. Wyglądało to dość przerażająco, ale panowała nad nerwami, strach tylko by jej przeszkadzał. Zrobiła jeszcze parę zdjęć grobu, po czym wsiadła do samochodu i pojechała w stronę klasztoru, by poszukać drogi na skróty, o której mówił jej ojciec, kiedy grasował tu inny morderca. Droga ta miała prowadzić do garaży i warsztatów przyklasztornych oraz ścieżki w zaroślach wiodącej do bramy w szpitalnym murze. Ze skrótu tego korzystały zakonnice, ogrodnicy i inni pracownicy klasztoru.



Tak w każdym razie słyszała Kristi.

Nadszedł czas przekonać się, czy to prawda.

Wysiadła z samochodu.

Deszcz przybrał na sile, naciągnęła więc na głowę kaptur i w końcu dotarła do garaży. Stał przed nimi kontener na śmieci i jakaś furgonetka. Przy ogrodzeniu rósł żywopłot, ruszyła wzdłuż niego i po chwili natknęła się na kamienny słup i zarośniętą ścieżkę, między wysokimi krzewami żywopłotu. Weszła na nią, czując na plecach wilgotne od deszczu gałęzie.

Po drugiej stronie była zardzewiała, otwarta furtka. Po chwili Kristi znalazła się na terenie szpitala. Przez korony drzew, właściwie jeszcze bezlistne, widziała ciemny dach głównego budynku.

Nagle poczuła się dziwnie nieswojo, wzięła się jednak w garść, wzięła aparat i zaczęła robić zdjęcia. Nie mogła przecież pozwolić, by jakieś irracjonalne lęki przeszkodziły jej w pracy. Teraz lało już jak z cebra, wcisnęła więc głowę w ramiona i ruszyła dróżką przez sosnowy zagajnik.

Serce biło jej bardzo szybko, miała wrażenie, że wkroczyła w jakiś inny świat i podąża ciemną, zakazaną ścieżką, która wprowadzi ją w pełną bólu i tajemnic przeszłość. Bliżej szpitala pstryknęła jeszcze parę zdjęć i pomyślała o ludziach, którzy tu kiedyś mieszkali. Często zostali błędnie zdiagnozowani, źle ich traktowano albo wręcz więziono w tych grubych murach.

Zadzwoiła komórka i Kristi drgnęła, przestraszona. Na ekranie zobaczyła, że dzwoni ojciec, i postanowiła nie odbierać. Jeśli spyta ją, co robiła, będzie musiała skłamać, co zawsze wydawało się lepszym rozwiązaniem, albo powiedzieć prawdę i przygotować się na awanturę i próby zniechęcenia jej do pisania tej książki.

Nie miała ochoty tego słuchać.

W końcu, do cholery, jest dorosła.

Przełączyła komórkę na wibracje. Zadzwoi do ojca w odpowiednim czasie. Odsłuchiwała wcześniej wiadomości od niego - proponował jej wspólną kolację, ale nie była zainteresowana; a w każdym razie nie na tyle, żeby zmienić swoje plany.

A jeśli on wreszcie postanowił ci pomóc? Jeśli chce z tobą porozmawiać o swojej pracy?

Cóż, to może poczekać.

Przynajmniej tych kilka godzin.

Szła więc dalej, przez kałuże pełne ubiegłorocznych liści, których nikt tu najwyraźniej nie grabił.

Dopiero kiedy zbliżyła się do szpitala, zobaczyła, w jak opłakanym jest stanie. Krusząca się zaprawa, splekane cegły, wybite okna, a wszystko oplecione gęstą siecią bujnie krzewiących się chwastów i dzikiego bluszczu. Budynek, niegdyś okazały i zadbane, teraz był obrazem nędzy i rozpacz. Kristi po raz trzeci wyjęła aparat i wycelowała obiektyw w stronę wystających ze ścian kamiennych maskaronów. Cóż za niesamowite, upiorne miejsce !

Wspaniale!

A zdjęcia wychodziły lepiej, niż się spodziewała. Do zmierzchu zostało jeszcze kilka godzin, choć z powodu gęstych, nisko wiszących chmur dzień był wyjątkowo ciemny. Musiała się spieszyć.

Jak można się włamać do tej fortecy?

Zauważyła, że okna przy tylnych drzwiach zabito deskami, i pomyślała, że tylko traci tu czas; weszła jednak na schodki prowadzące do drzwi dla dostawców, chwyciła gałkę i przekreśliła.

Drzwi otworzyły się z lekkim skrzyknięciem.

Kristi się zawahała.

Te otwarte drzwi wydały jej się podejrzane.

Ale może to zakonnice zostawiły je otwarte, a może kiedy zamykano szpital po serii krwawych morderstw, do których tu doszło, ktoś zapomniał o tych drzwiach. Nieważne. Dla niej był to dar niebios.

Weszła do środka.

Z powodu deszczu Eve zaparkowała jak najbliżej Gallagher's, a potem pobiegła do drzwi. Weszła do baru, gdzie liczni goście korzystali właśnie z uroków tak zwanej szczęśliwej godziny w przytulnym, mrocznym wnętrzu. Pod sufitem unosiły się kłęby błękitnego dymu, a muzyka jazzowego zespołu, mimo wzmacniaczy i mikrofonów, ginęła w gwarze rozmów i głośnego śmiechu. Na parkiecie tłoczyli się tancerze, kelnerki roznosiły drinki i sprzątały ze stolików. Nie było to najlepsze miejsce na spokojną rozmowę, ale może Anna Maria potrzebowała teraz ludzi i atmosfery bez troski.

Eve podeszła do jednej z hostess.

- Szukam kobiety o imieniu Anna - musiała krzyknąć. — Jestem Eve.

- Co?

- Nieważne... Sama ją znajdę.

Eve szła między stolikami, rozglądając się po zadymionym wnętrzu, ale nigdzie nie widziała Anny. W końcu jednak zauważyła stolik, na którym stała szklanka i popielniczka z niedopałkiem papierosa, a na krześle obok wisiał mokry płaszcz i szalik. Wydały się Eve znajome. Tak, to rzeczy Anny, leżała tam też jej torebka. Co ona sobie wyobraża? Przecież ktoś mógł ją okraść. Eve spojrzała na parkiet, ale tam również Anny nie zobaczyła, stwierdziła więc, że bratowa może być tylko w toalecie na końcu krótkiego korytarzyka.

Chwyciła torebkę Anny i ruszyła w stronę toalet, ale przy drzwiach wpadła na wielkiego mężczyznę. Upuściła torebkę, a jej zawartość wysypała się na podłogę.

- Przepraszam - powiedział, kiedy schyliła się, by wszystko pozbiierać, i też się schylił. Pomogę pani.

- Nie, dziękuję, poradzę so...

Zakrył jej usta dłonią tak szybko, że nie zdążyła krzyknąć, a jej nos i usta wypełniło coś słodkiego o mdlącym zapachu. Chciała walczyć, bronić się. Za późno. Ręce i nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Bez wysiłku wywlókł ją korytarzykiem obok toalety dla dozorczy na ciemną uliczkę na tyłach lokalu.

Wiatr zaczął gęstym, lodowatym deszczem.

Eve próbowała się opierać, ale ledwo trzymała się na nogach, a jej umysł zaczęła spowijać mgła. Zamrugła, lecz świat wokół wirował i potknęła się, jakby za dużo wypła. Wiedziała, że nikt się nie zatrzyma, by jej pomóc. Nikt się nie zorientuje, że coś jest nie w porządku. Wyglądała jak pijana kobieta, prowadzona do samochodu przez troskliwego męża.

Nie! Chciała krzyczeć, ale z jej ust wydobywał się tylko niezrozumiały bełkot.

I wtedy ją zobaczyła.

Ciemną furgonetkę, tę samą, która jechała za nią z Atlanty. Usiłowała opanować mdłości wywołane eterem bez skutku. Straciła przytomność.

## Rozdział 34

Numery pokoi zostały ułożone. Bentz przez niemal cały dzień szukał przyjaciół i krewnych Ronniego Le Marsa, rysował plany pięter szpitala, nakładając je na siebie i zaznaczając pokoje. Później zajął się ofiarami. Vivian Harmon, zanim wstąpiła do klasztoru, była pacjentką Szpitala Naszej Pani od Cnót. Zajmowała pokój numer 323 i ten sam numer został wytatuowany na jej czole. Znaleziono ją na strychu, w kącie, w którym bawiła się Eve Renner, kiedy była dzieckiem. Znajdował się dokładnie nad pokojem 344, a więc w skrzywionym umyśle zabójcy miejsce to mogło stać się pokojem o numerze 444. Roy Kajak, podczas swojego pobytu w szpitalu, mieszkał w pokoju 212. Znał Ronniego Le Marsa, podobnie jak Vivian Harmon.

Po wielu godzinach spędzonych przy biurku bolały go ramiona. Pokręcił szyją, usłyszał kilka niepokojących chrupnięć i uznał, że czas zakończyć pracę. Chciał spotkać się z Kristi i powiedzieć jej, że Eve Renner jest jej przyrodnią siostrą, ale nie cieszył się na myśl o tej rozmowie. Potrzebował raczej czegoś, co pomogłoby mu zacieśnić więź z córką, a nie kolejnego problemu, który może ich poróżnić.

- Będzie, co ma być - powiedział, wyciągając ręce nad głowę.

- Hej! - krzyknął Montoya, wpadając do pokoju. - Chyba mamy sukinsyna! - Jego ciemne oczy błyszczały, nie mógł powstrzymać uśmiechu. - Namierzyliśmy Le Marsa.

Bentz natychmiast sięgnął po kaburę.

- Gdzie? Jak?

- Ktoś anonimowo zadzwonił z automatu telefonicznego w mieście. Twierdzi, że zna Ronniego. Słyszał, jak się przechwala. Podobno mieszka w rybackiej chacie jakieś trzydzieści kilometrów od miasta. Rozumiesz? Piętnaście minut drogi do Naszej Pani od Cnót. Chata należy do niejakiego Lestera Gabela, który nie żyje. Tak się składa, że jego syn Raymond siedział w jednej celi z Ronniem. Posłaliśmy tam już oficera, żeby to sprawdził, będzie tam też FBI, ale chętnie zobaczę minę tego gościa, kiedy go przyskrzynimy.

- Myślisz, że to prawdziwa informacja?

- Nic innego nie mamy.

- Więc chodźmy.

Zbiegli po schodach. Po raz pierwszy od dawna Bentz nie

zaprotestował, kiedy Montoya usiadł za kierownicą.

Jechali już samochodem z błyskającym światłem na dachu, kiedy przez radio otrzymali wiadomość, że jedna jednostka policji stanowej będzie zabezpieczać drogę do chaty, a za dwie minuty pojawi się druga, by zapewnić wsparcie. Nikomu nie wolno wejść do chaty, dopóki nie nadejdzie rozkaz z góry.

Montoya pędził autostradą na złamanie karku, nie odrywając oczu od drogi. Włączony kogut i syrena sprawiały, że inne samochody zjeżdżały na bok.

- Czy to rzeczywiście może być takie proste? - spytał Bentz. - Anonimowy informator pojawiła się ni stąd, ni zowąd?

- Niezupełnie ni stąd, ni zowąd. Narobiliśmy trochę szumu wokół tej sprawy, gadaliśmy ze wszystkimi, którzy znali ofiary albo Le Marsa. W końcu ktoś postanowił go wydać.

- Obyś miał rację - mruknął Bentz sceptycznie, ale sceptycyzm po prostu leżał w jego naturze. Nie wierzył w zbiegi okoliczności, przypadki ani łut szczęścia. Zaliczał je do tej samej kategorii, w której mieścił się Święty Mikołaj i dobre wróżki.

Niebo pociemniało, jakby zapadał zmrok, a delikatna mżawka przeszła w ulewny deszcz. Gnane wiatrem strugi wody chłostały wściekle samochód, ale Montoya nie zdjął nogi z gazu. Koła cruisera bryzgały błotem z kałuż w szyby mijanych pojazdów. Bentz połknął tabletkę na nadkwa-sotę i po raz kolejny wystukał numer Kristi. Przez cały dzień usiłował się z nią skontaktować. Chciał zabrać ją na kolację i porozmawiać, teraz jednak musiał z tego zrezygnować. Zostawił jej kolejną wiadomość z informacją, że prawdopodobnie nastąpi zmiana planów, i wyłączył telefon, starając się nie myśleć o tym, ile razy odwoływał spotkania albo przekładał terminy z powodu pracy.

Cóż, do diabła, ta sprawa była naprawdę ważna.

Pierwsza jednostka dotarła na miejsce, druga będzie tam za kilka minut.

- To jest to - powiedział Montoya, marszcząc brwi i zaciskając palce na kierownicy. - Czuję to w kościach. Dorwiemy drania!

Bentz miał nadzieję, że jego partner się nie myli.

Kiedy ochroniarz odjeżdżał, Cole spojrział na zegarek. Eve nie było już od półtorej godziny. I co z tego?

Powiedziała, że zadzwoni.

Cole poszedł do frontowego pokoju, wyrzwał przez okno, po czym wrócił do kuchni. Eve i jej bratowa pewnie się zagadały. Normalka. Mimo to wystukał jej numer. Nie odebrała.

Może powinien tam pojechać?

Telefon, który trzymał w ręce, nagle zadzwonił i w pierwszej chwili Cole'a zalała fala ulgi, zaraz jednak spojrzął na ekran i zobaczył numer swojego adwokata.

- Halo?

- Cześć, mam dobre wieści.

- Świetnie. Właśnie tego jestem spragniony.

- Prokuratura wycofała oskarżenie w sprawie marihuany.

- Spodziewałem się tego. Ktoś chciał mnie zrobić. Jasne jak słońce.

- Do wszystkiego dojdziemy małymi kroczkami, przyjacielu. Małymi kroczkami. Pracuję nad resztą zarzutów, jest szansa, że zostaniesz całkowicie oczyszczony. Twoi partnerzy zajęli się tym pro bono.

Cole miał na końcu języka ironiczną uwagę, że to bardzo wspaniałomyślnie z ich strony, ale zdołał się powstrzymać. Firma nie wsparła go podczas zamieszania po zabójstwie Kajaka, teraz jednak chciała to naprawić, a on nie powinien zaglądać w zęby darowanemu koniowi. Skoro partnerzy z O'Black, Sullivan i Kravitz zamierzają coś dla niego zrobić, pozwoli im na to. Na razie.

- Świetnie.

- Świetnie? Do diabła, Cole, nadstawiałem dla ciebie karku. A ty masz mi tylko tyle do powiedzenia?

- Jeśli czytałeś ostatnio jakieś gazety, to wiesz, że mam w tej chwili poważniejsze problemy.

- Mówiłem ci, żebyś trzymał się z dala od Eve. I co to za bzdura z jej braćmi? Wysłałeś ich do firmy, żeby poznali ostatnią wolę tatusia?

- Tak, a co? Firma nie ma testamentu?

- Ma, i panowie dowiedzieli się wszystkiego, co ich interesowało, choć nie byli tym zachwyceni.

- Czyżby tatuś nic im nie zapisał?

- Można tak powiedzieć, ale nie usłyszałeś tego ode mnie.

Cole potrafił sobie wyobrazić, jak musiało to rozwścieczyć braci Eve. Rzucił okiem na zegar i poczuł, że dłużej nie wytrzyma tego niepokoju. Krótko porozmawiał z Deddsem, potem rozłączył się i jeszcze raz

zadzwoił do Eve, a kiedy nie odebrała, postanowił już dłużej nie czekać. Chwycił kluczyki, wyszedł z domu i stawiając kołnierz kurtki, pobiegł do dżipa.

Nie może beczynninie siedzieć w domu.

Musi się upewnić, że Eve nie stało się nic złego. A jeśli ją to irytuje, cóż, trudno.

Eve na przemian traciła przytomność i ją odzyskiwała. Oczy same jej się zamykały. Wszystko to, co się wydarzyło, wydawało jej się snem. Pamiętała, że została zaprowadzona do ciemnej furgonetki i nie była tam sama. Anna Maria. To ona tam była. A może nie? Jechali przez jakiś czas, a potem ten wielki mężczyzna zatrzymał samochód i zmusił ją sobie wypicia czegoś, po czym znowu straciła przytomność...

Czy tak?

Nie była pewna.

I gdzie jest teraz?

Na łóżku?

Gdzie jest jej ubranie?... Co się dzieje?

Na oczach miała opaskę, przesunęła się jednak trochę do góry, więc Eve mogła coś spod niej zobaczyć. Czymkolwiek było to miejsce, panował w nim mrok, rozpraszały go tylko słabe świecące punkty... świece... Tak, świece... I ktoś płakał. Nie... śpiewał. Nie... modlił się... Próbowała się skupić, by usłyszeć ciche słowa modlitwy różańcowej - tak, to był różaniec - lecz cały czas słyszała ten płacz. Tak, ktoś płakał. Ale kto? Dlaczego? Gdzie? A może to jej się tylko śniło?

Cole...

Potrzebuje Cole'a. Ale...

Zobaczyła go pod dolnym brzegiem opaski. Potężnego, muskularnego mężczyznę. Był nagi, a jego skóra lśniła w świetle świec. Nie widziała jego twarzy, lecz całe ciało miał pokryte bliznami, różnymi bliznami... Nie, nie bliznami... tatuażami. Niektóre zdążyły się już zagoić, wiele było bardzo świeżych... Cyfry i imiona... Jej imię, wypisane dużymi literami. :EVE:.

Wiedziała, że powinna być przerażona.

Czuła, że znalazła się w bardzo trudnej sytuacji. Boże! Płakała tu jakaś inna kobieta !

Chciała się skoncentrować, ale znów zaczęła tracić przytomność... i

wtedy dostrzegła w lustrze odbicie jego twarzy, twarzy, którą, jak jej się wydawało, już kiedyś widziała. Te oczy. O Boże, były takie same jak wiele lat temu, kiedy patrzyły na nią z żądzą, dziką i pełną nienawiści. Przeraziła się, ale nawet tak głębokie, pierwotne uczucie nie zdołało wyrwać jej z otępienia wywołanego narkotykiem. Nie potrafiła zapanować nad opadającymi powiekami, nie mogła myśleć.

Usłyszała, jak gdzieś daleko otwierają się drzwi, i znowu ogarnął ją mrok. Głos umilkł nagle. Stłumione łkanie przeszło w długi, pełen bólu krzyk...

A potem zapadła w czarny jak noc sen.

W szpitalu robiło się coraz ciemniej. Kristi spędziła mnóstwo czasu na pierwszym piętrze - robiła zdjęcia, chodziła po korytarzach i próbowała sobie wyobrazić, jak to miejsce wyglądało dwadzieścia lat temu, kiedy pełno było tu pacjentów, lekarzy w białych kitlach i wszechobecnych zakonnic.

Wiedziała, że powinna już wracać, postanowiła jednak pójść jeszcze przynajmniej na piętro, na którym mieszkała i umarła Faith Chastain. Schody skrzypiały pod jej stopami, gdy biegła na górę. Madonna z witrażu na podeście spojrzała na nią ponuro; w półcieniu jej anielska twarz wydawała się dziwnie wroga. Witraż zachował się nieuszkodzony, nie brakowało ani jednego kawałka kolorowego szkła. Kristi pstryknęła kilka zdjęć i ruszyła do pokoju 307.

Drzwi otworzyły się cicho, zobaczyła wielką ciemną plamę na środku podłogi. Wyciągnęła aparat i zaczęła robić zdjęcia. Nie wszystkie wykorzysta, oczywiście, ale zawsze lepiej mieć z czego wybierać, a nie wiedziała, kiedy będzie mogła tu wrócić. To była jej szansa.

Komórka zaczęła wibrować, postanowiła jednak nie zwracać na to uwagi. Poszła dalej korytarzem - musi odszukać schody na strych, gdzie znaleziono ciało zakonnicy. Starła się nie dopuszczać do siebie ponurych wizji, pewną ręką wodziła światłem latarki po brudnej podłodze. W końcu dotarła do starej bieliźniarki. Drzwi były lekko uchylone.

W środku, za półkami, znalazła drugie drzwi. Otworzyła je i skierowała snop światła w górę, na kręte schodki wokół komina. Ciągłe jeszcze widniały na nich ślady policjantów i ekipy technicznej.

Bała się, bardzo się bała, ale powiedziała sobie, że teraz albo nigdy, i zaczęła wchodzić po stopniach. Wspięła się na strych, oświetliła



wnętrze latarką, i dostrzegła krew. Dużą ciemną plamę i mniejsze krople.

Zamarła.

Było tam coś jeszcze... Znaki na podłodze, prawdopodobnie zrobione przez śledczych. Mnóstwo znaków. Kółka wokół czegoś, co wyglądało jak otwory w podłodze. Kristi pochyliła się nad jednym z nich - i zobaczyła pokój.

Jakie to dziwne.

Jakie interesujące!

Musi to zapamiętać.

Zajrzała w inny otwór i uświadomiła sobie, że patrzy na pokój 307. Pokój Faith Chastain. Zadrżała z podniecenia. Było już zbyt ciemno, by mogła robić zdjęcia, w pokojach pod podłogą prawie nic nie widziała. Musi wrócić tu za dnia.

Jutro rano.

Oby tylko przestało padać.

Ruszyła w stronę schodów, kiedy usłyszała jakiś dźwięk. Cichy, wyraźny dźwięk klucza przekręcanego w zamku. Żołądek podjechał jej do gardła. Kto mógł teraz przyjść do szpitala?

Opanowała strach i postanowiła, że nie będzie wyciągać pochopnych wniosków. Może to jedna z zakonnice. Ogrodnik lub ktoś inny zatrudniony przy klasztorze także może mieć klucz.

Albo zabójca... Na litość boską, przecież był tu już wcześniej!

Nie, nie... nie myśl tak. Nie daj się ponieść wyobraźni. Pewnie w ogóle nic nie słyszałaś. Zgrzyt klucza w zamku? Czy mogłabyś usłyszeć to tak wyraźnie tu, na górze? Niemożliwe. W budynku jest zupełnie cicho, a tobie chyba strach zmaćcił rozum.

Kilka pięter niżej skrzyknęły drzwi.

Kristi zmartwiała.

Przez chwilę stała bez ruchu, nasłuchując, ale słyszała tylko bicie własnego serca.

A potem nagle rozległy się kroki. Ciężkie i powolne. W szpitalu.

Miasto zostało daleko za nimi, kiedy Montoya wyłączył syrenę i światła. Zjechał z autostrady w wąską, dwupasmową drogę. Po obu jej stronach rzadko rozsiane domy stały wśród pól, przechodzących dalej w lasy i bagna. Wiatr nawiewał do samochodu zapach torfu i wilgoci.

Zadzwonila komórka Bentza. Departament.

- Detektyw Bentz - zgłosil się.

- Cześć, tu Lynn. Pomyślałam, że chciałbyś to wiedzieć... Zatelefonował do nas Cole Dennis. Wygląda na to, że Eve Renner zaginęła.

- Co? Przecież chłopcy mieli ją na oku.

- Tak, wiem. Pogadałam już z nimi i to, co mówią, uzupełnia relację Dennisa.

- To znaczy?

Droga, coraz węższa, wila się między kępami sosen, dębów i wierzb. Nawet Montoya musiał tu trochę zwolnić.

- Eve pojechała do baru Gallagher's na spotkanie z bratową. Zaraz po przybyciu do baru miała dać znać Dennisowi, że bezpiecznie dotarła na miejsce, ale nie zrobiła tego. On zaczął się niepokoić, więc pojechał tam i rozmawiał z hostessą; widziała Eve, ale niczego poza tym nie mogła sobie przypomnieć. Nikt z pracowników restauracji nie pamięta, żeby ją obsługiwał albo widział, jak wychodziła. Potwierdzili to oficerowie przydzieleni jej do ochrony.

- A gdzie oni byli, do diabła?

- Starali się zachowywać dyskretnie, bo uznana obecnie za zaginioną Eve Renner podobno nie życzyła sobie żadnej policyjnej ochrony.

- Spotkała się z kimś? Wyszła z kimś stamtąd?

- Nie wiemy.

Bentz starał się zapanować nad sobą, ale był wściekły.

- I co mówią nasi panowie?

- Widzieli, jak wchodziła do baru. Później mieli na oku jej samochód i wejście od frontu. Nie zdawali sobie sprawy, że wyszła tylnymi drzwiami.

- Cholera. Jasna cholera! Słuchaj, sprawdź, czy w tym barze są kamery, a jeśli tak, zdobądź taśmę.

- Może Eve Renner po prostu zapragnęła nagle odrobiny prywatności. To też musimy brać pod uwagę.

- Wiem, ale raczej w to wątpię.

- Tak, ja też.

Bentz zakończył rozmowę. Rozbolał go żołądek.

- Problemy? - spytał Montoya.

- Może. A może nie. Eve Renner wymknęła się Cole'owi Dennisowi i

naszym chłopcom. - Bentz westchnął i potarł podbródek. Nie podobało mu się to, wcale mu się nie podobało.

Montoya przegapił zjazd, zahamował, cofnął, bryzgając zwirem spod kół, a potem skręcił i od razu dodał gazu. Komórka Bentza znowu zaczęła dzwonić, spojrzął na ekran i zaklął pod nosem.

- Niech to szlag. Cole Dennis.

Czuł, że powinien odebrać.

- Bentz.

Dennis nie zawracał sobie głowy uprzejmościami.

- Eve zaginęła - wyrębał od razu. - Zadzwońłem już na 911. Pomyślałem, że powinniście o tym wiedzieć.

- Już wiemy. Szukamy jej.

- Czy ktoś przypadkiem za nią nie jeździł?

- Nie chciała ochrony.

- Ale i tak ją dostała - powiedział Cole oskarżycielsko. - Widzieliśmy policjantów w samochodzie, stali trochę dalej od domu.

Bentz zmarszczył brwi. Mrok i wilgoć zdawały się wnikać do wnętrza cruisera.

- Pomyśleliśmy, że tak będzie lepiej.

- Cóż, można tylko stwierdzić, że nie była to szczególnie skuteczna ochrona. Eve pojechała na spotkanie się z bratową i zniknęła.

- A gdzie jest teraz Anna Maria Renner?

- Nie wiem, ale lepiej znajdźcie Eve. Musicie ją znaleźć!

- Znajdziemy - obiecał Bentz, ogarnęły go jednak złe przeczucia. Dennis był zły. I przerażony. A pewnie też czuł się winny.

Kilka kilometrów dalej dostrzegli samochód patrolu policji stanowej - stał na końcu długiego podjazdu częściowo osłoniętego przez krzewy.

Montoya zahamował gwałtownie i wyskoczył z wozu. Bentz biegł tuż za nim. Policjanci zapieczętowali frontowe i tylne drzwi chaty, zwykłej budy, ukrytej za gęstwiną drzew i krzewów.

Bentz wiedział, że powinni poczekać na wsparcie albo na FBI czy służby specjalne, ale nie wytrzymał napięcia. Ta sprawa dotyczyła go osobiście. Nie chciał, by Le Mars zdołał im się wymknąć, bo najważniejsze są procedury.

Dwóch policjantów pobiegło w deszczu na tył budynku i zajęło pozycje przy drzwiach. Bentz przyłgął plecami do sidingu przy drzwiach frontowych, a Montoya stanął pod ścianą po drugiej stronie.

Policjanci z patrolu ubezpieczali okna.

Bentz czekał.

Zbierał się w sobie.

- Żadnych znaków życia - powiedział w końcu. W oknach nie świeciło się światło.

Z komina nie unosiła się najlżejsza choćby strużka dymu.

- Cicho i spokojnie - zauważył Montoya. - Trochę niesamowicie. Wyciągnęli broń. Bentz kiwnął głową i załomotał do drzwi.

- Ronald Le Mars! Otwierać! Policja!

Żadnej odpowiedzi. W ciszy słychać było tylko miarowy szum deszczu.

Bentz nie czekał. Chwycił za klamkę, pewien, że musi użyć siły, ale ku jego zaskoczeniu drzwi od razu się otworzyły i ich oczom ukazało się wewnątrz ciemne jak grób.

- Le Mars! - krzyknął znowu, kiedy Montoya zaglądał do środka.

- Ronnie! Poddaj się!

- Policja! - wrzasnął Montoya.

Bentz wziął głęboki oddech, wpadł do izby i rzucił się na podłogę. Leżał bez ruchu, niemal nie oddychając. Nie miał odwagi użyć latarki, bo Le Mars mógł czaić się gdzieś w ciemności, czekając na łatwy cel.

- Le Mars! - krzyknął jeszcze raz Montoya.

Oczy Bentza przyzwyczały się już do mroku. I wtedy zobaczył ciała. Nagie, leżały twarzami do góry, przed kominkiem. Żołądek podszedł mu do gardła, poczuł coś wilgotnego na podłodze. Potarł to palcami i ostrożnie podniósł dłoń do nosa.

Krew.

Leżał w kałuży krwi.

Wstał i oświetlił ciała latarką.

- Słodki Jezu - wyszeptał ochryple Montoya, wchodząc do chaty z rewolwerem w dłoni. - To Le Mars.

- Tak - Bentz spojrzął na kobietę. -I Anna Maria Renner.

- A co się stało z Eve?

Bentz już wyciągał z kieszeni telefon.

- Nic dobrego - odparł, walcząc z ogarniającymi go mdłościami.

- Tego możemy być pewni.

Kristi wstrzymała oddech.

Kroki na schodach. Powolne, ciężkie. Ale pewne. Słyszała je mimo

dudnienia deszczu uderzającego w dach i wody bulgoczącej głośno w rynnach. Opanowała strach i nasłuchiwała, zastanawiając się, co robić.

Miała przy sobie telefon... Mogłaby do kogoś zadzwonić.

I co powiesz? Że wdarłaś się bezprawnie na strych starego szpitala? I natknęłaś się tam na kogoś? Opamiętaj się, Kristi, i zacznij myśleć, do cholery. Nie panikuj, bo na razie nie ma powodu.

Rozegrała to więc ostrożnie. Cicho wyjęła telefon, ciągle nastawiony tylko na wibracje, nie musiała więc obawiać się, że ktoś do niej zadzwoni i narobi hałasu. Zagryzła wargę i szybko wystukała wiadomość tekstową: :Jestem w szpitalu NPOC. Nie sama. Przyślij pomoc. K.: Potem wybrała dwie osoby, do których chciała wysłać tego SMS-a, ale postanowiła, że naciśnie klawisz dopiero wtedy, kiedy upewni się, że znalazła się w niebezpieczeństwie. Kroki ucichły.

Serce Kristi niemal przestało bić. Czyżby ją usłyszał? Ale jak?

Nasłuchiwała. Wydało jej się, że słyszy stłumiony jęk, i musiała zacisnąć zęby, by nie krzyknąć ze strachu.

Wyłączyła latarkę i zaczęła się zastanawiać, czy ktoś mógł zauważyć światło w małych okienkach strychu. Śmieszne, pomyślała. Przecież nikt nie przychodzi już na teren szpitala.

Ten ktoś znowu ruszył do góry. Kristi dokładnie wiedziała, kiedy dotarł na trzecie piętro.

Boże, pomóż mi! Przeżegnała się szybko.

Wyślij wiadomość. Wyślij ją teraz. I tak minie sporo czasu, zanim ktoś tu przyjedzie. Zrób to!

Kroki powoli zbliżały się korytarzem. Kristi przesuwiała wzrokiem po deskach podłogi, pod którymi musiał przechodzić ten człowiek, dokładnie pod samym środkiem strychu. Zwolnił i wszedł do jednego z pokoi. Wtedy znowu usłyszała jęk. Podkraśla się do szpary w podłodze znajdującej się nad pokojem Faith Chastain, przykłęka bezszelestnie i spojrzała w dół. Boże, było tak ciemno, a jednak widziała cień. Więcej niż tylko cień... Potężnego mężczyznę, który coś niósł. O, Boże... Patrzyła, przerażona, jak rzucił na podłogę jakąś kobietę. Nie czekając dłużej, nacisnęła klawisz swojej komórki.

Wkrótce nadejdzie pomoc. Musi tylko poczekać kilka minut, nie tracąc głowy, a potem...

Usłyszała wysoki, wibrujący tryl.

Dzwonił telefon komórkowy.

Dzwonił gdzieś tu, dźwięk odbijał się echem od ścian pustego szpitala.

O, dobry Boże...

Och, nie... proszę, nie. Nie! To niemożliwe! Kroki ucichły. Telefon także.

Kristi wiedziała już, że jej wiadomość została odebrana.

Przez człowieka, który był teraz w pokoju 307.

Przez jej informatora z policji.

A.J. Tennet wie, że ona jest piętro wyżej.

Straciła wszelką nadzieję.

## Rozdział 35

Bentzowi chciało się wymiotować. Walczył z mdłościami od chwili, kiedy znaleźli włącznik i oświetlili wnętrze chaty.

Na szczęście pojawili się federalni - zabezpieczyli miejsce zbrodni. Teraz czekali już tylko na ekipę techniczną.

Bentz ostatni raz rozejrzał się po chacie. Nagie ciała leżały razem, upozowane, przed kominkiem. Na ciele Anny Marii nie było żadnych znaków poza pojedynczym otworem po kuli na potylicy. Ronnie Le Mars miał identyczną ranę postrzałową i ciało pokryte tatuażami. Niektóre napisy powtarzały się kilka razy i widniały też na ścianach pomieszczenia.

Eve, 323, Renner, 444, Starats, Viv, Xanax,  
101, Kajak, 212, Wskresiciel, *Dennis sinned...*

Tatuaże były świeże, w szpitalnych dokumentach Ronniego Le Marsa nie wspomniano o nich ani słowa.

- Prawdziwy świr - powiedział Montoya, kręcąc głową. Czekali na specjalistyczną ekipę techniczną, choć wiedzieli, że czas ucieka.

Zabójca mógł już dopaść Eve Renner.

- Popatrz na to pomieszczenie, coś tu jest nie tak - mruknął Bentz, rozglądając się po chacie. Było tu kilka schludnych, utrzymanych we wzorowym porządku miejsc, ale cała reszta - brudna i zaniedbana. Jakby znaczenie miał tylko kominek, który spełniał prawdopodobnie rolę sanktuarium. Na lustrze wisiał różaniec, wszystkie okna zostały szczelnie zasłonięte. Bentz widział już tyle takich miejsc, że od razu wyczuwał, kiedy coś było nie tak. - To nie wygląda na mieszkanie kogoś, kto byłby zdolny do zaplanowania tego wszystkiego. Myślisz, że Ronnie Le Mars sam dokonał całej tej serii morderstw? i nie dał się schwycić? Przecież to świr.

Montoya zeszywniał.

- Co chcesz przez to powiedzieć? To on jest zabójcą. Tatuaże, dowody... - Podszedł bliżej kominka. - Uważasz, że miał współnika.

- Uważam, że był ktoś, kto nim kierował.

- To strasznie naciągane.

- Przejrzałem akta Ronniego, rozmawiałem z jego kuratorem i, tak, on jest zabójcą, ale coś mi tu nie pasuje.

- Hej! - zawołał jeden z policjantów, którzy zostali na zewnątrz. -

Znaleźliśmy furgonetkę. Ma ślad po kuli.

- Strzelanina z Tiggsem - mruknął Montoya. - To jest nasz facet.

Bentz przełknął ślinę i zaczął przeszukiwać pokój, dokładnie obejrzał kominek, lustro i biurko. Znalazł przybory do tatuażu, wzorniki i notatnik pełen palindromów, jakby jego właściciel tylko nimi żył.

Miał złe przeczucia, zaczął go boleć żołądek. Spojrzał na łóżko. Starannie posłane. Najwyraźniej facet spędzał cały czas przy kominku, robiąc tam Bóg jeden wie co, i na łóżku.

- Podaj mi latarkę.

- Chcesz poszukać pluskiew? - spytał Montoya, biorąc latarkę od jednego z mundurowych.

- Może.

Bentz przykląkł i przesunął ostrym światłem po poduszkach i narzucie na pościeli. A potem zajrzał pod łóżko, i wtedy to zobaczył.

- Jezu Chryste... - wyszeptał.

Wciśnięte głęboko między sprężyny materaca, tkwiły tam maleńkie głośniki, coś w rodzaju małego odbiornika i kilka innych elektronicznych gadżetów - czemu służyły?

- Co to? - spytał Montoya.

- Nie wiem. - Bentz rozejrzał się wokół, szukając radia albo zestawu stereo, do którego mogłyby należeć głośniki, ale niczego takiego nie dostrzegł. - Nie rozumiem - powiedział bezradnie. Dręczące go złe przeczucia stały się jeszcze gorsze.

- Więc kto ich zabił? - Montoya wskazał na ofiary. - Najwyraźniej nie Ronnie, skoro sam stracił życie. Kto nam zostaje? Syn Faith? Brat bliźniak Eve? Facet, którego nie możemy namierzyć? - Pokręcił głową.

- Po co miałby zabijać Ronniego Le Marsa?

- Dobre pytanie. - Bentz wrzucił do ust kilka tabletek na nadkwasotę i wyszedł z dusznej, odrażającej chaty. Padał deszcz, ale świeże powietrze przyniosło mu ulgę. - Wiedział, że Le Mars tu jest. Nie wiedział o tym nikt inny.

- Poza naszym anonimowym informatorem - dodał Montoya, gładząc swoją krótką bródkę.

Ruszyli do cruisera, klucząc między samochodami policji i federalnych. Przyjechał też van stacji telewizyjnej.

Bentz nie był w nastroju do rozmów z dziennikarzami. Na szczęście rzecznik federalnych już zaczął odpowiadać na ich pytania.



Wsiadali do wozu, kiedy zadzwoniła komórka Bentza. Wyświetlił się numer Naszej Pani od Cnót.

- Detektyw Bentz.

- Witam, detektywie. Mówi siostra Odine z klasztoru...

Od razu przeszła do rzeczy.

- Pytał pan kiedyś, czy ktoś się tu czasem pokazuje, prawda? Pomyślałam więc, że powinien pan o tym wiedzieć... Pod cmentarzem stoi samochód. Czerwony volkswagen jetta, tak mi się wydaje... Zapisałam numer.

- Proszę mi go podać! - Zaszumiało mu w uszach, krew uderzyła mu do głowy. Jak przez mgłę dotarły do niego cyfry i litery, potwierdzając najgorsze podejrzenia. Volkswagen należał do jego córki.

- Zaraz tam będziemy. Spotkamy się z siostrą przy frontowej bramie klasztoru. Proszę przynieść klucze do szpitala. - Bentz wsiadł do wozu od strony pasażera. - Jak szybko możesz dojechać do Naszej Pani? - spytał partnera.

- W dwadzieścia minut - odparł Montoya, przekręcając kluczyk w stacyjce. - Bez problemu.

- Spróbuj w dziesięć.

- Dlaczego? - Montoya już wcisnął gaz i cruiser skoczył do przodu.

- Tam jest Kristi. - Bentz wystukał numer córki i czekał, choć wiedział, że nie odbierze. Po raz pierwszy od bardzo dawna zmówił krótką, żarliwą modlitwę. Boże, proszę, proszę, miej ją w swojej opiece!

Odebrała.

- Kristi? - zawołał. - Kristi ?! Ale ona nie odpowiedziała.

W tej samej chwili rozległ się sygnał przychodzącej wiadomości tekstowej.

:Jestem w szpitalu NPOC. Nie sama. Przyślij pomoc. K.:

Cole w strugach ulewnego deszczu pędził swoim starym dżipem, jakby gonił samego szatana. I cały czas wyrzucał sobie nieostrożność. Dlaczego pozwolił Eve pojechać samej do baru? Przecież wiedział, że to niebezpieczne. Nie powinien dać się przekonać. A teraz może stracić ją na zawsze! Teraz, kiedy przetrwali tyle nieporozumień i nareszcie znowu się zeszli. Przypomnił sobie, jak kochali się ubiegłej nocy w hotelowym pokoju, i zacisnął zęby aż do bólu.

Nie miał nic, poza przecuciem.

Nie miał broni, tylko trochę narzędzi w bagażniku.

Był pewny, że Eve wpadła w ręce szaleńca, nie wiedział jednak, dokąd ten świr ją zabrał ani co jej zrobił. Pamięć podsuwała mu przed oczy makabryczne obrazy... Zakrwawione zwłoki Roya Kajaka, nagie ciało siostry Vivian, lalka na zalanym krwią łóżku...

Oby udało mu się rozszyfrować wskazówki, jakie dał im zabójca. Palindromy i numery.

Wycieraczki poruszały się rytmicznie, a on marszczył brwi i myślał. 101, 212, 111, 444, 323, Eve, Renner, Kajak, Viv, Starats...

Numery na pewno mają jakiś związek z pokojami w Naszej Pani od Cnót. Zamierzał przejść przez te pokoje i odkryć, jaki to związek. W końcu zrozumie te wiadomości. Musi je zrozumieć. Nie ma wyjścia, a czasu, o czym doskonale wiedział, było coraz mniej.

Eve otworzyła oczy.

Gdzie ona jest, do diabła, i dlaczego ten mroczny pokój wiruje wokół niej?

Leżała na plecach, patrzyła na wysoki sufit i słyszała miarowy szum deszczu. Wrócił ból głowy, pulsował w jej czaszce, ale zaczęły przez niego przebijać strzępy wspomnień. Została porwana. W barze. I Anna... o, Boże, czy ona nie żyje?

Zamrugła, przypominając sobie chatę, Ronniego Le Marsa i płaczącą kobietę... a potem... O Boże! Ktoś przyszedł i zastrzelił ich oboje, a ją zabrał ze sobą... Straciła przytomność i obudziła się dopiero tutaj...

W szpitalu.

Przywiózł ją do szpitala psychiatrycznego.

Zaniepokoiła się, że leży na zaplamionej podłodze w pokoju Faith Chastain.

Na litość boską, dlaczego? I gdzie on jest?

Próbowała wstać, ale jej ręce i nogi nadal były bezwładne, bezużyteczne.

Spróbuj jeszcze raz, Eve.

To będzie prawdziwy tryumf ducha nad ciałem!

Skupiła się, starając się zmusić prawe ramię do jakiegokolwiek ruchu.

Nic.

Dalej, dalej, nie poddawaj się!

Spróbowała znowu i wreszcie nadludzkim wysiłkiem udało jej się trochę przesunąć rękę.

Jeszcze! Spiesz się! On może szybko wrócić.

Tym razem zdołała lekko poruszyć jednym palcem, ale na tym się skończyło.

Wyczerpana, nie była w stanie się podnieść, nie mówiąc już o tym, by próbować stąd uciec.

Więc znajdź jakąś broń.

Rozejrzała się dookoła gorączkowo, ale pokój był pusty. Nie poddawaj się. Wymyśl coś, do cholery!

Znowu zaczęła się rozglądać, sprawdzając wszystkie kąty. Nic...

O Boże... ale przed kominkiem coś chyba błyszczy... Szkło?

Chciała doczołgać się do kominka, gdy nagle coś usłyszała i znieruchomiała. Kroki?

W górze, na jej głowę?

Na strychu. Co on tam robi? Obserwuje ją? Przez otwory w podłodze? Tak jak ona kiedyś podglądała pacjentów? Co za ironia... Nie, to bez sensu. Więc co on tam robi?

Umrze. Wiedziała o tym. A miała tyle planów... Pomyślała o Cole'u

i omal się nie rozplakała, bo uświadomiła sobie, jak bardzo go kocha. Ale zamiast mu o tym powiedzieć, stchórzyła. Zabrakło jej odwagi, by wyznać mu swoje prawdziwe uczucia. Pamiętała, jak się kochali, jak ich ciała miękko się ze sobą splatały, jak on szeptał jej do ucha słowa pełne miłości, odgarniając włosy z jej twarzy. A ona ani razu nie powiedziała mu, co do niego czuje.

Paraliżował ją strach, strach przed ponownym zranieniem. Jakaż była głupia.

A teraz może już nigdy nie będzie miała szansy się przed nim otworzyć.

Zaczęło ją ścisnąć w gardle, ale zignorowała to. Nie czas na żal. Nie było czasu na nic. Spojrzała na połyskujący obok kominka odłamek. Kawalek szkła? To niewiele.

Ale lepsze to niż nic.

Szedł po nią.

Jedyną drogą ucieczki ze strychu były schody, po których tu weszła.

Jego kroki dudniły głośno, kiedy biegł korytarzem.

Jej kroki były ciche. Mimo że instynkt kazał jej uciekać w

przeciwnym kierunku, bezszelestnie obeszła komin i stanęła po jego drugiej stronie, przyciskając plecy do szorstkich cegieł.

Jak mogła być tak głupia? Jak mogła mu zaufać?

Sięgnęła do plecaka i wyjęła spray z pieprzem. Potem już tylko czekała.

Kiedy zobaczyła światło latarki, zrobiło jej się słabo. Nie zdoła się przed nim ukryć. Ani go zaskoczyć. Wstrzymała oddech.

- Wiem, że tu jesteś - powiedział, stając w drzwiach i omiatając strych snopem światła.

Kristi zobaczyła szczurą, przemknął pod ścianą i schował się w jakiejś dziurze. Stłumiła krzyk.

- Naprawdę, Kristi, kokietka z ciebie. Po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłem, chcesz się przede mną ukryć? - Znowu mówił tym uwodzicielskim, pewnym siebie tonem, od którego robiło jej się niedobrze. - Wiesz, że mam Eve, prawda? Twoją przyrodnią siostrę.

Co takiego? Przyrodnią siostrę?

- Zabawne. Ona jest także moją siostrą. Wiedziałaś o tym? Moją siostrą bliźniaczką. My mamy tę samą matkę, a wy dwie tego samego ojca. Co za rozwiązłość... Cóż, wszyscy jesteśmy jedną, szczęśliwą, chorą rodziną.

Nie słuchaj go. To szaleniec.

- Nie sądzisz, że to niesamowita historia? - spytał, przygryzając paznokcie.

Kristi, spocona z przerażenia, czekała, aż on wejdzie dalej.

- Domyślam się, że twój tatko nie zdobył się na to, by zadzwonić i przekazać ci wieści. Może dlatego, że nie jest twoim prawdziwym ojcem, prawda? Kim właściwie jest dla ciebie stary Rick? Stryjem? Chyba tak. Twoja matka pieprzyła się z księdzem, ze starym, dobrym ojcem Jamesem. Ach, gdyby tylko nie spuszczał tak łatwo spodni.

Skąd on to wszystko wie? Serce waliło jej młotem, całe ciało miała napięte jak struna. Nie daj się wywabić z kryjówki. Jemu właśnie o to chodzi. Nie słuchaj.

- Podobno twoja matka nie była pierwszą, która pozwoliła dobremu księdzu na więcej, niżby wypadało. O, nie. Faith Chastain, kobieta o... cóż, niezbyt wysokich standardach moralnych, także dała mu się uwieść. Fakt, że była zaburzona psychicznie, zupełnie mu nie przeszkadzał. Czy coś takiego mogło powstrzymać naszego jurnego

klechę? Oczywiście, że nie. Ojciec James był pełen czaru i bardzo przekonujący. I bingo! Faith zaszła w ciążę. Moja matka, to znaczy moja adopcyjna matka, widziała ich razem, rozumiesz. Mówiła, że na widok księdza pieprzącego Faith straciła wiarę. - Prychnął, jakby myśl o tym wydała mu się absurdalna. - Ona uważała się za dobrą, bogobojną katoliczkę, ale nie przeszkadzało jej to przychodzić w nocy do mojego pokoju - podniósł drżący z emocji głos.

Kristi zrobiło się niedobrze. Wzięła się jednak w garść i stała bez ruchu, niemal nie oddychając.

- Naprawdę ciekawe jest to - ciągnął - że Faith udało się ukryć ciążę niemal przed wszystkimi.

Ten facet był szalony! Obląkany! Kristi opanowała strach, starając się zachować jasny umysł.

- Więc sama widzisz... Ty i ja... łączą nas więzy krwi, siostrzyczko. Ja też mogę nazywać ojca Jamesa tatą!

Nie. To nieprawdopodobne. Po prostu nieprawdopodobne! Jeszcze raz oświetlił strych i wszedł dalej.

- No, Kristi. Gdzie jesteś? Wierz mi, nie chcesz mnie rozzłościć. Jesteś szalony! Obląkany. Chory.

Ale w jego słowach było źdźbło prawdy. W tę fikcję wplótł wystarczająco wiele faktów, by zalała ją fala mdłości.

Skierował latarkę w górę, jakby sądził, że ukryła się na belkowaniu. Kristi kurczowo zacisnęła palce na sprayu z pieprzem.

Zrobił jeszcze jeden krok, i wtedy na niego skoczyła.

Dokładnie w chwili, kiedy się odwrócił i błysnął światłem prosto w jej oczy, zupełnie ją oślepiając.

- Głupia dziewczyno... - mruknął.

Nacisnęła palcem przycisk sprayu. Strumień pieprzu uderzył w jego twarz.

Latarka spadła na podłogę.

Kristi dostrzegła rewolwer w jego dłoni.

Wycelowany w jej serce.

Tennet kaszłał, po jego przystojnej twarzy płynęły łzy, ale on zdawał się tego nie zauważać. Chwyił ją za ramię i pchnął na schody. Potem poprowadził ją korytarzem, obok jadalni, aż do tego okropnego miejsca, które kiedyś było kuchnią. Przy tylnych drzwiach skręcił i otworzył drzwi do suterenu.

Przerazona, potknęła się na schodach i omal nie upadła. Długi, wyłożony kafelkami korytarz oświetlały lampy naftowe. Przeszli przez ciemne pokoje, przypominające raczej więzienne cele, a wyobraźnia podsuwała Kristi upiorne wizje przetrzymywanych tu kiedyś pacjentów.

- Stój - powiedział i wepchnął ją do pokoju, w którym paliła się lampa, a na ścianach pokrytych spękaniem kaflami wisiały stare przyrządy... Dostrzegła kaftan bezpieczeństwa, urządzenie do elektrowstrząsów i pokryte patyną narzędzia chirurgiczne. Pod sufitem były wielkie lampy i Kristi zrozumiała, że w tej sali wykonywano różne zabiegi medyczne. Żołądek podszedł jej do gardła.

A.J. zdjął ze ściany kaftan bezpieczeństwa i podał jej, cały czas mierząc do niej z rewolweru.

- Włóż tu ręce - rozkazał.

- Nie - pokręciła głową. Przeszły ją ciarki. - Nie mogę.

- Rób, co mówię, Kristi, albo przysięgam, że strzelę. Na początek w udo, żeby strzaskać kość. Potem w rękę. - Uśmiechnął się do niej przez łzy, które ciągle płynęły mu po policzkach. - Możesz uważać się za szczęściarę. To już szczyt sadyzmu w moim wykonaniu. Gdybyś spotkała się z moim przyjacielem Ronniem, byłoby gorzej. Ronnie miałby przy sobie nóż. Robił dokładnie to, co mu powiedziałem. Myślał, że jestem Bogiem, wiedziałaś o tym? Długo szukałem, zanim udało mi się znaleźć kogoś, kto ma związki ze szpitalem, pamięta Eve i jest na tyle stuknięty, by tańczyć, jak mu zagram. Ronniego. Wiedziałem o nim od matki, która pracowała w pralni przy Naszej Pani od Cnót. Cały czas miałem go na oku, bo był wprost idealny, i kiedy w końcu wyszedł z pudła, mogłem zacząć realizować wszystko, co sobie wymyśliłem. - Jego oczy, ciągle zaczerwienione i łzawiące, lśniły satysfakcją. - Ale ty nie musisz się martwić Ronniem ani jego ulubionym nożem, bo już zakończyłem jego udrękę. - Mówiąc to, znieruchomiał nagle, a zaraz potem głośno kichnął. - Nie zawaham się zakończyć też twojej, więc rób, co każę. Rozumiesz?

Ronnie Le Mars nie żyje? A.J. go zamordował? Próbowwała złożyć to w jakąś logiczną całość, jednocześnie zastanawiając się, jak go przechytrzyć. W końcu, zdesperowana, postanowiła zastosować inną taktykę.

- Myślałam, że jesteś moim przyjacielem.

- Bratem, niech to do ciebie dotrze - odparł, zirytowany. Ciągłe płakał

i ciekło mu z nosa. - Nie, nie jesteśmy przyjaciółmi i nigdy nimi nie byliśmy. Wykorzystywałeś mnie tylko, i od razu cię przejrzałem. Ale było mi to na rękę, dlatego zgadzałem się na to.

- I wykorzystałeś mnie

- Owszem. Ironia losu, co? - Potrząsnął kaftanem. - Wkładaj to, no już!

Nie ruszała się dość szybko, więc wycelował rewolwer w ścianę i strzelił. Barn!

Strzał ogłuszył ją, ze ściany posypały się kawałki kafli.

- Uważaj ! Kula mogła się odbić rykoszetem! - krzyknęła Kristi, odskakując do tyłu.

Chwycił ją ręką, w której trzymał rewolwer, objął silnym ramieniem, a drugą ręką naciągnął na nią kaftan.

Próbowała się wyrwać, ale poczuła na policzku zimny dotyk lufy. To był morderca. Potrafił zabijać z zimną krwią. Nie miała co do tego wątpliwości.

Kiedy oba jej ramiona znalazły się w kaftanie, odłożył rewolwer i zacisnął pasy, krępując jej ręce. Dobry Boże, co on zamierzał zrobić? Czuała się zupełnie bezsilna i wiedziała, że jeśli czegoś szybko nie wymyśli, on ją zabije.

Nogi masz ciągle wolne... Nie poddawaj się. Pamiętaj, nigdy się nie poddawaj.

Bam!

Rozległ się huk wystrzału.

Eve krzyknęła. Słodki Jezu, co się dzieje? Wzdrygnęła się na samą myśl o...

Mogła zakładać tylko jedno - że potwór kogoś zamordował. Prawdopodobnie kogoś, kogo znała.

Serce biło jej bardzo szybko, żołądek podszedł do gardła. Drżąc na całym ciele usiłowała zebrać myśli. Myśl, Eve, myśl! Musisz się uratować. Zanim on znowu zabije.

Jeden. Dwa. Trzy...

Nie miała pojęcia, dlaczego jeszcze jej nie zabił, wiedziała jednak, że to tylko kwestia czasu, i to czasu mierzonego raczej minutami niż godzinami.

Chyba że coś zrobi... coś wymyśli...

Z trudem przełknęła ślinę i starała się skupić.

Cztery. Pięć...

Słyszała kroki... Kroki dwóch osób. A więc ktokolwiek chował się na strychu, został schwytany. I zabity. Święta Mario... Kto tam był i po co przyszedł? Jedna z zakonnice? Ktoś, kto się ukrywał i szukał schronienia? Jakiś bezdomny? A może ktoś, kogo dobrze znała?

Teraz jednak, była tego pewna, przyjdzie kolej na nią.

Dobry Boże, pomóż mi... Proszę, proszę! Pomóż mi!

Weź się w garść, Eve. Jeszcze nie jesteś martwa.

Sześć. Siedem. Osiem...

Powoli odzyskiwała czucie w kończynach - zaczynały lekko mrowić i pobolewać. Mogła już rozprostować palce u rąk i stóp. Zacisnęła zęby i zaczęła się czołgać. Powoli. Centymetr po centymetrze. Zbuntowane mięśnie nie chciały słuchać poleceń wydawanych przez mózg. Nadludzkim wysiłkiem pełzła po pokrytej kurzem, brudnej i zakrwawionej podłodze. Była już coraz bliżej. Coraz bliżej miejsca, w którym widziała ten błyszczący kawałek szkła.

Pozwól mi się tam doczołgać... proszę...

Jej palce zamknęły się na ostrym odłamku.



## Rozdział 36

Cole zaparkował przed wjazdem do szpitala, wyjął ze skrzynki z narzędziami nożyce do metalu i zaczął ciąć łańcuch, który łączył ze sobą dwa skrzydła bramy z kutego żelaza. Padał ulewny deszcz, zimne krople spływały mu za kołnierz.

- No, dalej, dalej... cholera... - mrucał przez zaciśnięte zęby, napinając mięśnie ramion. - Dalej !

Bam !

Usłyszał odległy strzał, a później słaby krzyk kobiety. Eve!

Poczuł nagły przypływ adrenaliny. Nie myśl o tym!

Nie wolno mu myśleć, że to do niej strzelano. Nie wolno. Z całych sił ścisnął ogniwo łańcucha nożycami i w końcu je przeciął. Łańcuch ześliznął się jak martwy wąż. Cole naparł na bramę ramieniem, otworzyła się z przeciągłym zgrzytem. Popędził do szpitala.

Nie stracić Eve.

Nie straci jej!

O Boże !

Już kiedyś widział ją leżącą w kałuży krwi, z raną od kuli w skroni. Ale to się nie powtórzy! O, Boże, nie!

Potwór wrócił.

W jednej ręce trzymał latarkę, w drugiej rewolwer. Wycelował w Eve. Potem chwycił ją za ramię, które jeszcze niedawno nosiła na temblaku.

- Wstawaj, idziemy. Możesz już chodzić! - wrzasnął i poderwał jądo góry. Przeszył ją ostry, pulsujący ból, nie wypuściła jednak z ręki kawałka szkła. Miała tylko nadzieję, że on tego nie zauważy. Setki pytań cisnęły się jej na usta, ale żadnego nie zadała. Udawała, że jest bardziej oszołomiona, niż naprawdę była.

Z czerwoną twarzą, wykrzywioną grymasem okrucieństwa, popychał ją przed sobą, kaszląc, prychając i pociągając nosem.

- Ruszaj się! - krzyknął.

Nogi wciąż miała jak z waty; musiała oprzeć się na poręcz, i rozcięła sobie dłoń szkłem. Było jednak ciemno, a on ciągle mrugał załzawionymi oczami, więc niczego nie zauważył. Nawet wtedy, kiedy ze zranionej ręki na schody zaczęła kapać krew.

Daj mi siłę, Panie, proszę, daj mi siłę...

Zeszli na parter, do kuchni. Potem popchnął ją w stronę schodów wiodących do sutereny. Eve miała wrażenie, że krew ścina jej się w żyłach. Nie znosiła takich ciemnych, wilgotnych miejsc. Całe jej ciało pokryła gęsia skórka.

Zeszli po brudnych, skrzypiących schodkach.

Nie pozwól, by zapanował nad tobą strach...

Jeden... dwa...

Mierząc do niej z rewolweru, zamknął za sobą drzwi. Chwiejne światło latarki wydobywało z mroku fragmenty brudnego, zasnutego pajęczynami sufitu. Drżąc ze strachu, poszła korytarzem oświetlonym lampami naftowymi. Dym zostawiał na ścianach ciemne smugi i zbierał się pod niskim sklepieniem.

Eve ledwie oddychała. Serce waliło jej jak młotem. Ostry kawałek szkła wbijał się w dłoń. Szła jednak przed siebie, mijając sale, w których kiedyś wykonywano różne straszne zabiegi. Gdyby wyteńczyła słuch, mogłaby pewnie usłyszeć rozpaczliwe szepty udręczonych pacjentów, ich dusze może ciągle nawiedzały to miejsce.

Przełknęła ślinę i postanowiła, że nie będzie teraz myśleć o koszmarach.

- Stój! - rozkazał nagle, mniej więcej w połowie korytarza. Eve znieruchomiała.

Otworzył zamknięte na klucz drzwi i pchnął ją do środka lufą rewolweru. Zauważyła, że nie zamknął ich za sobą na klucz. Zamek znajdował się tylko po zewnętrznej stronie, a więc używano go tylko po to, by ludzie umieszczeni w tym pokoju nie mogli z niego wyjść.

Stała tam pod ścianą kobieta, skrzepowana kaftanem bezpieczeństwa.

- Przytulnie tu, prawda? - odezwał się szaleniec, wyraźnie z siebie zadowolony. - Zakładam, że wy dwie już się poznałyście... Nie? Och, rzeczywiście. Kristi, chciałbym, żebyś poznała swoją przyrodną siostrę, Eve. Eve, a czy my się znamy? Wiesz, kim jestem?

Milczała.

- Och, daj spokój... - ciągnął, wyraźnie rozbawiony jej przerażeniem.

- Powiedz jej, Kristi. - Ale zanim dziewczyna zdążyła otworzyć usta, dodał: - Jestem AJ. Tennet, właściwie Adam Tennet. Rozumiesz? Adam i Eve. Tak, naprawdę kosmiczny numer wycięli nam bogowie, a właściwie twój ojciec.

W półmroku Eve patrzyła w oczy, tak bardzo podobne do jej własnych, choć równocześnie tak zimne i okrutne.

Jej brat bliźniak. Brat, o którego istnieniu tak długo nie miała pojęcia!

- Zgadza się. Nareszcie rozumiałaś. Przyszliśmy na świat dokładnie tutaj, w tym szpitalu. Razem. Problem w tym, że doktor Renner adoptował ciebie, a mnie wyrzucił na śmietnik, to znaczy oddał parze, która miała mnie gdzieś, zwłaszcza kiedy nagle się okazało, że jednak może mieć własne dzieci. Więc to ty miałaś szczęście, prawda, księżniczko?

Był psychopata. Nie powiedział, co zamierza zrobić, ale na pewno coś strasznego. We wszystkich kątach tego ciemnego pokoju czaiła się śmierć. Nie poddawaj się! Walcz! On myśli, że ma przewagę! Eve zacisnęła palce na odłamku szkła.

Sięgnął po drugi kaftan bezpieczeństwa, ale kiedy zdejmował go ze ściany, wysunął mu się z rąk i upadł na podłogę.

- Kurwa ! - zaklął i odwrócił się do Kristi i Eve. - Siadać, do cholery! Traci panowanie nad sobą. Rozsypuje się. Wystarczy, że nie wszystko idzie zgodnie z jego planem...

Obie powoli usiadły na podłodze. Wyrażnie się denerwował.

Kristi próbowała nawiązać kontakt wzrokowy z Eve, ona jednak nie spuszczała oczu z potwora, który był jej bratem.

- Tak, moja matka, Lara Tennet, to była dopiero suka. To dzięki niej tyle wiem o kobietach. - Mówił z niesmakiem, jakby na samą myśl o niej dostawał mdłości. - Wredna dziwka. Gdybyście wiedziały, co mi robiła. Swojemu własnemu synowi... - Całe jego ciało wyrażało teraz niepohamowaną wściekłość i coś jeszcze... coś, co kryło się pod gniewem... nienawiść do samego siebie?

- A ty, Eve - prychnął. - Księżniczka. Dobra, stara matka wszystko mi o tobie powiedziała. Bo gadała o tobie bez przerwy, nie mogła sobie odpuścić. Fascynowałaś ją. - Podeszedł bliżej, kucnął i patrzył na Eve z pożądaniem i zawiścią, które zmroziły ją do szpiku kości.

Udawaj. Zachowuj się tak, jakbyś nie rozumiała, o czyni mówi. Może to osłabi jego czujność.

- Nie wyobrażasz sobie, jak często o tobie słuchałem. Miałbym wielką ochotę cię wypieprzyć, ale to chyba niemożliwe, a poza tym... - Drżał teraz, a rewolwer trząsł się niebezpiecznie w jego dłoni.

Chryste, w każdej chwili może wypalić.

- Nie... nie rozumiem... - powiedziała, jakby ciągle czuła się bardziej oszołomiona niż naprawdę była. Chciała, żeby mówił, w nadziei, że w końcu popełni jakiś błąd, że coś odwróci jego uwagę... choćby na ułamek sekundy. Wtedy by go zaatakowała.

- Oczywiście, że nie rozumiesz - burknął, przygryzając paznokcie. - Ty nie musiałaś iść do wojska tylko po to, żeby uwolnić się od matki, prawda? Ty nie musiałaś korzystać z pomocy państwa, żeby zdobyć wykształcenie. Ani kłamać w dokumentach i modlić się, żeby nikt tego nie odkrył. Nie musiałaś się bać, że policja nie przyjmie cię do pracy.

- Oderwał zębami kawałek paznokcia i usiadł na podłodze, ciągle celując do Eve z rewolweru. - Od dawna to planowałem, ale musiałem poczekać na dogodny moment, to znaczy, aż Ronnie wyjdzie z więzienia. - Adam uśmiechnął się i szepnął ochryple: - On jesssst wolnyyyy...

Eve ścierpła skóra; zauważył jej reakcję.

- Och, wiem, myślałaś, że mówię o Cole'u Dennisie... Ale nie. Chodziło mi o Ronniego. Potrzebowałem kogoś, kto wykonałby za mnie całą brudną robotę, a kto nadawał się do tego lepiej niż ten świr Ronnie? Pewnie o tym nie wiesz, ale on miał bzika na twoim punkcie. Chciał cię wypie-przyć, a potem zabić. Ale teraz nie musisz się już tym martwić... - Spojrzał na nią przeciągle, jakby się zastanawiał, jak by to było ją zgwałcić, ale coś mu na to nie pozwalało... jakiś rys normalności. - Ronnie był pewny, że spełnia wolę Boga.

- Skąd wiesz? - odezwała się Kristi.

- Bo to ja jestem Bogiem - odparł Adam, nie spuszczać oczu z Eve.

- Głosem, tak mnie chyba nazywał. Zamontowałem u niego głośniki, żebym mógł przemawiać do niego nocami, dawać mu instrukcje, co ma robić. Słyszał też inne głosy, szepty, fragmenty rozmów i tak dalej, żeby sądził, że jest szalony. Szkoda, że nie słyszałyście, jak się do mnie modlił, jak błagał, bym do niego przyszedł... Nazywał się Wskrzesciciel, takie mu nadałem imię... Wskrzesciciel. To jeszcze jeden prezent od mamusi... te idiotyczne palindromy... Był więc przekonany, że wykonuje wolę Boga, który myśli palindromami. Numery, Wskrzesciciel, Eve... - ciągnął, patrząc Eve prosto w oczy. - Te numery to oczywiście numery pokoi w szpitalu. Nawet siostra Viv spędziła tu trochę czasu.

Eve z trudem przełknęła ślinę. To wszystko było straszniejsze i

bardziej nienormalne, niż myślała.

- Mówiłeś mi, kogo ma zabić? - spytała Kristi.

- Tak, i jak już wspomniałem, wplotłem w to wszystko palindromy, które też wiązały się z mamą. Ronnie widział, jak mama robiła tatuaż na czole Faith wiele lat temu. :Live:, czyli :żyj:, ale tak naprawdę to :evil:, :zło:. Mama wiedziała, że Faith pieprzy się, z kim popadnie, więc nafaszerowała ją lekami, uspiła i zrobiła tatuaż. Poza tym, mama i tato adoptowali mnie po cichu. Powiedziała mi o tym na krótko przed tym, jak sama przedawkowała leki, biedaczka. Dlatego właśnie musiałem zabrać wszystkie dokumenty, jakie były ukryte na strychu. Inaczej moglibyście się domyślić, że śmierć mamy także miała związek ze szpitalem.

Uśmiechnął się szeroko, a Eve zrozumiała, że kiedy postanowił zabić, zaczął od własnej matki.

Jest z siebie dumny. Chwali się tym, pomyślała, zaskoczona i coraz bardziej przerażona. Wypełnił już swoją misję, więc teraz nie miał już przed sobą żadnego celu, nie miał powodu, by żyć, a z całą pewnością powodu, by zostawić przy życiu ją i Kristi.

Dłoń, w której trzymał rewolwer, była teraz bardziej rozluźniona, ciągle jednak obgryzał paznokcie drugiej ręki i przeżuwał je nerwowo. Wydawał się rozchwiany emocjonalnie i zupełnie nieprzewidywalny.

- Nie chcesz wiedzieć, jak to się stało, że miałeś w pochwie spermę dwóch mężczyzn, Eve? - spytał, a ona zmusiła się, by na niego spojrzeć, choć kręciło jej się w głowie. - To był mój pomysł, choć Ronnie odegrał w tym wszystkim główną rolę. Bez problemu się na ciebie spuścił.

Eve omal nie zwymiotowała. Widział jej odrazę i uśmiechnął się szeroko.

- Nie obawiaj się, księżniczko. Wskrzesciciel nie tknął cię nawet palcem. Sam zrobiłem co trzeba w laboratorium, to znaczy dodałem jego spermę do wymazu. - Jego załzawione oczy lśniły, kiedy nachylił się do niej i dodał: - Więc teraz wszyscy wiedzą, że jesteś dziwką, tak jak nasza matka.

Eve miała ochotę rzucić się na niego z pięściami, pociąć mu twarz trzymanym w dłoni szkłem. Ale była to słaba broń w porównaniu z rewolwerem. Spojrzała na Kristi, która obserwowała każdy jego ruch. Gdyby tylko mogła jej jakoś przekazać swoje myśli.

Jeszcze nie... Czekaj... Jego czujność słabnie... Może uda nam się jakoś zyskać przewagę i jeśli nie zabić, to przynajmniej zamknąć go w jego własnym więzieniu!

- No więc, siostrzyczki, myślę, że powinniśmy wszyscy odejść stąd w blasku chwały. Z ochotą wypieprzyłbym was obie, ale nie mamy na to czasu, a poza tym byłby to grzech śmiertelny, czyż nie? Zrobię to, jak to mówią, w innym życiu - wyszeptał.

Eve poczuła, jak oblewa ją zimny pot. Adam spojrzał na Kristi.

- Wiesz, na początku w ogóle o tobie nie myślałem, aż do czasu, kiedy zaczęłaś węszyć. Naprawdę miałem zamiar pozwolić ci napisać tę głupią książkę, ale kiedy próbowałaś nasłać na mnie gliny, uznałem, że zasługujesz na taki sam los jak księżniczka. Tym bardziej że wezwałaś pomoc. Więc umrzemy tu wszyscy. Staniemy się męczennikami. My, nieprawe potomstwo ojca Jamesa. Bardzo stosownie, nie sądzicie? Słuchajcie...

Przekrzywił głowę, jakby chciał się skupić, i wtedy Eve także usłyszała kroki. Wyżej, nad ich głowami, ktoś biegł korytarzem.

Gdzie ona jest? Na Boga, gdzie jest?

Z mocno bijącym sercem i krwawiącą ręką, którą zranił, wybijając okno, by dostać się do środka, Cole biegł przez stare korytarze i po schodach szpitala. Wyżej, jeszcze wyżej... na strych... Ten sukinsyn na pewno tam je przetrzymuje. Tam, gdzie Eve kryła się przed światem jako dziecko; tam, gdzie znaleziono lalkę i ciało siostry Vivian. Dysząc ciężko, biegł w górę wokół komina. Serce podchodziło mu do gardła, paliło go w piersi.

Eve! Kochanie, trzymaj się! Już do ciebie idę. Och, trzymaj się, proszę!

Wpadł na strych bez tchu. A tam, w śmiertelnej ciszy, słyhać było tylko równomierne bicie deszczu w dach.

Gdzie jesteś, ty draniu? Cole gorączkowo zaglądał we wszystkie kąty. Gdzie?

Zaschło mu z ustach. I wtedy, w poszumie wiatru, usłyszał wycie syren.

Nikt na niego nie skoczył.

Nikt nie krzyknął.

Nie potknął się o niczyje ciało.

Nikogo tu nie ma... więc gdzie, na Boga, jest Eve?

Zbiegł ze schodów i szybko, cicho, zaczął zaglądać do pokoi. Serce biło mu jak szalone, wiedział, że każda kolejna sekunda może być ostatnią sekundą życia Eve.

Montoya zahamował i zatrzymał samochód tuż obok dżipa Cole'a Dennisa. Pod wielkim parasolem stała tam siostra Odine. Deszcz lał strumieniami z nieba ciemnego i złowrogiego jak przekleństwo.

- Właśnie przyszłam - powiedziała siostra Odine, spoglądając na dżipa, kiedy policjanci wyskoczyli ze swojego wozu. - Nie mam pojęcia, do kogo należy ten samochód ani kto otworzył bramę.

- Proszę się tym nie martwić - odparł Bentz, patrząc na przecięty łańcuch. - Przyniosła siostra klucze do szpitala?

- Tak. - Wybrała jeden i podała im wraz ze wszystkimi innymi na kółku, wtedy zauważyła krew na jego koszuli. - O Boże...

- To nie moja - zapewnił ją, chwytając klucze. - Dziękuję. A teraz niech siostra wraca do klasztoru i tam zostanie. Zadzwoń mi po wsparcie, ale proszę stąd iść. Szybko.

- Zostańcie z Bogiem - szepnęła, uczyniła znak krzyża w powietrzu i z rozwianym habitem, zasłaniając się od wiatru parasolem, ruszyła w stronę klasztoru. W tej samej chwili z daleka dobiegło ich wycie policyjnych syren.

Bentz nie czekał. Wyciągnął broń i pobiegł spękanym, zalanym wodą podjazdem. Za sobą słyszał kroki Montoi. Przez zarośnięty trawnik, obok fontanny, pędzili w stronę wielkiego szpitala, który wznosił się przed nimi na tle ciemniejszego nieba jak jakaś kamienna bestia, zamieszkiwana przez zło.

Bentz miał wrażenie, że jego serce na moment przestało bić. Tam, w środku, była Kristi. Na strychu. Nie sama. Z zabójcą!

Boże, pomóż jej ! Dopadł do drzwi i wsunął klucz do zamka. Metal był śliski, a on miał mokre palce, ale klamka ustąpiła od razu i wielkie, ciężkie drzwi się otworzyły.

- Słyszeliście to? Mamy towarzystwo - powiedział Adam, kiedy w górze rozległy się kroki. - Czas to zakończyć. - Był podniecony. Rozdrażniony.

Spojrzał na sufit i wstał. W tej samej chwili Eve kiwnęła na Kristi i skoczyła do przodu, z wysoko podniesionym ramieniem, ściskając w dłoni odłamek szkła.

Uderzyła.

Z całej siły.

Z szyi Adama trysnęła krew i zbryzgała jej twarz.

Adam krzyknął i strzelił. W małym pomieszczeniu huk wystrzału brzmiał jak uderzenie pioruna. Kula przeleciała tuż obok jej głowy.

Kristi rzuciła się na bok i potoczyła z impetem w stronę Adama, podcinając mu nogi. Upadł ciężko na plecy. Rewolwer znowu wystrzelił, a udo Eve przeszył rozdzierający ból.

Kristi wzięła rozmach i kopnęła Adama w twarz. Wrzasnął. W małym pokoju rozpętało się piekło. I wtedy na schodach zadudniły kroki.

Szybciej, szybciej, szybciej!

Adam omal nie wypuścił rewolweru z ręki. Krew ściekała z jego szyi na koszulę. Oczy miał dzikie, pełne nienawiści. Wycelował w Kristi.

- Ty dziwko.

Kristi kopnęła go znowu, usiłując wytrącić mu broń z ręki, ale przewróciła lampę. Nafta się wylała, buchnął ogień. Bam !

Rewolwer znowu wypalił z ogłuszającym hukiem. Kristi osunęła się na podłogę. Na korytarzu rozległy się głosy.

- Nie! - krzyknęła Eve. Ten chory łotr zabił jej siostrę! Siostrę, o której istnieniu nie miała pojęcia. Odwróciła się do niego i spojrzała mu prosto w oczy. Ogień błyskawicznie rozprzestrzenił się po pokoju. - Ty draniu!

- Tak! - wydyszał, chwając się na nogach, ale nie wypuszczając broni z ręki. - Tak, księżniczko!

Ktoś załomotał do drzwi.

- Policja! Otwierać!

Powoli, bez cienia strachu na twarzy, podniósł rewolwer. Eve patrzyła w ciemny otwór lufy i wiedziała, że on to właśnie planował od samego początku. Plamy nafty na podłodze płonęły wokół nich.

- Ty i ja, Eve. Razem przyszedliśmy na ten świat i razem go opuścimy.

- Otwierać, do cholery! Natychmiast! - ryknął Bentz.

Rozległ się suchy trzask i drzwi wyleciały z futryny. W tej samej chwili padł strzał.

Bentz także strzelił. W ciemno.

Sekundę później wpadł do pokoju, Montoya i Dennis tuż za nim.



Zobaczyli jeszcze, jak zabójca osuwa się na podłogę, wypuszczając broń z ręki.

- Zabierajcie je stąd! Cholera! Pożar! Dawajcie gaśnice! Pali się, do cholery! - wrzeszczał Montoya. - Jezu Chryste! To Tennet!

Eve omal nie zemdląca. Cole doskoczył do niej, chwycił ją w ramiona i zaczął całować jej twarz i włosy.

- Myślałem, że cię straciłem - szeptał, przyciskając ją do siebie z taką siłą, jakby miał jej już nigdy nie wypuścić z objęć. - Myślałem... O, Boże...

Do pokoju wpadli kolejni policjanci i ratownicy medyczni. Eve łyż napływały do oczu, przyłgnęła do Cole'a mocno.

- Kocham cię - łkała, prosto do jego ucha. - Cholera, Cole, kocham cię!

- Wychodźcie - wrzasnął jeden z policjantów. - Muszę się tam dostać!

- Tutaj ! Tutaj ! - krzyczał inny głos. - Zaraz się wykrwawi! Dzwonicie po helikopter... Gdzie jest ta straż pożarna, do cholery?

- Helikopter? Zaraz... - Bentz przykląkł obok Kristi. - To moja córka! Ona musi żyć !

- Proszę wyjść. Już!

- Ona musi przeżyć - upierał się Bentz. - Kristi!

- Z drogi, detektywie! - rozkazał ratownik. -I wezwijcie ten cholerny helikopter!

Kilka godzin później Olivia spotkała się z Bentzem w szpitalu.

- O Boże, Rick, tak mi przykro - szepnęła.

Przycisnęła żonę do piersi, odetchnął zapachem jej włosów i nagle zapragnął skryć się w jej ramionach i wybuchnąć płaczem jak małe dziecko.

- Ona z tego wyjdzie - powiedział i uświadomił sobie, że te słowa stały się jego mantrą. Tak długo je sobie powtarzał, że w końcu zaczął w to wierzyć.

Kristi od trzech godzin była na sali operacyjnej, a on ciągle nie wiedział, jak wielkie odniosła obrażenia. Rozumiał tylko, że jej stan jest ciężki. Naprawdę ciężki.

Przed oczami przesuwały mu się sceny z jej życia... własnego bez niej nie potrafił sobie wyobrazić. Tak wiele razem przeżyli, dobrych chwil i złych. Czasem stawiali czoło całemu światu, czasem skakali

sobie do oczu.

Wiedział już teraz, że Adam Tennet nigdy nie powinien zostać zatrudniony w departamencie. Jakimś sposobem udało mu się zaliczyć wszystkie testy, przeniknąć przez sito systemu i dostać pracę w zespole Bonity Washington. Wszystkich wystrychnął na dudka. Pracował w policji niecały rok i zaraz zaczął realizować swój chory plan.

Czy to koniec? Czy Szpital Naszej Pani od Cnót został wreszcie oczyszczony z toczącej go choroby? Czy to już naprawdę koniec?

Tylko jeśli Kristi przeżyje, bo jeśli ona umrze, będzie to twoim przekleństwem resztę twoich dni.

Mocno przycisnął Olivię do siebie i z trudem powstrzymał napływające do oczu łzy. Wsunął palce w gęste, lśniące włosy żony.

- Musisz wierzyć - szepnęła mu do ucha.

Drzwi bloku operacyjnego otworzyły się i podeszła do nich kobieta niewiele starsza od Kristi. Była ubrana w kitel chirurga i miała poważną minę.

- Pan Rick Bentz? - spytała.

Bentz miał wrażenie, że cały świat zaczął wirować wokół niego z zawrotną prędkością.

- Tak.

- Pana córka została ciężko ranna, ale jest silna. W czasie operacji dwa razy ustała u niej akcja serca, udało się ją jednak reanimować.

Bentz poczuł, jak cała krew odpływa mu z twarzy. Mimo to usiłował się skupić na słowach lekarki. Szybko podawała szczegóły dotyczące obrażeń Kristi i zabiegów, jakim ją poddano. Okazało się, że jedna kula trafiła ją w brzuch, uszkadzając kilka organów, które trzeba było operować. Druga kula odbiła się rykoszetem od ściany i otarła o jej skroń, występowało więc ryzyko uszkodzenia mózgu.

- Ale będzie żyła? - spytał Bentz.

- Robimy co w naszej mocy.

Lekarka wyszła. Rick opadł na krzesło i chwycił się za głowę.

- To moja wina. To wszystko przez to, że jestem policjantem.

- Nic, to nie twoja wina.

- Akurat.

- Bentz! - zawołała Olivia tonem nieznoszącym sprzeciwu. Spojrzał jej w oczy i doznał pewnej ulgi. - Musisz być teraz silny. Dla niej. Musisz w nią wierzyć. Musisz wierzyć w siebie.

Odwrócił wzrok i odchrząknął.

- Dobrze - mruknął, choć wcale nie był pewien, czy to potrafi. - A ty od kiedy jesteś taka mądra?

Uśmiechnęła się kącikiem ust.

- Chyba od tego dnia, kiedy zgodziłam się za ciebie wyjść, detektywie... Tak, dokładnie tak. No, chodź, postawię ci kawę. Okropnie wyglądasz!

- Kocham cię.

- Wiem - roześmiała się, a on rzeczywiście nagle poczuł się trochę lepiej. Jakoś przez to przejdą. A ta lekarka miała rację. Kristi jest silna.

- Nie chcę zostać tu na noc - protestowała Eve, leżąc na szpitalnym łóżku, ale Cole nie chciał o tym słyszeć. Stał przy oknie i patrzył w ciemność. Było już bardzo późno, panowała cisza i spokój, ale Eve miała na długo dość szpitali.

- To tylko obserwacja. Na szczęście kula nie trafiła w żadną arterię ani kość.

- Tylko w całe mnóstwo mięśni. - Eve wiedziała, że czeka ją jeszcze wiele bólu i długa terapia, ale nie mogła narzekać. Zwłaszcza biorąc po uwagę, że Kristi Bentz walczyła o życie.

- Więc to naprawdę koniec? - spytała. Cole kiwnął głową.

- Wygląda na to, że Adam obserwował cię od dłuższego czasu. Potrzebował jednak jakiegoś świra, który cię znał, do brudnej roboty. W materacu Ronniego znaleziono sprzęt elektroniczny, małe głośniki i odbiornik. Założę się, że nadajnik znajdzie się u Adama.

- Nie chcę o nim myśleć.

- To dobrze. - Cole pochylił się nad nią i pocałował ją w czoło. - Możesz przecież skupić się na mnie.

- Panie mecenasie, doskonały pomysł - odparła, obejmując go za szyję. - Tam, w tym strasznym szpitalu, mówiłam poważnie. Naprawdę cię kocham.

- Cóż, w takim razie, kochanie, jak tylko cię stąd wypuszczą, będziesz mogła mi pokazać jak bardzo.

- Możesz na to liczyć - powiedziała, tłumiąc ziewnięcie. - Możesz na to liczyć...

## Epilog

### Trzy miesiące później

Kulejąc i podpierając się tą idiotyczną laską, Eve weszła do szpitalnego pokoju, w którym leżała w śpiączce Kristi Bentz. Oddychała samodzielnie i lekarze uważali, że wyjdzie z komy. Na razie jednak się to jeszcze nie stało.

Rick Bentz siedział przy córce, głośno jej czytając. Robił to codziennie. Teraz podniósł głowę i spojrzał na Eve ponad okularami, ale się nie uśmiechnął.

- Pomyślałam, że cię zmienię. Jak z nią dzisiaj? - zapytała.

- Wydaje mi się, że lepiej.

- To dobrze. Bardzo dobrze. - Uśmiechnęła się z przymusem, bo w to nie wierzyła. Jej zdaniem Kristi wyglądała cały czas tak samo: leżała na łóżku i prawie się nie ruszała.

Bentz poszedł do kafejki po kawę, a Eve wzięła Kristi za rękę.

- A teraz powiedz - zaczęła, patrząc ze ściśniętym sercem na tę piękną pełną spokoju kobietę, która była jej siostrą. - Jak się naprawdę dzisiaj czujesz? - Lekko ścisnęła palce Kristi, ale nie doczekała się żadnej reakcji. - Cóż, pozwól, że opowiem ci, co się ostatnio wydarzyło. Wiesz, poznałam Abby i świetnie się dogadujemy. Jeszcze nie skontaktowałam się z Giną, ale poznam ją w ciągu kilku najbliższych miesięcy, bo Abby i Montoya już wyznaczyli datę. Słyszysz? Pobiorą się w czerwcu. Musisz być na ślubie. Oni na ciebie liczą... A co poza tym? No... my także podjęliśmy pewne kroki... Cole się do mnie wprowadził. Na razie, odpukać, układa nam się całkiem nieźle. Nawet twój tata i Montoya doszli do wniosku, że to porządny facet, w każdym razie tak mi powiedzieli... O, o wilku mowa.

Do pokoju wszedł Cole, a zaraz za nim Abby. Rozmawiali przez chwilę, starając się włączyć do rozmowy Kristi, choć ona, oczywiście, nie odpowiadała.

To było takie okropne.

Ale w ostatnim czasie wydarzyło się wiele okropnych rzeczy.

Nie zauważyli, że powieki Kristi poruszyły się kilkakrotnie, a jeden z jej palców drgnął lekko. Nie mieli pojęcia, że Kristi śni.

A ona widziała dziwne, zniekształcone obrazy... Widziała ludzi,

których dobrze znała, jak pracują, załatwiają swoje sprawy, wyprowadzają psy, wypełniają dokumenty, koszą trawniki, gotują... Wszystko w nasyconych, nieprawdopodobnych barwach.

A dzisiaj przyśnił jej się ojciec. Jechał z Montoyą policyjnym samochodem. Wyły syreny, błyskały światła, trzeszczało radio. Z piskiem opon zatrzymali się przed budynkiem, który wyglądał jak jakaś gotycka budowla, i wyskoczyli z wozu.

Wtedy niebo nagle rozdarła błyskawica; z ogłuszającym hukiem piorun rozłupał samotne drzewo przed domem. Obaj mężczyźni odruchowo schylili się i zasłonili twarze rękami... A potem Montoya wyglądał tak samo jak przedtem, ale postać Bentza wyblakła, stała się czarno-biała. Wsiadł do samochodu razem z Montoyą, lecz jego kolor nie wrócił, a po chwili Bentz przechylił się na bok i upadł.

Nie żył.

- Kristi? Słyszysz mnie? Kto to jest? Olivia?

- Kristi?

Chciała coś powiedzieć, ale z jej gardła wydobył się tylko niezrozumiały skrzek. Boże, jaki obrzydliwy smak ma w ustach! I bołą ją wszystkie mięśnie.

- Słyszysz? Ona reaguje! Wezwij pielęgniarkę!

Przez mgłę w mózgu Kristi przebił się głos Olivii. Miała wrażenie, że jej umysł to bagno, a każda myśl musi się z trudem przedostawać przez warstwę mułu.

Zamrugła. Powieki miała ciężkie i opuchnięte.

- O mój Boże, ona się budzi! Kristi! - wołała Olivia głosem nabrzmiałym z emocji. - Kristi !

Kristi z trudem otworzyła jedno oko, a potem szybko zacisnęła powieki. Światło ją oślepiało. Czuła ból w brzuchu i w głowie. Usłyszała kroki. Ktoś do niej podszedł.

Spróbowała znów otworzyć oczy i tym razem, krzywiąc się i mrugając, zdołała utrzymać wzrok w jednym punkcie, choć obraz był zamazany.

Powoli wróciła jej ostrość widzenia.

Była w szpitalu, pólżeiała, wsparta na poduszkach. Tuż obok stała wzruszona Olivia. Na stoliku przy łóżku Kristi zauważyła kilka koszyków pełnych kolorowych kwiatów: niebieskich irysów, różowych goździków, żółtych i czerwonych róż.

- Och, kochanie - zawołała Olivia, odrzucając do tyłu opadające jej na ramiona jasne włosy. - Rick! Chodź, zobacz, kto się obudził!

Kristi odwróciła głowę do drzwi. I nagle zabrakło jej tchu w piersi. Przerażenie ścięło jej krew w żyłach.

Stojący w drzwiach, na tle zielonej ściany Rick Bentz nie miał koloru. Jego skóra, włosy i ubranie... wszystko było białe, czarne albo szare. Tak samo jak w jej śnie.

- Dzięki Bogu - wychrypiał. A jednak, kiedy na nią patrzył, jego załzawione oczy nie odbijały światła. Podbiegł do niej i chwycił ją w ramiona.

- Kristi - szepnął łamiącym się głosem. - Och, kochanie. - Łzy zaczęły spływać mu po twarzy, ale Kristi nie czuła ich na policzkach. A ramiona, które obejmowały ją tak mocno, wydawały jej się dziwnie słabe. Twarz ojca była szara jak śmierć.

To zły znak, na pewno.

Kristi zrobiło się niedobrze. W śpiączce miała wizję przyszłości. Wiedziała, że los Ricka Bentza jest przesądzony. Jej ojciec umrze. I to już niedługo.